

THOMAS HARDY

WIĘZY
MIŁOŚCI

JUDA NIEZNANY


Replika

THOMAS HARDY

WIĘZY
MIŁOŚCI

JUDA NIEZNANY

Przekład
Ewa Kołaczkowska


Replika

Tytuł oryginału

JUDE THE OBSCURE

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © for the Polish translation by Krzysztof Nowakowski

Korekta

Maria Ignaszak

Skład i łamanie

Dariusz Nowacki

Projekt okładki

Mikołaj Piotrowicz

Zdjęcie na okładce

Copyright © depositphoto/DarkBird

Wydanie elektroniczne 2016

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Dariusz Nowacki

ISBN 978-83-7674-379-0

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 061 868 25 37

replika@replika.eu

www.replika.eu

PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA

Historia tej powieści (której narodziny w obecnej postaci zostały ogromnie opóźnione wskutek konieczności publikacji w odcinkach) jest pokrótce następująca: plan jej był naszkicowany w 1890 roku z notatek robionych w 1887 roku (niektóre okoliczności nasunęła śmierć pewnej kobiety w tym właśnie roku) i w latach następnych. Sceneria akcji została powtórnie obejrzana w październiku 1892. Zarys historii powstał w 1892 i na wiosnę 1893 roku, a wszystkie części w tej formie, w jakiej ukazują się obecnie, w okresie od sierpnia 1893 roku i w ciągu roku następnego. Całość, oprócz paru rozdziałów, wydawca otrzymał z końcem roku 1894. Powieść zaczęto drukować pod koniec listopada 1894 roku w „Harpers Magazine” w miesięcznych odcinkach.

Jednakże, podobnie jak w przypadku *Tessy d'Urberville*, wersja w odcinkach została z wielu powodów skrócona i zmieniona, a obecne wydanie jest pierwszym, w którym całość powieści ukazuje się według wersji oryginalnej. Wobec trudności podjęcia od razu decyzji co do brzmienia tytułu, powieść drukowano pod tymczasowym tytułem, a właściwie dwa takie tytuły były kolejno w użyciu. Obecny, ostateczny

tytuł, uznany, ogólnie biorąc, za najlepszy, jest tym, który wybrano najwcześniej.

Nie sędzę, aby cokolwiek mogło wywołać oburzenie czytelnika w powieści przeznaczanej dla dorosłych, która podkreśla tragizm niespełnionych zamierzeń i w prosty sposób mówi o szarpaninie i namiętnościach, o szyderstwie i klęskach towarzyszących najsilniejszej z namiętności ludzkich, o śmiertelnej walce między ciałem i duchem.

Tak jak wcześniejsze pozycje, które wyszły spod tego samego pióra, Juda nieznanym jest po prostu próbą nadania kształtu i sensu urojeniom czy osobistym wrażeniom, przy czym zagadnienie ich konsekwencji czy niezgodności z logiką, trwałego czy przemijającego znaczenia nie było uważane za rzecz najważniejszą.

Sierpień 1895 r.

T. H.

POSTSCRIPTUM

Wydanie tej książki przed szesnastu laty wraz z powyższą wyjaśniającą przedmową miało nieoczekiwane następstwa; dziś można spojrzeć wstecz i poświęcić nieco uwagi temu, co się stało. W ciągu paru dni po ukazaniu się powieści krytycy wyrazili o niej swe zdanie, którego nie da się porównać do opinii o *Tessie d'Urberville*, chociaż parę osób nie podzielało zdania większości. Ocena książki została natychmiast przekazana z Anglii do Ameryki i po drugiej stronie Atlantyku głosy krytyki wzrosły do przeraźliwego crescendo.

Jeśli chodzi o mnie, najbardziej mnie zmartwiło to, że większa część powieści – ta, która przedstawia ruinę ideałów dwojga bohaterów i która przede wszystkim i właściwie prawie wyłącznie mnie interesowała – została praktycznie pominięta przez wrogą prasę w obu krajach; natomiast czytano i roztrząsano nieomal jedynie te dwadzieścia czy trzydzieści stron drastycznych szczegółów, które uważałem za niezbędne przy wykazaniu antytez w życiu Judy. I, co ciekawsze, przedruk jakiegoś fantastycznego opowiadania w popularnym czasopiśmie w następnym roku ściągnął na moją głowę dalsze tego

rodzaju napaści z kilku środowisk.

Tyle o niefortunnym początku kariery *Judy* w formie książkowej. Po wyroku wydanym przez prasę następnym pechowym wypadkiem w historii tej powieści było spalenie jej przez biskupa – prawdopodobnie zrobił to, nie mając nadziei, że uda mu się spalić mnie we własnej osobie.

Następnie ktoś dokonał odkrycia, że *Juda nieznaną* jest książką moralną – powściągliwą w ujęciu trudnego tematu – tak jakby autor nie utrzymywał przez cały czas w przedmowie, że to właśnie stanowiło jego intencję. Wobec tego wiele osób zdjęło ze mnie klątwę i ataki ucichły. Jedyny zaś wpływ krytyki na postępowanie ludzkie, jaki udało mi się odkryć, zaobserwowałem na sobie samym: eksperyment ten wyleczył mnie całkowicie z zapędów do pisania powieści.

Burzliwa polemika nad książką spowodowała następujący incydent: pewien amerykański literat, który nie wybielał swoich zasad moralnych, zakomunikował mi, że po nabyciu egzemplarza książki, zachęcony pełnymi zgorszenia recenzjami, zagłębił się w lekturę, ciągle oczekując drastycznych epizodów, i w końcu cisnął powieścią o podłogę, złorzecząc recenzentom, przez których zmarnował półtora dolara na to, co on łaskawie określił jako „traktat religijny i etyczny”.

Bardzo mu współczułem i dałem słowo uczciwego człowieka, że wprowadzająca w błąd opinia o książce nie była moim chwytem, mającym na celu zwiększenie poczytności pisma wśród abonentów.

Następnie w piśmie o światowym rozgłosie ukazał się sugestywny artykuł z podtytułem wyrażającym grozę, a wkrótce potem autorka jego listownie wyraziła chęć zawarcia ze mną znajomości.

Wróćmy jednak do samej książki. Fakt, że jako mechanizm pełnej tragizmu intrygi zostało użyte prawo małżeńskie, a także to, że pisząc o życiu rodzinnym, starałem się wykazać, że, jak mówi Diderot, „prawo cywilne powinno być wyrazem praw natury” (stwierdzenie, które zresztą trzeba potraktować z pewną rezerwą), uczyniło mnie współodpowiedzialnym za niedobłą sytuację w naszej literaturze, jeśli idzie o książki o tematyce małżeńskiej, jak je określił niedawno pewien znany literat. Nie wiem. Mój pogląd na te sprawy w owym czasie, o ile dobrze pamiętam, był taki sam jak i teraz, a mianowicie: uważam, że

powinna istnieć możliwość rozwiązania małżeństwa z chwilą, gdy staje się ono okrucieństwem dla którejś ze stron, bo wtedy przestaje być właściwie małżeństwem i teoretycznie, i moralnie. Zagadnienie to wydało mi się dobrym założeniem dla fabuły tragedii opowiedzianej dla niej samej, aby przedstawić szczegóły zawierające wiele prawd powszechnych, nie bez nadziei, że da się w nich odnaleźć pewne arystotelesowskie, oczyszczające cechy.

Podobnie trudności istniejące przed dwudziestu czy trzydziestu laty w zdobywaniu wiedzy książkowej bez środków pieniężnych posłużyły za jeden z tematów do powieści; ale informowano mnie, że niektórzy czytelnicy uznali te epizody za atak na dostojne instytucje, później zaś, gdy założono Kolegium Ruskina, mówiono, że powinno ono otrzymać nazwę Kolegium Judy Nieznanego.

Wysiłek artystyczny jest zawsze drogo opłacony, jeśli szukając tematu do tragedii, autor usiłuje wtłoczyć siłą instynkty ludzkie do przestarzałych i ciasnych form, w których się one nie mieszczą. Żeby oddać sprawiedliwość Bludyerowi i buntowniczemu biskupowi, mieli oni jedynie na myśli, co następuje: „My, Brytyjczycy, nienawidzimy idei i mamy zamiar okazać się godni w praktyce tego przywileju naszej ojczyzny. Obraz przedstawiony przez was może nie wykazywać czegoś niezgodnego z prawdą czy oddalonego od normy, lub nawet przeciwnego kanonom sztuki, ale nie jest to obraz życia, jaki możemy pozwolić malować my, których powodzenie życiowe opiera się na uznanych zasadach postępowania”.

To jednak nie miało znaczenia. Jeśli chodzi o sceny z życia małżeńskiego, pomimo że uderzyły w sedno sprawy i pomimo przeraźliwych okrzyków pewnej biednej pani z „Blackwood” o zawiązaniu bezbożnej ligi przeciwmałżeńskiej, sławetny ten kontrakt, mam na myśli sakrament, nadal cieszy się powodzeniem i ludzie wstępują w związki małżeńskie, które nie zawsze zasługują na nazwę prawdziwego małżeństwa, z taką samą lekkomyślnością jak dawniej. Poważnie nastroszeni czytelnicy wyrzucali nawet autorowi w listach, że nie posunął się dalej, poruszając to zagadnienie, i nie wskazał drogi do tak bardzo potrzebnej reformy.

Gdy *Juda nieznan*y wyszedł w odcinkach w Niemczech, pewien

doświadczony niemiecki recenzent zakomunikował autorowi, że bohaterka powieści, Sue Bridehead, jest pierwszym w literaturze powieściowej portretem kobiety, jaka w tysięcznych wcieleniach pojawia się co roku – kobiety zrodzonej przez ruch feministyczny, wiotkiej, bladej, „samotnej” kobiety, przeintelektualizowanego i emancypowanego kłębka nerwów, wytworu współczesnych warunków panujących do tej pory głównie w miastach. Jest to typ kobiety, która nie uważa za konieczne, aby większość istot jej płci obierała małżeństwo jako zawód i chełpiła się swoją wyższością, mając licencję na uprawianie miłości we własnym mieszkaniu. Krytyk ten wyraził żal, że naszkicowanie portretu tej nowej istoty pozostawiono mężczyźnie, a nie osobie jej własnej płci, która nie dopuściłaby do takiego załamania bohaterki pod koniec powieści.

Czy to stwierdzenie opiera się na faktach – nie umiem powiedzieć. Nie jestem także w stanie teraz, gdy od ukazania się powieści upłynęło tyle czasu, zastosować do niej jakiegoś ogólniejszego krytycyzmu wykraczającego poza niewielkie poprawki, jakich może ewentualnie wymagać. Nie ulega wątpliwości, że z każdej książki da się odczytać o wiele więcej niż treść, którą autor świadomie w niej zawarł, co może jej wyjść na dobre albo na złe, zależnie od okoliczności.

Kwiecień 1912 r.

T. H.

Część pierwsza

W MARYGREEN

Zaprawdę niejednen mężczyzna
tracił głowę dla niewiast i stawał
się sługą ich zachcianek. Wielu
również przez niewiasty ginęło,
błądziło i grzeszyło... O wy,
mężczyźni, jakże mają niewiasty
nie być silne, skoro widzą,
co dla nich czynicie?

EZDRASZ

I

Nauczyciel wyjeżdżał ze wsi i wszyscy wyglądali na zmartwionych. Młynarz z Cresscombe pożyczył mu konia i mały, biało pomalowany wózek z budą na przewiezienie rzeczy do miasta odległego o jakieś dwadzieścia mil, dokąd się przeniósł; wehikuł tych rozmiarów z łatwością pomieścił ruchomości odjeżdżającego. Część bowiem umeblowania dostarczyły władze szkolne, a jedynym nieporęcznym sprzętem w posiadaniu nauczyciela oprócz skrzynki z książkami było małe pianino, kupione na licytacji w okresie, kiedy snuł plany uczenia się muzyki. Zapał wszakże minął i nauczyciel nigdy nie osiągnął biegłości w grze na fortepianie, nowy zaś nabytek przysparzał mu od tej pory wiecznych kłopotów przy przeprowadzkach.

Proboszcz wyjechał na cały dzień, jako że był człowiekiem niechętnie patrzącym na zmiany. Nie zamierzał wrócić wcześniej jak wieczorem, gdy przyjedzie już i urządzi się nowy nauczyciel i wszystko znowu potoczy się zwykłym trybem.

Kowal, włodarz i sam nauczyciel stali teraz w saloniku przed instrumentem, wielce zakłopotani. Nauczyciel powiedział, że nawet, jeśli uda się załadować pianino na wózek, nie będzie wiedział, co z nim począć po przyjeździe do Christminster, dokąd się przeniósł, bo na razie stanie tam w jakimś tymczasowym mieszkaniu.

Do grupki mężczyzn, z frasunkiem wodzących dłońmi po brodach, podszedł mały, jedenastoletni chłopiec, który z przejęciem brał udział w pakowaniu, i powiedział, oblewając się rumieńcem na sam dźwięk swego głosu:

– Ciotka ma dużą drewnię, proszę pana, i można by tam pianino postawić, dopóki pan nie znajdzie stałej kwatery.

– Ot i niezła myśl – rzekł kowal.

Postanowiono wysłać deputację do ciotki chłopca, starej panny, zamieszkałej we wsi, z zapytaniem, czy nie pozwoli ona umieścić u siebie pianina aż do chwili, kiedy pan Phillotson po nie przyśle. Kowal i włodarz wyruszyli, aby ocenić przydatność zaproponowanego schronienia, a chłopiec i nauczyciel zostali sami.

– Żal ci, że odjeżdżam, Judo? – zapytał łagodnie ten ostatni.

Łzy napłynęły do oczu chłopca; nie należał on do dziennej zmiany uczniów, którzy regularnie uczęszczali do szkoły i w mało romantyczny sposób stykali się bliżej z życiem nauczyciela. Chodził na wieczorną naukę, i to tylko odkąd pan Phillotson tutaj uczył. Prawdę mówiąc, chłopcy z dziennej zmiany trzymali się teraz z daleka, jak pewni dobrze znani uczniowie Mistrza, nie zdradzając najmniejszej ochoty do pomocy.

Juda w zakłopotaniu otworzył książkę, którą trzymał w rękach – pan Phillotson podarował mu ją na pożegnanie – i przyznał, że żałuje.

– I ja również – powiedział pan Phillotson.

– Dlaczego pan wyjeżdża, panie nauczycielu? – zapytał chłopiec.

– Ach! to długa historia. Nie zrozumiałbyś moich racji, Judo. Zrozumiesz może, gdy będziesz starszy.

– Ja bym chyba i teraz rozumiał, proszę pana.

– No dobrze, ale nie rozpowiadaj o tym na prawo i lewo. Czy wiesz, co to uniwersytet i dyplom uniwersytecki? Jest to stempel świadczący o wartości człowieka, niezbędny dla każdego, kto chce czegokolwiek dokonać w dziedzinie nauczania. Moim zamiarem, a może raczej marzeniem, jest otrzymać dyplom uniwersytecki, a potem złożyć śluby kapłańskie. Gdy zamieszkam w Christminster czy w okolicy, znajdę się niejako przy głównym ołtarzu, i jeśli moje plany są w ogóle wykonalne, będę miał prawdopodobnie lepszą sposobność zrealizowania ich niż w innej miejscowości.

Kowal wrócił wraz z towarzyszem. Drewutnia panny Fawley była sucha i nadawała się doskonale, a staruszka chętnie zgodziła się przechować tam pianino. Instrument pozostawiono więc w szkole aż do wieczora, kiedy będzie więcej rąk do przenosin, nauczyciel zaś po raz ostatni rozejrzał się dokoła.

Juda pomógł załadować drobne przedmioty, a o dziewiątej pan Phillotson zasiadł już obok skrzyni z książkami oraz innych bagaży

i pożegnał się z przyjaciółmi.

– Nie zapomnę o tobie, Judo – powiedział z uśmiechem, gdy wózek już ruszał. – Żebyś mi się poczciwie sprawował, pamiętaj! Bądź dobry dla zwierząt i ptaków i czytaj, co tylko się da. A jeśli kiedy trafisz do Christminster, nie zapomnij mnie odszukać w imię dawnej znajomości.

Wózek, skrzypiąc, minął błonie i zniknął na zakręcie przy plebanii. Chłopiec powrócił do studni na skraju murawy, gdzie zostawił wiadra, zanim poszedł pomagać przy ładowaniu rzeczy swego nauczyciela i protektora. Usta mu teraz drżały i otworzywszy pokrywę, aby spuścić w dół wiaderko, zatrzymał się chwilę i oparł czoło i ramiona o cembrowinę; twarz jego wyrażała skupienie właściwe myślącemu dziecku, przedwcześnie draśniętemu przez ciernie życia. Studnia, do której zaglądał, równie wiekowa jak sama wieś, z obecnej pozycji chłopca przypominała długą lunetę, z lśniącym krążkiem rozedrganej wody na końcu, gdzieś w odległości stu stóp. Bliżej wierzchu widać było pas zielonego mchu, a jeszcze bliżej – kępę paproci.

Z melodramatycznym zacięciem istoty obdarzonej fantazją Judo powtarzał sobie, że nauczyciel setki razy ciągnął wodę z tej studni w taki sam ranek jak dziś, ale już nigdy więcej nie będzie jej czerpać. „Widziałem, jak spozierał w głąb, gdy zmęczył się windowaniem w górę wiaderka, akurat tak samo jak ja w tej chwili, i jak odpoczywał ździebko, zanim poniósł wodę do domu! Ale pan nauczyciel był zbyt uczony, żeby siedzieć tutaj dłużej – w takiej małej, zapadłej dziurze jak nasza wioska!”

Z oczu Judy łza spłynęła w głębinę studni. Poranek był nieco mglisty i oddech chłopca rozsunął się w bezwietrznym i ciężkim powietrzu jak jeszcze gęściejszy opar. Z zadumy obudził go nagły krzyk:

– Przyniesiesz wreszcie tę wodę, czy nie, ty wałkoniu, błaznie jeden!

Wołała stara kobieta, która od progu pobliskiej chaty krytej omszałą strzechą, podeszła do furki ogrodowej. Chłopiec szybko machnął ręką na znak, że usłyszał, i zabrał się do windowania wiadra, co stanowiło ogromny wysiłek dla istoty jego wzrostu. Wreszcie je wyciągnął, przelał wodę do dwóch własnych, mniejszych wiaderek

i postawszy sekundę dla złapania tchu, ruszył z nimi poprzez szmat wilgotnej murawy, gdzie stała studnia, prawie pośrodku małej wioski, czy raczej sioła, Marygreen.

Wioska była równie staroświecka jak mała, a leżała w kotlinie falistej wyżyny obok wzgórza północnego Wesseksu. Mimo jej sędziwego wieku wykop studzienny stanowił pewnie jedyną całkowicie niezmienną pozostałość dawnych czasów. W minionych latach zburzono wiele strzechą krytych chat o mansardowych oknach i wycięto wiele drzew rosnących na błoni. Przede wszystkim rozebrano zapadły w ziemię dawny kościół, zdobny w drewniane wieżyczki i dziwnie przysadzisty; gruzy albo zwalono na stosy przy drodze, albo zużytkowano w sąsiedztwie na mury chlewków, ławki ogrodowe, podpórki do płotów i kamienne ozdoby na klombach z kwiatami. W innym miejscu wystawiono w zamian nowy, wysoki budynek we współczesnym stylu gotyckim, obcym dla angielskiego oka, a to dzięki inicjatywie pewnego burzyciela pamiątek historycznych z Londynu, który w ciągu jednego dnia obrócił tam i z powrotem. Miejsca zaś, gdzie tak długo stała świątynia ku czci bóstw chrześcijańskich, nawet nie zaznaczono na płaskim skrawku zielonej murawy, który od niepamiętnych czasów służył za cmentarz, a zniszczone mogiły uczczono groszowymi krzyżami z lanego żelaza o pięcioletniej gwarancji.

II

Chociaż Juda Fawley był wątłej budowy, bez postoju przydźwigał do chaty oba wiaderka po brzegi wypełnione wodą. Nad drzwiami wisiał niewielki prostokątny kawałek niebieskiej deski z napisem wymalowanym żółtymi literami: „Drusilla Fawley. Piekarnia”. Za małymi, w ołów oprawnymi szybkami – chata była jednym z niewielu starych, niezburzonych budynków – znajdowało się pięć słoików z cukierkami i trzy bułeczki na talerzu malowanym w liście.

Gdy chłopak opróżniał wiaderko na tyłach domu, dotarła do niego z wewnątrz ożywiona rozmowa tocząca się między jego cioteczną babką, ową Drusillą z szyldu, a paroma innymi wieśniaczkami. Przyjrząwszy się wyjazdowi nauczyciela, omawiały teraz szczegóły wydarzenia i pozwalały sobie na wysnuwanie horoskopów na przyszłość.

– A któż to taki? – zapytała jedna z kobiet, widocznie obca w tych stronach, na widok wchodzącego chłopca.

– Racja, pani może i nie wie, pani Williams. To mój cioteczny wnuczek, przyjechał już po pani ostatniej bytności.

Informacji tej udzieliła wysoka i chuda staruszka, stała mieszkanka wsi, która o najzwyczajniejszych rzeczach mówiła tragicznym tonem. Do każdej ze słuchaczek zwracała się kolejno z jednym zdaniem.

– Przyjechał tu z Mellstock, z południowego Wesseksu, będzie już chyba rok, nie najlepszy dla niego, Belindo. – I obracając się na prawo: – Tam mieszkał jego ojciec, ale złapały go dreszcze i śmierć na niego sprowadziły i... – obracając się w lewo – jak wiesz, Karolino, po dwóch dniach skonał. Łaska by to była, gdyby Bozia Wszechmogący zabrał i ciebie razem z matką i ojcem, ty biedny, niepotrzebny nikomu chłopczyno! Zabrałam go do siebie, niech siedzi, póki nie postanowię, co z nim dalej zrobić, ale tymczasem musi zarabiać na chleb, jak potrafi. Teraz właśnie ogania od ptaków pole farmera Trouthama. Robota powstrzymuje go od psich figlów. Czemu się chowasz, Judo? – ciągnęła, gdy chłopiec cofnął się na bok, odczuwając spojrzenia kumoszek jak policzek.

Miejscowa praczka odparła, że panna czy pani Fawley (zwracano się do niej i tak, i tak) dobrze zrobiła, wzięwszy chłopaka, bo to-to „dotrzyma jej towarzystwa w samotnym życiu, nanosi wody, zamknie okiennice przed nocą i pomoże co nieco przy wypieku chleba”.

Panna Fawley podała tę pomoc w wątpliwość...

– Czemu nie namówiłeś nauczyciela, aby cię zabrał do Christminster i zrobił z ciebie uczonego? – ciągnęła z chmurną żartobliwością. – Słowo daję, nie znalazłby lepszego! Ten chłopak wprost szaleje za książkami. To już rodzinne. Jego kuzynka Sue podobno taka sama, ale ja nie widziałam jej od lat, chociaż tak się przytrafiło, że przyszła na świat akurat tutaj, w tych czterech ścianach.

Moja siostrzenica z mężem, gdy się pobrali, nie wynajmowali osobnego domu przez rok, a może i dłużej, a i potem go mieli tylko do chwili... Lepiej o tym nie mówić. Judo, dziecino moja, pamiętaj, żebyś się nigdy nie żenił. Nikt z rodziny Fawleyów nie powinien już nigdy myśleć o żeniaczce. Powiadam ci, Belindo, ich jedynaczka była dla mnie jak rodzone dziecko, dopóki się nie rozlecieli! Ach! żeby też mała dziewczuszka musiała doświadczyć takich zmiennych kolei!

Gdy Juda zauważył, że ogólne zainteresowanie znowu się na nim skupia, umknął do piekarni i tam zjadł kawałek ciasta przeznaczony dla niego na śniadanie. Godziny swobody dobiegały końca i wydostawszy się z ogrodu przez płot w głębi, chłopiec podążył ścieżką na północ aż do rozległego pustkowia, gdzie w rozdole, poniżej poziomu otaczającej wyżyny, ciągnęły się obsiane pola. Kotlina ta była areną jego trudów ponoszonych na rzecz pana Truthama, farmera, i chłopiec zeszedł w sam jej środek.

Wszędzie naokoło brunatna powierzchnia roli łączyła się na linii horyzontu z niebem, a potem ginęła stopniowo we mgle, która zacierała krawędzie kotliny i uwydatniała pustkę. Na jednostajnym tle odcinała się tylko sterta zeszłorocznego zboża na środku pola, gawrony odfruwające na widok chłopca i ścieżka w poprzek ugoru, skąd przyszedł. Choć ongiś krzątał się tu niejeden z jego własnych, wymarłych już krewniaków, teraz deptali ścieżkę ledwie mu znajomi ludzie.

– Jak tu brzydko! – szepnął do siebie.

Świeże ślady brony ciągnęły się jak rowki w sztuce nowego manchesteru, nadając przez to całej przestrzeni jakiś małostkowy i utylitarny wygląd, zacierając różnice poziomu i obdzierając pole z wszelkiej przeszłości z wyjątkiem ostatnich paru miesięcy; a przecie każda grudka ziemi i każdy kamień nasuwały tu aż nadto wiele skojarzeń – echa pieśni z dawnych żniwnych dni, echa wymówionych słów i znojnnej pracy. Każdy cal tej roli był w swoim czasie terenem pracy i wesołości, rubasznych zabaw, kłótni i znużenia. Na każdym kwadratowym łokciu grupkami przysiadali w słońcu zbieracze kłosów. Między żęciem a zwózką zboża łączyły się tu pary, zaludniając potem pobliską wioskę. Pod żywopłotem, na granicy pól i dalej położonego lasu, dziewczęta oddawały się kochankom, którzy w następane żniwa

nawet nie raczyli na nie spojrzeć. Na tym polu, od dawien dawna obsiewanym zbożem, niejeden mężczyzna składał miłosne przysięgi kobiecie, ale w porze następnych siewów, gdy przysięgi zostały już dopełnione w sąsiednim kościele, wzdrygał się na sam dźwięk jej głosu. Jednak ani Juda, ani gawrony obok niego nie zaprzęтали sobie tym głowy. Dla nich pole było pustkowiem, dla jednej strony miejscem pracy, dla drugiej – spichlerzem, gdzie można się pożywić.

Chłopiec stanął pod wspomnianą stertą i co parę sekund mocno potrząsał kołatką. Przy każdym klaśnięciu gawrony przestawały dziobać ziarno, unosiły się w górę i odfruwaly z powolnym ruchem skrzydeł o lśnieniu kolczugi, a potem zataczały koło i patrząc podejrzliwie na chłopca, siadały na roli, żeby znowu wyjadać ziarno w znaczniejszej już teraz odległości.

Juda potrząsał kołatką, aż zabolalo go ramię i w końcu zaczął współczuć ptakom i ich niweczonemu chęciom. Tak jak on zdawały się żyć w świecie, który wcale ich nie potrzebował. Czemu miałyby je odpędzać? Coraz wyraźniej przybierały postać miłych przyjaciół i sług – jedynych przyjaciół, o których mógł powiedzieć, że się nim cokolwiek interesują, bo przecież ciotki nic nie obchodził, jak to często zaznaczała. Juda przestał kołatać i gawrony znów przyfrunęły.

– Biedne małe kochaneczki! – powiedział głośno. – Zjecie sobie obiadek, zjecie. Wystarczy dla nas wszystkich. Farmera Trouthama stać, abyście sobie podjadły. Jedzcie, ptaszyny, jedzcie, maluśkie! Smacznego!

Gawrony zostały i pożywiały się, znacząc czarnymi jak atrament cętkami rolę orzechowego koloru, a Judę cieszył ich apetyt. Magiczna nić braterstwa połączyła życie chłopca z życiem ptaków. Jakkolwiek marny i żalorny był ten ptasi żywot, ogromnie przypominał jego własny.

Odrzucił już teraz kołatkę jako podłe i odrażające narzędzie, obelgę dla ptaków i dla niego samego, skoro był im przyjazny. Nagle poczuł dotkliwe uderzenie w pośladki, po czym nastąpiło głośne klaśnięcie, wyjawiając zaskoczonemu chłopcu, że kołatka posłużyła za narzędzie kary. Juda ocknął się w tej samej chwili co ptaki i jego zdumionym oczom ukazał się farmer we własnej osobie, sam wielgachny Troutham; czerwoną, błyszczącą gębę pochylał nad drżącym chłopcem i potrząsał

rozhuśtaną kołatką.

– Ach, to tak! – powiedział. – „Jedźcie, ptaszyny, jedźcie, maluśkie!” To tak, paniczu? „Jedźcie, ptaszyny”, rzeczywiście! Połaskoczę cię w portki i zobaczymy, jak prędko znowu powiesz: „Jedźcie, kochane ptaszyny!”. A i przedtem wałkonieś się koło szkoły zamiast tu przyjść, hę? To tak zarabiasz na te sześć pensów dniówki, które ci dają za odganianie gawronów z mojego pola?!

Obdarzając uszy Judy tą namiętą retoryką, Troutham jednocześnie schwycił lewą dłoń chłopca w swoją lewą rękę i kręcąc w kółko jego drobnym ciałem trzymanym na odległość ramienia, znowu bił go po tylnych częściach ciała płaską stroną kołatki, aż echo szło po polu od razów, które padały pojedynczo lub po dwa za każdym obrotem.

– Już dosyć, proszę pana, już dosyć! – wołało dziecko, kręcąc się w kółko, tak bezbronnie wobec dośrodkowych skłonności swej osoby jak ryba na haczyku, zanim wyląduje na ziemi, przy czym wzgórze, sarta, las, ścieżka i gawrony obracały się również w przedziwnym dookólnym biegu. – Ja... ja... proszę pana... tylko myślałem... że w ziemi jest tyle ziarna... widziałem, jak je sieli... i że gawrony mogłyby pojeść sobie ździebko na obiad... a pan by nie zbiedniał... bo pan Phillotson mówił, że mam być dobry dla ptaków... o... o... o!

Zgodne z prawdą wyjaśnienie wyprowadziło farmera jeszcze bardziej z równowagi, niż gdyby Juda uparcie zapierał się czy milczał; ciągle więc okładał wirującego dzieciaka, a klekot kołatki nadal rozlegał się po polach, sięgając aż do uszu robotników pracujących w pewnej odległości, co nasunęło im przypuszczenie, że Juda pilnie przykłada się do straszenia ptaków. Echo razów odbijało się od nowiutkiej wieży kościelnej ukrytej we mgle; w swoim czasie Troutham dołożył się hojnie do jej budowy, aby zadokumentować swą miłość Boga i bliźniego.

Wreszcie farmera zmęczyło wymierzanie kary i postawiwszy na ziemi trzęsącego się chłopca, wyjął z kieszeni sześciopensówkę i dał mu ją jako zarobek za dzień pracy. Potem kazał mu iść precz do domu i nie pokazywać się nigdy więcej na tych polach.

Juda umknął z zasięgu ramienia farmera i ruszył ścieżką, płacząc – nie tyle z bólu, chociaż i ból odczuwał dotkliwy, nie tyle na widok skazy w urządzeniu świata, wskutek której to, co dobre dla ptaków, jest złe dla

bożych ogrodników, ale z powodu budzącej grozę świadomości, że ściągnął na siebie całkowitą hańbę, jeszcze zanim upłynął rok jego pobytu w parafii, i może stać się dla ciotecznej babki ciężarem na całe życie.

Z tą mroczną myślą w głowie nie miał ochoty pokazać się we wsi, poszedł więc do domu okólną drogą w cieniu wysokiego żywopłotu i poprzez pastwisko. Tu zauważył dziesiątki dżdżownic, które połową ciała wyległy na wilgotną powierzchnię ziemi, jak to zwykły zawsze czynić o tej porze roku i przy takiej pogodzie. Nie sposób było iść szybko, nie miażdżąc przy tym kilku naraz za każdym krokiem.

Chociaż farmer Troutham skrzywdził go przed chwilą, Juda był chłopcem, który sam nie potrafiłby zrobić krzywdy jakimkolwiek stworzeniu. Nie zdarzyło mu się nigdy przynieść do domu gniazda z małymi ptaszkami, żeby potem nie martwić się przez pół bezsennej nocy, a następnego ranka nie umieścić gniazdka z powrotem na jego dawnym miejscu. Nie znosił widoku ścinania czy nadcinania drzew, bo wyobrażał sobie, że to je boli, a w dzieciństwie po prostu cierpiał, gdy przycinano gałęzie wtedy, gdy soki podeszły już wysoko i drzewo obficie krwawiło. Ta słabość charakteru, jak by to można określić, nasuwała przypuszczenie, że Juda był jednym z ludzi zrodzonych do wielu cierpień, zanim zapadająca nad ich niepotrzebnym życiem kurtyna oznajmi koniec wszelkiego bólu. Chłopiec szedł więc i teraz na palcach, ostrożnie wybierając drogę pomiędzy dżdżownicami, a nie niszcząc żadnej.

Gdy wrócił do chaty, ciotka właśnie sprzedawała jakiejś małej dziewczynce bochenek chleba za pensa i po wyjściu klientki zapytała:

– Cóż to się stało, że tak sobie wracasz do domu w środku ranka?

– Odprawili mnie.

– Co?

– Pan Troutham odprawiał mnie, bo pozwoliłem gawronom podziobać troszeczkę ziarna. A to moje zasługi – ostatnie w życiu.

I tragicznym gestem rzucił na stół sześciopensową monetę.

– Ach! – rzekła ciotka, wstrzymując oddech. I uczęstowała go przemową na temat, jak to przez całą wiosnę będzie miała na karku takiego wałkonia jak on. – Jeśli nie umiesz straszyć ptaków, to co innego

potrafisz? No, no! nie fraszuj się tak. Na dobrą sprawę farmer Troutham nie jest z lepszej gliny niż ja. Ale to tak, jak powiedział Job: „A teraz śmieją się ze mnie młodzi w leciech, których ojców nie rozumiałem godnych kłaść ze psy trzody mojej”[1]. Jakkolwiek było, jego ojciec służył za parobka u mojego ojca i musiałam mieć źle w głowie, że ci pozwoliła u niego pracować; nie byłabym tego nigdy zrobiła, ale chciałam cię powstrzymać od psot.

Bardziej zła na chłopca w ogóle za sprawienie jej kłopotu swoim przybyciem do Marygreen niż za zlekceważenie obowiązków, ciotka skarciła go najpierw z tego punktu widzenia, a dopiero później pod kątem moralności.

– To nie znaczy, żebyś był w porządku, pozwalając ptactwu na wydziobywanie tego, co farmer Troutham posiał. Oczywiście, źle postąpiłeś. Ach! Judo, Judo, czemuż to nie zabrałeś się do Christminster czy gdziekolwiek bądź razem z tym twoim nauczycielem? Ale... ach! nie, moje biedne dziecko! takiś przecie ordynaryjny. Nikt w naszej rodzinie nigdy nic nie zbudował i nigdy nie zbuduje!

– Ciociu, a gdzie jest to piękne miasto, ta miejscowość, dokąd pojechał pan Phillotson? – zapytał chłopiec po chwili milczenia.

– Boże wielki! a toż powinieneś wiedzieć, gdzie leży Christminster! Będzie ze dwadzieścia mil od nas. Ale miarkuję, że to za wspaniałe miejsce dla ciebie, mój biedny chłopcze, abyś mógł z nim kiedy mieć coś do czynienia.

– Czy pan Phillotson zawsze tam będzie mieszkał?

– Skąd ja mogę wiedzieć?

– Czy mógłbym do niego pojechać?

– A niech Pan Bóg broni! Widać zaraz, żeś nietutejszy, inaczej nie pytałbyś nawet o takie rzeczy. Nikt od nas nie zadawał się nigdy z ludźmi z Christminster ani ludzie z Christminster z nami.

Juda wyszedł z chaty i czując tak mocno jak nigdy dotychczas, że jego obecność na tym świecie jest niepożądana, położył się na wznak na kupie ściółki przy chlewie. Mgła już zrzędała i można było rozeznaczyć przez nią położenie słońca. Chłopiec nasunął na twarz słomkowy kapelusz i przez szpary w pleciance patrzył na jasną poświatę, snując jednocześnie niesprecyzowane myśli. Doszedł do wniosku, że im

człowiek jest starszy, tym więcej ma obowiązków. Wypadki nie trzymają się kupy, tak jak się tego spodziewał. Logika natury zbyt jest przerażająca, aby ją brać pod uwagę. Jego poczucie harmonii zakłócał fakt, że litość dla jednej grupy stworzeń stanowi okrucieństwo dla innej. Gdy się podраста, zauważył, i czuje, że się jest w samym środku wydarzeń, a nie obok, jak wtedy, kiedy się było malcem, chwytą nas jakiś dreszcz lęku. Wszystko naokoło oślepia i ogłusza, a ten hałas i ten blask uderza o małą komórkę, która jest twoim życiem, wstrząsając nią, wprowadzając do niej zamęt.

Żeby tylko dało się zrobić coś takiego, aby nigdy nie dorosnąć. Nie chciał być dorosłym mężczyzną.

Nagle, w sposób naturalny dla małego chłopca, Juda zerwał się, zapominając o przygnębieniu. Przez resztę ranka pomagał ciotce, a po południu, gdy już nie zostało nic do roboty, poszedł na wieś. I tam zapytał jakiegoś człowieka, w której stronie leży Christminster.

– Christminster? A tamój! choć po prawdzie sam tam nigdy nie byłem. Co bym miał do roboty w takim mieście?

Człowiek wskazał na północny wschód, a w tym właśnie kierunku leżało pole, gdzie Juda ściągnął na siebie taką hańbę. Na razie nieprzyjemnie odczuł ten zbieg okoliczności, ale budzące grozę skojarzenie raczej wzmogło jego zainteresowanie miastem. Farmer Troutham powiedział, żeby mu się Juda nie pokazał już więcej na polu; tymczasem Christminster leżało właśnie za jego gruntem, a ścieżka przecie była publiczna. Chyłkiem więc Juda wykradł się z wioski i zszedł w tę samą kotlinę, gdzie rankiem poniósł karę. Ani na cal nie schodził w bok i wspinał się na długie i monotonne zbocze po drugiej stronie, aż ścieżka przy kępie drzew doszła do gościńca. Tu był koniec uprawnej roli i chłopiec zobaczył przed sobą posępną, rozległą nizinę.

III

Żywej duszy nie było widać na gościńcu pozbawionym żywopłotu

po obu jego stronach; biała droga zdawała się wznosić i maleć, aż łączyła się z niebem. W najwyższym punkcie przecinał ją pod kątem prostym zielony „grzbiet” – trakt Ickniel, dawna droga rzymska biegnąca przez te strony. Starożytny gościniec ciągnął się milami na wschód i zachód i jeszcze za pamięci żyjącego obecnie pokolenia pędzono tędy stada owiec i bydła na jarmarki i targi. Ale teraz, opuszczony, zarósł murawą.

Chłopiec nigdy dotąd nie odszedł tak daleko na północ od gnieźdzącej się w dolinie wioski, dokąd w pewien ciemny wieczór przed paroma miesiącami przywiózł go woźnica ze stacji kolejowej. Do tej chwili nie podejrzewał nawet, że tak blisko, tuż pod krawędzią znajomego mu, wyżynnego świata, leży ta rozległa, płaska i nizinna kraina. Przed nim, od wschodu na zachód, rozpościerała się półkolem czterdzieści czy pięćdziesiąt mil w głąb rozległa dolina. Powietrze było tam najwyraźniej błękitniejsze i wilgotniejsze niż to, którym oddychał tutaj.

Nieopodal drogi stała zniszczona słotą stara stodoła z czerwonawoszarej cegły, kryta dachówką. Okoliczna ludność zwała ją Brown House. Juda miał już mijać budynek, kiedy spostrzegł drabinę opartą o okap; myśl, że im wyżej wejdzie, tym dalej sięgnie okiem, skłoniła go do postoju i chwili zastanowienia. Na spadzistości dachu dwóch mężczyzn naprawiało dachówkę. Chłopiec skręcił na stary trakt i skierował się ku stodole.

Z pozorną obojętnością przez dłuższy czas przypatrywał się robotnikom, zanim zebrał odwagę i dotarł do nich po drabinie.

– A co tam, chłopcze? Czego ci potrzeba?

– Chciałem się dowiedzieć, gdzie leży miasto Christminster.

– A za tą kępą, na wprost. Christminster stąd nawet widać, przynajmniej w pogodne dni. O! nie! dzisiaj nic nie zobaczysz.

Drugi dekarz, kontent z każdej okazji czyniącej wyłom w monotonii roboty, również obrócił się we wskazaną stronę.

– Niełatwo dostrzec Christminster w taką pogodą jak dzisiaj – dorzucił. – Jeśli czasem miasto widziałem, to w porze, gdy słońce zachodzi w czerwonym blasku. Wygląda wtedy jak... jak sam nie wiem co.

– Jak niebiańska Jerozolima – poddał poważnie smyk.
– A jakże, chociaż nigdy by mi to samemu na myśl nie przyszło...
ale dzisiaj w żaden sposób nie mogę nic dojrzeć.

Chłopiec również wyteżył wzrok, ale i on nie dostrzegł odległego miasta. Zszedł więc z dachu stodoły i ze zmiennością nastroju właściwą jego wiekowi zaniechał myśli o Christminster i ruszył dalej, przyglądając się każdej rzeczy w pobliżu, która mogła wzbudzić zainteresowanie. Gdy mijał stodołę w powrotnej drodze ku Marygreen, zauważył, że drabina nadal stoi na swoim miejscu, chociaż robotnicy skończyli na dzisiaj pracę i odeszli.

Zapadał wieczór. Mgła jeszcze nie opadła, ale przejaśniło się nieco z wyjątkiem wilgotniejszych pasów w rozdołach i wzdłuż rzek. Juda przypomniał sobie Christminster, żałując, że nie udało mu się spojrzeć na to pociągające miasto, o którym tyle słyszał, skoro już uszedł kilka mil od domu w tym właśnie celu. Ale nawet gdyby chwilę poczekał, nie zanosiłoby się, aby zupełne przejaśnienie nastąpiło przed nocą. Jednak zwlekał z odejściem, bo już paręset jardów dalej cały północny obszar zniknął z oczu.

W końcu wszedł po drabinie, aby raz jeszcze rzucić okiem na punkt wskazany przez robotników, i usiadł na najwyższym szczeblu, wystającym ponad dachówkę. Może przez wiele dni nie zdoła dotrzeć tak daleko. Jeśli się pomodli, spełni się może jego życzenie, aby zobaczyć Christminster. Ludzie powiadają, że po modlitwie czasem się otrzymuje upragnione rzeczy, chociaż nie zawsze. Juda wyczytał w jakiejś broszurce, że pewien człowiek, który zaczął budować kościół i zabrakło mu pieniędzy na wykończenie budowy, ukląkł i zaczął się modlić, a pieniądze przyszły następną pocztą. Wprawdzie ktoś inny spróbował tego samego sposobu i pieniądze wcale nie przyszły, ale okazało się później, że spodnie, które miał na sobie wtedy, gdy ukląkł do modlitwy, uszył przewrotny Żydek. To Judy nie zniechęcało; obracając się na drabinie, ukląkł na trzecim szczeblu i wsparty na wyższych, modlił się, aby mgła poszła w górę.

Potem usiadł z powrotem i czekał. W ciągu dziesięciu czy piętnastu minut rzednąca mgła rozproszyła się zupełnie od północy, tak jak to stało się już wcześniej w innych miejscach horyzontu, a mniej więcej na

kwadrans przed zachodem rozdarły się chmury również i w tej stronie, odsłaniając częściowo słońce i smugi jego promieni widoczne między dwoma zwałami ołowianych chmur. Chłopiec zaraz spojrzał w tym samym kierunku co pierwiej.

Gdzieś w granicach panoramy, jaką widział przed sobą, zaśniły cętki światła podobne do topazów. Z każdą chwilą rosła przejrzystość powietrza, aż okazało się, że topazowe plamki to kurki na dachach, okna, wilgotne dachówki i błyszczące punkty na wieżach i kopułach, jak również inne rozmaite, słabo zarysowane kontury. Było to bez wątpienia Christminster; albo rzeczywiste miasto, albo jego miraż w tym osobliwym powietrzu.

Świadek tej sceny patrzył i patrzył, aż z okien i kurków na dachach spęłzył blask, gasnąc prawie nagle jak zdmuchnięta świeca. Widmowe miasto osnuła mgła. Obracając się ku zachodowi, Juda zobaczył, że słońce znikło. Pierwszy plan krajobrazu ogarnęły grobowe ciemności, a bliskie przedmioty przybrały barwy i kształty chimer.

Chłopiec ze strachem zszedł z drabiny i pędem ruszył w stronę domu, usiłując nie myśleć o olbrzymach i myśliwym Hernie[2], o Apollyonie[3] czyhającym na chrześcijan i o kapitanie z krwawiącą dziurą w czole, otoczonym trupami, które noc w noc buntują się od nowa na pokładzie zakłętego statku. Juda dobrze wiedział, że jest już za duży, aby wierzyć w te wszystkie okropności, ale ucieszył go widok wieży kościelnej i światła w oknach chaty, chociaż nie był to jego dom rodzinny i ciotka nie bardzo o niego dbała.

Przez długi, monotony czas Juda przebywał w „sklepie” tej starej kobiety i w pobliżu jego okna wystawowego o dwudziestu czterech małych szybkach oprawnych w ołów. Z biegiem lat szkło zoksydowało się tu i ówdzie, ledwie ukazując tanie groszowe artykuły, część towarów, jakie silny mężczyzna mógłby unieść za jednym zamachem. Ogromnym zasięgiem marzeń Juda przerastał wszakże to mizerne otoczenie.

W północnej stronie, poprzez nieprzeniknioną osłonę zimnych kredowych pagórków, chłopcu jawiło się niezmiennie wspaniałe miasto – wyobrażał je sobie na podobieństwo nowej Jerozolimy, chociaż w porównaniu z autorem Apokalipsy jego wizja była raczej wytworem wyobraźni malarza niż kupca handlującego brylantami. Miasto stało się

dotykalne i rzeczywiste, uzyskało moc nad jego życiem, a to głównie na podstawie jedyne go faktu, że mieszkał w nim człowiek, dla którego wiedzy i celów żywił takie poważanie. A mieszkał wśród istot jeszcze mądrzejszych, o jeszcze świetniejszych umysłach.

W dżdżystą porę, choć wiedział, że i w Christminster musi padać, Juda nie chciał wierzyć, że deszcz jest tam równie przygnębiający jak w Marygreen. Ilekroć mógł odejść na parę godzin z wioski, co nie zdarzało się często, wykradał się do Brown House na wzgórzu i uparcie wyteżał wzrok; czasem wynagradzał go widok kopuły lub wieżyczki kościelnej, kiedy indziej słaby kłęb dymu, który w jego pojęciu miał mistyczne znaczenie kadzidła.

A potem pewnego dnia przyszło mu nagle do głowy, że zobaczy nocne światła miasta, jeśli wdrapie się do swego obserwatorium już po ciemku albo jeśli posunie się o parę mil dalej. Wprawdzie wypadnie wracać do domu samotnie, ale nawet ten wzgląd nie odstraszył go, bo Juda bez wątpienia potrafił się zdobyć na trochę męstwa.

Plan został dokładnie wykonany. Chłopiec dotarł do swego punktu obserwacyjnego dość wcześnie, o zmierzchu, ale mrok pogłębiły czarne chmury na północnym wschodzie gnane wihrem z tamtej strony. I spotkała go nagroda, choć to, co zobaczył, nie było zwartym rzędem latarni, czego nieomal oczekiwał. Nie wyodrębniały się poszczególne światełka, a za to, dzięki aureoli czy świetlistej mgłę, rozpiętej łukiem nad miastem na tle czarnego nieba, i jasność, i miasto zdawały się odległe zaledwie o milę.

Juda zaczął się zastanawiać, w jakim punkcie poświaty znajdować się może nauczyciel, który teraz nikomu w Marygreen nie dawał znaku życia o sobie i jakby dla nich umarł. Chłopcu zdawało się, że widzi Phillotsona spacerującego swobodnie w blasku jak postać z pieca Nabuchodonozora.

Słyszał, że wiatr wieje podobno z szybkością dziesięciu mil na godzinę, i teraz przypomniał sobie o tym. Rozchylił wargi, zwracając twarz ku północnemu wschodowi, i wciągnął powietrze, jakby to był słodki napój.

– Ty, wietrzyku – powiedział pieszczotliwie do wiatru – byłeś w mieście Christminster godzinę czy dwie temu; wiałeś wśród ulic,

obracałeś kurkami na dachach, dotykałeś twarzy pana Phillotsona, a on ciebie wdychał. A teraz jesteś tutaj i ja ciebie wdycham, ciebie – ten sam wiatr.

I nagle coś przyplłynęło z wiatrem, jakieś posłanie stamtąd, jakby od duszy, która tam przebywała. Był to z pewnością dźwięk dzwonów, głos miasta, słaby, lecz melodyjny, a wołający do niego: „Jesteśmy tutaj szczęśliwi!”.

W czasie tego duchowego wypadu Juda zapomniał, gdzie się znajduje, i dopiero przywołał go na ziemię pospolity odgłos. O kilka kroków poniżej szczytu pagórka, gdzie przystanął, ukazał się zaprząg koni, który dotarł tu z głębokiej doliny po półgodzinnej podróży krętym szlakiem. Konie ciągnęły furę węgla; tylko tą drogą dało się przywieźć opał na wyżynę. Obok koni siedł woźnica, jego pomocnik i chłopiec, który właśnie podkładał duży kamień pod jedno koło, aby dać porządnie wypocząć dyszącym zwierzętom; obsługa zaś wyjęła z wozu flaszkę i każdy kolejno z niej pociągał.

Mężczyźni byli niemłodzi i głosy ich brzmiały pocziwie. Juda zwrócił się do nich z zapytaniem, czy jadą z Christminster.

– Niech Bóg broni! – odparli. – Z takim ciężarem!

– Mam na myśli miejscowość ot, tam! – Juda zaczynał miłować Christminster w tak romantyczny sposób, że jak młody kochanek na wzmiankę o kochance wstydził się wymówić powtórnie imię miasta. Wskazał tylko światła na niebie zaledwie widoczne dla oczu tych starych ludzi.

– A tak. Rzeczywiście widniej tam trocha na północnym wschodzie niż gdzie indziej, chociaż sam bym tego nie przyuważył; pewnikiem musi to być Christminster.

W tym momencie książeczka z bajkami, którą Juda trzymał pod pachą, wzięwszy ją z zamiarem czytania po drodze, zanim się ściemni, wysunęła się i spadła na ziemię. Gdy chłopiec podnosił ją i wyglądał kartki, woźnica zmierzył go baczny spojrzeniem.

– Ach! mój kawalerze! – zauważył. – Trza ci będzie lepiej głową ruszać, zanim potrafisz czytać to, co oni tam czytają.

– Czemu? – zapytał chłopiec.

– O! nie dają oni żadnego baczenia na to, co zwykły naród, taki jak

my, może pojąć – ciągnął woźnica po prostu dla zabicia czasu. – Czytają tylko w tych obcych językach, co to ich ludziska używali za czasów wieży Babel, kiedy nie było i dwóch familii, coby gadały jednakowo. Te tam rzeczy oni czytają, a prędko niczym lot puchacza po nocy. Sama nauka tam idzie, nic innego jak nauka, z wyjątkiem religii. Ale i religia to nauka, bom nigdy nie mógł jej zrozumieć. O, tak! pełne stateczności to miejsce. Ale dziewczuchy wystają po nocach na ulicy... Wiesz ty, coś mi się widzi, że proboszczów tam hodują jak rzodkiew na zagonku. I chociaż trzeba na to lat... ile to lat na to trzeba, Bob? – całe pięć lat, aby z młokosa w kapturze z długim chwastem zrobić dostojnego kaznodzieję bez grzesznych chuci, i tego dokażą, a jakże, jeśli tylko się da. A wypoliturują go jak tędzy fachowcy i wypuszczą chłopca z ponurą gębą, w długim czarnym surducie i czarnej kamizelce, w księżowskim kołnierzyku i kapeluszu, takuteńkich jak w Piśmie świętym nosili, tak że czasami i rodzona matka go nie pozna. Do nich taka robota należy, akuratnie do nich.

– Ale skąd pan wie, że...

– Tylko nie przerywaj, chłopcze. Nigdy starszym nie przerywaj. Skręć końmi w bok, Bobby, ktoś nadjeżdża... Ja przecie, uważasz, opowiadam, jak to żyją na uniwersytecie. Po pańsku im się tam żyje, nie da się zaprzeczyć, chociaż ja tam nie mam ich w wielkim uważaniu. Tak jak my, z naszym ciałem i kośćmi, stoimy wysoko na tym tu pagórku, tak oni wysoko się noszą umysłem; szlachetni to mężowie, nie ma co, przynajmniej niektórzy, setki mogą zarobić, myśląc na głos. A inni to znowu młode chłopcy na schwał, co mogą tyle samo zarobić, zdobywając srebrne puchary. A jeśli chodzi o muzykę, wszędzie w Christminster słyszy się piękną muzykę. Możesz być nabożny albo nie, ale nie powstrzymasz się, żeby po swojemu nie śpiewać razem z innymi. A w środku miasta jest ulica, główna ulica, drugiej takiej nie ma na całym świecie. Wiem ja niejedno o Christminster, to pewne!

Przez ten czas konie wytchnęły i znowu nałożono im chomąta. Juda rzucił ostatnie pełne uwielbienia spojrzenie aureoli w oddali i ruszył obok nowego znajomego o tak wyjątkowo rozległych wiadomościach; nie miał on nic przeciwko temu, aby po drodze opowiedzieć chłopcu jeszcze więcej szczegółów o mieście, o jego wieżach, budynkach

uniwersyteckich i kościołach. Ale fura skręcała na skrzyżowaniu, więc Juda gorąco podziękował woźnicy za informacje, mówiąc mu, że chciałby umieć chociaż w połowie tak pięknie opowiadać o Christminster.

– O, to tylko to, co mi wpadło w uszy – powiedział skromnie woźnica. – Nigdy tam nie byłem, jak i ty, ale połapało się trochę wiadomości tu i ówdzie i niech ci pójdzie na zdrowie. Gdy się tak jak ja jeździ po świecie i zadaje z różnymi ludźmi, nie sposób nie posłyszeć o różnych różnościach. Miałem znajomka, który za młodu czyścił buty w zajeździe Croziera w Christminster, a później, gdy już był w latach, żyłem z nim jak z rodzonym bratem.

Juda szedł dalej sam w stronę domu, pogrążony w tak głębokiej zadumie, że nawet zapomniał o strachu. Tak jakby nagle dorósł. Tęsknił do jakiegoś oparcia, do przedmiotu miłości, tęsknił do miejsca, które mógłby zwać cudownym. Czy takim miejscem stanie się Christminster, jeśli tam dotrze? Czy okaże się ono zakątkiem, gdzie wolny od lęku przed farmerami, przed trudnościami czy śmiesznością, będzie mógł czuwać i czekać, i przedsięwziąć coś wielkiego jak żyjący w dawnych czasach mężowie, o których słyszał? Czym przed kwadransem była dla jego oczu aureola nad miastem, tym miejsce to stało się dla umysłu, gdy biegł drogą w ciemnościach.

– To miasto światłości – mówił sobie. – Rośnie tam drzewo wiedzy – dodał parę kroków dalej. – To miejsce, skąd pochodzą i dokąd się udają nasi nauczyciele. – To tak jakby twierdza, siedziba wiedzy i religii.

Po tym porównaniu milczał przez dłuższą chwilę, a wreszcie dorzucił:

– Pasowałyby mi tam mieszkać.

IV

W pewnych fazach tego dumania chłopiec wydawał się sędziwym mężem, a w innych – młodszym, niż był w istocie, a szedł tak wolno,

zatopiony w myślach, że dogonił go lekkim krokiem jakiś pieszy podróżny. Mimo ciemności Juda zauważył, że ma on na sobie wyjątkowej wysokości cylinder i zakiet o długich połach, a łańcuszek od zegarka wykonywał mu na brzuchu szaleńcze podskoki, rozsiewając naokoło jasne iskierki, w miarę jak jego właściciel sunął w bezszelestnym obuwiu na cienkich nogach. Judzie samotność zaczynała już dokuczać, więc usiłował nie zostawać w tyle.

– O co chodzi, kawalerze? Mnie się śpieszy, więc musisz tego przebierać nogami, żeby mi dotrzymać kroku. Czy wiesz, kto ja jestem?

– Owszem, tak. Pan doktor Vilbert, prawda?

– Ach! widzę, że jestem powszechnie znany! Co to znaczy być publicznym dobroczyńcą!

Vilbert był wędrownym znachorem, dobrze znanym ludności wioskowej, a kompletnie nieznanym komukolwiek innemu, na czym mu specjalnie zależało, aby uniknąć kłopotliwych dla siebie indagacji. Jedynymi jego pacjentami byli wieśniacy, i tylko wśród nich cieszył się sławą na terenie Wesseksu. Pozycja Vilberta była skromniejsza, a pole działania mniej efektowne niż w wypadku znachorów rozporządzających kapitałem i zorganizowanym systemem reklamy. W rzeczy samej był on przeżytkiem. Pieszko przemierzał olbrzymie przestrzenie wzdłuż i wszerz całego prawie Wesseksu. Juda widział kiedyś, jak Vilbert sprzedawał słoik zabarwionego smalcu jakiejś starej kobiecie jako niezawodne lekarstwo na chorą nogę; kobieta zobowiązała się spłacać gwineę należną za cenną maść w dwutygodniowych ratach po jednym szylingu. Według konsyliarza maść można było otrzymać jedynie z tłuszczu pewnego zwierzęcia pasącego się na górze Synaj, którego schwytanie może być niebezpieczne dla życia i zdrowia. Chociaż Juda powątpiewał już nieco w skuteczność leków tego osobnika, uważał go niezaprzeczenie za człowieka bywałego w świecie i za godne zaufania źródło informacji w sprawach niekoniecznie ściśle zawodowych.

– Pan pewnie był w Christminster, doktorze?

– Ma się rozumieć... i to nieraz – odparł długi chudzielec. – Tam również czasem się zatrzymuję.

– Cudowne miasto, jeśli chodzi o naukę i religię, prawda?

– Nie inaczej, chłopcze. Jakże, przecież nawet synowie starych

kobiet, które piorą dla kolegów, umieją po łacinie – trzeba przyznać krytycznie, że nie jest to dobra łacina, lecz jakaś kuchenna czy aptekarska, jak to się mówiło za moich studenckich czasów.

– A greka?

– No, to już coś dla ludzi, którzy przygotowują się do kariery biskupa, aby umożliwić im lekturę Nowego Testamentu w oryginale.

– Chciałbym się uczyć łaciny i greki.

– Piękny zamiar. Musisz postarać się o gramatykę każdego z tych języków.

– Zamierzam kiedyś pojechać do Christminster.

– Gdziekolwiek się znajdziesz, masz ludziom mówić, że jedynie doktor Vilbert posiada sekret słynnych pigułek, które niezawodnie leczą wszelkie zaburzenia przewodzenia pokarmowego, a także astmę i krótki oddech. Pudełko za dwa szylingi i trzy pensy, opatrzone specjalnym patentem i rządowym nadrukiem.

– A czy wystara się pan dla mnie o te podręczniki gramatyki, jeśli obiecuję, że będę rozpowiadać ludziom o pigułkach?

– Z przyjemnością sprzedam ci moje własne podręczniki, te, z których uczyłem się jako student.

– O, dziękuję panu! – zawołał Juda z wdzięcznością, lecz zadyszany, bo niezwykle rączy chód konsyliarza zmuszał go do biegu truchcikiem, aż go kłuło w boku.

– Zostań lepiej, kawalerze, w tyle. Powiem ci tylko, co zrobimy. Dostarczę ci te podręczniki gramatyki i dam ci jedną lekcję, jeśli nie zapomnisz polecać w każdym domu we wsi złotą maść, krople na długowieczność i pigułki dla niewiast doktora Vilberta.

– Ale gdzie pan przyjdzie z tymi podręcznikami?

– Będę przechodził tędy znowu od dziś za dwa tygodnie, dokładnie o tej samej godzinie, to znaczy dwadzieścia pięć minut po siódmej. Mój obchód rejonu jest tak regularny jak ruch planet po ich orbitach.

– Spotkam się z panem tutaj – powiedział Juda.

– Z zamówieniami na moje lekarstwa?

– Tak jest.

Wtedy dopiero Juda zwolnił kroku, odczekał parę minut dla złapania tchu i powędrował do domu z poczuciem, że uczynił już pewien

krok w kierunku Christminster.

W ciągu następnych dwóch tygodni chłopiec poruszał się i uśmiechał widzialnym uśmiechem do niewidzialnych myśli jak do spotkanych znajomych witających go skinieniem głowy. Uśmiech ten cechowała osobliwie piękna promiennosc, która pojawia się na twarzach młodych pod wpływem jakiejś wspaniałej myśli, na podobieństwo nadprzyrodzonej lampy trzymanej wewnątrz ich przejrzystej powłoki, co nasuwa pochlebne przypuszczenie, że w tej chwili znajdują się w niebie.

Obietnicę daną lekarzowi wszelkich chorób Juda spełniał uczciwie, bo szczerze w niego teraz wierzył; przebiegał całe mile wśród okolicznych wiosek jako agent doktora, zapowiadając jego przyjście. W wyznaczony wieczór tkwił bez ruchu na wyżynie, czekając na Vilberta w tym samym miejscu, gdzie się z nim rozstał. Wędrowny lekarz zjawił się punktualnie, ale ku zdziwieniu Judy, gdy chłopiec zrównał swój krok z krokiem znachora, który nie zmniejszył na jotę szybkości, ten ostatni zdawał się ledwie poznawać swego młodego towarzysza, chociaż po upływie tych dwóch tygodni wieczorami bywało już widniej. Juda przypisał to okoliczności, że miał inny kapelusz, i wobec tego ukłonił się nim uroczyście.

– A co tam, chłopcze? – powiedział doktor wyraźnie roztargniony.

– Przyszedłem – odparł chłopiec.

– Przyszedłeś? Któż ty jesteś? A... prawda! Masz jakieś zamówienia?

– Tak.

I Juda podał mu nazwiska i adresy wieśniaków, którzy chcieli wypróbować zalety pigulek i maści o światowej sławie. Znachor pieczołowicie zanotował je sobie w pamięci.

– A podręczniki gramatyki łacińskiej i greckiej? – Głos Judy drżał z niepokoju.

– Co takiego?

– Pan miał mi przynieść swoje podręczniki, te, z których pan się uczył do dyplomu.

– A, tak, tak! zupełnie mi to wyleciało z pamięci, zupełnie.

Widzisz, mój chłopcze, jestem odpowiedzialny za życie tylu osób, że nie sposób mi poświęcać innym sprawom tyle uwagi, ile bym chciał.

Juda opanowywał się dość długo, czekając na ostateczną prawdę, ale teraz powtórzył zrozpaczonym głosem:

– Nie przyniósł ich pan!

– Nie przyniosłem. Ale jak zdobędziesz dla mnie więcej zamówień od chorych, przyniosę ci te podręczniki następnym razem.

Juda zwolnił kroku i został w tyle. Nie był chłopcem przemądrzałym, ale dar nagłej wnikliwości, który czasem spływa na małuczkich, pozwolił mu od razu przejrzeć, z jakiej to nędznej ludzkiej gliny był ulepiony znachor. Z tego źródła nie wytryśnie światło dla umysłu. Z wawrzynowego wieńca stworzonego przez wyobraźnię poczęły opadać liście. Chłopiec przystanął obok jakiejś furtki, oparł się o nią i gorzko zapłakał.

Po rozczarowaniu nastąpiła chwila otępienia. Może uda się dostać podręczniki z Alfredston, ale na to musiałyby mieć pieniądze i wiedzieć dokładnie, jakie książki zamówić, a przecież, chociaż nie był głodny i miał w co się odziać, nie rozporządzał złamanym groszem na swoje wydatki.

W tym czasie pan Phillotson przysłał po swoje pianino i to nasunęło chłopcu pewien pomysł. A gdyby napisać do nauczyciela z prośbą o łaskawe wystaranie się dla niego o podręczniki w Christminster? List wsunięty do skrzyni z instrumentem dojdzie na pewno do właściwego adresata. A gdyby poprosić o przysłanie jakichkolwiek używanych książek owianych urokiem rzeczy dojrzałych w atmosferze uniwersyteckiej?

Wspomnieć o tym zamiśle ciotce znaczyło skazać go na zagładę. Trzeba więc działać na własną rękę.

Po dalszych, parodniowych rozważaniach przystąpił do dzieła i w dniu wysyłki pianina – wypadło to akurat w jego urodziny – potajemnie umieścił w skrzyni list z adresem wielce uwielbianego przyjaciela, ciągle w strachu, że ciotka Drusilla, zauważywszy te poczynania, odgadnie jego zamiary i wymusi na nim ich poniechanie.

Pianino wysłano, a Juda czekał przez długie dni i tygodnie, co rano wstępując do wioskowego urzędu pocztowego, zanim jeszcze ciotka zaczęła się krzątać po domu. Wreszcie przesyłka rzeczywiście nadeszła i z jej wyglądu chłopiec odgadł, że zawiera dwie cienkie książki. Zabrał

paczkę w odludne miejsce i siadł na pniu zrąbanego wiązu, aby ją rozpakować.

Od chwili pierwszej ekstazy czy wizji Christminster i usłyszenia o możliwościach, jakie ono otwierało, Juda nieraz medytował z zaciekawieniem nad ewentualnym procesem, jaki zachodzi przy zamianie wyrażen jednego języka na wyrażenia innego. Doszedł do wniosku, że gramatyka mowy, którą chce się poznać, będzie przede wszystkim zawierać regułę, receptę czy klucz o charakterze sekretnego szyfru, a jego znajomość pozwoli na dowolną zamianę każdego słowa w ojczystym języku na wyraz obcego języka przez proste zastosowanie. Jego dziecięca wyobraźnia doprowadzała do krańcowej, matematycznej precyzji to, co jest powszechnie znane pod mianem prawa Grimma, zaokrąglając ogólnikowe reguły w doskonałą całość. Przyjął tedy za pewnik, że ten, kto posiadał sztukę stosowania tych reguł, zawsze znajdzie słowa potrzebnego języka utajone w słowach własnej mowy; tej sztuki zaś uczą owe podręczniki.

A więc, gdy zobaczył na paczce stempel pocztowy z Christminster i po przecięciu sznurka i otworzeniu tomików zabrał się do gramatyki łacińskiej, która przypadkowo znalazła się na wierzchu – ledwie mógł uwierzyć własnym oczom.

Książka była stara – musiała liczyć ze trzydzieści lat – zbrudzona, bezmyślnie pomazana obcymi nazwiskami, jakby z nienawiści do druku, i tu i ówdzie poznaczona datami sprzed dwudziestu lat. Nie to jednak stanowiło przyczynę zdumienia chłopca. Juda dowiedział się dopiero teraz, że nie ma prawa rządzącego przemianami słów, jak to w swojej naiwności przypuszczał (w pewnej mierze zresztą istniało, ale autor gramatyki wcale tego nie uwzględnił); natomiast należy zapamiętać każde słowo łacińskie czy greckie z osobna w ciągu całych lat kucia.

Juda rzucił książki na ziemię, położył się na plecach na szerokim pniu wiązu i przez kwadrans oddawał się głębokiej rozpacz. Według swego zwyczaju nasunął na twarz kapelusz i obserwował słońce, które podstępnie spozierało na niego przez szpary w słomie. A więc to była łacina i greka, a więc tak wygląda naprawdę ta ułuda! Zamiast przyjemności natknął się na trud podobny do trudów Izraela w Egipcie.

Cóż to za tęgie mózgi muszą mieć tam, w Christminster, w tych

wielkich szkołach – myślał teraz Juda – aby uczyć się słów jednego po drugim, aż do dziesiątków tysięcy! Jego własny mózg nie nadawał się do takiej roboty. I podczas gdy promyczki słońca nieustannym strumieniem sączyły się poprzez kapelusz, chłopiec zapragnął już nigdy w życiu nie oglądać żadnej książki i pożałował, że w ogóle na książkę spojrzął i że się urodził.

Gdyby ktoś wtedy przechodził mimo i poznał powód zmartwienia chłopca, byłby go może pocieszył, stwierdzając, że jego pojęcia są bardziej postępowe niż poglądy autora gramatyki. Ale nikt nie nadszedł, jak to zwykle bywa w takich razach, i Juda, zmiażdżony odkryciem swej gigantycznej pomyłki, nadal pragnął zniknąć z tego świata.

V

Przez następne trzy czy cztery lata na wioskowych uliczkach i bocznych drogach w pobliżu Marygreen można było spotkać dziwaczny i osobliwy wehikuł, powożony również w sposób dziwaczny i osobliwy.

W jakiś czas po otrzymaniu książek Juda zobojętniał na nędzny figiel spleatany mu przez martwe języki. Ale ostatecznie rozczarowanie, jakiego doznał co do ich natury, stało się po pewnym czasie przyczyną dalszej gloryfikacji uczoności panującej w Christminster. Opanowanie języków, martwych czy żywych, na przekór ich przyrodzonej oporności, o której już wiedział, stanowiło herkulesowy wyczyn, który stopniowo obudził w nim większe zainteresowanie niż oczekiwany mechaniczny proces. Równy górom ciężar materiału przytłaczający myśli zamknięte w zakurzonych tomach zwanych klasykami podniecił go do upartego, cierpliwego dźwigania go po trochu.

Juda postarał się, aby jego obecność jak najmniej obciążała starą, zgorzkniałą ciotkę, pomagając jej w miarę możliwości, i w rezultacie interesy małej wioskowej piekarni znacznie się rozwinęły. Za osiem funtów nabyto na licytacji starego konia z wiecznie spuszczonego łbem,

a jeszcze za parę funtów – skrzypiący wózek opatrzony ni to białą, ni brunatną budą. W tym układzie rzeczy na Judę spadł obowiązek rozwożenia trzy razy na tydzień bochenków chleba mieszkańcom wsi i odludnych chat w okolicy Marygreen.

Niezwykły był ostatecznie nie tyle sam środek lokomocji, co sposób, w jaki Juda kierował nim na swym szlaku. Wnętrze wózka stanowiło bowiem miejsce edukacji, jaką chłopiec pobierał drogą „prywatnej nauki”. Gdy tylko koń poznał trasę i domy, gdzie miał się zatrzymać, chłopiec, usadowiony na froncie, przerzucał lejce przez ramię, otwartą książkę wyznaczoną na ten dzień przytwierdzał przemyślnym sposobem za pomocą rzemyka uwiązanego do budy, na kolanach rozkładał słownik i zagłębiał się kolejno w łatwiejsze ustępy Cezara, Wergilego czy Horacego. Pracował tak na oślep, z przeszkodami i z nakładem pracy, który by wycisnął łzy z oczu pedagogów o miękkim sercu; jakoś jednak docierał do sensu tego, co czytał, raczej odgadując niż opanowując ducha oryginału, bo czasem zdawało mu się, że zawiera on coś innego niż to, czego polecono szukać.

Jedynym wydaniem, na jakie mógł sobie pozwolić, była stara seria Delfina, tania – bo już przestarzała. Książki te, nieodpowiednie dla leniwych uczniów, były wszakże względnie dobre dla Judy. Mimo przeszkód samotny wędrownik pilnie studiował uwagi marginesowe, posługując się nimi głównie w zagadnieniach składni, tak jakby korzystał z pomocy kolegi czy preceptora, którego akurat miałby pod ręką. I chociaż nie czekały go wielkie szanse zostania uczonym za pomocą tych dostępnych mu, niedoskonałych środków, wstępował jednak na drogę swoich pragnień.

Gdy tak ślęczał nad starymi kartami, które dawniej przerzucały inne ręce, spoczywające już może teraz w grobie, dokopując się do myśli tych mózgów tak odległych, a jednak tak bliskich, koścista stara szkapa posuwała się zwykłą trasą, a chłopca znad lamentu Dydony budził postój wózka i głos jakiejś starej baby krzyczącej: „Dzisiaj dwa bochenki, piekarzu, a czerstwy chleb oddaję z powrotem”.

Często mijał na drodze pieszych i innych podróżnych, wcale ich nie widząc, i z czasem zaczęto w okolicy rozprawiać o sposobach, w jakie Juda łączy pracę z zabawą (jego lekturę poczytywano bowiem za

rozrywkę), co, jakkolwiek może wygodne dla niego, bynajmniej nie zapewniało bezpieczeństwa osobom podróżującym po tym samym szlaku. Ludzie zaczęli szemrać. Następnie ktoś z sąsiedniej wioski zawiadomił miejscowego policjanta, że chłopakowi z piekarni należałoby zabronić czytania przy powożeniu koniem, a nawet nalegał, by policja przyłapała go na gorącym uczynku, doprowadziła do sądu w Alfredston i obłożyła grzywną za ów niebezpieczny proceder na gościńcu. W rezultacie policjant zaczął się na Judę i pewnego dnia zatrzymał go i ostrzegł.

Juda musiał wstawać o trzeciej rano, żeby rozpaść w piecu chlebowym, wymieszać ciasto i włożyć do pieca bochenki, które rozwoził potem w ciągu dnia, i dlatego kładł się spać wieczorem natychmiast po myciu. A więc jeśli by nie czytał swoich klasyków po drodze, w ogóle musiałby zrezygnować z nauki. Pozostawało mu jedynie pilnie się rozglądać – o ile to było możliwe w tych okolicznościach – i zaraz chować książki, gdy ktoś, zwłaszcza policjant, zamajaczył w oddali. Aby oddać sprawiedliwość temu ostatniemu, nie wchodził on zbyt w drogę chłopcu i jego wózkowi z pieczywem, bo uważał, że w tej odludnej okolicy na niebezpieczeństwo narażony był przede wszystkim sam piekarczyk. Spostrzegając więc ponad żywopłotem białą budę wózka, często kierował się w inną stronę.

Pewnego dnia, kiedy Fawley, wtedy już szesnastoletni i dość zaawansowany w studiach, przedzierał się przez *Carmen saeculare*[4], w powrotnej drodze do domu znalazł się na wysokim grzbiecie wyżyny obok Brown House. Zmieniło się oświetlenie i to go oderwało od książki. Słońce chyliło się ku zachodowi, a jednocześnie z przeciwnej strony, nad lasami, wschodził księżyc w pełni. Judę tak pochłonęły wiersze, że pod impulsem tego samego wzruszenia, jakie przed laty kazało mu uklęknąć na drabinie, zatrzymał konia, wysiadł i obejrzawszy się naokoło, czy nikogo nie widać, ukląkł na przydrożnej skarpie z otwartą książką w ręce. Najpierw spojrzał na świetlistą boginię, która zdawała się patrzeć z łagodną krytyką na jego poczynania, a potem na źródło światła, zanikające z drugiej strony, i zaczął:

Phebe silvarumque potens Diana![5]

Koń stał bez ruchu aż do końca hymnu, który Juda powtarzał pod

wpływem politeistycznej fantazji, jakiej by mu nawet do głowy nie przyszło folgować w biały dzień.

Później, w domu, rozważał zabobonną wiarę, wrodzoną czy nabytą, która go do tego skłoniła, dziwne zapamiętanie i brak zdrowego rozsądku u człowieka pragnącego zostać albo uczonym, albo chrześcijańskim duchownym. Wszystkiemu zawiniła lektura wyłącznie pogańskich utworów. Im więcej o tym myślał, tym mocniejszego nabierał przekonania o sprzecznościach we własnej naturze. Zaczął się zastanawiać, czy nie mógłby zdobyć książek rzeczywiście odpowiednich dla celu życiowego, jaki sobie obrał. Z pewnością niewielki związek miała ta pogańska literatura ze średniowiecznymi kolegami w Christminster, gdzie romantyczne dzieje Kościoła zaklęte były w kamień.

Ostatecznie zdecydował, że poddał się wzruszeniom nieodpowiednim dla młodego chrześcijanina z czystego umiłowania książek. Przerabiał trochę Homera, ale nigdy nie poświęcił wiele czasu Nowemu Testamentowi po grecku, choć sprowadził tę książkę od handlarza używanymi książkami. Porzucił więc dialekt joński, z którym był już obznajmiony, dla nowego języka i od tej chwili przez dłuższy czas ograniczył lekturę prawie wyłącznie do Ewangelii i Listów Apostolskich według tekstu Griesbacha. Ponadto, gdy pewnego dnia poszedł do Alfredston, zapoznał się z literaturą patrystyczną, znalazłszy u księgarza parę tomów Ojców Kościoła, które zostawił tu jakiś niewypłacalny duchowny z okolicy.

Jeszcze jednym skutkiem zmiany w ustalonej rutynie stało się zwiedzanie w każdą niedzielę wszystkich kościołów, które mijał w czasie pieszego spaceru; Juda odcyfrowywał tam łacińskie napisy na piętnastowiecznych tablicach i nagrobkach. W czasie jednej takiej pielgrzymki spotkał starą garbatą kobietę, niezwykle inteligentną, która czytała wszystko, co jej wpadło w ręce; opowiedziała mu ona jeszcze więcej o romantycznych urokach miasta światłości i wiedzy. I jeszcze mocniej niż dawniej postanowił tam się dostać.

Ale jak się utrzymać w mieście? W tej chwili nie miał żadnych dochodów. Nie zajmował się żadnym przyzwoitym i stałym rzemiosłem, nie miał zawodu zapewniającego mu środki utrzymania w czasie

studiów, które mogą rozciągnąć się na wiele lat.

Czego ludzie najbardziej potrzebują? Pożywienia, odzieży i schronienia. Zarobki uzyskane z jakiegokolwiek pracy przy przyrządzaniu jedzenia byłyby zbyt znikome; do sporządzania odzieży czuł niechęć; natomiast skłonny był zająć się trzecią kategorią. W mieście ludzie budują, a więc i on nauczył się budować. Przypomniawszy sobie o nieznanym wuju, ojcu kuzynki Zuzanny, który rzeźbił w metalu ozdoby kościelne, a właśnie wszelkie prace mające związek ze sztuką średniowieczną bardzo go pociągały. Nie obierze złej drogi, wstępując w ślady wuja i zajmując się tymczasowo powłoką mieszczańską dusze uczonych.

Na wstępie wystarał się o parę małych bloków piaskowca – metal był nieosiągalny – i odkładając na pewien czas studia, wypełnił wolne chwile odtwarzaniem głowic i kapiteli z parafialnego kościoła.

W Alfredston mieszkał pewien skromny kamieniarz i gdy Juda znalazł zastępstwo do małego ciotczyńczego przedsiębiorstwa, ofiarował temu człowiekowi swoje usługi za groszową pensję. U niego miał możliwość wyuczenia się podstaw obróbki kamienia. Po jakimś czasie przeniósł się do architekta, specjalisty od budowy kościołów w tym samym mieście, i pod jego kierunkiem wprawił się w odnawianie zniszczonych ozdób kamiennych w kilku okolicznych wiejskich kościołach.

Nie zapomniał, że rzemiosło to stanowi podstawę utrzymania jedynie w trakcie przygotowywania się do zakrojonych szerzej poczynań, do których, jak sobie pochlebiał, lepiej się nadaje; niemniej pochłaniało go ono. Juda mieszkał teraz przez cały tydzień w miasteczku, a do Marygreen wracał co sobotę wieczorem. I tak skończył i przekroczył dziewiętnasty rok życia.

VI

W ten pamiętny dla siebie dzień – była to sobota – Juda wracał

z Alfredston do Marygreen około trzeciej po południu. Pora była piękna i ciepła, po letniemu łagodna.

Wędrował z narzędziami na plecach i małe dłutka dźwięczały cichutko w koszyku, uderzając o większe. Przy sobocie skończył pracę wcześniej i wyszedł z miasta okólną drogą, którą nigdy nie chodził, obiecawszy ciotce wstąpić do młyna niedaleko Cresscombe, aby coś tam dla niej załatwić.

Juda był pełen entuzjazmu. Tak jakby widział już przed sobą drogę, która w ciągu paru lat doprowadzi go do wygodnego zainstalowania się w Christminster, a także siebie samego pukającego do bram jednej z warowni nauki, przedmiotu tylu jego marzeń. Mógłby, oczywiście, udać się tam już zaraz w tej czy innej funkcji, ale wolał wkroczyć do Christminster z nieco większą niż obecnie pewnością siebie w zakresie zarobkowania. Przenikało go ciepłe uczucie zadowolenia, gdy rozważał swoje dotychczasowe osiągnięcia. Od czasu do czasu obracał się, aby rzucić okiem na krajobraz po obu stronach. Ale właściwie ledwie go dostrzegał; ruch ten stanowił automatyczne powtórzenie tego, co zwykł był czynić w swobodniejszych chwilach, bo teraz jedyną sprawą, która zajmowała go istotnie, była ocena dotychczasowych postępów.

„Osiągnąłem normalną dla przeciętnego studenta wprawę w czytaniu znanych klasyków, zwłaszcza łacińskich”.

Tak było rzeczywiście; Juda swobodnie władał łaciną, co pozwalało mu bez najmniejszego trudu umilać samotne wędrowki imaginacyjnymi rozmowami w tym języku.

„Przeczytałem trzy pieśni *Iliady*, a ponadto poznałem dość dokładnie takie ustępy, jak mowa Feniksa w pieśni dziewiątej, pojedynek Hektora i Ajaksa w czternastej, ukazanie się nieuzbrojonego Achillesa i opis jego cudownej zbroi w osiemnastej, a także opis igrzysk pogrzebowych w pieśni dwudziestej trzeciej. Przerobiłem również i trochę Hezjoda, troszeczkę Tucydidesa i sporo Starego Testamentu... Ale mimo wszystko wolałbym, aby istniał na świecie tylko jeden język.

Przerobiłem także cośkolwiek z matematyki, pierwsze sześć oraz jedenastą i dwunastą księgę Euklidesa. A algebrę w zakresie równań kwadratowych.

Znam co nieco z pism Ojców Kościoła i trochę historii Rzymu i Anglii.

To wszystko stanowi jedynie początek. Ale tutaj nie uda mi się pójść dalej naprzód wobec trudności w zdobywaniu książek. I dlatego trzeba skoncentrować całą energię na przeniesienie się do Christminster. Gdy już raz będę w mieście, zrobię takie postępy przy dostępnej tam pomocy, że obecna wiedza wyda mi się dzieciennym nieuctwem. Muszę zaoszczędzić pieniądze i zaoszczędzę. Otworzą się przede mną bramy któregoś z kolegów, choćbym miał na to czekać dwadzieścia lat, i przywitają tam wtedy przychylnie tego, kogo w tej chwili odprawiliby z pogardą.

I zanim się sam spostrzegę, zostanę doktorem teologii”.

A potem snuł dalsze marzenia; przecież może zostać nawet biskupem, jeśli będzie prowadził czyste, zdyscyplinowane, wstrzemięźliwe życie chrześcijańskie. A jakim to przykładem będzie ludziom świecił! Jeśli jego dochód wyniesie 5000 funtów rocznie, 4500 funtów odda na różne cele, sam zaś żyć będzie dostatnio (jak na siebie) z reszty. Ale po namyśle rojenia o biskupstwie uznał za szalone. Trzeba poprzestać na godności dziekana. Na stanowisku dziekana można pewnie być tak samo świątobliwym, uczonym i pożytecznym jak na stanowisku biskupa. Biskupstwo jednak nie schodziło mu z myśli.

„Gdy tylko zamieszkać w Christminster, zabiorę się do czytania książek, których tutaj nie mogłem dostać, a więc: Liwiusz, Tacyt, Herodot, Ajschylos, Sofokles, Arystofanes...”

– Cha! Cha! Cha! Tere-fere kuku!

Dźwięki te wydały jakieś cienkie głosy z drugiej strony żywopłotu, ale Juda nie zwrócił na nie uwagi i dalej snuł swoje myśli:

„...Eurypides, Platon, Arystoteles, Lukrecjusz, Epiktet, Seneka, Antoniusz. A potem muszę opanować inne dziedziny: szczegółowo Ojców Kościoła. Będę i historię Kościoła w ogólnym zarysie, odrobinę hebrajskiego – jak do tej pory, znam tylko litery...”

– Tere-fere kuku!

„... ale umiem przyłożyć się do pracy, mam dosyć wytrwałości, dzięki Bogu, a to właśnie jest decydujące... Tak, Christminster stanie się moją Alma Mater, a ja – jej ukochanym synem, któremu będzie rada”.

W głębokim skupieniu nad przyszłymi poczynaniami Juda zwolnił kroku i w końcu stanął bez ruchu, wpatrzony w ziemię, jakby tam właśnie latarnia magiczna rzucała obraz przyszłości. Nagle uczył silne uderzenie w ucho i uświadomił sobie, że ciśnięto w niego jakąś miękką i chłodną substancją, która teraz spadła mu pod nogi.

Jedno spojrzenie wyjaśniło naturę tej rzeczy: był to kawałek mięsa, charakterystyczna część wieprzka używana przez chłopów do smarowania butów, jako że nie nadawała się do innego celu. Trzody chlewnej nie brakowało w okolicy, bo wieprzki hodowano i tuczono na wielką skalę w niektórych częściach północnego Wesseksu.

Po drugiej stronie żywoplotu płynął strumień i stamtąd, jak to sobie dopiero teraz uświadomił, doszedł go szmer głosów i śmiechu, wnikając w jego marzenia. Wszedł na nasyp i zajrzał przez płot. Po drugiej stronie strumienia stała niewielka zagroda z warzywnikiem i chlewkami obok, a przed chatą, nad wodą, klęczały trzy młode kobiety z wiadrami i miskami pełnymi wieprzowych kiszek, które myły w strumieniu. Kilka par oczu zerknęło chytrze na Judę, a widząc, że wreszcie przyciągnęły jego uwagę, dziewczęta poddały się obserwacji, stanowczo zaciskając usta i pilnie powracając do płukania.

– Dziękuję! – rzekł Juda surowo.

– Przecież to nie ja rzuciłam, mówię ci! – zapewniała jedna z dziewczyn swoją sąsiadkę, jakby nieświadoma obecności młodego mężczyzny.

– Ani ja! – odpowiedziała tamta.

– Ach! Anny, jak możesz! – powiedziała trzecia.

– Gdybym miała czymś rzucać, to na pewno nie tym!

– Phi! Alboż on mnie obchodzi! – wszystkie trzy zaśmiały się i robiły nadal swoje, nie podnosząc oczu i ostentacyjnie oskarżając jedna drugą.

Judę ogarnął szyderczy nastrój, gdy obcierając twarz, słyszał te uwagi.

– No tak, tyś tego nie zrobiła! – powiedział do tej, która siedziała najdalej z całej trójki.

Była to przystojna ciemnooka dziewczyna, wprawdzie nie tyle ładna, co mogąca uchodzić za ładną z pewnej odległości, pomimo mało

delikatnej cery i rysów. Miała okrągłe, sterczące piersi, pełne usta, wspaniałe zęby i ciepły koloryt skóry przypominający barwę jajka kury kochinchinki. Stworzenie to było jedynie i wyłącznie samicą – niczym więcej i niczym mniej; Juda był prawie pewien, że jej należy przypisać wyczyn oderwania jego uwagi od marzeń o piśmiennictwie humanistycznym do tego, co wrzało w tych kobiecych głowach.

– Nigdy się tego nie dowiesz – rzekła żywo.

– Ktokolwiek bądź to zrobił, przyniósł szkodę cudzej własności.

– O, to głupstwo.

– Chciałaś pewnie ze mną porozmawiać?

– Owszem, jeśli ty masz ochotę.

– Czy mam przedostać się do ciebie przez płot, czy ty przyjdiesz do kładki?

Dziewczyna widocznie spostrzegła korzystną okazję, w każdym razie na te słowa jej ciemne oczy spotkały jego spojrzenie i nastąpił przelotny błysk porozumienia, niema zapowiedź zbliżenia in posse[6], ale, przynajmniej ze strony Judy Fawleya, nie było w tym wcale premedytacji. Dziewczyna spostrzegła, że właśnie ją wyróżnił spośród trójki, tak jak kobieta zawsze bywa wybierana w podobnych wypadkach, bez wyrozumowanego celu i myśli o dalszej znajomości, po prostu za sprawą jednoczesnego, imperatywnego nakazu odbieranego przez nieszczęsnych mężczyzn w momencie, kiedy zaprzątanie sobie głowy kobietami jest na ostatnim miejscu w ich planach.

Zrywając się z klęczek, dziewczyna zawołała:

– Proszę odnieść to, co tam leży.

Juda wiedział teraz, że powód zaczepki nie miał nic wspólnego z interesem jej ojca. Postawił koszyk z narzędziami, podniósł z ziemi ochłap, kijem rozgarnął gałęzie i przeszedł przez płot. Szli teraz równolegle do siebie wzdłuż obu brzegów strumienia, kierując się ku małej kładce. Gdy dziewczyna zbliżała się do niej, zręcznym ruchem, niedostrzeżonym przez Judę, kolejno wessała do wewnątrz każdy swój policzek i tym osobliwym i oryginalnym manewrem, jak magiczną sztuką, wywołała na gładką powierzchnię twarzy śliczny dołeczek, który mogła utrzymać dopóty, dopóki się uśmiechała. Dołeczki na zawołanie był to dość znany proceder i wiele dziewczyn go próbowało, ale udawał

się zaledwie garstce.

Spotkali się na środku kładki i Juda, rzucając dziewczynie jej własny pocisk, oczekiwał wyjaśnienia, dlaczego zamiast zawołać, zatrzymała go za pomocą tego niezwykłego strzału.

Ale ona chytrze patrzyła w inną stronę, kołysząc się w tył i w przód, uczepiona rękami poręczy mostka. Aż wreszcie, jakby pod wpływem zmysłowej ciekawości, zwróciła na niego krytyczne spojrzenie.

– Nie posądzasz mnie chyba, że mogłam czymś takim w ciebie rzucić?

– O, nie.

– Pomagamy memu ojcu, który naturalnie nie lubi, aby cośkolwiek się marnowało. Ale akurat to sam wyrzuca do śmietnika – powiedziała, wskazując głową na ochłap leżący na trawie.

– Ciekaw jestem, dlaczego rzuciła tym we mnie któraś z tamtych dziewczyn – zapytał Juda, uprzejmie przyjmując do wiadomości jej zapewnienie, chociaż miał poważne wątpliwości co do jego prawdy.

– Bo są bezczelne. Nie rozpowiadaj, że to ja, bardzo proszę.

– Jakże mogę rozpowiadać, kiedy nie wiem, jak się nazywasz.

– Prawda! A chcesz wiedzieć?

– Tak!

– Arabella Donn. Mieszkam właśnie tutaj.

– Byłbym wiedział o tym, gdybym częściej tędy przechodził. Ale zwykle idę prosto traktem.

– Mój ojciec hoduje trzodę chlewną, a te dziewczyny pomagają mi myć kiszki na kaszankę i inne takie wyroby.

Rozmawiali jeszcze chwilę i jeszcze, oparci o poręcz mostu, mierząc się nawzajem wzrokiem. Zew kobiety, bez słów, wypowiedany wszakże aż nazbyt wyraźnie całą osobowością Arabelli, przykuwał Judę do miejsca wbrew jego zamiarom – nieomal wbrew jego woli i w sposób dotychczas mu nieznany. Bez przesady można powiedzieć, że do tego momentu Juda nigdy nie spojrział na dziewczynę jako na kobietę, bo po prostu odnosił się do płci pięknej jako do czegoś, co pozostawało poza jego życiem i dążeniami. Z oczu Arabelli przeniósł wzrok na usta, a potem na piersi i pełne, okrągłe, nagie ramiona, wilgotne, z gęsią

skórką od chłodnej wody i jędrne jak marmur.

– Jaka ty jesteś ładna! – szepnął, chociaż słowa były zbędne, aby wyrazić zachwyt.

– Żebyś mnie zobaczył w niedzielę! – powiedziała wabiąco.

– Czyżbym mógł? – odparł.

– To już od ciebie zależy. Akurat teraz nikt się koło mnie nie kręci, ale nie wiadomo, co będzie za tydzień czy dwa.

Powiedziała to poważnie i wraz z uśmiechem znikły i dołeczki.

Juda czuł, że porywa go jakiś dziwny prąd, ale nie mógł temu zapobiec.

– Pozwolisz mi?

– Czemu nie?

Teraz udało jej się odzyskać jeden z dołeczków, bo na chwilę odwróciła twarz i powtórzyła wspomniany manewr z wessaniem policzka, Juda jeszcze nie zwracał uwagi na szczegóły, będąc na razie pod ogólnym wrażeniem jej urody.

– Może w niedzielę? – zaryzykował. – To znaczy jutro?

– Dobrze.

– Czy mam przyjść do ciebie?

– Dobrze.

Dziewczynę przeniknął ogień triumfu, obrzuciła go niemal tkliwym spojrzeniem, zabierając się do odejścia, i wzdłuż murawy nad brzegiem strumienia powróciła do towarzyszek.

A Juda Fawley zarzucił na plecy koszyk z narzędziami i poszedł samotnie swoją drogą, przepelniony żarem, który teraz, na trzeźwo, po prostu go zdumiewał. Przed chwilą wchłonął jeden jedyny łyk innego powietrza, jakie widocznie otaczało go naokoło, nie wiadomo od jak dawna, do tej pory nie dochodząc do jego płuc, odgrodzone od nich jakby taflą ze szkła. Sam nie wiedział, jak to się stało, że plany lektury, pracy, studiów, tak dokładnie formułowane parę minut temu, zostały w przedziwny sposób zepchnięte w odległy zakamarek.

„To przecież tylko trochę rozrywki” – pomyślał, niejasno zdając sobie sprawę, że na zdrowy rozum czegoś nie dostaje dziewczynie, która go zwabiła, natomiast rzuca się w oczy nadmiar czegoś innego w jej osobowości, co zmusiło go do wysunięcia motywu rozrywki, aby

usprawiedliwić pogoń za nią, czegoś odstręczającego dla tej strony jego natury, którą pochłaniały studia piśmiennictwa i wspaniały sen o Christminster. Nie mogła być westalką istota, która wybrała ten właśnie pocisk w pierwszym na niego ataku. Dostrzegł to okiem mędrca w ułamku przelotnej chwili, tak jak przy świetle gasnącej lampy mignie napis na ścianie, zanim ogarnie nas ciemność. Ta przejściowa moc osądu natychmiast znikła i Juda przepadł dla wszelkich innych rzeczy wraz z pojawieniem się nowej, szalonej przyjemności, rozkoszy znalezienia świeżego ujścia dla uczuć, których dotychczas nie podejrzewał, chociaż ich przedmiot znajdował się tak blisko. Już w niedzielę miał spotkać się z tą podniecającą istotą odmiennej płci.

Tymczasem dziewczyna wróciła do towarzyszek i w milczeniu zabrała się znowu do przetrząsania i zanurzania wnętrza w przejrzystym strumieniu.

– Złapałaś kawalera? – krótko zapytała dziewczyna, na którą wołano Anny.

– Bo ja wiem? Trzeba mi było rzucić w niego czym innym! – szepnęła z żalem Arabella.

– Boże wielki! Co ci po głowie chodzi? Przecież to hołysz! Zanim dostał się do terminu w Alfredston, rozwoził pieczywo wózkiem starej Drusilli Fawley z Marygreen. Od tamtej pory zadziera nosa i ciągle czyta. Mówią, że kieruje się na uczonego.

– Nic mnie nie obchodzi, kto on jest ani co robi. Nic sobie nie wyobrażaj, moje dziecko!

– Patrzcie ją! Nie potrzebujesz nas zwodzić! Po co stałaś tyle czasu i gadałaś z nim, jeśli nie chcesz go złapać? Tak czy siak chłopak naiwny jak dziecko. Już ja to spostrzegłam, gdy umizgałaś się do niego na mostku. Patrzył na ciebie, jak gdyby od urodzenia nie widział kobiety. Słowo daję, każda go złapie, jeśli postara się, aby ją choć trochę polubił, i weźmie się do tego jak należy.

VII

Następnego dnia Juda Fawley stał beczynn timer w swej izdebce na poddaszu, przyglądając się książkom na stole, a potem czarnej plamie od kopcia lampy, która powstała na tynku sufitu w ciągu kilku minionych miesięcy.

Było niedzielne popołudnie – dwadzieścia cztery godziny po spotkaniu z Arabellą Donn. Przez cały ubiegły tydzień Juda postanawiał wydzielić to właśnie popołudnie na specjalne zadanie: chciał odczytać powtórnie swój grecki Testament, ten nowy, o wyraźniejszej czcionce niż stary egzemplarz, według wydania Griesbacha, poprawiony przez wielu korektorów i z różnymi wersjami tekstu na marginesie. Juda dumny był z tej książki, bo otrzymał ją od jej londyńskiego wydawcy, odważywszy się do niego napisać, czego nigdy dotychczas nie próbował.

Obiecywał sobie wiele przyjemności po tym popołudniu spędzonym nad książką na cichym poddaszu w domu ciotki, gdzie teraz sypiał tylko dwie noce w ciągu tygodnia. Ale w gładkim i monotonnym biegu jego życia nastąpiło wczoraj coś nowego, wielki wstrząs, i Juda odczuwał to, co musi odczuwać wąż, gdy zrzuci zimową skórę i nie może się oswoić z jaskrawą barwą i wrażliwością nowej.

Nie pójdzie na spotkanie z tą dziewczyną. Siadł, otworzył książkę i z łokciami mocno wpartymi w stół, ujawszy skronie dłońmi, zaczął od samego początku:

H KAINH ΔΙΑΘΗΚΗ[7]

Czy właściwie obiecał, że po nią wstąpi? Z pewnością obiecał! To biedactwo będzie czekało w domu i przez niego straci całe popołudnie. Niezależnie od danej obietnicy, w dziewczynie było coś bardzo ujmującego. Nie powinien jej sprawiać takiego zawodu. Nawet jeśli na czytanie zostaje mu tylko niedziela i sobotni wieczór, może sobie pozwolić na jedno popołudnie wolne; inni młodzi mężczyźni pozwalają sobie na wiele więcej. A dziewczyny pewnie nigdy już nie zobaczy po dzisiejszym spotkaniu. Dalsza znajomość będzie zupełnie niemożliwa, zważywszy na jego plany.

Krótko mówiąc, jakieś natarczywe ramię o niezwykłej sile mięśni wzięło go w swoje władanie jakby w materialny sposób, coś zupełnie niezwiązanego z tendencjami i wpływami, które kierowały nim do tej pory. Ramię to widocznie niewiele troszczyło się o jego rozum i wolę, zgoła nic o tak zwane wyższe cele, i jak porywczy nauczyciel ciągnie ucznia za kołnierz, tak i Judę ciągnęło w objęcia kobiety, do której nie czuł szacunku i której życie, oprócz miejsca zamieszkania, nie miało nic wspólnego z jego własnym.

Nie poświęcając już więcej uwagi słowom Η ΚΑΙΝΗ ΔΙΑΘΗΚΗ, Juda zerwał się i wypadł z pokoju. Przewidując taki obrót sprawy, włożył już przedtem najlepsze ubranie. W trzy minuty był poza domem i schodził ścieżką poprzez rozległą uprawną kotlinę między wsią a samotną chatą Arabelli, która leżała w rozdole za wzgórzem.

W drodze spojrzął na zegarek. Bez trudu uda mu się wrócić za dwie godziny i na lekturę zostanie jeszcze mnóstwo czasu po wieczornym posiłku.

Minąwszy kępę usychających świerków i chatę, w miejscu, gdzie ścieżka łączyła się z traktem, przyśpieszył kroku i skręcił w lewo, zbiegając ze stromego zbocza na zachód od Brown House. U stóp kredowego pagórka doszedł do strumienia, który się spod niego sączył, i dalej dążył jego brzegiem aż do domu Arabelli. Zza chaty dochodził zapach chlewów i chrząkanie zwierząt, które były źródłem zapachu. Juda wszedł do ogrodu i gałką laski zastukał do drzwi.

Ktoś go zobaczył przez okno, bo wewnątrz rozległ się męski głos:
– Arabella! Twój kawaler przyszedł w konkury! Leć z nim, moja mała!

Juda drgnął. Ostatnią rzeczą, jaką miał na myśli, były konkury w tym kupieckim aspekcie, jaki widocznie nasuwał się osobie, która to mówiła. Chciał pójść z dziewczyną na spacer, może nawet ją pocałować, ale „konkury” w zbyt chłodny sposób zakładały pewien cel, aby nie wzbudzać po prostu odrazy. Otworzono mu drzwi i wszedł w chwili, kiedy Arabella właśnie schodziła z góry, pięknie wystrojona na spacer.

– Proszę siadać, panie, jak tam panu? – rzekł jej ojciec, energiczny jegomość z czarnymi faworytami, takim samym kupieckim tonem, jaki Juda usłyszał ze dworu.

– Wyjdźmy zaraz, dobrze? – szepnęła dziewczyna.

– Dobrze – odparł. – Pójdziemy do Brown House i z powrotem, zajmie nam to pół godziny.

Arabella ślicznie wyglądała na tle niechlujnego otoczenia i Juda cieszył się, że przyszedł; wszystkie złe przeczucia, które go do niedawna trapiły, znikły bez śladu.

Najpierw wspięli się na szczyt wielkiego wzniesienia; idąc pod górę, Juda podawał od czasu do czasu rękę Arabelli, aby jej pomóc. Potem odeszli grzbietem na lewo i na stary trakt, a tamtędy aż do skrzyżowania z gościńcem przy Brown House, gdzie w swoim czasie Juda tak gorąco pragnął ujrzeć Christminster. Ale w tej chwili zapomniał o swoich pragnieniach. Gawędził z Arabellą o najzwyklejszych wioskowych zdarzeniach z większym zapalem niż ten, który byłby go pewnie ogarnął w czasie dysputy o wszelkich możliwych systemach filozoficznych ze wszystkimi „donami” na uniwersytecie do tak niedawna uwielbianym. Minął miejsce, gdzie klęczał przed Dianą i Febe, niepomny teraz istnienia tych mitologicznych postaci i tego, że słońce może być czymkolwiek innym niż użyteczną lampą do oświetlania twarzy Arabelli. Posuwając się obok niej nieopisanie lekkim krokiem, Juda, ten zadatek na uczonego, przyszły doktor teologii, profesor, biskup i tak dalej, czuł, że spłynęły nań honor i chwała wraz ze zgodą na wspólny spacer tej hożej wiejskiej dziewczyny w odświętnej sukni przybranej wstążkami.

Doszli do Brown House, skąd Juda miał zamiar zawrócić. Gdy przyglądali się rozległej panoramie na północy, uderzył ich widok gęstej chmury dymu wzbijającej się od strony małego miasteczka, które leżało w dole, w odległości paru mil.

– Pali się! – powiedziała Arabella. – Biegnijmy zobaczyć, dobrze? To niedaleko!

Tkliwe uczucie, jakie wyrosło w sercu Judy, pozbawiło go teraz woli opierania się jej chęciom; dogadzało mu to zresztą, dostarczając pretekstu, aby dłużej przebywać z dziewczyną. Zaczęli schodzić ze wzgórza prawie biegiem, ale na równym gruncie, w dolinie, przekonali się po przejściu mili, że pożar wybuchł o wiele dalej, niż przypuszczali.

Skoro już jednak wyruszyli na tę wyprawę, szli dalej; ale dopiero

o piątej po południu znaleźli się na miejscu, blisko sześć mil od Marygreen, a trzy od domu Arabelli. Pożar ugaszono, zanim tam dotarli, i po krótkich oględzinach smętnego pogorzelniska zawrócili w stronę domu przez miasteczko Alfredston.

Arabella powiedziała, że ma ochotę na herbatę, weszli więc do jakiejś oberży pośledniejszej kategorii. Ale że nie zamówili piwa, musieli długo czekać. Usługująca dziewczyna poznała Judę i szepnęła ze zdziwieniem do karczmarki siedzącej w głębi, że ten student, „taki hardy”, na tyle się nagle zniżył, aby chodzić z Arabellą. Arabella odgadła, o czym mowa, i napotkawszy poważny i czuły wzrok towarzysza, zaśmiała się niskim i triumfalnym śmiechem kobiety, której nic nie obchodzi, bo widzi, że wygrywa.

Siedzieli tak, rozglądając się po sali, patrząc na obraz przedstawiający Samsona i Dalilę, na okrągłe plamy po piwie na stole i na wypełnione trocinami spluwaczki pod stołem. Całe otoczenie wywierało na Judę przygnębiający wpływ, gdyż mało co robi równie przytłaczające wrażenie jak bar w niedzielne popołudnie, kiedy zachodzące słońce sączy się ukośnie, kiedy nie podają już wódki, a nieszczęsny podróżny nie ma do wyboru innego miejsca wytchnienia.

Zapadał zmierzch. Powiedzieli, że dłużej nie mogą już czekać na herbatę.

– Ale co innego moglibyśmy chyba dostać? – zapytał Juda. – Ty masz przed sobą całe trzy mile drogi.

– Napijmy się piwa – powiedziała Arabella.

– Piwa? Prawda, zapomniałem o piwie. Jakoś dziwnie to wygląda – przychodzić do baru na piwo w niedzielę wieczorem.

– Przecież nie przyszliśmy na piwo.

– Rzeczywiście.

Teraz już Juda zdecydowanie pragnął znaleźć się poza zasięgiem tej nieprzyjaznej atmosfery, ale musiał zamówić piwo, które szybko podano.

Arabella skosztowała.

– Pfuj! – powiedziała. Juda skosztował również.

– Niedobre? – zapytał. – Nie znam się specjalnie na piwie, to prawda. Dosyć je nawet lubię, ale po piwie źle idzie czytanie. Wolę

kawę. Ale to piwo wydaje mi się dobre.

– Jest sfalszowane, niepodobna tego pić!

I ku wielkiemu zdziwieniu Judy wymieniła trzy czy cztery składniki, które wykryła w napitku oprócz słodu i chmielu.

– Jak ty się na tym znasz! – powiedział dobrodusznie.

Mimo wszystko Arabella przeprosiła się z piwem, wypła swoją porcję i ruszyli w powrotną drogę. Było już teraz prawie zupełnie ciemno i gdy tylko opuścili oświetlone miasto, szli całkiem blisko jedno drugiego, aż wreszcie otarli się o siebie. Dziewczyna dziwiła się, dlaczego on nie objął jej w pól, ale Juda tego nie zrobił, powiedział tylko coś, co i tak wydało mu się bardzo śmiałe:

– Weź mnie pod rękę.

Posłuchała i przytuliła się do jego ramienia. Juda poczuł ciepło jej ciała i przekładając laskę pod drugą pachę, w prawą rękę wziął jej prawą dłoń.

– Dobrze nam teraz, prawda, kochanie? – zauważył.

– Tak – odparła, dodając w duchu: „Niezbyt jest gorący!”.

„Jaki się zrobiłem swobodny” – pomyślał Juda.

Doszli tak do stóp wyżyny, gdzie w mroku rysował się biały trakt biegnący pod górę. Z tego miejsca do domu Arabelli nie można było dojść inaczej, jak tylko wspinając się na wzgórze, a potem schodząc w dolinę na prawo. Niedaleko uszli, kiedy wpadło na nich dwóch mężczyzn, których wcześniej nie zauważyli.

– Te pary kochanków... pełno tego na świeżym powietrzu o wszystkich porach roku i przy każdej pogodzie, czułe pary i bezpańskie psy... – powiedział jeden z mężczyzn, gdy znikali w dole.

Arabella zachichotała z cicha.

– Czy jesteśmy parą kochanków? – zapytał Juda.

– Ty wiesz lepiej.

– Ale powiedz mi!

W odpowiedzi skłoniła głowę na jego ramię. Juda zrozumiał, objął ją w pól, przyciągnął do siebie i pocałował.

Nie szli już teraz, trzymając się pod rękę, lecz objęci w pól, zgodnie z jej życzeniem. Ostatecznie wszystko jedno, skoro jest ciemno, powiedział sobie Juda. Gdy już byli w połowie drogi do szczytu,

zatrzymali się, jakby za wspólną zgodą, i pocałował ją znowu. Doszli na wierzchołek i tam pocałował ją jeszcze raz.

– Możesz mnie tak trzymać, jeśli masz ochotę – powiedziała cicho. Juda spełnił jej życzenie i pomyślał, że dziewczyna mu ufa.

I tak powoli wracali. Juda wyszedł od siebie o wpół do czwartej, licząc, że o wpół do szóstej zasiądzie z powrotem nad Nowym Testamentem. Ale była już dziewiąta, kiedy po jeszcze jednym pocałunku stanął z Arabellą przed jej drzwiami.

Poprosiła go, aby wszedł chociaż na chwilę, bo inaczej będzie to dziwnie wyglądało: tak jakby sama spacerowała po ciemku. Ustąpił i wszedł za nią. Zobaczył od razu, że oprócz rodziców Arabelli w pokoju siedzi kilkoro sąsiadów. Wszyscy wystąpili z gratulacjami, traktując go całkiem poważnie, jak przyszłego męża Arabelli.

Nie byli to ludzie z jego środowiska i Juda czuł się nie na miejscu i zakłopotany. Tego zgoła nie przewidział, miał przecie na myśli jedynie miły, popołudniowy spacer z dziewczyną. Został chwilę, aby zamienić parę słów z jej macochą, prostą, cichą kobietą bez wyraźniejszych rysów czy osobowości. I życząc całemu towarzystwu dobrej nocy, z uczuciem ulgi zapuścił się w gościniec biegnący poprzez wzgórze.

Ale ulga była tylko chwilowa: władanie nad nim Arabelli wkrótce doszło do głosu z powrotem. Ruszał się nawet jak zupełnie inny człowiek, a nie jak Juda z poprzedniego dnia. Jakie znaczenie miały dla niego książki? Jakie znaczenie miały plany, których do tej pory tak się ściśle trzymał, dzień po dniu, żałując każdej zmarnowanej minuty? „Zmarnowanej!” To zależało od punktu widzenia; przecież teraz dopiero zaczął żyć, a nie marnować życie. Bardziej warto kochać kobietę niż kończyć uniwersytet, być pastorem, ba! nawet papieżem!

Gdy wrócił do domu, ciotka już spała, ale wszystkie przedmioty, na które patrzył, zdawały się świadome, że zaniedbał swych obowiązków. Poszedł na górę bez światła i mroczne wnętrze pokoju zwróciło się doń ze smutnym pytaniem. Książka leżała otwarta, tak jak ją zostawił, i w przyćmionym świetle gwiazd duże litery tytułowej karty patrzyły na niego z uporczywym wyrzutem jak niezamknięte oczy trupa:

Η ΚΑΙΝΗ ΔΙΑΘΗΚΗ

Następnego ranka Juda musiał wyruszyć wcześniej; miał spędzić, jak zwykle, cały tydzień w wynajętym mieszkaniu. Z uczuciem pustki rzucił do koszyka na narzędzia i inne drobiazgi nieprzeczytaną książkę, którą z sobą przyniósł.

Podczas gdy młodzieniec zatajał swe miłosne poczynania nieomalże przed sobą samym, Arabella, wprost przeciwnie, rozpowiadała o nich przyjaciółkom i znajomym.

Przemierzając o świtaniu tę samą drogę, którą parę godzin temu podążał pod osłoną nocy u boku swojej dziewczyny, Juda zszedł do stóp wzgórza, zwolnił kroku i zatrzymał się. Tu właśnie pierwszy raz ją pocałował. Od tamtej chwili nikt może tędy nie przechodził, bo słońce dopiero co wzeszło. Juda spojrzał na ziemię i westchnął. Popatrzył baczniej i w zwilgotniałym kurzu udało mu się rozróżnić ślady jej stóp odcisnięte w momencie, gdy stali spleceni uściskiem. Nie było już przy nim Arabelli, ale „haft wyobraźni na kanwie natury” tak wyraźnie odtworzył tamtą jej dawniejszą obecność, że pustki w jego sercu nic nie było teraz w stanie wypełnić. W pobliżu rosła wierzba z przystrzyżoną koroną; i to drzewo różniło się od wszystkich innych wierzb na świecie. Zupełne unicestwienie tych sześciu dni, które muszą upłynąć, zanim znowu spotka Arabellę, tak jak się umówili, byłoby jego najgorętszym życzeniem, nawet jeśli miał przed sobą tylko ten jeden tydzień życia.

Półtorej godziny później tą samą drogą szła Arabella i obie jej towarzyszki z ubiegłej soboty. Przeszła obok miejsca, gdzie odegrała się scena pocałunku, i obok wierzby, która ją znaczyła, nie poświęcając im wcale uwagi, chociaż swobodnie paplała na temat Judy z obydwoma dziewczynami.

– I co on ci potem powiedział?

– Potem mi powiedział... – I powtórzyła prawie słowo w słowo najczulsze wyrazy Judy. Gdyby Juda znajdował się w tej chwili z drugiej strony żywopłotu, zdziwiłby się bardzo, że tak niewiele z tego, co mówił czy robił poprzedniego wieczoru, zachowano w sekrecie.

– Prędko się zakręciłaś, żeby go w sobie rozkochać, niech cię! – szepnęła krytycznie Anny. – Tobie to dobrze!

Po chwili Arabella odparła dziwnie niskim, pożądlwym tonem utajonej zmysłowości:

– Tak, doprowadziłam do tego, że się we mnie zadurzył! Ale chcę czegoś więcej, chcę, żeby mnie wziął, żeby się ze mną ożenił! Muszę go mieć! Nie mogę żyć bez niego. To właśnie taki mężczyzna, o jakim marzę... Zwariuję, jeśli go nie będę miała! Poczułam to od razu, gdy go pierwszy raz zobaczyłam!

– On wygląda na romansowego, przyzwoitego i uczciwego chłopaka; można go złapać i na męża, ale musisz użyć właściwego sposobu.

Arabella zastanowiła się przez chwilę.

– Jakież to może być sposób? – zapytała.

– Tak jakbyś nie wiedziała! – rzekła Sara, trzecia dziewczyna.

– Słowo daję, że nie wiem! To znaczy wiem, że trzeba starać mu się podobać i uważać, aby nie posunął się za daleko.

Trzecia dziewczyna spojrzała na drugą.

– Ona tego nie wie!

– Widocznie naprawdę nie wie! – rzekła Anny.

– A mieszkała przecież w mieście, kto by to powiedział! W takim razie my także możemy ciebie czegoś nauczyć, nie tylko ty nas.

– Dobrze. Ale co to znaczy: pewny sposób, żeby zdobyć mężczyznę? Niech już będzie, jestem głupia, ale powiedzcie mi.

– Zdobyć go na męża.

– Zdobyć go na męża.

– Takiego wiejskiego chłopaka, uczciwego i poważnego jak on. Boże zachowaj, nie mówię o byle kim, o żołnierzach, o marynarzach czy komiwojażerach z miasta, czy o innych, takich, co to biednej kobiecie niebezpiecznie z nimi zaczynać! Tak bym się przyjaciółce nie przysłużyła.

– No oczywiście, chodzi o takiego jak on.

Towarzyszki Arabelli popatrzały na siebie i przewracając błazeńsko oczami, zaczęły chichotać. Potem jedna podeszła do Arabelli i pouczała ją po cichu, chociaż nikogo nie było w pobliżu, podczas gdy druga z zaciekawieniem obserwowała efekt na twarzy koleżanki.

– Ach! – powiedziała powoli Arabella. – Muszę przyznać, że o tym

sposobie nie pomyślałam!... Ale przypuśćmy, że mężczyzna nie jest honorowy? Kobieta może pożałować, że tego sposobu użyła.

– Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma! Poza tym trzeba się upewnić, czy mężczyzna jest honorowy, zanim się zacznie. A tobie nic nie grozi z twoim kawalerem. Że też to na mnie nie trafiło! Setki dziewcząt tak robią. Czy ci się zdaje, że inaczej w ogóle wyszłyby za mąż?

Arabella szła dalej milcząca i zamyślona.

– Spróbuję! – szepnęła do siebie, ale towarzyszkom nic nie powiedziała.

VIII

W pewną sobotę Juda jak zwykle szedł ze swego mieszkania w Alfredston do ciotki w Marygreen, znajdując obecnie w tej wędrownicy wiele przyjemności zupełnie innego gatunku niż chęć zobaczenia sędziwej i zgryźliwej krewnej. Zanim wszedł na wzgórze, skręcił w lewo jedynie po to, aby chociaż z daleka zobaczyć Arabellę, co nie liczyłoby się jako umówione spotkanie. Jeszcze nie doszedł do jej domu, a już bystrym okiem dostrzegł dziewczęcą głowę szybko zmieniającą położenie nad żywopłotem. Gdy zaś minął furtkę, przekonał się, że to trzy nieutuczone jeszcze prosiaki uciekły z chlewka, zgrabnie wyskakując przez ogrodzenie, a Arabella usiłuje wpędzić je z powrotem przez drzwiczki, które w tym celu otworzyła.

Na widok Judy twarz Arabelli, surową przy spełnianiu obowiązków, przeistoczyła słodcz miłości. Dziewczyna omdlewając spuściła oczy. Wieprzki skorzystały z tej chwilowej przerwy, rzuciły się w bok i umknęły.

– Dopiero dzisiaj zamknęliśmy je w chlewku! – zawołała Arabella, zmuszona do pogoni mimo obecności ukochanego. – Nie dalej jak wczoraj ojciec przygnał je z farmy Spaddleholt, gdzie słono za nie zapłacił. Te głupie pokraki na pewno chcą wrócić do swego chlewka! Mój drogi, zamknij furtkę od ogrodu i pomóż mi zapędzić je do zagrody.

Nikogo z mężczyzn nie ma w domu, tylko matka, i świniaki zginą, jeśli ich nie przypilnujemy.

Juda zabrał się do pomocy i zabiegał prosiakom drogę to z jednej, to z drugiej strony wśród zagonków kartofli i kapusty. Od czasu do czasu biegł razem z dziewczyną i wtedy przytrzymał ją na chwilę, żeby ją pocałować. Jednego prosiaka szybko zapędzili do zagrody, z drugim poszło już trudniej, trzeci zaś, obdarzony dłuższymi nogami, okazał się najbardziej uparty i zwinny. Dał nura przez dziurę w ogrodzeniu i wypadł na drogę.

– Zginie, jeśli za nim nie polecimy! – powiedziała Arabella. – Chodź ze mną!

Wybiegła z ogrodu w pogoni za wieprzkiem, a Juda obok niej, usiłując przynajmniej nie tracić uciekiniera z oczu. Czasami krzyczeli do jakiegoś chłopaka spotkanego na drodze, aby zatrzymał stworzenie, ale świniak zawsze przemknął bokiem i uciekał dalej.

– Daj mi rękę, kochanie – powiedział Juda. – Zadyszłaś się.

Podawała mu z widoczną ochotą rozgrzaną dłoń i biegli teraz ręką w rękę.

– To są skutki pędzenia ich z farmy – zauważyła. – Zawsze potem trafiają, skąd przyszły. Trzeba je było przywieźć wozem.

W tym czasie prosiak doleciał do otwartej bramy prowadzącej na rozległe faliste pastwisko i pędził na przełaj z taką chyżością, na jaką pozwalały mu jego krótkie nóżki. Gdy tylko ścigający doszli do najwyższego punktu wzniesienia, okazało się, że musieliby biec aż do samej farmy, żeby go schwycić. Z tego miejsca prosiak wydawał się malutkim punkcikiem, który bez wahania sunął w kierunku dawnego domu.

– Nic z tego! – zawołała Arabella. – Świniak doleci prędzej niż my. Teraz to już wszystko jedno, bo wiadomo, że po drodze nie zginie ani go nikt nie ukradnie. Na farmie zobaczą, że to nasz prosiak, i odeślą go z powrotem. Ojej, ale mi gorąco!

Nie puszczać ręki Judy, skręciła w bok i rzuciła się na trawę pod karłowatą tarninę, ściągając go tym ruchem raptownie na klęczki.

– Ach! przepraszam! O mało cię nie przewróciłam, co? Ale taka jestem zmęczona!

Leżała na plecach, prosta jak struna, na skłonie trawą porośłego wierzchołka wzgórza i patrzyła w rozległy błękit nieba, z ręką Judy ciągle w ciepłym uścisku swej dłoni. On legł obok, opierając się na łokciu.

– Biegliśmy na próżno – ciągnęła. Całą postacią falowała w szybkim oddechu, twarz jej płonęła, pełne, czerwone wargi były rozchylone, a skórę powlekała drobniutka rosa potu. – Czemu nic nie mówisz, kochany?

– Ja także zadyszałem się okropnie. Cały czas biegliśmy pod górę.

Byli zupełnie sami, w najpełniejszej samotności, jaką daje pustka otaczającej przestrzeni. Nikt w odległości mili nie mógłby niepostrzeżenie do nich podejść. Znajdowali się w istocie na jednym z najwyższych wzniesień hrabstwa i z miejsca, gdzie leżeli, widać było odległą panoramę naokoło Christminster. Ale Juda nie o tym teraz myślał.

– O, widzę stąd coś ładnego na drzewie – powiedziała Arabella. – Coś jakby liszka, rzadko się widzi tak prześliczny zielony i żółty kolor!

– Gdzie? – zapytał Juda, siadając.

– Stamtąd jej nie zobaczysz, musisz przysunąć się do mnie – powiedziała Arabella.

Pochylił się bliżej i wysunął głowę przed jej twarz.

– Nic nie widzę – powiedział.

– No tu, tu, na konarze, koło rozwidlenia... tuż koło tego liścia, który się chwieje... no, tutaj! – I lekko przyciągnęła go do siebie.

– Nic nie widzę – powtórzył, tyłem głowy dotykając jej policzka. – Zobaczyłbym może, gdybym wstał.

I podniósł się, stając na linii jej spojrzenia.

– Jakiś ty głupi! – rzekła Arabella z irytacją, odwracając głowę.

– Ale przecież nie zależy mi na tym, aby zobaczyć liszkę, kochanie – odparł Juda, patrząc na nią z góry. – No, wstawaj, Abby.

– Po co?

– Chcę cię pocałować. Już tak długo na to czekam!

Obróciła ku niemu twarz i przez chwilę z niezadowoleniem patrzyła na niego z boku; a potem, lekko krzywiąc wargi, zerwała się i z nagłym okrzykiem: „Muszę lecieć!” szybko odbiegła w stronę domu.

Juda pobiegł również i dogonił ją.

– Tylko raz! – prosił.

– Nie! – odparła.

– Co się stało? – zapytał ze zdziwieniem.

Zacisnęła wargi, obrażona, a Juda szedł za nią jak obłaskawione jagniątko, aż wreszcie zwolniła kroku i szła obok niego, rozmawiając spokojnie na różne tematy, ale powstrzymując go, ile razy próbował wziąć ją za rękę czy objąć w pół. Zeszli tak do zagrody jej ojca i Arabella zniknęła w chacie, skinąwszy mu na pożegnanie głową z pogardliwą i obrażoną miną.

„Widocznie za dużo sobie pozwalałem w stosunku do niej” – pomyślał Juda i odszedł z westchnieniem w stronę Marygreen.

W niedzielę rano dom Arabelli był jak zwykle areną cotygodniowego kucharzowania na wielką skalę i przygotowań do specjalnego świątecznego obiadu. Ojciec golił się przed lusterkiem zawieszonym na węgarku okiennym, a matka z Arabellą łuskały obok fasolę. Widząc w oknie Donna z brzytwą, sąsiadka wracająca z porannego nabożeństwa w pobliskim kościele przywitała się i weszła.

Od razu zagadała żartobliwie do Arabelli:

– Widziałam, jakieś leciała z kawalerem, cha-cha-cha! Widzi mi się, że coś z tego będzie.

Arabella ledwie rzuciła na nią okiem, nie podnosząc głowy.

– Mówią, że on się przeniesie do Christminster, jak tylko mu się uda tam dostać.

– Słyszeliście to właśnie teraz, niedawno? – zapytała Arabella, wciągając powietrze z drapieżną zachłannością.

– O, nie teraz! Ale od dawna wiadomo, że takie ma plany. Czekają tylko na sposobność. No, ale przecież musi z kimś chodzić. Kawalerowie nie mają dzisiaj poważnych zamiarów. Tu uszczknie, tam uszczknie. Inaczej bywało za moich czasów.

Gdy plotkarka odeszła, Arabella powiedziała z nagłą do matki:

– Chciałabym, żebyście dzisiaj wieczorem poszli z ojcem do Edlinów dowiedzieć się, co u nich słychać. Albo nie, w Fensworth jest wieczorem nabożeństwo, może tam pójdziecie.

– Ejże! Co ci tam po głowie chodzi?

– Nic. Ale chcę być sama w domu. On jest nieśmiały i nie mogę go zaprosić, jak wy tu jesteście. Wymknie mi się, jeśli nie będę uważać, choćby mi się nie wiem jak podobał!

– Jak będzie ładna pogoda, to możemy pójść, jeżeli ci na tym zależy.

Po południu Arabella spotkała się z Judą i spacerowali. Juda od tygodnia nie zaglądał do żadnej książki, greckiej czy łacińskiej, czy w jakimkolwiek innym języku. Błądzili razem po wzgórzach, aż dotarli do zarośniętego murawą traktu wzdłuż grzbietu i tamtędy do starożytnej, półokrągłej skarpy. Juda rozmyślał o dawności traktu i o tych, którzy zeń korzystali, prawdopodobnie jeszcze zanim przyszli tu Rzymianie. Z równiny u ich stóp płynęło bicie dzwonów kościelnych. Potem odezwał się już tylko jeden ton, szybko, raz po raz, i zamilkł.

– A teraz wrócimy – powiedziała dziewczyna, która przysłuchiwała się uważnie dzwonom.

Juda zgodził się. Jak długo był z Arabellą, nie dbał, gdzie się znajduje. Gdy doszli do jej domu, powiedział z ociąganiem:

– Nie wejdę. Czemu tak się dzisiaj śpieszyłeś z powrotem? Jeszcze daleko do zmroku.

– Poczekaj chwileczkę – powiedziała. Poruszyła klamką i okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz.

– Ach! widocznie poszli do kościoła – dodała. I sięgnąwszy pod słomiankę, znalazła klucz i otworzyła nim drzwi. – Wejdiesz na chwilkę? – zapytała obojętnym tonem. – Będziemy sami.

– Naturalnie – oświadczył Juda ochoczo, skoro sytuacja nieoczekiwanie się zmieniła.

Weszli do środka. Czy ma ochotę na herbatę? Nie, jest za późno, lepiej posiedzieć i porozmawiać. Arabella zdjęła żakiet i kapelusz i siedli, oczywiście bardzo blisko siebie.

– Nie dotykaj mnie, proszę – powiedziała cicho. – Jestem krucha jak skorupka od jajka. Albo może odłożę to gdzieś w bezpieczne miejsce.

Zaczęła odpinać stanik sukni.

– Co to jest? – zapytał jej wielbiciel.

– Jajko kury kochinchinki. Wykluje się z niego bardzo rzadki

gatunek. Noszę je wszędzie przy sobie – pisklę wylęgnie się za niecałe trzy tygodnie.

– Gdzie je nosisz?

– A tu. – Sięgnęła ręką za stanik i wyciągnęła jajko owinięte wełną, a na wierzchu, od wypadku, kawałkiem świńskiego pęcherza. Pokazała je tylko i zaraz schowała z powrotem. – Teraz musisz uważać i nie przysuwać się za blisko. Nie chcę, żeby się jajko stłukło, bo musiałabym zaczynać na nowo.

– Czemu robisz taką dziwną rzecz?

– To stary zwyczaj. Chyba to zupełnie naturalne, że kobieta chce wydać na świat coś żywego.

– Ale dla mnie bardzo w tej chwili niewygodne – zaśmiał się Juda.

– Dobrze ci tak. Masz, to wszystko, co ode mnie dostaniesz.

Obróciła się na krześle i ponad oparciem podała mu ostrożnie policzek.

– Jakaś ty skąpa!

– Trzeba było złapać mnie wtedy, kiedy odłożyłam jajko. O! – rzekła wyzywająco. – Teraz znowu nie mam go przy sobie! – Szybko wyciągnęła jajko po raz drugi, ale zanim Juda zdążył ją objąć, równie szybko włożyła je z powrotem, zaśmiewając się ze swojej strategii. Potem szamotali się przez chwilę i Juda, zanurzywszy rękę, z triumfem schwytał jajko. Arabella spłonęła rumieńcem, a on zdał sobie sprawę, że także się rumieni.

Zdyszani, spojrzeli na siebie, aż wreszcie on wstał i powiedział:

– Daj mi jednego całusa, teraz mogę go dostać, nie narażając na szwank twego skarbu. A potem już sobie pójdę.

Ona także się zerwała.

– Ale najpierw musisz mnie znaleźć! – krzyknęła.

Juda pobiegł za nią. W pokoju zapadł już mrok, okno było małe i przez dłuższy czas nie mógł odszukać Arabelli, dopóki nie zdradził jej śmiech: schowała się na górze i Juda zaraz tam do niej pobiegł.

Upłynęło prawie dwa miesiące i przez ten czas Juda i Arabella ciągle się spotykali. Arabella wyglądała na niezadowoloną; ciągle na coś liczyła, czekała i coś rozważała.

Pewnego dnia spotkała wędrownego znachora, Vilberta. Jak wszyscy wieśniacy w okolicy, znała go doskonale i zaczęła mu opowiadać swoje przeżycia. Chociaż była w złym nastroju, rozchmurzyła się pod koniec rozmowy. Wieczorem przyszła na umówione spotkanie z Judą, który wydał jej się smutny.

– Odchodzę – powiedział. – Myślę, że powinienem odejść. Tak będzie lepiej dla nas obojga, i dla ciebie, i dla mnie. Żałuję, że niektóre sprawy w ogóle się zaczęły. Wiem, że ja ponoszę wiele winy. Ale nigdy nie jest za późno, aby naprawić zło.

Arabella rozpląkała się.

– Skąd wiesz, że nie jest za późno? – powiedziała. – Bardzo łatwo tak mówić! Ja ci przecież jeszcze nic nie powiedziałam! – i zalana łzami spojrzała mu prosto w twarz.

– Co? – zapytał, blednąc. – Chyba nie...?

– Właśnie tak! I co ja zrobię, gdy mnie rzucisz?

– O Arabello! jak możesz tak mówić, moja droga. Przecież wiesz, że cię nie porzucę!

– W takim razie...

– Jeszcze prawie nic nie zarabiam; może powinienem był pomyśleć o tym wcześniej. Ale, oczywiście, jeżeli tak się już stało, musimy się pobrać. Jak ci się zdaje, jakże inaczej mógłbym postąpić w takim wypadku?

– Myślałam... ach! myślałam, kochanie, że może właśnie dlatego odejdiesz i zostawisz mnie samą z tą biedą!

– Co też ty mówisz! Jeszcze pół roku czy nawet trzy miesiące temu rzeczywiście nawet mi się nie śniła żeniaczka. To zupełnie rujnuje moje plany, mam na myśli te plany, które miałem, zanim cię poznałem, kochanie. Ale ostatecznie, cóż to były za plany. Marzenia o książkach i dyplomach, o nieosiągalnych stopniach naukowych i tym podobne mrzonki. Pobierzemy się, oczywiście, musimy się pobrać.

Tej nocy wyszedł na dwór i samotnie chodził długo w ciemnościach, rozmawiając z samym sobą. W tajnym zakamarku mózgu wiedział aż nadto dobrze, że Arabella nie jest wiele warta jako okaz rodu kobiecego. Ale wobec zwyczaju panującego na wsi wśród rzetelnych młodych mężczyzn, którzy posunęli się tak daleko w intymnych stosunkach z kobietą, jak on to, niestety, uczynił, gotów był spełnić bez wahania swoją obietnicę i ponieść wszelkie konsekwencje. Dla własnego uspokojenia podtrzymywał w sobie zmyślane zaufanie do Arabelli. Wagę miało tutaj jego wyobrażenie o Arabelli, a nie sama Arabella, jak to sobie czasem zwięźle powtarzał.

Dano na zapowiedzi, które wyszły w najbliższą niedzielę. W całej parafii ludzie mówili, jaki to naiwny głuptas z tego młodego Fawleya. Całe ślęczenie nad książkami na tym się skończyło, że trzeba mu będzie sprzedać książki, a kupić rundle. Ci, którzy domyślali się przypuszczalnego stanu rzeczy, między innymi rodzice Arabelli, powiadali, że takiego, a nie innego postępowania oczekiwali po młodzieńcu tej rzetelności co Juda w nagrodę za krzywdę wyrządzoną niewinnej dziewczynie. Proboszcz, który dawał im ślub, również uważał za pomyślny taki obrót sprawy.

Stojąc przed tymże oficjantem, młoda para przysięgała, że w ciągu dalszego życia, aż do chwili, kiedy zabierze ich śmierć, będą ożywieni tą samą wiarą, uczuciem i pragnieniami co podczas poprzednich tygodni. Równie godny uwagi jak sama przysięga był fakt, że nikt nie wydawał się zdziwiony jej treścią.

Ciotka Fawleya, właścicielka piekarni, przygotowała tort weselny, oświadczając z goryczą, że to ostatnia rzecz, którą może zrobić dla tego biednego, naiwnego chłopaka, i że byłoby stokroć lepiej, gdyby Juda razem z ojcem i matką poszedł przed laty do grobu, zamiast pozostać przy życiu i przysparzać jej strapień. Z tortu weselnego Arabella odkrajała kilka kawałków, zapakowała w biały papier listowy i wysłała do Anny i Sary, towarzyszek przy sprawianiu wieprza, opatrując każdą paczuszkę napisem: „W podzięce za dobrą radę”.

Perspektywy roztaczające się przed nowo zaślubioną parą nie wydałyby się na pewno oszołamiające nawet komuś o najbardziej pogodnym usposobieniu. Dziewiętnastoletni małżonek, w terminie

u kamieniarza, miał pracować za połowę zasług aż do chwili, kiedy zostanie wyzwolony na czeladnika. Żona jego była najzupełniej bezużyteczna w miejskich warunkach, gdzie jak początkowo sądził, przyjdzie im mieszkać. Nagląca konieczność choćby minimalnego zwiększenia dochodów skłoniła Judę do wynajęcia samotnej przydrożnej chaty między Brown House a Marygreen; mogli uprawiać ogród warzywny i trzymać wieprzka, aby zużytkować dawne doświadczenie Arabelli. Nie o taki tryb życia Juda zabiegał dawniej, a codzienna droga do Alfredston i z powrotem dawała mu się we znaki. Arabella jednak uważała, że cały ten układ jest tymczasowy. Zdobyła męża, to było najważniejsze, męża o możliwościach zarobkowych, które pozwolą na zakup sukni i kapeluszy, gdy go się trochę nastraszy i gdy zacznie przykładać się do swego fachu, rzucając te głupie książki dla praktycznych celów.

Do tego właśnie domku Juda przyprowadził Arabellę wieczorem po ślubie, pożegnawszy swój dawny pokój u ciotki, gdzie tyle się naślęczał nad łaciną i greką.

Przeniknął go niemiły dreszcz, gdy pierwszy raz zobaczył żonę w trakcie rozbierania. Długie pasmo włosów, które skręcała w olbrzymi węzeł z tyłu głowy, zostało bez wahania odpięte, strzepnięte i zawieszono na lustrze, które dla niej kupił.

– To... to nie są twoje włosy? – zapytał z nagłym obrzydzeniem.

– O, nie! Żadna kobieta z lepszego towarzystwa nie nosi swoich włosów.

– Głupstwo! Może w mieście. Ale na wsi chyba jest inaczej. Zresztą ty na pewno masz dosyć swoich własnych włosów, prawda?

– Owszem, na gusta wiejskie mam ich dosyć. Ale dla mężczyzn w mieście to za mało i gdy byłam kelnerką w barze w Aldbrickham...

– Kelnerką w barze?

– Ściśle mówiąc, nie usługiwałam w barze, właściwie nalewałam piwo w restauracji... o! bardzo króciutko. Namawiali mnie, żeby spróbować, ot tak, dla fantazji. Im więcej ma się grosza w Aldbrickham, tym lepiej; to dużo ładniejsze miasto niż wszystkie twoje Christminstery razem wzięte. Każda kobieta nosi teraz sztuczne włosy, tak mi mówił pomocnik fryzjera.

Juda pomyślał z jakimś mdlącym uczuciem, że chociaż to może być w pewnej mierze prawdziwe, wiele prostodusznych dziewcząt wędruje przecież do miasta i mieszka tam latami, nie zatracając prostoty w trybie życia i strojach. Natomiast inne, niestety, we krwi posiadają pęd do sztuczności i zaledwie rzuciwszy okiem na fałszowanie natury, stają się jego adeptkami. Mimo wszystko nie było chyba wielkim grzechem, jeśli kobieta przypinała sztuczne włosy do własnych, i Juda postanowił nie zaprzętać sobie tym głowy.

Świeżo upieczonej mężatce udaje się zwykle wzbudzać zainteresowanie w ciągu paru tygodni, nawet jeśli finansowe perspektywy gospodarstwa domowego są chmurne. Jest pewna pikanteria w sytuacji i sposobie, w jaki kobieta odnosi się do swych znajomych, i to, zacierając ponure fakty, nawet najuboższą młodą żonę odgradza przez pewien czas od rzeczywistości. Z takim właśnie nastawieniem, widocznym w całej postawie, młoda pani Fawley kręciła się po ulicach Alfredston w pewien dzień targowy, kiedy spotkała Anny, dawną koleżankę, której nie widziała od czasu wesela.

Jak zwykle naprzód zaczęły się śmiać, a potem dopiero rozmawiać, bo nie potrzeba im było słów, aby wyrazić pogląd, że świat jest zabawny.

– A więc widzisz, plan okazał się dobry! – powiedziała niezamężna dziewczyna mężatce. – Wiedziałam, że się uda z takim jak on. To dobry, poczciwy chłopak i powinnaś być z niego dumna.

– Toteż jestem – powiedziała spokojnie pani Fawley.

– A kiedy się spodziewasz?

– Sza! Wcale!

– Jak to?

– Pomyliłam się.

– Ach, Arabello, Arabello! Jakaś ty mądra! Pomyliła się! To dopiero było sprytne, prawdziwie genialny krok! Przy całym moim doświadczeniu taka rzecz nigdy by mi na myśl nie przyszła! Wszystko, co potrafiłabym, to wystąpić z prawdziwą wiadomością, ale żeby ją sfalszować...

– Nie bądź taka chybka, mówiąc o oszustwie. Ja nie oszukałam. Po prostu nie wiedziałam.

– Słowo daję, to dopiero go zaskoczy! Już on ci pokaże! W każdym razie powie, że oszukałaś go podwójnie, niech cię Pan Bóg kocha!

– Co do tego pierwszego, to tak, ale nie do tego drugiego. Phi! nie zależy mu na tym! Będzie kontent, że się pomyliłam. Otrząśnie się z tego, zapewniam cię, jak to mężczyzna. Cóż mu pozostaje innego? Ślub to ślub.

Niemniej Arabella z pewnym niepokojem patrzyła na zbliżający się dzień, kiedy przy naturalnym biegu rzeczy przyjdzie jej wyjawic, że wznieciła alarm bez podstaw. Sposobność nadarzyła się pewnego wieczoru, w porze udania się na spoczynek. Byli w swoim pokoju w samotnej chacie przy drodze, dokąd Juda codziennie przychodził wieczorem. Ciężko pracował przez całe dwanaście godzin i położył się pierwszy. Gdy Arabella weszła do sypialni, Juda był już na granicy snu i jawy i nie zwrócił nawet uwagi na żonę rozbierającą się przed małym lustrem.

Ale jedna jej czynność przywróciła mu pełną świadomość. Widział twarz Arabelli odbitą w lustrze i zauważył, że zabawia się ona wywoływaniem sztucznych dołeczków na każdym policzku, używając z perfekcją wspomnianego już osobliwego sposobu – błyskawicznego wessania. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że dużo rzadziej widzi teraz dołeczki na jej twarzy niż we wcześniejszej fazie ich znajomości.

– Nie rób tego, Arabello! – odezwał się nagle. – Nic w tym nie ma złego, ale... nie podoba mi się to.

Arabella spojrzała na niego ze śmiechem.

– Boże wielki, nie wiedziałam, że nie śpisz! – powiedziała. – Jaki z ciebie wsiowy prostak. Cóż to takiego?

– Gdzieżeś się tego nauczyła?

– Skąd ja mogę pamiętać? Dołeczki utrzymywały się bez trudu, kiedy usługiwałam w knajpie, ale teraz jakoś nie chcą. Miałam wtedy pełniejsze policzki.

– Nie zachwycam się specjalnie dołeczkami. Nie sądzę, żeby dodawały kobiecie uroku, zwłaszcza kobiecie zamężnej i z taką pełną figurą jak ty.

– Większość mężczyzn jest innego zdania.

– Nie obchodzi mnie, jakiego zdania jest większość mężczyzn, jeśli

nawet mają jakieś zdanie. Zresztą skąd o tym wiesz?

– Tak mi mówiono w czasach, kiedy usługiwałam w barze.

– Ach, tak! Doświadczenia z knajpy tłumaczą twoje wiadomości o sfałszowanym piwie, co wyszło na jaw w tamtą niedzielę, kiedyśmy je pili. Gdy braliśmy ślub, myślałem, że zawsze mieszkałaś przy rodzicach.

– Gdybyś się był zastanowił, uderzyłoby cię, że mam więcej ogłady, niż mogłabym jej nabyć, tkwiąc zawsze tam, gdzie przysłałam na świat. W domu nie było nic do roboty, nudziłam się, więc wyjechałam na trzy miesiące.

– Teraz będziesz miała aż nadto roboty, prawda?

– Co przez to rozumiesz?

– No, oczywiście, te wszystkie drobiazgi do uszycia...

– Ach!

– Kiedy to będzie? Czy nie możesz mi podać dokładnej daty zamiast napomykania, jak to robiłaś do tej pory?

– Powiedzieć ci?

– Tak, powiedz mi, kiedy to będzie.

– Nie ma co mówić. Pomyliłam się.

– Jak to!

– Pomyłka, i już.

Juda usiadł wyprostowany w łóżku i spojrzał na nią.

– Jakże to możliwe?

– Kobietom coś się czasem wyda nie tak, jak jest.

– Ale przecież... przecież, będąc tak nieprzygotowany, bez jednego stołka i prawie bez grosza, nie byłbym przyśpieszał naszego ślubu i sprowadzał cię do na pół urządzonego domu, żeby nie ta nowina, którą mi zakomunikowałaś. Wobec tego musiałem cię ratować, czy byłem gotów, czy nie... O Boże!

– Nie przejmuj się tak, mój drogi. Stało się i nie odstanie.

– Nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Po tej prostej odpowiedzi położył się i zapanowało milczenie.

Gdy Juda obudził się następnego ranka, wydało mu się, że patrzy na świat innymi oczami. Co do tamtej sprawy, musiał przyjąć słowa Arabelli za dobrą monetę. W danych okolicznościach nie mógł postąpić inaczej wobec powszechnie panujących poglądów. Ale w jaki sposób te

poglądy stały się powszechne?

Mgliście i niejasno dostrzegając coś złego w rytuale społecznym, który narzucał konieczność zaniechania projektów starannie opracowanych w ciągu całych lat rozmyślań i trudu i zrezygnowania z jedynej sposobności, kiedy człowiek może wykazać swą przewagę nad niższymi zwierzętami, jak również z wkładu pracy w ogólny postęp swego pokolenia dlatego tylko, że odezwał się w nim niespodziewanie nowy, przemijający instynkt, z natury niewystępny, a co najwyżej zasługujący na miano słabości. Juda skłonny był zadawać sobie pytanie, co też uczynił, i co ona utraciła, aby sobie zasłużyć na te sidła, które mogą okaleczyć i jego, a kto wie, czy i nie ją także, na resztę życia? Coś pocieszającego zdawał się wróżyć fakt, że bezpośredni powód jego małżeństwa w rzeczywistości nie istniał. Niemniej małżeństwo zostało.

X

Nadszedł czas bicia wieprza, którego Juda z żoną utuczili w chlewku przez jesienne miesiące. Zaszlachtowanie miało nastąpić o pierwszym brzasku, żeby Juda zdążył dojść do Alfredston, nie tracąc więcej jak ćwierć dnia pracy.

Noc wydawała się dziwnie cicha. Juda wyjrzał przez okno na długo przed świtem i zauważył, że ziemię pokryła warstwa śniegu, dość gruba jak na tę porę roku, a pojedyncze płatki jeszcze wirują w powietrzu.

– Boję się, że człowiek, który ma zakłuć wieprza, nie będzie mógł przyjść – powiedział do Arabelli.

– Dlaczego? Przyjdzie na pewno. Musisz już wstać i zagrzać wody, jeśli chcesz, żeby Challow sparzył wieprzka. Chociaż ja uważam, że najlepsze jest osmalanie.

– Już wstaję – rzekł Juda. – Wolę zwyczaje z moich stron. Zszedł na dół, rozpalił ogień pod miedzianym kotłem i zaczął podsycać płomień grochowinami. Obywał się bez świecy, bo żar rzucał wesoły blask na izbę, chociaż pamięć o celu ognia mąciła wesołość nastroju: miał

przecież rozgrzać wodę do sparzenia szczeciny na ciele zwierzęcia, które jeszcze żyło, którego głos ciągle odzywał się z kąta ogrodu. O wpół do siódmej, kiedy spodziewano się przyjścia rzeźnika, woda już się gotowała, a Arabella zeszła do kuchni.

– Czy Challow przyszedł? – zapytała.

– Nie.

Czekali dalej, a przez ten czas rozwidniało się na dworze ponurym światłem śnieżnego brzasku. Arabella wyszła, spojrzała na drogę i powróciwszy, rzekła:

– Nie widać go. Pewnie się wczoraj spił. Śniegu nie ma tyle, aby go to mogło zatrzymać.

– A więc trzeba odłożyć bicie świni. Tyle tylko, że wodę zagrzałem na darmo. Może w dolinie spadło więcej śniegu.

– Nie można odłożyć. Nie ma już paszy dla wieprzka. Wczoraj rano dostał resztę osypki jęczmiennej.

– Wczoraj rano? A co jadł potem?

– Nic.

– Jak to? Wcale mu nie dawałaś jeść?

– No tak. Zawsze się tak robi przez dzień czy dwa, żeby sobie oszczędzić kłopotu z flakami. Cóż to za nieuctwo, żeby o tym nie wiedzieć!

– Dlatego tak kwiczy. Biedne stworzenie!

– W każdym razie ty go musisz zakłuć, nie ma innej rady. Pokażę ci jak. Albo zrobię to sama, chyba potrafię. Chociaż wolałabym, żeby go zaszlachtował Challow, bo wieprzek jest duży. Na szczęście przysłał tu swój koszyk z nożami i ze wszystkim i możemy ich użyć.

– Ty nie powinnaś tego robić! – rzekł Juda. – Jeśli nie ma innej rady, ja się do tego wezmę.

Poszedł przed chlewek, odsunął szuflę śnieg na przestrzeni paru jardów i umieścił naprzeciwko stołek z nożami i postronkiem, żeby je mieć na podorędziu. Przygotowania te śledził z najbliższego drzewa gil, ale nie gustując w ponurym charakterze sceny, odfrunął dalej, chociaż był głodny. Teraz już i Arabella przyłączyła się do męża i Juda z postronkiem w ręce wszedł do chlewka i złapał na pętlę przerażone zwierzę, które po kwiku wyrażającym zdumienie, wydawało

powtarzające się odgłosy wściekłości. Arabella otworzyła drzwiczki i razem wciągnęli na stół ofiarę nogami do góry; Juda trzymał wieprzka, a Arabella związała go, oplątując mu postronkiem nogi, żeby przestał się szamotać.

Kwik zwierzęcia zmienił swe brzmienie. Nie była to już wściekłość, ale wołanie rozpacz, przeciągłe, rozwlekłe i beznadziejne.

– Słowo daję, wolałbym obyć się bez świni niż coś podobnego wykonać – powiedział Juda. – I to na stworzeniu, które karmiłem własnymi rękami.

– Nie bądźże takim durniem z miękkim sercem. O, tu jest nóż do zakłucia, ten z ostrym końcem. W każdym razie nie kłuj go zbyt głęboko.

– Zakłuję go skutecznie, żeby to jak najkrócej trwało. To najważniejsze.

– Nie róbże tego! – krzyknęła. – Krew powinna dobrze spłynąć, a na to trzeba, żeby wieprzek zdychał powoli. Jeśli mięso będzie czerwone i przekrwione, stracimy szylinga na każdym dwudziestu funtach... Przekłuj tylko żyłę, nic więcej. Przecież od małego na to patrzałam i wiem, co trzeba robić. Każdy dobry rzeźnik pilnuje, żeby wieprzek długo krwawił. Powinno to trwać co najmniej osiem czy dziesięć minut.

– Nie będzie trwało nawet pół minuty, jeśli tylko mi się uda, choćby mięso miało nie wiem jak wyglądać – powiedział Juda z determinacją. Usuwając szczecinę z odwróconego podgardla świni – widział, jak to robią rzeźnicy – przeciął warstwę tłuszczu, a potem wepchnął nóż z całej siły.

– A niech to licho weźmie! – zawołała Arabella. – Że też ci w ogóle o tym wspominałam. Za głęboko go dźgnąłeś! A przecież tłumaczyłam ci cały czas...

– Cicho, Arabello. Miej trochę litości nad tym stworzeniem!

– Nic już nie gadaj, tylko podstaw wiaderko na krew!

Przedsięwzięcie zostało dokonane wprawdzie niefachowo, ale z miłosierdziem. Krew trysnęła strumieniem zamiast kapać strużką, jak sobie tego życzyła Arabella. Kwik kończącego życie zwierzęcia przybrał trzeci i ostateczny ton, przechodząc w okrzyk cierpienia. Mgłą

zachodzącymi oczyma patrzył na Arabellę z wymownym i ostrym wyrzutem istoty, która wreszcie przejrzała zdradę tych, co wydawali się dotąd jedynymi przyjaciółmi.

– Zrób coś, żeby przestał! – powiedziała Arabella. – Ten hałas w końcu kogoś zwabi, a ja nie chcę, aby ludzie się dowiedzieli, że robimy to sami.

Podniosła z ziemi nóż, rzucony tam przez Judę, wsunęła w ranę i rozcięła tchawicę. Wieprzek od razu ucichł i przez przecięty otwór wydał ostatnie tchnienie.

– No i w porządku – orzekła Arabella.

– Co za wstrętna robota! – powiedział Juda.

– Ktoś musi szlachtować wieprze.

Zwierzę uniosło się w ostatnich drgawkach i mimo postronka wierzgnęło ostatkiem siły. Wypłynęło trochę czarnej skrzepłej krwi, a czerwona krew przestała się już sączyć od paru sekund.

– No to już, teraz już skończy – powiedziała Arabella. – Te zmyślne stworzenia zawsze zostawiają na sam ostatek taką kroplę!

Ostatnie uderzenie przyszło tak nagle, że Juda zachwiał się i odzyskując równowagę, przewrócił naczynie, do którego ściekała krew.

– Jeszcze tego brakowało! – zawołała Arabella z pasją. – Teraz już nie będę mogła zrobić krwawej kiszki. Co za strata! A to wszystko przez ciebie!

Juda postawił z powrotem wiadro, ale została już w nim tylko trzecia część dymiącej cieczy, a większa część zawartości chlusnęła na śnieg, stwarzając ponury, ohydny, odrażający widok dla tych, którzy widzieli w tym coś innego niż zwykły sposób otrzymywania mięsa. Wargi i nozdrza zwierzęcia zsiniały, potem zbieleły, rozluźniły się jego mięśnie.

– Chwała Bogu! – odezwał się Juda. – Już nie żyje.

– Chciałabym wiedzieć, co Pan Bóg ma wspólnego z taką brudną robotą jak bicie wieprza! – powiedziała pogardliwie Arabella. – Biedni ludzie muszą z czegoś żyć.

– Wiem, wiem – powiedział. – Przecież ciebie nie winię.

Zorientowali się nagle, że ktoś do nich zagadał tuż obok.

– Młoda para pięknie się uwinęła! Sam nie zrobiłbym tego lepiej,

słowo dają!

Ten schrypnięty głos rozległ się od strony ogrodowej furtki, gdzie ujrzeli pokązaną postać pana Challowa wspartego na bramie i przyglądającego się krytycznie ich poczynaniom.

– Dobrze panu tak stać i gapić się! – powiedziała Arabella. – Przez to, że się pan spóźnił, mięso jest przekrwione i prawie na nic! Nie weźmie się za nie więcej jak szylinga za dwadzieścia funtów.

Challow wyraził swoją skruchę.

– Trzeba było jeszcze chwilę poczekać – powiedział, kiwając głową – a nie zabierać się do tej roboty, w pani delikatnym stanie na dodatek. To za wielkie ryzyko.

– Już o to proszę się nie troszczyć – odparła Arabella ze śmiechem. Juda roześmiał się także, ale w jego wesołości dźwięczała nuta gorzkości.

Szybkością przy sparzaniu i sprawianiu wieprza Challow wynagrodził swoją nieobecność przy biciu. Juda z ludzkiego punktu widzenia był niezadowolony, chociaż zdawał sobie sprawę, że to nierozsądnie, bo przecież rzecz nie uległaby zmianie, gdyby zaszlachtowania dokonał ktoś inny. Biały śnieg splamiony krwią istoty żyjącej tak jak i on raził go, jako miłośnika Sprawiedliwości, żeby nie powiedzieć: chrześcijanina, jakimś brakiem logiki. Nie widział jednak możliwości naprawienia zła. Widocznie był durniem o miękkim sercu, jak go nazwała żona.

Nie lubił teraz gościńca do Alfredston. Spozierał mu on cynicznie w twarz. Mijane szczegóły przypominały Judzie tak wyraźnie okres konkurów, że aby na nie nie patrzeć, czytał po drodze do pracy i z pracy, ile razy tylko się dało. Czasami jednak miał wrażenie, że zajmując się książkami, ani nie ucieka od powszedniości, ani nie przyswaja sobie nieprzeciętnych pojęć – podobny osąd spotkać można było teraz u każdego człowieka ze sfery robotniczej. Przechodząc pewnego dnia nieopodal miejsca, gdzie poznał Arabellę, Juda usłyszał rozmowę – podobnie jak wtedy. Jedna z dawnych koleżanek Arabelli mówiła coś do drugiej dziewczyny w szopie, a tematem rozmowy był on sam, może dlatego, że zobaczyły go z daleka. Nie zdawały sobie sprawy, że ściany szopy są cienkie i każde słowo dochodzi do jego uszu.

– W każdym razie to ja ją do tego namówiłam! „Kto nie ryzykuje,

ten nic nie ma” – tak jej powiedziałam. Gdyby nie to, nie śniłoby mu się z nią ożenić, tak jak i ze mną.

– Doskonale wiedziała, że nic z nią nie jest, głowę za to daję, wtedy, gdy mu powiedziała, że...

Na co ta dziewczyna mogła namówić Arabellę, aby w rezultacie on się z nią ożenił? Domysł był ogromnie nieprzyjemny i gnębił go do tego stopnia, że zamiast wejść do własnego domu przerzucił swój koszyk przez furtkę i poszedł dalej, do ciotki, u której został na wieczerzy.

Wrócił dość późno. Arabella była zajęta topieniem smalcu z zabitego wieprzka, bo cały dzień spacerowała i opóźniła się z robotą. Obawiając się, że podsłuchana rozmowa może go skłonić do jakiegoś niepożądanego wybuchu, Juda mało się odzywał. Ale Arabella była bardzo rozmowna i między innymi oświadczyła, że potrzebuje pieniędzy. Zobaczywszy książkę wystającą mu z kieszeni, dodała, że powinien więcej zarabiać.

– Z reguły, moja droga, zarobki terminatora nie są tak obliczane, aby mógł on utrzymać żonę.

– W takim razie nie powinieneś być się żenić.

– No wiesz, Arabello. To już za wiele, skoro wiadomo, jak do tego doszło.

– Mogę przysiąc przed Bogiem, że mówiąc ci to, sądziłam, że mówię prawdę. Doktor Vilbert był również tego zdania. Twoje szczęście, że stało się inaczej.

– Nie o to mi chodzi – powiedział śpiesznie. – To nie była twoja wina, wiem. Ale twoje przyjaciółki źle ci poradziły. Gdyby tego nie zrobiły lub gdybyś ty ich nie posłuchała, byłibyśmy w tej chwili wolni od więzów, które, nie obwijając w bawełnę, piekielnie drażnią i ciebie, i mnie. Bardzo to może smutne, ale prawdziwe.

– Kto ci mówił o moich przyjaciółkach? Co to znaczy: poradziły mi? Musisz mi to wyjaśnić.

– Phi, wolałbym nie.

– Ale musisz... i nawet powinieneś. To podle z twojej strony, że nie chcesz.

– Doskonale. – I delikatnie napomknął, czego się dowiedział. – Ale nie mam zamiaru rozwodzić się nad tym. Nie mówmy już więcej na ten

temat.

Arabella zrezygnowała z zaczepnej postawy.

– O co chodzi? – powiedziała ze śmiechem, z którego wiał chłód. – Każda kobieta ma prawo tak postąpić. Sama ponosi ryzyko.

– Nie zgadzam się z tym, Bello. Mogłaby, gdyby nie dożywotnia kara, która się z tym łączy, dla mężczyzny, albo jeśli on zawiedzie, dla niej samej, gdyby słabość jednej chwili mogła się skończyć z tą chwilą czy nawet z tym rokiem. Ale skoro skutki sięgają aż tak daleko, kobieta nie powinna uciekać się do sposobu, którym jak w pułapkę chwyta się mężczyznę, jeśli jest uczciwy, a siebie samą, jeśli jest przeciwnie.

– Co miałam zrobić w takim razie?

– Zostawić mi trochę czasu... Czemu się kręcisz dzisiaj przy topieniu tego smalcu? Proszę cię, zostaw to już!

– Będę musiała zrobić to jutro rano. Nie można tego dłużej trzymać.

– W takim razie rób sobie, jak chcesz.

XI

Nazajutrz, a była to niedziela, Arabella zabrała się znów do roboty około dziesiątej, a podjęta na nowo praca przypomniała rozmowę, która jej towarzyszyła poprzedniego wieczoru, i wprowadziła młodą kobietę w ten sam trudny do zniesienia humor.

– A więc to tak się o mnie gada w Marygreen?... że cię złapałam w sidła? A to dopiero była z ciebie zwierzyzna zesłana od Pana Boga!

Złość w niej wzbierała i zobaczyła wtedy na stole ukochanych klasyków Judy.

– Nie chcę tutaj tych książek, zawadzają mi tylko! – krzyknęła gniewnie i chwytając jedną po drugiej, zaczęła je ciskać na podłogę.

– Zostaw w spokoju moje książki! – powiedział Juda. – Mogłaś je odłożyć, jeśli chciałaś, ale to wstrętne tak je brudzić.

Przy topieniu smalcu Arabella unurzała ręce w gorącym tłuszczu,

palce jej zatem zostawiły bardzo wyraźne ślady na okładkach książek. Naumyślnie dalej ciskała książkami po podłodze, aż Juda, wzburzony ponad miarę, schwycił ją za ramiona, żeby przestała. Rozluźnił przy tym węzeł jej włosów, które opadły na szyję.

– Puść mnie! – powiedziała Arabella.

– Przrzeknij, że nie ruszysz książek.

Zawahała się.

– Puść mnie! – powtórzyła.

– Przrzeknij!

– Przrzekam – powiedziała po chwili.

Juda zwolnił uścisk, a Arabella przemierzyła izbę do drzwi i z zaciętą miną wyszła przed dom i na gościniec. Tu zaczęła wałęsać się tam i z powrotem, burząc włosy i doprowadzając je do jeszcze większego nieładu, odpięła także parę guzików u sukni. Niedzielny poranek był piękny, suchy, przejrzysty i mroźny i z wiatrem północnym dochodziły dźwięki dzwonów kościelnych z Alfredston. Gościńcem szli ludzie odświętnie przyodziani, przeważnie czule pary jak Juda i Arabella kilka miesięcy temu w trakcie przechadzek po tym samym szlaku. Przechodnie zaczęli oglądać się na widowisko, jakie z siebie zrobiła Arabella; była z gołą głową, potargana, z włosami rozwianymi na wietrze, w rozpiętym staniku, z rękawami odwiniętymi za łokcie i dłońmi ociekającymi stopionym tłuszczem. Jeden z przechodniów powiedział z udanym przestachem: „Panie Boże wielki, miej nas w swojej opiece!”.

– Patrzcie, ludzie, jak on mnie traktuje! – krzyczała Arabella. – Każe mi pracować w niedzielę rano, kiedy powinnam iść do kościoła. I targa mnie za włosy, i zdiera mi suknię z grzbietu!

Juda, doprowadzony do ostateczności, wyszedł na dwór, aby ją siłą zaciągnąć do domu. Ale nagle opuściła go złość. Zdał sobie nagle sprawę, że między nimi wszystko już skończone i nie ma znaczenia, co każde z nich robi; stanął też bez ruchu, patrząc na żonę. Życie obojga spotkała ruina, myślał; ruina spowodowana podstawową pomyłką, jaką było ich małżeństwo: oparli mianowicie nienaruszalną umowę na przelotnym uczuciu niemającym nic wspólnego z tym pokrewieństwem charakterów, które czyni znośnym związek zawarty na całe życie.

– Czy masz zamiar źle mnie traktować dla samej zasady, ponieważ twój ojciec znęcał się nad matką, a siostra twego ojca nad swoim mężem? – zapytała Arabella. – Cała wasza rodzina taka dziwna w pożyciu małżeńskim.

Juda utkwiał w żonie zdumione spojrzenie. Ale ona już zamilkła i dopóty chodziła po gościńcu, dopóki się nie zmęczyła. Juda zaś wyszedł z domu i błądził jakiś czas bez celu, aż w końcu zwrócił się w stronę Marygreen. Poszedł do ciotki, która z każdym dniem stawała się bardziej niedołączna.

– Ciotko – zapytał od razu, siadając przy ogniu. – Czy to prawda, że ojciec źle traktował matkę, a ciocia, jego siostra, swego męża?

Staruszka podniosła na niego oczy spod rąbka staromodnego czepka, który zawsze nosiła.

– Któż ci o tym powiedział? – zapytała.

– Tak ludzie mówią i chciałbym dowiedzieć się prawdy.

– Może i trzeba, żebyś wiedział, chociaż twoja żona, a widzi mi się, że to od niej wiesz, musi mieć źle w głowie, żeby wracać do tego. Wiele do opowiadania nie ma. Twój rodzice nie mogli się jakoś zgodzić i rozstali się. Pokłócili się ostatni raz – byłeś wtedy zupełnie malutki – w powrotnej drodze z targu w Alfredston, tam na wzgórzu, przy stodole, i pożegnali się na zawsze. Twoja matka wkrótce zeszła z tego świata, krótko mówiąc, utopiła się, a ojciec zabrał cię, wyprowadził się na południe Wesseksu i nigdy tu już więcej nie wrócił.

Juda przypomniał sobie milczenie ojca zarówno o północnych stronach Wesseksu, jak i o matce; nigdy nie poruszał tych tematów aż do dnia śmierci.

– Podobna historia była z siostrą twego ojca. Mąż ją obraził i nabrała potem do niego takiego wstrętu, że wyjechała do Londynu ze swoją dziewczuszką. Rodzina Fawleyów nie nadaje się do więzów małżeńskich: więzy te nigdy jakoś do nas nie pasowały. Coś widać płynie w naszej krwi, co burzy się w nas na myśl o obowiązku czynienia czegoś, co z gotowością uczynilibyśmy z własnej woli. Dlatego powinieś był mnie posłuchać i nie żenić się.

– Gdzie się rodzice rozstali, ciotko? Przy Brown House?

– Trochę dalej, przy rozstajnych drogach do Fenworth, obok

drogowskazu. Kiedyś stała tam szubienica, także nieobca historii naszej rodziny. Ale dosyć już o tym.

O zmierzchu Juda pożegnał ciotkę i ruszył niby to do domu. Ale gdy doszedł do błonia, pobiegł szybko tamtędy, aż do dużej okrągłej sadzawki. Mróz trzymał nadal, choć niezbyt ostry, i duże gwiazdy powoli ukazywały się i migotały w górze. Juda postawił jedną, a potem drugą nogę na skraju lodu, który pod nim zatrzeszczał. Ale to go nie odstraszyło. Przedarł się od brzegu sadzawki na jej środek po głośno trzeszczącym lodzie. Blisko środka obejrzał się naokoło i skoczył. Nie poszedł jednak na dno, chociaż trzask się powtórzył. Skoczył znowu, ale lód przestał już trzeszczeć. Juda wrócił do brzegu sadzawki i stanął na ziemi.

„Ciekawe” – pomyślał. W jakim celu los go zachował? Może nie posiadał dostatecznej godności na samobójcę. Spokój niosąca śmierć odwracała się od niego i nie chciała go zabrać.

Cóż mógł więc uczynić jeszcze bardziej poniżającego niż koniec z samym sobą; co było jeszcze podlejsze, jeszcze bardziej zgodne z jego obecnym pohańbieniem? Mógł się upić. Tak, jeszcze to mu pozostało, zapomniał o tym. Wódka była zwykłą i pospolitą ucieczką zrozpaczonych i nikczemnych. Ruszył ku północy, w dół wzniesienia, i trafił na jakiś nędzny szynk. Gdy już wszedł i siadł, obrazek przedstawiający Samsona i Dalilę przypomniał mu, że był tu z Arabellą w pierwszą niedzielę ich zbliżenia. Juda zamówił wódkę i pił bez przerwy przez godzinę czy nawet dłużej.

Gdy późno w nocy wracał chwiejnie do domu, opuściła go już depresja, ale będąc jeszcze dosyć trzeźwy, zaczął się hałaśliwie śmiać na myśl, jak go w tej nowej postaci przyjmie Arabella. W domu panowała zupełna ciemność i gdy wszedł, zamroczony, upłynęło parę chwil, zanim zapalił światło. Okazało się wtedy, że chociaż pozostały ślady sprawiania wieprza i topienia smalcu, same te produkty sprzątnięto. A na starej kopercie, przypiętej szpilką do mieszka przy kominku, znalazł parę słów skreślonych ręką żony.

„Poszłam do znajomych. Nie wrócę już”.

Cały następny dzień Juda spędził w domu. Odesłał sprawionego wieprza do Alfredston, potem wysprzątał mieszkanie, zamknął drzwi,

klucz umieścić w umówionym miejscu, na wypadek powrotu Arabelli, sam zaś poszedł do swego zajęcia w Alfredston.

Gdy wrócił do domu wieczorem, Arabelli nie zastał. Tak samo upłynął następny dzień i jeszcze następny. Wreszcie przyszedł od niej list.

Przyznawała otwarcie, że już ma go dosyć. Taki z niego stary nudziarz i wcale jej nie odpowiada jego tryb życia. Nie wygląda na to, aby mógł poprawić swój czy jej los. Następnie Arabella oznajmiła, że, jak wiedział, rodzice od pewnego czasu zamierzali wyjechać do Australii, bo hodowla trzody chlewnej kiepsko się teraz opłacała. Zdecydowali się ostatecznie na wyjazd i, o ile Juda nie będzie temu przeciwny, ona także chciałaby im towarzyszyć.

Kobieta jej pokroju znajdzie w Australii więcej szans niż tu, w tym głupim kraju.

Juda odpisał, że nie ma najmniejszych zastrzeżeń co do jej wyjazdu. Uważał ten projekt za rozsądny, skoro miała ochotę wyjechać; takie rozwiązanie może być korzystne dla nich obojga. Do listu dołączył sumę uzyskaną ze sprzedaży wieprza i wszystkie pieniądze, którymi rozporządzał, choć nie było tego wiele.

Od tej chwili nie zetknął się już bezpośrednio z Arabellą, chociaż ojciec jej wraz z rodziną nie wyjechał od razu, czekając na sprzedaż towarów i rzeczy. Dowiedziawszy się o licytacji w domu Donnów, Juda załadował na furgon swoje sprzęty i wysłał je tam, aby Arabella mogła sprzedać je bądź wszystkie razem, bądź też tylko to, co zechce.

Potem przeprowadził się do Alfredston i tam pewnego dnia zobaczył w jakimś oknie wystawowym małą kartkę z ręcznie wypisanym ogłoszeniem o wyprzedaży mebli teścia. Zapamiętał dzień, który nadszedł i minął, ale Juda nie zbliżył się do lokalu licytacji ani nawet nie zauważył, że z tego powodu zwiększył się ruch z Alfredston na południowym trakcie. W parę dni później zaszedł do nędznego sklepu licytatora przy głównej ulicy miasta i wśród różnorodnej kolekcji garnków, uprząży, wałków do ciasta, mosiężnych lichtarzy, luster i innych przedmiotów złożonych w głębi sklepu, widocznie wprost z niedawnej licytacji, zauważył niewielką ramkę z fotografią, która okazała się jego własną podobizną.

Kazał specjalnie zrobić tę fotografię i oprawić ją u miejscowego fotografa jako podarek dla Arabelli, który wręczył jej w dniu ślubu. Na odwrotnej stronie fotografii widniał napis: „Arabelli – Juda”, wraz z datą. Arabella musiała wyrzucić ją razem z resztą rzeczy przeznaczonych na licytację.

– Ach, to! – powiedział licytator, widząc, że Juda ogląda ramkę i inne rzeczy w stosie gratów, a nie zauważywszy, że to jego własna fotografia. – To te graty, które do mnie przyszły z licytacji w jakiejś chacie przy drodze do Marygreen. Ramka jest praktyczna, a fotografię można wyrzucić. Oddam ją panu za szylinga.

Końcowym, drobnym ukłuciem, które było potrzebne, aby w nim zniszczyć wszelkie uczucie, stało się nieme i przypadkowe świadectwo ostatecznego zaniku jakiegokolwiek tkliwości u żony – sprzedaż ofiarowanego jej portreciku. Juda zapłacił szylinga, zabrał fotografię i razem z ramką spalił natychmiast, gdy znalazł się u siebie.

Po paru dniach dowiedział się o wyjeździe Arabelli i jej rodziców. Poprzednio listownie zaproponował jej spotkanie, aby się oficjalnie pożegnać, ale Arabella sądziła, że lepiej tego nie robić, skoro już zapadła decyzja wyjazdu. Może i miała rację. Następnego wieczoru, po pracy, Juda wyszedł po wieczerzy na dwór i przy świetle gwiazd udał się tak dobrze znajomą drogą na wzgórze, gdzie ongiś przeżył najgorętsze wzruszenia. Jakby na nowo objął je w posiadanie.

Nie mógł sobie zrozumieć. Na tym starym szlaku wydał się sobie znowu chłopcem, zaledwie o dzień starszym, niż ten, który, marząc, stał na wierzchołku pagórka, po raz pierwszy natchniony tęsknotą do Christminster i nauki. „A jednak jestem już mężczyzną – powiedział do siebie. – Mam żonę. Co więcej, dożyłem jeszcze dojrzałego wieku, skoro poróżniłem się z nią tak, że doszło do bójki, znienawidziłem ją i w końcu rozstaliśmy się”.

Wtedy przypomniał sobie nagle, że stoi nieopodal miejsca, gdzie rozstali się podobno jego rodzice.

Nieco dalej znajdował się szczyt wzniesienia, skąd widoczne było Christminster, czy też wizja, jaką brał za to miasto. Przy drodze od niepamiętnych czasów leżał kamień milowy. Juda podszedł doń i raczej przeczuł, niż wyczytał zaznaczoną odległość do Christminster.

Przypomniał sobie, że wracając kiedyś do domu, ostrym, nowym dłutkiem na odwrotnej stronie kamienia z dumą wyrył napis, wyrażając w nim swe aspiracje. Zdarzyło się to w pierwszym tygodniu terminatorstwa, zanim jeszcze źle wybrana kobieta nie odciągnęła go od jego zamierzeń. Ciekaw był, czy napis da się jeszcze odczytać i, zaszedłszy od tyłu, rozchylił pokrzywy. W świetle zapałki ukazały się wyraźnie znaki z takim zapałem wycięte przed laty:

TAM

J. F.

Widok napisu, który przetrwał niezniszczony pod osłoną trawy i pokrzyw, wzniecił mu w duszy iskrę dawnego ognia. Nawet jeśli dostrzeże ohydę świata, powinien chyba dążyć naprzód, wśród sprzyjających czy niesprzyjających okoliczności, i wyzwolić się od chorobliwego smutku. *Bene agere et laetari* – z pogodą czynić dobrze – zasada wyznawana, jak słyszał, przez pewnego filozofa o nazwisku Spinoza mogła stać się jego hasłem nawet i teraz.

Mógł przecież zмагаć się ze swą złą gwiazdą i wprowadzać w czyn początkowe zamiary.

Odszedł nieco w bok, skąd rozciągał się przed nim widnokrąg w kierunku północno-wschodnim. Majaczyła tam słaba poświata, niewyraźna i przyćmiona mgławica ledwie dostrzegalna, chyba okiem wiary. To mu wystarczało. Pójdzie do Christminster, gdy tylko upłynie okres terminatorstwa.

Wrócił do siebie w lepszym nastroju i odmówił pacierze.

[1] Wersety z Pisma św. cytowane są w przekładzie J. Wujka.

[2] Jak głosi tradycja, duch myśliwego Herne'a ukazywał się o północy w lesie koło Windsoru, krążąc wokół dębu noszącego to samo imię. Historię tę opisał Szekspir w *Wesołych kumoszkach z Windsoru*.

[3] Apollyon – anioł przepaści zwany Niszczycielem w Księdze Apokalipsy. Postać tego anioła opisał Bunyan w *Wędrownicy pielgrzymy*. (Objawienie św. Jana Apostoła, IX, 11).

[4] Horacego.

[5] Febie i lasów potężna Diano! (łac.)

[6] Jako czegoś możliwego (łac.).

[7] Nowy Testament (gr.).

Część druga

W CHRISTMINSTER

Żadna mu nie przyświeca
gwiazda prócz własnej duszy.

(SWINBURNE)

Notitiam primosque gradus vicinia
fecit; tempore crevit amor.

Z sąsiedztwa znajomość
powstała, pierwsze zbliżenia.

Czas zrodził miłość.

OWIDIUSZ

I

Upłynęło blisko trzy lata od czasu, gdy zieleń mijanych drzew patronowała konkrom Judy, i od zerwania prostackiego pożycia z Arabellą. Teraz rozpoczął się nowy, godny uwagi etap w jego życiu. Przez pogrążoną w mroku okolicę wędrował równym krokiem w kierunku Christminster[8] i znajdował się już w odległości paru mil od południowo-zachodniego krańca miasta.

Nareszcie zostawił za sobą Marygreen i Alfredston: wyzwolony z terminu, z narzędziami na plecach, stawiał pierwsze kroki w kierunku nowego życia. Tęsknił do tej chwili prawie od dziesięciu lat, z przerwą, którą spowodowało zbliżenie do Arabelli i przeżycia w okresie ich małżeństwa.

Juda był teraz młodzieńcem nie tyle przystojnym, co obdarzonym twarzą budzącą zaufanie, o myślącym i poważnym wyrazie. Miał ciemną cerę i ciemne, harmonizujące z nią oczy; krótko przystrzyżona czarna broda rosła nieco obficie niż zwykle u mężczyzn w jego wieku. Silny zarost i czarne, bujne i falujące włosy przysparzały mu trochę kłopotu przy wyczesywaniu i zmywaniu pyłu z kamienia, który na nich osiadał w trakcie pracy. Umiejętności zawodowe Judy, dość różnorodne, bo nabyte na prowincji, obejmowały kamieniarskie roboty nagrobkowe, obróbkę piaskowca w stylu gotyckim przy odnawianiu kościołów i rzeźbę w ogólniejszym zastosowaniu. W Londynie wyspecjalizowałby się pewnie w wykonywaniu gzymsów czy ornamentów, a może nawet jako rzeźbiarz.

Po południu Juda wyjechał z Alfredston wózkami do wsi leżącej najbliżej miasta, a przez pozostałe cztery mile wędrował piechotą, z wyboru raczej niż z konieczności, bo zawsze marzył, że właśnie w ten sposób przybędzie do Christminster.

Ta ostatnia przyczyna wyjazdu miała swe osobliwe źródło i bardziej była związana z uczuciową niż rozumową stroną natury Judy, jak to zresztą nieraz bywa u młodych ludzi. Z Alfredston, gdzie mieszkał, poszedł pewnego dnia odwiedzić starą ciotkę w Marygreen i na kominku, między parą mosiężnych lichtarzy, zauważył fotografię ładnej dziewczęcej twarzyczki w kapeluszu z szerokim rondem, które od spodu miało promieniste fałdki podobne do promieni w aureolach świętych. Juda zapytał, kto to taki, i otrzymał od ciotki opryskliwe wyjaśnienie, że jest to jego kuzynka ze zwaśnionej gałęzi rodziny, Sue Bridehead. W ciągu dalszej indagacji staruszka powiedziała, że dziewczyna mieszka w Christminster, nie zna wszakże ani jej adresu, ani zajęcia.

Ciotka nie chciała mu dać fotografii, ale podobizna dziewczyny nie dawała Judzie spokoju i ostatecznie stała się czynnikiem, który pobudził drzemiący w nim zamiar pójścia do Christminster śladami ukochanego nauczyciela.

Juda zatrzymał się teraz na szczycie łagodnie wygiętej pochyłości i stąd po raz pierwszy zobaczył miasto z bliska. Zbudowane z szarego kamienia, o ciemnych dachach, wznosiło się ono tuż przy granicy Wesseksu, wkraczając weń niejako jednym czubkiem stopy w najdalszym, północnym punkcie krętej linii Tamizy, która ospale muskała ziemię tej starej krainy. Christminster leżało ciche w świetle zachodu; gdzieniegdzie kurek na jednej z licznych wieżyc i kopuł ożywiał obraz złożony ze spokojnych, przygaszonych i ciemnawych odcieni.

Zszedłszy ze wzgórza, Juda ruszył dalej równym gościńcem między szeregiem wierzb o przystrzyżonych koronach, których kontury roztopiały się już w zmierzchu. Wkrótce spotkał najdalej wysunięte latarnie miejskie; to one słały w niebo światłość i aureolę, jaka przed laty, w okresie marzeń, przyciągnęła wyteżony wzrok chłopca. Mrugały niepewnie, tak jakby witając go teraz z niechęcią, chociaż czekały nań przez wszystkie te lata zniecierpliwione jego opieszałością.

Juda przypominał Dicka Whittingtona, który marzył o celach wyższych niż poziomy zysk materialny. Ostrożnym krokiem podróżnika sunął przedmieściami. Wśród ulic leżących z tej strony nie dostrzegał

jeszcze nic z istoty Christminster. Ale ponieważ przede wszystkim potrzebował mieszkania, dokonywał baczego przeglądu domostw, które mogłyby dostarczyć mu najskromniejszej kwatery na niewygórowanych warunkach. Wreszcie wynajął pokój na przedmieściu przezwanym „Beersheba”, chociaż jeszcze o tym przydomku nie wiedział. Zainstalował się, zjadł podwieczorek i wyszedł na miasto.

Noc była wietrzna, pełna szelestów, bezksiężycowa. Aby się zorientować w kierunku, Juda rozłożył pod latarnią mapę, którą z sobą zabrał. Wiatr nią szarpał i targał, ale udało mu się rozpatrzeć w niej na tyle, aby znaleźć drogę do serca miasta. Skręcając w coraz to nowe ulice, natknął się na pierwszą starą bryłę średniowiecznej budowli. Było to kolegium, jak to poznał po bramie. Wszedł do środka, okrążył cały dziedziniec, zajrzał do mrocznych zakątków, dokąd nie docierało światło latarni. Obok tego kolegium było następne, a zaraz za tym jeszcze inne; wtedy otoczyło go już tchnienie i atmosfera dostojnego miasta. Gdy mijał zabudowania nieharmonizujące z ogólnym wyrazem Christminster, pozwalał oczom prześliznąć się po nich, jakby wcale nie istniały.

Odezwał się dzwon i Juda słuchał, aż przebrzmiało sto jeden uderzeń. Musiał się omylić, pomyślał. Uderzeń pewnie miało być sto.

Gdy pozamykano bramy i nie mógł już wchodzić na dziedzińce kolegiów, błędził wzdłuż murów i portali, palcami wyczuwając kontury gzymsów i rzeźb. Mijała chwila za chwilą, coraz mniej przechodziło ludzi, a Juda wciąż snuł się wśród cieni miasta. Czyż w ciągu minionych dziesięciu lat nie wywoływał ich wyobraźnią? Cóż wobec tego mogła znaczyć jedna nieprzespana noc? Wysoko na czarnym tle nieba błysk lampy ukazywał czasem pinakle zdobne w ornamenty z liści lub zębate zwieńczenia. W bocznych uliczkach, gdzie najwidoczniej nigdy teraz nie stąpała noga ludzka i których samo istnienie poszło, zda się, w niepamięć, wysuwały się na jezdnię krużganki, wykuszowe okna, odrzwia o bogatej, kwiecistej ornamentacji z doby średniowiecza, przy czym wietrzejące kamienie podkreślały jeszcze ich charakter rzeczy minionych. Wydawało się nieprawdopodobne, aby te zmurszałe i opuszczone domostwa mogły mieścić w sobie nowoczesną myśl.

Juda, który w tym mieście nie znał żywej duszy, zaczął ulegać nastrojowi swego osamotnienia, tak jak gdyby był swoją własną marą,

jakby ruszał się, nie będąc widzianym czy słyszany przez ludzi. Oddychał ostrożnie i czując się prawie duchem, poświęcał uwagę innym zjawom nawiedzającym te zaułki.

W okresie przygotowań do obecnej wyprawy, kiedy żona wraz z ruchomościami zniknęła ostatecznie z horyzontu, Juda przeczytał i przestudiował wszystko, co ktoś w jego położeniu mógł przeczytać i przestudiować na temat znakomitych mężów, którzy spędzali młodość wśród czcigodnych murów Christminster, ich dusze zaś błędziły tam i w czasach późniejszych. W rezultacie tej przypadkowej lektury niektóre osobistości wyrastały w jego wyobraźni do nieproporcjonalnych rozmiarów w porównaniu z innymi. Szelest wiatru muskającego kanty murów, filary i węgarty stwarzały iluzję szelestu kroków tamtych ludzi; szmer każdego liścia bluszczu uderzającego o liść sąsiedni był jak szept ich smętnych dusz, cienie zaś w ciągłym niespokojnym ruchu przypominały ich wątle postacie i czyniły z nich druhów Judy w jego osamotnieniu. Wśród mroku zdawał się wpadać na te widma, nie czując ich cielesnej powłoki.

Ulice opustoszały teraz całkowicie, ale Juda nadal ociągał się z powrotem. Wraz z nim snuli się poeci dawnych czasów i nowych, od przyjaciela i chwalcę Szekspira do tego, co niedawno zamilkł na zawsze, i do twórcy muzycznych strof, który jeszcze zaliczał się do żyjących. Ciągnęli mimo zamyśleni filozofowie, niekoniecznie ze zmarszczonym czołem i siwizną przyprószonymi włosami jak na oprawnych portretach, ale o różnych licach, smukli i zwinni, tacy, jakimi byli w młodości. Szli tutaj również teologowie nowszych czasów, odziani w szaty kościelne, wśród których najbardziej realni dla Judy Fawleya byli przywódcy ruchu teologicznego zwanego traktarianizmem – dobrze znana trójca: entuzjasta, poeta i teoretyk; echa ich nauk dosięgły go swoim wpływem nawet w zapadłym kącie, gdzie dotąd mieszkał. Wstrząsnęła nim niechęć, gdy znikali na widok innych synów Christminster: tęgiego dygnitarza, męża stanu, hulaki, racjonalisty i sceptyka, a także gładko wygolonego historyka, który z tak uprzejmą ironią odnosił się do chrześcijaństwa, i na widok innych podobnych niedowiarków, którzy znali każdy dziedziniec równie dobrze jak i wierzący i tak samo swobodnie poruszali się wśród ich krągów.

Patrzył na mężów stanu o różnych obliczach, mężów o bardziej stanowczych ruchach, a mniej marzącym wyrazie; na uczonego, oratora, mola książkowego, patrzył na tych, których umysł ciągle się rozwijał, i na tych, których umysł ubożał wraz z upływem lat.

Oczami wyobraźni widział przed sobą przedstawicieli nauk ścisłych i filologów, zgrupowanych w dziwaczny i nierealny sposób; mężów o zamyślonych twarzach, o czołach zmarszczonych od natężonej myśli, o oczach słabych jak u nietoperza wskutek ciągłej pracy naukowej. A potem szły osobistości urzędowe, gubernatorzy i głowy administracji – ci go mniej interesowali; sędziowie sądu najwyższego i lordowie kanclerze, milczące postacie o cienkich wargach – zaledwie znał ich nazwiska. Bacniejszą uwagę poświęcał dygnitarzom kościelnym z racji swych dawnych nadziei. Tych miał przed sobą znaczne grono, złożone zarówno z ludzi rządzących się sercem, jak i ludzi kierujących się rozumem. Był tu obrońca Kościoła posługujący się łaciną; świątobliwy autor *Hymnu wieczornego*; a obok wielki wędrowny kaznodzieja, autor hymnów, fanatyk, na którego, jak na Judę, cień rzuciły małżeńskie powikłania.

Juda przyłapał się na głośniejszej rozmowie z tymi postaciami, tak jak aktor w melodramacie zwraca się do widzów po drugiej stronie rampy. Ale nagle zamilkł, zaskoczony absurdalnością tego, co robi. Nieskładne słowa wędrowca mogły dotrzeć za mury domów do jakiegoś studenta czy myśliciela siedzącego u siebie przy lampie; uniesie on może głowę i zastanowi się, czyj to głos i co oznacza. Juda teraz dopiero spostrzegł, że ma dla siebie całe to sędziwe miasto – zaledwie gdzieniegdzie śpieszył zapóźniony przechodzień; spostrzegł także, że naraża się na przeziębienie.

Ale nagle z głębi mroku dotarł do niego głos, realny głos z miejscowym akcentem.

– Coś przydługo siedzisz pan na tym cokole, młody człowieku. Co też tu robisz?

Był to policjant, który obserwował Judę, nie będąc przez niego widziany.

Młodzieniec wrócił do domu i położył się, poczytawszy chwilę o wielkich mężach i ich naukach udzielonych światu – zabrał ze sobą

parę książek o synach tutejszego uniwersytetu. Gdy już prawie zasypiał, zdawało mu się, że ktoś teraz szepcze pamiętne słowa, jakie właśnie czytał; niektóre słyszał, inne do niego nie docierały. Jedna zjawia (która później biadała nad Christminster jako nad „siedzibą przegranych spraw”, chociaż tego Juda nie pamiętał) teraz opisywała je tymi słowy:

„Piękne miasto! tak czcigodne, prześliczne, nietknięte namiętym życiem umysłowym naszego stulecia, tak pogodne!... Jego niewypowiedziany urok zawsze wzywa do tego, co jest dla nas wszystkich właściwym celem, do ideałów, do doskonałości!”

Potem odezwał się głos neofity praw zbożowych, którego marę ujrzał na dziedzińcu kolegium z wielkim dzwonem. Judzie wydawało się, że z jego duszy mogłyby także wypłynąć historyczne słowa mistrzowskiej mowy.

„Mogę być w błędzie, ale mniemam, że mój obowiązek względem kraju zagrożonego głodem wymaga, aby obecnie uciec się do tego, co zawsze w podobnych okolicznościach stanowiło powszedni środek zaradczy, a mianowicie, aby umożliwić swobodny dostęp do strawy ludzkiej, z jakichkolwiek stron świata miałyby ona pochodzić. ... Możecie mnie, panie, jutro złożyć z urzędu, wszelako nigdy nie zdołacie odebrać mi przekonania, że powierzonej mi władzy używałem nie dla przekupnych celów i dla interesu, nie dla dogodzenia własnej ambicji, nie dla osobistego zysku”.

Następnie przemówił przebiegły autor nieśmiertelnego rozdziału o chrześcijaństwie: „Czym jednak usprawiedliwimy ospałą nieuwagę pogańskiego świata filozoficznego wobec dowodów, które ręka Opatrzności przedstawiała nie ich rozumom, ale zmysłom? [...] Ale mędracy Grecji i Rzymu odwracali się od tych straszliwych widowisk i nie przestając się zajmować sprawami życia codziennego i swymi studiami, zdawali się nic a nic nie wiedzieć o jakichkolwiek zmianach w moralnych i faktycznych rządach świata”[9].

A potem cień poety, ostatniego z optymistów:
Świat dla każdego z nas stworzono!

.....

I każdy z nas wielu pomaga w odnowie

Życia ludzkości według planu z góry.

I jeden z trzech entuzjastów, których Juda dopiero co widział, autor *Apologii*:

„Moje założenie było takie... że absolutna pewność co do prawd naturalnej teologii wynika z nagromadzenia zbliżonych i zbieżnych prawdopodobieństw... że prawdopodobieństwa, które nie osiągnęły pewności logicznej, mogą stworzyć pewność duchową”.

Drugi z trójcy, nieożywiony duchem polemicznym, szeptał spokojniejszym tonem:

Czemu się wzdragać i bać żyć samotnie,

Skoro rozkazem niebios umieramy sami?

Juda usłyszał także parę słów wygłoszonych przez zjawę o okrągłym obliczu, przez dobrodusznego Spektatora:

„Gdy patrzę na mogiły wielkich, zamiera we mnie najmniejszy odruch zawiści, gdy odczytuję epitafia pięknych, opuszcza mnie najmniejsze nieokiełznane drgnienie pożądania; gdy spotykam się z bólem rodziców nad grobem, serce me mięknie we współczuciu; a gdy widzę groby rodziców, zastanawiam się nad próżnością żalu po tych, za którymi tak szybko musimy podążyć”.

I wreszcie przemówił łagodnym głosem duchowny i przy jego cichych strofach, znanych mu i ulubionych od najwcześniejszego dzieciństwa, Juda usnął:

Wskaż mi, jak żyć mam, abym nie czuł lęku

Przed grobem, tak jak nie lękam się łoża.

Naucz mnie, jak umierać...

Obudził się dopiero rankiem. Zjawy przeszłości odeszły i całe otoczenie mówiło o dniu dzisiejszym. Juda zerwał się, sądząc, że zasnął, i zaraz pomyślał:

„Zupełnie zapomniałem o uroczej kuzyneczce, a przecież ona tutaj mieszka!... i o moim dawnym nauczycielu”.

We wzmiance o nauczycielu mieściło się jednakże mniej zapachu niż w myśli o kuzynce.

II

Konieczność zastanowienia się nad bieżącą rzeczywistością z prozaicznym zagadnieniem chleba powszedniego włącznie rozproszyła na chwilę świat fantazji i zniewalała Judę do poskromienia wzniosłych myśli pod naporem bezpośrednich potrzeb. Trzeba było wstać i szukać pracy, pracy rąk, tego jedyne rodzaju uważanego w ogóle za pracę przez wielu z tych, którzy się nią trudnią.

Gdy powędrował na miasto w tym właśnie celu, przekonał się, że kolegia zdradziecko odmieniły swój przyjazny wygląd; niektóre były pompatyczne, inne przypominały kaplice nad grobowcem rodzinnym; ze wszystkich wyzierało coś barbarzyńskiego. Rozwiały się zjawy wielkich ludzi.

Niezliczone księgi zapisane naokoło przez architekturę Juda odczytywał naturalnie nie tyle jako artysta krytycznie oceniający ich formy, co jako rzemieślnik i kolega nieżyjących majstrów, którzy te formy wykonali własnymi rękami. Przyglądał się gzymsom, opukiwał je jak ktoś, komu znany jest proces ich powstawania, orzekał, czy były trudne, czy łatwe w robocie, czy wykonanie ich zabrało dużo czy mało czasu, czy stanowiły wysiłek dla ręki i czy były powolne narzędziom.

To, co w nocy wyglądało na doskonałe i bez skazy, przy świetle

dziennym stało się rzeczywistością mniej lub więcej wadliwą. Juda widział, że sędziwe budowle doznały okrucieństw i zniewag. Stan niektórych wzruszył go tak bardzo jak widok okaleczonych czujących istot. W śmiertelnej walce z czasem, pogodą i człowiekiem zadano im rany, zniszczono, odarto z kształtu.

Opłakany stan tych zabytków historycznych przypomniał mu, że opieszale zabiera się do spędzenia przedpołudnia w praktyczny sposób, tak jak projektował. Przybył do Christminster, aby pracować i utrzymywać się z własnej pracy, a tymczasem strwonił już prawie cały ranek. W pewnym sensie krzepiła go myśl, że wobec obfitości kruszących się kamieni dla ludzi jego fachu będzie w bród roboty przy odnawianiu. Zapytał o drogę do pracowni kamieniarza, którego nazwisko podano mu w Alfredston, i wkrótce usłyszał dobrze znajomy dźwięk szlifowania i dłut.

Podwórze stanowiło mały zakład konserwatorski. Znajdowały się tu ornamenty o ostrych kantach i gładkich łukach, odtworzone dokładnie na podobieństwo tych, jakie Juda widział na murach, wytartych już i zżartych przez czas. Tak jakby w nowoczesnej prozie zawarto myśli, które omszałe kolegia wyrażały językiem starej poezji. Niejedna z tych antycznych ozdób, gdy była nowa, zasługiwała na miano prozy. Trzeba było tylko czasu, nic innego, aby stała się poezją. Jakież to łatwe dla najmniejszej budowli, a jakże nieosiągalne dla większości ludzi.

Zapytawszy się o majstra, Juda oglądał nowe maswerki, laski okienne, nadproża, trzony kolumn, pinakle i blanki stojące na postumentach, dopiero w robocie albo gotowe do zabrania. Odznaczały się precyzją, matematyczną równością, gładkością i dokładnością, podczas gdy tam, wśród starych murów, wyzierały przerywane kontury oryginalnego ornamentu, rozdarte zaokrąglenia, pogarda dla precyzji, nieregularność i nieporządek.

W ciągu ułamka chwili Juda pojął istotę rzeczy: że tu, na tym dziedzińcu, ześrodkowują się wysiłki tyle samo warte co praca w najszlachetniejszych kolegiach uświęcona mianem nauki. Ale to zrozumienie opuściło go pod naporem dawniej powziętych zamiarów. Przyjmie każde zajęcie ofiarowane mu na mocy polecenia od poprzedniego pracodawcy, ale przyjmie je tylko jako coś przejściowego.

Tak się u niego objawiał niepokój charakterystyczny dla jego czasów.

Juda zauważył ponadto, że robota prowadzona tutaj polegała w najlepszym razie na kopiowaniu, łataniu i naśladowaniu, co, jak sądził, wynikało wyłącznie z jakichś chwilowych i lokalnych warunków. Nie wiedział jeszcze, że mediewalizm był formą tak martwą jak odcisk liścia paproci na bryle węgla i że w otaczającym go świecie kształtowały się inne prądy, w których nie mieściła się architektura gotycka i pokrewne jej działy. Nie znał jeszcze śmiertelnej niechęci współczesnej logiki i wyobraźni do wielu rzeczy, które sam wielbił.

Nie dostał pracy w zakładzie konserwatorskim, więc odszedł i wtedy znowu przypomniał sobie o kuzynce, której obecność gdzieś w pobliżu przypominały mu ogarniające go drobne fale zainteresowania, jeśli nie wzruszenia. Jakżeby chciał mieć na własność ten jej ładny portrecik! Napisał wreszcie do ciotki z prośbą o przysłanie go, co zrobiła, ale wyrażając życzenie, aby nie przysparzał niepokoju w rodzinie, odwiedzając dziewczynę czy jej krewnych. Juda, chłopiec dziwnie uczuciowy, niczego nie obiecał, fotografię postawił na gzymsie kominka, pocałował ją, sam nie wiedząc dlaczego – i poczuł się bardziej zadomowiony. Dziewczyna jakby patrzyła na niego z góry i prezydowała przy posiłkach. Dodawało mu otuchy to jedyne ogniwo łączące go z emocjami dostarczanymi przez tętniące życiem miasto.

Pozostawał jeszcze nauczyciel – w tej chwili prawdopodobnie wielebny proboszcz. Ale Juda w żadnym razie nie mógł teraz rozpocząć poszukiwań tak dostojnej osoby; brak mu było jeszcze ogłady, zbyt był nieobyty, zbyt niepewne były jego losy. Nadal więc żył samotnie. Choć otoczony ludźmi, właściwie z nikim się nie stykał. Nie włączywszy się jeszcze w czynne życie miasta, uważał, że ono nie istnieje. Za to w tej samej atmosferze co on żyli święci i prorocy na maswerkach okiennych i malowidłach w galeriach sztuki, żyły posągi, popiersia, gargulce, wsporniki. Jak każdy świeży przybysz w miejscu, gdzie mocno wyryta jest przeszłość, Juda słuchał jej głosu, który brzmiał z mocą niewiarygodną nawet dla stałych mieszkańców.

Przez wiele dni błądził tak w wolnych chwilach po krużgankach i dziedzińcach kolegów, zdziwiony złośliwym echem własnych kroków, ostrym jak uderzenia młotka. „Duch” Christminster, jak to nazywano,

coraz głębiej się w niego wgryzał, aż w końcu Juda wiedział pewnie więcej o artyzmie, historii i materiale tych budowli, niż ludzie, którzy w nich mieszkali.

I dopiero teraz, gdy znalazł się w samym sercu przedmiotu swego uwielbienia, Juda spostrzegł, jak daleko jest od niego w rzeczywistości. Jeden mur zaledwie odgradzał go od młodych i szczęśliwych rówieśników, z którymi dzielił życie umysłowe; młodzieńcy ci od rana do nocy nic innego nie robili, tylko czytali, notowali, uczyli się i wchłaniali wiedzę. Zaledwie mur – ale za to, jaki mur!

Co dzień, co godzinę, gdy ruszał na poszukiwanie pracy, widział, jak studenci wychodzą na ulicę i wracają, ocierał się o nich, słyszał ich głosy, notował w pamięci ich ruchy. W rozmowach bardziej myślących odnajdywał wątki własnych myśli, dzięki długim i usilnym przygotowaniom, jakie prowadził przed przybyciem do Christminster. A jednak znajdował się od nich tak daleko, jakby mieszkał na antypodach. I tak rzeczywiście było. Oni mijali młodego robotnika w białej bluzie, z pyłem kamiennym w fałdkach odzieży, wcale go nie widząc ani nie słysząc jego głosu; patrzyli poprzez niego jak przez szklaną szybę na znajome przedmioty poza nim. Kimkolwiek byli dla niego, on dla nich w ogóle nie istniał; a przecież marzył, że przyjeżdżając tutaj, zbliży się do ich życia.

Ostatecznie jednak miał przed sobą przyszłość i gdyby tylko udało mu się zdobyć korzystne zajęcie, przebrnie przez najgorsze. Dziękował więc Bogu za zdrowie i siły i zbierał odwagę. Na razie znajdował się poza obrębem wszystkiego, z kolegami włącznie; ale pewnego dnia dostanie się może do wnętrza tych pałaców myśli światłej i postępowej, pewnego dnia spojrzy może na świat z góry, przez ich okna.

Wreszcie otrzymał wiadomość z warsztatu kamieniarza, że czeka na niego robota. Była to pierwsza zachęta i szybko przyjął zajęcie.

Był młody i silny i żeby nie to, nigdy nie podjąłby się zadania, które sobie teraz nakreślił, bo pociągało ono za sobą ślęczenie nad książką przez większą część nocy po całodzienną pracę. Juda najpierw kupił lampę z kloszem za cztery szylingi i sześć pensów; miał więc dobre światło. Następnie zaopatrzył się w pióra, papier i takie niezbędne podręczniki, jakich poprzednio nie mógł zdobyć. Potem, ku konsternacji

gospodyni, przemeblował pokój, służący mu jako sypialnia i pracownia. Przez środek przeciągnął na sznurku kotarę, aby z jednej izby zrobić dwie, na oknie zawiesił ciężką storę, aby nikt nie dowiedział się, że skraca sobie godziny snu, a potem rozłożył książki i zasiadł do nauki.

Małżeństwo, wynajęcie domu i nabycie mebli, które znikły wraz z żoną, tak obciążyły Judę, że od czasu tych katastrofalnych posunięć nie był w stanie nic odłożyć i do chwili otrzymania pierwszych zarobków musiał żyć jak najoszczędniej. Gdy kupił parę książek, nie mógł pozwolić sobie już na opał, więc gdy nocą płynęło od łąk ostre i zimne powietrze, siedział przy lampie w okryciu zimowym, kapeluszu i wełnianych rękawiczkach.

Z okna mógł dostrzec wieżycę katedry i ostrołukową kopułę, spod której odzywał się głos wielkiego dzwonu. Z klatki schodowej mógł również dojrzeć wysoką basztę, górne okna w dzwonnicy i najwyższe pinakle kolegium obok mostu. Zwracał się do nich po zachętę, gdy przygasała w nim wiara w przyszłość.

Tak jak wszyscy entuzjaści, Juda nie wnikał w szczegóły procedury dostania się na uniwersytet. Od przygodnych znajomych otrzymał ogólne wskazówki, ale nigdy myśl jego nie zatrzymywała się nad nimi dłużej. Na razie, myślał, cała rzecz w tym, aby być w pogotowiu, gromadząc pieniądze i wiedzę i czekać na pierwszą lepszą okazję zostania synem uniwersytetu, która się trafi człowiekowi w jego położeniu. „Bo mądrość jest środkiem obronnym i pieniądze są środkiem obronnym; ale doskonałość wiedzy polega na tym, że mądrość obdarza życiem tych, co ją posiadają”. Pragnienie to pochłaniało go całkowicie, nie pozwalając mu rozważyć jego praktycznego zastosowania.

W tym czasie dostał pełen troski i niepokoju list od biednej, starej ciotki w związku ze sprawą, którą trapiła się już przedtem; obawiała się mianowicie, że zbraknie mu siły woli, aby trzymać się z dala od Sue Bridehead i jej rodziny. Ciotka słyszała, że ojciec Sue powrócił do Londynu, ale dziewczyna została w Christminster. Jeszcze i to przemawiało przeciwko niej, że pracowała jako malarka czy rysownicza w tak zwanym przedsiębiorstwie sztuki sakralnej, niezawodnej kolebce bałwochwalstwa. Sue z pewnością oddaje się tym cudackim praktykom, jeśli nie jest po prostu papistką. (Panna Drusilla

Fawley należała do Kościoła ewangelicznego).

Juda szedł szlakiem wiedzy raczej niż teologii, więc nie przejął się specjalnie wzmianką o przypuszczalnych poglądach Sue, ale podchwycił od razu klucz do miejsca, gdzie mógł ją znaleźć. Z osobliwą przyjemnością przechadzał się w wolnych chwilach obok sklepów odpowiadających opisowi ciotki, i w jednym z nich spostrzegł siedzącą za stołem młodą dziewczynę, podejrzenie podobną do oryginału z portreciku. Pod jakimś błahym pretekstem odważył się wejść do sklepu i załatwiwszy sprawunek, zatrzymał się jeszcze przez chwilę. Zakład prowadziły chyba wyłącznie kobiety. Znajdowały się tu anglikańskie książki religijne, materiały piśmienne, wersety z Pisma św. i galanteria dewocjonalna: małe gipsowe aniołki do zawieszania na ścianie, święte obrazki w gotyckich ramkach, hebanowe krzyże, krucyfiksy i książki do nabożeństwa przypominające mszały. Juda nie śmiał spojrzeć na dziewczynę; była tak ładna, że nie mógł uwierzyć, aby należała do jego rodziny. Ale gdy odezwała się do jednej z dwóch starszych kobiet za ladą, odnalazł w jej sposobie mówienia pewne cechy własnego głosu, chociaż o miększym i łagodniejszym brzmieniu. Co tutaj robiła? Rzucił ukradkowe spojrzenie: leżał przed nią kawałek blachy cynkowej przyciętej w formie pergaminu o długości około czterech stóp, powleczonej z jednej strony farbą. Na niej dziewczyna rysowała, a raczej iluminowała teksturą[10] pojedyncze słowo:

ALLELUJA

„Jakie to miłe i świątobliwe, prawdziwie chrześcijańskie zajęcie” – pomyślał.

Obecność dziewczyny w zakładzie dość łatwo było teraz wyjaśnić: zręczność w tej pracy przejęła niewątpliwie od ojca, który wykonywał roboty w metalu dla kościołów. Napisy przez nią kreślone miały służyć do ozdobienia jakiegoś kościoła.

Juda wyszedł. Zapoznanie się z kuzynką nie nasuwało trudności, ale byłoby nieprzyzwoicie tak szybko zlekceważyć życzenie ciotki. Wprawdzie obchodziła się z nim surowo, ale w każdym razie wychowała

go i fakt, że teraz nie mogła nad nim czuwać, dodawał jakiejś wzruszającej siły życzeniu, które jako argument byłoby bezskuteczne.

Nie odezwał się więc do kuzynki i postanowił wstrzymać jeszcze odwiedziny. Na ulicy nasunęły mu się jeszcze inne kontrargumenty. Sue wyglądała tak wykwintnie w zestawieniu z jego prostą, roboczą bluzą i zakurzonymi spodniami, że poczuł się chwilowo nieprzygotowany na spotkanie z nią tak samo, jak i z panem Phillotsonem. Kto wie, czy nie odziedziczyła rodzinnej niechęci i nie będzie nim gardzić, naturalnie w granicach dopuszczalnych dla chrześcijanki, zwłaszcza gdy jej opowie o przykrym epizodzie swego życia wynikłym ze związania się z kobietą, dla której na pewno nie czułaby podziwu.

W rezultacie śledził ją tylko i cieszył się, że była w pobliżu. Świadomość jej obecności dodawała mu ducha. Sama Sue pozostawała wszakże mniej lub więcej idealną postacią, wokół której zaczął snuć osobliwe, fantastyczne marzenia.

W dwa czy trzy tygodnie później Juda wraz z kilkoma innymi robotnikami przenosił blok obrobionego kamienia przez ulicę obok Kolegium Crosiera; mieli wywindować go na naprawiony właśnie parapet. Stali już w pogotowiu, a dozorca mówił:

– Powiem wam, kiedy dźwignąć. Hej, hop! – I dźwignęli.

Nagle, gdy Juda podnosił blok, tuż obok niego stanęła kuzynka. Zatrzymała się na chwilę z wysuniętą stopą, czekając na usunięcie przeszkody. Rzuciła mu prosto w twarz przejrzyste, nie do odcyfrowania spojrzenie, w którym łączyła się, lub może tak mu się tylko wydawało, bystrość z czułością. Obu tym cechom towarzyszyła tajemniczość. Oczy i usta ożywiły się pod wpływem słów, jakie właśnie wymówiła do swej towarzyszki, i to podświadome ożywienie objęło całą twarz. Judy nie spostrzegła, tak jak nie widziała w smugach słońca drobinek kurzu wzniesionych przez jego ruchy.

Tak się przejął bliskością dziewczyny, że zadrżał i odwrócił twarz z przebiegłym zamiarem, aby nie dać się poznać, chociaż nie mogła go przecie poznać, skoro nigdy się nie spotkali, a może nawet nigdy o nim nie słyszała. Juda zauważył, że chociaż pochodziła ze wsi, późniejsze dziewczęce lata spędzone w Londynie, a wiek dojrzały tutaj, w Christminster, starły z niej najmniejszy ślad prostactwa.

Gdy odeszła, powrócił do pracy, ale nie przestał o niej myśleć. Wywarła na nim tak silne wrażenie, że nie przypatrując się jej figurze ani ogólnej budowie, zapamiętał tylko, że była niewysoka, lekka i drobna, o typie uważanym za szykowny. I to chyba wszystko, co zdążył zauważyć. Nie było w niej nic z posągu, cechowała ją nerwowa ruchliwość. Mimo zręczności i żywości malarz nie mógłby jej nazwać ładną czy piękną. Judę jednak i tak zdumiał jej wygląd. O ile dalej odeszła od wiejskiego środowiska niż on. W jaki sposób ktoś z jego przewrotnej, nieszczęśliwej, nieomal przeklętej rodziny mógł osiągnąć takie wyżyny wykwintu? Chyba dokonał tego Londyn.

Od tej chwili uczuciowość wzbierająca w sercu wskutek narastania samotności i pobytu w poezją osnutym mieście nieświadomie zaczęła się skupiać wokół na wpół zjawiskowej postaci dziewczyny. Juda zdał sobie sprawę, że wkrótce nie zdoła odeprzeć pragnienia, aby się z nią zapoznać.

Usiłował myśleć o niej jak o krewnej, skoro istniały przemożne racje, że nie mógł i nie powinien myśleć o niej inaczej.

Byłoby to niewłaściwe, bo przede wszystkim miał żonę... Po drugie byli ciotecznym rodzeństwem. Tak bliscy krewni nie powinni się w sobie zakochać nawet w okolicznościach sprzyjających ich uczuciu. Po trzecie: nawet gdyby był wolny, w rodzinie takiej jak ich rodzina, gdzie małżeństwo zwykle przynosiło żalosną tragedię, związek z osobą tej samej krwi zdwoiłby niesprzyjające warunki i żalosna tragedia mogłaby urosnąć do rozmiarów tragedii pełnej grozy.

A więc będzie musiał myśleć o Sue jedynie z zainteresowaniem krewnego dla krewnej; będzie musiał uważać ją po prostu za kogoś, kim można się chlubić, z kim można się przywitać i porozmawiać, od kogo można dostać zaproszenie na podwieczorek. Ale uczucie, którym ją obdarzy, musi być ściśle uczuciem życzliwego krewnego. Sue będzie dla niego dobrotliwą gwiazdą, siłą prowadzącą wzwyż, towarzyszką w praktykach religijnych kultu anglikańskiego i serdecznym przyjacielem.

Pod wpływem tych rozmaitych hamulców Juda z nieśmiałością myślał o zbliżeniu się do kuzynki i, aby jej się lepiej przyjrzeć, udał się w następną niedzielę na poranne nabożeństwo do kościoła katedralnego w Kolegium Kardynała, gdzie, jak wykrył, często chodziła.

Sue nie przyszła, wobec tego czekał na nią po południu. Pogoda poprawiła się od rana. Juda wiedział, że jeśli dziewczyna w ogóle się zjawi, przyjdzie od wschodniej strony wielkiego, zielonego dziedzińca, któredy można było dojść do katedry; stanął więc w załomie murów, kiedy rozległy się dzwony. Nadeszła parę minut przed początkiem nabożeństwa wraz z innymi osobami dążącymi wzdłuż murów Kolegium. Na jej widok przybliżył się z przeciwległej strony i udał się do kościoła, bardziej niż kiedykolwiek zadowolony, że jej się do tej pory nie przedstawił. Na razie wystarczyło mu patrzeć na nią niepostrzeżenie, samemu będąc niewidzianym i nieznanym.

Zatrzymał się chwilę w przedsionku i gdy usiadł, nabożeństwo już się rozpoczęło. W takie popołudnie, burzliwe, ponure i duszne, religia wydaje się niezbędną ucieczką dla zwyczajnych, przyziemnych ludzi, a nie tylko luksusem niepracujących warstw społecznych. Przyćmione oświetlenie i skąpa jasność sącząca się z okien klerestorium nie pozwalały odróżnić wyraźnie wiernych po przeciwległej stronie, ale Juda wypatrzył Sue między nimi. Zaledwie dokładnie wysledził jej miejsce, kiedy chór rozpoczął drugą część psalmu sto dziewiętnastego, *In quo corriget*. Organy zaintonowały smutną melodię gregoriańską, a chór śpiewał:

„Czym się młody człowiek lepszy? Gdzie strzeże słów Twoich?”[11]

To właśnie zagadnienie pochłaniało w tej chwili uwagę Judy. Jakże był nędzny i lichy, aby ulec zwierzęcej namiętności do kobiety i pozwolić tej żądzy na sprowadzenie tak zgubnych skutków; zamierzał również skończyć ze sobą i wreszcie, nie bacząc na nic, poszedł się upić. Z chóru runęła fala muzyki i Juda, wychowany od dziecka w wierze w świat nadprzyrodzony, z trudem mógł oprzeć się wrażeniu, że czujna

Opatrzność ułożyła psalm specjalnie na moment, gdy po raz pierwszy przekroczy próg tej świątyni. A przecież był to zwykły psalm przeznaczony na dwudziesty czwarty dzień miesiąca.

Te same dźwięki, które docierały do jego uszu, otoczyły jednocześnie dziewczynę, którą zaczynał obdarzać niezwykłą czułością; myśl o tym sprawiała mu rozkosz. Sue bywała tu pewnie często i pogrążona duszą i ciałem w nastrojach religijnych, zarówno z przyzwyczajenia, jak i w związku z wykonywaną pracą, bez wątpienia dzieliła z nim wiele podobnych uczuć. Dla wrażliwego i samotnego młodzieńca świadomość, że znalazł wreszcie dla siebie przystań, możliwość nawiązania stosunków towarzyskich i wymiany myśli, stanowiła coś w rodzaju rosy Hermonu[12]. Przez cały czas trwania nabożeństwa Juda przebywał ciągle w atmosferze ekstazy.

Chociaż sam daleki był od tego podejrzenia, ktoś mógłby mu zwrócić uwagę, że atmosferę tę zawdzięcza w równej mierze Cyprowi co Galilei.

Juda nie ruszył się z miejsca, dopóki Sue nie wstała i nie przeszła przez kościół. Nie patrzyła w jego stronę i z chwilą, gdy dochodził do drzwi, była już w połowie szerokiej ścieżki. Juda miał dzisiaj na sobie swoje niedzielne ubranie, zapragnął więc dogonić Sue i przedstawić się jej. Ale nie był jeszcze zupełnie przygotowany, a poza tym czyż mógł tak postąpić wobec rodzaju uczucia, jakie budziło się w jego sercu?

Bo chociaż w czasie nabożeństwa uczucie to miało, zda się, źródło w pobożności i Juda wmówił w siebie, że tak jest naprawdę, nie mógł jednak zamknąć oczu na przyziemną naturę magnetyzmu. Dziewczyny zupełnie nie znał i odwoływanie się do pokrewieństwa było sztuczne. „Tak być nie może! – powiedział więc sobie. – Ja, człowiek żonaty, nie mogę zawrzeć z nią znajomości!” A jednak Sue była jego krewną i fakt, że miał żonę, chociaż na drugiej półkuli, może stać się w pewnej mierze pomocny, usuwając z głowy Sue wszelkie posądzenie o jakieś czułe uczucie z jego strony i dodając swobody i śmiałości ich stosunkom. Serce mu się trochę ścisnęło na myśl, jak mało mu zależy na swobodzie i spokoju, które wzbudziłaby w niej wiadomość o jego małżeństwie.

W przeddzień tego nabożeństwa w katedrze ładna młoda osoba o przejrzystych oczach i lekkim chodzie, Sue Bridehead, udała się na przechadzkę za miasto z książką w ręku. Miała wolne popołudnie i mogła opuścić zakład z dewocjonaliami, gdzie nie tylko pracowała, ale i mieszkała. Dzień był bezchmurny, jeden z takich, jakie trafiają się czasami w Wesseksie i w innych okolicach wśród dni zimnych i wilgotnych, tak jakby je tu wtrącił kapryśny bożek pogody. Dziewczyna szła parę mil, aż do terenu położonego znacznie wyżej niż miasto. Droga biegła między zielenią pól; natknąwszy się na przełaz, Sue zatrzymała się chwilę, aby skończyć czytaną stronicę, a potem obejrzała się za siebie na nowoczesne i stare wieże, kopuły i iglice.

Po drugiej stronie przełazu, na ścieżce dla pieszych, zauważyła jakiegoś cudzoziemca o czarnych włosach i zapadniętych policzkach; siedział na trawie obok dużej kwadratowej deski z gęsto przytwierdzonymi do niej figurkami z gipsu, czasem powleczonymi brązem, ustawiając je na nowo przed wymarszem w dalszą drogę. Były to głównie miniaturowe kopie antycznych marmurowych posągów innych bóstw niż te, jakie dziewczyna widywała na obrazach, a więc powszechnie znana figurka Wenus, Diany, a także Apolla, Bachusa i Marsa. Chociaż statuetki stały dość daleko od Sue, południowo-zachodnie słońce tak wyraźnie podkreślało ich kontury na tle zielonej trawy, że widziała je bardzo dokładnie, a widok ich, nieomal w prostej linii między nią a wieżami kościelnymi miasta, wzbudzał przez porównanie dziwnie obce i kontrastujące skojarzenia. Przekupień wstał i spostrzegłszy ją, grzecznie zdjął czapkę, wołając: „Obrazy! Obrazy!” akcentem, który odpowiadał jego powierzchowności. W jednej chwili uniósł kolanem wielką deskę z zebranych towarzystwem boskich i ludzkich znakomitości, umieścił ją na czubku głowy, a potem opuścił i postawił przed Sue na przełazie. Najpierw zaproponował jej drobniejsze towary – popiersia królów i królowych, potem minstrela, a wreszcie skrzydlatego Kupidyna. Ale Sue odmownie potrząsnęła głową.

– Ile kosztują te dwie? – zapytała, dotykając Wenus i Apolla, najpokaźniej szych figurek na tacy.

Przekupień oświadczył, że dostanie je za dziesięć szylingów.

– Nie mogę tyle zapłacić – powiedziała Sue. Zadeklarowała znacznie niższą sumę i ku jej zdziwieniu handlarz wyciągnął obie statuetki z drucianego imadła i podał jej ponad przełazem. Sue schwyciła je mocno, jak skarb.

Gdy zapłaciła i przekupień odszedł, zaczęła się zastanawiać, co pocnie z figurkami. Teraz, kiedy je miała na własność, wydawały się bardzo duże i bardzo nagie. Sue była nerwowa z natury i zadrżała na myśl o tym, co przedsięwzięła. Biała glina figurek osiadała na jej rękawiczkach i żakieciku, więc poniosłszy je jakiś czas niczym nieowinięte, wpadła na pewien pomysł. Urwała kilka wielkich liści łopianu, dzikiej pietruszki i innych wybujałych roślin i jak najstaranniej zapakowała w nie swój kłopotliwy nabytek. W rezultacie zawiniątko wyglądało jak olbrzymia naręcz zieleni uzbieranej przez zapalonego miłośnika przyrody.

– Wszystko jest lepsze niż te wieczne kościelne ozdoby! – powiedziała do siebie. Ale nadal była zdenerwowana i nieomal żałowała, że kupiła figurki.

Zaglądać od czasu do czasu między liście, żeby sprawdzić, czy nie ułamało się ramię Wenus, Sue wraz ze swym pogańskim ładunkiem weszła do najbardziej chrześcijańskiego miasta w całym kraju przez mało uczęszczaną uliczkę równoległą do głównej i zaraz skręciła w boczne drzwi prowadzące do przedsiębiorstwa, gdzie pracowała. Nowy nabytek zabrała prosto do swego pokoju i od razu chciała figurki zamknąć w skrzynce, która do niej należała; ale nie mieściły się, więc postawiła je w kącie na podłodze, owinięte w duże arkusze papieru do pakowania.

Gospodyni, panna Fontover, była to starsza osoba w okularach, odziana prawie jak ksieni i znająca doskonale obrządki kościelne, jak przystało osobie pracującej w handlu dewocjonaliami. Uczęszczała ona do kościoła św. Silasa, na przedmieściu Beersheba, tam gdzie Juda również zaczął bywać. Panna Fontover, córka zubożałego duchownego, po śmierci ojca przed paru laty odważnie stawiała czoło nędzy, obejmując sklepik ze sprzętem kościelnym i rozwijając go następnie do obecnych, okazałych rozmiarów. Jako jedyną ozdobę nosiła na szyi krzyż i różaniec, a obrządki roku chrześcijańskiego znała na pamięć.

Panna Fontover udała się teraz na górę, aby zawołać Sue na podwieczorek, i ponieważ nikt się przez chwilę nie odzywał, weszła do pokoju, trafiając właśnie na moment, kiedy dziewczyna śpiesznie przewiązywała paczki sznurkiem.

– Coś pani kupiła nowego, panno Bridehead? – zapytała, mierząc spojrzeniem zapakowane w papier przedmioty.

– Tak, coś do upiększenia mego pokoju – odparła Sue.

– Sądziłam, że dosyć tutaj umieściłam rzeczy do ozdoby – rzekła panna Fontover, wodząc okiem po rycinach świętych w gotyckich ramach, po nabożnych tekstach wypisanych na pergaminie i po innych drobiazgach, zbyt już niemodnych, aby dało się je sprzedać, a więc użytych do ozdobienia tego ciemnego pokoju. – Cóż to takiego? Jakie to duże! – Panna Fontover wydrapała w papierze małą dziurkę wielkości hostii i usiłowała zajrzeć do środka. – A! Statuetki? Dwie statuetki? Gdzie je pani kupiła?

– Ach! od takiego wędrownego przekupnia, który handluje odlewami...

– To dwaj święci?

– Tak.

– Jacyż to święci?

– Święty Piotr i święta... święta Maria Magdalena.

– W każdym razie proszę teraz zejść na podwieczorek, a potem skończyć ten zaczęty tekst, o ile nie będzie zbyt ciemno.

Drobne przeszkody niepozwalające Sue nacieszyć się owocem zupełnie przelotnego kaprysu obudziły w niej niepowstrzymaną chęć, aby rozpakować i obejrzeć figurki. Zanim się położyła, pewna już, że nikt jej nie przeszkodzi, swobodnie odwinęła swoje bóstwa. Ustawiła figurki na komodzie, między dwiema świecami, a sama położyła się na łóżku z książką wyjętą ze skrzynki, o której panna Fontover nic nie wiedziała. Był to tom Gibbona i Sue właśnie czytała rozdział o panowaniu Juliana Apostaty. Od czasu do czasu rzucała okiem na statuetki, które wyglądały tu obco i nie na miejscu, bo akurat między nimi wisiała na ścianie rycina z Męką Pańską, i tak jakby ten widok skłaniał do czynu, Sue zerwała się, wyjęła ze skrzynki inną książkę – tom poezji – i zaczęła czytać dobrze znajomy wiersz.

Zwyciężyłeś, blady Galilejczyku:

Świat osiwił pod twoim oddechem![13]

Gdy skończyła, zgasła świece na komodzie, rozebrała się i zdmuchnęła także swoją małą świeczkę.

Sue była w wieku, kiedy zwykle sen jest mocny, ale tej nocy ciągle się budziła! Ile razy otworzyła oczy, w świetle przenikającym z ulicy widziała białe gipsowe figurki na komodzie w dziwnym kontraście z otoczeniem wykaligrafowanych tekstów, postaci męczenników i obrazu ukrzyżowania w gotyckiej ramie, na którym uwydatniał się jedynie krzyż łaciński, bo postać Chrystusa pozostawała w cieniu.

Raz, gdy się tak zbudziła nad ranem, zegary kościelne biły jakąś godzinę. Te same dźwięki usłyszała inna osoba pochylona nad książką w niezbyt odległym miejscu tego samego miasta. Była to noc z soboty na niedzielę, więc Juda nie nastawiał budzika na zwykłą, wczesną godzinę i siedział dłużej, niż mógł sobie na to pozwolić w inne dni tygodnia. Ślęczał właśnie nad tekstem Griesbacha. W tym samym czasie, kiedy Sue przewracała się na łóżku i patrzyła na swoje statuetki, policjant i zapóźnieni przechodnie, którzy zatrzymaliby się pod oknem Judy, mogliby usłyszeć dziwaczne sylaby mrużone żarliwie za ścianą, słowa posiadające nieopisany czar dla czytającego, niepojęte dźwięki, takie jak te:

All' hemin heis Theos ho Pater, ex hou ta panta, kai hemeis eis auton.

Aż wreszcie dźwięki zabrzmiały głośno, ale z pełnym szacunkiem, do wtóru z odgłosem zamykanej książki:

Kai heis Kýrios Jesous Christos, di' hou ta panta kai hemeis di' autou.

Juda był zręczny w swoim fachu, zdatny do wszystkiego, tak jak wielu rzemieślników w prowincjonalnych miastach. W Londynie człowiek, który rzeźbi ozdobne guzy czy gałki ornamentów z liści, odmawia rzeźbienia fragmentów sztukaterii, która przytyka do tych liści, tak jakby poniżało go wykonanie drugiej połowy całości. Gdy na warsztacie brakło gotyckich gzymsów lub maswerków okiennych, Juda zabierał się do wykuwania napisów na pomnikach czy nagrobkach i znajdował przyjemność w tej zmianie pracy.

Następnym razem zobaczył Sue, gdy stał na drabinie, wykonując tego rodzaju robotę wewnątrz jednego z kościołów. Odbywało się krótkie poranne nabożeństwo i po wejściu proboszcza Juda zszedł z drabiny i usiadł obok kilkorga wiernych, czekając, aż skończą się pacierze i będzie mógł zabrać się z powrotem do kucia. Dopiero gdy nabożeństwo dobiegało końca, zauważył między kobietami Sue, która z konieczności towarzyszyła starej pannie Fontover.

Juda obserwował ładny zarys ramion Sue, jej swobodne, dziwnie nonszalanckie ruchy przy wstawaniu i siadaniu, jak również przyklękiwanie od niechcienia i pomyślał, jaką pomoc stanowiłaby dla niego taka anglikanka przy pomyślniejszych okolicznościach. Nie z powodu gorliwości wrócił do pracy natychmiast, gdy wierni zaczęli opuszczać kościół; po prostu nie śmiał zetknąć się w tym świętym miejscu z kobietą, która zaczynała na niego wywierać taki nieopisany wpływ. Trzy poważne powody, broniące mu nawiązania bliższej znajomości z Sue Bridehead, narzucały się z tą samą uporczywością i teraz, gdy pociąg do niej okazał się niezaprzeczalnie natury zmysłowej. Ale również oczywisty był fakt, że człowiek nie może żyć samą pracą; Juda w każdym razie potrzebował czegoś, co by mógł kochać. Niektórzy mężczyźni byliby się natychmiast przyczepili do dziewczyny, schwycili przyjemność łatwej z nią znajomości, której nie mogłaby odmówić, resztę pozostawiając losowi. Ale Juda nie postąpił tak, przynajmniej na razie.

Gdy wszakże mijały dni, a zwłaszcza samotne wieczory, stwierdził z przerażeniem, że zamiast myśleć o Sue coraz mniej, myśli o niej coraz

więcej i doświadcza niesłychanej błogości, czyniąc to, co było błędne, lekkomyślne i przeciwne jego planom. Juda cały dzień przebywał w jej aurze, mijając miejsca, które ona mijała, myślał o niej bez ustanku i musiał przyznać się przed samym sobą, że jego sumienie prawdopodobnie przegra w tej bitwie.

Zresztą Sue ciągle była dla niego czymś nieomal idealnym. Może gdyby ją poznał, wyleczyłby się z tego nieoczekiwanego i niedozwolonego uczucia. Ale jakiś głos szeptał mu, że chociaż pragnie ją poznać, nie pragnie wyleczenia.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że z jego własnego, zgodnego z zasadami punktu widzenia sytuacja stawała się niemoralna. Bo miłość do Sue ze strony mężczyzny, któremu prawa jego ojczyzny nakazywały kochać Arabellę, i tylko Arabellę, aż do śmierci, stanowiła jeszcze jeden bardzo zły początek, jeśli ten mężczyzna stawiał sobie takie cele jak Juda. Tak głęboko był o tym przekonany, że pracując kiedyś samotnie w pobliskim wiejskim kościele, jak to ostatnio często miało miejsce, odczuł potrzebę modlitwy o siłę do zwalczania słabości. Ale jakkolwiek pragnął zachowywać się wzorowo w tych sprawach, nie mógł sobie poradzić z modlitwą. Prośba o uwolnienie od pokusy była całkiem niemożliwa, jak stwierdził, skoro serce pragnęło wodzenia na pokuszenie siedmiokrotnie po siedemdziesiąt razy. Juda usiłował więc znaleźć dla siebie wymówkę. „Ostatecznie – mówił – to nie jest u mnie wyłącznie kwestia erotolepsji, tak jak za pierwszym razem. Sue wygląda na osobę wybitnie uzdolnioną i przy moim osamotnieniu na uczucie do niej składa się po części pragnienie umysłowego współdzwięku, a również tęsknota do serdeczności”.

Wielbił ją więc dalej, lękając się przyznać, że uwielbienie to jest całkiem ludzką perwersją. Bo jakiegokolwiek mogły być cnoty, talenty i religijny poziom Sue, z pewnością wcale nie te cechy wzbudzały jego miłość.

Pewnego popołudnia w tym właśnie okresie na dziedziniec mieszczący warsztaty kamieniarskie weszła z lekkim wahaniem młoda panna i unosząc spódnicę, aby jej nie pobrudzić w białym pyłe, przeszła przez plac do kantoru.

– Ładna dziewczyna – powiedział jeden z robotników zwany

Wujkiem Joe.

– Kto to taki? – zapytał inny.

– Nie wiem, chociaż widuję ją czasem w tej dzielnicy. Ale prawda, to chyba córka Brideheada, zdolny z niego był facet; będzie z dziesięć lat, jak wykonał wszystkie roboty w kutym żelazie u św. Silasa. Potem wywędrował do Londynu. Nie wiem, jak mu się teraz powodzi, pewnie nieświeźnie, skoro córka tu wróciła.

Tymczasem młoda osoba zapukała do drzwi kantoru i zapytała, czy w warsztatach pracuje pan Juda Fawley. Judy akurat nie było; dziewczynę rozczarowała ta wiadomość i zaraz odeszła. Kiedy Juda wrócił i powiadomiono go o jej wizycie, od razu zawołał:

– Jakże, to moja kuzynka Sue!

Wybiegł na ulicę szukać jej, ale już znikła. Nie żywił już wcale zamiaru unikania kuzynki z rozmysłu i zdecydował się na odwiedzinę jeszcze tego samego wieczoru. Ale w domu zastał bilecik od niej – pierwszy bilecik – jeden z tych dokumentów, które, same w sobie mało znaczące i banalne, oglądane po pewnym czasie, wydają się brzemienne w uczuciowe konsekwencje. Sama nieświadomość dramatu wyzierającego z tych pierwszych, niewinnych bilecików od kobiet do mężczyzn, czy vice versa, wywiera tym większe wrażenie, nadając im uroczysty i – czasami – groźny charakter, z chwilą gdy dramat już się rozegrał, i odczytywane są powtórnie w jego krwawym lub posępnym świetle.

Bilecik Sue był pozbawiony wszelkiej sztuczności, nadzwyczaj naturalny. Zwracała się do niego per „drogi kuzynie Judo”, pisała, że dopiero co, zgoła przypadkiem, dowiedziała się o jego pobycie w Christminster, i robiła mu wyrzuty, że nie doniósł jej o tym wcześniej. Mogli byli spędzić razem tyle miłych chwil, ciągnęła; ona mogła liczyć tylko na siebie, nie mając w mieście nikogo bliskiego. A teraz prawdopodobnie niedługo stąd wyjedzie, a więc okazja miłego towarzystwa przepadnie, być może, na zawsze.

Zimny pot oblał Judę na wiadomość o wyjeździe dziewczyny. Ta okoliczność, której nie przewidywał, dodała mu teraz bodźca, aby czym prędzej do Sue napisać. Spotka się z nią jeszcze tego wieczoru, oświadczył, za godzinę od chwili skreślenia tego listu, przy krzyżu na

chodniku, znaczącym miejsce Męczeństwa.

Po wysłaniu kartki przez jakiegoś chłopaka Juda pożałował, że w pośpiechu zaproponował spotkanie na mieście zamiast obiecać, że zajdzie do niej. Ale taki zwyczaj spotykania się panował powszechnie na wsi i Judzie nic innego nie przyszło do głowy. W ten sam sposób, niestety, umówił się swego czasu z Arabellą, ale takiej kochanej dziewczynie jak Sue może się to wydać niewłaściwe. Stało się jednakże, i parę minut przed wyznaczoną godziną, w nikłym świetle świeżo zapalonych latarni, wyruszył na miejsce spotkania.

Szeroka ulica była cicha i prawie pusta mimo niezbyt późnej pory. Po przeciwległej stronie Juda spostrzegł postać kobiecą, poznał w niej Sue i oboje skierowali się ku znakowi krzyża na jezdni. Wszakże zanim tam doszli, dziewczyna zawołała:

– Nie chcę spotkać się z tobą po raz pierwszy w życiu właśnie tam! Chodźmy trochę dalej.

Głos jej, chociaż stanowczy i dźwięczny, nie brzmiał pewnie. Szli równolegle do siebie i, czekając na jej decyzję, Juda obserwował, kiedy się zatrzyma, po czym uczynił to samo w miejscu, gdzie za dnia stały ekwipaże woźniców, ale teraz nie było żadnego.

– Przepraszam, że zamiast przyjść do ciebie, poprosiłem o spotkanie tutaj – zaczął Juda z nieśmiałością zakochanego. – Ale sądziłem, że to oszczędzi nam czasu, jeśli mielibyśmy się wybrać na spacer.

– Ach! wszystko jedno – powiedziała Sue z koleżeńską swobodą. – Właściwie nie mogę nikogo do siebie poprosić. Chodziło mi tylko o to, że miejsce, które wybrałaś, jest okropne – nie powinnam pewnie używać tego słowa „okropne” – mam na myśli: ponure i złowróźbne w skojarzeniach, jakie przywodzi... Ale czy to nie zabawne tak zaczynać rozmowę, kiedy właściwie jeszcze się nie znamy?

Sue obejrzała Judę ciekawie od stóp do głów, chociaż on starał się na nią nie patrzeć.

– Ty zresztą znasz mnie chyba lepiej niż ja ciebie – dodała.

– Tak, widywałem cię czasami.

– Wiedziałaś, kim jestem i nie odezwałaś się do mnie? A ja już wyjeżdżam!

– Właśnie. To fatalne. Nie mam w Christminster nikogo bliskiego. Chociaż właściwie mieszka tu gdzieś mój dawny znajomy, ale do tej pory nie bardzo miałem ochotę go odwiedzić. Ciekaw jestem, czy przypadkiem nie słyszałaś o nim. Nazywa się Phillotson. Przypuszczam, że musi być gdzieś proboszczem w okolicy.

– Nie. Ja wiem tylko o jednym panu Phillotsonie, który mieszka niedaleko stąd na wsi, w Lumsdon. Jest nauczycielem wiejskim.

– Ciekawe, czy to ten sam. Chyba to niemożliwe. Ciągłe jeszcze jest tylko nauczycielem? Czy wiesz, jak mu na imię? Czy Ryszard?

– Tak, Ryszard. Posyłałam mu książki, chociaż osobiście nigdy się z nim nie zetknęłam.

– A więc nie zrealizował swoich planów!

Juda przygasł, bo jakże mogły się spełnić jego zamierzenia, skoro wielkiego Phillotsona spotkała przegrana? Czekalby go dzień rozpaczy, gdyby wiadomość nie przyszła w obecności słodkiej Sue, ale nawet teraz wyobrażał sobie, jak bardzo przygnębi go niepowodzenie wspaniałych, uniwersyteckich planów Phillotsona, z chwilą gdy pożegna się z kuzynką.

– Skoro wybieramy się na spacer, może poszlibyśmy go odwiedzić? – odezwał się nagle. – Nie jest jeszcze późno.

Sue zgodziła się, ruszyli więc pod górę i dalej przez ładną zalesioną okolicę. Po chwili na tle nieba zarysowała się zębata wieża i kwadratowa wieżyczka przy kościele, a potem ukazała się szkoła. Zapytali jakiegoś przechodnia, czy zastaną pana Phillotsona w domu, na co otrzymali odpowiedź, że pan Phillotson jest zawsze w domu. Pukanie do drzwi przywiodło go na próg ze świecą w dłoni i pytającym wyrazem twarzy, wychudłej i zżartej troską od czasu, kiedy Juda go ostatnio widział. Aureolę otaczającą nauczyciela w wyobraźni Judy od chwili rozstania z nim zniweczył za jednym zamachem charakter spotkania po tych wszystkich latach. Jednocześnie obudziło się w nim współczucie dla Phillotsona, jako dla człowieka najwidoczniej dotkniętego przez los i zawiedzionego. Juda wymienił swoje nazwisko, mówiąc, że przyszedł go odwiedzić jako dawnego przyjaciela, który okazał mu dobroć w dzieciństwie.

– Zupełnie sobie pana nie przypominam – rzekł nauczyciel

z roztargnieniem w głosie. – Był pan moim uczniem? Owszem, być może; ale tych uczniów człowiekowi w moim wieku nazbierało się tyle tysięcy, i wszyscy tak się pozmieniali, że pamiętam niewiele oprócz niedawnych roczników.

– To było w Marygreen – powiedział Juda, żałując, że tu w ogóle przyszedł.

– Tak, uczyłem tam, ale krótko. A czy to jest także moja uczennica?

– Nie, to moja cioteczna siostra... Pisałem do pana z prośbą o przysłanie mi podręczników gramatyki, pamięta pan? I pan je przysłał.

– A owszem. Coś takiego sobie przypominam.

– Bardzo to było uprzejmie z pana strony. To pan pierwszy mnie pchnął w tym kierunku. W dzień wyjazdu z Marygreen, rano, kiedy rzeczy załadowano już na furgon, powiedział mi pan przy pożegnaniu o swoich projektach wstąpienia na uniwersytet i uzyskania święceń kapłańskich. Mówił pan także, że stopień naukowy jest koniecznym stemplem dla każdego, kto chce do czegoś dojść jako teolog czy nauczyciel.

– Pamiętam, że takie miałem opinie na własny użytek, ale dziwię się, że nie zatrzymałem ich przy sobie. Poniechałem tego zamiaru już przed laty.

– A ja nigdy o tym nie zapomniałem. To był bodziec, który mnie przywiódł w te strony, a dzisiaj w odwiedziny do pana.

– Proszę, niech pan wejdzie – powiedział Phillotson. – I pani też.

Weszli do bawialni, gdzie z lampy o papierowym abażurze sączyło się światło na parę książek. Phillotson zdjął abażur, aby można się było lepiej widzieć, i teraz promienie światła padły na nerwową twarzyczkę, żywe ciemne oczy i włosy Sue, na skupione rysy jej kuzyna i na bardziej dojrzałą twarz i postać nauczyciela. Był to szczupły czterdziestopięcioletni mężczyzna o myślącej twarzy i cienkich, subtelnym wargach, lekko przygarbiony. Jego czarny surdut tak był wytarty od ciągłego noszenia, że trochę się świecił na łopatkach, w środku pleców i na łokciach.

Dawna przyjaźń niepostrzeżenie odżyła; nauczyciel mówił o swoich przeżyciach, a cioteczne rodzeństwo o swoich. Pan Phillotson

powiedział, że czasem jeszcze myśli o stanie duchownym i choć nie uda mu się już zostać księdzem, tak jak dawniej zamierzał, mógłby jeszcze dostać licencję jako kaznodzieja. Tymczasem urządził się wygodnie na obecnym stanowisku, tylko brak mu pomocniczej siły w szkole.

Juda i Sue nie zostali na kolacji, bo Sue musiała wrócić przed nocą, i ruszyli w stronę Christminster. Choć rozmawiali tylko na ogólne tematy, Juda ze zdziwieniem stwierdził, jaką rewelacją była dla niego kuzynka. Cechowała ją taka zmienność nastrojów, że każdy jej postępek zdawał się mieć źródło w uczuciach. Wskutek podniecającej myśli zaczynała iść tak szybko, że Juda z trudem dotrzymywał jej kroku, w niektórych zaś sprawach zdradzała takie przewrażliwienie, że można je było poczytać za próżność. Ze ściśniętym sercem Juda zauważył, że podczas gdy stosunek Sue do niego opierał się jedynie na szczerej życzliwości, on kochał ją jeszcze mocniej niż przed poznaniem. I to, że droga powrotna upłynęła w posępnym nastroju, należało przypisać nie panującej nocy, lecz myśli o jej wyjeździe.

– Czemu musisz wyjechać z Christminster? – zapytał z żalem. – Powinnaś trzymać się miasta, w którego historii tak poważne miejsce zajmują wielcy mężowie, jak Newman, Pusey, Ward czy Keble.

– Tak, to prawda. Ale czy równie okazałe miejsce zajmują w historii świata?... Co za śmieszny powód, aby chcieć tu zostać! Nigdy by mi to na myśl nie przyszło.

Roześmiała się.

– A wyjechać muszę – ciągnęła. – Panna Fontover, jedna z właścicielek firmy, gdzie pracuję, pogniwała się na mnie, a ja na nią, i lepiej będzie, jeśli się usunę.

– Jak do tego doszło?

– Stłukła figurki należące do mnie.

– O? naumyślnie?

– Tak. Znalazła je w moim pokoju i chociaż były moją własnością, rzuciła je na podłogę i podeptała, bo jej się nie podobały; ramiona i głowę jednej statuetki rozkruszyła w drobny mak obcasem! Wstrętna istota!

– Uznała je za zbyt katolickie i przypominające stolicę apostolską, prawda? Pewnie określiła je jako papieskie bałwochwalstwo i prawila

o czci świętych?

– Ach! nie... nie to. Jej punkt widzenia był zupełnie inny.

– Tak? W takim razie bardzo mnie to dziwi!

– Właśnie. Z zupełnie innego powodu nie podobali się jej moi święci. Musiałam wdać się z nią w dysputę i w końcu zdecydowałam, że nie zostanę tam dłużej, a poszukam sobie zajęcia, które da mi więcej niezależności.

– Dlaczego nie wrócisz do zawodu nauczycielskiego? Podobno kiedyś uczyłaś?

– Nie przyszło mi to na myśl; dawałam sobie radę jako rysownik.

– Pozwól, że zapytam pana Phillotsona, czy nie mogłabyś spróbować w jego szkole. Jeśli lubisz ten zawód i zapiszesz się do seminarium nauczycielskiego, a potem zostaniesz wykwalifikowaną nauczycielką z dyplomem, zarobisz dwa razy tyle co rysowaniem czy pracą w sztuce sakralnej, a także uzyskasz dwa razy więcej swobody.

– No dobrze, zapytaj go. Ale teraz muszę już iść. Do widzenia, Judo! Tak się cieszę, że poznaliśmy się nareszcie. Przecież nie mamy powodu do niezgody, chociaż nasi rodzice byli poróżnieni, prawda?

Juda nie chciał dać jej poznać, jak dalece się z nią zgadza, i odszedł w kierunku ulicy na peryferiach, gdzie mieszkał.

Pragnął teraz zatrzymać Sue Bridehead przy sobie bez względu na konsekwencje i następnego wieczoru powędrował znowu do Lumsdon, lękając się zawierzyć swą sprawę wyłącznie przekonującemu działaniu listu. Okazało się, że nauczyciel był zupełnie nieprzygotowany na tego rodzaju propozycję.

– Właściwie chodziło mi o kogoś, kto by przyszedł na drugi rok praktyki – powiedział. – Nic nie mam przeciwko osobie pana kuzynki, oczywiście, ale ona nie posiada przecie żadnej rutyny. O, już kiedyś uczyła? Doprawdy? Czy rzeczywiście zamierza, poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu?

Juda powiedział, że Sue skłania się do tego zamiaru, tak mu się przynajmniej zdaje, i przekonał nauczyciela zręczną argumentacją, że Sue z urodzenia nadaje się na jego pomocnicę, o czym w gruncie rzeczy nie miał pojęcia. Pan Phillotson oświadczył, że ją przyjmie, ale po przyjacielsku ostrzegł Judę, że wobec jedynie symbolicznych poborów

jego kuzynka zmarnuje czas na tej posiadzie, o ile rzeczywiście nie zamierza dalej iść tą drogą, traktując pracę u niego jako pierwszą fazę przygotowania się do zawodu, podczas gdy drugą fazą stanie się nauka w odpowiedniej szkole.

Nazajutrz Phillotson dostał list od Judy z wiadomością, że powtórnie rozmawiał z kuzynką, która z coraz większym zapałem myśli o nauczaniu i zgadza się pracować w Lumsdon. Nauczycielowi, który żył na odludziu, ani przez myśl nie przeszło, że ochoczość Judy w popieraniu tego układu wypływa z odmiennych uczuć w stosunku do Sue niż dążenie do wspomagania się nawzajem, normalne u członków jednej rodziny.

V

Nauczyciel siedział w swoim skromnym domku przy szkole – oba budynki były niedawno wzniesione – i patrzył na stary dom po drugiej stronie drogi, gdzie mieszkała jego pomocnica, Sue. Układ między nimi został zawarty bardzo szybko. Praktykantka, która miała być przeniesiona do szkoły pana Phillotsona, zawiodła i na jej miejsce zaangażowano Sue. Tego rodzaju tymczasowe zastępstwa mogły trwać jedynie do kolejnej, dorocznej wizytacji inspektora Jej Królewskiej Mości, którego aprobata była konieczna dla ich przedłużenia. A ponieważ panna Bridehead przez jakieś dwa lata uczyła w Londynie i nie była właściwie nowicjuską, chociaż ostatnio porzuciła zawód nauczycielski, pan Phillotson sądził, że nie będzie trudności z zatrzymaniem jej na stałe, na co już miał ochotę, mimo zaledwie parotygodniowej pracy Sue w jego szkole. Przekonał się, że opinia Judy o zdolnościach Sue jest trafna, a jakież majster w jakimkolwiek rzemiośle nie życzy sobie utrzymać terminatora, który oszczędza mu połowy roboty?

Było parę minut po wpół do dziewiątej rano i Phillotson czekał, kiedy Sue przejdzie przez drogę do szkoły; wtedy przyjdzie kolej na

niego. Sue w lekkim kapelusiku wsadzonym niedbale na głowę pokazała się za dwadzieścia dziewięć; nauczyciel patrzył na nią jak na jakąś osobliwość. Tego ranka emanowała z niej jakby inna aura, niezwiązana z talentami pedagogicznymi. Phillotson również udał się do szkoły i pod jego okiem Sue prowadziła przez cały dzień swoją klasę w drugim kącie izby. Była rzeczywiście doskonałą nauczycielką.

Do jego obowiązków należało udzielanie jej wieczorami lekcji, a w takich okolicznościach jeden z artykułów kodeksu wymagał obecności przyzwoitej, starszej kobiety, jeżeli osoba nauczająca i osoba pobierająca naukę były odmiennej płci. Ryszarda Phillotsona uderzyła absurdalność tego przepisu w danym wypadku, kiedy on mógłby być ojcem dziewczyny. Ale zastosował się do zwyczaju i gdy zasiadał do lekcji z Sue, pani Hawes, wdowa, u której Sue mieszkała, zajmowała się w tym samym pokoju szyciem. Przepisu nie dało się zresztą tak łatwo ominąć, jako że w domku wdowy nie było drugiego saloniku.

Czasami, gdy Sue głośno liczyła – pracowali właśnie nad arytmetyką – bezwiednie rzucała mu spojrzenie wraz z leciutkim pytającym uśmiechem, jakby zakładając, że jako nauczyciel musi spostrzegać wszystko, co jej chodzi po głowie, i wydawać temu dobrą lub złą ocenę. W rzeczy samej Phillotson wcale nie myślał o arytmetyce, ale o Sue, w jakiś inny niż dotychczas sposób, który jemu samemu wydawał się nieco dziwny, skoro miał jej tylko pomagać w nauce. A Sue może i znała charakter tych myśli.

Przez parę tygodni wspólna ich praca toczyła się z monotonią, która sama w sobie była dla pana Phillotsona rozkoszą. A potem pewnego dnia zaprowadzono dzieci do Christminster na objazdową wystawę modelu Jerozolimy; szkoły dopuszczano tam dla dobra edukacji za opłatą pensa od dziecka. Dzieci szły parami, a obok swojej klasy szła Sue, kryjąc się przed słońcem pod skromniutką, kretonową parasolką, z paluszkami opartymi na rączce. Z tyłu sunął Phillotson w długim surducie o rozwianych połach, elegancko trzymając laskę, ciągle w nastroju zadumy, jaki go ogarnął od chwili przyjazdu dziewczyny. Popołudnie było upalne, powietrze przesycone kurzem, i gdy przybyli na wystawę, niewiele osób zwiedzało ją poza nimi.

Model starożytnego miasta stał w środku pokoju, a jego właściciel

z bogobożnym uczuciem wypisanym na czole obchodził go naokoło, z pałeczką w ręku, pokazując młodzieży dzielnice i miejsca o nazwach znanych im z lektury Pisma św. A więc wzgórze Moria, Dolinę Jozafata, wzgórze Syjonu, mury i bramy; przed jedną z nich znajdowało się spore wzniesienie podobne do kurhanu, z białym krzyżykiem na wierzchu. To Kalwaria, objaśnił.

– Sądzę, że ten model, taki nadzwyczaj kunsztowny, jest produktem bujnej wyobraźni – powiedziała Sue do nauczyciela, stojąc przy nim nieco w tyle. – Któż może wiedzieć, że Jerozolima tak właśnie wyglądała za czasów Chrystusa? Jestem pewna, że ten człowiek tego nie wie.

– Model sporządzono według najlepszych map opartych na znajomości miasta w obecnym stanie.

– Mamy już chyba dosyć tej Jerozolimy – powiedziała Sue – zważywszy, że nie pochodzimy od Żydów. Nic tam znowu nie było nadzwyczajnego, ani samo miejsce, ani ludzie, w przeciwieństwie do Aten, Rzymu, Aleksandrii czy innych miast.

– Ależ, dziewczyno, niech się pani zastanowi, czym Jerozalem jest dla nas!

Sue zamilkła, bo łatwo się peszyła, i wtedy właśnie za grupką dzieci skupionych wokół modelu zobaczyła młodego człowieka w białej flanelowej kurtce, pochylonego tak nisko przy badawczych oględzinach Doliny Jozafata, że twarz mu prawie znikła za Górą Oliwną.

– Proszę spojrzeć na swego kuzyna – ciągnął nauczyciel. – Juda nie sądzi, abyśmy mieli już dosyć Jerozolimy!

– Ach! nie zauważyłam go! – zawołała szybko Sue radosnym tonem. – Juda! jakże serio przykładasz się do zwiedzania.

Juda drgnął, wyrwany z zadumy, i spostrzegł ją.

– O! Sue! – powiedział z nagłym rumieńcem zakłopotania. – To są dzieci z twojej klasy, oczywiście! Wiedziałem, że dla szkół wstęp jest po południu, i spodziewałem się, że może przyjdiesz, ale model mnie całkowicie pochłonął i zapomniałem, gdzie jestem. Jak on nas przenosi w przeszłość, prawda? Mógłbym to oglądać godzinami, ale, niestety, mam tylko parę wolnych chwil, bo jestem akurat w ogniu roboty, tu niedaleko.

– Pana kuzynka jest tak strasznie przemądrzała, że bezlitośnie skrytykowała ten model – powiedział Phillotson z dobroduszną ironią. – Odnosi się z wielkim sceptycyzmem do jego ścisłości.

– Ależ nie, proszę pana, wcale nie! Nienawidzę tego określenia „przemądrzała”, za dużo jest teraz takich panien! – odparła Sue z urazą.

– Ja tylko chciałam powiedzieć, właściwie nie wiem, co chciałam powiedzieć poza tym, że to jest coś takiego, czego by pan nie zrozumiał!

– Ja wiem, o co chodzi – powiedział Juda z zapalem, chociaż wcale nie wiedział. – I sędzę, że masz zupełną rację.

– O, Judo, jak to dobrze! Wiem, że przynajmniej ty wierzysz we mnie!

Impulsywnie chwyciła go za rękę i spojrzawszy z wyrzutem na nauczyciela, cała zwróciła się do Judy; głos jej zdradzał takie drżenie, że sama odczuła je jako bezsensowną niegrzeczność wobec łagodnego sarkazmu Phillotsona. Sue nie miała najmniejszego pojęcia, jak dalece serca obu mężczyzn wybiegły do niej przy tym błyskawicznym objawieniu uczucia i jakie komplikacje budowała przez to dla przyszłości ich obu.

Model miał zbyt wiele cech przypominających szkołę, toteż dzieci szybko się nim znużyły i wkrótce wszyscy pomaszerowali z powrotem do Lumsdon, Juda zaś wrócił do roboty. Popatrzył na młodociane stadko w czystych sukienkach i fartuszkach wychodzące parami z miasta pod strażą Phillotsona i Sue i ogarnął go smutek i niezadowolenie, że znajduje się poza orbitą ich życia. Ale Phillotson zaprosił go na piątek wieczór, kiedy Sue nie miała z nim lekcji, i Juda z zapalem obiecał skorzystać z zaproszenia.

Tymczasem uczniowie i nauczyciele posuwali się ku domowi. Następnego dnia, spojrzawszy na tablicę w klasie Sue, Phillotson ze zdziwieniem zobaczył zręczny rysunek kredą przedstawiający w perspektywie widok Jerozolimy z każdym budynkiem we właściwym miejscu.

– Zdawało mi się, że nie zainteresował pani model i ledwie pani nań spojrzała – powiedział.

– To prawda – odparła – ale tyle mi zostało w pamięci.

– To więcej, niż ja sam zapamiętałem.

W tym czasie inspektor Jej Królewskiej Mości składał „niespodziewane wizyty” w sąsiedztwie, aby sprawdzić znienacka poziom nauczania. Dwa dni później, w samym środku przedpołudniowych lekcji, cicho naciśnięto klamkę u drzwi i wkroczył pan inspektor, największy postrach nauczycieli praktykantów.

Dla pana Phillotsona nie stanowiło to specjalnej niespodzianki, za często mu płatano ten figiel, aby miał być zaskoczony. Ale klasa Sue znajdowała się w dalszym kącie pokoju i dziewczyna stała tyłem do drzwi. Inspektor więc mógł zatrzymać się za nią i przez chwilę niepostrzeżenie przysłuchiwać się lekcji. Gdy Sue odwróciła się w końcu, zobaczyła, że oto nadszedł oczekiwany ze strachem moment. Nieśmiała z natury, zareagowała okrzykiem przerażenia. A Phillotson, z dziwnym impulsem troskliwości, zupełnie bezwiednym, znalazł się u jej boku w sam czas, żeby w omdleniu nie upadła na ziemię. Sue szybko oprzytomniała i roześmiała się, ale gdy inspektor odszedł, nastąpiła reakcja i zbladła tak bardzo, że nauczyciel zabrał ją do siebie i dał jej trochę wódki. Sue, ocknąwszy się, spostrzegła, że Phillotson trzyma ją za rękę.

– Powinien pan był mnie uprzedzić, że grozi niespodziewana wizytacja inspektora! – powiedziała opryskliwie. – Co ja teraz pocznę! On napisze do kierownictwa, że jestem do niczego, i na zawsze przylgnie do mnie niekorzystna opinia.

– Na pewno tego nie napisze, moja malutka. Jest pani najlepszą nauczycielką, jaką kiedykolwiek miałem.

Patrzył na nią tak łagodnie, że wzruszyła się i pożałowała wybuchu. Gdy poczuła się lepiej, wróciła do domu.

Tymczasem Juda oczekiwał z niecierpliwością piątku. W środę i czwartek ogarnęło go przemożne pragnienie zobaczenia Sue i o zmroku poszedł kawałek w stronę wioski; po powrocie, zasiadłszy do czytania, nie był zdolny skupić się nad książką. W piątek przygotował się tak, jak sądził, że Sue chciałaby, aby wyglądał, pośpiesznie zjadł podwieczorek i wyruszył mimo deszczu. Przydrożne drzewa pogłębiały ciemność wieczoru i smętnie roniły krople dżdżu, napełniając Judę niedobrymi przecuciami bez logicznej podstawy. Bo chociaż wiedział, że kocha Sue, wiedział również, że nie może stać się dla niej niczym więcej, niż

tym, czym był obecnie.

Gdy minąwszy zakręt, wszedł do wsi, na wstępie rzuciły mu się w oczy dwie postacie, wychodzące z bramy plebanii pod jednym parasolem. Juda był za daleko, aby go spostrzeżono, ale od razu poznał w tej parze Sue i Phillotsona. Nauczyciel trzymał parasol nad głową dziewczyny; najwidoczniej byli razem u proboszcza, pewnie w sprawach związanych ze szkołą. Gdy tak szli wilgotną i pustą ulicą, Juda nagle zobaczył, że Phillotson obejmuje ramieniem kibić Sue. Ona odepchnęła ramię łagodnym ruchem, ale on objął ją znowu, na co już zezwoliła, rzuciwszy tylko naokoło szybkie, zalęknione spojrzenie. Nie spojrzała ani razu w tył, więc nie zauważyła Judy, który zaszył się w żywopłot jak człowiek rażony gromem. Pozostał w ukryciu, dopóki tamci nie doszli do domu Sue. Ona weszła do siebie, a Phillotson udał się obok, do szkoły.

– O! on jest dla niej za stary, o wiele za stary! – zawołał Juda w straszliwej męce beznadziejnej miłości, przed którą piętrzyło się tyle przeszkód.

Nie miał prawa się wtrącać. Czyż nie był własnością Arabelli? Niezdolny iść dalej, zawrócił ku Christminster. Każdy krok zdawał się mówić, że w żadnym razie nie powinien stawać na drodze nauczycielowi w jego staraniach o Sue. Phillotson był pewnie o dwadzieścia lat od niej starszy, ale niejedno szczęśliwe małżeństwo zostało zawarte przy takiej różnicy wieku. Żal Judy przypieczętował ironiczny argument, że właśnie on sam doprowadził do zbliżenia między kuzynką a nauczycielem.

VI

Stara, zgorzkniała ciotka leżała chora w Marygreen i w następną niedzielę Juda poszedł ją odwiedzić, co było wynikiem zwycięskiej walki przeciwko chęci zajrzenia do wioski Lumsdon i zobaczenia się z kuzynką, choć przez parę minut. A przecież w czasie takiej rozmowy nie mógłby przemówić z głębi serca ani wyjawić tego, co ujrzał i co

zadawało mu takie katusze.

Ciotka nie opuszczała już łóżka i większa część krótkiego pobytu Judy upłynęła na krzątaniu się przy niej. Małą piekarnię odprzedano sąsiadowi i dzięki tej sumie i swoim oszczędnościom panna Fawley mogła sobie pozwolić na podstawowe wygody i nawet na stałą opiekę pewnej wdowy z tej samej wsi. Dopiero pod sam koniec wizyty nadarzyła się okazja do spokojnej pogawędki i Juda od razu nawiązał do swej ciotecznej siostry.

– Czy Sue urodziła się tutaj, ciociu?

– Tak, w tym pokoju. Rodzice jej mieszkali wtedy u mnie.

Dlaczego pytasz?

– Tak sobie. Chciałem wiedzieć.

– Na pewno poszedłeś do niej! – powiedziała szorstko staruszka. –

A o co cię prosiłam?

– Właściwie to nie poszedłem do niej...

– Ale co? Rozmawiałeś z nią?

– Owszem.

– No to nie podtrzymuj tej znajomości. Ojciec wychował dziewczynę w nienawiści do rodziny matki. Zresztą niechętnie będzie patrzyła na takiego robociarza jak ty, bo to teraz miejska panna. Nigdy jej nie lubiłam. Zuchwałe z niej było stworzenie, aż nazbyt często; skutek tych jej nerwów. Ile to razy przyłożyłam jej za zuchwalstwo! Któregoś dnia wlaża do stawu bez trzewików i pończoch, ze spódniczką zakasaną powyżej kolan, i nie zdążyłam jeszcze jej skrzyczeć, kiedy ona zawołała: „Niech ciocia odejdzie! To nie jest widok dla »skromnych oczu!«.

– Była wtedy małym dzieckiem.

– Miała akurat dwanaście lat.

– No, tak. Ale teraz wyrosła na myślącą, wrażliwą i czułą istotę.

Jest tak wrażliwa...

– Judo! – zawołała ciotka, podrywając się z łóżka. – Żebyś mi nie stracił dla niej głowy!

– Ależ nie, ciociu, na pewno nie stracę.

– Żeniąc się z tą kobietą, Arabellą, popełniłeś chyba najgorszą rzecz, jaką mężczyzna mógł na siebie ściągnąć, dokładając specjalnych

starań. Ale Arabella wyjechała na drugi koniec świata i może da ci spokój. Wszakże będzie jeszcze gorzej, jeśli przy swoim związaniu i skrępowaniu upodobaś sobie Sue. Jeśli kuzynka jest dla ciebie grzeczna, bierz tę grzeczność za dobrą monetę. Ale to istne szaleństwo obdarzać ją czymś więcej niż życzliwością krewnego. Jeśli jest miejską, wyuzdaną pannicą, może cię doprowadzić do ruiny.

– Niech ciocia nic złego o niej nie mówi. Bardzo proszę!

Juda z ulgą powitał wejście towarzyszek i opiekunki ciotki, która musiała widocznie przysłuchiwać się rozmowie, bo zaraz nawiązała do minionych lat i wprowadziła Sue Bridehead jako jedną z bohaterek swoich wspomnień. Opowiadała, jaką to dziwną dziewczynką była Sue wtedy, gdy uczęszczała do wiejskiej szkoły – było to, zanim jej ojciec wywędrował do Londynu. Kiedyś, gdy proboszcz zorganizował wieczór deklamacji, ukazała się na estradzie, najmniejsza ze wszystkich dzieci, „w białej sukieneczce i trzewiczkach, i z różową szarfą”, i recytowała *Excelsior*, *Nocą rozległy się dźwięki zabawy i Kruka*; deklamując, ściągała brewki i rozglądała się naokoło z tragiczną miną, rzucając w powietrze, jak gdyby naprawdę ktoś się tam znajdował:

Z brzegów nocy straszny gościu, powiedz, gwoli mej podzięce,

Swe rodowe miano, które tam, w Hadesu mrokach, święcę[14].

– Ten obrzydły ptak, co pożera padlinę, był jak żywy – potwierdziła z niechęcią chora kobieta. – Miałeś go przed oczami, gdy ona deklamowała w tej swojej sukieneczce z różową szarfą. Ty, Judo, jako dziecko także patrzyłeś w powietrze, jakbyś tam coś widział.

Sąsiadka opowiadała również o talentach Sue w innych dziedzinach:

– Nie to, żeby z niej był kozak, co to, to nie, ale zabierała się do rzeczy, które z reguły robią tylko chłopcy. Raz widziałam, jak przyciągnęła łódkę i popłynęła na staw. Stała z rozwianymi loczkami, jedyna w rzędzie dwudziestu dzieciaków. Sunęli na tle nieba jak figurki wymalowane na szkle. Ona jedna wśród samych chłopaków. Zaczęli do

niej krzycząc: „Brawo”, a ona im na to: „Jesteście niegrzeczni!”, i nagle uciekła do domu. Starali się zwabić ją z powrotem. Ale już się nie pokazała.

Ta wizja Sue z dawnych czasów wzmogła jeszcze żal Judy, że nie może o nią zabiegać. Z ciężkim sercem wyszedł tego dnia od ciotki. Chętnie byłby zajrzał do szkoły, gdzie Sue tak się wślawiła jako mała dziewczynka, ale zwalczył to pragnienie i poszedł dalej.

W ten wieczór niedzielny spotkał stojącą grupę wieśniaków w świątecznym przyodziewku. Zнали oni Judę za czasów jego stałego pobytu w Marygreen i teraz, ku jego zdziwieniu, jeden z nich go pozdrowił.

– A więc dostałeś się tam, gdzie chciałeś?

Juda nie zrozumiał, o co chodzi.

– Jakże, do siedziby nauki, do „Miasta Światłości”; gdy byłeś malcem, ciągle o nim mówiłeś. Czy miasto jest takie, jak się spodziewałeś?

– O, tak! jeszcze piękniejsze! – zawołał Juda.

– Co do mnie, nic takiego w tym mieście nie zobaczyłem, kiedym tam spędził godzinę, nie więcej. Stare, walące się budynki, ni to kościoły, ni to przytułki dla biednych. I nie widać, żeby się coś tam działo.

– Mylicie się, John; więcej się tam dzieje, niż to, co może spostrzec człowiek, chodząc po ulicach. Jest to jedyny w swoim rodzaju ośrodek myśli i religii, taki spichlerz wytworów ducha i rozumu w naszym kraju. Cisza i bezruch to spokój nieskończonych zmian – pozorny sen kręcącego się bąka, aby użyć porównania znanego pisarza.

– Może tak i jest, a może i nie jest. Jak powiadam, nic z tego nie mogłem uwidzieć przez te parę godzin, com tam był; więc poszedłem na kufelek piwa i bułkę za grosz z kawałkiem sera, zanim była pora wracać. A ty pewnie dostałeś się do kolegium przez ten czas?

– Ach! nie! – powiedział Juda. – Tak samo do tego daleko jak i przedtem.

– Czemuż to?

Juda uderzył ręką po kieszeni.

– Tak też i nam się zdawało! To miejsce nie dla takich jak ty, tylko

dla tych, co mają kupę pieniędzy.

– Tu się mylicie – powiedział Juda z pewną goryczą. – Ono jest i dla takich jak ja!

Ta uwaga w każdym razie wystarczyła, aby odwrócić myśl Judy od świata wyobraźni, w którym ostatnio przebywał i gdzie abstrakcyjna postać, trochę podobna do niego, pogrążała się w sublimacji sztuki i nauki i zapewniała powołanie i wybór do rajy uczonych. Teraz kazano mu spojrzeć na te projekty w zimnym, mrozącym świetle. Juda czuł ostatnio, że źle sobie radzi z greką, a zwłaszcza z greckimi dramaturgami. Czasem był tak zmęczony po całodziennej robocie, że nie potrafił utrzymać napiętej uwagi potrzebnej do całkowitego skupienia. Czuł, że potrzebuje pomocy, przyjaciela obok siebie, który objaśniłby mu w sekundę to, na co czasami zużywał cały nużący miesiąc szperania w opornych, ciężkich książkach.

Trzeba było koniecznie rozważyć rzeczywistość trochę dokładniej, niż to robił ostatnio. Co dobrego wyniknie ostatecznie ze spędzania wolnych chwil na niesprecyzowanym mozole, zwanym prywatną nauką, bez zastanowienia się nad praktyczną jego stroną?

– Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej – mówił sobie, wracając z Marygreen. – Lepiej było wcale nie angażować się w to przedsięwzięcie, niż brnąć dalej bez jasnego poglądu, dokąd idę i do czego dążę... Trzeba skończyć z tym błędzeniem przed murami kolegów tak jakby w nadziei, że wysunie się z nich jakieś ramię, aby mnie wciągnąć do środka! Muszę się postarać o konkretne informacje.

W następnym tygodniu wobec tego zaczął o nie zabiegać. Pierwsza na pozór sposobna okazja nadarzyła się pewnego popołudnia, gdy zauważył starszego pana, przełożonego jednego z kolegów, jak mu powiedziano, który przechadzał się wzdłuż publicznej ścieżki parkowego zakątka nieopodal miejsca, gdzie przypadkiem usiadł Juda. Starszy pan podszedł bliżej i Juda z niepokojem spojrział mu w twarz: była dobrotliwa i życzliwa, ale z dodatkiem wyrazu pewnej powściągliwości. Po namyśle Juda uznał, że nie wypada mu wstać i zwrócić się wprost do tego pana, ale pod wpływem całego zdarzenia przyszło mu do głowy, że najrozsądniej będzie przedstawić wszystkie swe trudności w liście do paru najlepszych i najświatlejszych starych pedagogów i uzyskać ich

radę.

W ciągu następnych paru tygodni tak sobie obierał punkty pracy na mieście, żeby móc rzucić okiem na najbardziej znanych zastępców przełożonych, dyrektorów i innych zwierzchników uniwersyteckich; wśród tych, których zaobserwował, wybrał pięciu, bo z ich fizjonomii wyczytał, że są to mężowie zdolni do wydania oceny i przenikliwi. Do tych pięciu wysłał zatem listy, zwięźle przedstawiając swoje kłopoty i prosząc o ich opinię w tej trudnej sytuacji.

Po nadaniu listów na pocztę Juda zaczął je w myśli krytykować. Żałował, że je wysłał. „To akurat jedna z tych natrętnych, prostackich i uprzykrzonych próśb, tak dzisiaj rozpowszechnionych – myślał. – Co mi przyszło do głowy, aby w ten sposób zwracać się do zupełnie nieznanomych osób? Mogą mnie przecież wziąć za oszusta i łobuza, człowieka o złej reputacji... A może właśnie taki jestem?”

Niemniej trzymał się kurczowo nadziei, że otrzyma odpowiedź, jakby to była ostatnia szansa zbawienia. Dzień po dniu czekał, tłumacząc sobie bezsensowność oczekiwania, ale mimo wszystko czekając. W tym czasie poruszyły go wieści o Phillotsonie. Opuszczał podobno szkołę w pobliżu Christminster, przenosząc się do większej, na południu, w środkowym Wesseksie.

Juda nie chciał nawet myśleć, co oznacza i jaki wpływ wywrze ta zmiana na losy jego kuzynki. A może jest to właściwy krok ze strony nauczyciela, aby zdobyć większe dochody potrzebne dla dwojga zamiast, jak dotychczas, dla jednej osoby? Ale na takie przypuszczenie nawet sobie nie pozwalał.

Wobec czułych stosunków między nauczycielem a dziewczyną, w której sam się tak namiętnie kochał, Juda wzdragał się prosić Phillotsona o radę w swoich sprawach.

Tymczasem nie nadchodziła odpowiedź od żadnego z uniwersyteckich dygnitarzy, do których Juda się zwrócił, i młodzieniec był zdany wyłącznie na siebie samego, tak jak dawniej, ale z dodatkowym ciężarem zawiedzionych nadziei. Zasięgnąwszy jeszcze pośrednich wiadomości, wkrótce widział jak na dłoni to, co od dawna niechętnie podejrzewał, a mianowicie, że jedynym skutecznym sposobem byłoby przygotować się do zdobycia otwartego stypendium.

Na to jednakże trzeba było mieć długotrwałą pomoc w nauce i duże wrodzone zdolności. Natomiast wydawało się prawie niemożliwe, aby człowiek studiujący na własną rękę, choćby nawet uczył się dużo i solidnie przez długie dziesięć lat, mógł rywalizować ze studentami, którzy cały czas pracowali pod kierunkiem wykwalifikowanych nauczycieli i w ściśle wyznaczonym zakresie.

Dla ludzi jego pokroju jedyna droga, pozornie dostępna, polegała na czymś w rodzaju wkupienia się: cała trudność tutaj była wyłącznie natury materialnej. Na podstawie tych informacji Juda zaczął szacować rozmiary przeszkód materialnych i ze zgrozą stwierdził, że tempo oszczędzania przy najpomyślniejszej koniunkturze nie pozwoli mu przed upływem piętnastu lat wpłacić odpowiedniej sumy kierownictwu kolegium i przystąpić do egzaminu wstępnego. Całe przedsięwzięcie wyglądało beznadziejnie.

Juda zdawał sobie sprawę, jak osobliwy i przewrotny czar rzuciło na niego miasto poznane z bliska. Gdy w dniach pełnej marzeń młodości ukazywało mu ono swój uroczny kształt w łunie na widnokręgu, oczywistym i jedynym celem było dostać się do Christminster, zamieszkać tam, przebywać wśród kościołów i budynków uniwersyteckich, wchłaniać *genius loci*[15]. „Abym tylko tam dotarł – mówił sobie wtedy, bezsensownie jak Kruzoe nad swoją wielką łodzią – a reszta to już kwestia czasu i energii”. O ileż byłoby dla niego lepiej pod każdym względem, gdyby w ogóle nie trafił w zasięg tego zwodniczego grodu, a za to powędrował do jakiego bądź ruchliwego miasta o charakterze handlowym, z wyłącznym celem zdobycia pieniędzy własnym przemysłem, i stamtąd dopiero ocenił swoje zamiary z odpowiedniej perspektywy. W tej chwili pojął jedynie, że w zetknięciu z logicznym rozumowaniem cały jego plan prysł jak tęczowa bańka mydlana. Juda spojrzał wstecz, na swoje życie w ciągu minionych lat, i obraz, który mu się nasunął, przypominał myśl Heinego:

Błazna pstrokatą czapkę widzę ponad czołem

Młodzieńca o natchnionym i ognistym wzroku.

Tak się szczęśliwie złożyło, że w tę ruinę nie pociągnął z sobą Sue, i ukochanej nie dotknęło jego własne rozczarowanie. W miarę możliwości musi teraz oszczędzać jej bolesnych szczegółów swego przebudzenia. Ostatecznie Sue знаła tylko znikomą część tej żalostnej walki, w którą uwikłał się nieoględnie, bez przygotowania i bez grosza.

Na zawsze zapamiętał nastrój tego popołudnia, kiedy ocknął się ze snu. Nie wiedząc, co z sobą począć, poszedł do ośmiokątnej komnaty w wieżycze teatru o dziwacznym kształcie, który zbudowano w tym równie osobliwym i dziwacznym grodzie. Z okien wieżyczki rozciągał się widok na całe miasto i jego zabytki. Z zadumą i ze smutkiem Juda kolejno przebiegł wzrokiem wszystkie jego fragmenty. Nie dla niego przeznaczone były te budowle, ich przywileje i sprawy związane z nimi. Z pobliskiego dachu wielkiej biblioteki, dokąd nigdy nie miał czasu zajść, wzrok Judy przesunął się na wieżycę, kolegia, ściany szczytowe, uliczki, kaplice, ogrody i dziedzińce składające się na całość tej nieznanej panoramy. Wiedział, że nie tam leży jego przeznaczenie, lecz wśród ludzi trudniących się znojną pracą rąk w ubogiej dzielnicy, gdzie i on sam mieszkał, dzielnicy nieuznawanej za część miasta przez turystów i entuzjastów Christminster, mimo że bez jej mieszkańców pilni studenci nie mogliby studiować, a wzniosli myśliciele – żyć.

Ponad miastem patrzył na daleką wieś i drzewa; za ich zasłoną przebywała kobieta, której obecność początkowo była mu otuchą, a której utrata zadawała mu teraz straszliwą mękę. Gdyby nie ten cios, pogodziłby się jakoś z losem. Mając Sue przy boku, z uśmiechem wyrzekłby się ambicji. Ale bez niej reakcja po długotrwałym napięciu nerwów musiała fatalnie go ugodzić. Bez wątpienia i Phillotson przeszedł przez intelektualne rozczarowanie, podobne do tego, które obecnie odczuwał Juda. Ale od tamtej pory spłynęło na nauczyciela błogosławieństwo w osobie słodkiej Sue, podczas gdy on sam nie miał pocieszyciela.

Wrócił na ulicę i apatycznie szedł przed siebie, aż trafił na szynk. Wypił duszkiem kilka szklanek piwa, a gdy opuścił lokal, zapadła już noc. Przy migotliwym świetle latarni powlókł się do domu na kolację, ale ledwie siadł do stołu, gospodyni przyniosła mu przed chwilą

doręczony list. Położyła go przy nim jakby z poczuciem przypuszczalnego znaczenia koperty, a Juda od razu spostrzegł nadruk jednego z kolegów, do których pisał.

– Chociaż jeden, nareszcie! – zawołał.

Wiadomość była krótka i niezupełnie taka, jakiej się spodziewał, chociaż rzeczywiście pochodziła od przełożonego we własnej osobie. Brzmiała, jak następuje:

Kolegium Biblioll

WPan

Juda Fawley, kamieniarz

„Szanowny Panie! Z zainteresowaniem przeczytałem pański list. Skoro, jak Pan sam o sobie piszesz, jesteś robotnikiem, ośmielam się stwierdzić, że będziesz miał o wiele większe szansę powodzenia w życiu, pozostając w obrębie własnej sfery i trzymając się swego zawodu niż obierając inny kierunek. I takie postępowanie Panu zalecam. Z poważaniem

T. Tetuphenay”

Ta nieludzko rozsądna rada do ostateczności rozjątrzyła Judę. Wiedział to wszystko i przedtem. Wiedział, że to prawda. A jednak, po dziesięciu latach ciężkiej pracy, policzek wydał się ciężki do zniesienia. Juda zerwał się raptem od stołu i zamiast jak zwykle, zabrać się do czytania, zbiegł na dół i na ulicę. Zatrzymał się w barze, wychylił parę kieliszków, a potem półprzytomnie ruszył przed siebie, aż doszedł do miejsca w środku miasta, zwanego Fourways. Jak w transie patrzył nieprzytomnie na grupki ludzi, a gdy w końcu przyszedł do siebie, zagadnął stojącego tu policjanta.

Policjant ziewnął, przeciągnął się, uniósł na półtora cala w górę na czubkach palców, uśmiechnął się i dobrodusznie patrząc na Judę, powiedział:

– Cokolwiczek zalany, młody człowieku, hę?

– Wcale nie; dopiero zacząłem – cynicznie odparł Juda.

Jakkolwiek był pijany, jego umysł pracował sprawnie. Usłyszał

zaledwie część dalszych uwag policjanta, bo zatopił się w myślach o ludziach walczących jak on, którzy stali kiedyś na tym rozstaju, a teraz nikt już o nich nie pamiętał. Emanowało stąd więcej historii niż z najstarszych kolegów w mieście. Dosłownie tłoczyły się tu warstwami cienie ludzkich pokoleń, przeżywających w tym miejscu swoją tragedię, komedię czy farsę, przeżywających rzeczywiste zdarzenia w najbardziej intensywny sposób. Stali tu ludzie, rozprawiając o Napoleonie, utracie Ameryki i egzekucji króla Karola, o spaleniu Męczenników, wyprawach krzyżowych, podboju normandzkim, a może i o przybyciu Cezara. Tutaj spotykali się mężczyźni i kobiety, aby kochać się, nienawidzić, kojarzyć i żegnać; tu czekali na siebie i cierpieli przez siebie, na przemian triumfując nad sobą, złorzecząc sobie w napadach zazdrości, a błogosławiąc w chwilach przebaczenia.

Judzie zaczęła świtać myśl, że życie miasta stanowi księgę ludzkości nieskończenie bardziej porywającą niż życie kolegów. Mężczyźni i kobiety, którzy borykali się tu przed nim, byli rzeczywistością Christminster, chociaż niewiele wiedzieli o Chrystusie czy o przybytku bożym[16]. Był to kaprys rzeczy. Niestali mieszkańcy, studenci i nauczyciele, którzy w pewnej mierze mieli pojęcie i o Chrystusie, i o Kościele, wcale nie stanowili istoty Christminster w sensie ducha tego miasta.

Spojrzał na zegarek i w myśl swojej koncepcji ruszył dalej, aż dotarł do sali publicznej, gdzie odbywał się „spacerowy” koncert. Salę wypełniali subiekci i dziewczęta sklepowe, żołnierze, terminatorzy, jedenastoletni chłopcy z papierosami w zębach i kobiety lekkich obyczajów przyzwoitszej i raczej amatorskiej kategorii. Juda odnalazł tu prawdziwe życie Christminster. Grała orkiestra, tłum spacerował po sali i potraçał się, a od czasu do czasu ktoś wchodził na estradę i śpiewał komiczną piosenkę.

Koło Judy zdawał się krążyć duch Sue i powstrzymał go od flirtu i picia ze swawolnymi dziewczętami, które chciały się trochę zabawić. O dziesiątej wyszedł i wybrał okrężną drogę, aby przejść obok bram kolegium, skąd dopiero co otrzymał list.

Bramy były zamknięte. Pod wpływem nagłego impulsu Juda wyjął z kieszeni kawałek kredy – nosił ją w kieszeni tak jak każdy robotnik –

i skreślił na murze te słowa:

„Też ci ja mam serce jako i wy, anim jest podlejszy niżli wy; bo któż tego nie wie, co wy wiecie?”[17]

VII

Ulżył mu ten wybuch pogardy i następnego dnia śmiał się ze swej zarozumiałości. Śmiech jednak nie był szczery. Juda przeczytał powtórnie list od dyrektora i zawarta w nim mądrość, którą początkowo przyjął ze złością, teraz zmroziła go i przygnębiła. Spojrzał na siebie jak na głupca.

Pozbawiony celu, zarówno w dziedzinie intelektu, jak i serca, nie był zdolny zabrać się do pracy. Ilekroć godził się z losem swoich studiów, spokój mąciło mu przypomnienie beznadziejnego stosunku do Sue. Z okrutną uporczywością nękała go myśl, że wskutek swego małżeństwa utracił jedyną pokrewną duszę, jaką spotkał w życiu. Aż wreszcie nie mógł dłużej znieść tego stanu i znowu szukał zapomnienia w realnym życiu miasta. Znalazł je teraz w podłym, ciasnym szynku w zaułku, który dobrze był znany pewnym zacnym, miejscowym obywatelom, a jego, Judę, w weselszych czasach pociągnąłby po prostu malowniczością. Przesiedział tutaj prawie cały dzień, przekonany, że jest z gruntu podłym człowiekiem i wobec tego niewiele może się po sobie spodziewać.

Pod wieczór jeden po drugim zaczęli zjawiać się bywalcy lokalu, a Juda dalej siedział w kącie, chociaż wydał już wszystkie pieniądze i od rana nic w ustach nie miał oprócz herbatnika. Ze spokojem ducha i filozoficzną postawą człowieka, który pił przez wiele godzin, przyglądał się swoim towarzyszom w tym gronie, potem zaś zbratał się z kilkoma: z mądrą blacharzem Taylorem, co za młodu skłaniał się do religii, choć obecnie zdradzał skłonność do bluźnierstw, z czerwono nosym licytorem i dwoma kamieniarzami, zwanymi

Wujkiem Jimem i Wujkiem Joe, tak jak i on sam specjalistami od robót gotyckich. Było tu także kilku biuralistów i czeladnik z pracowni sutann i komż; dwie damy przezywane „Altanką Szczęścia” i „Piegatą”, które obnosiły moralne oblicze o licznych odcieniach, zależnie od otaczającego je towarzystwa; paru mężczyzn obznajmionych z wyścigami konnymi i kołami prowadzącymi zakłady; wędrowny aktor i dwóch nonszalanckich młodzieńców, którzy okazali się studentami bez tog. Przybyli oni ukradkiem na spotkanie z pewnym osobnikiem w sprawie kupna szczeniąt buldoga i siedli obok rzeczonych dżentelmenów od wyścigów, popijając wódkę i paląc krótkie fajeczki; od czasu do czasu jednakże spoglądali niespokojnie na zegarki.

Rozmowa przeszła na ogólne tory. Poddawano krytyce społeczeństwo Christminster i serdecznie litowano się nad „Donami”, sadownikami i innymi osobami u władzy z powodu ich niedociągnięć, a jednocześnie w sposób wielkoduszny i bezinteresowny wyrażano opinię, jak powinni się oni prowadzić i jak kierować powierzonymi sobie sprawami, aby uzyskać właściwy szacunek...

Z zarozumiałstwem, bezczelnością i zadufaniem człowieka o tęgiej głowie, który uległ wpływowi alkoholu, Juda Fawley dorzucił nieco arbitralnie swoje uwagi; a że przez tyle lat takie, a nie inne przyświecały mu cele, każdy temat poruszony przez innych w jego ustach obracał się, jakby pod mechanicznym naporem jakiejś manii, w kierunku nauki i studiów. Uporczywość, z jaką podkreślał zasięg swojej wiedzy, wydałaby mu się pożałowania godna po trzeźwemu.

– Co mi tam wszyscy prezydenci, przełożeni, rektorzy i profesorowie czy ci cali magistrzy filozofii na uniwersytecie! – prawil.
– Pobiłbym ich na łeb, gdyby mi dali szansę! Pokazałbym im co nieco z tego, do czego nawet nie dorośli.

– Słuchajcie! słuchajcie! – odezwali się studenci ze swego kąta, gdzie omawiali na osobności sprawę szczeniaków.

– Zawsze ponoć byliście zamiłowani w książkach – powiedział blacharz Taylor – i nie wątpię, że mówicie prawdę. Ale co do mnie, jestem przeciwnego zdania. Zawsze mi się zdawało, że więcej można się nauczyć z tego, o czym w książkach nie piszą, niż z samych książek. I według tej właśnie zasady żyłem – inaczej nie byłbym tym, kim jestem.

– Kierujecie się pewnikiem na księdza – rzekł Wujek Joe. – Ale jeśli tyle umiecie, aby tak wysoko mierzyć, to trzeba by nam dać przykład tej uczoności. No jakże, człowieku, potraficie powiedzieć Wierzę w Boga po łacinie? Tym sposobem z miejsca osadzili kiedyś faceta w moich stronach.

– Myślę, że potrafię! – powiedział hardo Juda.

– Na pewno nie! To zarozumialec! – pisnęła jedna z dam.

– Zamknij się, „Altanko Szczęścia”! – odezwał się jeden student. – Cisza! – Dopił wódkę z kieliszka, postukał nim o ladę i oznajmił: – Ten pan w kącie dla zbudowania tu obecnych wygłosi Artykuły Wiary w języku łacińskim.

– Nie wygłoszę! – powiedział Juda.

– Czemu nie, spróbuj pan! – powiedział producent komży.

– Nie potrafisz! – powiedział Wujek Joe.

– Owszem, potrafi! – powiedział blacharz Taylor.

– Mogę przysiąc, że potrafię! – powiedział Juda. – Postawcie mi małą szkocką z lodu, a zacznę wam z miejsca.

– To przyzwoita oferta! – powiedział student, rzucając pieniądze na wódkę.

Dziewczyna w barze sporządziła napój z miną osoby zmuszonej do przebywania ze stworzeniami niższego gatunku i w końcu podano kieliszek Judzie, który wychyliwszy zawartość, wstał i bez wahania zaczął z retorycznym zacięciem:

– *Credo in unum Deum, Patrem omnipotentem, Factorem coeli et terrae, visibilium omnium et invisibilium.*

– Świetnie! Wspaniała łacina! – zawołał jeden ze studentów, mimo że nie miał najmniejszego wyobrażenia, co znaczy choćby jedno słowo.

Wśród reszty towarzystwa w barze zapanowała cisza, dziewczyna za ladą stanęła bez ruchu, a głos Judy odbijał się donośnym echem aż w dalszym pokoju, gdzie drzemał gospodarz lokalu, i przywiódł go stamtąd dla sprawdzenia, co się dzieje. Juda bez zająknienia recytował dalej:

– *Crucifixus etiam pro nobis: sub Pontio Pilato passus et sepultus est. Et resurrexit tertia die, secundum Scripturas.*

– To tekst nicejski – zadrwił drugi student. – A my chcieliśmy

usłyszeć Skład Apostolski!

– Nikt mi tego nie powiedział! A poza tym każdy dureń oprócz pana wie, że nicejskie wyznanie wiary jest historycznie najpewniejszym tekstem!

– Jazda dalej, jazda dalej! – powiedział licytator. Ale umysł Judy wkrótce się zaćmił i nie mógł ruszyć dalej. Podniósł dłoń do czoła i na twarzy odmalował mu się wyraz bólu.

– Dajcie mu jeszcze jeden kieliszek, a przyjdzie do siebie i doleci do końca – orzekł blacharz Taylor.

Ktoś rzucił trzy pensy i podano kieliszek, a Juda, nie patrząc, wysunął rękę, połknął wódkę i po chwili ciągnął dalej silniejszym głosem, ku końcowi coraz głośniej, na modłę księdza, który przewodzi wiernym w kościele:

– *Et in Spiritum Sanctum, Dominum et vivificantem qui ex Patre Filioque procedit. Qui cum Patre et Filio simul adoratur et conglorificatur. Qui locutus est per prophetas.*

Et unam Catholicam et Apostolicam Ecclesiam. Confiteor unum Baptisma in remissionem peccatorum. Et expecto Resurrectionem mortuorum. Et vitam venturi saeculi. Amen.

– Dobrze powiedziane! – odezwało się kilka osób, uradowanych brzmieniem ostatniego słowa, jako że było pierwszym i jedynym, które znali.

Wtedy Juda rozejrzał się naokoło i jakby otrząsnął z siebie zaćmienie umysłu.

– Stado durniów! – krzyknął. – Który z was wie, czy powiedziałem Wyznanie Wiary, czy co innego? Mogłem byle co powiedzieć w byle jakim szwargocie, a i tak nic by nie dotarło do tych waszych głupich łbów. Boże! do czego ja się doprowadziłem, z jaką to zgrają przebywam!

Gospodarz, który już był notowany za dawanie u siebie przytułku dziwnym osobnikom, zląkł się burdy i wyszedł z za kontuaru, ale Juda pod wpływem nagłego nawrotu rozsądku odwrócił się z niesmakiem i opuścił scenę. Drzwi zatrzasnęły się za nim z głuchym łoskotem.

Szybko minął zaułek; wpadł na szeroką arterię i ruszył nią aż do miejsca, gdzie złączyła się z gościńcem. Zamilkła mu w uszach wrzawa sprzed paru minut. Szedł ciągle naprzód pod naporem dziecinnej

tęsknoty do jedynej istoty na świecie, do której mógł uciec; niewyrozumowane było to pragnienie i Juda nie zdawał sobie na razie sprawy, jak dalece nierozsądne. Po godzinie, gdzieś między dziesiątą a jedenastą, dotarł do Lumsdon i w pobliżu domku Sue zobaczył światło w jednym z pokoi na dole; domyślił się, słusznie zresztą, że to jej świeca.

Podszedł do ściany, zapukał palcem w szybę i zawołał niecierpliwie:

– Sue! Sue!

Poznała widocznie jego głos, bo światło znikło z pokoju, a za chwilę przekręcono klucz w drzwiach, otwarto je, i Sue ukazała się na progu ze świecą w dłoni.

– Czy to Juda? Tak, to ty! Mój drogi, kochany, co się stało?

– Ach! ja... musiałem do ciebie przyjść, Sue! – powiedział, padając na próg. – Taki jestem grzeszny, Sue, serce mi pęka i nie mogłem już znieść takiego życia! Więc piłem wódkę i bluźniłem, a w każdym razie byłem bliski bluźnierstwa, i recytowałem święte słowa w bezpiecznym otoczeniu! Powtarzałem z próżną buńczucznością słowa, które powinno się wymawiać jedynie z szacunkiem! O, Sue, zrób ze mną, co chcesz, zabij mnie, wszystko mi jedno! Tylko żebym nie doznał od ciebie nienawiści i pogardy jak od reszty świata!

– Ależ ty jesteś chory, mój kochany biedaku! Nie, nie będę tobą gardzić, skądże znowu! Chodź, odpoczniesz, a ja pomyślę, jak ci mogę pomóc. Oprzyj się na mnie, oprzyj swobodnie.

W jednej ręce niosąc świecę, a drugą podtrzymując Judę, Sue poprowadziła go do pokoju i umieściła w jedynym fotelu, jakim mogło się poszczycić jej skąpo umeblowane mieszkanie. Ułożyła mu nogi na krześle i ściągnęła buty. Juda powoli trzeźwiał, ale zdolny był tylko wymówić: „Kochana moja Sue”, głosem łamiącym się od żalu i skruchy.

Sue zapytała, czy chciałby coś zjeść, ale odmówił. Nakazała mu więc zasnąć i powiedziała, że nazajutrz go obudzi i poda śniadanie, po czym, życząc mu dobrej nocy, udała się na górę.

Prawie natychmiast Juda zapadł w ciężki sen i obudził się dopiero o świcie. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest, ale stopniowo zorientował się w sytuacji i na trzeźwo ujrzał ją w całym straszliwym świetle. Sue poznała go z najgorszej strony, z najgorszej strony, jaka

mogła istnieć. Jakże jej teraz spojrzy w oczy? Wkrótce kuzynka zejdzie na dół przygotować śniadanie, tak jak to zapowiadała, i będzie musiał zetknąć się z nią w całej swojej hańbie. Nie mógł znieść tej myśli i cicho wciągnąwszy buty, złapał swój kapelusz z kołka i bezszelestnie wymknął się na dwór.

Uczepił się teraz jednej myśli: uciec do jakiegoś zapadłego kąta, skryć się i może pomodlić; a jedynym miejscem, które mu przyszło na myśl, było Marygreen. Wrócił do swego mieszkania w Christminster, gdzie zastał już wymówienie z pracy, zapakował rzeczy i z miasta, co mu cierniem utkwiło w sercu, odszedł na południe, ku Wesseksowi. Nie miał grosza przy duszy, bo niewielkie oszczędności złożone w banku w Christminster pozostały na szczęście nietknięte. Zatem do Marygreen mógł powędrować tylko piechotą, a że odległość wynosiła blisko dwadzieścia mil, miał przed sobą aż nadto czasu, aby dokonał się w nim rozpoczęty już proces trzeźwienia. Pod wieczór doszedł do Alfredston. Zastawił tu kamizelkę, a parę mil za miastem przespał noc pod stogiem. Wstał o świcie, strząsnął z ubrania nasionka i źdźbła trawy i ruszył dalej, pnąc się długą, białą drogą na wzgórza od dawna majaczące na horyzoncie i mijając kamień milowy na szczycie, gdzie przed laty wyrył znak swoich nadziei.

Do starej wioski doszedł w porze śniadania. Znużony i ochlapany błotem, ale z normalną już jasnością umysłu, Juda spoczął przy studni i pomyślał, że nędzny z niego Chrystus. Zobaczywszy nieopodal korytko z wodą, obmył twarz i poszedł do ciotki. Zastał ją w łóżku przy śniadaniu, obsługiwaną przez kobietę, która z nią mieszkała.

– Cóż to, znowu bez pracy? – zapytała krewna, patrząc na niego zapadniętymi oczami spod powiek ciężkich jak pokrywki rondli. Osobie, która przez całe życie borykała się z materialnymi sprawami, nie przychodziła na myśl żadna inna przyczyna jego zaniedbanego wyglądu.

– Tak – powiedział posępnie Juda. – Zdaje mi się, że muszę nieco odpocząć.

Śniadanie trochę go wzmocniło, a potem poszedł do swego dawnego pokoju i legł na łóżku bez kurtki, zwyczajem rzemieślników. Zasnął na chwilę, a gdy zbudził się, odniósł wrażenie, że obudził się w piekle. Rzeczywiście było to piekło, „piekło uświadomionej sobie

porażki”, zarówno ambicji, jak miłości. Pomyślał o przepaści, w którą zapadł poprzednio, zanim wywędrował z tych stron; uważał ją wówczas za najgłębszą otchłań, a jednak nie była tak głęboka jak obecna. Wtedy załamała się zewnętrzna ostoja nadziei, teraz przyszła kolej na drugą linię szaińców.

Gdyby był kobietą, krzyknąłby głośno pod działaniem napięcia nerwowego, jakie nim owładnęło. Ale tej ulgi los odmówił mu jako mężczyźnie, więc tylko zaciął zęby w cierpieniu, wywołując bruzdy podobne do laokoonowych przy ustach i głębokie zmarszczki na czole.

Wśród drzew zaszeleścił posępny wiatr, a w kominie zabrzmiał jak pedałowemu nuty organów. Każdy liść bluszczu na pobliskim murze okalającym cmentarz bez kościoła, obecnie opuszczony, ostro kłuł sąsiednie liście, a na nowym kościele w wiktoriańsko-gotyckim stylu, który postawiono na innym miejscu, zaczął skrzypieć kurek. A jednak nie tylko wiatr na dworze wzniecał te szelesty: w domu rozlegał się szmer głosu. Juda po chwili odgadł jego pochodzenie. To w sąsiednim pokoju wikary modlił się z ciotką. Kiedyś mu o nim wspominała. Potem głosy umilkły i rozległy się kroki na podeście. Juda siadł na łóżku i krzyknął: „Hej!”

Usłyszał kroki w pobliżu swych drzwi i po chwili do pokoju zajrzał młody mężczyzna, duchowny.

– Przypuszczam, że pan jest pastorem Highridge – powiedział Juda. – Ciotka nieraz mi o panu pastarze wspominała. Otóż właśnie wróciłem do domu: jestem człowiekiem, który poszedł złą drogą, chociaż w swoim czasie miałem najlepsze w świecie intencje. A teraz wpadłem w wariacką melancholię, a nie obeszło się bez picia i podobnych rzeczy.

Powoli Juda roztoczył przed księdzem obraz swoich zamierzeń i postępów, podświadomie mniej podkreślając umysłową i ambicyjną stronę swych marzeń, a zatrzymując się dłużej na stronie teologicznej, chociaż, jak do tej pory, stanowiło to zaledwie część ogólnego planu drogi wzwyż.

– Teraz wiem, że byłem szalony i szaleństwo tkwi we mnie – dodał Juda na zakończenie. – I wcale nie żałuję, że runęły moje uniwersyteckie nadzieje. Nie zaczynałbym na nowo, nawet gdybym miał pewność

powodzenia. Nie zależy mi już wcale na sukcesach dla ludzkich oczu. Ale czuję potrzebę czynienia dobrze i gorzko żałuję Kościoła i utraty szansy zostania duchownym.

Wikary, nowy człowiek w tych stronach, ogromnie się zainteresował sprawą Judy i w końcu powiedział:

– Jeśli pan czuje prawdziwe powołanie do stanu duchownego, a sądząc z pana relacji, bynajmniej temu nie zaprzeczam, bo świadczy ona o myślącej naturze i wykształceniu, mógłby pan zostać licencjonowanym kaznodzieją bez nominacji. Ale musi pan powziąć postanowienie wystrzegania się mocnych trunków.

– Przyjdzie mi to z łatwością, jeśli będę miał jakąkolwiek nadzieję, która by mnie wspierała.

[8] Hardy opisuje Oksford, używając nazwy Christminster.

[9] Edward Gibbon, *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego*, t. 2, przeł. Zofia Kierszys, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1995, s. 65.

[10] Pismo średniowieczne o nieco łamanych liniach liter okrągłych, zwane też minuskułą gotycką.

[11] Tekst wg J. Kochanowskiego.

[12] Hermon – jeden ze szczytów gór Antylibanu (2760 m). Bierze tam początek rzeka Jordan.

[13] Algernon Swinburne, *Hymn do Prozerpiny*.

[14] *Kruk* E. A. Poe w przekładzie W. J. Kasińskiego.

[15] Miejscową atmosferę, dosł. ducha miejsca (łac.).

[16] *Christ* – Chrystus; *minster* – kościół przyklasztorny, katedra (ang.).

[17] Job XII. 3.

Część trzecia

W MELCHESTER

Gdyż nie było, oblubieńcze,
takiej dziewczyny jak ona!

SAFONA

I

Była to nowa koncepcja – życie kapłańskie i altruizm jako przeciwieństwo życia w sferze intelektu i rywalizacji. Można nauczać i czynić dobrze bez celującego dyplomu, zdobytego w kolegiach christminsterskich, mając przeciętne tylko wykształcenie. Dawnych majaków, które doprowadziły aż do szczytowej wizji mitry biskupiej, bynajmniej nie zrodziły motywy etyczne czy boskie, lecz po prostu doczesna ambicja przebrana w komżę. Juda obawiał się, że dawne jego zamierzenia, chociaż inny miały początek, zwyrodniały i przerodziły się w niepokój o charakterze społecznym, pozbawiony oparcia w szlachetniejszych instynktach, stanowiąc wyłącznie sztuczny wytwór cywilizacji. Tysiące młodych mężczyzn znajdowało się obecnie na tym samym torze poszukiwania własnej osobowości. Typ zmysłowca, bez wyższych dążeń, który w okresie gonienia za pozorami jadł, pił i beztrosko żył z żoną, wydawał się Judzie istotą godniejszą sympatii niż on sam, taki, jakim był obecnie.

Jeśli natomiast zostanie duchownym, nie ukończywszy studiów uniwersyteckich – najprawdopodobniej zamykając w ten sposób przed sobą awans w karierze powyżej skromnego stanowiska wikarego, który całe życie spędzi w zapadłej wiosce czy miejskiej dzielnicy nędzarzy – ta droga może mieścić w sobie elementy dobra i wielkości, może być drogą prawdziwie religijną i czyścicowym szlakiem odpowiednim dla człowieka pełnego wyrzutów sumienia.

Korzystne światło, rzucone na ten nowy projekt, przeciwstawiony jego poprzednim zamiarom, dodało otuchy Judzie, gdy siedział beczynnie, zmizerowany i opuszczony, i można powiedzieć, że w ciągu następnego paru dni zadało *coup de grâce*[18] jego karierze intelektualnej, która wypełniła większą część minionego dziesiątka lat.

Przez dłuższy jednakże, bezpłodny okres nie uczynił on nic, aby zrealizować nowy zamysł. Zajął się drobnymi pracami na miejscu, stawiał nagrobki w okolicznych wsiach i wycinał na nich napisy, uważany za bankruta życiowego i za wybrakowany towar przez tych nielicznych farmerów i innych mieszkańców wioski, którzy raczyli kiwnąć mu głową na powitanie.

Osobiste zainteresowanie nowym zamierzeniem, a jest ono niezbędne nawet jednostkom najbardziej uduchowionym i zdolnym do poświęcenia, obudził w nim list od Sue, opatrzony innym niż dotąd stemplem pocztowym. Pisała z wyraźną troską o niego, skąpo donosząc o własnych sprawach, oprócz tego, że zdała jakieś egzaminy dla uzyskania Stypendium Królowej i wstępuje do seminarium nauczycielskiego w Melchester, aby uzupełnić swoje wykształcenie w zawodzie, jaki obrała częściowo pod jego, Judy, wpływem. W Melchester znajdowało się również seminarium duchowne; miasto tchnęło cichą, kojącą atmosferą i ton nadawało mu życie religijne. Nie było tu miejsca na świecką naukę i wyrafinowanie umysłowe; altruistyczne skłonności Judy zostaną tam prawdopodobnie wyżej oszacowane niż błyskotliwość, która nie była jego mocną stroną.

Skoro, ucząc się teologii, zaniedbanej w Christminster dla zwykłego kucia przedmiotów klasycznych, będzie musiał przez pewien czas jeszcze uprawiać swój fach, czyż znajdzie lepsze rozwiązanie niż praca właśnie w Melchester, równoległa do nowego kierunku studiów? Juda nie zamykał oczu na sprzeczny z etyką fakt, że tak mocno zainteresował się nowym miastem ze względów osobistych, wyłącznie za sprawą Sue, a przecież jeszcze mniej miał teraz danych niż dawniej, aby uważać, że ma prawo interesować się kuzynką. Jednakże uległ słabości ludzkiej w nadziei, że z czasem nauczy się kochać Sue jedynie jak przyjaciela i krewną.

Przyszło mu na myśl, że mógłby sobie zakreślić plany na najbliższe lata w taki sposób, aby zostać kapłanem, mając lat trzydzieści – liczba lat przemawiająca do wyobraźni, jako wiek Mistrza, kiedy zaczął nauczać w Galilei. Miałby w takim razie mnóstwo czasu na rozważną naukę i uzbieranie pewnego kapitału pracą w swoim rzemiośle, co umożliwiłoby mu później nieodzowny pobyt w seminarium duchownym.

Boże Narodzenie nadeszło i minęło, i Sue pojechała do seminarium w Melchester. Była to najbardziej niekorzystna pora w roku na szukanie nowego zajęcia i wobec tego Juda napisał do kuzynki, że odkłada swój przyjazd na jakiś miesiąc, do chwili, kiedy przybędzie dnia. Sue przystała z gotowością i Juda pożałował, że w ogóle tę sprawę poruszył – najwidoczniej nie zależało jej na nim, chociaż nigdy nie wypomniała mu jego dziwaczego zachowania owej nocy, kiedy się u niej zjawił, a potem znikł bez słowa. Nigdy nie wspomniała również o swoich stosunkach z panem Phillotsonem.

Aż nagle przyszedł od Sue list pełen wzburzenia. Pisała, że jest samotna i nieszczęśliwa. Nienawidzi szkoły; to miejsce jeszcze gorsze niż zakład sztuki sakralnej, najgorsze miejsce na całym świecie. Nie ma koło siebie ani jednej przyjaznej duszy. Czy Juda mógłby do niej natychmiast przyjechać? Chociaż, gdy przyjedzie, nie będzie mogła poświęcać mu wiele czasu, bo w internacie obowiązuje ścisły regulamin. Zapisała się tutaj za radą pana Phillotsona, ale teraz żałuje, że go w ogóle posłuchała.

Najwidoczniej konkury nauczyciela nie rozwijały się zbyt pomyślnie i Juda poczuł się irracjonalnie szczęśliwy. Zapakował rzeczy i udał się do Melchester w tak wesołym nastroju, w jakim nie był od miesięcy.

Juda zabrał ją do restauracji i zamówił wszystko, co zakład posiadał, a nie było tego znowu tak wiele. Ale mieli rozkoszną okazję do *tête-à-tête*, bo nikogo więcej nie było na sali i swobodnie mogli porozmawiać.

Sue opowiedziała mu o szkole, o swym codziennym niełatwym życiu, o mieszanym składzie grona koleżanek, które tu przybyły z różnych stron diecezji. Z głęboką goryczą osoby nieznającej dotąd przymusu mówiła, że musi wstawać wczesnym rankiem i pracować przy świetle gazowym. Słuchał uważnie, ale głównie pragnął dowiedzieć się czegoś o jej stosunkach z Phillotsonem. O tym jednak nie wspomniała. W pewnej chwili Juda impulsywnie położył rękę na jej dłoniach. Sue spojrzała na niego z uśmiechem i z zupełną swobodą ujęła jego rękę

w swoje małe, miękkie dłonie, rozsuwając mu palce i badając je z chłodną uwagą, jakby były palcami rękawiczki, którą właśnie kupowała.

– Twoje ręce są bardzo szorstkie, Judo, prawda? – powiedziała.

– Pewnie. Twoje byłyby takie same, gdyby cały dzień pracowały młotkiem i dłutem.

– Nie mogę powiedzieć, aby mi się to nie podobało. Uważam, że pięknie wyglądają ręce mężczyzny naznaczone piętnem pracy, którą wykonują... Wiesz, ostatecznie jestem raczej zadowolona, że wstąpiłam do seminarium nauczycielskiego. Pomyśl tylko, jaka niezależność mnie czeka po dwóch latach nauki! Mam nadzieję, że skończę z bardzo dobrym wynikiem, a pan Phillotson użyje swoich wpływów, aby mi wyszukać jakąś dużą szkołę.

Nareszcie Sue poruszyła ten temat.

– Podejrzywałem... obawiałem się – odezwał się Judo – że pan Phillotson... że on żywił dla ciebie cieplejsze uczucia, może nawet myślał o małżeństwie.

– Jakiś ty strasznie niemądry!

– Pewnie musiał ci coś mówić na ten temat.

– A choćby nawet i mówił, to co? Taki starowina!

– No, no, Sue! Nie jest on znowu taki stary. A zresztą widziałem, jak on ciebie...

– Całował? Na pewno nie!

– To nie, ale obejmował cię w pól.

– Ach... tak, pamiętam, ale zrobił to tak zniechęcająco...

– Wykręcasz się, Sue, a to nieładnie!

Usta Sue zaczęły drżeć, a powieki trzepotać na myśl o czymś, co postanowiła powiedzieć, słysząc jego wymówki.

– Jeśli ci wszystko powiem, będziesz na pewno zły, i dlatego wolę nic nie mówić!

– Dobrze, kochanie, nie mów – powiedział Judo pojednawczo. – Nie mam właściwie prawa cię pytać i nie chcę o niczym wiedzieć.

– Powiem ci jednak! – zawołała z przekorą, która była znamienną częścią jej istoty. – Powiem ci, co zrobiłam: obiecałam... obiecałam... że wyjdę za niego za mąż za dwa lata, kiedy skończę seminarium

i dostanę dyplom nauczycielski. Pan Phillotson projektuje, że weźmiemy wtedy dużą szkołę w wielkim mieście, on będzie uczył chłopców, a ja dziewczęta... tak często robią pary małżeńskie wśród nauczycieli... przyniesie to nam dobre dochody.

– Ach, Sue!... Ależ naturalnie, tak będzie doskonale, nie mogłaś lepiej postąpić!

Spojrzał na nią i oczy ich się spotkały. Wyrzut w oczach Judy zadawał kłam jego słowom. Cofnął daleko rękę od jej dłoni i z urazą odwrócił od niej twarz w stronę okna. Sue nie drgnęła, patrząc na niego obojętnie.

– Wiedziałam, że będziesz zły! – powiedziała, nie zdradzając żadnego wzruszenia. – Trudno, widocznie źle postąpiłam! Nie powinnam była dopuścić, abyś przyjechał mnie odwiedzić. Lepiej, żebyśmy się nie widywali; będziemy tylko pisywać do siebie od czasu do czasu, wyłącznie w sprawach formalnych.

Sue prawdopodobnie orientowała się, że to jest właśnie rzecz, której Juda nie będzie w stanie znieść; rzeczywiście od razu oprzytomniał.

– Owszem, będziemy się widywali – odparł szybko. – Twoje zaręczyny nie zmieniają postaci rzeczy. Mam pełne prawo widywać cię wtedy, kiedy zechcę, i będę cię widywał!

– W takim razie przestańmy o tym mówić. Psujemy sobie tylko nasz wspólny wieczór. Jakie to ma znaczenie, co się stanie za dwa lata!

Dla Judy Sue była pewnego rodzaju zagadką, więc nie wracał już do poprzedniego tematu.

– Może pójdziemy do katedry i posiedzimy tam chwilę? – zaproponował, gdy skończyli posiłek.

– Do katedry? Owszem. Chociaż, co prawda, wolałabym posiedzieć na dworcu – odpowiedziała Sue z rozdrażnieniem dźwięczącym jeszcze w głosie. – Ośrodkiem życia miejskiego jest teraz dworzec. Katedra należy do przeszłości!

– Jakaś ty nowoczesna!

– I ty byłbyś nowoczesny, gdybyś przebywał tak wiele w średniowieczu jak ja w ciągu tych paru ostatnich lat! Katedra była doskonałym miejscem cztery czy pięć stuleci temu, ale dziś rola jej już

się skończyła... A ja bynajmniej nie jestem nowoczesna. Sięgam w dawniejsze czasy niż średniowiecze, żebyś wiedział!

Juda był przygnębiony.

– Zresztą... nie powiem już ani słowa więcej! – zawołała Sue. – Chodzi tylko o to, że ty wcale nie zdajesz sobie sprawy, jaki ja mam zły charakter, oczywiście z twego punktu widzenia. Gdybyś wiedział, nie miałbyś o mnie tak wysokiego mniemania ani nie dbałbyś o to, czy się zaręczyłam, czy nie. Chodź! Jeszcze mamy trochę czasu, żeby się przejść po dziedzińcu katedralnym, a potem muszę już wracać, bo zamkną mi drzwi na noc.

Juda odprowadził ją do bramy i tu się rozstali. Był przekonany, że jego niefortunne przybycie w tamtą fatalną noc przyśpieszyło zaręczyny Sue, i to bynajmniej go nie pocieszyło. Jej żal do niego przyoblekł się w taki właśnie kształt zamiast w kształt słów. Nazajutrz jednakże wyruszył na poszukiwanie pracy, nie tak łatwej tutaj do zdobycia jak w Christminster. Z reguły był zastój w robotach kamieniarskich w tym mało ruchliwym mieście, a siły roboczej znajdowano dość na miejscu. Ale stopniowo Juda wybijał się w pracy. Zaczął od jakiejś rzeźbiarskiej roboty na cmentarzu, na wzgórkach, a w końcu dostał najbardziej upragnione zajęcie: przy odnawianiu katedry, prowadzonym na wielką skalę, bo po dokładnym przeglądzie cała wewnętrzna sztukateria miała być zastąpiona nową.

Była to praca zakrojona na wiele lat, a Juda ufał dostatecznie swojej zręczności w operowaniu młotkiem i dłutem, aby wiedzieć, że od niego samego zależy, jak długo tu pozostanie.

Mieszkanie, jakie wynajął obok głównej bramy, nie przyniosłoby wstydu i wikaremu; czynsz stanowił większy procent jego zarobków, niż suma, jaką rozmaici rzemieślnicy godzili się zwykle płacić. Jedyne pokój Judy, sypialnię i bawialnię jednocześnie, ozdabiały oprawne fotografie probostw i dziekanii, gdzie w swoim czasie przebywała jego gospodyni jako zaufana służąca, zegar zaś na kominku w saloniku na parterze nosił napis świadczący, że ta sama szacowna osoba otrzymała go w darze od reszty służby w dniu swego ślubu. Juda dodał do tych dekoracji fotografie rzeźb kościelnych i pomników własnoręcznie wykonanych i został uznany za korzystny nabytek jako lokator stojącego

pustką mieszkania.

W księgarniach miejscowych znalazł duży wybór książek teologicznych i posługując się nimi, rozpoczął na nowo studia w innym duchu i kierunku niż poprzednio. Aby odpocząć od Ojców Kościoła i takich podstawowych dzieł, jak Paley czy Butler, czytał Newmana, Puseya i wielu innych współczesnych luminarzy. Wypożyczył także fisharmonię i umieściwszy ją w swoim pokoju, ćwiczył śpiew kościelny.

II

– Czy pamiętasz, że jutro jest nasz wielki dzień? Dokąd się wybierzemy?

– Mam wolne popołudnie od trzeciej do dziewiątej. Wybierzmy się gdziekolwiek, aby tylko zdążyć na czas z powrotem. Ale nie do żadnych ruin, Judo... nie lubię ruin.

– Jedźmy więc do zamku Wardour. A stamtąd możemy dojść do Fonthill, jeśli będziemy mieli ochotę... zdążymy w ciągu jednego popołudnia.

– Ale zamek Wardour to gotyckie ruiny, a ja nienawidzę gotyku!

– Nic podobnego. Wprost przeciwnie. To budowla klasyczna, chyba w stylu korynckim. I mnóstwo jest tam obrazów.

– Niech będzie Wardour. Podoba mi się dźwięk słowa „koryncki”. Tam pojedziemy.

Rozmowa ta miała miejsce w parę tygodni po pierwszym spotkaniu i następnego dnia Juda i Sue przygotowali się do wymarszu. Każdy szczególnie wycieczki był dla Judy jak ścianka kryształu odbijająca w sobie isierkę światła i nawet nie odważał się myśleć o życiu pełnym sprzeczności, jakie teraz prowadził. Postępowanie jego miłej Sue było dla niego nieustającą, uroczą zagadką; nic więcej nie miał do powiedzenia.

Nadeszły wreszcie rozkoszne chwile: oczekiwanie u drzwi szkoły; pojawienie się dziewczyny ubranej z zakonną skromnością, raczej

narzuconą niż przyjętą dobrowolnie; wędrówka na dworzec, okrzyki tragarzy: „Proszę zejść z drogi”, gwizd pociągów. Wszystko to krystalizowało się w coś bardzo pięknego. Na Sue nikt nie patrzył, tak była skromnie ubrana; pocieszyło to Judę, bo widocznie jedynie on znał urok postaci zgaszonej tym strojem. Kwestia dziesięciu funtów wydanych w sklepie z towarami bławatnymi, coś, co nie miało nic wspólnego z jej prawdziwym życiem czy prawdziwą istotą, a przyciągałaby spojrzenia całego Melchester. Konduktor wziął ich za narzeczonych i umieścił w osobnym, pustym przedziale.

– Oto zmarnowane dobre chęci! – powiedziała Sue.

Juda nie odezwał się. Uznał tę uwagę za niepotrzebnie okrutną i niezupełnie prawdziwą.

Dojechali do parku i zamku i zaczęli błądzić po salach z obrazami. Juda najchętniej zatrzymywał się przed obrazami świętych pędzla del Sarto, Guida Reni, Spagnoletta, Sassoferrata, Carla Doki i innych. Sue cierpliwie stawała obok niego i ukradkiem przyglądała się jego twarzy, która wyrażała skupienie i oderwanie od życia, gdy wpatrywał się w Najświętsze Panny, Święte Rodziny i świętych pańskich. Po tej wnikliwej ocenie ruszała dalej i czekała na niego przed obrazem Lely’ego czy Reynoldsa. Nie ulegało wątpliwości, że Sue głęboko interesowała się kuzynem, tak jak można interesować się drugim człowiekiem usiłującym wyjść z labiryntu, z którego umknęło się samemu.

Gdy wyszli z zamku, pozostało im jeszcze mnóstwo czasu i Juda zaproponował, że po posiłku przejdą przez falistą okolicę w kierunku północnym i złapią pociąg do Melchester na stacji innej linii kolejowej, odległej o siedem mil. Sue, chętna do każdego wyczynu, który by wzmógł jej poczucie swobody w tym właśnie dniu, zgodziła się ochoczo i wyruszyli, zostawiając za sobą pobliską stację.

Okolica była otwarta, szeroka i górzysta. Juda i Sue gwarzyli i biegali, Juda wyciął dla Sue w gaiku długą laskę, tak wysoką jak ona sama; laska miała zakrzywiony koniec i Sue wyglądała z nią jak pasterka. W połowie drogi przekroczyli główny szlak biegnący ze wschodu na zachód, z Londynu do Lands End. Zatrzymali się tu, rozejrzeli i usiedli na chwilę; uderzyła ich melancholia panująca na tym

ożywionym niegdyś trakcie, gdy wiatr, zniżając się do ziemi, zmiatał z jego powierzchni żdźbła słomy i siana.

Przeięli gościniec i wędrowali dalej, ale zaledwie przeszli pół mili, Sue zaczęła narzekać na zmęczenie; Judę to zaniepokoiło. W sumie przemierzyli już spory kawałek drogi i fatalnie by się stało, gdyby nie dobrnęli do następnej stacji. Przez dłuższy czas na rozległym obszarze wzgórz i pól rzepy nie ukazała się żadna chata. Ale wreszcie trafili na koszarę dla owiec, a następnie spotkali owczarza, który powlekał smołą sztachety w zagrodach. Objął ich, że jedynym domostwem w sąsiedztwie jest domek, gdzie mieszka on sam z matką; wskazując na małą kotlinkę, skąd unosił się słaby, niebieski dymek, doradził im, aby udali się tam i wypoczęli.

Tak też zrobili. Do domu wpuściła ich stara bezzębna kobieta. Odnieśli się do niej z całą uprzejmością obcych w tych stronach podróżnych, gdy jedyna szansa odpoczynku i schronienia leży w rękach gospodarza chaty.

– Jaki to miły domek – powiedział Juda.

– Miły niemiły. Trzeba mi będzie pokryć go niedługo nową strzechą, a skąd się weźmie na strzechę, tego już nie wiem, bo słoma taka teraz droga, że niedługo będzie taniej pokryć dach porcelanowymi talerzami niż strzechą.

Juda i Sue siedzieli i odpoczywali, a potem nadszedł owczarz.

– Wcale mi nie wadzicie – rzekł z lekceważącym machnięciem ręki. – Siedźcie tu sobie do woli. Ale czy czasem nie zamierzacie wrócić do Melchester wieczornym pociągiem? Jeśli tak, w żaden sposób wam się to nie uda, bo nie znacie drogi. Mogę was kawałek podprowadzić, ale i tak pociąg już pewnie odejdzie.

Podróżni przestraszyli się.

– Możecie ich, matko, przenocować tutaj, nie? Rozgoście się, proszę. Posłanie trochę twarde, ale ludzie mają czasem gorzej.

A zwracając się do Judy, zapytał go na stronie:

– Poślubieni jesteście?

– Ci... cho... Nie! – odparł Juda.

– Nic złego nie pomyślałem, broń Boże. W takim razie ona pójdzie do izby matki, a my się z panem położymy na zapiecku, jak skończymy

wieczerzać. Obudzę was w porę, abyście trafili na pierwszy pociąg do miasta. Wieczorny już wam uciekł.

Po namyśle Juda i Sue postanowili skorzystać z zaproszenia, podeszli do stołu i z owczarzem i jego matką zjedli wieczerzę złożoną z gotowanego boczku z jarzynami.

– Bardzo mi takie życie odpowiada – powiedziała Sue, kiedy gospodarze sprząтали ze stołu. – Życie poza zasięgiem wszelkich praw z wyjątkiem grawitacji i kiełkowania.

– Tak ci się tylko zdaje; wcale ci to nie odpowiada, jesteś wytworem cywilizacji – rzekł Juda, a myśl o jej zaręczynach wznieciła na nowo jego żalność.

– Wcale nie, Judo, naprawdę. Lubię lekturę i inne umysłowe zajęcia, ale zawsze tęsknię do czasów mego dzieciństwa i swobody.

– Czyżbyś je tak dobrze pamiętała? Wydaje mi się, że nie ma w tobie nic, co by nie nosiło piętna konwenansu.

– Mylisz się! Nawet nie wiesz, co we mnie siedzi.

– No co?

– Wyrzutek społeczeństwa.

– Miejska panna z ciebie i tyle.

Sue spojrzeniem wyraziła surową dezaprobatę i odeszła.

Owczarz obudził ich następnego ranka, tak jak obiecał. Dzień był pogodny i jasny i czteromilowy spacer do stacji minął bardzo przyjemnie. Po przyjeździe do Melchester, gdy doszli do dziedzińca katedralnego i Sue zobaczyła wieżyczki starego budynku, który znowu miał ją zamknąć w swoich murach, dziewczyna spłoszyła się nieco.

– Dostanie mi się! – szepnęła.

Pociągnęli za wielki dzwon i czekali.

– Ach, prawda, mam dla ciebie prezent, całkiem o tym zapomniałam – powiedziała szybko Sue, szukając czegoś w kieszeni. – To moja nowa fotografia, taka malutka. Chciałbyś ją mieć?

– Czy chciałbym? – Juda z radością przyjął fotografię. W tej chwili zjawił się portier. Wyraz jego twarzy przy otwieraniu bramy nie wróżył nic dobrego. Sue weszła, oglądając się ciągle na Judę i kiwając mu dłonią.

III

Siedemdziesiątka młodych panien w wieku od lat dziewiętnastu do dwudziestu jeden i parę trochę starszych, która w tych czasach zaludniała podobny do klasztoru zakład w Melchester, zwany seminarium nauczycielskim, stanowiła społeczność dość mieszaną. Znajdowały się tu córki rzemieślników, pastorów, lekarzy, kupców, farmerów, mleczarzy, wojskowych, marynarzy i chłopów. Pod wieczór opisanego poprzednio dnia panny siedziały właśnie w obszernej sali wykładowej, kiedy rozeszła się wieść, że Sue Bridehead nie wróciła przed zamknięciem bramy.

– Wyszła ze swoim kawalerem – odezwała się uczennica drugiego kursu, znająca się na kawalerach. – Panna Traceley widziała ich nawet razem na dworcu. Dostanie się jej po powrocie.

– Powiedziała, że to kuzyn – zauważyła jakaś młodociana nowicjuszka.

– Za często wysuwano to usprawiedliwienie w tutejszej szkole, aby miało skutkować przy zbawianiu naszych dusz – powiedziała z przekąsem prymuska.

Rzeczywiście, nie dalej jak rok temu miał miejsce gorszący wypadek uwiedzenia jednej z uczennic, która takiego właśnie użyła wybiegu, aby móc się widywać ze swoim kawalerem. Wybuchł skandal i od tej pory kierownictwo z surowością traktowało kuzynów.

O dziewiątej, przy sprawdzaniu listy, panna Traceley trzy razy odczytała donośnie nazwisko Sue, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Kwadrans po dziewiątej cała siedemdziesiątka powstała, aby odśpiewać *Hymn wieczorny*, a potem uklękła do pacierzy. Po modlitwie dziewczęta poszły na kolację, a każdą absorbowała jedna tylko myśl: „Gdzie też może być Sue Bridehead?”. Zdaniem kilku uczennic, które przez okno widziały Judę, nie było w tym nic dziwnego, że Sue zaryzykowała karę wobec przyjemności całowania się z tak miło wyglądającym młodzieńcem. W kuzynostwo chyba żadna nie wierzyła.

Pół godziny później leżały wszystkie w swoich kabinach. Delikatne dziewczęce twarzyczki zwracały się ku chwiejnym płomykom gazu rozmieszczonym w regularnych odstępach wzdłuż długich dormitoriów, a każda nosiła wyryte na sobie piętno „Słaba Płeć”, jakby karę za to, że należała do kobiety. Żaden wysiłek chętnego serca czy zdolności nie mógł uczynić tej płci silniejszą, skoro nieubłagane prawa natury pozostawały niezmienione. Był to ładny, przemawiający do wyobraźni i wzruszający obrazek; one same, nieświadome tego piękna i patosu, odkrywają je może dopiero później, kiedy wśród burz i zmagañ dalszego życia, niosącego z sobą niesprawiedliwość, osamotnienie, rodzenie dzieci i żalobę, wracać będą pamięcią do tego przeżycia jak do czegoś, co przemknęło obok nich bez dostatecznego oddźwięku.

Jedna z nauczycielek przyszła pogasić światła, ale zanim to zrobiła, rzuciła jeszcze raz okiem na łóżko Sue, nadal puste, i na jej małą toaletkę w nogach łóżka, którą, jak u innych uczennic, ozdabiały różne dziewczęce drobiazgi z dwoma fotografiami w ramkach na froncie. Stoliczek Sue nie był specjalnie efektowny, bo tylko podobizny dwóch mężczyzn stały obok siebie koło lustra oprawnego w filigran i aksamit.

– Kto to są ci panowie? – zapytała nauczycielka. – Czy ona coś wam o nich wspominała? Jeśli chodzi o ścisłość, na tych stoliczkach wolno mieć tylko podobizny krewnych.

– Jeden, ten starszy, to pan Phillotson, nauczyciel, w którego szkole uczyła – odezwała się uczennica z sąsiedniego łóżka.

– A ten drugi, ten młodzieniec w studenckiej czapce i todze, któż to taki?

– To jest, czy może był, jej dobry znajomy. Sue nigdy nie wymieniła jego nazwiska.

– Czy dzisiaj wstąpił po nią jeden z tych dwóch panów?

– Nie.

– Czy jesteś pewna, że to nie był ten student?

– Jestem zupełnie pewna. Młody człowiek, który po nią przyszedł, miał czarną brodę.

Światło szybko zgaszono i do chwili kiedy zmorzył je sen, dziewczęta snuły przypuszczenia dotyczące Sue, zastanawiając się, jakie też życie prowadziła w Londynie i Christminster, zanim się tutaj zjawiła.

Niektóre, bardziej podniecone, wstawały z łóżek i patrzyły przez okno na monumentalną fasadę katedry i na wieżycę wznoszącą się w głębi.

Następnego ranka, ledwie się obudziły, zajrzały od razu do kącika Sue, stwierdzając, że nadal nie ma jego mieszkanki. Po pierwszych lekcjach przy świetle gazu, w czasie których siedziały jeszcze na pół ubrane, kiedy przed śniadaniem poszły na górę dokończyć toalety – przy głównej bramie głośno zadzwieczał dzwon. Nauczycielka dyżurująca w dormitorium wyszła i po chwili wróciła z poleceniem przełożonej, aby nikt nie odzywał się do Bridehead bez pozwolenia.

Gdy więc Sue, podniecona i zmęczona, przyszła na górę, aby się pośpiesznie odświeżyć, udała się do swojej kabiny wśród ogólnego milczenia, bo żadna z dziewcząt nie podbiegła do niej z powitaniem czy zapytaniem. Na dole okazało się, że Sue nie zeszła ze wszystkimi do jadalni na śniadanie. Panny dowiedziały się, że po srogiej naganie została zamknięta na tydzień w osobnym pokoju, gdzie miała uczyć się i oddzielnie spożywać posiłki.

Na wieść o tym rozległo się szemranie całej siedemdziesiątki, jako że według nich wyrok był zbyt surowy. Ułożono i wysłano petycję do przełożonej, prosząc o darowanie kary. Ale petycja nie wywołała oddźwięku. Pod wieczór, kiedy nauczycielka geografii zaczęła dyktować wykład, cała klasa siedziała z założonymi rękami.

– Czy to znaczy, że nie macie zamiaru pracować? – zapytała wreszcie nauczycielka. – W takim razie może lepiej będzie, gdy się dowiecie, że młody człowiek, z którym wyszła Bridehead, wcale nie jest jej kuzynem, po prostu dlatego, że ona żadnego takiego krewnego nie posiada. Napisałyśmy w tej sprawie do Christminster, aby się upewnić.

– Ale my wierzymy jej na słowo – powiedziała prymuska.

– Tego młodzieńca wyrzucono z posady w Christminster za pijaństwo i bluźnierstwa wygłaszane w szynkach, a zamieszkał on tutaj wyłącznie dlatego, aby być blisko niej.

Dziewczęta jednakże siedziały obojętne i bez ruchu i nauczycielka wyszła z klasy, aby dowiedzieć się od przełożonych, co robić dalej.

Już się zmierzchało, gdy panny, ciągle siedząc w klasie, usłyszały okrzyki pierwszorocznych, z których jedna wpadła z nowiną, że Sue Bridehead wyskoczyła przez okno z pokoju, gdzie została zamknięta, po

ciemku przebiegła przez trawnik i znikła. Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób udało jej się wymknąć z ogrodu, bo w głębi opasywała go rzeka, a boczna furтка była zamknięta na klucz.

Panny pobiegły zajrzeć do pustego pokoju, gdzie środkowa część okna stała otworem. Z latarnią przeszukano ogród, obejrzano każdy krzak, ale Sue nigdzie się tutaj nie schowała. Potem przebadano odźwiernego przy bramie; po chwili namysłu powiedział, że przypomina sobie odgłos podobny do plusku w stronie rzeki; nie zwrócił nań uwagi, sądząc, że to kaczki nadpłynęły z góry strumienia.

- Musiała przejść przez wodę! – powiedziała jedna z nauczycielek.
- Albo się utopić – rzekł odźwierny.

Przełożoną ogarnęła groza, nie tyle na myśl o ewentualnej śmierci Sue, co w przewidywaniu szczegółowej relacji na całe pół kolumny we wszystkich gazetach; po zeszłorocznym skandalu przyniosłoby to szkole niepożądany rozgłos na wiele następnych miesięcy.

Dostarczono więcej latarni i przeszukano rzekę. Wreszcie na przeciwległym brzegu, na polu, spostrzeżono w błocie ślady małych bucików, co nie pozostawiało już wątpliwości, że zapalczywa dziewczyna musiała w bród przejść przez głęboką wodę sięgającą jej prawie do ramion, była to bowiem główna rzeka w hrabstwie i wymieniano ją z respektem we wszystkich podręcznikach geografii. Skoro Sue nie ściągnęła hańby na szkołę swoim utonięciem, przełożona zaczęła mówić o niej z lekceważeniem i wyrażać zadowolenie, że sobie poszła.

Tego samego wieczoru Juda siedział u siebie przy Bramie Kapitulnej. O tej porze, o zmroku, często zachodził na cichy dziedziniec katedralny; stawał na wprost domu, który w swoich murach krył Sue, i śledził cienie głów dziewczęcych poruszające się za storami. Jak bardzo pragnął uwolnić się od wszelkich innych zajęć, mieć możliwość ślęczenia tylko nad książką i uczenia się przez cały dzień tego, czym gardziła niejedna z lekkomyślnych mieszkanek szkoły! Ale owego wieczoru, po podwieczorku i oporządzeniu się po robocie, siedział właśnie pogrążony w dwudziestym dziewiątym tomie Puseyowskiej Biblioteki Ojców Kościoła. Zakupił ten komplet dzieł w antykwariacie po cenie, która wydała mu się niezwykle niska w stosunku do ich

bezcennej wartości. Nagle odniósł wrażenie, że coś zadźwięczało o szyby; dźwięk się powtórzył. Ktoś musiał rzucić w okno garścią żwiru. Juda wstał i cicho uchylił okno.

– Juda! – rozległo się z dołu.

– Sue?

– Tak, to ja! Czy mogę wejść do ciebie niepostrzeżenie?

– Owszem.

– To nie schodź po mnie. Zamknij okno.

Juda czekał, wiedząc, że Sue wejdzie bez przeszkód, bo, tak jak w większości prowincjonalnych miast, tutaj również wystarczało nacisnąć klamkę, aby otworzyć drzwi frontowe. Drżał cały na myśl, że teraz Sue przybiegła do niego po ratunek, tak jak on kiedyś do niej. Jak podobne były ich reakcje! Otworzył drzwi od swego pokoju, usłyszał cichy szelest na ciemnych schodach, a po chwili w kręgu światła pojawiła się Sue. Juda podbiegł do niej, schwycił ją za rękę i zauważył wtedy, że dziewczyna ocieka wodą jak morska boginka, a suknia przylega do jej ciała jak szaty na postaciach z fryzu partenonńskiego.

– Jak mi zimno! – powiedziała, szcękając zębami. – Czy mogę się przygnieść przy ogniu, Judo?

Przeszła przez pokój do małego kominka, na którym tlił się skąpy ogień; woda ściekała z niej przy każdym ruchu i pomysł osuszenia się w ten sposób był absurdalny.

– Coś ty zrobiła, kochanie? – zapytał Juda z niepokojem; czuły zwrot wymknął mu się mimo woli.

– Przeszłam wpływ przez największą rzekę w hrabstwie – oto co zrobiłam! Zamknęły mnie na klucz za to, że wyszłam z tobą. Taka niesprawiedliwość! Nie mogłam tego znieść, więc wyskoczyłam oknem i uciekłam przez rzekę!

Sue zaczęła wyjaśnienia swoim zwykłym, dosyć rezolutnym tonem, ale zanim skończyła, jej różowe usta zadrżały i ledwie powstrzymała się od płaczu.

– Sue, moja droga! – powiedział Juda. – Musisz wszystko z siebie zdjąć! Poczekaj... pożyczę dla ciebie jakąś suknię od mojej gospodyni. Pójdę ją poprosić.

– Nie! Nie! Niechże nikt się nie dowie, że tu jestem, na miłość

boską! Szkoła jest tak blisko, mogą mnie tutaj szukać.

– W takim razie musisz włożyć moje ubranie. Nie zrobi ci to różnicy?

– Ach, nie!

– Moje niedzielne ubranie. Jest tu pod ręką.

Wszystko było właściwie pod ręką w jedynym pokoju Judy, bo nie mogło być inaczej w takiej ciasnocie. Otworzył szufladę, wyjął swoje najlepsze ciemne ubranie i wygładzając je, zapytał:

– Ile czasu potrzebujesz, aby się przebrać?

– Dziesięć minut.

Juda wyszedł i chodził tam i z powrotem po ulicy. Zegar wybił wpół do ósmej i wtedy wrócił. W jego jedynym fotelu siedziała smukła i krucha istota przebrana za niego samego, tak jak wyglądał w niedzielę; rozczuliła go jej bezbronność i serce wezbrało mu tkliwością. Na dwóch krzesłach przed ogniem wisiała jej odzież. Sue zarumieniła się, gdy Juda siadł przy niej, ale rumieniec zaraz znikł.

– To pewnie dziwacznie wygląda, Judo: widzisz mnie ubraną po męsku, a moje rzeczy wiszą obok. Ale właściwie to przecież głupstwo. To tylko odzież damska, bezpłciowe suknie i bielizna... Żebym tylko nie czuła się tak źle i słabo! Wysusz moje ubranie, dobrze? Zrób to, Judo, bardzo cię proszę, a potem gdzieś się wystaram o mieszkanie. Jeszcze nie jest późno.

– Nigdzie nie pójdziesz, skoro źle się czujesz. Zostaniesz tutaj. Sue, moja najdroższa, jak mógłbym ci pomóc?

– Nie mam pojęcia. Ciągle mam dreszcze. Żebym tylko mogła się rozgrzać.

Juda okrył ją jeszcze swoim zimowym płaszczem, a potem pobiegł do najbliższej restauracji i wrócił z niewielką butelką.

– Masz tu trochę najlepszej wódki – powiedział. – Wypij to, kochanie, wypij wszystko od razu.

– Nie mogę przecież pić wprost z butelki!

Juda przyniósł szklankę z umywalni i podał jej wódkę zmieszaną z wodą. Sue zakrztusiła się, ale wypła wszystko i ułożyła się wygodnie w fotelu.

Potem zaczęła szczegółowo opowiadać swoje przeżycia, od chwili,

kiedy go pożegnała przed drzwiami internatu, ale w połowie opowiadania głos jej się załamał, spuściła głowę i zamilkła. Zapadła w głęboki sen. Juda umierał z niepokojem, że mogła się zaziębić i zrujnować sobie zdrowie na całe życie, ale cieszył go regularny oddech dziewczyny. Cichutko podszedł, przekonał się, że ciepły rumieniec wypływał już na sine dotychczas policzki Sue, i poczuł ciepło w jej zwieszanej ręce. Potem stanął przed kominkiem tyłem do ognia, ciągle w nią wpatrzony – widział w niej niemal bóstwo.

IV

Zadumę Judy przerwało trzeszczenie schodów. Ktoś szedł na górę. Schwycił rzeczy Sue z krzesła, na którym się suszyły, rzucił je pod łóżko i siadł z powrotem nad książką. Zastukano i jednocześnie otworzono drzwi. Była to gospodyni.

– Ach! nie wiedziałam, czy pan jest w domu, czy nie. Chciałam się dowiedzieć, jak z kolacją. A, widzę, że gości pan kolegę...

– Owszem, proszę pani, poproszę o kolację. Ale dzisiaj chyba nie zejść na dół. Może pani przyniesie mi kolację na tacy, chętnie napiję się także herbaty.

Juda zwykle schodził do kuchni i zjadał posiłki z innymi domownikami, aby oszczędzić kłopotu. Jednakże w tym wypadku gospodyni wyjątkowo przyniosła mu kolację na tacy, którą odebrał od niej w progu.

Gdy usłyszał, że już zeszła z powrotem, postawił imbryk z herbatą na występie kominka i wyciągnął znowu rzeczy Sue. Wcale jeszcze nie wyschły – okazało się, że gruba wełniana suknia wchłania mnóstwo wody. Rozwiesił je więc znowu, podsycił ogień i dumał dalej, a para z odzieży buchała w komin.

– Judo! – powiedziała nagle Sue.

– Tak? Jestem. Jak się teraz czujesz?

– Lepiej. Nawet zupełnie dobrze. Zasnęłam, prawda? Która to

godzina? Chyba nie jest jeszcze późno?

– Po dziesiątej.

– Naprawdę? I co ja teraz zrobię! – zawołała, zrywając się.

– Zostaniesz tutaj.

– Owszem, mam na to wielką ochotę. Ale co ci ludzie powiedzą?

I co ty zrobisz?

– Ja tu sobie posiedzę przy kominku przez całą noc i poczytam.

Jutro niedziela i nie potrzebuję nigdzie wychodzić. Gdy pozostaniesz tutaj, może unikniesz jakiejś groźnej choroby. Nie obawiaj się, Sue.

Mnie tu będzie doskonale. Ale popatrz, co tu mam dla ciebie. Kolację!

Gdy Sue wyprostowała się w fotelu, westchnęła żałośnie i powiedziała:

– Jednak ciągle czuję się słaba. Już mi się zdawało, że to przeszło.

A poza tym nie powinnam być u ciebie, prawda?

Kolacja wzmocniła ją trochę, a gdy napiła się jeszcze herbaty i znowu wyciągnęła w fotelu, nabrała humoru i werwy.

Herbata musiała być mocna, czy też za długo naciągała, bo Sue wydawała się po niej nienaturalnie ożywiona, podczas gdy Juda, który jej nie pił, poczuł senność. Dopiero słowa Sue przykuły jego uwagę.

– Nazwałeś mnie istotą stworzoną przez cywilizację czy czymś w tym rodzaju, prawda? – powiedziała, przerywając milczenie. – To dziwne, że tak mnie określiłeś.

– Dlaczego?

– Bo to jest irytująco niesłuszne. Ja jestem pewnego rodzaju negacją cywilizacji.

– Jesteś w filozoficznym nastroju. „Negacja” – takie uczone słowo!

– Tak uważasz? Czy ja robię wrażenie uczonej? – zapytała z odcieniem szyderstwa w głosie.

– Nie, nie to. Ale nie wyrażasz się tak, jak zwykle mówią dziewczęta, to znaczy dziewczęta, które nie miały warunków do nauki.

– Ale ja miałam warunki. Nie znam łaciny i greki, chociaż mam pojęcie o gramatyce obu tych języków. Za to znam z przekładów większość klasyków łacińskich i greckich i inne książki również.

Czytałam Lempriere’a, Katulla, Marcjalisa, Juwenala, Lukiana, Beaumonta i Fletchera, Boccaccia, Scarrona, Brantôme’a, Sterne’a,

Defoe, Smolletta, Fieldinga, Szekspira, Pismo święte i wiele innych rzeczy. I doszłam do wniosku, że całe zaciekawienie niemoralną częścią tych książek kończy się, gdy je poznamy.

– Czytałaś więcej niż ja – powiedział Juda z westchnieniem.– Jak to się stało, że przeczytałaś niektóre z tych raczej niezwykłych książek?

– Właściwie przypadkiem – powiedziała Sue w zamyśleniu. – Moje życie całkowicie kształtowało to, co ludzie określali we mnie jako dziwaczność. Nie boję się mężczyzn jako takich i nie boję się ich książek. Obracałam się wśród nich – zwłaszcza zbliżyłam się z paroma – prawie jak mężczyzna. Mam na myśli, że nie żywiłam w stosunku do nich uczucia wpajanego większości kobiet, mianowicie, aby miały się na bacności przed atakiem na swoją cnotę. Bo przecież żaden przeciętny mężczyzna, chyba że jest dzikusiem pod względem seksualnym, nie będzie molestował kobiety we dnie czy w nocy, w domu czy poza domem, jeśli ona go nie zachęci. Dopóki kobieta nie powie spojrzeniem: „Chodź”, dopóty mężczyzna zawsze boi się zbliżyć i nigdy się nie zbliży, jeśli mu się tego nie ułatwi słowem czy spojrzeniem. Ale ja chciałam powiedzieć coś innego, mianowicie, że kiedy miałam osiemnaście lat, weszłam w przyjazną zażyłość z pewnym studentem w Christminster; to on nauczył mnie wielu rzeczy i pożyczał mi książki, których inaczej nigdy bym nie zdobyła.

– Czy ta przyjaźń została zerwana?

– O tak. On umarł, biedaczek, parę lat po skończeniu uniwersytetu i po wyjeździe z Christminster.

– Pewnie często się z nim widywałaś?

– Owszem. Dużo przebywaliśmy razem: na wspólnych spacerach, przy wspólnej lekturze i tym podobnych zajęciach. Prawie tak jak dwóch kolegów. Poprosił mnie kiedyś listownie, abym z nim zamieszkała. Ale gdy przyjechałam do niego do Londynu, okazało się, że miał co innego na myśli niż ja. Chciał, żebym została jego kochanką; ale ja nie byłam w nim zakochana i gdy powiedziałam mu, że odejdę, jeśli nie przystanie na moje warunki, zgodził się. Przez rok i kwartał mieszkaliśmy obok siebie, mając wspólną bawialnię. On pisywał artykuły wstępne do jednego z wielkich londyńskich dzienników, dopóki się nie rozchorował

i nie musiał wyjechać za granicę. Mówił mi, że łamię jego serce, opierając mu się tak długo, a żyjąc tak blisko. Nigdy nie sądził, że kobieta może być do tego zdolna. Mówił też, że mogę kiedyś poprowadzić o jedną taką grę za dużo. Wrócił do kraju już tylko po to, aby umrzeć. Jego śmierć obudziła we mnie straszne wyrzuty sumienia, że byłam tak okrutna, chociaż pocieszałam się, że umarł na suchoty, a nie wyłącznie z mej winy. Pojechałam na jego pogrzeb do Sandbourne i ja jedna szłam za trumną. Zostawił mi w spadku trochę pieniędzy, pewnie dlatego, że mu zламаłam serce. Tacy to są mężczyźni – o tyle lepsi od kobiet!

– Boże wielki! I co potem robiłaś?

– Patrzcie! Teraz jesteś na mnie zły! – powiedziała Sue i w jej srebrny głos wmieszała się tragiczna, kontraltowa nutka. – Gdybym to przewidziała, niczego byś się ode mnie nie dowiedział.

– Nie, nie jestem zły. Opowiedz mi wszystko.

– No więc włożyłam pieniądze tego biednego chłopaka w szalbierczą aferę i wszystko straciłam. Mieszkałam jakiś czas sama w Londynie, a potem wróciłam do Christminster, ponieważ ojciec, który także był w Londynie i założył warsztat artystycznej obróbki żelaza koło Long Acre, nie chciał mnie już znać. W Christminster dostałam zajęcie w zakładzie sztuki sakralnej, tam, gdzie mnie spotkałeś... Uprzedzam cię, że nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem zepsuta!

Juda spojrział na fotel i dziewczynę w nim siedzącą, jakby chciał dokładniej przeniknąć istotę, którą przygarnął.

– Jakiegokolwiek życie prowadziłaś, Sue – powiedział drżącym głosem – wierzę, że jesteś równie niewinna, co niekonwencjonalna.

– Nie jestem zbyt niewinna, jak widzisz, teraz, kiedy

ze sztywnej kukły zdarłam szatę,

w jaką ją twoja fantazja odziała.

Sue powiedziała to z pozorną ironią, ale Juda wyczuwał, że dławią ją łzy.

– Ale nigdy nie oddałam się żadnemu mężczyźnie, jeśli to masz na myśli. Taka zostałam, jaka się urodziłam.

– Wierzę ci. Ale niektóre kobiety nie pozostałyby takie, jakimi się urodziły.

– Być może. Lepsze kobiety nie pozostałyby takimi. Ludzie mówią, że muszę być zimna z natury, bezpłciowa. Ale ja tych przeżyć nie chcę! Niektórzy poeci, najnamiętniejsi w erotykach, w codziennym życiu byli najbardziej wstrzemięźliwi.

– Czy powiedziałaś panu Phillotsonowi o tym twoim przyjacielu studencie?

– Tak, już dawno temu. Nigdy z tego nie robiłam przed nikim sekretu.

– I co on na to?

– Nie wydał żadnego sądu, powiedział tylko, że cokolwiek zrobiłam dawniej, dla niego jestem wszystkim, i tym podobne rzeczy.

Juda był zgnębiony. Zdawało mu się, że Sue coraz dalej od niego odchodzi wskutek tych swoich dziwacznych obyczajów i osobliwej nieświadomości, czym jest płęć.

– Czy naprawdę nie jesteś na mnie zły, Judo, mój drogi? – zapytała nagle z taką serdecznością w tonie, że trudno było uwierzyć, aby mówiła ta sama istota, która przed chwilą tak lekkim tonem opowiadała swoje dzieje. – Wolałabym urazić nie wiem kogo, byle nie ciebie!

– Sam nie wiem, czy jestem zły, czy nie. Jedno wiem, że znaczysz dla mnie bardzo wiele.

– A dla mnie ty znaczysz tyle samo, co ktokolwiek inny, kogo w życiu spotkałam.

– Nie jestem dla ciebie czymś więcej? Przepraszam, nie powinienem był pytać o to. Nie odpowiadaj mi!

Nastąpiło długie milczenie. Juda czuł, jak okrutnie Sue go traktuje, chociaż nie mógłby wyjaśnić, na czym to okrucieństwo polega. Sama bezbronność dziewczyny zdawała się czynić ją silniejszą od niego.

– Jestem strasznym ignorantem w sprawach ogólnych, chociaż tak usilnie nad sobą pracowałem – powiedział, aby zmienić temat rozmowy. – Pochłania mnie teraz teologia, wiesz o tym. Jak ci się zdaje, co byłbym robił właśnie w tej chwili, gdyby cię tu nie było? Odmawiałbym

wieczorny pacierz. Sądzę, że ty nie zechcesz...

– O nie, nie! – odparła. – Raczej nie, jeśli można. Wydałabym się sobie samej tak... tak obłudną.

– Od razu pomyślałem, że nie zechcesz się ze mną pomodlić, więc ci tego nie proponowałem. Musisz pamiętać, że pragnę być duchownym, pożytecznym dla innych.

– Chcesz przyjąć święcenia kapłańskie?

– Tak.

– Nie zrezygnowałeś jeszcze z tego zamiaru? Myślałam, że teraz już może zrezygnowałeś.

– Ależ nie. Początkowo naiwnie sądziłem, że zapatrujesz się na te sprawy podobnie jak ja, ponieważ w Christminster blisko byłaś związana z anglikanizmem. A pan Phillotson...

– Nie czuję żadnego szacunku dla Christminster, chyba pośrednio dla umysłowego życia tego miasta – powiedziała z powagą Sue Bridehead. – Mój przyjaciel, o którym ci wspominałam, wykorzenił to ze mnie. Był on najbardziej niereligijnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam w życiu, i najbardziej moralnym. A idee w Christminster są jak młode wino w starych butelkach. Panujący tam duch średniowiecza musi zginąć, musi być odrzucony, inaczej samo Christminster będzie musiało zginąć. Oczywiście trudno było czasami powstrzymać się od ukradkowej sympatii dla tradycji starej wiary, w formie przechowywanej ze wzruszającą prostotą i szczerością przez grupę myślicieli. Ale gdy ogarniało mnie przygnębienie, to znaczący najwłaściwszy nastrój w tych sprawach, zawsze sobie mówiłam:

O potworna chwało świętych, o martwe członki zbezczeszczonych Bogów!

– Sue, nie jesteś mi życzliwa, skoro mówisz takie rzeczy!

– W takim razie przestanę, mój drogi Judo!

Gardłowa nutka wzruszenia pojawiła się znowu i Sue odwróciła twarz w drugą stronę.

– Nadal uważam, że w Christminster istnieje wiele wspaniałych

rzeczy, mimo rozgoryczenia, że mnie odepchnięto.

Powiedział to łagodnie, powstrzymując chęć, aby rozdrażnić ją do łez.

– To zacofane miasto z wyjątkiem mieszczan, rzemieślników, pijaków i nędzarzy – rzekła Sue, ciągle upierając się przy swoim wobec jego odmiennego stanowiska. – Ci oczywiście widzą życie takim, jakie ono jest, czego nie można powiedzieć o wielu osobach z kolegów. Ty sam stanowisz najlepszy na to dowód. Jesteś właśnie jednym z tych ludzi, dla których Christminster było przeznaczone, w czasach, gdy zakładano kolegia. Kochasz naukę, ale nie masz ani pieniędzy, ani możliwości, ani stosunków. Toteż łokciami zepchnęli cię z drogi synowie milionerów.

– Obejdę się bez tego, co daje Christminster. Dążę do wyższych celów.

– A ja do czegoś szerszego i zawierającego więcej prawdy – upierała się Sue. – Dzisiaj w Christminster wiedza ciągnie w jedną stronę, a religia w drugą. I stoją tak nieruchomo jak dwa bodące się barany.

– Co by pan Phillotson...

– To jest miejsce zaludnione fetyszystami i ludźmi zapatrzonymi w widma.

Juda zauważył, że ilekroć próbuje wspomnieć o nauczycielu, Sue kieruje rozmowę ku jakimś ogólnym rozważaniom na temat uniwersytetu, który szczególnie ją drażnił. A on był szalenie, chorobliwie ciekawy, jak wyglądało jej życie jako protegowanej i narzeczonej Phillotsona; niczego jednak nie mógł się dowiedzieć.

– Właśnie takim człowiekiem jestem i ja – powiedział. – Lękam się życia i chętnie wpatruję się w widma.

– Ale jesteś dobry i kochany! – szepnęła.

Serce mocniej mu zabiło, ale nie odezwał się.

– Jesteś teraz na etapie traktarianizmu, prawda? – dodała, pod frywolnym tonem ukrywając prawdziwe uczucia. Stale używała tego chwytu. – Poczekaj, kiedyż to ja znajdowałam się w tej samej fazie?... W roku pańskim tysiąc osiemset...

– W tym jest sarkazm, Sue, i to raczej nieprzyjemny dla mnie.

A teraz, czy zrobisz coś, o co cię poproszę? O tej porze, jak ci to już mówiłem, czytaję rozdział z Pisma świętego i modlę się. Bądź tak dobra i zajmij się jakąkolwiek książką z tych, co tutaj leżą, odwróć się do mnie tyłem i pozwól, że nie odstępę od codziennego zwyczaju. Czy rzeczywiście nie chcesz pomodlić się ze mną?

– Będę na ciebie patrzeć.

– Nie. Sue, nie dokuczaj mi!

– No, dobrze. Zrobię to, co chcesz i nie będę cię już drażnić, Judo – odparła tonem dziecka, które odtąd zamierza być zawsze grzeczne, i odwróciła się do niego tyłem. Leżała koło niej mała Biblia, nie ta, po którą sięgnął teraz Judo, i gdy on zabrał się do modlitwy, Sue zaczęła przewracać kartki książki.

– Judo! – powiedziała z ożywieniem, gdy skończył i siadł znowu przy niej. – Czy chcesz, żebym ci zrobiła taki sam Nowy Testament jak ten, który zrobiłam dla siebie w Christminster?

– Bardzo chcę. Jak to zrobiłaś?

– Zmieniłam swój egzemplarz w ten sposób, że wycięłam wszystkie Listy i Ewangelie jako osobne broszury i ułożyłam je w porządku chronologicznym, tak jak były napisane, zaczynając od listów do Tessaloniczan, potem umieściłam inne listy, a Ewangelie dużo dalej. I wtedy oddałam tom do oprawy. Mój przyjaciel z uniwersytetu, pan... – mniejsza zresztą o nazwisko tego biednego chłopca – uznał to za świetny pomysł. Lektura Nowego Testamentu stała się teraz podwójnie interesująca i znacznie jaśniejsza.

– Hm! – powiedział Judo, odczuwając to jako świętokradztwo.

– A ileż tutaj jest profanacji z literackiego punktu widzenia – powiedziała, przerzucając karty Salomonowej „Pieśni nad pieśniami”. – Mam na myśli streszczenie w nagłówkach każdego rozdziału, które tłumaczy właściwe znaczenie pieśni. Nie przerażaj się, nikt nie spodziewa się, że nagłówki wymyślono w chwili natchnienia. Faktycznie wielu teologów lekceważy te nagłówki. To przezabawny widok: wyobraź sobie tylko dwudziestu czterech starszych czy biskupów, zresztą nie wiem, ilu ich tam było, jak siedzą z żałobnymi minami i piszą te głupstwa.

Juda był zgnębiony.

– Wolterianka z ciebie – szepnął.

– Tak sądzisz? A więc nic już nie powiem oprócz tego, że ludzie nie mają prawa fałszować Biblii! Nienawidzę szalbierstwa, którym pod kościelnymi abstrakcjami usiłowano ukryć ekstatyczną, naturalną, ludzką miłość, jaka tkwi w tej wielkiej i namiętnej pieśni! – Po naganie ze strony Judy słowa Sue stały się zapalczywe, nieomal gwałtowne, a oczy jej zwilgotniały. – Chciałabym mieć przy sobie przyjazną duszę, która by mnie poparła; ale nikt nigdy nie bierze mojej strony!

– Ależ Sue, droga, kochana Sue, ja przecież nie jestem przeciwko tobie! – powiedział Juda, chwytając jej rękę, zdziwiony, że do zwykłej dysputy Sue wprowadza kwestię osobistych uczuć.

– Właśnie że jesteś przeciwko mnie, jesteś, jesteś! – zawołała, odwracając się od niego, aby nie zobaczył jej pełnych łez oczu. – Jesteś po stronie tych tam z seminarium, przynajmniej na to wygląda! A ja utrzymuję, że to w najwyższym stopniu śmieszne, aby słowami: „Bóg z dobrych uczynków ludzi wierzących cieszy się i rozwesela”, komentować takie wiersze jak: „Gdzie się obrócił miły twój, o najpiękniejsza między niewiastami!”.

– Zostawmy już ten temat! Ty wszystko sprowadzasz do spraw osobistych. Ja... ja teraz jestem aż nazbyt skłonny, aby interpretować te słowa po świecku. Bo jeśli o to chodzi, dla mnie, jak wiesz, ty jesteś najpiękniejsza między niewiastami!

– Ach! nie mów tego teraz! – odparła Sue, a ton jej głosu przeszedł w najłagodniejszą nutkę surowości. Potem oczy ich się spotkały i uściśniły sobie ręce jak kamraci w szynku. Juda spostrzegł absurdalność kłótni na tak oderwany temat, a Sue głupotę oblewania łzami tego, co zostało napisane w takiej starej książce jak Biblia.

– Nie będę podważać twoich przekonań, naprawdę nie będę! – ciągnęła pojednawczo, bo on był teraz bardziej od niej rozdrażniony. – Ale zawsze chciałam i marzyłam o tym, aby móc komuś ukazać wyższe cele, i gdy cię spotkałam i spostrzegłam, że chcesz się ze mną zaprzyjaźnić, pomyślałam sobie, chyba muszę ci to wyznać, że ty właśnie możesz być tą osobą. Ale ty bierzesz na wiarę tyle tradycji, że doprawdy nie wiem, jak mam się do tego odnosić.

– Przypuszczam, moja droga, że niektóre rzeczy trzeba brać na

wiarę. Życie nie jest dostatecznie długie, aby wszystko ułożyć w euklidesowe pewniki, zanim się uwierzy. Ja tak wzięłam na wiarę chrześcijaństwo.

– Rzeczywiście, mogłeś wziąć coś gorszego.

– Mogłem, to prawda. I może nawet wzięłam! – powiedział, myśląc o Arabelli.

– Nie będę o to pytać, bo odtąd będziemy dla siebie dobrzy i mili i już nigdy, przenigdy nie będziemy się nawzajem drażnić, prawda?

Spojrzała na Judę z ufnością; głosem tuliła się jak gdyby do niego.

– Zawsze będę cię lubił! – powiedział Juda.

– I ja ciebie. Bo masz zacne serce, które przebacza twojej nieznośnej, małej, pełnej wad Sue!

Odwrócił wzrok, bo tę bezpłciową serdeczność odczuwał zbyt boleśnie. Czy właśnie to złamało serce biednego autora artykułów wstępnych i czy on, Juda, ma być następną ofiarą?... Ale Sue była tak urocza!... Żeby tylko mógł myśleć o niej nie jak o kobiecie – tak jak ona, zda się z łatwością, nie myślała o nim jak o mężczyźnie – jakież byłby z niej świetny kolega! Bo różnica zdań w kwestiach abstrakcyjnych jedynie ich zbliżała w sprawach codziennych, ludzkich przeżyć. Sue była mu bliższa, niż jakakolwiek inna kobieta, którą znał, i nie mógł uwierzyć, aby czas, religia czy rozłąka mogły go od niej oderwać.

Ale żal wobec jej niewiary powrócił. Siedzieli tak dopóty, dopóki Sue znowu nie zasnęła, a on także nie zaczął się kiwać na krześle. Ile razy się ocknął, obracał jej ubranie na drugą stronę i na nowo podsycił ogień. Około szóstej rozbudził się zupełnie i, zapaliwszy świecę, stwierdził, że rzeczy Sue już zupełnie wyschły. Fotel był o wiele wygodniejszy niż krzesło, więc dziewczyna jeszcze spała otulona jego płaszczem. Była ciepła jak świeżo upieczona bułeczka, a wyglądała chłopięco jak Ganimed. Juda położył obok niej rzeczy, obudził ją dotknięciem ręki, a sam zszedł na dół i umył się na podwórzu przy świetle gwiazd.

Gdy wrócił, Sue była już normalnie ubrana.

– Czy uda mi się teraz wyjść tak, aby mnie nikt nie zauważył? – zapytała. – Na mieście jeszcze nie ma ruchu.

– Ale nie zjadłaś śniadania.

– Och, nie jestem głodna! Nie powinnam była uciekać z tej szkoły.

Wszystko tak inaczej wygląda w chłodnym świetle poranka, prawda? Nie mam pojęcia, co na to powie pan Phillotson! Przyjechałam tutaj na jego życzenie. To jedyny człowiek na świecie, przed którym czuję respekt i lęk. Mam nadzieję, że mi przebaczy, ale na pewno dostanę okropną połajankę!

– Pójdę do niego i wyjaśnię... – zaczął Juda.

– O, nie, ani mi się waź! On mnie nic nie obchodzi. Niech sobie myśli, co chce... a ja będę robić to, co mi się podoba!

– Ale przed chwilą powiedziałaś...

– No więc powiedziałam, ale wszystko jedno, będę robić to, co mi się podoba. Mam nowy projekt: pojadę do siostry jednej koleżanki z seminarium, która mnie do siebie zapraszała. Ona prowadzi szkołę niedaleko Shaston, mniej więcej osiemnaście mil stąd. Zostanę u niej, dopóki tu się wszystko nie uciszy, a wtedy wrócę do seminarium.

W ostatniej chwili przekonał ją, aby mu pozwoliła zrobić sobie filiżankę kawy na przenośnej maszynie, jakiej używał codziennie przed pójściem do pracy, kiedy cały dom jeszcze spał.

– I zjedz cokolwiek do kawy – powiedział – a potem dopiero wyjdziemy. Zjesz porządne śniadanie na miejscu.

Cicho wyszli razem, bo Juda chciał ją odprowadzić na dworzec. Gdy odchodzili, z okna na piętrze wyjrzała jakaś głowa i zaraz szybko się schowała. Sue żałowała teraz swojej porywczosci i buntu. Przy pożegnaniu obiecała Judzie, że da mu znać, gdy tylko przyjmą ją z powrotem do seminarium nauczycielskiego. Stali tak razem na peronie dosyć smętnie, a Juda najwyraźniej miał jeszcze coś do powiedzenia.

– Chciałbym ci coś powiedzieć, właściwie dwie rzeczy – rzekł pośpiesznie, gdy pociąg już nadchodził. – Jedna rzecz jest ciepła, a druga chłodna!

– Judo – odparła Sue – o jednej z nich już wiem. Ale nie wolno ci!

– Czego mi nie wolno?

– Nie wolno ci mnie kochać. Masz mnie lubić, to wszystko!

Twarz Judy zasnuły tak gęste mroki, że przy pożegnaniu twarzyczka Sue w oknie wagonu wyrażała współczucie. A potem pociąg ruszył i dziewczyna, powiewając do niego ładną rączką, znikła.

W niedzielę po jej odjeździe Melchester wydało się Judzie niezmiernie ponure, a dziedziniec katedralny tak nienawistny, że tym razem nie poszedł do katedry na nabożeństwo. Nazajutrz dostał list, który Sue ze zwykłą impulsywnością napisała natychmiast po przyjeździe do swojej znajomej. Opowiedziała w nim o pomyślnej podróży i wygodnym pokoju, a potem dodała:

„Chcę właściwie nawiązać, mój drogi Judo, do tego, co powiedziałam Ci przy naszym rozstaniu. Byłeś dla mnie tak dobry i miły, że kiedy zniknąłeś mi z oczu, poczułam, jak bardzo jestem okrutna i niewdzięczna, wypowiadając podobne słowa, i ciągle to sobie wyrzucam. Możesz mnie kochać, Judo, jeśli chcesz: pozwałam Ci. I już nigdy więcej nie powiem, że Ci nie wolno!

Ale dosyć już o tym. Przebaczasz swojej bezmyślnej przyjaciółce to okrucieństwo, prawda? Nie unieszczęśliwisz jej, odmawiając przebaczenia?

Twoja Sue”

Nie trzeba tu mówić, jak brzmiała odpowiedź i jakie myśli snuł Juda na temat, co by zrobił, gdyby był wolny. Zbyteczny okazałby się wtedy dłuższy pobyt Sue u znajomej. Juda czuł, że jemu przypadłoby zwycięstwo, gdyby doszło do sporu z Phillotsonem o dziewczynę.

Jednakże wisiała nad nim groźba, że przypisuje impulsywnemu bilecikowi większe znaczenie, niż to, co kuzynka zamierzała w nim powiedzieć.

Po paru dniach Juda przyłapał się na oczekiwaniu nowego listu od Sue. Ale dalsze wieści nie nadeszły. Zatroškany więc o nią, znowu

napisał, proponując, że odwiedzi ją którejś niedzieli – dzieliła ich odległość niecałych osiemnastu mil.

Spodziewał się odpowiedzi następnego ranka po wysłaniu swego listu, ale poczta nic nie przyniosła. Nadszedł ranek trzeciego dnia i listonosz nawet się nie zatrzymał. Była to sobota i, zgorączkowany niepokojem o Sue, Juda skreślił parę słów, zawiadamiając, że przyjedzie nazajutrz, bo przeczuwa, że coś się musiało stać.

Najpierw przyszło mu naturalnie na myśl, że Sue rozchorowała się po kąpieli w rzece, ale zaraz zreflektował się: w takim wypadku na pewno zostałby zawiadomiony. Domysły skończyły się wraz z przybyciem do wiejskiej szkoły w pobliżu Shaston. W ten piękny niedzielny ranek między jedenastą a dwunastą parafia wyludniła się jak pustynia, bo większość mieszkańców przebywała w kościele, skąd od czasu do czasu rozbrzmiewały ich głosy śpiewające unisono.

Otworzyła mu drzwi mała dziewczynka.

– Panna Bridehead jest na górze – powiedziała. – Proszę, niech pan do niej pójdzie.

– Czy jest chora? – zapytał od razu Juda.

– Tak, ale to nic poważnego.

Juda wszedł do domu i udał się na górę. Na podeście znajomy głos skierował go we właściwą stronę – głos Sue wołający go po imieniu. Otworzył drzwi i zastał ją leżącą w małym łóżeczku, w pokoiku o powierzchni dwunastu stóp kwadratowych.

– O Sue! – zawołał, siadając przy niej i biorąc ją za rękę. – Co się z tobą dzieje? Nie miałaś siły napisać?

– Ach, nie! To nie to! – odparła Sue. – Rzeczywiście szkaradnie się zaziębiłam, ale mogłam napisać. Tylko że nie chciałam.

– Dlaczego? Jak mogłaś tak mnie nastraszyć?

– Wiem, tego właśnie się obawiałam! Ale postanowiłam nigdy już do ciebie nie pisać. Nie chcę mnie z powrotem przyjąć do szkoły, dlatego nie mogłam napisać. Nie chodzi o sam fakt, ale o przyczynę!

– Jak to?

– Nie tylko nie chcę mnie przyjąć z powrotem, ale jeszcze obdarzyli mnie na pożegnanie radą...

– Jaką radą?

Nie odpowiedziała od razu.

– Przysięgam sobie, Judo, że nigdy ci tego nie powiem, takie to wulgarnie i przygnębiające.

– Czy to dotyczy nas obojga?

– Tak.

– Musisz mi powiedzieć!

– No więc... ktoś posłał im podłe doniesienie na nas i powiedzieli mi, że powinniśmy jak najprędzej wziąć ślub ze względu na moją opinię!... Masz, wszystko ci powiedziałam, a teraz żałuję!

– Moja biedna Sue!

– Ja nigdy nie patrzyłam na ciebie z tego punktu widzenia.

Owszem, przemknęła mi kiedyś myśl, że mogłabym odnosić się do ciebie w sposób, w jaki oni sądzą, że się do ciebie odnoszę, ale nawet nie zatrzymałam się nad nią. Zdawałam sobie sprawę, oczywiście, że nasze pokrewieństwo jest jedynie nominalne, skoro spotkaliśmy się niedawno jak obcy. Ale małżeństwo, mój drogi... przecież gdybym myślała o małżeństwie, nie byłabym widywała się z tobą tak często! I aż do wczoraj nigdy nie przypuszczałam, że tobie może przyjść do głowy małżeństwo ze mną. Dopiero wczoraj zaczęłam się orientować, że mnie jednak trochę kochasz. Nie powinniśmy byli nawiązywać tak zażyłych stosunków. To wszystko moja wina. Zawsze, we wszystkim ja jestem winna!

Słowa te wyglądały trochę na wymuszone i nieszczerze; patrzyli teraz na siebie jednakowo znękani.

– Z początku byłam jak ślepa! – ciągnęła Sue. – Nie spostrzegałam zupełnie twoich uczuć. To nieładnie z twojej strony, bardzo nieładnie, że odnosiłeś się do mnie jak do swojej sympatii, nic mi o tym nie mówiąc. Dopiero sama musiałam to odkryć! A ludzie zauważyli twój stosunek do mnie i naturalnie myślą, że źle się prowadzimy! Nigdy już nie odzyskam zaufania do ciebie!

– Masz rację, Sue – powiedział po prostu Judo. – Wina jest po mojej stronie, i to w większym nawet stopniu, niż sądzisz. Zdawałem sobie sprawę, że aż do paru ostatnich spotkań nie podejrzewasz, jakie żywię wobec ciebie uczucia. I ja przyznaję, że ponieważ spotkaliśmy się jak obcy, nie było w naszych stosunkach miejsca na rodzinne

sentymenty, i w ogóle powoływanie się na nie było u mnie pewnego rodzaju wykrętem. Ale czy nie uważasz, że zasługuję na trochę względów za ukrywanie moich złych, bardzo złych uczuć, skoro nie mogłem ich w sobie stłumić?

Niepewnie spojrzała na niego, a potem odwróciła się jakby w obawie, że może mu przebaczyć.

Według praw natury i płci pocałunek był jedyną repliką stosowną w tej chwili i w tym nastroju, pod której wpływem mało wylewny stosunek Sue do Judy mógł z zupełnym prawdopodobieństwem zmienić swą temperaturę. Niejeden mężczyzna odrzuciłby na cztery wiatry wszelkie skrupuły i zaryzykował to posunięcie, puszczając w niepamięć zarówno oświadczenie Sue o jej beznamiętnych uczuciach, jak i dwa podpisy przechowywane w kancelarii parafialnego kościoła Arabelli. Juda tego nie zrobił. Właściwie przyszedł tu po części, aby wyjawić fatalną historię swego życia, miał już ją na końcu języka, ale w tej chwili przygnębienia nie mógł zdobyć się na wyznanie. Wolał zatrzymać się jeszcze na stwierdzonych już przeszkodach, które ich dzieliły.

– Oczywiście ja wiem, że ty nie... że nie lubisz mnie w ten właśnie sposób – żalił się. – Nie wypada ci nawet i masz rację, że tego nie chcesz. Należysz przecie do... pana Phillotsona. Przypuszczam, że odwiedzał cię tutaj?

– Owszem – odparła krótko i twarz jej przyobekł trochę inny wyraz. – Chociaż wcale go o to nie prosiłam. Ty, naturalnie, jesteś zadowolony, że pan Phillotson mnie odwiedził! Ale mnie by to wcale nie gniewało, gdyby się już tutaj nigdy więcej nie pokazał!

Zakochany młodzieniec zdziwił się, że uczciwe uznanie przez niego praw rywala mogło ją zaboлеć, skoro odrzucała jego, Judy, uczucia. Przeszedł zatem do innej sprawy.

– Wszystko się ułoży, Sue – powiedział. – Dyrekcja seminarium nauczycielskiego to jeszcze nie cały świat. Możesz przecie zapisać się do innej szkoły.

– Zapytam pana Phillotsona – odparła z determinacją.

Miła osoba, u której Sue była w gościnie, wróciła teraz z kościoła i urwała się rozmowa dwojga młodych na intymne tematy. Juda pożegnał się po południu, beznadziejnie nieszczęśliwy. Jednakże widział

przecież Sue i mógł przy niej posiedzieć. Taki kontakt będzie musiał wystarczyć mu przez resztę życia. Była to lekcja wyrzeczenia, konieczna i właściwa dla przyszłego wiejskiego księdza.

Ale nazajutrz po przebudzeniu poczuł się nieco podrażniony postępowaniem Sue i stwierdził jej niekonsekwencję, żeby nie powiedzieć: kapryśność. Zaraz potem nadszedł od niej bilecik – ilustracja tego, co zaczął dostrzegać jako cechę okupującą jej błędy. Bilecik musiała napisać wkrótce po jego odejściu:

„Wybacz mi moją wczorajszą porywczosć! Byłam dla Ciebie nieznośna, zdaję sobie z tego sprawę i czuję się okropnie nieszczęśliwa na myśl o tym. Jaki Ty jesteś dobry, że się nie rozgniewałeś! Judo, uważaj mnie nadal za swego przyjaciela i towarzysza, chociaż mam tyle wad. Postaram się już nigdy tak nie postępować.

Przyjadę do Melchester w sobotę zabrać rzeczy z seminarium itd. Mogłabym z Tobą pójść na spacer na jakieś pół godziny, jeśli zechcesz.

Twoja skruszona Sue”

Juda od razu przebaczył i poprosił, aby po przyjeździe wstąpiła po niego pod katedrę.

VI

W tym samym czasie pewien mężczyzna w średnim wieku snuł przepiękne sny o autorce powyższego listu. Był to Ryszard Phillotson. Przeniósł się niedawno z wiejskiej szkółki dla chłopców i dziewcząt w Lumsdon koło Christminster, aby objąć dużą szkołę dla chłopców w swym rodzinnym Shaston, mieście na wzgórzu oddalonym od Melchester o sześćdziesiąt mil w prostej linii ku południowemu zachodowi.

Jedno spojrzenie na nowe miejsce zamieszkania i na urządzenie

domu wystarczało, aby stwierdzić, że tak długo pielęgnowane plany i sny nauczyciel porzucił dla nowego marzenia, bynajmniej niezwiązanego z Kościołem czy literaturą. Do głębi niepraktyczny Phillotson zarabiał teraz i odkładał pieniądze w praktycznym celu: aby utrzymać żonę, która – jeśli zechce – będzie mogła prowadzić jedną z sąsiednich szkół dla dziewcząt. Dlatego doradził jej zapisanie się do seminarium nauczycielskiego, skoro nie chciała poślubić go od razu.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Juda wyruszał z Marygreen do Melchester, w przeddzień komplikacji z Sue, nauczyciel urządzał się w nowej szkole w Shaston. Gdy ustawił meble, ułożył na półkach książki i powbił gwoździe, w ciemne zimowe wieczory zaczął siadywać w swoim saloniku, podejmując dawne studia, które obejmowały między innymi dziedzinę rzymsko-brytyjskich starożytności. Było to niepopłatne zajęcie dla nauczyciela w służbie państwowej, ale pan Phillotson, porzuciwszy plan wstąpienia na uniwersytet, zainteresował się tą dziedziną jako stosunkowo niewykorzystaną, a dostępną dla osób, które, tak jak on, mieszkały w odludnych zakątkach, gdzie znajdowało się wiele zabytków nasuwających wnioski całkiem odmienne od przyjętych poglądów na cywilizację tamtych czasów.

W tej chwili więc konikiem Phillotsona, widocznym i oczywistym dla wszystkich, stały się dawne studia podjęte na nowo, co mu dostarczało pretekstu do samotnych wycieczek w teren, gdzie nie brakło odwiecznych dróg, wałów kamiennych i kurhanów, albo do zamykania się u siebie nad paroma znalezionymi urnami, płytkami z posadzki czy kawałkami mozaiki, zamiast składać wizyty sąsiadom, jak najlepiej zresztą do niego usposobionym. Ale w gruncie rzeczy nie był to ani rzeczywisty, ani jedyny pretekst. I w ten właśnie wieczór, bardzo już późno, bo zbliżała się północ, pan Phillotson, ściśle biorąc, nie pracował, chociaż jego lampa, rzucając światło z miasta na szczyt wzgórza w głąb doliny ciągnącej się daleko ku zachodowi, zdawała się słać tam wieści o miejscu i osobie poświęconych nauce.

Wnętrze pokoju, książki, meble, luźny płaszcz nauczyciela, jego poza przy stole, nawet tańczący płomień na kominku snuły tę samą chwalebłą opowieść o systematycznych badaniach, więcej niż

zaszczytnych dla człowieka bez żadnych szans oprócz tych, które sam sobie stworzył. A jednak opowieść ta, do niedawna prawdziwa, przestała nią być ostatnio. Pan Phillotson nie zajmował się w tej chwili historią. Przeglądał tylko notatki historyczne pisane parę miesięcy temu pod jego dyktando śmiałym kobiecym charakterem pisma i pochłaniało go właśnie badanie kaligrafii poszczególnych słów.

Wyjął teraz z szuflady starannie związaną paczkę listów; było ich niezmiernie mało w porównaniu z rozmiarami współczesnej korespondencji. Każdy list znajdował się w kopercie, tak jak przyszedł, a pismo zdradzało rękę tej samej kobiety, która robiła notatki z historii. Nauczyciel po kolei wyjmował listy i czytał je uważnie. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że w tych drobnych dokumentach nie ma nic zastanawiającego. Były to bezpośrednie, szczerze listy, podpisane „Sue B.”, takie jakie się pisze w ciągu krótkiej rozłąki, w przekonaniu, że zostaną od razu zniszczone. Dotyczyły głównie lektury i innych zajęć w seminarium nauczycielskim. Na drugi dzień autorka na pewno o nich nie pamiętała. W jednym z tych bilecików, o świeżej dacie, młoda osoba potwierdzała odbiór pełnego zrozumienia listu Phillotsona; ładnie to i szlachetnie z jego strony, że nie będzie jej odwiedzał częściej, niż ona tego sobie życzy – w szkole nie jest przyjemnie przyjmować gości, zresztą ona zdecydowanie nie chce, aby dowiedziano się o ich zaręczynach, a przecież gdyby ją częściej odwiedzał, niewątpliwie by to nastąpiło. Nauczyciel dumiał właśnie nad tymi zdaniami. Jaki właściwie rodzaj zadowolenia można uzyskać z wdzięczności kobiety za to, że kochający mężczyzna rzadko ją odwiedza? Zagadnienie to pochłaniało myśli Phillotsona i wprawiało go w rozterkę.

Otworzył inną szufladę i znalazł tam kopertę, z której wyjął fotografię Sue z czasów dzieciństwa, zrobioną na wiele lat przedtem, zanim ją poznał. Stała koło altanki z koszyczkiem w ręce. Inna fotografia ukazywała ją jako młodą kobietę o ciemnych oczach i włosach – niezwykle udana podobizna podkreślająca również zamyślenie ukryte zwykle pod lżejszymi pozorami jej natury. Był to drugi egzemplarz fotografii, którą Sue dała Judzie; innego już nie było. Phillotson przybliżył zdjęcie do warg, ale zaraz je odsunął, niepewny znaczenia zagadkowych słów listu. Ostatecznie jednak ucałował martwą tekturę

z namiętnością i bezgranicznym oddaniem osiemnastoletniego młodzieńca.

Twarz nauczyciela miała niezdrowy wygląd i było w niej coś staroświeckiego, co akcentował jeszcze sposób noszenia zarostu. Natura obdarzyła tę twarz znamionami pewnej dystynkcji i wrodzonej skłonności do rzetelnego postępowania w każdej sytuacji. Mówił dość wolno, ale to wahanie w mowie nie stanowiło wady wobec bezpośredniości tonu. Siwiejące, kręcone włosy rozchodziły się z jednego punktu na środku jego czaszki, na czole widniały cztery bruzdy. Okulary nosił tylko do czytania, wieczorem. Od małżeństwa z pewnością powstrzymywały go do tej pory raczej wyrzeczenia narzucone sobie samemu przez dążenie do wiedzy niż niechęć do kobiet.

Podobne milczące praktyki nauczyciel stosował nie tylko tego wieczoru, ale bardzo często, kiedy znalazł się poza zasięgiem spojrzeń chłopców swojej klasy. Bystry i przenikliwy wzrok uczniów nieraz stawał się trudny do zniesienia w jego obecnym nastroju tęsknoty i tkliwości dla Sue; w szarych godzinach poranka z niechęcią myślał o zetknięciu się na nowo ze świdrującymi spojrzeniami wychowanków, w obawie, że mogą przeniknąć jego rojenia.

Phillotson szlachetnie zgodził się na życzenie Sue, aby nie odwiedzać jej zbyt często w seminarium nauczycielskim, ale srogo nadużywana cierpliwość wyczerpała się w końcu i pewnego sobotniego popołudnia nauczyciel wyruszył w zamiarze złożenia jej niespodziewanej wizyty. Wiadomość o wyjeździe Sue – można było to uważać za wydalenie ze szkoły – spadła nieoczekiwanie, bez przygotowania, gdy stał przed drzwiami, spodziewając się za chwilę jej przyjścia. Odchodząc, ledwie widział drogę, po której stąpał.

Sue rzeczywiście ani słówkiem nie wspomniała swemu konkurentowi o tej sprawie, chociaż minęły już dwa tygodnie. Chwila namysłu podszeptała jednak panu Phillotsonowi, że to niczego nie dowodzi, bo dostateczną przyczyną milczenia może być równie dobrze zrozumiała delikatność jak jakikolwiek stopień winy.

W szkole podano mu adres Sue, ale nie mając powodu do bezpośredniego niepokoju o nią, skierował całe swe gwałtowne wzburzenie przeciwko władzom seminarium. Osłupiały Phillotson

wstąpił do pobliskiej katedry, która w związku z odbudową znajdowała się w stanie straszliwego nieładu, i usiadł na bloku piaskowca, nie zważając, że kamień pozostawia na jego spodniach ślady kurzu. Gdy niespokojnym wzrokiem zaczął wodzić za ruchami robotników, dostrzegł wśród nich winowajcę, rzekomego kochanka Sue, Judę.

Od chwili spotkania przy modelu Jerozolimy Juda nigdy nie zetknął się ze swoim dawnym ideałem. Po próbach zalecanek Phillotsona do Sue, przypadkowo podpatrzonych w wiejskiej uliczce, w młodym mężczyźnie narosła dziwna niechęć nawet do myśli o nauczycielu, do spotkania się z nim czy nawiązania jakiegokolwiek kontaktu. A odkąd wiedział, że Phillotsonowi udało się otrzymać od Sue przynajmniej obietnicę, Juda otwarcie stwierdził u siebie zupełny brak ochoty, aby zobaczyć dawnego nauczyciela, słyszeć o nim czy też dowiadywać się o jego sprawy albo nawet oceniać w wyobraźni doskonałość jego charakteru. Tego właśnie dnia, kiedy nauczyciel zjawił się w katedrze, Juda zgodnie z obietnicą oczekiwał wizyty Sue i poczuł niemałe zakłopotanie, widząc Phillotsona, który sunął przez nawę katedry, i to wprost ku niemu. Ale Phillotson, sam również zakłopotany, wcale tego nie zauważył.

Juda podszedł do niego i obydwaj odsunęli się od innych robotników do miejsca, gdzie nauczyciel poprzednio siedział. Juda podał mu kawałek worka zamiast poduszki, mówiąc, że to niebezpiecznie siadać na gołym kamieniu.

– Tak, tak – powiedział Phillotson z roztargnieniem, gdy usiadł z powrotem; uporczywie patrzył w ziemię, jakby usiłując przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. – Nie będę pana długo zatrzymywał. Po prostu słyszałem, że pan niedawno widział moją przyjaciółkę Sue. Przyszło mi na myśl, żeby z panem o tym pomówić. Chciałem po prostu zapytać... o nią.

– Domyślam się, o co chodzi! – śpiesznie powiedział Juda. – O tę jej ucieczkę z seminarium i fakt, że schroniła się u mnie.

– Tak.

– Otóż... – Juda przez chwilę czuł niechęć i wrogię pragnienie zniszczenia rywala za wszelką cenę. Wskutek działania zdradzieckich uczuć, które miłość do tej samej kobiety budzi w mężczyznach

najbardziej uczciwych w innych sprawach życiowych, mógł teraz pozbyć się Phillotsona, zrozpaczonego i pognębitego, stwierdzając, że plotki są prawdziwe i Sue nieodwracalnie się z nim związała. Ale w naturze Judy ani przez chwilę nie znalazł oddźwięku ten zwierzęcy instynkt i powiedział jedynie:

– Cieszę się, że pan był łaskaw zwrócić się z tym do mnie otwarcie. Pan wie, co ludzie mówią? Że powinienem się z nią ożenić.

– Co?

– A ja z całej duszy pragnę, aby to było możliwe!

Phillotson zadrżał i rysy twarzy, z natury bladej, nabrały trupiej ostrości.

– Nie miałem pojęcia, że chodzi o te sprawy! Broń Panie Boże!

– Nie, nie! – powiedział Juda ze zdumieniem. – Sądziłem, że pan zrozumiał. Miałem na myśli, że byłbym szczęśliwy, gdybym mógł ożenić się z nią czy z kim innym i stworzyć sobie dom zamiast mieszkać to tu, to tam w wynajętych pokojach.

W istocie miał na myśli, że kocha Sue.

– Ale właściwie... skoro już zaczęliśmy mówić o tych przykrych sprawach, co się właściwie stało? – zapytał Phillotson ze stanowczością człowieka, który czuje, że natychmiastowe ostre uderzenie jest lepsze niż długa męka niepewności. – Zachodzą wypadki, i mamy teraz właśnie tego przykład, że należy posunąć się nawet do brutalnych pytań, aby udaremnić fałszywe przypuszczenia i stłumić plotki.

Juda chętnie wszystko wyjaśnił; przedstawił kolejność wypadków, noc spędzoną w chacie owczarza, przybycie przemoczonej Sue do jego mieszkania, jej niedyspozycję wskutek przymusowej kąpieli, czuwanie spędzone na dyskusjach i pożegnanie na dworcu następnego ranka.

– W takim razie – powiedział Phillotson w konkluzji – uważam to za pana ostatnie słowo i mogę z pewnością panu wierzyć, że podejrzenie, które doprowadziło do jej wydalenia, nie ma żadnych podstaw?

– Tak jest – powiedział Juda uroczyście. – Żadnych. Świadcę się Bogiem.

Nauczyciel wstał. Obydwaj czuli, że rozmowy nie da się z łatwością przestawić na życzliwą pogawędkę, jak między dobrymi znajomymi, o tym, co się z nimi ostatnio działo. I gdy Juda oprowadził

Phillotsona po katedrze, wskazując na niektóre ciekawsze punkty przebudowy, której poddano starą świątynię, nauczyciel pożegnał się z młodzieńcem i odszedł.

Miało to miejsce około jedenastej przed południem. Sue jednak nie pokazała się. Ale gdy Juda wyszedł na obiad, od razu zobaczył swoją ukochaną na ulicy idącą od Północnej Bramy; nie wyglądało na to, aby go szukała. Dogonił ją szybko i przypomniał, że przecież obiecała mu wstąpić po niego do katedry.

– Poszłam odebrać rzeczy ze szkoły – powiedziała, jakby tę uwagę mógł uznać za odpowiedź, którą wcale nie była. Stwierdzając u Sue zwykły nastrój nieuchwytności, Juda poczuł ochotę wyjawienia tego, co dotąd zatajał.

– Nie widziałaś się dzisiaj z panem Phillotsonem? – zaryzykował pytanie.

– Nie. Ale nie mam zamiaru poddawać się indagacji na jego temat. Jeśli zadasz jeszcze jedno pytanie, wcale na nie nie odpowiem!

– To dziwne, że... – zamilkł, patrząc na nią.

– Co dziwne?

– To dziwne, że często nie jesteś tak miła w bezpośrednim zetknięciu jak w listach!

– Tak sądzisz? – powiedziała z uśmiechem budzącej się ciekawości. – To dziwne, ale to samo wrażenie mam i ja, jeśli chodzi o mój stosunek do ciebie, Judo. Po twoim odejściu wydaję się sama sobie taka zimna...

Juda spostrzegł, że wkraczają na niebezpieczny grunt, bo Sue świadoma była jego uczucia. „Teraz – pomyślał sobie – muszę przemówić jak uczciwy człowiek”.

Ale nie odezwał się, a Sue ciągnęła:

– To właśnie skłoniło mnie do napisania, że nie będę przeciwstawiać się twojej miłości, skoro tobie tak bardzo na tym zależy.

Zamiar żywiony przez Judę unicestwił gwałtowną radość, jakiej mógłby doznać na myśl o znaczeniu, jakie te słowa zawierają lub też wydają się zawierać. Chwilę więc milczał sztywno, zanim wreszcie zaczął:

– Nigdy ci nie mówiłem...

– Owszem, mówiłeś... – szepnęła.

– Mam na myśli to, że nigdy nie opowiedziałem ci historii mego życia... całej historii.

– A jednak domyślam się jej. Prawie ją znam.

Juda spojrzał na Sue. Czyżby mogła wiedzieć o jego młodzieńczym wybryku z Arabellą, o tym, co po paru miesiącach przestało być małżeństwem w bardziej ostateczny sposób niż za sprawą śmierci? Poznał z wyrazu jej twarzy, że nie wiedziała.

– Nie mogę poruszać tej sprawy tu, na ulicy – ciągnął posępnie. – A lepiej, żebyś nie przychodziła do mojego mieszkania. Może wstąpimy tutaj.

Mijali właśnie hale targowe i tu tylko mogli się schronić. Targ już się skończył i cały teren jak i stoiska były puste. Juda wolałby wybrać jakieś przyjemniejsze miejsce na tło dla swojej opowieści, ale – jak to się często zdarza – zamiast pośród romantycznych pól czy w dostojnej bocznej nawie kościelnej musiał mówić, spacerując tam i z powrotem po zgniłych liściach kapusty zaścielających ziemię, pomiędzy brudem zepsutych jarzyn i odpadków nienadających się na sprzedaż. Tam zaczął i skończył swoje krótkie opowiadanie, które sprowadzało się jedynie do informacji, że parę lat temu ożenił się i jego żona żyje. Zanim jeszcze wyraz jej twarzy zdążył się zmienić, Sue rzuciła te słowa:

– Czemu nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

– Nie miałem odwagi. Wydawało mi się to takie okrutne.

– Okrutne dla ciebie. Wobec tego lepiej być okrutnym dla mnie!

– Nie, nie, Sue, moja najdroższa! – zawołał Juda namiętnie. Chciał ją wziąć za rękę, ale cofnęła ją. Tak jakby ich dawne stosunki, pełne wzajemnego zaufania, nagle się skończyły i pozostał tylko antagonizm płci bez równoważących czynników uczuciowych. Sue już mu nie była towarzyszem, przyjacielem, nieświadomym przedmiotem miłości; jej oczy patrzyły na niego wśród wrogiego milczenia.

– Wstyd mi było tego epizodu życia, który mnie doprowadził do małżeństwa – ciągnął Juda. – Teraz nie mogę ci tego wytłumaczyć dokładnie. Byłbym to zrobił, gdybyś inaczej przyjęła tę wiadomość!

– Jakże mogłam ją przyjąć inaczej? – wybuchnęła. – Tutaj mówię czy piszę, że... że pozwalam ci na miłość czy coś w tym rodzaju... po

prostu z litości... a przez cały ten czas... O! jakie to wszystko obrzydliwe! – powiedziała, tupiąc nerwowo nogą.

– Nie rozumiesz mnie, Sue! Do niedawna nie przypuszczałem, że możesz mnie lubić, więc myślałem, że tamta sprawa nie ma znaczenia! Czy lubisz mnie, Sue? Wiesz, co mam na myśli? Nie chodzi mi o lubienie „z litości”, o nie!

Na to pytanie Sue nie raczyła odpowiedzieć.

– Przypuszczam, że ona... twoja żona... jest bardzo ładna, nawet... mimo to, że nie jest dobra? – zapytała pośpiesznie.

– Owszem, jest dość ładna.

– Pewnie ładniejsza ode mnie!

– Jesteście zupełnie niepodobne do siebie. A zresztą nie widziałem jej od lat... Chociaż ona na pewno wróci... zwykle tak bywa!

– Jakie to dziwne, że tak jesteście rozłączeni! – powiedziała Sue, a drżące wargi i ściśnięte gardło zadawały kłam ironii dźwięczącej w jej głosie. – Ty, człowiek taki religijny! Jakże po tym wszystkim ci półbogowie w twoim Panteonie, mam na myśli te postacie legendarne, które zowiesz świętymi, będą się za tobą wstawiać? Co innego, gdybym ja tak postąpiła, nic w tym nie byłoby dziwnego, bo ja przynajmniej nie uważam małżeństwa za sakrament. Twoje teorie są mniej postępowe niż praktyka!

– Potrafisz być strasznie cięta, Sue, prawdziwy z ciebie Wolter! Możesz mnie zresztą traktować, jak ci się podoba!

Sue jednak złagodniała, gdy spostrzegła, jak bardzo Juda jest nieszczęśliwy, i usiłując mruganiem rozpędzić gromadzące się łzy, powiedziała z ujmującą wymówką kobiety o zranionym sercu:

– Ach, powinieneś był powiedzieć mi o tym pierwej, zanim poddałeś mi myśl, że pragniesz, abym pozwoliła się kochać! A przecież ja o tym nie miałam pojęcia aż do tej chwili na stacji kolejowej, oprócz...

Tym razem Sue czuła się równie nieszczęśliwa jak Juda; usiłowała zapanować nad wzruszeniem, co jej się niezbyt udawało.

– Nie płacz, kochanie! – błagał ją.

– Płaczę nie dlatego, że... miałam zamiar cię pokochać, ale dlatego, że mi nie ufałeś!

W pustej hali targowej byli zupełnie odseparowani od świata i Juda nie mógł się powstrzymać, aby nie objąć Sue ramieniem. Jego nagłe pożądanie przywróciło jej siły.

– Nie, nie! – zawołała, cofając się gwałtownie i ocierając oczy. – Nigdy w świecie! To byłaby obłuda udawać, że postępujesz jak krewny, a w żadnym innym charakterze taka rzecz nie powinna mieć miejsca.

Ruszyli kilkanaście kroków dalej i Sue przyszła do siebie. Juda posmutniał; mniej by go serce bolało, gdyby nie zachowała się tak jak teraz, z gruntu wielkodusznie i szlachetnie po chwili zastanowienia, pomimo poprzedniego impulsywnego wybuchu małostkowych, kobiecych humorów, które wszakże były konieczne, aby zaznaczyć jej kobiecość.

– Nie winię cię za to, czemu nie mogłeś zapobiec – powiedziała z uśmiechem. – Jakże mogłabym być tak niemądra! Chociaż troszkę jest w tym twojej winy, że mi wcześniej o tym nie wspomniałeś. Ale ostatecznie to nie ma znaczenia. Bo wiesz, musimy się rozstać i tak, nawet jeśli w twoim życiu nie było tamtej sprawy.

– Nie, Sue. Właśnie to jest jedyna przeszkoda!

– Zapominasz, że musiałabym cię kochać i chcieć być twoją żoną, nawet gdyby nie istniała przeszkoda – powiedziała Sue z łagodną powagą, która jednak nie wyjawiała jej uczuć. – Poza tym jesteśmy ze sobą spokrewnieni, a krewni nie powinni się pobierać. I ja... jestem zaręczona z kim innym. A jeśli chodzi o widywanie się jak do tej pory, tak po przyjacielsku, nasze otoczenie uniemożliwi kontynuowanie takiego stosunku. Zapatrywania ludzi na stosunki między mężczyzną a kobietą są niezmiernie ograniczone, czego dowodzi wydalenie mnie ze szkoły. Ich światopogląd uznaje jedynie stosunki oparte na zwierzęcym pożądaniu. Nieznana jest im zupełnie obszerna dziedzina silnych przywiązań, gdzie pożądanie odgrywa przynajmniej drugorzędną rolę, rolę – zaraz, niech sobie przypomnę – rolę Wenus-Uranii.

Zdolność do rozprawiania w uczony sposób wskazywała, że Sue zapanowała już nad sobą. I zanim się pożegnali, odzyskała prawie całkowicie zwykłą żywość spojrzenia, szybkość reakcji w rozmowie, wesołość i rozsądny stosunek krytycznej wielkoduszności względem swoich rówieśnic.

Juda mógł teraz mówić swobodniej.

– Kilka powodów powstrzymywało mnie od powiedzenia ci tego impulsywnie. O jednym już wspomniałem. Po drugie, zawsze we mnie wmawiano, że nie powinienem się żenić, jako potomek dziwacznej i osobliwej rodziny, która nie nadaje się do małżeństwa.

– Ach! Któż ci to mówił?

– Moja cioteczna babka. Mówiła, że w rodzinie Fawleyów małżeństwo zawsze źle się kończy.

– To dziwne. Ojciec powtarzał mi to samo!

Stanęli teraz, przeniknięci jedną i tą samą myślą, dostatecznie odrażającą nawet jako przypuszczenie: że ich związek, nawet gdyby był możliwy, oznaczałby straszliwe zwielokrotnienie tej niezdatności, tak jak dwa gatunki gorzkiej przyprawy w jednej potrawie.

– O, ale to są słowa na niczym nieoparte – powiedziała Sue nerwowo, lekkim tonem. – W naszej rodzinie niefortunnie sobie ostatnio dobierano partnerów, to wszystko.

I tak udawali, że przekonali się nawzajem o nieważności tego, co się stało, że mogą nadal odnosić się do siebie jak krewni i przyjaciele, wymieniać serdeczne listy i spędzać ze sobą szczęśliwe, pogodne chwile, nawet jeśli będą spotykać się rzadziej niż dotychczas. Rozstali się w wielkiej zgodzie, ale ostatnie spojrzenie, które Juda zatopił w oczach Sue, wyrażało pytanie, bo młody mężczyzna czuł, że nawet w tej chwili nie zna całkowicie jej myśli.

VII

Wieści od Sue dotarły do Judy w parę dni później jak niszczący podmuch.

Zanim jeszcze przeczytał list, narzuciło mu się podejrzenie, że treść jego jest poważna, bo spostrzegł podpis złożony z pełnego nazwiska, którego Sue nigdy nie używała w ich korespondencji od czasów pierwszego bileciku.

„Drogi Judo! Muszę Ci o czymś donieść, co może Cię nie zdziwi, chociaż z pewnością uderzy jako rzecz »przyśpieszona« (jak mówią towarzystwa kolejowe o pociągach). Pan Phillotson i ja mamy się niedługo pobrać, za trzy lub cztery tygodnie. Jak wiesz, postanowiliśmy poczekać, dopóki nie skończę kursu i nie otrzymam patentu, aby w razie potrzeby pomóc mu w szkole. Ale pan Phillotson, szlachetny jak zwykle, powiada, że nie widzi racji czekania w tej chwili, kiedy już nie uczęszczam do seminarium nauczycielskiego. Bardzo jest dobry, bo cała ta niezręczna sytuacja wynikała z mojej winy, gdyż dopuściłam do usunięcia mnie ze szkoły.

Życz mi szczęścia. Pamiętaj: nakazuję Ci to i nie możesz mi tego odmówić!

Twoja kochająca kuzynka

Zuzanna Florencja Maria Bridehead”

Juda zachwiał się pod brzemieniem tej nowiny. Nie był w stanie przełknąć śniadania i pił tylko herbatę, bo zasychało mu ciągle w ustach. Potem zabrał się znowu do roboty i śmiał się gorzkim śmiechem człowieka, którego spotkał cios. Wszystko zdawało się z niego szydzić. A jednak cóż ta biedna dziewczyna miała począć, zapytywał sam siebie i czuł się jeszcze gorzej, niż gdyby ronił łzy.

– Ach, Zuzanno Florencjo Mario! – mówił sobie przy pracy. – Ty nie wiesz, czym jest małżeństwo!

Czyżby to było możliwe, że popchnęła ją do tego kroku wiadomość o jego małżeństwie, tak jak jego przyjście do niej wtedy, po pijanemu, mogło popchnąć ją do zaręczyn? Z pewnością istniały inne i wystarczające powody jej decyzji, dyktowane względami zarówno praktycznymi, jak towarzyskimi. Ale Sue nie była zbyt praktyczna czy przewidująca. I Juda musiał przyznać, że to urażona duma po wysłuchaniu jego zwierzeń skłoniła ją do uznania słuszności argumentów Phillotsona, który za najlepszy sposób wykazania bezpodstawności podejrzeń władz szkolnych uważał natychmiastowy

ślub – prostą konsekwencją obietnicy danej przy zaręczynach. Sue rzeczywiście znalazła się w niezręcznej sytuacji. Biedna Sue!

Juda postanowił zachować się po spartańsku; usiłował znieść ten cios możliwie najlepiej i podtrzymywać ją na duchu. Ale w ciągu następnych paru dni nie mógł zdobyć się na przesłanie oczekiwanych życzeń szczęścia. Tymczasem przyszedł drugi, niecierpliwy liścik od ukochanej:

„Judo, czy poprowadzisz mnie do ślubu? Nie mam nikogo innego, kto by się do tego tak nadawał jak Ty, bo jesteś jedynym żonatym krewnym, którego mam na miejscu, nawet gdyby mój ojciec łaskawie zechciał to zrobić, czego w rzeczywistości nie chce. Mam nadzieję, że Ci to nie sprawi różnicy? Przeglądałam w modlitewniku nabożeństwo z okazji ślubu i wydaje mi się upokarzające, że w ogóle jest potrzebny ktoś, kto oblubieńcowi oddaje oblubienicę. Według ceremoniału tam opisanego mój narzeczony wybiera mnie ze swojej własnej i nieprzymuszonej woli, ale ja go nie wybieram. Ktoś mnie jemu oddaje jak oślicę czy kozę, czy jakieś inne zwierzę domowe. Niech Bóg ma w opiece Twoje przesadne pojęcia o kobiecie, Ty mężu kościelny! Ale przepraszam, zapomniałam się: straciłam już przywilej dokuczania Ci.

Tvoja

Zuzanna Florencja Maria Bridehead”

Juda nastawił się na ton heroiczny i odpisał:

„Kochana Sue! Oczywiście życzę Ci szczęścia. I oczywiście poprowadzę Cię do ślubu. Ponieważ nie masz swego własnego domu, proponuję, abyś pojechała do kościoła nie z domu Twej koleżanki, ale ode mnie. Sądzę, że będzie to odpowiedniejsze, skoro – jak stwierdziłaś – jestem Twoim najbliższym krewnym w tych stronach.

Nie rozumiem, dlaczego podpisujesz się w tak nowy i straszliwie oficjalny sposób? Przecież na pewno nadal mnie trochę lubisz!

Szczerze Ci oddany

Jeszcze bardziej niż podpis ukłuło go małe żądło, o którym nie wspomniał w swojej odpowiedzi, a mianowicie słowo „żonaty krewny”. Jakiż był z niego głupiec, aby wydawać się sobie kandydatem na narzeczonego! Jeśli Sue napisała te słowa z ironią, nie zdobędzie się na przebaczenie, jeśli zaś w cierpieniu... ach! to byłaby inna sprawa.

Projekt oddania domu do ich dyspozycji spodobał się, przynajmniej Phillotsonowi, bo, przyjmując zaproszenie, nauczyciel przysłał mu parę gorących słów podziękowania. Sue także podziękowała. Juda natychmiast przeprowadził się do wygodniejszego mieszkania, zarówno aby uniknąć szpiegowania podejrzliwej gospodyni, z winy której Sue spotkało tyle nieprzyjemności, jak i ze względu na samą kwatere.

A potem zawiadomiono go o dniu wesela. Po zasięgnięciu informacji Juda zdecydował, że Sue powinna przyjechać i zamieszkać u niego w najbliższą sobotę, co by w sumie dało dziesięciodniowy pobyt w mieście przed ceremonią ślubną, wystarczający mimo oficjalnego terminu dwóch tygodni.

Sue przyjechała zatem pociągiem rzezonego dnia o dziesiątej rano i na jej wyraźną prośbę Juda nie wyszedł po nią na stację, żeby nie stracić pół dnia roboty i płacy, jak powiedziała (o ile to były istotne racje). Znał już teraz Sue na tyle, że, jak sądził, pamięć o wrażliwości ich obojga na kryzysy uczuciowe mogłaby być dla niej uciążliwa w tym wypadku. Gdy wrócił do domu na obiad, Sue już zainstalowała się w swoim pokoju.

Mieszkała w tym samym domu co on, ale na innym piętrze i widywali się rzadko, spotykając się tylko czasami przy kolacji. Sue trochę przypominała zachowaniem przestraszone dziecko. Juda nie orientował się w jej uczuciach; rozmowy prowadzili jakby mechanicznie, a jednak Sue nie wyglądała blado ani nie była chora. Phillotson przychodził dość często, ale przeważnie pod nieobecność Judy. W dniu ślubu Juda zrobił sobie święto i rano, po raz pierwszy i ostatni w czasie tego osobliwego interludium, siadł z Sue do wspólnego

śniadania w bawialni, którą wynajął na czas jej pobytu. Sue krzątała się po pokoju, bo dzięki kobiecej intuicji zauważyła jego bezradność w sprawach gospodarskich.

– Co się stało, Judo? – zapytała nagle.

Z łokciami na stole i brodą opartą na dłoniach Judo patrzył w przyszłość, tak jakby była wypisana na obrusie.

– Och, nic!

– Grasz rolę „ojca”, pamiętaj! Tak nazywają mężczyznę, który oddaje oblubienicę oblubieńcowi.

Judo mógł być powiedzieć: „To Phillotsona wiek uprawnia do tej nazwy!”, ale nie chciał jej sprawiać przykrości takim tanim dowcipem.

Sue bez przerwy mówiła, jakby lękając się jego zamyślenia, i jeszcze przed końcem posiłku oboje żalowali, że okazali zbyt dużą pewność siebie w tym nowym układzie stosunków; trzeba było oddzielnie zjeść śniadanie. Judo gnębiło poczucie, że chociaż kiedyś sam uczynił podobnie zgubny krok, ułatwia go teraz ukochanej kobiecie i zachęca ją do niego, zamiast usilnie powstrzymać i ostrzegać. Miał już na końcu języka pytanie: „Czy naprawdę twoja decyzja jest nieodwołalna?”.

Po śniadaniu wyszli razem coś załatwić, powodowani jednakową myślą, że to ostatnia sposobność, aby nasycić się bezceremonialnym stosunkiem koleżeństwa. Wskutek ironii losu i osobliwego impulsu, aby w krytycznych chwilach kusić Opatrzność, Sue w drodze przez błotnistą ulicę ujęła ramię Judo, czego nigdy przedtem nie robiła. Za zakrętem znaleźli się tuż przy szarym kościele w stylu późnego angielskiego gotyku o nisko sklepionym dachu – był to kościół św. Tomasza.

– To w tym kościele – powiedział Judo.

– W tym kościele będzie mój ślub?

– Tak.

– Naprawdę?! – zawołała z ciekawością. – Chciałabym wejść do środka i zobaczyć, jak wygląda miejsce, gdzie wkrótce będę musiała uklęknąć i złożyć przysięgę.

Judo znowu pomyślał: „Ona nie zdaje sobie sprawy, czym jest małżeństwo!”.

Biernie zgodził się na jej życzenie i weszli do kościoła od

zachodniej strony. Jediną osobą wewnątrz posępnej budowli była babka kościelna zajęta sprzątaniami. Sue ciągle trzymała Judę pod ramię tak czule, jakby go kochała. Tego ranka odnosiła się do niego z okrutną zaiste słodyczą; ale myśl, że przyszłość zgotuje dla niej pokutę, łagodziła ból jego serca:

...Nie wiem, co poradzić,

Aby, gdy cios na ciebie spadnie, jak na mężczyzn spada,

Nie stał się zbyt ciężki na kobiece barki!

Przeszli spokojnie wzdłuż nawy ku balustradzie przed ołtarzem i tam stanęli w milczeniu. Potem zawrócili i przemierzili nawę z powrotem; jej ręka nadal spoczywała na jego ramieniu, tak jakby byli nowo zaślubioną parą. Epizod ten, aż nadto wymowny, a spowodowany wyłącznie przez Sue, nieomal załamał Judę.

– Lubię odgrywać takie sceny – odezwała się Sue wyrafinowanym tonem epikurejczyka w dziedzinie emocjonalnej, nie pozostawiając najmniejszej wątpliwości co do szczerości tego stwierdzenia.

– Wiem o tym! – powiedział Juda.

– To wypada interesująco, bo prawdopodobnie nikomu przedtem nie przyszedł do głowy taki pomysł. Za dwie godziny przejdę tak samo przez kościół z moim mężem, prawda?

– Z całą pewnością.

– Czy to podobnie wyglądało w czasie twojego ślubu?

– Boże wielki, Sue!... nie bądź tak strasznie bezlitosna...

Przepraszam, kochanie, nie chciałem cię urazić!

– Jaki ty jesteś rozdrażniony! – zawołała z żalem, mruganiem powiek usuwając napływające łzy. – A ja przecież obiecałam nigdy cię nie drażnić!... Pewnie nie powinnam była napraszać się, abyś mnie tutaj przyprowadził. O tak! Nie powinnam! Teraz dopiero to widzę. Moja pogoń za nowymi, niezwykłymi wrażeniami zawsze doprowadza do takich zgrzytów. Przepraszam!... Przebaczasz mi, Judo, prawda?

W prośbie tej brzmiała taka skrucha, że oczy Judy zwilgotniały jeszcze bardziej niż oczy Sue, gdy ścisnął jej rękę na zgodę.

– Teraz prędyutko stąd uciekniemy i już nigdy więcej tego nie zrobimy! – ciągnęła pokornie, gdy opuszczali kościół. Sue chciała pójść na dworzec, aby powitać Phillotsona, ale pierwszą osobą, jaką spotkali na głównej ulicy, był właśnie nauczyciel, który przyjechał wcześniejszym pociągiem, niż narzeczona przewidywała. Chociaż właściwie nic w tym nie było złego, że wspiera się na ramieniu kuzyna, Sue wysunęła zaraz rękę, a Judzie wydało się, że nauczyciel jest zdziwiony.

– Właśnie zrobiliśmy taką śmieszna rzecz – powiedziała Sue z prostodusznym uśmiechem. – Poszliśmy do kościoła na próbę... czyż nie, Judo?

– Jak to? – zaciekawił się Phillotson.

Juda w głębi duszy ubolewał nad tą, według niego niepotrzebną, szczerością. Ale Sue posunęła się już za daleko, aby nie wyjaśnić wszystkiego do końca, co też zrobiła, opowiadając, jak przez nawę przemaszerowała z Judą do ołtarza.

Widząc zdziwienie Phillotsona, Juda odezwał się z całą swobodą, na jaką mógł się zdobyć:

– Idę kupić jeszcze jeden mały podarek dla Sue. Chodźcie ze mną razem do sklepu, dobrze?

– Nie – rzekła Sue – pójdziemy do domu. – I polecając Judzie, aby długo nie bawił, odeszła z nauczycielem.

Juda wkrótce wrócił i zaraz potem zaczęli przygotowywać się do obrzędu. Phillotson wyszczotkował sobie włosy, aż go rozbolała głowa, a jego kołnierzyk nigdy nie był równie sztywny w ciągu minionych dwudziestu lat. Przy tym wszystkim nauczyciel robił wrażenie człowieka myślącego i pełnego godności, o którym bez ryzyka można powiedzieć, że będzie dobrym i troskliwym małżonkiem. Rzucało się w oczy jego uwielbienie dla Sue, z jej twarzy zaś nieomal wyzierało poczucie, że na to uwielbienie nie zasługuje.

Mimo nieznacznej odległości od kościoła Phillotson wynajął powozik z hotelu „Pod Czerwonym Lwem” i gdy wsiadali, przed drzwiami zebrała się gromadka kobiet i dzieci. Nauczyciela i Sue nikt tu

nie znał, ale Juda uchodził już za miejscowego obywatela, nowożeńców zaś uznano za jego krewnych przybyłych z daleka. Nikomu nie przyszło do głowy, że Sue tak niedawno była uczennicą tutejszego seminarium nauczycielskiego.

W powozie Juda wyjął z kieszeni dodatkowy ślubny podarek, parę jardów białego tiulu, który zarzucił na czepeczek Sue zamiast welonu.

– Dziwnie to wygląda na czepeczku – powiedziała. – Zdejmę czepeczek.

– O nie, nie zdejmuj – rzekł Phillotson. I posłuchała go.

Gdy przeszli przez nawę i stanęli na swoich miejscach, Juda stwierdził, że poprzednia bytność w kościele z pewnością osłabiła wrażenie, ale jednak w połowie nabożeństwa zaczął żałować, że podjął się roli „ojca” oddającego Sue oblubieńcowi. Jak Sue śmiała w ogóle go o to prosić? Było to okrucieństwo, które miało udreczyć zarówno ją samą, jak i jego. Kobiety inaczej reagują na takie sprawy niż mężczyźni. Czy może dlatego, że wbrew powszechnemu mniemaniu nie są bardziej wrażliwe, a mają grubszą skórę i mniej romantyczną duszę? A może jest w nich więcej bohaterstwa? Lub też może w Sue tkwiło po prostu tyle przewrotności, że świadomie zadawała ból i sobie, i jemu dla dziwnej i żalosalnej przyjemności pławienia się w długotrwałym cierpieniu i tkliwej litości nad nim po sprawieniu mu tego bólu. Juda widział nerwowe napięcie na jej twarzy i gdy wreszcie nadszedł najcięższy moment i oddał ją w posiadanie Phillotsona, Sue ledwie panowała nad sobą, ale może nie tyle z uwagi na siebie, ile wskutek świadomości, co musi odczuwać jej kuzyn, którego przecież mogłaby tu wcale nie ściągać. Kto wie, czy przy jej ogromnie chwiejnej naturze nie będzie ciągle zadawała takich cierpień, aby ciągle boleć nad tym, którego zraniła.

Phillotson nic z tego nie zauważył, jakby spowity mgłą, która nie pozwalała mu dostrzegać uczuć innych. Gdy złożyli podpisy i wyszli z kościoła, napięcie opadło i Juda poczuł ulgę.

Po skromnym śniadaniu w mieszkaniu Judy o godzinie drugiej nowożeńcy wyruszyli w drogę. Gdy Sue szła przez chodnik do powozu, spojrziała za siebie i w oczach jej pojawił się błysk lęku. Czyż to możliwe, że postąpiła tak szalenie nierozsądnie, pogrążając się w coś,

czego natury nie znała, po to tylko, aby zaznaczyć swą niezależność i zemścić się za jego przemilczenie? Może Sue dlatego okazywała taką przedsiębiorczość w stosunku do mężczyzn, że jak dziecko nie znała tej strony ich natury, która wyniszcza serca i życie kobiet.

Z nogą opartą na stopniach pojazdu, Sue odwróciła się, mówiąc, że czegoś zapomniała. Juda i gospodyni zaofiarowali pomoc.

– Nie – powiedziała, biegnąc z powrotem do domu. – To moja chusteczka. Wiem, gdzie ją zostawiłam.

Juda poszedł za nią. Sue znalazła chusteczkę i wróciła, trzymając ją w ręce. Spojrzała mu w oczy, sama zalana łzami, i nagle rozchyliła wargi, jakby chciała coś wyznać. Ale poszła dalej i to, co miała na myśli, pozostało niewypowiedziane.

VIII

Juda zastanawiał się, czy Sue rzeczywiście zgubiła chusteczkę, czy też raczej pod wpływem przygnębienia chciała mu wyznać miłość, na co ostatecznie nie potrafiła się zdobyć.

Gdy Phillotsonowie wyjechali, Juda nie był w stanie usiedzieć sam w pustym mieszkaniu i lękając się, że może go najść pokusa utopienia biedy w alkoholu, poszedł na górę, zmienił ciemne ubranie na białe, robocze, cienkie obuwie na grube i jak zwykle po południu udał się da pracy.

Ale w katedrze ciągle mu się zdawało, że słyszy za sobą jakiś głos, i opanowała go myśl, że Sue wróci. Nie mogła przecie odjechać z Phillotsonem do nowego domu. Uczucie to rosło i coraz bardziej go nękało. Gdy zegar wybił ostatnią godzinę dnia roboczego, Juda rzucił narzędzia i pośpieszył do siebie.

– Nikt do mnie nie przychodził? – zapytał.

Nie było nikogo.

Rozporządzał jeszcze bawialnią na dole aż do dwunastej w nocy i przesiedział tam cały wieczór. A nawet kiedy wybiła jedenasta

i gospodarze udali się na spoczynek, nie mógł jeszcze otrząsnąć się z wrażenia, że Sue wróci i będzie nocowała w pokoiku sąsiadującym z jego własnym, tak jak w ciągu kilkunastu minionych dni. Jej postępków nigdy nie można było przewidzieć: dlaczegoż by miała nie przyjść? Z radością zrobiłby ustępstwo i wyrzekł się jej jako kochanki i żony, aby tylko z nim mieszkała jako współlokatorka i towarzyszka, nawet z zachowaniem największego dystansu. Kolacja stała nieruszona na stole; Juda poszedł do drzwi frontowych, cicho je otworzył, a potem wrócił do pokoju i siedł w oczekiwaniu, tak jak ludzie czuwają w wigilię św. Jana, spodziewając się zjawy ukochanej istoty. Ale nikt się nie ukazał.

Pozwoliwszy sobie na taką szaleńczą nadzieję, Juda poszedł w końcu na górę i wyjrzał przez okno. Wyobrażał sobie Sue w trakcie wieczornej jazdy do Londynu, dokąd Phillotsonowie udali się w podróż poślubną. Widział ich, jak w wilgotną noc jadą do hotelu pod tym samym niebem poranym brzdami chmur, na które on teraz patrzył; na wskroś obłoków wyczuwało się położenie księżyca, choć nie widziało się jego kształtu, a parę większych gwiazd majaczyło jedynie jak wyraźna mgławica. Zaczynał się nowy rozdział w historii życia Sue. Juda wybiegł myślą w przyszłość i zobaczył ją otoczoną dziećmi mniej lub więcej do niej podobnymi. Ale tak jak wszystkim marzycielom jego typu, nie dana mu była pociecha, że spojrzy na te dzieci jak na przedłużenie jej istnienia, bo uparta natura nie pozwala na potomstwo pochodzące od jednego tylko rodzica. Wartość każdej upragnionej odnowy życia obniża fakt, że w połowie ma ona obcą domieszkę. „Jaką ulgą byłoby móc spojrzeć na jej dziecko – wyłącznie jej dziecko – w razie rozstania czy śmierci mojej utraconej miłości!” – powiedział sobie Juda. A potem znowu uderzyła go boleśnie, jak to się coraz częściej działo w ostatnich czasach, pogarda natury dla subtelniejszych uczuć człowieka i jej brak zainteresowania ludzkimi dążeniami.

Przytłaczająca siła uczucia do Sue jeszcze wyraźniej wystąpiła nazajutrz i w ciągu dni następnych. Juda nie mógł dłużej znieść światła latarni w Melchester; blask słońca wydawał mu się posępny, a niebieskie niebo przypominało barwą cynk. Wtedy właśnie otrzymał wiadomość, że stara ciotka w Marygreen jest poważnie chora, a prawie jednocześnie

dostał list od dawnego pracodawcy w Christminster z propozycją stałej i dobrej roboty, jeśli tylko zechce tam wrócić. Listy przyniosły mu ulgę. Najpierw wybrał się do ciotki Drusilli z zamiarem udania się stamtąd do Christminster i sprawdzenia, ile jest warta propozycja budowniczego.

Zastał ciotkę w gorszym stanie, niż spodziewał się na podstawie listu wdowy Edlin. Staruszka mogła jeszcze wlec żywot przez tygodnie czy nawet miesiące, ale niezbyt to było prawdopodobne. Juda napisał do Sue, donosząc jej o stanie zdrowia ciotki i pytając, czy nie zechciałaby zobaczyć starej krewnej jeszcze raz przed śmiercią. Proponował spotkanie na stacji w Alfredston Road następnego dnia wieczorem, to znaczy w poniedziałek, gdy będzie wracał z Christminster, jeśli Sue przyjechała pociągiem idącym w stronę miasta i mijającym się na tej właśnie stacji z jego pociągiem idącym z miasta. Następnego ranka pojechał do Christminster, zamierzając wrócić do Alfredston na tyle wcześniej, aby zdążyć na umówione spotkanie z Sue.

Gród nauki wydał mu się obcy; Juda stracił zainteresowanie dla wszystkiego, co miało z nim jakiś związek. A jednak, gdy słońce uwydatniło światła i cienie kwaterowych fasad i rzuciło kontury popękanych zwieńczeń na świeżą trawę dziedzińców, pomyślał sobie, że nigdy miasto nie wyglądało piękniej. Doszedł do ulicy, gdzie po raz pierwszy zobaczył Sue. Krzesło, puste, stało dokładnie w tym samym miejscu co wtedy, gdy dziewczęca postać, pochylona nad zwojami kościelnych pergaminów, z pędzelkiem ze szczeciny w ręce, przyciągnęła jego pytające spojrzenie. Tak jakby Sue umarła i nie zdołano znaleźć nikogo, kto by ją zastąpił w tej artystycznej robocie. Zjawą miasta była teraz ona, a duchy uczonych i świętobliwych mężów, które niegdyś tak przemawiały do jego uczuć, teraz już nie mogły narzucić mu swej obecności.

Tak czy inaczej Juda znajdował się znowu w Christminster; według powziętego planu poszedł do swego dawnego mieszkania w dzielnicy Beersheba, tuż koło kościoła św. Silasa. Wpuściła go dawna gospodyni i wydała się zadowolona z jego przybycia. Przyniosła przekąskę i objaśniła, że budowniczy, dawny pracodawca Judy, dowiadywał się u niej o jego adres.

Juda udał się więc do warsztatu kamieniarskiego, gdzie kiedyś

pracował. Ale stare szopy i ławy do obróbki kamienia wydały mu się obmierzłe. Czuł, że nie potrafi zdobyć się na powrót i pobyt w miejscu rozwianych marzeń. Wyczekiwał z utęsknieniem godziny powrotnego pociągu do Alfredston, gdzie przypuszczalnie spotka Sue.

A potem, w ciągu koszmarnej półgodzinnej depresji wywołanej wspomnieniami, naszło go znowu to poczucie, które już nieraz przynosiło mu zgubę: że niewart jest cudzej czy swojej własnej troski. I w ciągu tej właśnie pół godziny spotkał blacharza Taylora, zbankrutowanego handlarza towarami żelaznymi z Fourways, który zaproponował, aby pójść do baru i razem się napić. Ruszyli przed siebie, aż stanęli przed jednym z wielkich pulsujących ośrodków tutejszego życia. Była to ta sama knajpa, w której Juda ongiś przyjął wyzwanie i wygłosił Skład Apostolski po łacinie. Od czasu jego wyjazdu z miasta knajpa stała się uczęszczaną restauracją z szerokim i zachęcającym wejściem do baru całkowicie odświeżonego i urządzonego nowocześnie.

Blacharz Taylor wychylił swój kieliszek i odszedł, twierdząc, że lokal wygląda teraz zbyt modnie, aby on mógł się tutaj czuć swojsko, chyba że spiłby się solidniej, niż mu na to pozwalały obecne fundusze. Juda pił wolniej i stał sam w pustej na razie sali, snując swoje myśli. Z baru usunięto stare meble i urządzono go zupełnie na nowo; mahoniowe przegrody zastąpiły dawne, z malowanego drewna, a w głębi wolnej przestrzeni ustawiono miękkie kanapki. Według przyjętego zwyczaju salę podzielono na łoże o ścianach z matowego szkła w mahoniowych ramach, żeby pijacy w jednej łoży nie byli narażeni na wstyd przy konfrontacji z pijakami z sąsiedniej. Za ladą dwie dziewczyny stały pochylone nad automatem do piwa o białych rączkach i nad rzędem małych posrebrzanych kurków, skąd piwo ściekało do dzbanków.

Juda poczuł zmęczenie, a że nie miał już nic do załatwienia przed odjazdem pociągu, siadł na kanapce. W głębi, za dziewczynami w barze, na tle luster biegły szklane półki, a na nich rząd kosztownych trunków – Juda nawet nie znał ich nazw – w butelkach koloru topazów, szafirów, rubinów i ametystów. Wkrótce nastrój się ożywił, bo do sąsiedniej łoży weszło paru gości i wprawiono w ruch maszynę do przyjmowania pieniędzy stukającą za każdym razem, kiedy wrzucano do niej monetę.

Kelnerki obsługującej klientów tej łoży Juda nie mógł widzieć bezpośrednio, ale od czasu do czasu spostrzegał w lustrze jej odbicie z tyłu. Ledwie na to zwrócił uwagę, ale w pewnej chwili dziewczyna na sekundę odwróciła się twarzą do lustra, aby poprawić włosy. I wtedy ze zdumieniem zobaczył, że była to twarz Arabelli.

Byłaby go zobaczyła, gdyby przyszła do łoży, w której siedział. Ale nie przyszła, bo tu obsługiwała inna kelnerka. Abby była w czarnej sukience z białymi płóciennymi mankietami i z szerokim białym kołnierzem, a na piersiach, z lewej strony, przypięła bukietik narcyzów, co jeszcze bardziej podkreślało jej figurę, pełniejszą niż dawniej. W łoży, którą obsługiwała, stało platerowane naczynie z wodą nad lampką spirytusową; jej niebieski płomień wzniecał kłęb pary u góry, ale wszystko to Juda widział tylko w lustrze za Arabellą, gdzie odbijały się również twarze mężczyzn, którym obsługiwała. Jeden z nich, przystojny chłopak o hulaszczym wyglądem, może student, opowiadał jej właśnie jakieś zabawne zdarzenie.

– O, panie Cockman, co też pan! Jakże można opowiadać coś podobnego takiej niewinnej dziewczynie jak ja! – zawołała wesoło Arabella. – Ale co to trzeba robić, panie Cockman, aby wąż tak się pięknie zakręcał jak u pana?

Pytanie to wywołało ogólny śmiech z młodzieńca, ponieważ miał zupełnie gładkie policzki.

– No, no! – powiedział. – Podaj mi curaçao i ognia.

Arabella nalała mu likieru z ładnej butelki i zapaliwszy zapałkę, przytknęła do jego papierosa ze swawolną usłużnością, a on zaciągnął się dymem.

– Jakże tam? – zapytał. – Miałaś ostatnio wiadomości od męża?

– Ani słóweczka – odparła.

– Gdzież on jest?

– Zostawiłam go w Australii i przypuszczam, że jest tam nadal.

Juda szerzej otworzył oczy.

– Czemu się z nim rozstałaś?

– Nie trzeba pytać, to się nie usłyszy kłamstwa.

– Wydadź mi resztę w takim razie, czekam na próżno od kwadransa; już najwyższy czas, abym się romantycznie rozwiął na ulicach tego

malowniczego miasta.

Podawała mu resztę przez ladę, a on schwycił jej palce i przytrzymał. Trochę przy tym było szamotania i chichotów, ale w końcu młodzian pożegnał się i wyszedł.

Juda przyglądał się temu okiem osłupiałego filozofa. Zdumiewało go, jak niezmiernie daleko odeszła Arabella od jego życia. Nie mógł sobie uprzytomnić ich formalnej bliskości. I w tym nastroju fakt, że Arabella była przecież jego żoną, był mu zupełnie obojętny.

Loża, którą obsługiwała, opustoszała, więc po chwili namysłu Juda zajął ją, a potem podszedł do lady. Przez moment Arabella go nie poznawała. Ale wkrótce oczy ich się spotkały. Drgnęła, ale zaraz wesoła bezczelność zabłysła w jej spojrzeniu i odezwała się pierwsza:

– A to dopiero! Myślałam, że już od dawna ziemię gryziesz!

– Tak?

– Nie miałam od ciebie żadnej wiadomości i żeby nie to, kto wie, czy byłabym wróciła. Ale mniejsza z tym! Czym mogę ci służyć? Wódka z wodą sodową? Proszę bardzo, ze względu na starą znajomość masz do dyspozycji wszystko, czym rozporządza ten lokal!

– Dziękuję, Arabello – rzekł Juda bez cienia uśmiechu. – Nic nie chcę poza tym, co już wypilem.

Niespodziewana obecność Arabelli za jednym zamachem zabiła w nim chwilową ochotę na wódkę, i to tak całkowicie, jakby powrócił do czasów niemowlęctwa.

– Szkoda, mógłbyś się teraz napić za darmo.

– Jak długo już tu jesteś?

– Około sześciu tygodni. A wróciłam z Sydney przed trzema miesiącami. Jak wiesz, zawsze lubiłam taką robotę.

– Dziwię się, że wróciłaś właśnie tutaj!

– Jak powiadam, sądziłam, że zostałeś powołany do chwały boskiej, a będąc w Londynie, trafiłam na ogłoszenie o tej posadzie. Liczyłam, że nikt mnie tu nie pozna, nawet gdyby mi na tym zależało, bo odkąd dorosłam, nigdy nie byłam w Christminster.

– Dlaczego wróciłaś z Australii?

– Ach, miałam swoje powody... A więc nie jesteś jeszcze „donem”?

– Nie.

– Ani nawet wielebnym pastorem?

– Nie.

– Ani nawet dość wielebnym dżentelmenem o niereligijnych poglądach?

– Jestem tym, kim byłem.

– Prawda... na to wyglądasz.

Mierząc go krytycznym spojrzeniem, oparła niedbale rękę na korbie automatu. Juda zauważył, że miała teraz drobniejsze i bielsze ręce niż za czasów ich wspólnego pożycia, a na dłoni, która poruszała korbę, widniała ozdobna obrączka wysadzana tak jakby prawdziwymi szafirami – były w istocie prawdziwe i ogromnie podziwiane przez młodych ludzi, bywalców baru.

– A więc uchodzisz za osobę, której mąż żyje – ciągnął Juda.

– A tak. Wydawało mi się, że będzie niezręcznie, jeśli podam się za wdowę, jak na to zresztą miałam ochotę.

– Słusznie. Trochę mnie tutaj znają.

– Nie miałam na myśli tego względu, bo jak już powiedziałam, nie sądziłam, że cię tu spotkam. Miałam inne powody.

– Cóż to za powody?

– Nie chcę się w to wgłębiać – rzekła wymijająco. – Doskonale zarabiam i nie zależy mi na twoim towarzystwie.

W tej chwili podszedł chłopczyna pozbawiony brody, a za to z wąsikami w kształcie brwi kobiecych; zażądał osobliwej mieszanki trunków i Arabella musiała go obsłużyć.

– Nie możemy tutaj rozmawiać – powiedziała do Judy, wracając na chwilę. – Czy mógłbyś poczekać do dziewiątej? Powiedz „tak” i nie bądź głupi. Jeśli poproszę, zwolnią mnie o dwie godziny wcześniej. Mieszkam gdzie indziej.

Juda zastanowił się i powiedział posępnie:

– Dobrze, wrócę. Powinniśmy te sprawy jakoś załatwić.

– Co tam załatwiać! Nie mam zamiaru nic załatwiać!

– Ale ja chcę się paru rzeczy dowiedzieć, a jak powiadasz, tutaj nie możemy rozmawiać. Dobrze więc, przyjdę po ciebie.

Postawił niedopity kieliszek, wyszedł i chodził tam i z powrotem

po ulicy. Oto był tęgi cios wymierzony w czysty sentymentalizm jego smętnego przywiązania do Sue. Chociaż to, co mówiła Arabella, absolutnie nie zasługiwało na wiarę, odniósł wrażenie, że trochę prawdy mogła zawierać jej wzmianka, jakoby nie miała zamiaru go niepokoić, bo rzeczywiście uważała go za zmarłego. W każdym razie pozostawała mu tylko jedna alternatywa, to znaczy postąpić rzetelnie, jako że prawo było prawem i w oczach kościoła ta kobieta stanowiła z nim jedno, chociaż mniej mieli ze sobą wspólnego niż słońce z księżycem.

Skoro miał tu czekać na Arbellę, nie sposób było spotkać się z Sue w Alfredston zgodnie z daną obietnicą. Na każdą myśl o tym przenikał go ból, ale nie dało się przewyciężyć okoliczności. Arabella stanowiła może celową interwencję, aby go ukarać za tamtą, niedozwoloną, miłość. Wieczór minął mu więc na jałowym czekaniu i włóczędze po mieście, z dala wszakże od krużganków i kolegów, bo nie mógł dziś znieść ich widoku. Wreszcie wrócił do baru, w chwili gdy Wielki Dzwon na Kolegium Kardynała wybijał swoje sto i jeden uderzeń. Ten zbieg okoliczności wydał mu się zresztą niezasłużoną ironią. Restauracja była teraz rzęsiście oświetlona i panował w niej większy ruch i wesołość. Twarze dziewczyn usługujących w barze nabrały kolorów i każda miała różowe plamy na policzkach. Zachowanie ich zdradzało teraz większą żywość i swobodę, większe podniecenie i zmysłowość. Mniej pretensjonalnie wyrażały swe uczucia i życzenia, a śmiały się z afektacją i bez miary.

W ciągu tej minionej godziny w barze tłoczyli się mężczyźni różnego autoramentu. Juda z zewnątrz mógł słyszeć gwar ich głosów. Ale w końcu klientela stopniała. Dał znak Arabelli i powiedział, że czeka na nią przed wejściem.

– Ale najpierw musisz się czegoś ze mną napić – powiedziała rozbawiona. – Taki jeden kieliszeczek przed spaniem. Zawsze to robię. A potem wyjdiesz i poczekaasz chwilę, bo lepiej, żeby nas nie widziano razem.

Nalała wódki do dwóch kieliszków i ze swoim szybko się załatwiła, chociaż, sądząc z wyglądu, wchłonęła już dosyć alkoholu czy to pijąc go, czy może raczej wdychając przez tyle godzin wraz z powietrzem. Juda także wypił swoją porcję i wyszedł przed dom.

Arabella zjawiała się po paru minutach w ciepłym żakiecie i kapeluszu z czarnym piórem.

– Mieszkam tuż obok – powiedziała, biorąc Judę pod rękę – i o każdej porze mogę wrócić do domu, bo mam klucz od zatrzasku. Jakie sprawy chciałbyś ze mną omówić?

– O, nic specjalnego – odparł zupełnie wyczerpany i zmęczony, myślą odbiegając znowu do Alfredston i pociągu, którym nie pojechał, do rozczarowania, jakiego prawdopodobnie doznała Sue, gdy się nie zjawił, i do utraconej przyjemności jej towarzystwa w ciągu długiej wędrówki przy świetle gwiazd przez odludne wzgórza w kierunku Marygreen.

– Właściwie powinienem był pojechać. Ciotka jest umierająca.

– Pójdę tam z tobą jutro rano. Chyba uda mi się dostać wolny dzień.

Było coś specjalnie niemiłego w samej myśli, że Arabella, która tyleż dbała o jego krewnych czy o niego samego co dzikie zwierzę, mogła zjawić się przy śmiertelnym łożu ciotki i spotkać tam Sue.

Pomimo to Juda powiedział:

– Owszem, mogłabyś, jeśli chcesz.

– Namyślimy się jeszcze... Ale dopóki nie postanowimy czegoś, niezręcznie jest pokazywać się razem tutaj, gdzie ciebie znają, a mnie zaczynają znać, chociaż nawet i bez podejrzenia, że coś nas łączy. A skoro już idziemy w stronę stacji, może byśmy pojechali do Aldbrickham pociągiem o dziewiątej czterdzieści? Najdalej za pół godziny będziemy na miejscu, nikt nas tam nie zna i będziemy mogli robić, co nam się spodoba, zanim nie postanowimy, czy coś podać do wiadomości publicznej, czy nie.

– Jak chcesz.

– To poczekaj, a ja zabiorę ze sobą parę drobiazgów. Patrz, tutaj mieszkam. Czasami, gdy się robi bardzo późno, nocuję w hotelu, tam gdzie pracuję, więc nikt nie zwróci uwagi, że nie ma mnie w domu.

Szybko wróciła, a potem poszli na stację i po półgodzinie znaleźli się w Aldbrickham, gdzie wstąpili do trzeciorzędnej zajazdu blisko dworca w sam czas na późną kolację.

IX

Nazajutrz, między dziewiątą a wpół do dziesiątej, jechali z powrotem do Christminster; w przedziale trzeciej klasy nikogo więcej nie było. Po toalecie, którą tak jak i Juda zrobiła pośpiesznie, aby nie spóźnić się na pociąg, Arabella wyglądała trochę nieświeżo i twarz jej nie zdradzała takiego ożywienia jak poprzedniego wieczoru w barze. Gdy opuścili dworzec, okazało się, że ma ona jeszcze wolne pół godziny przed rozpoczęciem pracy. W milczeniu poszli kawałek za miasto w kierunku Alfredston. Juda wpatrywał się w dal gościńca.

– Biada mnie słabemu! – szepnął w końcu.

– Co? – zapytała Arabella.

– To jest właśnie droga, którą przed laty przyszedłem do Christminster z głową pełną projektów!

– Droga drogą, ale na mnie już czas. Powinnam być w barze o jedenastej. A że nie mam zamiaru poprosić o wolny dzień, żeby pójść z tobą do ciotki, lepiej będzie tu się pożegnać. Wolałabym nie pokazywać się z tobą na głównej ulicy, skoro nie doszliśmy do żadnego porozumienia.

– Dobrze. Ale wspominałaś dzisiaj rano, kiedy wstawaliśmy, że chciałybyś mi coś powiedzieć, zanim się rozstaniemy.

– Owszem, chciałabym, i to nawet dwie rzeczy. Ale odmówiłaś mi obietnicy, że to zachowasz przy sobie. Powiem ci teraz, jeśli obiecasz! Jestem uczciwą kobietą i chcę, żebyś o tym wiedział... To właśnie zaczęłam ci opowiadać w nocy... o tym panu, który prowadził hotel w Sydney. – Arabella, jak na siebie, mówiła z pewnym zdenerwowaniem. – Ale zachowasz to przy sobie?

– Tak, tak, obiecuję ci! – powiedział Juda niecierpliwie. – Przecież nie będę zdradzał twoich sekretów.

– Ile razy z nim wychodziłam, mówił, że mu się bardzo podobam, i nalegał, abym go poślubiła. Wcale nie myślałam o powrocie do Anglii; a że byłam w obcym kraju, w Australii, i bez własnego domu, odkąd

wyprowadziłam się od ojca, zgodziłam się wreszcie i wyszłam za męża.

– Jak to? Wyszłaś za niego?

– Tak.

– Oficjalnie... legalnie... w kościele?

– Tak. I żyłam z nim prawie do chwili wyjazdu. Źle zrobiłam, wiem, ale stało się. No widzisz, powiedziałam ci wszystko. Nie gań mnie! A teraz ten biedny chłopak pisze, że wróci do Anglii. Ale gdy przyjedzie, na pewno mnie nie znajdzie.

Juda stanął, blady, jak skamieniały.

– Dlaczego, u diabła, nie powiedziałaś mi tego wczoraj?! – zawołał.

– No więc nie powiedziałam... Nie chcesz pogodzić się ze mną?

– To znaczy, że kiedy wspominałaś temu jegomościowi w barze o „swoim mężu”, miałaś, oczywiście, na myśli jego, a nie mnie!

– Oczywiście... No, no, nie irytuj się.

– Nic już nie mam więcej do powiedzenia! – odparł Juda. – Nie mam już nic do powiedzenia o... o przestępstwie, do którego się przyznałaś!

– Przestępstwo? Phi! Tam nikt się takimi rzeczami nie przejmuje! Mnóstwo ludzi to robi... Jeśli tak się do tego odnosisz, to wrócę do niego! On był bardzo do mnie przywiązany i żyliśmy zupełnie przyzwoicie, tak jak każda legalnie poślubiona para w koloniach! Skąd mogłam wiedzieć, co się z tobą dzieje?

– Nie będę cię ganił. Mógłbym powiedzieć coś więcej, ale byłoby to może nie na miejscu. Co chcesz, żebym teraz zrobił?

– Nic. Chciałam ci powiedzieć jeszcze coś, ale chyba mamy już dosyć siebie. Zastanowię się nad tym, co mi mówiłeś o warunkach, w jakich się znajdujesz, i dam ci znać.

I tak się rozstali. Juda śledził ją wzrokiem, aż zniknęła, kierując się w stronę hotelu, i wtedy udał się na pobliską stację. Ale do odjazdu pociągu do Alfredston pozostawało jeszcze trzy kwadransy, więc machinalnie poszedł na miasto, aż do Fourways, i tam stanął, tak jak nieraz stawał w dawnych czasach, patrząc na biegnącą przed nim ulicę Główną, na kolegia wznoszące się tu obok siebie. Malowniczości tej dorównywały może takie widoki na kontynencie jak ulica pałaców

w Genui; kontury budowli rysowały się w porannym powietrzu tak czysto jak na rysunku architektonicznym. Ale Judzie nie w głowie była obserwacja tych rzeczy czy ich ocena; usuwała je w cień niejasna świadomość zbliżenia z Arabellą w ciągu minionej nocy, poczucie własnego upadku na myśl o wznowionych stosunkach z nią, o jej ciele, gdy leżała uśpiona o świcie. Na jego zastygłej w bezruchu twarzy wspomnienie to wywoływało wyraz nienawiści. Gdyby czuł do niej jedynie urazę, byłby mniej nieszczęśliwy, ale przy całej pogardzie również się nad nią litował.

Zawrócił tam, skąd przyszedł. W pobliżu dworca drgnął na dźwięk swego imienia; nie tyle zdumiało go samo imię, co brzmienie głosu, który je wymówił. Ku swemu zdziwieniu ujrzał przed sobą Sue, jak wizję, ze złowróżbnym i niespokojnym wyrazem, jakby we śnie, z drżącymi nerwowo usteczkami i oczami zadającymi pełne napięcia i wyrzutu pytanie.

– O, Juda, jakże się cieszę, że cię spotkałam! – powiedziała szybko rwącym się głosem, bliskim szlochowi. A potem zarumieniła się, czytając w jego oczach myśl, że spotykają się przecież po raz pierwszy od dnia jej ślubu.

Odwracali od siebie wzrok, aby ukryć wzruszenie, w milczeniu wzięli się za ręce i szli razem przez chwilę, aż wreszcie Sue spojrzała na Judę z tajoną troską.

– Wysiadłam wczoraj wieczorem na stacji w Alfredston, tak jak chciałeś, ale nikt na mnie nie czekał! Poszłam więc sama do Marygreen, gdzie powiedzieli mi, że ciotce trochę lepiej. Siedziałam przy niej, ale gdy nie pokazałeś się przez całą noc, ogarnął mnie niepokój. Przyszło mi do głowy, że trafiwszy z powrotem do Christminster, zdenerwujesz się może, myśląc o... o moim małżeństwie... o tym, że już tam mnie nie ma tak jak dawniej. I że, nie mając do kogo ust otworzyć, spróbujesz utopić swój smutek tak jak kiedyś, po utracie nadziei wstąpienia na uniwersytet. Zapomniałeś pewnie, pomyślałam, o danej mi obietnicy, że nigdy więcej już tego nie zrobisz. I sądziłam, że dlatego nie stawiałeś się na spotkanie!

– A więc przyjechałaś mnie odszukać i ocalić jak dobry anioł stróż!

– Obmyślałam sobie, że przyjadę rannym pociągiem i postaram się ciebie znaleźć, jeżeli... jeżeli...

– Ja ciągle pamiętam o tej obietnicy, kochana moja! Nigdy już jej nie złamię, na pewno. Mogłem popełnić coś wiele gorszego, ale właśnie tamtego nie zrobiłem – na samą myśl wstręt mnie ogarnia.

– Cieszę się, że nie miałeś nic wspólnego z tamtą rzeczą. Ale – dodała z lekkim dąsem w głosie – nie przyjechałeś po mnie wczoraj, tak jak obiecałeś!

– To prawda, i bardzo mi przykro. Musiałem się z kimś spotkać o dziewiątej i zrobiło się za późno, aby złapać pociąg, który by trafił na twój, i w ogóle aby wrócić do domu.

Gdy patrzył teraz na swoją ukochaną, którą w serdecznych myślach uważał za najśłodsza i najbardziej bezinteresowną towarzyszkę, za istotę przebywającą w świecie żywej wyobraźni, a tak eteryczną, że drżący duch przezierał przez jej ciało, Juda poczuł szczerą skruchę za tamte godziny spędzone po ziemsku w towarzystwie Arabelli. Było coś gruboskórnego i niemoralnego narzucać się po tych świeżych przeżyciach kobiecie tak w jego mniemaniu bezcielesnej, że chwilami zdawało się niemożliwe, aby była żoną zwykłego mężczyzny. A jednak była żoną Phillotsona. Gdy patrzył na nią dzisiaj, nie miał pojęcia, jak do tego doszło, jak Sue mogła istnieć w tej roli.

– Pojedziesz ze mną z powrotem? – zapytał. – Zaraz będziemy mieli pociąg. Ciekaw jestem, jak się ciotka miewa... Powiedz, Sue, rzeczywiście przyjechałaś aż tutaj dla mnie? Jakże wcześniej musiałaś się zerwać, moje biedactwo!

– Tak. Kiedy czuwałam sama jedna, skoncentrowałam się wszystkimi nerwami na tobie, a potem zamiast pójść spać wyruszyłam w drogę, gdy tylko się rozwidniło. Już mi nigdy nie napędzisz nadaremnie tyle strachu o twoją moralność, co?

Juda nie był zupełnie pewny, czy obawa o jego moralność była nadaremna. Pieścił rękę Sue aż do chwili, kiedy weszli do wagonu – a wydało mu się, że to ten sam wagon, z którego dopiero co wysiadł z inną. Siedli koło siebie, Sue między nim a oknem. Juda wpatrywał się w delikatny kontur jej profilu i małe, jędrne, do jabłek podobne wypukłości pod jej stanikiem, tak inne od pełnych kształtów Arabelli. Chociaż Sue czuła na sobie jego spojrzenie, nie zwróciła się ku niemu, ale ciągle patrzyła prosto przed siebie jakby w obawie, że jeśli spotkają

się ich oczy, wyniknie z tego jakaś kłopotliwa sytuacja.

– Sue – powiedział – jesteś teraz zamężna, tak jak ja jestem żonaty, a jednak w tym pośpiechu nie powiedzieliśmy ani słowa na ten temat.

– Nie ma potrzeby o tym mówić – odparła szybko.

– Może i nie... Ale chciałbym...

– Juda... nie mówmy o mnie... bardzo cię proszę! – powiedziała błagalnie. – Sprawia mi to przykrość. Przepraszam, że to mówię!...

Gdzie nocowałeś wczoraj?

Zadała to pytanie zupełnie niewinnie, żeby zmienić temat rozmowy. Wiedział o tym i odparł krótko:

– W hotelu – chociaż ulgą byłoby opowiedzieć jej o spotkaniu z osobą, której widoku wcale nie oczekiwał. Ale zmieszał się, przypomniawszy sobie końcowe wyznanie Arabelli o jej australijskim małżeństwie, w obawie że to, co powie, może zaszkodzić jego lekkomyślnej żonie.

Rozmowa toczyła się dalej, wszakże z mniejszą swobodą, aż do Alfredston. Ile razy Juda chciał zwierzyć się Sue, jak bliskiemu człowiekowi, paraliżowała go świadomość, że ona już nie jest tą samą Sue, bo nosi na sobie etykietę „Phillotson”. A jednak – nie wiedział czemu – wydawała mu się niezmienną. Mieli jeszcze przed sobą pięćdziesięcioletni odcinek drogi, przeważnie pod górę, więc tyle samo czasu zabierało przejście go piechotą co jazda końmi. Juda nigdy przedtem nie był tutaj z Sue, natomiast w swoim czasie chodził tędy z inną kobietą. Zdawało mu się teraz, że pada na niego jasny promień, który chwilowo usuwa mroczne skojarzenia z dawniejszym okresem życia.

Sue nie przestawała mówić, ale Juda zauważył, że ciągle unika osobistych tematów. Wreszcie zapytał, jak się miewa jej mąż.

– Dobrze – odparła. – Byłby przyjechał ze mną, ale cały dzień ma zajęty lekcjami. Jest dla mnie tak dobry i miły, że aby mi towarzyszyć, byłby zwolnił uczniów, nawet wbrew swoim zasadom, bo surowo potępia okolicznościowe wakacje. Ale nie pozwoliłam mu. Czułam, że lepiej będzie, gdy przyjadę sama. Ciotka Drusilla, jak ją pamiętam, to wielkie dziwadło, a że on prawie jej nie zna, mogłaby się wytworzyć sytuacja nieprzyjemna dla nich obojga. I ostatecznie jestem zadowolona, że nie przyjechał, bo jak się okazało, ciotka jest prawie nieprzytomna.

Podczas tej pochwały Phillotsona Juda kroczył w posępnym nastroju.

– Pan Phillotson uwzględnia wszystkie twoje życzenia, tak zresztą, jak powinien – odezwał się w końcu.

– Naturalnie.

– Powinnaś być szczęśliwą żoną.

– I jestem nią, oczywiście.

– O mało nie powiedziałem „narzeczoną”. Tak niedawno oddawałem cię jemu w kościele.

– No tak, tak!

W wyrazie jej twarzy było coś, co zadawało kłam poprzednim zapewnieniom, tak konwencjonalnym i wygłoszonym tak beznamyślnie, jakby je zaczerpnęła ze wzorów *Przewodnika dobrych manier dla mężatek*. Znając ton każdego brzmienia w jej głosie i umiejąc odczytać każdy przejaw jej stanu psychicznego, Juda nabrał przekonania, że Sue jest nieszczęśliwa, choć nie upłynął nawet miesiąc od ślubu. Wprawdzie pośpiech, z jakim opuściła dom, aby zobaczyć przed śmiercią krewną, którą ledwie знаła, nie dowodził niczego, bo w naturze Sue leżały takie postęпки.

– W każdym razie życzę pani Phillotson wszystkiego, co najlepsze. Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nie, nie jesteś panią Phillotson – szepnął Juda. – Jesteś najmilszą, wolną Sue Bridehead, tylko że sama o tym nie wiesz. Małżeństwo jeszcze cię nie zmiażdżyło i nie strawiło w swym przepastnym żołądku jak jakiegoś atomu, który zatracił już swoją odrębność.

Sue zrobiła obrażoną minę i w końcu odparła:

– O ile mogę sądzić, żeniaczka nie działała tego również i u ciebie!

– Niestety, działała! – powiedział, ze smutkiem kiwając głową.

Doszli do samotnej chaty pod świerkami, pomiędzy Brown House a Marygreen, gdzie Juda mieszkał i poróżnił się z Arabellą; stanął teraz, aby spojrzeć na dom – mieszkała tu teraz jakaś rodzina nędzarzy. Mimo woli powiedział do Sue:

– To jest dom, w którym mieszkałem z żoną w ciągu całego okresu naszego pożycia. Tutaj ją przywiozłem z kościoła.

Sue spojrzała na chatę.

– Ten dom był dla ciebie tym, czym dla mnie jest szkoła w Shaston.

– Tak, ale ja nie zaznałem tu szczęścia, a ty jesteś tam szczęśliwa.

Sue zacisnęła usta w milczeniu, które stanowiło odpowiedź, i uszli znowu kawałek, zanim spojrzała na Judę, aby sprawdzić, jak on przyjął to wyznanie.

– Może zresztą przesadziłem rozmiary twego szczęścia, z tym nigdy nie wiadomo – ciągnął obojętnym tonem.

– Nie sądź tak nawet przez sekundę, nawet jeśli powiedziałeś to, aby mi dokuczyć. On jest dla mnie tak dobry, jak tylko jeden człowiek może być dobry dla drugiego; pozostawia mi zupełną swobodę, czego na ogół nie robią podstarzali mężowie... Mylisz się, jeśli sądzisz, że nie jestem szczęśliwa, dlatego że on jest dla mnie za stary.

– Nic o nim nie myślę złego... przy tobie, kochanie.

– I nie będziesz mówił rzeczy, które mi sprawiają przykrość?

– Nie, nie będę.

Juda nie odezwał się więcej, ale już wiedział, że wychodząc za mąż za Phillotsona, Sue czuła z takiej czy innej racji, że postąpiła nie tak, jak powinna była postąpić.

Zeszli na leżące w kotlinie pole, za którym wznosiła się wieś; na tym polu przed laty Juda dostał lanie od farmera. Gdy wspięli się pod górę do wsi i zbliżyli do domu ciotki, zastali na progu panią Edlin, która na ich widok uniosła ręce ruchem wyrażającym naganę.

– Zeszła na dół, wyobraźcie sobie! – zawołała wdowa. – Wydostała się z łóżka i nie było sposobu jej zawrócić. Sama już nie wiem, co z tego wyniknie!

I rzeczywiście, wszedłszy do domu, zobaczyli przy kominku staruszkę otuloną kołdrami, zwróconą ku nim z wyrazem Łazarza na obrazie Sebastiana[19]. Nie mogli ukryć zdumienia, bo ciotka odezwała się stłumionym głosem:

– Nastraszyłam was, co? Nie chciałam tam dłużej siedzieć, czy się to komuś podoba, czy nie! Ścierpieć już tego nie można, aby byle kto tak się tutaj rządził: a zrób to, a zrób tamto... A ty – dodała, zwracając się do Sue – będziesz żałowała tego małżeństwa tak jak i on! Każdy

w naszej rodzinie żałuje, a prawie każdy w innych rodzinach. Powinnaś zrobić tak jak ja, ty gąsko! I jeszcze kogo sobie wybrała: nauczyciela Phillotsona! Dlaczego za niego wyszłaś?

– A dlaczego większość kobiet wychodzi za mąż, ciociu?

– Ach! Czy chcesz przez to powiedzieć, że kochasz tego człowieka!

– Nic przez to nie chcę powiedzieć.

– Więc kochasz go?

– Niech ciocia nie pyta.

– Doskonale go pamiętam. Grzeczny, przyzwoity człowiek, ale...

Boże wielki! Nie chcę ranić twoich uczuć, ale... bywają mężczyźni, których nie zniesie żadna kobieta o jakim takim wyglądzie. Powinnam była powiedzieć, że on jest jednym z takich mężczyzn. Nie mówię tego teraz, bo widocznie ty wiedziałaś swoje, ale to właśnie powinnam była powiedzieć przedtem!

Sue zerwała się i wybiegła. Juda poszedł za nią i znalazł ją w drewnutni zalaną łzami.

– Nie płacz, kochanie! – powiedział zgnębiony. – Ciotka nie miała złych intencji, ale wiesz przecie, jaka jest teraz szorstka i dziwaczna.

– Ach, nie, nie o to chodzi! – powiedziała Sue, usiłując osuszyć oczy. – Nie mam żalu o jej szorstkość ani trochę.

– No więc co się stało?

– Bo to, co ona mówi, to... to prawda!

– Boże... to znaczy, że on ci się nie podoba? – zapytał Juda.

– Nie o tym myślę! – śpiesznie powiedziała Sue. – Ale nie trzeba było... może nie trzeba było w ogóle wychodzić za mąż!

Juda zastanowił się, czy właśnie to miała zamiar powiedzieć początkowo. Wrócili do domu i cała sprawa została załagodzona. Ciotka odniosła się życzliwie do Sue i powiedziała, że jak dotąd niewiele młodych mężatek odwiedzało taką starą, chorą babę jak ona. Po południu Sue przygotowała się do drogi i Juda zamówił sąsiada, który miał ją odwieźć do Alfredston.

– Odprowadzę cię na stację, chcesz? – zapytał.

Ale nie chciała. Nadjechał sąsiad dwukółką i Juda pomógł Sue wsiąść, widocznie zbyt gorliwie, bo spojrzała na niego z naganą.

– Mam nadzieję, że będę mógł cię odwiedzić któregoś dnia, gdy wrócę do Melchester? – zauważył nieco opryskliwie.

Sue schyliła głowę i powiedziała cicho:

– Nie, Judo, jeszcze nie przychodź. Nie sędzę, abyś był w dobrym do tego nastroju.

– Dobrze więc – rzekł Juda. – Do widzenia!

– Do widzenia! – pokiwała do niego ręką i odjechała.

– Ma rację! Nie pójdę tam! – szepnął do siebie.

Tego wieczoru i przez parę następnych dni wszelkimi sposobami usiłował zniszczyć w sobie pragnienie zobaczenia Sue; zagłodził się prawie, próbując zdusić postem namiętą skłonność do kochania jej. Czytał kazania o dyscyplinie wewnętrznej, a z historii Kościoła wyławiał fragmenty o ascetach żyjących w drugim wieku. Zanim jeszcze wrócił z Marygreen do Melchester, przyszedł list od Arabelli. Na ten widok odżyło w nim potępienie dla siebie samego za chwilowy powrót do żony, zaćmiewając uczucie do Sue.

Stempel pocztowy na kopercie pochodził z Londynu, a nie z Christminster. Arabella donosiła, że w parę dni po pożegnaniu się z Judą tamtego ranka niespodziewanie otrzymała serdeczny list od swego australijskiego męża, tego pana, co poprzednio zarządzał hotelem w Sydney. Przyjechał do Anglii, aby ją odnaleźć, i wydzierżawił wolny lokal z wyszynkiem w Lambeth, spodziewając się, że ona pomoże mu prowadzić ten świetnie zapowiadający się interes. Dzielnica była doskonała, gęsto zaludniona, ludzie nie gardzili dżinem i obroty sięgały już dwustu funtów miesięcznie, co łatwo będzie podwoić.

Wobec zapewnień tego pana, że ją ciągle kocha, i błagania, aby dała mu swój adres, a także dlatego, że powodem ich rozstania była jedynie drobna sprzeczka, Arabella udała się do niego, tak jak sobie życzył, bo jej zajęcie w Christminster miało charakter przejściowy. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że należy bardziej do tamtego niż do Judy, skoro w Australii wzięli ślub, jak się należy, i żyła z nim dłużej niż ze swoim pierwszym mężem. A więc, żegnając się teraz z Judą, nie czuje do niego żadnej urazy i ufa, że nie wykorzysta on przeciwko niej, słabej kobiecie, jakichś nieprzychylnych informacji, co by ją zrujnowało w chwili, gdy ma szansę poprawy bytu i życia na przyzwoitej stopie.

Juda wrócił do Melchester, którego dość wątpliwą zaletą było to, że znajdowało się w odległości zaledwie dwunastu i pół mili od stałej już obecnie siedziby jego miłej Sue. Na razie uważał tę właśnie bliskość za wyraźny powód, aby w ogóle nie ruszać się w tamtą stronę, ale pobytu w Christminster nie mógłby znieść, zbyt tam było smutno. Natomiast niedalekie sąsiedztwo miast Melchester i Shaston przysporzy mu ewentualnie chwały pokonania wroga w bezpośrednim starciu. Tego przecie szukali świadomie duchowni i dziewice we wczesnych dziejach Kościoła; gardząc sromotną ucieczką od pokus, mogli nawet bezkarnie mieszkać w tej samej komnacie. Juda nie zatrzymał biegu myśli, aby sobie przypomnieć lakoniczne sformułowanie historyka[20], według którego „znieważona natura dochodzi czasem swych praw” w podobnych okolicznościach.

Z gorączkową desperacją podjął teraz na nowo przygotowane studia do stanu kapłańskiego, zdając sobie sprawę, że jego skupienie na jednym celu i wierność sprawie znajdowały się ostatnio pod wielkim znakiem zapytania. Namiętność do Sue mąciła mu spokój duszy, a jednak instynktownie odczuwał jako jeszcze coś gorszego dwunastogodzinne, zgodne z prawem przebywanie z Arabellą, nawet mimo to, że o jej mężu z Sydney dowiedział się dopiero później. Przewyciężył już, jak był szczerze przekonany, wszelkie skłonności do szukania ratunku w alkoholu. Nigdy zresztą nie pił z zamiłowania – uciekał tylko od trudnych do zniesienia męczarni psychicznych. Zdał sobie sprawę z przygnębieniem, że, ogólnie biorąc, rządziło nim za wiele namiętności, aby mógł być dobrym księdzem. Co najwyżej wolno mu było liczyć na to, że podczas stałej wewnętrznej walki między ciałem a duchem ciało nie zawsze będzie górą.

Traktując to jako rozrywkę pomocną przy studiach teologicznych, Juda uczył się muzyki kościelnej, odczytywania basu generalnego i mógł uczestniczyć w śpiewie na głosy, dość biegle czytając nuty. O parę mil od Melchester znajdował się odrestaurowany wiejski kościółek, gdzie w swoim czasie zatrudniano go przy ustawianiu nowych kolumn i kapiteli. Przy okazji zaznajomił się z organistą i w rezultacie przyłączył się do chóru jako głos basowy.

Do tej parafii chodził dwukrotnie w każdą niedzielę, a czasem

jeszcze w ciągu tygodnia. Pewnego wieczoru, przed Wielkanocą, chór zebrał się na próbę; miał być odśpiewany i przećwiczony nowy hymn, który, jak Juda słyszał, napisał kompozytor rodem z Wesseksu. Był to przedziwnie nastrojowy utwór. Przy wielokrotnym powtarzaniu jego melodia coraz bardziej zachwycała Judę i nieopisanie go wzruszała.

Po próbie poszedł do organisty zasięgnąć wiadomości. Nuty były w rękopisie z nazwiskiem kompozytora i tytułem hymnu: *U stóp krzyża* w nagłówku.

– Tak – powiedział organista. – To tutejszy człowiek. Jest zawodowym muzykiem, mieszka w Kennetbridge, między naszą wsią a Christminster. Proboszcz go zna. Wychował się i kształcił w tradycjach Christminster, co znalazło swój wyraz w samym utworze. Zdaje mi się, że on grywa w tym ich dużym kościele i dyryguje chórem. Czasami przyjeżdża do Melchester i nawet kiedyś starał się o miejsce organisty w katedrze, kiedy wakowała ta posada. W tym roku będzie się wszędzie śpiewało ten hymn w okresie Wielkanocy.

Nucąc melodię hymnu w powrotnej drodze, Juda zaczął zastanawiać się nad osobą kompozytora i motywami, jakie nim rządziły przy pisaniu utworu. Jaka to musiała być pokrewna dusza! Jakże chciałby poznać tego człowieka w obecnej rozterce i zniechęceniu spowodowanym przez Sue i Arabellę, z sumieniem rozdartym i niespokojnym z powodu swej skomplikowanej sytuacji... „On, właśnie on, zrozumiałby moje trudności” – impulsywnie mówił sobie Juda. Jeżeliby miał wybierać powiernika wśród wszystkich ludzi na świecie, wybór padłby na kompozytora, który sam musiał cierpieć, kochać i tęsknić.

Krótko mówiąc, jak dziecko, którym był jeszcze w istocie, Fawley postanowił pojechać do Kennetbridge zaraz w następną niedzielę, chociaż z trudem mógł sobie pozwolić na stratę czasu i wydatki związane z podróżą. Wyruszył wczesnym rankiem, bo można się tam było dostać pociągiem tylko okólną drogą z kilkakrotnym przesiadaniem. Dojechał w południe i kierując się przez most do starego miasteczka, zapytał o dom kompozytora.

Objaśniono go, że jest to dom z czerwonej cegły, znajdzie go jeszcze trochę dalej. I że muzyk akurat szedł tędy nie dawniej jak przed

pięcioma minutami.

– W którą stronę? – zapytał śpiesznie Juda.

– Prosto w stronę domu, z kościoła.

Juda przyśpieszył kroku i wkrótce w niewielkiej odległości przed sobą spostrzegł z radością mężczyznę w czarnym surducie i czarnym filcowym kapeluszu o szerokim rondzie. Pogonił więc za nim, wyciągając jeszcze bardziej nogi. „Zgłodniała dusza w pogoni za duszą zaspokojoną! – pomyślał. – Muszę pomówić z tym człowiekiem”.

Nie udało mu się jednakże dopaść muzyka, nim ten zniknął za drzwiami swego domu; stanęło więc przed nim zagadnienie, czy pora jest odpowiednia na odwiedzinę. Tak czy owak Juda postanowił zrobić to od razu, skoro już się tutaj znalazł, bo droga powrotna trwała za długo, aby mógł czekać do późnego popołudnia. Ten uduchowiony człowiek zrozumie brak ceremonialności i na pewno stanie się idealnym doradcą w sprawie ziemskiej i nieprawej namiętności, która zdradziecko wniknęła w serce Judy wejściem przeznaczonym dla religii.

Zadzwoił i wprowadzono go do środka.

Muzyk wkrótce do niego wyszedł i Juda odniósł korzystne wrażenie na widok jego przyzwoitego ubioru, miłej powierzchowności i otwartego obejścia. Niemniej zorientował się, że niezręcznie mu będzie wyłożyć cel swojej wizyty.

– Należę do chóru w małym kościółku niedaleko Melchester – powiedział. – W tym tygodniu ćwiczyliśmy właśnie hymn *U stóp krzyża*, który jak się dowiedziałem, jest pana dziełem.

– A tak, napisałem to przed rokiem czy coś koło tego.

– Ja... jestem pod wrażeniem tego utworu. Uważam, że jest nadzwyczaj piękny.

– Owszem, inni również tak sądzą. Tak, ta rzecz przyniosłaby pieniądze, gdyby tylko udało się ją wydać. Mam jeszcze inne utwory, które można by do tego dołączyć. Chciałbym je wydać, bo do tej pory nawet pięciu funtów mi nie przyniosły. Ci wydawcy dają bodajże mniej za prawa do utworów takiego nieznanego kompozytora jak ja, niż wynosi koszt przepisania na czysto rękopisu. Utwór, o którym pan wspomina, rozdałem znajomym w tych stronach i w okolicach Melchester i śpiewają go tu i ówdzie. Ale muzyka to za słaba podstawa,

żeby się na niej oprzeć, toteż rzucam ją zupełnie. W dzisiejszych czasach trzeba się wziąć do handlu, aby zrobić trochę grosza. Mam zamiar prowadzić handel win. Oto mój katalog, jeszcze nie wyszedł drukiem, ale proszę bardzo, niech pan weźmie ten egzemplarz.

Muzyk podał Judzie katalog reklamowy w formie kilkustronicowej broszurki, o zakreślonym czerwoną linią marginesie, z listą różnych gatunków czerwonego wina, szampana, porto i innych, które miały się znaleźć na początek w jego przedsiębiorstwie. Juda był więcej niż zdziwiony, że jego uduchowiony ideał łączy w sobie dwojakie uzdolnienia, i poczuł, że nie potrafi otworzyć przed nim duszy.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, ale z przymusem, bo gdy muzyk dowiedział się, że Juda jest ubogim człowiekiem, zaczął odnosić się do niego inaczej niż na początku, kiedy z wyglądu i sposobu mówienia gościa wysnuł mylny pogląd na jego stanowisko i zajęcie. Juda wyjąkał, że pragnie złożyć gratulacje autorowi tak wzniosłego utworu, i pożegnał się z zakłopotaniem.

Przez całą powrotną drogę, w powolnych niedzielnych pociągach i poczekalniach nieopalanых mimo wiosennego chłodu, Judę przygnębiała myśl o własnej naiwności, która skłoniła go do tej podróży. Ale natychmiast po powrocie do Melchester zastał list – przyszedł on w parę minut po jego wyjeździe. Był to krótki bilecik od Sue; ze skrucą i słodką pokorą donosiła, że czuje, jak szkaradnie postąpiła, mówiąc mu, aby się u niej nie pokazywał; że pogardza sobą za taką konwencjonalną postawę i niech Juda koniecznie przyjedzie pociągiem o jedenastej czterdzieści pięć, jeszcze w tę niedzielę, i zje z nimi obiad o wpół do drugiej.

Juda prawie rwał sobie włosy z głowy, że list przyszedł za późno, aby można było skorzystać z zaproszenia. Ale ostatnio osiągnął znaczną dyscyplinę wewnętrzną, a chimeryczna wyprawa do Kennetbridge rzeczywiście wydała się specjalną interwencją Opatrzności, aby uchronić go od pokusy. Wszakże rosnące zniecierpliwienie w stosunku do spraw wiary, jakie niejednokrotnie spostrzegał u siebie w ostatnich czasach, skłoniło go do odrzucenia śmiesznej myśli, że to Bóg wysyła ludzi na idiotyczne wyprawy. Tęsknił do Sue i gniewało go, że zmarnował okazję zobaczenia jej, więc natychmiast odpisał, tłumacząc, co się stało,

i donosząc, że nie ma dość cierpliwości, aby czekać do następnej niedzieli; przyjdzie wobec tego w pierwszy lepszy dzień powszedni, jaki ona wyznaczy.

List Judy brzmiał trochę zbyt żarliwie, więc Sue swoim zwyczajem odłożyła odpowiedź aż do Wielkiego Czwartku; pisała, że jeśli Juda chce, mógłby przyjść następnego dnia po południu; jest to najwcześniejsza data, kiedy ona może go przyjąć, bo pracuje teraz jako pomocnicza siła nauczycielska w szkole swego męża. Wobec tego Juda zwolnił się z zajęć w katedrze, niewielkim kosztem, bo zrzekając się tylko jednodniowej zapłaty.

[18] Ostateczny cios (fr.).

[19] Sebastian del Piombo (1485-1547) – malarz włoski.

[20] Gibbona.

Część czwarta

W SHASTON

Ten, kto przekłada albo
małżeństwo, albo inne układy
ponad dobro człowieka i proste
wymagania miłosierdzia,
czy mieni się papistą, czy
protestantem, czy kimkolwiek,
nie jest lepszy od faryzeusza.

J. MILTON

I

Miasto Shaston, dawne brytyjskie Palladour, „od którego powstania (jak śpiewał Drayton) tak dziwne krążyły zrazu wieści”, zaiste było i pozostało grodem z marzenia sennego. Wywołany wyobraźnią nawet mglisty obraz tego wszystkiego, co już teraz okrutnie niszczało, zamku, trzech mennic, opactwa o wspaniałej absydzie – głównej chluby południowego Wesseksu – dwunastu kościołów, ołtarzy z relikwiami, kaplic i przytułków dla ubogich, a także rezydencji z ciosowego kamienia zdobnych w wieżyczki, wprawia zwiedzającego miasto, choćby wbrew jego woli, w melancholijne zamyślenie, z trudem dające się rozproszyć rześkim powietrzem i rozległą panoramą rozciągającą się naokoło. W miejscu tym spoczywają zwłoki króla i królowej, opatów i ksieni, świętych i biskupów, rycerzy i szlachty. Kości króla Edwarda Męczennika, z czcią przeniesione tutaj na przechowanie, obdarzyły Shaston rozgłosem, który miasto uczynił celem pielgrzymek z różnych części Europy i umocnił jego sławę daleko poza brzegami Anglii. Ale temu uroczemu wytworowi wielkiego średniowiecza rozwiązanie klasztorów, jak wiemy od historyków, wybiło podzwonne. Wraz ze zniszczeniem ogromnego opactwa całe miasto uległo ogólnej ruinie. Kości Męczennika spotkał los poświęconego relikwiarza, który je mieścił, i kamień na kamieniu nie pozostał, aby wskazać miejsce, gdzie spoczywały.

Pozostała wszakże naturalna malowniczość miasta i osobliwy jego czar, trzeba jednak stwierdzić ze zdziwieniem, że cechy te, dostrzegane przez wielu pisarzy w okresach, kiedy jakoby nie doceniano piękna otoczenia, w naszych czasach uchodzą uwagi i właściwie nikt obecnie nie zwiedza tego zakątka należącego do najosobliwszych i najoryginalniejszych w Anglii.

Shaston ma jedyne w swoim rodzaju położenie na szczycie stromej i wyniosłej skarpy wyrastającej od północnej, południowej i zachodniej strony z głębokiej aluwialnej doliny Blackmoor. Widok z Castle Green na zielone pastwiska trzech hrabstw: południowego, środkowego i dolnego Wesseksu, stanowi taką samą nagłą niespodziankę dla oczu zaskoczonego wędrowca, jaką orzeźwiające powietrze jest dla jego płuc. Kolei nie doprowadzono do miasta i najlepiej dostać się tam na piechotę lub lekkim pojazdem, ale tym środkiem lokomocji można tam dojechać tylko wąskim przesmykiem od północnego wschodu, który od tej strony łączy miasto z wysokim kredowym płasko wzniesieniem.

Takie było i takim pozostało miasto Shaston albo Palladour, obecnie przez świat zapomniane. Wskutek położenia woda stanowiła jego największy niedostatek i w zasięgu pamięci żyjącego pokolenia zawsze widywano konie, osły i ludzi pnących się z trudem pod górę serpentynami aż do szczytu i uginających się pod ciężarem kadzi i beczek napełnionych u studni na dole, jak również przekupniów, którzy ich zawartość sprzedawali po pół pensa za wiaderko.

Trudności z dostarczaniem wody, a także osobliwe fakty: to mianowicie, że główny cmentarz za kościołem położony był na stoku stromym jak dach i to, że miasto w dawnych czasach przeszło przez okres niezwykłego zepsucia w życiu zarówno kościelnym, jak i rodzinnym, zrodziły maksymę, że Shaston znane jest z trzech pociech, jakich nigdzie indziej świat człowiekowi nie udziela. Cmentarz, mianowicie, leży tam bliżej nieba niż wieża kościelna, piwa jest w mieście więcej niż wody, a rozpustnych niewiast więcej niż uczciwych żon i panien. Powiadano także, że gdy minęło średniowiecze, mieszkańcy Shaston zanadto zbiednieli, aby opłacać księży, i z tej racji musieli zburzyć kościoły i zgoła zaprzestać oddawania publicznej czci Panu Bogu. W niedzielne popołudnia użalali się na ten przymus, zasiadłszy na ławach oberży przy kuflu piwa. Widać z tego, że w tych odległych czasach mieszczanie z Shaston nie byli pozbawieni poczucia humoru.

Istniała jeszcze jedna osobliwość – tym razem datująca się z naszych czasów – a związana z położeniem miasta. Shaston było miejscem postoju i główną kwaterą wędrownych komediantów,

właścicieli strzelnic i innych objazdowych przedsiębiorstw, które działały przeważnie na targach i jarmarkach. Tak jak dzikie ptactwo z obcych stron zbiera się na jakimś wyniosłym cyplu, odpoczywając z rozważą przed długim lotem albo przed powrotną podróżą wzdłuż szlaku, jakim tutaj przybyło, tak w tym skalnym grodzie żółte i zielone wozy opatrzone nietutejszymi nazwiskami stały bezczynne i ciche, jak gdyby zdziwienie wobec gwałtownej zmiany krajobrazu powstrzymało ich dalszą wędrówkę. Przeważnie zostawały one tutaj na całą zimę, aby dopiero następną wiosną podjąć dawną marszrutę.

Pewnego popołudnia około godziny czwartej Juda po raz pierwszy w życiu podchodził do tej cudackiej, na wszystkie wiatry wystawionej miejscowości od strony najbliższej stacji kolejowej. Dotarłszy do szczytu wzgórza po mozolnej wspinaczce, minął pierwsze domy wyniosłego grodu i skierował się ku szkole. Przyszedł za wcześnie, dzieci były jeszcze w klasach, skąd rozlegało się ciche brzęczenie jakby roju komarów; cofnął się więc o parę kroków na ulicę Opactwa i patrzył na zakątek, gdzie los umieścił dom istoty, co mu była najdroższa na świecie. Przed obszerną murowaną szkołą rosły dwa olbrzymie buki o gładkich popielatych pniach – drzewa, które można spotkać jedynie na kredowych wyżynach. Przez kwaterowe okna Juda dostrzegał czarne, kasztanowate i lniane głowy uczniów schylone nad pulpitemi. Dla zabicia czasu zszedł na płaski taras, gdzie ongiś leżały ogrody należące do opactwa, a serce mimo woli biło w nim jak młotem.

Nie miał ochoty wchodzić przed rozejściem się uczniów i został na uboczu do chwili, kiedy z dziedzińca rozbrzmiały dziecięce głosy i na tę samą ścieżkę, po której przed trzema wiekami przechadzała się dostojnie ksieni, przeorysza i mistrzyni wraz z pięćdziesięcioma zakonnice, wybiegły tanecznym krokiem małe dziewczynki w czerwonych i niebieskich sukienkach i białych fartuszkach. Juda teraz zawrócił, ale okazało się, że zwlekał za długo, i Sue wyszła na miasto za ostatnim uczniem. Pana Phillotsona nie było całe popołudnie, gdyż uczestniczył w konferencji nauczycielskiej w Shottsford.

Juda wszedł do pustej klasy, aby tam zaczekać, bo dziewczyna zamiatająca podłogę objaśniła go, że pani Phillotson niedługo wróci. Stało tu pianino – to samo stare pianino, które pan Phillotson miał

w Marygreen – i chociaż popołudnie było ciemne i Juda prawie nie widział klawiszy, musnął je pokornym dotknięciem i mimo woli przeszedł w pieśń, która takie na nim zrobiła wrażenie w zeszłym tygodniu.

Ktoś się za nim poruszył, ale sądząc, że to służąca z miotłą, Juda nie zwrócił na to uwagi, aż postać podeszła bliżej i lekko dotknęła palcami jego ręki grającej w basie. Rączka na jego dłoni była maleńka i zdała mu się znajoma, więc obrócił się.

– Graj dalej – powiedziała Sue. – Lubię tę pieśń. Nauczyłam się jej jeszcze w Melchester. Często grywali ją w seminarium.

– Nie mogę tak brzdąkać przy tobie! Ty zagraj.

– Dobrze, bardzo chętnie.

Sue siadła do pianina i jej interpretacja, chociaż nienadzwyczajna, wydała się boska w porównaniu z jego grą. Tak jak i on, Sue, sama tym zresztą zdziwiona, wzruszyła się przywołaną z pamięci melodią. Gdy skończyła i Juda wyciągnął ku niej rękę, spotkał jej dłonie w pół drogi. Uścisnął je, tak jak to robił przed ślubem.

– Jakie to dziwne – powiedziała Sue zmienionym głosem – że tak mi się ta melodia podoba, bo przecież...

– Bo co?

– Bo przecież to nie mój styl, zupełnie nie.

– Niełatwo się wzruszasz?

– Miałam na myśli coś innego.

– Ależ to najzupełniej twój styl, bo sercem jesteś do mnie podobna.

– Ale nie głową.

Grała dalej, aż nagle odwróciła się od fortepianu i wtedy impulsywnie chwycili się za ręce.

Z wymuszonym, krótkim wybuchem śmiechu szybko puściła dłoń Judy.

– Jak zabawnie! – zawołała. – Ciekawa jestem, co nas oboje do tego skłoniło?

– Pewnie fakt, że jesteśmy do siebie podobni, jak już poprzednio zaznaczyłem.

– Nie w naszych myślach! Może troszeczkę w uczuciach.

– A uczucia rządzą myślami. Czyż to nie wystarcza, abym bluźnił,

wiedząc, że autor tej melodii jest jedną z najbardziej przyziemnych osób, jakie w życiu spotkałem!

– Jak to! Znasz go?

– Pojechałem go odwiedzić.

– Ach! ty głuptasku, postąpiłeś akurat tak, jak ja byłabym postąpiła. Dlaczego?

– Bo nie jesteśmy do siebie podobni – odparł sucho.

– A teraz napijemy się herbaty – powiedziała Sue. – Może tutaj, a nie w domu, dobrze? To żaden kłopot przynieść tutaj imbryk i wszystko, co trzeba. Bo, wiesz, my nie mieszkamy w budynku szkolnym, tylko w tym starym domu po drugiej stronie ulicy, który nazywa się Old-Grove Place. Jest tak staroświecki i ponury, że wpadam w okropną depresję. Bardzo przyjemnie złożyć komuś wizytę w takim domu, ale nie mieszkać tam. Po prostu czuję się jak wdeptana w ziemię ciężarem tyłu istnień, które tu poprzednio bytowały. W nowych gmachach, jak ta szkoła, masz tylko jedno swoje życie do dźwigania. Siadaj, proszę, a ja powiem Adzie, żeby tutaj przyniosła podwieczorek.

Juda czekał przy świetle pieca, którego drzwiczki Sue szeroko otworzyła przed wyjściem. Gdy wróciła w towarzystwie służącej z podwieczorkiem, zasiedli przy tym samym oświetleniu, wzmocnionym niebieskimi płomyczkami lampki spirytusowej podgrzewającej mosiężny imbryk.

– Jeden z podarków ślubnych od ciebie – powiedziała Sue, wskazując na imbryk.

– Tak – powiedział Juda.

Imbryk, prezent od niego, syczał, jak mu się zdawało, z pewną ironią w tonie. Żeby zmienić temat, Juda zapytał:

– Czy znasz jakieś dobre, czytelne wydanie niekanonicznych ksiąg Nowego Testamentu? W szkole chyba się tego nie czyta?

– Ach, nie! skądże! Całą okolicę wprawiłoby to w niepokój... Tak, jest takie wydanie. Nie zaglądam już teraz do niego, chociaż interesowałam się nim za życia mego dawnego przyjaciela. To *Apokryfy Nowego Testamentu* wydane przez Cowpera.

– Z tytułu sądząc, tego właśnie potrzebuję.

Z nagłym szarpnięciem bólu wrócił myślą do „dawnego

przyjaciela”; wiedział, że chodzi o studenta, towarzysza Sue z dawnych czasów. Zastanawiał się, czy wspomniała o nim Phillotsonowi.

– Ewangelia Nikodema jest bardzo ładna – ciągnęła Sue, aby powstrzymać go od zazdrosnych myśli, które, jak zwykle, z łatwością odczytała. Jeśli rozmawiali nawet na obojętny temat, jak teraz, tak doskonale panowało między nimi wzajemne zrozumienie, że ich uczucia prowadziły między sobą drugą, milczącą rozmowę. – Wygląda jak prawdziwa Ewangelia, tak samo podzielona na wersety; ma się wrażenie czytania jakby we śnie któregoś z tamtych ewangelistów: mówi się o tych samych rzeczach, a jednak nie o tych samych. Ale, Judo, czy ciebie ciągle zajmują te sprawy? Czy pracujesz nad apologetyką?

– Owszem. Studiuję teologię pilniej niż kiedykolwiek.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytał Judo.

– Och... czemu chcesz wiedzieć?

– Jestem pewien, że na ten temat mogłabyś mi powiedzieć wszystko, czego nie wiem. Musiałaś nauczyć się wielu różnych rzeczy od twego zmarłego przyjaciela, którego tak kochałaś!

– Nie będziemy rozwodzić się nad tym teraz! – prosiła. – Czy w przyszłym tygodniu będziesz znowu rzeźbił w kościele, gdzie się nauczyłaś tej pięknej pieśni?

– Pewnie tak.

– To doskonale. Czy mogę przyjść i odwiedzić cię? To w naszych stronach i mogłabym kiedy po południu przyjechać pociągiem na pół godzinki.

– Nie. Nie przyjeżdżaj!

– Jak to? Czyż nie będziemy już przyjaciółmi tak jak dawniej?

– Nie.

– Tego nie przypuszczałam. Sądziłam, że zawsze będziesz dla mnie miły!

– Nie, nie będę.

– Czymże ja zawiniłam? Byłam pewna, że my dwoje... – Drżenie głosu zmusiło ją do przerwania.

– Wiesz, Sue, czasem mi się zdaje, że z ciebie jest flirciarka – rzekł bez ogródek Judo.

Nastąpiła chwilowa przerwa, aż Sue nagle się zerwała. Przy świetle małej lampki Juda zauważył ze zdziwieniem, że twarz jej płonie.

– Nie mogę dłużej z tobą rozmawiać, Judo! – powiedziała z tragiczną kontraltową nutą, która zabrzmiała w jej głosie tak jak dawniej. – Robi się już za ciemno, aby tak tu razem siedzieć po odegraniu ponurych wielkopiątkowych melodii, które wzbudzają uczucia, jakich nie powinno się doznawać!... Nie można tak siedzieć i rozmawiać w tym duchu. Tak, musisz już sobie iść, bo fałszywie mnie osądzasz! Jestem zupełnym przeciwieństwem tego, co z takim okrucieństwem powiedziałaś!... O! Juda! jakie to było okrutne z twojej strony! A jednak nie mogę ci powiedzieć prawdy – zgorszyłabym cię, zdradzając, jak dalece ulegam impulsom i jak bardzo zdaję sobie sprawę, że jeśli zostałam obdarzona jakimiś cechami pociągającymi, to przecież po to, aby je wykorzystywać! Nienasycone jest pragnienie niektórych kobiet, aby je kochano, a czasami także i pragnienie, aby kochać. A w tym drugim wypadku może się zdarzyć, że nie potrafią stale dawać miłości osobie wyznaczonej na jej odbiorcę pozwoleniem biskupa udzielonym na ślub. Ale ty, Judo, z twoją prostolinijnością, nie jesteś, w stanie mnie zrozumieć... A teraz musisz już iść. Żałuję, że mego męża nie ma w domu.

– Żałujesz?

– Widzę, że powiedziałam to tylko dla konwenansu! Uczciwie mówiąc, nie sędzę, abym żałowała. Smutne to, ale jego obecność czy nieobecność nie sprawia mi różnicy!

Już chwilę wcześniej zwolnili uścisk rąk i teraz, gdy Juda się żegnał, Sue musnęła tylko lekko jego palce. Ale ledwie odszedł od drzwi, niezadowolona z tego, wskoczyła na ławkę i otworzyła lufcik okna, pod którym przechodził właśnie ścieżką.

– O której stąd wyruszasz, żeby zdążyć na pociąg? – zapytała.

Juda spojrział w górę z pewnym zdziwieniem.

– Dylizans kursujący do stacji wyjeżdża za jakieś trzy kwadranse.

– Co masz zamiar robić przez ten czas?

– Ach!... chyba sobie położę po mieście. Może wejdę do tego starego kościoła.

– Zachowałam się bezwzględnie, odprowadzając cię w ten sposób!

Dosyć zajmowałeś się w życiu kościołami, Bóg to jeden wie, i nie trzeba, żebyś po ciemku wstępował jeszcze do jednego. Zostań tutaj.

– Gdzie?

– Tu gdzie jesteś. Łatwiej mi rozmawiać z tobą tak, niż kiedy byłeś w pokoju. Jak to ładnie i miło, że zrezygnowałeś z pół dnia pracy, aby przyjść mnie odwiedzić!... Mój drogi Juda! Jesteś jak Józef, który śnił swoje sny. I jak tragiczny Donkiszot. A czasem jesteś także świętym Szczepanem, który widział otwierające się niebo, kiedy go kamienowali. O mój biedny przyjacielu i towarzyszu, a jednak czekają cię jeszcze cierpienia!

Teraz, kiedy dzielił ich wysoki parapet okienny, tak że on nie mógł jej dosięgnąć, Sue jakby swobodniej pozwalała sobie na szczerość, której lękała się przy bliskim kontakcie.

– Myślałam właśnie – ciągnęła tonem osoby przepełnionej uczuciem – że społeczne formy, w których kształtuje nas cywilizacja, mają tyleż związku z naszym istotnym kształtem, co konwencjonalne kształty konstelacji z rzeczywistą postacią gwiazd. Zowią mnie panią Ryszardową Phillotson, która prowadzi spokojne życie mężatki u boku mężczyzny o tym nazwisku. A w rzeczywistości nie jestem panią Ryszardową Phillotson, tylko kobietą miotaną przez los, zupełnie samą, ze spaczonymi namiętnościami i niewytłumaczonymi antypatiami. Ale teraz już nie zwlekaj, bo spóźnisz się na dyliżans. Przyjedź jeszcze kiedy do mnie. Ale musisz wtedy przyjść do nas, do domu.

– Dobrze! – odparł Juda. – Kiedy mogę przyjechać?

– Od jutra za tydzień. Do widzenia! Do widzenia! – wyciągnęła rękę i litościwie raz jeden musnęła jego czoło. Juda pożegnał się i odszedł w ciemność.

Na Bimport Street zdawało mu się, że słyszy turkot kół odjeżdżającego dyliżansu, i rzeczywiście, gdy doszedł na rynek, do zajazdu „Pod Godłem Książęcym”, dyliżansu już nie było. Piechotą nie zdążyłby dojść na czas do stacji kolejowej i z konieczności postanowił czekać na następny pociąg, ostatni nocny pociąg do Melchester.

Pokręcił się przez chwilę po mieście, zjadł coś, a potem, gdy miał jeszcze przed sobą pół godziny, nogi zaniosły go same w kierunku szkoły poprzez nacechowany dostojną powagą cmentarz przy kościele

Świętej Trójcy okolony lipowymi alejami. Szkoła była pogrążona w zupełnej ciemności. Sue mówiła, że mieszkają po drugiej stronie drogi, w Old-Grove Place. Wkrótce znalazł ten dom na podstawie wzmianki Sue o jego starości.

Nie zamknięto jeszcze okiennic i z frontowego okna sączyło się migotliwe światło świecy. Juda wyraźnie widział wewnątrz pokoju – podłoga zapadła o kilka kroków poniżej poziomu drogi, który podniósł się w ciągu stuleci, jakie minęły od wybudowania domu. Sue widocznie dopiero co przyszła i jeszcze w kapeluszu stała w saloniku czy bawialni o ścianach pokrytych dębową boazerią od podłogi aż po sufit. Wielkie rzeźbione belki przecinały pułap prawie tuż nad jej głową. Gzyms kominka odznaczał się takim samym ciężkim stylem, z filarami i ślimacznicami rzeźbionymi według mody z czasów króla Jakuba. Stulecia zaiste przygniatały młodą żonę, która wśród tych ścian mieszkała.

Sue otworzyła szkatułkę do robótek z różanego drewna i przyglądała się jakiejś fotografii. Popatrzywszy chwilę, przycisnęła ją do serca i włożyła z powrotem na miejsce.

A potem, zauważywszy, że nie zasłoniła okien, ze świecą w ręku podeszła bliżej. Było za ciemno na dworze, aby mogła dostrzec Judę, ale on wyraźnie dojrzał jej twarz z niewątpliwymi śladami łez w ciemnych oczach ocienionych długimi rzęsami.

Zamknęła okiennice, a Juda odszedł, aby udać się w samotną podróż do domu.

– Na czyją fotografię tak patrzała? – zadawał sobie pytanie.

Dał jej kiedyś swoją fotografię, ale wiedział, że miała też i inne. A jednak musiała to być na pewno jego fotografia.

Czuł, że znowu wybierze się do niej w odwiedziny zgodnie z zaproszeniem. Dostojni mężowie, o których czytał, święci, których Sue z dobrodusznym lekceważeniem nazywała półbogami, byliby unikali takich spotkań, nie ufając w pełni swoim siłom... Ale on nie mógł się na to zdobyć. Mógłby pościć i modlić się przez cały okres rozstania, ale to, co ludzkie, potężniejsze w nim było niż to, co boskie.

II

Jeśli jednakże nie zdecydował Bóg, zrobiła to kobieta. Na trzeci dzień rano Juda otrzymał od Sue następujący bilecik:

„Nie przyjeżdżaj w przyszłym tygodniu. Nie rób tego ze względu na siebie samego! Pod wpływem posępnej pieśni i zmierzchu zachowaliśmy się zbyt swobodnie. Staraj się jak najmniej myśleć o
Zuzannie Florencji Marii”

Dotkliwie odczuł – rozczarowanie. Wiedział, w jakim Sue jest nastroju, widział wyraz jej twarzy, gdy się w ten sposób podpisywała trzema imionami. Ale, niezależnie od jej nastroju, nie mógł zaprzeczyć, że miała rację. I w tym też duchu jej odpisał:

„Zgadzam się. Masz słuszość. Jest to lekcja wyrzeczenia, którą jak sądzę, powinienem sobie przyswoić w obecnym okresie mego życia.
Juda”

Wysłał list w przeddzień Wielkanocy i decyzja obojga wydawała się ostateczna. Działywały wszakże siły i prawa poza nimi. W poniedziałek świąteczny, rano, Juda otrzymał wiadomość od wdowy Edlin, której polecił telegrafować, w razie gdyby zaszło coś poważnego:

„Ciotka umierająca. Proszę natychmiast przyjechać”.

Juda rzucił narzędzia i pojechał. Trzy i pół godziny później mijął wzgórze przed Marygreen i polem w kotlinie szedł skrótem do wsi. Gdy wspinał się na zbocze po drugiej stronie, jakiś chłop, śledzący jego ruchy zza furtki, wykonał nieokreślony gest, tak jakby miał mu coś do powiedzenia.

„Widzę z jego twarzy, że ciotka umarła – pomyślał Juda. – Biedna

ciocia Drusilla!”

Przypuszczenie było słuszne; człowieka tego wysłała pani Edlin, aby zakomunikował mu smutną wiadomość.

– Nie poznałaby pana i tak – powiedział. – Leżała już jak kukła ze szklanymi oczami i nie miało znaczenia, że nie czuwał pan przy niej.

Juda poszedł do domu ciotki, a po południu, kiedy wszystko zostało załatwione i ludzie z zakładu pogrzebowego napili się piwa i odeszli, siadł samotnie w opustoszałych pokojach. Trzeba było koniecznie skomunikować się z Sue, chociaż parę dni temu oboje zgodzili się na zerwanie. Juda napisał, jak mógł najkrócej.

„Ciotka Drusilla umarła prawie nagle. Pogrzeb będzie w piątek po południu”.

Do pogrzebu został w Marygreen, a w piątek rano przypilnował wykończenia grobu, zastanawiając się ciągle, czy Sue przyjedzie. Nie odezwała się ani słowem i to chyba oznaczało raczej, że przyjedzie niż przeciwnie. Obliczywszy sobie, kiedy kuzynka może się zjawić, na podstawie godziny przybycia jedyne go możliwego dla niej pociągu, Juda około południa zamknął dom i przez pole w kotlinie doszedł do krańca wyżyny przy Brown House, gdzie stanął i spojrzał na rozległą panoramę ku północy i na bliższy krajobraz w okolicy Alfredston. Dwie mile za miasteczkiem, od lewej ku prawej, wędrował kłęb białej pary.

Nawet teraz upłynie jeszcze długa chwila, zanim się dowie, czy Sue przyjechała. Czekał jednakże, aż wreszcie do stóp wzgórza nadjechał mały, wynajęty wózek, z którego ktoś wysiadł. Wózek zawrócił, a postać ludzka zaczęła wspinać się pod górę. Juda poznał Sue. Wyglądała tak wiotko tego dnia, że zgmiotłaby ją siła zbyt namiętnego uścisku – nie on jednak mógł ją tak uścisnąć. Gdy przeszła dwie trzecie drogi, pochyliła głowę lęklwym gestem i Juda zorientował się, że właśnie wtedy go poznała. Na jej twarz wkrótce wypłynął pełen zadumy uśmiech i nie zniknął, dopóki Juda nie zszedł ku niej kawałek i nie spotkali się.

– Pomyślałam sobie – zaczęła nerwowo i szybko – że zbyt byłoby ci smutno samemu w czasie pogrzebu! A więc przyjechałam... w ostatniej chwili.

– Kochana, wierna Sue! – szepnął Juda.

Z nieuchwytnością swej dziwnej, rozdwojonej natury Sue nie przystanęła dłużej w momencie powitania, chociaż do pogrzebu mieli jeszcze trochę czasu. Niezwykle złożone wzruszenie związane z tą chwilą mogło nie powtórzyć się przez lata albo i wcale, więc Juda chętnie by się zatrzymał, podumał i porozmawiał. Ale Sue albo tego zgoła nie spostrzegła, albo też, odczuwając jeszcze silniejsze wzruszenie, nie chciała mu się poddać.

Smutny i prosty obrządek szybko został zakończony, bo do kościoła udali się prawie biegiem, jako że przedsiębiorca pogrzebowy za godzinę miał ważniejszą ceremonię w odległości trzech mil. Drusillę złożono na nowym cmentarzu z dala od jej przodków. Sue i Juda szli razem do mogiły, a potem siedli do herbaty w starych kątach.

Zjednoczyli się przynajmniej w tej ostatniej przysłudze dla zmarłej.

– Do samej śmierci ciotka była przeciwna instytucji małżeństwa, prawda? – szepnęła Sue.

– Tak. Zwłaszcza dla członków naszej rodziny.

Oczy jej spotkały oczy Judy i przez chwilę na nim spoczęły.

– Dosyć żałosna z nas rodzina, nie uważasz, Juda?

– Ciotka mawiała, że źli z nas mężowie i złe żony. Z pewnością jesteśmy nieszczęśliwymi mężami i żonami. Ja na pewno!

Sue milczała.

– Juda – powiedziała wreszcie z przelotnym drzeniem głosu – czy to źle, gdy mąż lub żona powie komuś trzeciemu, że są nieszczęśliwi w małżeństwie? To może źle, jeśli ceremonia ślubu stanowi obrządek religijny, ale jeśli ślub jest jedynie prozaicznym kontraktem opartym na materialnych korzyściach przy prowadzeniu domu lub wyznaczaniu i płaceniu podatków i tylko dziedziczenie ziemi i gotówki przez dzieci wymaga, aby ojciec był znany, wtedy chyba na pewno można mówić, a nawet otwarcie głosić, że związek ten przynosi jedynie ból i cierpienie.

– Ja ci to, w każdym razie, wyznałem.

Sue ciągnęła dalej:

– Czy sądzisz, że jest dużo małżeństw, w których jedna strona nie lubi drugiej bez jej wyraźnej winy?

– Sądzę, że tak. Jeśli na przykład ktoś z małżonków interesuje się inną osobą.

– Ale nawet jeśli nic takiego nie wchodzi w grę? Czy na przykład kobieta ma bardzo zły charakter, jeśli nie chce żyć z mężem tylko dlatego – tu głos jej zadrżał i z tego drżenia Juda domyślił się wielu rzeczy – tylko dlatego, że odczuwa przed tym niechęć, fizyczny protest, jeśli jest kapryśna, czy jak to nazwać, chociaż może nawet czuć dla niego wdzięczność i szacunek? Ja ci tylko przedstawiam pewne zagadnienie. Czy taka kobieta powinna starać się przezwyciężyć swoją pruderię?

Juda rzucił na nią zaniepokojone spojrzenie i powiedział, odwracając oczy:

– Byłby to jeden z takich wypadków, w którym moje doświadczenie nie zgadza się z moimi przekonaniem. Z punktu widzenia człowieka ceniącego ład – którym chyba jestem, chociaż czasem w to wątpię – powiedziałbym: tak, powinna. Z własnego doświadczenia i instynktu powiedziałbym: nie... Sue, czuję, że nie jesteś szczęśliwa!

– Ależ jestem szczęśliwa, oczywiście! – zaprzeczyła. – Jakże może być nieszczęśliwa kobieta dopiero od ośmiu tygodni poślubiona mężczyźnie, którego bez przymusu wybrała?

– „Bez przymusu wybrała!”

– Czemu powtarzasz te słowa?... Ale, Juda, przecież ja muszę wracać pociągiem o szóstej. Ty pewnie jeszcze zostaniesz.

– Tak, przez parę dni, aby uregulować interesy ciotki. Do domu już nie mamy żadnych praw. Czy mogę cię odprowadzić na pociąg?

Sue roześmiała się krótko na znak protestu.

– Raczej nie. Możesz tylko odprowadzić mnie kawalek.

– Ale zaraz! Nie możesz jechać dziś wieczorem! Ten pociąg nie dochodzi do Shaston. Musisz tu przenocować i wyruszyć jutro rano. U pani Edlin jest dużo miejsca, jeśli nie chcesz zostać tutaj.

– No dobrze – rzekła z wahaniem. – Nie obiecywałam mu, że na pewno dzisiaj wrócę.

Juda poszedł do domu mieszkającej obok wdowy, aby ją zawiadomić, a powróciwszy po paru minutach, usiadł znowu.

– To straszne, Sue, w jakiej my jesteśmy sytuacji, to straszne! – powiedział nagle, utkwivszy wzrok w podłogę.

– Nie! Dlaczego?

– Nie potrafię wyrazić, jak rozpaczliwa jest ta sytuacja dla mnie.

Co do ciebie – nie powinnaś była wychodzić za niego za męża. Zdawałem sobie z tego sprawę jeszcze przed twoim ślubem, ale sądziłem, że nie mam prawa się wtrącać. Nie miałem racji. Trzeba to było zrobić!

– Ale na jakiej podstawie tak sądzisz, mój drogi?

– Bo... bo widzę na wskroś twoich piórek, mój biedny ptaszku!

Ręka Sue leżała na stole i Juda przykrył ją dłonią. Ona zaraz swoją usunęła.

– To już absurdalne, Sue – zawołał – po tym, o czym mówiliśmy! Jestem bardziej powściągliwy i formalistyczny niż ty, jeśli o to chodzi, ale żebyś się wzdragała na tak niewinny gest, to już śmieszna niekonsekwencja!

– Może za wiele w tym było pruderii – powiedziała ze skrucą. – Wydało mi się tylko, że zbyt często chwytam się tego wybiegu. Masz, trzymaj ją sobie, jak długo chcesz. Grzeczna jestem, prawda?

– Tak, bardzo.

– Ale muszę mu się do tego przyznać.

– Komu?

– Ryszardowi.

– Ach! no tak, naturalnie, jeśli uważasz to za stosowne. Ale jeśli nie przywiązujesz do tego żadnego znaczenia, to po co niepotrzebnie zaprzętać mu głowę?

– Czy... czy na pewno robisz to tylko jako mój kuzyn?

– Na pewno. Nie zostało się we mnie żadne uczucie miłości.

– To coś nowego. Jakże do tego doszło?

– Widziałem się z Arabellą.

Sue skurczyła się pod ciosem, a potem zapytała ciekawie:

– Kiedy ją widziałeś?

– Gdy byłem w Christminster.

– A więc wróciła, a ty nie wspomniałeś o tym ani słówka! Pewnie będziesz z nią teraz żył?

– Naturalnie, tak jak ty żyjesz ze swoim mężem.

Sue popatrzyła na doniczki z pelargoniami i kaktusami, przywiędłymi wskutek braku pielęgnacji, a potem poza nie, het, daleko,

aż zwilgotniały jej oczy.

– Co się stało? – powiedział Juda łagodniejszym tonem.

– Czemu tak się cieszysz na myśl o powrocie do niej, jeśli...

jeśli... to, co mi dawniej mówiłeś jest nadal prawdziwe... to znaczy, jeśli było wtedy prawdziwe. Oczywiście przestało być prawdziwe teraz. Jak mogło twoje serce tak szybko wrócić do Arabelli?

– Przypuszczam, że Opatrzność specjalnie mi w tym dopomogła.

– Ach! to nieprawda! – powiedziała z łagodną pretensją. –

Droczysz się ze mną i tyle, bo ci się zdaje, że nie jestem szczęśliwa.

– Nie wiem. Nie chcę wiedzieć.

– Nieszczęśliwa byłabym ze swojej winy, przez mój zły charakter, a nie żebym miała powód, aby go nie lubić! On uwzględnia wszystkie moje życzenia i jest bardzo interesujący, bo ma tyle ogólnych wiadomości, które zdobywa, czytając wszystko, co mu wpadnie w rękę... Jak myślisz, Juda, czy mężczyzna powinien żenić się z kobietą w swoim wieku, czy z młodszą od siebie... o osiemnaście lat, jak w naszym wypadku?

– To zależy od tego, co do siebie czują.

Odpowiedź nie była po jej myśli i Sue musiała ciągnąć dalej bez pomocy, co uczyniła złamanym głosem i na granicy łez:

– Ja... ja myślę, że powinnam być tak samo uczciwa z tobą, jak ty byłeś ze mną. Może już wiesz, co ci chcę powiedzieć? Że chociaż lubię pana Phillotsona jak przyjaciela, nie lubię go... to dla mnie tortura... żyć z nim jak z mężem. No i wreszcie powiedziałam ci wszystko, nie mogłam się powstrzymać, chociaż poprzednio udawałam, że jestem szczęśliwa. A teraz na wieki będziesz mną pogardzał!

Opuściła twarz na ręce leżące na serwecie i szlochała w milczeniu, trzęsąc się lekko, co wprawiało w drżenie delikatny stolik na trzech nóżkach.

– Jestem mężatką dopiero parę miesięcy! – mówiła dalej, ciągle pochylona nad stołem i płacząc w dłonie. – A mówią, że to, przed czym kobieta wzdraga się w pierwszych dniach małżeństwa, po kilku latach przyjmuje z pogodną obojętnością. Ale to tak, jakby się mówiło, że amputacja kończyn nie jest upośledzeniem, bo człowiek z czasem przyzwyczaja się z całą pogodą do używania drewnianej nogi czy ręki!

Juda prawie zaniemówił, aż wreszcie powiedział:

– Wiedziałem, Sue, że coś się dzieje niedobrego. O tak, od razu to spostrzegłem!

– Ale to nie jest tak, jak tobie się zdaje! Nic nie ma niedobrego poza moim złym charakterem, bo przypuszczam, że tak to określisz... jakaś odraza z mojej strony... powodu nie mogę wyjaśnić i nie byłoby to uznane za powód przez ogół świata!... Torturą dla mnie jest uległość wobec tego człowieka, kiedykolwiek on sobie tego życzy, chociaż pod względem moralnym jest bez zarzutu!... to ten straszny układ, aby odczuwać wedle nakazu w dziedzinie, której istotą jest dobrowolność!... Wolałabym, żeby mnie bił albo mnie zdradzał, albo otwarcie robił coś, co mogłabym uznać za usprawiedliwienie tego, co odczuwam. Ale nic takiego się nie dzieje, poza tym że on może trochę ochłódł, odkąd spostrzegł moją reakcję. Dlatego nie przyjechał na pogrzeb... O! jaka ja jestem nieszczęśliwa, nie wiem, co począć!... Nie zbliżaj się do mnie, Juda, bo nie można! Nie można! Nie można!

Ale on już się zerwał i przytulił twarz do jej twarzy, właściwie do ucha, bo twarz była nieosiągalna.

– Juda, mówiłam ci, że nie można.

– Wiem, że mówiłaś... ja tylko chciałbym... cię pocieszyć! To wszystko stało się dlatego, że byłem żonaty, gdy cię poznałem, prawda? Żeby nie to, byłabyś moją żoną, Sue. Powiedz, byłabyś?

Zamiast odpowiedzi Sue szybko wstała i wyszła z pokoju, mówiąc, że pójdzie na cmentarz, do grobu ciotki, aby się uspokoić. Juda nie towarzyszył jej; dwadzieścia minut później zobaczył ją idącą przez błonie do domu pani Edlin. Wkrótce potem Sue przysłała dziewczynkę po swoją torbę podróżną, z wiadomością, że już się z nim nie zobaczy tego wieczoru, bo jest zbyt zmęczona.

Z opustoszałej izby w domu ciotki Juda wpatrywał się w chatę wdowy Edlin ginącą w cieniach nocy. Wiedział, że w jej ścianach Sue siedzi równie samotna i zboląta jak on sam, i znowu zwątpił w swoje stałe motto, że wszystko obróci się na dobre.

Wcześniej się położył, ale spał niespokojnie, czując obecność Sue w pobliżu. Około drugiej w nocy, kiedy zaczął mocniej usypiać, zbudził go przeraźliwy pisk, tak dobrze mu znajomy z okresu, kiedy stale

mieszkał w Marygreen. Był to głos królika schwytanego w potrzask. Swoim zwyczajem stworzonko nie od razu powtórzyło ten krzyk i pewnie nie odezwie się więcej jak raz czy dwa, znosząc cierpienie aż do ranka, kiedy przyjdzie myśliwy i zada mu śmiertelny cios w głowę.

Juda, który w dzieciństwie oszczędzał życie dżdżownic, zaczął teraz wyobrażać sobie męczarnie królika doznawane wskutek zmiażdżonej nogi. Jeśli był to „zły uchwyt” skoku, zwierzę będzie się miało przez następne sześć godzin dopóty, dopóki żelazne zęby potrzasku nie zedrą ciała z golenia, a wtedy, jeśli słaba sprężyna umożliwi ucieczkę, zdechnie w polu z ran na nodze. Jeśli zaś był to „dobry uchwyt”, za przednią łapkę, kość zostanie złamana i noga rozdarta nieomal na dwoje przy próbach niewykonalnej ucieczki.

Minęło prawie pół godziny i krzyk królika zabrzmiał powtórnie. Juda poczuł, że nie uleży, dopóki nie skończy cierpienia stworzenia, ubrał się więc szybko, zszedł na dół i przy świetle księżyca przeciął błonie w kierunku, skąd rozległ się krzyk. Dotarłszy do płotu przy ogrodzie wdowy, stanął bez ruchu. Kierował się teraz słabym klekotaniem potrzasku ciągniętego przez umęczone zwierzątko i gdy doszedł na miejsce, dłonią uderzył w kark królika, który padł martwy.

Wracając już w stronę domu, spostrzegł postać kobiecą wyglądającą z parterowego okna w sąsiedniej chacie.

– Juda! – odezwał się nieśmiało jakiś głos, głos Sue. – Czy to ty?

– Tak, kochanie!

– Nie mogłam wcale zasnąć, a potem usłyszałam krzyk królika i myślałam cały czas o jego cierpieniach, aż w końcu postanowiłam pójść i zabić go! Cieszę się, że ty to zrobiłeś przede mną... Zakładanie tych potrzasków powinno być zabronione, prawda?

Juda podszedł do parapetu, który był tak niski, że mógł ją widzieć aż do talii. Sue otworzyła szerzej okno i ręką przykryła jego dłoń; z wyrazem tęsknego oczekiwania zwróciła ku niemu twarz oblaną księżycową poświatą.

– Czy to królik nie dał ci spać? – zapytał.

– Nie, w ogóle nie mogłam zasnąć.

– Dlaczego?

– Ach! przecież już teraz wiesz dlaczego! Na pewno ty, wyznając

swoje religijne doktryny, uważasz, że zamężna kobieta, która ma takie kłopoty jak ja, popełnia grzech śmiertelny, zwierając się z tego mężczyźnie, tak jak ja zwierzyłam się tobie. Teraz żałuję, że to zrobiłam.

– Nie żałuj, kochanie – powiedział Juda. – Może i miałem taki pogląd, ale zaczynam się teraz żegnać z moimi doktrynami.

– Wiedziałam, wiedziałam, że tak będzie! I dlatego ślubowałam sobie nie mącić twoich wierzeń. Ale taka jestem szczęśliwa, że cię widzę. Chociaż teraz postanowiłam nie spotykać się z tobą więcej, kiedy zabrakło ciotki Drusilli, ostatniego łączącego nas ogniwa.

Juda schwycił jej rękę i pocałował.

– Pozostało jeszcze silniejsze ogniwo! – powiedział. – Teraz już porzucę moje doktryny i religię! Nie dbam o nie! Pozwól mi pomóc sobie, nawet jeśli cię Kocham i nawet jeśli ty...

– Nie można tak! Wiem, co masz na myśli, ale nie chcę aż tak wiele zdradzać. Tak! Snuj do woli swoje domysły, ale nie nalegaj, abym ci odpowiadała na pytania!

– Chciałbym cię widzieć szczęśliwą, cokolwiek ma się stać ze mną!

– Ja nie mogę być szczęśliwa. Mało kto może wczuć się w moje doznania; ludzie powiedzieliby, że to kapryśne przewrażliwienie, czy coś w tym rodzaju, i potępiliby mnie... To nie jest żadna z naturalnych tragedii miłości, to znaczy tragedia miłosna pospolita w cywilizowanym świecie, ale tragedia sztucznie wytworzona wśród ludzi, którzy gdyby żyli zgodnie z prawami natury, znaleźliby ulgę w rozstaniu... Byłoby może błędem zawierzać ci moją udrękę, gdybym mogła podzielić się nią z kimś innym. Ale ja przecież nie mam nikogo innego. A muszę komuś się zwierzyć! Juda, zanim wyszłam za niego za mąż, chociaż wiedziałam, czym jest małżeństwo, nigdy nie zastanawiałam się nad tym głębiej. To idiotyczne, nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Byłam przecież dorosła i, jak sądziłam, bardzo doświadczona. Więc po tej awanturze w seminarium nauczycielskim pośpieszyłam się z pewnością siebie osoby szalonej, jaką wtedy istotnie byłam!... Naprawdę uważam, że powinno się mieć możliwość odrobienia rzeczy popełnionej w takiej nieświadomości! To samo przytrafia się, jak przypuszczam, wielu kobietom, tylko że inne ulegają, a ja buntuję się. Co też powiedzą ludzie

późniejszej epoki, gdy spojrzą wstecz na barbarzyńskie obyczaje i przesady czasów, w których my na nasze nieszczęście żyjemy!

– Bardzo jesteś rozgoryczona, Sue! Jakżebym chciał... jakżebym chciał...

– Trzeba, żebyś już odszedł.

Pod wpływem chwilowego impulsu Sue przechyliła się przez parapet, oparła zapłakaną twarz na włosach Judy i musnąwszy ledwie wyczuwalnym pocałunkiem jego głowę, szybko się cofnęła. Nie mógł już jej wziąć w ramiona, co by niewątpliwie zrobił. Sue zamknęła okno, a on wrócił do siebie.

III

Przez całą noc Juda z prawdziwą udręką wracał do bolesnego wyznania Sue.

Następnego ranka, gdy nadeszła pora odjazdu, wieśniacy z sąsiedztwa zobaczyli Sue i jej towarzysza znikających na ścieżce, która ze wzgórza biegła ku pustej drodze do Alfredston. Po godzinie tą samą drogą wrócił Juda, już sam; na twarzy malował mu się wyraz uniesienia i wzburzenia. Bo oto co się zdarzyło.

Gdy przy pożegnaniu stanęli na pustym gościńcu, naprężony i namiętny nastrój ich obojga zrodził szaleńczą indagację, jakie granice godzi się wyznaczyć wzajemnemu zbliżeniu. Aż w końcu doszło prawie do kłótni i Sue powiedziała ze łzami, że przyszłemu proboszczowi nie uchodzi roić o takich rzeczach jak pocałunek, choćby tylko na pożegnanie, czego on właśnie teraz pragnął. A potem przyznała, że sam pocałunek jest niczym, bo wszystko zależy od ducha, w jakim będzie dany. Jeśli będzie wyrazem uczuć kuzynowskich i przyjacielskich – nie widzi przeszkód, jeżeli natomiast uczuć kochanka – wtedy nań nie pozwoli.

– Czy możesz przysiąc, że nie będzie to taki właśnie pocałunek? – powiedziała.

Nie, nie mógł tego przysiąc. I wtedy odwrócili się od siebie z wrogością i poszli każde w swoją stronę, aż w odległości dwudziestu czy trzydziestu kroków jednocześnie się obejrżeli. Spojrzenie to unicestwiło rezerwę utrzymywaną do tej pory mniej lub więcej skutecznie. Szybko pobiegli z powrotem, dopadli do siebie i objawszy się impulsywnie, całowali się długo i mocno. Gdy rozstawali się już na dobre, serce Judy głośno biło, a policzki Sue płonęły.

Pocałunek ten był punktem zwrotnym w karierze Judy. Gdy znalazł się z powrotem w chacie, zdany na łup refleksji, jedno tylko widział jasno: choć pocałunek dany tej eterycznej istocie wydawał się najczystsza chwilą jego grzesznego życia, byłoby jaskrawą niekonsekwencją dążyć nadal do stanowiska rycerza czy sługi religii, która miłość zmysłową uważa w najlepszym razie za moralną słabość, a w najgorszym za powód potępienia. To, co Sue powiedziała mu z żarem, zawierało faktycznie chłodną prawdę. Skoro myślał jedynie, aby duszą i ciałem bronić swego uczucia, aby całą siłą wytrwać w namiętnym oddaniu dla niej, *ipso facto*[21], jako wyznawca przyjętej szkoły moralności, ściągając na siebie potępienie. Najwidoczniej tak z natury, jak wskutek pozycji społecznej nie nadawał się do roli głosiciela powszechnie uznanych dogmatów.

Jakie to dziwne, że jego pierwszym dążeniem – ku wiedzy uniwersyteckiej – położyła kres kobieta, i również kobieta położyła kres następnemu dążeniu – ku kapłaństwu. „Czy to znaczy – pytał sam siebie – że winne są kobiety, czy też winien jest nienaturalny układ rzeczy, w którym normalny impuls płci przeradza się w szatańskie małżeńskie sidła i matnię, aby zdusić i wstrzymać tych, co pragną iść naprzód?”

Od dawna pragnął zostać prorokiem dla swych walczących braci, choćby w skromnym zakresie, bez jednej myśli o korzyściach osobistych. A przecież obarczony żoną żyjącą osobno z innym mężem, sam występnie zakochany i świadom buntu ukochanej kobiety, być może z jego właśnie winy, upadł już tak nisko, że według obowiązujących kryteriów ledwo mógł być uznany za człowieka godnego szacunku.

Bezczelowe były dalsze rozważania, mógł tylko stawić czoło rzeczy oczywistej: że oszukańczo podszywa się pod prawomyślnego głosiciela prawd religijnych.

Tego dnia o zmierzchu wyszedł do ogrodu i wykopał płytki dół; złożył tam wszystkie dzieła z dziedziny teologii i etyki jakie przechowywał w Marygreen. Wiedział dobrze, że w kraju ludzi niezachwianie wierzących żadna z tych książek nie osiągnie ceny wyższej niż wartość makulatury, i wolał pozbyć się ich wedle swego widzimisie, nawet gdyby zniszczenie ich w ten sposób miało go trochę kosztować. Podpaliwszy najpierw kilka broszur, pociął tomy na kawałki możliwie dokładnie i trójzębnymi widłami trząśł je nad ogniem. Zajęły się i rzucając światło na tyły domu, chlewek i twarz Judy, spłonęły do szczętu.

Chociaż nie pamiętano go już tutaj prawie zupełnie, przechodnie zagadywali doń przez ogrodzenie.

– Palicie rupiecie starej ciotki, co? Tak, tak, niemało to gratów nagromadzi się po kątach i zakamarkach, kiedy ktoś przeżyje osiemdziesiąt lat w jednym domu.

Dochodziła już pierwsza nad ranem, gdy obróciły się w popiół kartki i okładki Jeremiasza Taylora, Butlera, Doddridge'a Paleya, Puseya, Newmana i innych. Noc była cicha i w miarę jak Juda trząśł widłami strzępki papieru, doznawał ulgi i koilo go poczucie, że zerwał z obłudą wobec siebie samego. Mógł wierzyć nadal tak jak dawniej, ale niczego już nie będzie głosił, nie będzie słuchał ani narzucał nakazów wiary, które, jako ich zwolennik, powinien był stosować przede wszystkim do siebie.

Kochając Sue, będzie teraz żył jak zwyczajny grzesznik, ale już nie jak hipokryta.

Tymczasem Sue po rozstaniu z Judą poszła na stację kolejową; miała łzy w oczach i żałowała, że zawróciła i dała się całować. Juda nie powinien był udawać, że nie jest w niej zakochany, i przez to skłaniać ją do postępku niezgodnego z konwenansem, a kto wie, czy nie grzesznego. Sue skłonna była użyć tego ostatniego określenia, bo rządziła się niezwykle złożoną logiką i zdawała się hołdować wierze, że jakaś rzecz, którą uznajemy za słuszną, zanim ją wykonamy, staje się niesłuszną po wykonaniu. Albo, innymi słowy, że rzeczy dobre w teorii stają się złe w praktyce.

– Zdaje mi się, że byłam za słaba! – zawołała, biegnąc szybko

naprzód i od czasu do czasu ocierając łzy. – Pocałunek był palący jak pocałunek kochanka, tak, na pewno! Nigdy już, a przynajmniej przez dłuższy czas, do niego nie napiszę, niech wie, że mam swoją godność! Mam nadzieję, że go to zaboli, gdy będzie czekał na list jutro rano i pojutrze, i jeszcze następnego dnia, a nic z pocztą nie przyjdzie. Pocierpi w takim zawieszeniu i już! A ja się będę cieszyć!

Łzy litości dla przyszłych cierpień Judy zadanych jej własną ręką zmieszały się ze łzami, jakie wylewała z litości nad sobą.

I tak ta smukła mała kobietka, zaślubiona mężczyźnie, który budził w niej wstręt, eteryczna istota o delikatnych nerwach, przewrażliwiona, niedostosowana temperamentem i instynktami do wypełnienia warunków małżeńskiego pożycia z Phillotsonem, a być może i z żadnym innym mężczyzną, biegła gorączkowo naprzód, zadyszana, z wyrazem beznadziejnej udręki i znużenia w oczach.

Phillotson wyszedł po nią na stację i zauważywszy zdenerwowanie żony, przypisał je przygnębiającym wrażeniom, po śmierci i pogrzebie ciotki. Zaczął jej opowiadać, co robił przez cały dzień i o wizycie swego kolegi, Gillinghama, nauczyciela z sąsiedztwa, którego nie widział od lat. Gdy ulokowani na górnej platformie omnibusu wjeżdżali na zбочe prowadzące do miasta, Sue, wpatrzona w białą drogę wysadzaną leszczynowymi krzewami, powiedziała nagle, jakby sama wymierzała sobie karę:

– Ryszardzie... ja... pozwoliłam panu Fawleyowi trzymać dość długo moją rękę. Nie wiem... może uważasz, że to nie wypada?

Phillotson najwidoczniej ocknął się z myśli o czymś zupełnie innym i powiedział z roztargnieniem:

– Tak? Dlaczego to zrobiłaś?

– Nie wiem. On tego chciał, więc mu pozwoliłam.

– Mam nadzieję, że był zadowolony. Nie sędzę, aby to stanowiło dla niego nowość.

Znowu zapadło między nimi milczenie. Gdyby ta rozmowa miała miejsce w czasie sprawy sądowej przed wszechwiedzącym sędzią, mógłby on dołączyć do swych notatek ciekawy fakt, że Sue przedstawiła drobniejsze przewinienie zamiast poważniejszego, nie wspominając słowem o pocałunku.

Tego dnia po podwieczorku Phillotson zasiadł nad szkolnymi rejestrami, robiąc rachunki. Sue, z napiętymi nerwami, milcząca i niespokojna, wcześniej poszła się położyć pod pozorem zmęczenia. Była za kwadrans dwunasta, gdy Phillotson udał się na górę, znużony ślęceniem nad listą obecności uczniów. W sypialni, skąd za dnia rozciągał się widok na trzydzieści czy czterdzieści mil w dal, wzdłuż doliny Blackmoor, i het! aż do najdalszych połaci Wesseksu, podszedł do okna i przyciskając twarz do szyby, wpatrzył się bacznie w tajemniczy mrok, który teraz osłaniał rozległą panoramę.

– Zdaje mi się – powiedział wreszcie, budząc się z rozmyślań i odwracając od okna – że trzeba będzie namówić komitet, aby zmienił dostawcę materiałów piśmiennych. Wszystkie zeszyty przysłane tym razem są nie takie, jak potrzeba.

Nie otrzymał na to odpowiedzi. Sądząc, że Sue zdrzemnęła się, ciągnął dalej:

– Trzeba będzie również przenieść wentylator w klasie. Wiatr niemiłosiernie mi wieje w głowę i bołą mnie potem uszy.

Gdy cisza wydała mu się głębsza niż zwykle, rozejrzał się po pokoju. Ciężka, ponura boazeria dębowa, którą były wyłożone na dole i na górze zniszczone ściany Old-Grove House, a także masywny kominek sięgający do sufitu dziwnie kontrastowały z nowym i lśniącym mosiężnym łóżkiem i nowym garniturem mebli z brzozonego drewna, który Phillotson kupił dla Sue: oba style zdawały się wymieniać pozdrowienia poprzez trzy stulecia ponad uginającą się podłogą.

– Su! – zawołał, bo w ten sposób wymawiał jej imię. Nie było jej w łóżku, chociaż najwidoczniej kładła się, sądząc po odrzuconej pościeli z jej strony. „Może zapomniała o jakimś drobiazgu w kuchni i zeszła, aby tego doglądnąć” – pomyślał Phillotson. Zdjął surdut i czekał parę minut, ale gdy ciągle nie nadchodziła, wyszedł na klatkę schodową ze świecą i znowu zawołał:

– Su!

– Tak! – odezwał się jej głos gdzieś niedaleko kuchni.

– Co ty tam robisz o północy? Niepotrzebnie się zamęczasz!

– Nie chce mi się spać. Czytam, a tu jest ciepłej.

Phillotson położył się. Obudził się w nocy i wtedy także Sue

jeszcze nie było. Zapalił więc świecę i szybko wyszedłszy na podest, znowu na nią zawołał.

Sue odparła: „Tak” – jak za pierwszym razem, ale zabrzmiało to cichym i stłumionym tonem, co go w pierwszej chwili zadziwiło. Pod schodami znajdowała się obszerna skrytka na ubranie, bez okna. Głos zdawał się wydobywać stamtąd. Drzwi były zamknięte, ale bez zamka czy skobla. Zaniepokojony Phillotson podszedł tam, zastanawiając się, czy czasem Sue nagle nie zwariowała.

– Co ty tam robisz? – zapytał.

– Położyłam się tutaj, żeby cię nie zbudzić, bo było bardzo późno.

– Ale przecież tam nie ma łóżka! I żadnego dopływu powietrza!

Zadusisz się przecież, jeśli zostaniesz w skrytce przez całą noc!

– O, nie, na pewno nie. Nie martw się o mnie.

– Ale...

Phillotson chwycił za klamkę i pociągnął drzwi. Sue przywiązała je od środka kawałkiem sznurka, który teraz pękł. Nie było tu łóżka, więc rzuciła na podłogę parę dywaników i usłała sobie małe gniazdko na tej bardzo szczupłej przestrzeni. Gdy Phillotson zajrzał, Sue zerwała się ze swego legowiska z szeroko rozwartymi oczami i cała drżąca.

– Nie powinieneś był otwierać drzwi! – zawołała z podnieceniem.

– To zupełnie niewłaściwe! Proszę cię, wyjdź! Bardzo cię proszę!

W białej nocnej koszuli, na tle mrocznej dziury, postać jej wzbudzała taką litość, że Phillotson na serio się zaniepokoił. A ona dalej prosiła, aby zostawił ją w spokoju.

– Byłem dla ciebie dobry – powiedział – i pozostawiłem ci wiele swobody, więc to naprawdę potworne, że odnosisz się do mnie w ten sposób!

– Wiem – odparła, płacząc. – Wiem o tym! Postępuję źle, ohydnie. Bardzo tego żałuję. Ale nie mnie wyłącznie trzeba za to ganić!

– Kogo w takim razie? Może mnie?

– Nie... nie wiem zresztą! Pewnie wszechświat, w ogóle układ rzeczy, taki wstrętny i okrutny!

– Nie ma celu o tym wspominać. Żeby też taki rozgardiasz wprowadzać o tej porze nocy! Jeśli nie będziemy uważać, Eliza usłyszy.

– Eliza była to służąca. – Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby nas

zobaczył w tej sytuacji któryś z miejscowych księży! Nienawidzę takich dziwactw, Sue! Twoje uczucia są nieuporządkowane i niekonsekwentne!... Ale nie będę ci się dłużej narzucał. Chciałbym ci tylko poradzić, żebyś nie domykała zbyt dokładnie drzwi, bo inaczej znajdę cię tu jutro uduszoną.

Gdy wstał następnego ranka, od razu zajrzał do skrytki, ale Sue już zeszła na dół. Zostało po niej gniazdko, w którym leżała, a nad nim zwisała pajęczyna. „Jak silny musi być wstręt u kobiety, jeśli przewyższa strach przed pajakami” – pomyślał z goryczą.

Zastał Sue przy śniadaniu; posiłek zaczął się w zupełnym prawie milczeniu. Chodnikiem obok domu, wznoszącym się na parę stóp ponad poziomem podłogi w bawialni, a właściwie jezdnią, bo chodniki były tutaj rzadkością, przechodzili mieszkańcy miasteczka, skinieniem głowy witając po drodze szczęśliwą parę.

– Ryszardzie – powiedziała nagle Sue. – Czy nie sprawiłoby ci różnicy, gdybym zamieszkała osobno?

– Osobno? Mieszkałaś tak, zanim zostałam moją żoną. Ale w takim razie po co było w ogóle wychodzić za męża?

– Jeśli ci powiem, nie zyskam twojej sympatii.

– Nie mam nic przeciwko temu, aby się dowiedzieć.

– Po prostu czułam wtedy, że nie pozostaje mi nic innego. Nie zapominaj, że przyrzeczenie ode mnie miałeś już od dawna. Z czasem zaczęłam żałować, że ci je dałam, i starałam się znaleźć jakiś przyzwoity sposób, aby zaręczyny zerwać. Ale gdy się to nie udało, było mi wszystko jedno i przestałam dbać o konwenanse. Wiesz o plotkach, jakie potem krążyły, i jak mnie wydalono z seminarium nauczycielskiego, do którego mnie przygotowałeś i gdzie mnie umieściłeś z takim nakładem czasu i trudu. Przestraszyłam się i uznałam, że należy utrzymać nasze zaręczyny. Ja, oczywiście, najmniej powinnam była zważać na to, co ludzie mówią, bo zawsze mi się zdawało, że wcale nie dbam o ich zdanie. Ale jestem tchórzem – jak wiele kobiet – i runęło całe moje teoretyczne lekceważenie konwenansów. Gdyby to nie weszło w grę, lepiej byłoby wtedy zranić twoje uczucia raz jeden zamiast jako twoja żona ranić je później stale... Ty okazałeś wielką szlachetność, ani przez chwilę nie dając wiary plotkom.

– Uczciwość nakazuje mi wyznać, że rozważałem wszystkie możliwości i dowiadywałem się o tym od twego kuzyna.

– Ach! – zawołała niemile zdziwiona.

– Nie wątpiłbym zresztą w prawdę tego, co ty mi powiedziałaś.

– Ale dowiadywałeś się!

– Otrzymałem jego słowo.

Oczy Sue napełniły się łzami.

– On nie byłby się dowiadywał! – odparła. – Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy pozwolisz mi odejść? Wiem doskonale, jak niezwykajna jest moja prośba...

– To prawda.

– Mimo to zwracam się z nią do ciebie! Prawa rodzinne powinny uwzględniać temperamenty, które muszą być odpowiednio sklasyfikowane. Jeżeli ludzie mają w ogóle dziwaczne usposobienia, będą cierpieć wskutek takich samych reguł, jakie innym zapewniają przyjemność... Czy pozwolisz mi odejść?

– Przecież jesteście małżeństwem...

– Po co myśleć kategoriami praw i nakazów – wybuchła Sue – jeśli nas unieszczęśliwiają, chociaż wiadomo, że nie popełniamy grzechu?

– Ty popełniasz grzech, nie lubiąc mnie.

– Przecież ja cię lubię! Ale nie zastanowiłam się, że o tyle więcej... o tyle więcej jest jeszcze poza lubieniem... Gdy się przeżywa to, co ja, intymne pożycie dwojga ludzi, choćby było nie wiem jak legalne, staje się cudzołóstwem w każdych okolicznościach. Tak! Powiedziałam wreszcie to, co myślę!... Ryszardzie, czy pozwolisz mi odejść?

– Dręczysz mnie, Zuzanno, swoim naleganiem!

– Czemu nie mielibyśmy się zgodzić, aby dać sobie wolność?

Zawarliśmy umowę i na pewno możemy ją rozwiązać, oczywiście nie prawnie, tylko moralnie, zwłaszcza że nie przybyło nowych obowiązków w postaci dzieci, o które musielibyśmy dbać. O, Ryszardzie, okaż mi swoją przyjaźń i miej litość nade mną! Może za parę lat żadne z nas nie będzie już żyło, i jakie będzie miało wtedy znaczenie dla kogokolwiek, że na krótki czas zwolniłeś mnie z tych więzów? Domyślam się, że uważasz mnie za ekscentryczną czy przewrażliwioną lub niedorzeczną. No więc dobrze... w takim razie dlaczego mam cierpieć za to, że się taka

urodziłam, jeśli to nie przynosi krzywdy innym?

– Ale owszem, to przynosi krzywdę mnie! A ty przecie przysięgałaś mi miłość.

– No właśnie! Ja nie mam racji! Ja nigdy nie mam racji! Takim samym przewinieniem jest zobowiązanie, że się będzie kochać zawsze, jak wyznawanie zawsze tej samej wiary, a taką samą niedorzecznością obietnica, że będzie się zawsze lubiło jakąś specjalną potrawę czy napój.

– A czy mówiąc o mieszkaniu z dala ode mnie, masz na myśli życie samotne?

– Owszem, jeśli będziesz nalegał. Ale zasadniczo chcę zamieszkać z Judą.

– Jako jego żona?

– Jak mi się będzie podobało.

Phillotson wzdrygnął się. A Sue ciągnęła dalej:

– Ta czy ten, „kto pozwala światu czy części świata dokonać wyboru swojej drogi, nie potrzebuje żadnej innej cechy jak małpia zdolność do naśladowania”. To są słowa J. S. Milla. Właśnie odczytywałam je niedawno. Dlaczego nie możesz postąpić zgodnie z nimi? Ja zawsze tego pragnę.

– Co mnie obchodzi J. S. Mill! – jęknął Phillotson. – Jedyną rzeczą, której pragnę, to trochę spokoju! Czy pozwolisz sobie powiedzieć, że już domyśliłem się tego, co mi nigdy nie przyszło do głowy przed naszym ślubem, że ty kochałaś się i kochasz w Judzie Fawleyu.

– Możesz dalej snuć domysły, skoro już zacząłeś. Ale czy sądzisz, że gdybym była zakochana, prosiłabym cię o pozwolenie odejścia do niego?

Głos szkolnego dzwonka uratował Phillotsona od konieczności natychmiastowej odpowiedzi na to, co najwidoczniej nie uderzyło go jako zbyt przekonujące *argumentum ad verecundiam*[22], jakim ona sądziła, że się okaże, straciwszy w ostatniej chwili odwagę. Sue stała się tak zagadkowa i chwiejna, że gotów był zaliczyć do reszty jej drobnych dziwactw to najsakrajniejsze żądanie, jakiego można było oczekiwać od żony.

Jak zwykle udali się tego ranka do szkoły. Sue weszła do swojej

klasy, gdzie Phillotson mógł dojrzeć przez szklane przepierzenie tył jej głowy, ilekroć obrócił się w tamtą stronę. W czasie wykładu i przepytywania dzieci czoło i brwi drgały mu od skoncentrowanego wysiłku myśli, aż wreszcie oderwał kawałek kartki z brulionowego notatnika i napisał:

„Twoja prośba zupełnie uniemożliwia mi skupienie się przy pracy. Sam nie wiem, co robię. Czy mówiłaś na serio?”

Złożył paperek bardzo drobno i posłał z nim do Sue małego chłopczyka. Dzieciak podreptał do sąsiedniej klasy i Phillotson zobaczył, jak żona odwraca się i bierze jego notatkę, schylając ładną główkę przy czytaniu, z wargami lekko zaciśniętymi, aby powstrzymać niewłaściwy ich wyraz pod ogniem spojrzeń licznych młodocianych oczu. Nie mógł dojrzeć jej rąk, ale widać było, że zmieniła pozycję; wkrótce chłopiec wrócił, nie przynosząc żadnej odpowiedzi. Parę minut potem jednakże pojawiła się uczennica z klasy Sue z krótkim bilecikiem podobnym do tego, który Phillotson sam wysłał. Sue ołówkiem skreśliła następujące słowa:

„Bardzo mi przykro, ale mówiłam serio”.

Phillotson zdawał się jeszcze bardziej wytrącony z równowagi niż poprzednio i znowu drgało mu czoło w miejscu, gdzie spotykają się brwi. Po dziesięciu minutach zawołał dziecko, które przed chwilą posyłał do Sue, i wyprawił nowe pismo:

„Bóg jeden wie, że nie chcę przeciwstawiać Ci się w żadnej rzeczy zgodnej z rozsądkiem. Myślę tylko o tym, aby Ci było dobrze i abyś się czuła szczęśliwa. Ale nie mogę zezwolić na tak absurdalny pomysł, abyś zamieszkała z kochankiem. Straciłabyś szacunek i względy ludzi, a ja również!”

Po pewnej przerwie podobny bilecik został napisany w sąsiedniej klasie i nadeszła odpowiedź:

„Wiem, że masz na myśli moje dobro. Ale ja wcale nie chcę być szanowana! Przyczynianie się do rozwoju ludzkiego w jego najbogatszej różnorodności (cytując Twojego Humboldta) jest według mnie zadaniem stojącym wyżej niż szacunek ludzki. Moje skłonności są bez wątpienia niskie – w Twoim mniemaniu – beznadziejnie niskie! Jeżeli nie pozwolisz mi odejść do niego, czy spełnisz tę jedną prośbę z mojej

strony – abym mogła mieszkać w Twoim domu zupełnie osobno?”

Na to Phillotson nie odpowiedział.

Sue napisała znowu:

„Wiem, co myślisz. Ale czy nie możesz zdobyć się na litość dla mnie? Proszę Cię o nią, błagam o miłosierdzie! Nie prosiłabym, gdybym nie była do tego prawie przymuszona tym, czego nie mogę znieść! Żadna nieszczęsna kobieta nie pragnęła goręcej niż ja, aby Ewa nie była zgrzeszyła, a jakiś nieszkodliwy sposób wegetacji (tak jak wierzyli prymitywni chrześcijanie) mógł zaludnić Raj. Ale dość żartów na ten temat. Zdobądź się na dobroć – nawet jeśli ja się na nią nie zdobyłam w stosunku do Ciebie. Odejdę, wyjadę za granicę, gdziekolwiek, i nigdy już Cię nie będę niepokoić”.

Minęła blisko godzina i wtedy Phillotson odpowiedział: „Nie chcę Ci sprawiać bólu. Wiesz o tym aż nadto dobrze! Daj mi trochę czasu do namysłu. Skłonny jestem zgodzić się na Twoją ostatnią prośbę”.

Na to przyszło tylko kilka słów odpowiedzi: „Dzięki z całego serca, Ryszardzie. Nie zasługuję na Twoją dobroć”.

W ciągu całego dnia Phillotson wodził za nią osłupiałym wzrokiem poprzez szklane przepierzenie i czuł się tak samotny jak w czasach, kiedy jej wcale nie znał.

Ale dotrzymał słowa i zgodził się, aby Sue mieszkała osobno. Na razie, gdy spotykali się przy posiłkach, Sue wydawała mu się spokojniejsza dzięki nowemu układowi, ale drażniące położenie odbijało się na jej usposobieniu i każdy jej nerw był napięty jak struny harfy. Mówiła byle co i na byle jaki temat, aby nie dopuścić do jego uwag w związku z wiadomą sprawą.

IV

Phillotson siedział do późna w nocy, co mu się często zdarzało, próbując zebrać w jedną całość materiały o starożytnościach rzymskich – tej swojej długo zaniedbywanej pasji. Po raz pierwszy, odkąd zabrał się

ponownie do tej roboty, poczuł powracającą dawną falę zainteresowania. Zatracił poczucie czasu i miejsca i gdy wreszcie oprzytomniał i udał się na spoczynek, była blisko druga.

Tak dalece pogrążył się w myślach, że chociaż teraz sypiał po drugiej stronie domu, machinalnie poszedł do sypialni, którą dzielił z żoną po przeprowadzce do Old-Grove Place, a która teraz, wskutek nieporozumień z Sue, została oddana do jej wyłącznej dyspozycji. Wszedł i bezwiednie zaczął się rozbierać.

Od strony łóżka rozległ się krzyk i coś się tam gwałtownie poruszyło. Zanim nauczyciel zorientował się, gdzie trafił, ujrzał Sue, która z błędnym wzrokiem zerwała się na wpół rozbudzona i wyskoczyła z łóżka na podłogę z przeciwnej strony, to znaczy ku oknu. Okno było częściowo ukryte za baldachimem łóżka i w chwilę potem Phillotson usłyszał, że Sue je otwiera. Zanim zdał sobie sprawę, że żona zamierza zrobić coś więcej niż zaczerpnąć świeżego powietrza, Sue weszła na parapet i wyskoczyła. Zapadła w ciemność i nauczyciel usłyszał, jak spada na ziemię.

Wstrząśnięty, pobiegł na dół, w pośpiechu uderzając się mocno o słupek przy balustradzie na schodach. Otworzył ciężkie drzwi i wbiegł po paru schodkach na ścieżkę, a tam, na żwirze, zobaczył leżącą białą postać. Phillotson chwycił Sue na rękę, zaniósł do przedpokoju i posadził na krześle. Teraz spojrzał na nią przy chwiejnym płomieniu świecy, którą postawił w przeciagu na najniższym stopniu schodów.

Sue z pewnością nie skręciła karku. Patrzała na niego jakby niewidzącymi oczami, które wydawały się ogromne, chociaż w rzeczywistości nie były specjalnie duże. Przyciskała rękę do boku i pocierała ramię, tak jakby odczuwała ból. Potem wstała, z odwróconą twarzą, najwyraźniej spłoszona jego spojrzeniem.

– Nie zabiłaś się, chwała Bogu! Chociaż trudno powiedzieć, żebyś nie dokładała starań w tym celu! Mam nadzieję, że nie potłukłaś się dotkliwie?

Upadek rzeczywiście nie był poważny, prawdopodobnie dzięki niewielkiej wysokości starych pokoi i podniesionemu poziomowi ziemi na zewnątrz. Oprócz zadraśniętego łokcia i stłuczenia boku Sue najwidoczniej nie wyrządziła sobie żadnej krzywdy.

– Spałam chyba – zaczęła, odwracając ciągle od niego pobladłą twarz – i coś mnie przeraziło... jakiś straszny sen. Zdawało mi się, że cię widzę...

Przypomniała sobie okoliczności snu i zamilkła.

Na drzwiach wisiał jej płaszcz i nieszczęsny Phillotson przykrył nim ją.

– Czy pomóc ci pójść na górę? – zapytał posępnie, bo sens tego wszystkiego sprawił, że poczuł obrzydzenie do siebie samego i całego świata.

– Nie, dziękuję ci, Ryszardzie. Nic mi się nie stało. Mogę doskonale chodzić.

– Powinnaś zamykać drzwi na klucz – powiedział machinalnie, jakby na lekcji w szkole. – Nikt by ci wtedy nie przeszkodził, nawet niechący.

– Owszem, próbowałam, ale zamek nie działa. Wszystkie drzwi są zdezelowane.

To stwierdzenie nie poprawiło aspektu całej sprawy. Sue powoli weszła na schody w świetle chwiejnego płomienia świecy. Phillotson nie zbliżył się do niej ani nie próbował ruszyć się sam, póki nie usłyszał, że weszła do swego pokoju. Wtedy zaryglował drzwi frontowe i siadł na ostatnim stopniu schodów, objąwszy ręką jeden słupek balustrady, a twarz opierając o drugi. Tkwił tak dość długo – godny litości widok dla kogoś, kto by go zobaczył. Aż wreszcie, unosząc głowę i wydając z siebie westchnienie, które zdawało się mówić, że czy ma żonę, czy nie, życie trzeba dźwigać dalej, wziął świecę i poszedł na górę do swego pokoju po drugiej stronie klatki schodowej.

Nic więcej nie zdarzyło się już w związku z tą sprawą aż do następnego wieczoru, kiedy zaraz po skończonych zajęciach w szkole Phillotson wyszedł bez podwieczorku, nie mówiąc Sue, dokąd się udaje. Ze wzgórza, gdzie leżało Shaston, zszedł stromą drogą w kierunku północno-zachodnim i ciągle posuwał się w dół aż do miejsca, gdzie gleba z białej i suchej przeszła w zwalistą, brunatną glinę. Znajdował się teraz na nizinnym, aluwialnym terenie,

Gdzie wzgórze Duncliffe dla wędrowca znakiem,

A błotnista Stour płynie ciemnym szlakiem[23].

Niejeden raz spoglądał za siebie w rosnącą ciemność wieczoru. Na tle nieba wznosiło się Shaston, ledwie widoczne

Na siwo zwieńczonym czole Paladoru,

Gdy dzień pobladły powoli odchodził...[24]

Świeżo zapalone światła w oknach jaśniały mocnym blaskiem, jakby w niego wpatrzone; wśród nich było jego własne okno. Akurat ponad nim pinakle wieżycy na kościele św. Trójcy ledwie majaczyły. Tu, w dole, powietrze, łagodzone wilgocią grubego pokładu zwalistej gliny, różniło się od powietrza w górze; było przesycone parą i osłabiające; po paru milach Phillotson musiał obetrzeć twarz chusteczką.

Zostawiając na lewo wzgórze zwane Duncliffe, szedł naprzód w mroku pewnym krokiem, tak jak we dnie czy w nocy porusza się człowiek, który w tych stronach bawił się w dzieciństwie. Przeszedł już pół piątej mili do miejsca,

Gdzie rzeka Stour swoje siły bierze

Wzmocnienie sześciu czystymi zdrojami[25],

a wtedy minął dopływ rzeki i dotarł do Leddenton, małego miasteczka liczącego trzy czy cztery tysiące mieszkańców. Tam skierował kroki ku szkole męskiej i zapukał do mieszkania nauczyciela.

Otworzył mu chłopiec, praktykant, i na zapytanie, czy pan Gillingham jest w domu, odparł twierdząco, ale zostawił Phillotsona, aby własnym przemysłem odszukał przyjaciela. Zastał go przy odkładaniu

książek, z których korzystał przy wieczornych lekcjach. Światło lampy parafinowej padło na twarz Phillotsona, bladą i znękaną w zestawieniu z twarzą tamtego, zdradzającą trzeźwość i praktyczne nastawienie do życia. Byli kolegami za czasów chłopięcych, przed wielu laty, w szkole, a potem w seminarium nauczycielskim w Wintoncester.

– Cieszę się, że cię widzę, Dicku! Ale nie wyglądasz dobrze! Czy coś się stało?

Phillotson szedł ku niemu bez słowa, a Gillingham zamknął szafę i stanął przy gościu.

– Prawda, nie byłeś u mnie... zaraz, zaraz... chyba odkąd się ożeniłeś? Ja złożyłem ci wizytę, jak wiesz, ale nie zastałem cię w domu i, słowo daję, taka to drapanka po nocy, że czekam, aż przybędzie dnia, zanim się znowu na nią odważę. W każdym razie cieszę się, że ty nie odkładałeś odwiedzin.

Chociaż obydwaj byli ludźmi wykształconymi i doskonałymi nauczycielami, w prywatnej pogawędce używali od czasu do czasu jakiegoś słowa gwarowego z lat dziecińczych.

– Słuchaj, Jerzy, przyszedłem wyjaśnić ci powody jednego kroku, który mam uczynić, abyś ty przynajmniej zrozumiał moje motywy, jeśli inni je kiedykolwiek zakwestionują, co jest możliwe, ba, nawet zupełnie pewne... Ale wszystko jest lepsze niż obecny stan rzeczy. Niech cię Bóg zachowa od takich przeżyć jak moje!

– Siadajże. Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że... że coś złego zaszło między tobą a panią Phillotson?

– Owszem, właśnie to mam na myśli... Na tym polega moje nieszczęście, że mam żonę, którą kocham, ale która nie tylko mnie nie kocha, ale... ale... Nie, nie wymówię tego słowa. Znam jej uczucia! Wolałbym jej nienawiść!...

– Ci...cho!

– A najsmutniejszą sprawą jest to, że nie tyle ona, co ja zasługuję na naganę. Jak wiesz, była praktykantką u mnie w szkole, a ja wykorzystywałem jej brak doświadczenia, zabierałem ją na spacer i w końcu wymogłem długi okres narzeczeństwa, zanim ona to przemyślała. Potem spotkała kogoś innego, ale daną obietnicę wypełniła ślepo.

– Kochając tamtego?

– Tak. Na pozór darzy go osobliwą tkliwością, chociaż jej istotne uczucie do niego stanowi dla mnie zagadkę, myślę, że i dla niego, a możliwe, że dla niej samej również. To najdziwniejsza chyba istota, jaką spotkałem w życiu. W każdym razie uderzyły mnie dwa fakty: niezwykle powinowactwo duchowe czy podobieństwo między tym dwojgiem. To jej cioteczny brat, co może częściowo rzecz wyjaśnia. Wydają się jedną istotą rozdzieloną na dwoje! A to, wraz z nieprzełamaną awersją Sue do mnie jako do męża, choć może lubi mnie jak przyjaciela, stanowi więcej, niż potrafię dłużej znosić. Ona walczyła ze sobą z całą sumiennością, ale bez skutku. Nie jestem w stanie tego znieść, absolutnie nie jestem w stanie! Nie mogę odeprzeć jej argumentów, bo czytała dziesięć razy więcej ode mnie. Jej inteligencja skrzy się jak diamenty, a moja tli jak papier... Naprawdę nie mogę jej dorównać!

– Chyba się opamięta?

– Nie, nigdy! To znaczy... nie będę wnikał w te sprawy, ale są powody, dla których to się nigdy nie stanie. W końcu spokojnie i stanowczo zapytała, czy może mnie opuścić i odejść do tamtego. Szczytem wszystkiego było zdarzenie ubiegłej nocy; gdy przypadkiem wszedłem do jej pokoju, wyskoczyła oknem, tak silny jest jej lęk przede mną! Twierdziła, że przyczyną był sen, ale tylko po to, aby mnie uspokoić. Otóż kiedy kobieta wyskakuje przez okno, nie bacząc, czy skręci kark, czy nie, wiadomo już, jak należy to rozumieć; tak więc doszedłem do pewnego wniosku: nie należy dłużej torturować drugiego człowieka. Bez względu na to, ile by mnie to miało kosztować, nie będę takim nikczemnikiem!

– Jak to? Pozwolisz jej odejść? I to z kochankiem?

– To już jej rzecz... Ja pozwolę jej odejść; oczywiście że z nim, jeżeli będzie chciała. Może nie mam racji – kto wie. Czuję, że ani z punktu widzenia logiki, ani z punktu widzenia religii nie potrafię obronić swego ustępstwa wobec takiego jej życzenia, a także dostroić tego stanowiska do poglądów, wśród których wzrastałem. Wiem natomiast jedno: jakiś głos wewnętrzny powiada mi, że odmowa jest krzywdząca. Tak jak inni mężczyźni, uważam, że jeśli żona zwróci się

do męża z tego rodzaju prośbą, doprawdy absurdalną, jedyną drogą postępowania, jaką można uznać za słuszną, właściwą i honorową, jest odmówić, żonę starannie zamknąć na klucz, a kochanka pewnie zamordować. Ale czy to jest w gruncie rzeczy słuszne, właściwe i honorowe, czy też raczej małostkowe, samolubne i godne pogardy? Nie twierdę, abym potrafił zdecydować. Po prostu pokieruję się instynktem, a zasady niech diabli wezmą. Jeśli osoba, która nieświadomie weszła w grzędawisko, woła o pomoc, skłonny jestem udzielić pomocy, jeśli to możliwe.

– Ale, widzisz, pozostaje jeszcze zagadnienie sąsiadów, społeczeństwa... Co by to było, gdyby każdy...

– Ach! nie warto już dalej filozofować! Dostrzegam tylko to, co znajduje się w zasięgu mego wzroku.

– A jednak ja nie zgadzam się z twoim instynktem, Dicku! – odparł z powagą Gillingham. – Prawdę mówiąc, jestem po prostu zdumiony, że człowiek tak zrównoważony i stateczny jak ty mógł nawet przez chwilę ulec takiemu szaleństwu. Mówiłeś mi, że twoja żona jest zagadkowa i dziwaczna, a ja sądzę, że ty jesteś taki sam!

– Czy znajdowałeś się kiedy oko w oko z kobietą, o której wiesz, że jest z gruntu dobra, wysłuchując jej prośby o zwolnienie ze słowa? Czy taka kobieta klęczała kiedy przed tobą i błagała o pobłażliwość?

– Nigdy, chwala Bogu.

– W takim razie nie zdaje mi się, abyś był uprawniony do wydawania sądów. Ja znalazłem się w takiej sytuacji i to właśnie stanowi całą różnicę, jeśli mężczyzna posiada trochę honoru i rycerskości. Żyjąc przez tyle lat z dala od kobiet, nie miałem najlżejszego wyobrażenia, że sam fakt poprowadzenia jednej z nich do ołtarza i włożenia obrączki na jej palec może wplątać człowieka w taką codzienną, nieprzerwaną tragedię jak ta, którą z nią dzielę!

– Dobrze więc, mogę przyznać, że istnieją pewne racje, abyś jej pozwolił odejść, niechże jednak odejdzie sama. Ale żeby odeszła pod opieką swego kawalera, to właśnie stanowi różnicę.

– Wcale nie. Przypuśćmy, i takie jest moje przekonanie, że ona wolałaby raczej znosić swoją obecną biedę niż być zmuszona do obietnicy niewidywania go? To już jest jej sprawa o zupełnie innym

aspekcie niż nieuczciwe pożycie z mężem i oszukiwanie go... A przy tym ona nie dała mi wyraźnie do zrozumienia, że ma zamiar żyć z nim jak żona, chociaż sędzę, że taki właśnie ma zamiar... I o ile się orientuję, uczucie między tym dwojgiem nie jest niskie i jedynie zwierzęce, a to najgorsze w tej historii, bo nasuwa myśl, że ich miłość będzie trwała. Początkowo nie miałem zamiaru przyznać ci się, że w pierwszych tygodniach małżeństwa, kiedy byłem zazdrosny i nie znalazłem jeszcze właściwej drogi postępowania, skryłem się kiedyś w szkole, gdy oni byli tam razem, i słyszałem, co mówili. Wstydzę się tego teraz, chociaż przypuszczam, że uciekłem się do należącego mi prawa. Wywnioskowałem z ich sposobu bycia, że do przywiązania między nimi włączyło się jakieś nadzwyczajne pokrewieństwo natur, jakiś współdzwięk, co oczyściło to uczucie z jakiegokolwiek cienia gminności. Ich najwyższe pragnienie to być razem, dzielić swe wzruszenia, wyobrażenia i marzenia.

– Platonizm!

– Otóż nie. W tym jest coś bliższego Shelleyowi. Oni mi przypominają, zaraz, jakież były ich imiona? Laon i Cyntha. A także trochę Pawła i Wirginię. Im dłużej się zastanawiam, tym bardziej całkowicie biorę ich stronę!

– Ale gdyby ludzie postępowali tak, jak ty chcesz postąpić, wynikłby z tego powszechny rozkład życia rodzinnego. Rodzina przestałaby stanowić jednostkę społeczną!

– Tak jest, zresztą moje rozumowanie jest pewnie fałszywe! – ze smutkiem powiedział Phillotson. – Jak pamiętasz, nigdy nie byłem mocny w dyskusji... A jednak nie widzę powodu, dlaczego jednostką społeczną nie miałyby być kobieta z dziećmi, bez mężczyzny.

– Panie Boże wielki!... Matriarchat!... Czy ona również głosi takie poglądy?

– O, nie! Sue nie ma pojęcia, że w ciągu ostatnich dwunastu godzin prześcignąłem ją w tej dziedzinie!

– Ależ to wstrząśnie wszystkimi poglądami przyjętymi u nas. Boże wielki! co też na to powiedzą w Shaston!

– Nie twierdzę, że nie wstrząśnie... nie wiem zresztą, nie wiem!... Jak powiadam, nie umiem dowodzić, kieruję się uczuciami.

– A teraz rozważmy to wszystko spokojnie i napijmy się czegoś przy okazji – powiedział Gillingham. Poszedł do skrytki pod schodami i wyjął butelkę jabłecznika. Wypili po kieliszku. – Zdaje mi się, że nie jesteś przy zdrowych zmysłach – ciągnął dalej. – Wróć teraz do domu i postanów tolerować tę trochę kaprysów. Ale zatrzymaj żonę przy sobie. Zewsząd słyszę, że to urocze młode stworzenie.

– O, tak! I w tym tkwi cała gorycz! No, ale nie będę już dłużej siedział. Czeka mnie długa droga.

Gillingham towarzyszył przyjacielowi przez milę, a przy pożegnaniu wyraził nadzieję, że wspólna narada, jakkolwiek dziwny był jej przedmiot, odnowi ich dawne więzy koleżeńskie.

– Utrzymaj ją przy sobie! – rzucił w ciemność ostatnie słowa za Phillotsonem.

– Tak, tak! – odparł mu z mroku przyjaciel.

Ale gdy został sam wśród chmurnej nocy i otoczyła go cisza przerywana jedynie szmerem strumieni wpadających do rzeki Stour, Phillotson rzekł do siebie:

– A więc, stary druhu, nie miałeś innych mocniejszych argumentów!

– Zdaje mi się, że trzeba by jej przyłożyć klapsa na opamiętanie, to jest moja rada! – mruknął Gillingham w powrotnej drodze.

Przyszedł następny ranek i przy śniadaniu Phillotson powiedział do Sue:

– Możesz odejść... z kim zechcesz. Zgadzam się na to definitywnie, bez żadnych zastrzeżeń.

Raz już doszedłszy do tego wniosku, Phillotson utwierdzał się w przekonaniu o jego niewątpliwej słuszności. Pogoda ducha wynikająca z poczucia, że spełnia swój obowiązek wobec kobiety zdanej na jego łaskę, nieomal przemogła żal, jaki budziło zrzeczenie się praw do niej.

Minęło parę dni i nadszedł wieczór, kiedy po raz ostatni spotkali się przy wspólnym posiłku; wieczór był pochmurny i wietrzny – wiatr prawie nigdy nie ustawał w tej wysoko położonej miejscowości. Chwila ta na zawsze pozostała w pamięci Phillotsona; wygląd Sue, gdy wśliznęła się do bawialni na podwieczorek: jej smukła, gibka figurka, twarz, która pozwalała odgadnąć tragizm jej losów, zupełnie niepodobny

do dawnego okresu pełnego radości życia. Pamiętał, jak skubała jedzenie, nie mogąc przełknąć ani kawałka. Ten nerwowy sposób bycia zrodzony z lęku, czy nie skrzywdziła go swoją decyzją, ktoś obcy mógłby tłumaczyć niezadowolaniem, że Phillotson narzucił jej swą obecność w ciągu paru krótkich chwil przed wyjazdem.

– Zjedz kawałek szynki albo jajko czy cośkolwiek! Nie możesz wyruszyć w drogę o tym jednym kęsie chleba z masłem.

Sue wzięła kawałek szynki, który jej podał, i przy posiłku rozmawiali o drobiazgach związanych z gospodarstwem, jak na przykład, gdzie są klucze do tej szafy czy innej i jakie drobne rachunki są zapłacone, a jakie nie.

– Jak wiesz, Sue, jestem z natury starym kawalerem – powiedział Phillotson, bohatersko usiłując przywrócić swobodny nastrój. – A więc życie bez żony nie będzie dla mnie tak uciążliwe jak dla innych mężczyzn, którzy przez jakiś czas byli żonaci. A poza tym mam przecie tę moją wielką pasję, plan napisania *Starożytności rzymskich Wesseksu*, a to mi wypełni cały wolny czas.

– Z wielką przyjemnością przepiszę ci część rękopisu, tak jak to dotychczas robiłam, jeśli tylko mi go przyślesz! – powiedziała Sue z łagodną uległością. – Bardzo bym chciała nadal ci pomagać... jak przyjaciel.

Phillotson zastanowił się i powiedział:

– Nie, bo sądzę, że jeśli mamy się rozstać, to powinniśmy rozstać się całkowicie. I z tej racji nie chcę o nic cię pytać, a zwłaszcza nie chcę, abyś zawiadamiała mnie o swych poczynaniach ani nawet podawała mi swój adres... A teraz ile ci potrzeba pieniędzy? Oczywiście musisz mieć przy sobie trochę pieniędzy.

– Ależ, Ryszardzie, ja nawet nie chcę słyszeć, abyś mi dawał jakieś pieniądze na podróż, skoro odjeżdżam od ciebie. A zresztą w ogóle nie potrzeba mi pieniędzy. Wystarczy mi na długo to, co mam, a Juda postara się...

– Wolałbym nic o nim nie słyszeć, bardzo cię proszę. Jesteś wolna, zupełnie wolna, i możesz postępować, jak ci się podoba.

– Niech tak będzie. Ale chciałabym ci jeszcze powiedzieć, że zabrałam z sobą tylko parę moich sukien i parę drobiazków, które są

moją osobistą własnością. Wolałabym, abyś zajrzał do mojego kufra, zanim go się zamknie. Poza tym będę miała tylko małą paczuszkę, która zmieści się do torby Judy.

– W żadnym razie nie będę przeglądał twoich rzeczy! Szkoda, że nie bierzesz trzech czwartych umeblowania. Wcale nie mam ochoty zaprzętać sobie tym głowy. Jestem przywiązany do paru sztuk, które należały do moich biednych rodziców. Ale resztę chętnie ci oddam, kiedykolwiek zechcesz po to przysłać.

– Na pewno tego nie zrobię.

– Twój pociąg wyjeżdża o wpół do siódmej, prawda? Teraz jest za kwadrans szósta.

– Ryszardzie... ty... chyba tak bardzo nie żałujesz, że odjeżdżam.

– Może i nie.

– Podziwiam twoje postępowanie. To ciekawe, że od chwili kiedy widzę w tobie nie męża, ale swego dawnego nauczyciela, znowu zaczęłam cię lubić. Nie będę tak przesadna, aby mówić o miłości, bo wiesz, że moje uczucie jest jedynie przyjacielskie. Ale wydajesz mi się właśnie przyjacielem.

Przy tych rozważaniach Sue już była bliska łez, ale akurat podjechał omnibus kolejowy, aby ją zabrać. Phillotson przypilnował załadowania rzeczy na dach i pomógł jej wsiąść; przy pożegnaniu musiał zachować pozory i ucałować ją, czemu ona poddała się, zrozumiałwszy, o co chodzi. Z beztroskiego ich obejścia przy rozstaniu woźnica omnibusu nie mógł odnieść innego wrażenia jak to, że Sue udaje się na niedługą wizytę.

Gdy Phillotson wrócił do domu, poszedł na górę i otworzył okno z tej strony, w którą odjechał omnibus. Turkot kół wkrótce zamarł. Nauczyciel zszedł wtedy na dół ze ściągniętą twarzą człowieka, który cierpi. Wziął kapelusz i wyszedł na dwór, przez blisko milę posuwając się trasą omnibusu. A potem nagle zawrócił i ruszył do domu.

Ledwo wszedł, z frontowego pokoju odezwał się głos jego przyjaciela Gillinghama:

– Nikt się nie odezwał na moje pukanie, więc widząc otwarte drzwi, wszedłem do środka i rozgościłem się. Pamiętasz przecie, że obiecałem cię odwiedzić.

– Pamiętam. I jestem ci bardzo wdzięczny, że przyszedłeś właśnie dziś.

– Jak się miewa twoja pani?

– Dobrze. Właśnie wyjechała... dopiero co. Tu stoi filiżanka, z której godzinę temu piła. A tu talerzyk, z którego...

Wzruszenie chwyciło Phillotsona za gardło i nie mógł dalej mówić. Odwrócił się i odepchnął na bok zastawę podwieczorkową.

– A czy ty jadłeś podwieczorek? – zagadnął teraz gościa innym tonem.

– Nie... tak... mniejsza z tym – odparł Gillingham, bardzo przejęty. – To znaczy, ona wyjechała?

– Tak... życie bym za nią oddał; ale nie mogłem jej dręczyć w imię prawa. O ile wiem, pojechała do swego kochanka. Nie mam pojęcia, jakie mają plany. Tak czy inaczej dałem Sue na wszystko moje pełne przyzwolenie.

Wypowiedź Phillotsona zdradzała taką stanowczość i taką równowagę ducha, że powstrzymało to jego kolegę od komentarzy.

– Czy może... wolisz być sam? – zapytał.

– Nie, nie. To łaska boska, że przyszedłeś. Muszę uporządkować i odłożyć niektóre rzeczy. Czy mógłbyś mi pomóc?

Gillingham zgodził się i poszli na górę, gdzie nauczyciel pootwierał szuflady, zaczął wyjmować z nich rzeczy, które Sue zostawiła, i przekładać je do dużego pudła.

– Nie chciała zabrać wszystkiego, co proponowałem, żeby zabrała – mówił dalej. – Ale skoro raz postanowiłem, żeby Sue żyła swoim życiem, zrobiłem to bezapelacyjnie.

– Inni mężczyźni zgodziliby się najwyżej na separację.

– Całą sprawę już rozważyłem i nie chcę niczego kwestionować. Byłem i jestem człowiekiem najbardziej staroświeckim na świecie w poglądach na małżeństwo; w rzeczy samej nigdy nie myślałem krytycznie o jego stronie etycznej. Ale zetknąłem się oko w oko z pewnymi faktami i nie mogłem im się przeciwstawić.

W milczeniu pakowali dalej rzeczy. Gdy skończyli, Phillotson domknął pudło i przekręcił klucz w zamku.

– No i koniec – powiedział. – Teraz te rzeczy będą upiększały ją

dla kogoś innego, a nigdy już więcej dla mnie!

V

Dwadzieścia cztery godziny przedtem Sue napisała następujący bilecik do Judy:

„Tak się stało, jak Ci powiedziałam; wyjeżdżam jutro wieczorem. Oboje z Ryszardem uważaliśmy, że o zmroku wyjazd mniej się rzuci w oczy. Jestem trochę zdenerwowana i dlatego proszę Cię, abyś bez zawodu spotkał mnie na peronie w Melchester. Przyjadę parę minut przed siódmą. Wiem przecież, że na pewno tam będziesz, kochany! Ale taka się czuję onieśmielona, że nie mogę powstrzymać prośby o punktualność. On był nadzwyczaj dla mnie dobry przez cały ten czas!

A teraz do zobaczenia!

S.”

Gdy omnibus unosił ją coraz dalej od miasta na wzgórzu – była tego wieczoru jedyną pasażerką – Sue patrzyła ze smutkiem na uciekającą drogę. Ale twarz jej nie zdradzała wahania.

Pociąg do miasta, którym miała odjechać, zatrzymywał się tylko na żądanie. Sue wydało się dziwne, że tak potężna jednostka jak pociąg kolei żelaznej ma stanąć dla niej – zbiega od prawowitej rodziny.

Dwudziestominutowa podróż dobiegała końca i Sue zaczęła zbierać rzeczy, żeby wysiąść. W chwili gdy pociąg stanął przy peronie w Melchester, czyjaś ręka chwyciła za drzwi i Sue zobaczyła Judę. Szybko wszedł do przedziału. Niósł czarną torbę, a na sobie miał ciemne ubranie, to, które nosił w niedzielę i wieczorem, po pracy. W sumie z Judy był bardzo przystojny młodzieniec, a z oczu bił mu żar uczucia.

– Ach! Juda! – Sue obydwoma dłońmi ujęła mocno jego rękę i w napięciu nerwów parę razy zaszlochała bez łez. – Tak się cieszę, tak

się cieszę. Ja już tutaj wsiadam, prawda?

– Nie. To ja tutaj wsiadam. Zwinąłem już manatki. Oprócz tej torby mam tylko duży kufer nadany na bagaż.

– Mam nie wysiadać? Nie będziemy tu mieszkać?

– Nie moglibyśmy nawet, nie rozumiesz? Znają nas tutaj, w każdym razie mnie znają. Kupiłem bilet do Aldbrickham, a tu jest bilet dla ciebie do tej samej stacji, bo przecież zapłaciłaś za przejazd tylko do Melchester.

– Myślałam, że tu zostaniemy – powtórzyła.

– Nic by z tego dobrego nie wyszło.

– Ach, być może.

– Za mało było czasu, aby donieść ci o mojej decyzji. Aldbrickham jest dużo większe – ma sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców – i nikt tam nic o nas nie wie.

– A więc rzuciłeś pracę przy katedrze?

– Tak. Wszystko stało się dość nagle – twój list przyszedł tak niespodziewanie. Właściwie mogli byli żądać, abym pracował do końca tygodnia. Ale wytłumaczyłem, że to pilna sprawa, i pozwolili mi odejść. Nie byłbym się wyrzekł ani jednego dnia z tobą, moja droga Sue. Porzuciłem dla ciebie ważniejsze rzeczy niż pracę.

– Boję się, że wyrządzam ci krzywdę. Rujnuję twoje projekty kariery duchownej, rujnuję ci karierę zawodową, rujnuję wszystko!

– Kościół jest już dla mnie niczym. Niech spoczywa w spokoju! Nie mam zamiaru być jednym ze

Świętych bojowników, którzy szeregami

Płomieniem dążą w górę, po swe szczęście,

jeśli coś podobnego w ogóle istnieje. Mój cel szczęśliwości nie jest w górze, lecz tutaj, obok.

– Ach! jaka ja jestem podła... żeby taki zamęt wprowadzać w życie mężczyzn – powiedziała Sue ze wzruszeniem, wywołanym brzmieniem jego głosu. Ale odzyskała równowagę, gdy przejechali kilkanaście mil. –

On okazał nadzwyczajną dobroć, pozwalając mi odejść – zaczęła znowu.
– A tutaj masz list zaadresowany do ciebie; znalazłam go na mojej toalecie.

– Tak. To nie jest człowiek bez wartości – rzekł Juda, przebiegając oczami list. – Aż wstydzę się swojej nienawiści za to, że byłeś jego żoną.

– Zgodnie z regułą kaprysów kobiecych powinnam pewnie zacząć obdarzać go nagle miłością, dlatego że tak niespodziewanie i szlachetnie pozwolił mi odejść – odparła Sue z uśmiechem. – Ale tyle we mnie chłodu czy też obce mi jest uczucie wdzięczności, czy w ogóle taka już jakaś jestem, że nawet ta szlachetność nie skłoniła mnie do miłości lub skruchy albo chęci pozostania z nim jako jego żona. Chociaż bez wątpienia ujął mnie swą wspaniałomyślnością i szanuję go bardziej niż dawniej.

– Brak pobłażliwości u niego nie obróciłby się dla nas na dobre, a także twoja ewentualna ucieczka wbrew jego woli – szepnął Juda.

– Tego nigdy bym nie zrobiła.

Juda patrzył na nią, zadumany. A potem nagle pocałował ją i chciał to powtórzyć.

– Nie, Juda, proszę cię! Tylko raz...

– Jakaś ty okrutna – powiedział, ale zastosował się do jej życzenia.

– Spotkała mnie przedziwna rzecz – ciągnął po chwili milczenia. – Dostałem właśnie list od Arabelli z prośbą, abym postarał się o rozwód; powiada, że bardzo jej na tym zależy. Chciałaby uczciwie i legalnie poślubić tego mężczyznę, który faktycznie już jest jej mężem, no i prosi mnie, aby jej to umożliwić.

– I co zrobiłeś?

– Zgodziłem się. Na razie pomyślałem, że da się to zrobić bez narażania jej na kłopoty przy tym drugim ślubie, a nie chciałbym żadną miarą Arabelli zaszkodzić. Ostatecznie ona pewnie wcale nie jest gorsza ode mnie! Tutaj nikt nie zna całej sprawy i uważam, że ten proceder nie będzie zbyt trudny. Jeśli ona chce zacząć życie od nowa, ja ze swej strony mam zbyt oczywiste powody, aby jej w tym nie przeszkadzać.

– I wtedy będziesz wolny?

– Tak, będę wolny.

– Dokąd my właściwie jedziemy? – zapytała Sue, przeskakując na

inny temat, co tego dnia często jej się zdarzało.

– Do Aldbrickham, już ci mówiłem.

– Przecież dojedziemy tam bardzo późno.

– Owszem, ale pomyślałem o tym zawczasu i telegraficznie zamówiłem dla nas pokój w hotelu.

– Jeden pokój?

– Tak – jeden pokój.

Spojrzała na niego.

– O! Juda! – powiedziała i oparła czoło o ściankę w kącie przedziału. – Przyszło mi na myśl, że możesz tak zrobić i że ja cię zwodzę. Ale właśnie to nie leżało w moich zamiarach.

W czasie milczenia, które potem nastąpiło, Juda wpatrywał się z osłupieniem w ławkę po przeciwnej stronie.

– Ależ... – powiedział. – Ależ...

Zamilkł, a ona, widząc jego zawód, przytuliła twarz do jego policzka i szepnęła:

– Nie bądź zły, kochanie.

– Nic się nie stało – odparł. – Chociaż... ja to właśnie tak rozumiałem... Czy to jakaś nagła zmiana decyzji?

– Nie masz prawa pytać mnie o to, a ja nie odpowiem – powiedziała z uśmiechem.

– Moja najmilsza, stawiam twoje szczęście ponad wszystko, chociaż tak często wydajemy się być na krawędzi kłótni!... i twoja wola jest dla mnie prawem. Jestem czymś więcej niż... wyłącznie samolubem. Niech będzie tak, jak chcesz! – Po namyśle na twarzy odmalował mu się niepokój. – Ale może to znaczy, że mnie nie kochasz, a nie że tylko ulegasz konwenansom? Jakkolwiek pod twoim wpływem nienawidzę konwenansów, mam nadzieję jednak, że to właśnie konwenanse, a nie tamta straszna alternatywa.

Nawet w tym momencie, który prosił się o szczerość, Sue nie potrafiła mówić zupełnie szczerze o tej tajemniczej rzeczy, jaką było jej serce.

– Połóż to na karb mojej nieśmiałości – powiedziała śpiesznie i wymijająco. – Nieśmiałości właściwej kobiecie, gdy nadchodzi punkt zwrotny w jej życiu. Mogę sądzić, tak jak i ty, że mam najzupełniejsze

prawo żyć z tobą, jak się tego spodziewałeś... od zaraz. Mogę wyznawać pogląd, że przy właściwym układzie stosunków społecznych osoba ojca dziecka, które rodzi kobieta, będzie tak samo jej prywatną sprawą jak krój noszonej przez nią bielizny, i nikt nie będzie miał prawa zadawać jakichkolwiek pytań. Ale być może częściowo przez to, że uzyskałam wolność dzięki szczodroblewości mego męża, wolałabym raczej pozostać nieco rygorystyczna. Gdybyśmy użyli drabinki sznurowej i on gonił za nami z pistoletem, widziałabym wszystko w innym świetle i postępowałabym może inaczej. Ale nie nalegaj, Juda, i nie osądzaj mnie surowo! Przyjmij, że moja odwaga nie dorównuje śmiałości moich poglądów. Wiem dobrze, jakie ze mnie biedne, nieszczęsne stworzenie. Nie jestem zdolna z natury do tak namiętnych uczuć jak twoje!

Juda powtarzał tylko te proste słowa:

– Bo ja myślałem... zdawało mi się to naturalne. Ale jeśli nie będziemy kochankami, to trudno. Zdaje mi się, że Phillotson był tego pewny. Zobacz, co do mnie napisał. – Rozwinął list, który mu oddała Sue, i przeczytał:

„Jeden tylko stawiam warunek: że będzie Pan dla niej tkliwy i dobry. Wiem, że Pan ją kocha. Ale czasami nawet miłość może być okrutna. Jesteście dla siebie stworzeni: to oczywiste i wyczuwalne dla każdej bezstronnej doświadczonej osoby. Był Pan »tym trzecim cieniem« w krótkim okresie mojego współżycia z Sue. Powtarzam jeszcze raz, niech Pan o nią dba”.

– Jaki to dobry człowiek, prawda? – rzekła Sue głosem nabrzmiałym łzami. A po namyśle dodała: – Był zrezygnowany, pozwalając mi odejść – prawie zbyt zrezygnowany! Nigdy nie byłam tak bliska miłości do niego jak w chwili, kiedy troskliwie starał się, abym wygodnie odbyła podróż, i chciał mi dać pieniędzy. A jednak i to nie była miłość. Gdybym jako żona kochała go choćby tak wątłym uczuciem, wróciłabym do niego jeszcze teraz.

– Ale nie kochasz go?

– To prawda; tak, to gorzka prawda! Nie Kocham go.

– Ani mnie, nieledwie tego się obawiam! – rzekł Juda zgryźliwie. – Ani, być może, nikogo na świecie! Ach! Sue, czasami, gdy mnie rozniewasz, zdaje mi się, że jesteś niezdolna do prawdziwej miłości.

– O! jakie to złe i nielojalne słowa! – powiedziała Sue i odsunawszy się od niego jak najdalej, z surową miną wpatrzyła się w ciemność. Nie obracając głowy ku niemu, dodała urażonym tonem: – Moje uczucie do ciebie nie jest może takie jak uczucia niektórych kobiet. Ale polega na radości przebywania z tobą, radości o niezwykle delikatnym odcieniu i nie chcę posuwać się dalej i narażać tego uczucia na ryzyko przez... przez próbę podsyceń! Zdaję sobie w pełni sprawę, że nasze zetknięcie jako kobiety z mężczyzną, moje przyjscie do ciebie stanowiło ryzyko. Ale ponieważ jest to zetknięcie moje z tobą, postanowiłam zawierzyć, że moje życzenia postawisz ponad swoim zadowoleniem. Zresztą nie dyskutujmy o tym więcej, dobrze, kochany?

– Oczywiście, jeśli miałabyś sobie coś wyrzucać. Ale, Sue... lubisz mnie, bardzo mnie lubisz, prawda? Powiedz, że tak! Powiedz, że lubisz mnie cztery razy, dziesięć razy mniej niż ja ciebie, a i tak będę się cieszyć!

– Pozwoliłam ci się pocałować, a to już dosyć mówi.

– Przecie tylko raz!

– Patrzcie! Nie bądź taki łakomy.

Juda odsunął się i przez dłuższy czas na nią nie patrzył.

Przypomniał sobie dawniejszy epizod z życia Sue, historię biednego studenta z Christminster, z którym tak się obeszła, i ujrzał siebie jako ewentualną drugą ofiarę podobnie okrutnego losu.

– Cóż to za osobliwa ucieczka z kochankiem! – szepnął. – Może przez cały ten czas używasz mnie jako narzędzia w grze z Phillotsonem. Na to wygląda, słowo daję! Gdy patrzę, jak tu siedzisz tak oficjalnie...

– Tylko nie złość się, nie pozwalam ci! – powiedziała przymilnie, obracając się i przysuwając bliżej. – Przecież dopiero co mnie pocałowałeś i nie mogę powiedzieć, Juda, aby mi to nie sprawiło przyjemności. Ale na razie nie chcę ci pozwolić na drugi pocałunek, biorąc pod uwagę nasze położenie. Czy nie możesz tego zrozumieć?

Juda nie był zdolny oprzeć się żadnej prośbie Sue, o czym ona doskonale wiedziała. Siedzieli tak koło siebie, trzymając się za ręce, gdy nagle poruszyła ją jakaś myśl.

– Przecież ja nie mogę pokazać się w tym hotelu wobec treści twojego telegramu!

– Dlaczegoż by nie?

– Chyba doskonale wiesz dlaczego?

– Dobrze więc, na pewno znajdzie się jakiś inny hotel otwarty o tej porze. Przychodziło mi czasem na myśl, że skoro wyszłaś za Phillotsona z racji idiotycznych plotek, przy pozorach niezależności poglądów jesteś taką samą niewolnicą kodeksu społecznego jak inne kobiety.

– Nie jestem nią wewnątrz. Ale jak to już wspominałam, nie mam odwagi swoich przekonań. Zresztą nie wyszłam za niego wyłącznie z powodu plotek. Bo czasami upodobanie kobiety w tym, że jest kochaną, bierze górę nad jej sumieniem i chociaż cierpi na myśl o okrucieństwie wobec mężczyzny, zachęca go jednak do kochania siebie wtedy, gdy sama nic do niego nie czuje. A potem, kiedy patrzy na jego cierpienie, budzą się w niej wyrzuty sumienia i robi, co może, aby naprawić krzywdę.

– Chcesz po prostu powiedzieć, że najpierw skandalicznie flirtowałaś z tym biedakiem, a potem żal ci się go zrobiło i jako zadośćuczynienie zostałaś jego żoną, chociaż zadawałaś sobie w ten sposób niewypowiedzianą torturę.

– Może zaszło coś w tym rodzaju, jeśli już chcesz ująć to tak brutalnie! I to, i plotki razem wzięte, a także fakt, że ty ukrywałaś przede mną rzecz, którą powinienś był mi wcześniej powiedzieć.

Juda widział, że Sue jest pognębiona jego uwagami i bliska płaczu, więc powiedział łagodząco:

– Nie przejmuj się, kochanie! Ty mi teraz podokuczaj! Wiesz przecie, że cokolwiek byś zrobiła, jesteś dla mnie całym światem!

– Jestem bardzo zła i pozbawiona zasad, za taką mnie z pewnością uważasz! – powiedziała, usiłując rozpędzić łzy mruganiem powiek.

– Uważam i wiem na pewno, że jesteś moją najdroższą Sue, od której nie oddzieli mnie ani odległość, ani to, co jest, ani to, co będzie.

Przemądrzała w wielu sprawach, w innych Sue była tak dziecinna, że to zapewnienie jej wystarczyło i reszta podróży upłynęła w najlepszej zgodzie. Do Aldbrickham, stolicy północnego Wesseksu, dojechali około dziesiątej. Ponieważ Sue nie chciała pójść do zamówionego hotelu z powodu formy depeszy, Juda zapytał o inny. Jakiś chłopak, który zaofiarował się wynaleźć im mieszkanie, zaniósł ich bagaże do dalej

położonego hotelu „Pod Jerzym”, tam gdzie Juda spędził noc z Arabellą wtedy, kiedy raz jeden spotkali się po długiej rozłące.

Ale wchodząc teraz innym wejściem i zaprzątnięty innymi myślami, w pierwszej chwili nie poznał tego miejsca. Gdy już zajęli swoje pokoje, zeszli na późną kolację. W czasie chwilowej nieobecności Judy pokojówka wdała się w rozmowę z Sue.

– Zdaje mi się, proszę pani – powiedziała – że pamiętam pani krewnego czy znajomego, nie wiem zresztą, kim jest dla pani. Jakiś czas temu przybył do nas, późną porą, tak jak i dziś, ze swoją żoną, w każdym razie z jakąś panią, ale to na pewno był ktoś inny, nie pani.

– Tak? – powiedziała Sue z lekkim skurczem serca. – Chyba panienka się myli! Jak dawno mogło to się zdarzyć?

– Miesiąc temu czy może dwa. To była przystojna, pięknie zbudowana kobieta. Dostali ten właśnie pokój.

Gdy Juda wrócił i siedli do kolacji, Sue wydała mu się i zasępiona, i posmutniała.

– Juda – powiedziała do niego płaczliwie, gdy mówili sobie dobranoc na podeście – nie jest już nam ze sobą tak miło i przyjemnie jak dawniej. Nie podoba mi się tutaj, ten hotel jest wstrętny! I ciebie nie lubię tak, jak cię lubiałam przedtem!

– Wyglądasz na bardzo rozdrażnioną, kochanie! Czemu jesteś taka zmienna w nastrojach?

– Bo to okrucieństwo z twojej strony przyprowadzać mnie właśnie tutaj!

– Dlaczego?

– Byłeś tu niedawno z Arabellą. No i masz, powiedziałam ci prawdę!

– Jak to? czyżby... – powiedział Juda, rozglądając się naokoło. – Racja... to ten sam hotel. Doprawdy, nie miałem pojęcia, Sue.

Ostatecznie nie ma w tym żadnego okrucieństwa, skoro zatrzymaliśmy się tu w tej formie... jako krewni.

– Jak dawno to było? Powiedz mi zaraz!

– W przeddzień naszego spotkania w Christminster, i kiedy stamtąd pojechaliśmy razem do Marygreen. Mówiłem ci, że się z nią wtedy spotkałem.

– Owszem, powiedziałaś, że ją spotkałeś, ale nie powiedziałaś mi wszystkiego. Z twojego opowiadania wynikało, że spotkaliście się jak dwoje obcych sobie ludzi, którzy wcale nie byli mężem i żoną w oczach Niebios, a nie, że umówiliście się.

– Nie umawialiśmy się, Sue – rzekł ze smutkiem Juda. – Nie mogę ci tego wytłumaczyć.

– Byłeś ze mną nieszczerzy, ty, moja ostatnia nadzieja! Nigdy ci tego nie zapomnę, nigdy!

– Ale, Sue, przecież na twoje własne życzenie mamy pozostać jedynie przyjaciółmi, a nie kochankami! Jakaś ty niekonsekwentna!...

– Przyjaciele też mogą być zazdrośni!

– Nie widzę powodu. Ty mi nic nie dajesz, a ja mam ci dać wszystko, tak? Ostatecznie ty przez cały ten czas byłaś w dobrych stosunkach ze swoim mężem.

– O nie, Judo. Jak możesz tak myśleć! W każdym razie mnie tu przyprowadziłeś, chociaż może bez złej intencji.

Sue była tak rozżalona, że musiał zabrać ją do pokoju i zamknąć drzwi, aby nikt ich nie usłyszał.

– Czy to ten sam pokój? Tak, ten sam... widzę to z twoich oczu. Nie zostanę tu, nie chcę! O! jak to było zdradziecko z twojej strony zejść się z nią znowu. A ja wyskoczyłam przez okno!

– Ale Sue, ostatecznie ona była moją legalną żoną, gdyby nie to...

Osunąwszy się na kolana, Sue skryła twarz na łóżku i rozplakała się.

– Nigdy nie zetknąłem się z takim nierozsądnym uczuciem, postępujesz zupełnie jak ktoś, kto sam nie je i drugiemu nie da – powiedział Juda. – Nie wolno mi zbliżać się ani do ciebie, ani do nikogo innego, co?

– Ach! czyż ty naprawdę nie możesz mnie zrozumieć? Dlaczego nie możesz? Dlaczego jesteś taki niesubtelny?! Ja przecież wyskoczyłam przez okno.

– Wyskoczyłaś przez okno?

– Nie mogę ci tego wytłumaczyć!

Rzeczywiście niezbyt dobrze orientował się w jej uczuciach. Jednak trochę ją rozumiał i mimo wszystko kochał.

– Ja myślałam, że... że ciebie nikt inny nie obchodził... że nikogo wtedy nie pragnęłaś, tylko mnie... i wtedy, i zawsze! – ciągnęła Sue.

– To prawda. Tak właśnie było i jest nadal – powiedział Juda, tak samo strapiiony jak i ona.

– Ale widocznie musiało ci na niej bardzo zależeć albo...

– Nie... nie muszę ci chyba... ty także mnie nie rozumiesz... kobiety nigdy tego nie rozumieją! Po co doprowadzać się do takiej złości z powodu głupstwa.

Unosząc głowę znad kołdry, Sue nadała się prowokująco:

– Żeby nie to, zgodziłabym się ostatecznie na tamten hotel, tak jak proponowałeś, bo zaczęłam uważać, że należę do ciebie!

– Ach! to nie ma znaczenia! – powiedział Juda z roztargnieniem.

– Sądziłam, oczywiście, że od czasu, kiedy ona cię porzuciła tyle lat temu, i to z własnej woli, nigdy nie była już naprawdę twoją żoną! Zdawało mi się, że takie rozstanie jak twoje z nią czy moje z nim – kończy małżeństwo.

– Nie mogę nic więcej powiedzieć, nie mówiąc źle o niej, a tego chcę uniknąć – rzekł Juda. – Muszę jednak powiedzieć ci jedno, i to w każdym razie rozwiąże całe zagadnienie. Ona wyszła za innego mężczyznę, wzięła z nim prawdziwy ślub! Nic o tym nie wiedziałem aż do chwili naszego pobytu w tym hotelu.

– Wzięła ślub z innym?... Ale to przestępstwo... świat tak to traktuje, chociaż może uważa co innego.

– O! znowu ukazujesz się cała w tym powiedzeniu. Owszem, to przestępstwo, czego ty nie uważasz, lecz ze strachu przyznajesz. Ale ja nie będę składał zeznań na jej szkodę! A w niej najwidoczniej odezwało się sumienie, skoro nalega na mnie, aby załatwić sprawę rozwodu, chcąc legalnie poślubić tego mężczyznę. A więc, jak widzisz, mało jest prawdopodobne, abym ją jeszcze kiedykolwiek spotkał.

– I naprawdę nic o tym wszystkim nie wiedziałeś w czasie tego spotkania? – zapytała Sue już łagodniej, podnosząc się z klęczek.

– Nic a nic. Zważywszy to wszystko razem, nie zdaje mi się, abyś miała powody do rozdrażnienia.

– Nie jestem rozdrażniona. Ale nie pójdę do tamtego hotelu!

Juda roześmiał się.

– Trudno! – powiedział. – I tak, jeśli jestem blisko ciebie, czuję się względnie szczęśliwy. A to nawet więcej, niż na to zasługuje moja nieszczęsna, ziemską powłoka, ty mój duchu, bezcielesna istoto, ty słodka zjawo, tak bliska, a tak nieuchwytna. Gdy cię biorę w ramiona, nieomal oczekuję, że przeniknę cię jak powietrze! Wybacz mi, że jestem niedelikatny, jak to określasz! I nie zapominaj o sidłach, jakie stanowił nasz niby to kuzynowski stosunek, skoro w istocie spotkaliśmy się jak obcy. Niezgoda naszych rodziców dodała ci w moich oczach pikanterii mocniejszej niż podniecenie nowością przy zwykłej świeżej znajomości.

– W takim razie zadeklamuj ten piękny fragment z *Epipsychidiona* Shelleya, tak jakby on się do mnie odnosił! – poprosiła, pochylając się bliżej ku niemu. – Czyżbyś tego nie znał?

– Nie umiem na pamięć prawie żadnych wierszy – odparł Juda ze smutkiem.

– Nie? Posłuchaj, oto parę fragmentów:

Duch mój, natchniony, gdy błądził hen! w górze,

Spotkał istotę o dziwnej naturze.

.....

Ten seraf z nieba, słodki jak anieli

W promienną postać kobiety się wcielił.

Ach! to zbyt dla mnie pochlebne, więc przestanę. Ale powiedz, że to ja! powiedz!

– To ty, najdroższa. Ty, jak żywa!

– Teraz ci przebaczam! I możesz mnie pocałować, ale tylko raz. Jeden krótki pocałunek, o, tu!

Czubkiem palca wskazała dokładnie na swój policzek, a Juda postąpił, jak mu kazała.

– Lubisz mnie, prawda? Lubisz mnie bardzo, pomimo że ja nie...

wiesz, o co mi chodzi?

– Tak, moja najśladza – odparł Juda z westchnieniem i powiedział jej: dobranoc.

VI

Powrót Phillotsona do rodzinnego miasta na stanowisko nauczyciela wzbudził zainteresowanie i odświeżył wspomnienia mieszkańców Shaston, którzy wprawdzie nie darzyli uznaniem jego różnorodnych osiągnięć, co zapewne miałyby miejsce gdzie indziej, ale zachowali dla niego szczerzy szacunek. Gdy wkrótce po przyjeździe sprowadził sobie śliczną żonę – jej uroda, jak powiadano, mogła okazać się dla niego kłopotliwa, jeśli nie będzie uważał – z radością przyjęli ją do swego grona.

Przez pewien czas po ucieczce z domu nieobecność Sue nie wzbudzała komentarzy. W szkole zastąpiła ją po paru dniach inna młoda osoba; zamiana ta również przeszła niezauważona, bo posada Sue miała charakter przejściowy. Gdy jednakże minął miesiąc, a nauczyciel mimochodem przyznał się znajomym, że nie zna miejsca pobytu żony, ciekawość zaczynała wzbierać na sile i w końcu ludzie, przechodząc do rychłych konkluzji, zaryzykowali twierdzenie, że Sue zdradziła Phillotsona i uciekła od niego. Wzrastająca apatia nauczyciela i jego obojętny stosunek do pracy utwierdzały te przypuszczenia.

Chociaż Phillotson trzymał język za zębami tak długo, jak tylko się dało, robiąc jedyny wyjątek dla swego kolegi Gillinghama, jego uczciwość i bezkompromisowość nie pozwoliły już na milczenie, gdy nieprawdziwe wiadomości o postępowaniu Sue rozeszły się na zewnątrz. W pewien poniedziałkowy ranek zjawił się prezes komitetu szkolnego i po omówieniu spraw urzędowych odciągnął Phillotsona na bok, z dala od uszu dzieci.

– Wybaczy mi pan to pytanie, Phillotson, skoro wszyscy o tym mówią: czy to prawda, co się mówi o pana stosunkach rodzinnych? Że

pańska żona jakoby nie pojechała w odwiedziny do znajomych, lecz uciekła potajemnie z kochankiem? Jeśli tak się stało, serdecznie panu współczuję.

– Nie potrzebuje pan mi współczuć – powiedział Phillotson. – Nic się nie zdarzyło potajemnie.

– Pojechała do znajomych?

– Nie.

– A więc co się stało?

– Wyjechała w okolicznościach, które zwykle wywołują współczucie dla małżonka. Ale miała na to moją zgodę.

Prezes wyglądał, jakby ta uwaga nie dotarła do jego świadomości.

– To, co mówią, jest zgodne z prawdą – ciągnął z irytacją Phillotson. – Moja żona prosiła, abym pozwolił jej odejść z mężczyzną, którego kocha, a ja się zgodziłem. Dlaczegoż miałbym się nie zgodzić? Ponieważ jest dorosłą kobietą, jest to sprawa jej sumienia, nie mojego. Nie trzymałem jej pod kluczem w więzieniu. Nic więcej już nie mogę panu wyjaśnić. Nie życzę sobie być indagowanym.

Dzieci zauważyły niezwykłą powagę na twarzach obydwóch panów i po powrocie do domu powtórzyły rodzicom, że zdarzyło się coś nowego w związku z panem Phillotsonem. A potem mała służąca Phillotsona, dziewczynina prosto z ławy szkolnej, powiedziała, że nauczyciel pomagał żonie przy pakowaniu, proponował jej tyle pieniędzy, ile potrzebowała, i napisał przyjazny list do jej chłopca, zalecając mu, aby o nią dbał. Prezes komitetu rozważył całą sprawę, omówił ją z innymi przedstawicielami władz szkolnych i poproszono Phillotsona o prywatne spotkanie. Zebranie przeciągnęło się dość długo i gdy wreszcie nauczyciel wrócił do domu, błydy i zmęczony jak zwykle, zastał Gillinghama, który tam na niego czekał.

– A więc stało się tak, jak przepowiadałeś – zauważył Phillotson ze znużeniem, rzucając się na krzesło. – Zażądali ode mnie rezygnacji z powodu skandalicznego postępowania, jakim jest dla nich zwrócenie wolności mej udręczonej żonie lub – jak oni to nazywają – pobłażliwości w stosunku do cudzołóstwa! Ale ja rezygnacji nie złożę!

– Ja bym to chyba zrobił.

– A ja nie zrobię. Nie powinni się w to wtrącać. Ta sprawa wcale

nie ma wpływu na to, jak się wywiążę z moich obowiązków. Jeśli chcą, mogą mnie wyrzucić.

– Jeśli będziesz się wzbraniał, cała rzecz dostanie się do prasy i nie dadzą ci nominacji do innej szkoły. Bo, widzisz, oni muszą rozważyć twoje postępowanie jako postępowanie wychowawcy młodzieży i w konsekwencji skutek, jaki to wywrze na obyczaje miasta. W oczach zwykłych obywateli twojej pozycji nie da się obronić. Pozwól, że ci to powiem otwarcie.

Phillotson jednakże nie chciał posłuchać dobrej rady.

– Wszystko mi jedno – powiedział. – Nie ruszę się stąd, chyba że mnie wyrzucą. Bo składając rezygnację, przyznam, że źle postąpiłem w sprawie Sue, tymczasem z każdym dniem nabieram coraz głębszego przekonania, że w obliczu nieba i wobec naturalnych, rzetelnych praw ludzkich postąpiłem słusznie.

Gillingham zdawał sobie sprawę, że jego niezwykle uparty przyjaciel nie potrafi obronić takiego stanowiska, ale nic już więcej nie powiedział, a we właściwym czasie, to znaczy po kwadransie, przyszedł oficjalny list z wymówieniem, bo kierownictwo zatrzymało się jeszcze po wyjściu Phillotsona, aby pismo sformułować. Phillotson odpowiedział, że nie przyjmie wymówienia, i zwołał publiczne zebranie, w którym uczestniczył, chociaż czuł się bardzo słabo i źle i przyjaciel błagał go, aby został w domu. Gdy nauczyciel wstał, aby podać swoje racje przeciwstawienia się decyzji władz szkolnych, wytoczył je równie stanowczo jak poprzednio przed przyjacielem, a ponadto wysuwał jeszcze argument, że cała sprawa jest czysto prywatna i nikogo nie powinna obchodzić. Ten argument oni znowu obalili, podtrzymując swoje stanowisko, że prywatne dziwactwa nauczyciela jak najbardziej należą do ich kompetencji, jako że dotyczą moralności uczniów. Na co Phillotson odparł, że nie może zrozumieć, w jaki sposób czyn najnaturalniejszego miłosierdzia może zaszkodzić moralności.

Wszyscy szacowni mieszkańcy miasta i zamożni współziomkowie Phillotsona powstali przeciwko niemu jak jeden mąż. Ale nauczyciela zadziwił nieco fakt, że w jego obronie jak spod ziemi wyrosło kilkunastu sprzymierzeńców.

Jak już wspomniano poprzednio, Shaston stanowiło macierzysty

port osobliwej i ciekawej grupy wędrownej ludności, która w ciągu letnich i jesiennych miesięcy objeżdżała liczne jarmarki i targi we wszystkich stronach Wesseksu. Chociaż Phillotson nie zamienił ani jednego słowa z którymkolwiek z tych dżentelmenów, oni teraz szlachetnie stanęli w jego obronie, walcząc o straconą sprawę. W grupie znajdowało się dwóch wędrownych przekupniów, jeden właściciel strzelnicy wraz z damami zatrudnionymi przy nabijaniu broni, paru mistrzów bokserskich, zarządca karuzeli o napędzie parowym, dwie wędrowne handlarki mioteł, podające się za wdowy, sprzedawca pierników, właściciel huśtawki w kształcie łódki i osobnik obsługujący przyrząd „wypróbuj swą siłę”.

Ta szlachetna falanga popleczników i jeszcze kilka osób o niezależnym sędzie, których życie rodzinne doświadczało zmiennych kolei, wystąpiła naprzód, aby serdecznie uścisnąć dłoń Phillotsona, po czym z taką mocą wyraziła swe poglądy wobec zgromadzonych, że nastąpił ogólny tumult, tablica pękła na dwoje, zawartość kałamarza znalazła się na gorsie koszuli jednego z ojców miasta, a członek rady kościelnej zdzielono tak tęgo mapą Palestyny, że głowa mu wyszła akurat przez Samarytanię. Również niejedno oko zostało podbite i niejeden nos zaczął krwawić, nie wyłączając, o zgrozo! nosa wielebnego proboszcza, co było dziełem zapalczywego i rozbestwionego kominiarza, który przyłączył się do stronnictwa Phillotsona. Gdy ten ostatni spostrzegł krew ciekącą po twarzy pastora, nieomal z jękiem wyraził ubolewanie z powodu niefortunnego i niemiłego zajścia i żal, że odmówił rezygnacji wtedy, gdy go do tego wzywano, po czym odszedł do domu tak chory, że nazajutrz nie mógł opuścić łóżka.

To humorystyczne, a jednak smutne zdarzenie zapoczątkowało poważną chorobę Phillotsona. Leżał samotnie w łóżku, w litości godnym nastroju starzejącego się człowieka, który w końcu spostrzegł, że jego życie, umysłowe i rodzinne, zmierza ku klęsce i rozpacz. Wieczorami odwiedzał go Gillingham i pewnego razu wspomniał o Sue.

– Ja już nic dla niej nie znacę – powiedział Phillotson. –
Dlaczego miałaby się o mnie troszczyć?

– Ona nie wie, że jesteś chory.

– Tym lepiej dla nas obojga.

– Gdzież oni mieszkają, ona i jej kochanek?

– Przypuszczam, że w Melchester. Przynajmniej on tam mieszkał jakiś czas temu.

Po powrocie do domu Gillingham usiadł, zastanowił się i w końcu napisał anonimowy list do Sue, bez wielkich szans, że do niej dojdzie, bo włożył go do koperty z adresem Judy w biskupiej stolicy. Z Melchester przesłano list do Marygreen w północnym Wesseksie, a stamtąd jedyna osoba znająca obecny adres Judy, wdowa, która pielęgnowała jego ciotkę, odesłała mu list do Aldbrickham.

Trzy dni później, pod wieczór, kiedy słońce w całej swej świetności zachodziło nad nizinami obszarami Blackmoor, w oczach wieśniaków z doliny upodobił się okna w Shaston do płomienistych języków, choremu nauczycielowi wydało się, że ktoś wszedł do domu, a po chwili rzeczywiście rozległo się pukanie do drzwi sypialni. Phillotson nie odezwał się; z wahaniem uchylono drzwi i weszła... Sue.

Miała na sobie jasną, wiosenną suknię i wsunęła się jak duch, jak ćma w locie. Phillotson obrócił ku niej wzrok i spłonął rumieńcem, ale powstrzymał pierwszy impuls i nie odezwał się.

– Nie mam prawa tutaj przychodzić – powiedziała Sue, pochylając ku niemu przerażoną twarzyczkę. – Ale dowiedziałam się, że jesteś chory, poważnie chory, i... i ponieważ wiem, że uznajesz również inne uczucia między mężczyzną i kobietą oprócz miłości fizycznej, więc przyjechałam.

– To nie jest poważna choroba, moja droga. Jestem tylko trochę niezdrów.

– O tym nie wiedziałam, a obawiam się, że jedynie ciężka choroba mogłaby usprawiedliwić mój przyjazd!

– No tak... tak. Wolałbym właściwie, abyś nie przyjeżdżała. To trochę jeszcze za wcześnie... o to mi tylko chodzi. Ale nie mówmy o tym. O szkole chyba nic nie wiesz?

– Nie... a co się stało?

– Nic się nie stało, tylko wyjeżdżam stąd gdzie indziej. Nie zgadzamy się wzajemnie z władzami szkolnymi i mamy się rozstać. To wszystko.

Ani przez chwilę, czy to teraz, czy kiedykolwiek później, Sue nie

nasunęło się podejrzenie, jakie kłopoty ściągnęła na Phillotsona zgoda na jej odejście. Nigdy o tym nie pomyślała, a z Shaston nie doszły do niej żadne wieści. Rozmawiała teraz z mężem o błażych i nieważnych rzeczach, a gdy mała służąca przyniosła Phillotsonowi podwieczorek, powiedział, ku jej zdziwieniu, że trzeba podać filiżankę dla Sue. Ta młoda osóbka interesowała się ich historią bardziej, niż przypuszczali, i gdy zeszła ze schodów, uniosła w górę wzrok i rękę groteskowym gestem zdumienia. Przy herbacie Sue podeszła do okna i rzekła z zadumą w głosie:

– Jaki piękny zachód, Ryszardzie.

– Stąd właśnie jest najpiękniejszy widok dzięki temu, że promienie słońca padają poprzez mgłę w dolinie Blackmoor. Ale ja nigdy zachodu nie widzę, bo słońce nie dociera do tego ponurego kąta, gdzie leżę.

– Czy nie zechciałbyś zobaczyć zachodu słońca właśnie dzisiaj?

Wygląda to tak, jakby otwarło się niebo.

– Tak! Ale jakże ja mogę to zobaczyć?

– Już ja ci to urządzę.

– Nie da się przecież przesunąć łóżka.

– Poczekaj, zobaczysz, co mam na myśli.

Sue podeszła do tremy i przeniosła je pod okno, tam gdzie mogło odbić światło słoneczne, i dopóty nastawiała zwierciadło, dopóki promienie nie padły na twarz Phillotsona.

– Widzisz – teraz możesz zobaczyć wielkie, czerwone słońce! – powiedziała. – To cię na pewno rozweseli, tak bardzo chciałabym, żebyś się rozweselił.

Mówiła z dziecięcą, skruszoną łagodnością, tak jakby nie istniały granice dla tego, co gotowa jest dla niego zrobić.

Phillotson smętnie się uśmiechnął.

– Dziwne z ciebie stworzenie! Co za pomysł, żeby mnie odwiedzić po tym, co zaszło.

– Nie powracajmy do tamtej sprawy! – śpiesznie powiedziała Sue.

– Muszę złapać omnibus do pociągu, bo Juda nie wie, że wyjechałam, nie było go wtedy w domu, powinnam więc zaraz wracać. Tak się cieszę, Ryszardzie, że ci lepiej. Nie czujesz do mnie nienawiści, prawda? Byłeś dla mnie takim dobrym przyjacielem!

– Rad jestem, że to słyszę – odparł ochryple Phillotson. – Nie, nie czuję do ciebie nienawiści.

Podczas ich urywanej rozmowy mrok szybko zapadł w ponurym pokoju, a gdy wniesiono świece i nadeszła pora odjazdu, Sue włożyła rękę w jego dłoń, a raczej pozwoliła sobie ją musnąć, bo odznaczała się przedziwną lekkością dotknięcia. Już prawie zamknęła za sobą drzwi, kiedy Phillotson zawołał: „Sue!”. Zauważył bowiem, że odchodząc od niego, twarz miała we łzach i drżące wargi.

Przywoływanie Sue nie było dobrą polityką. Czuł to, gdy brnął w tym dalej. Ale nie mógł się powstrzymać. Ona zawróciła od drzwi.

– Sue – szepnął – czy chcesz się pogodzić i zostać? Przebaczę ci i daruję wszystko!

– O, nie! nie! tego nie możesz zrobić! – rzekła pośpiesznie. – Teraz już nie możesz mi darować!

– Masz na myśli to, naturalnie, że on jest teraz faktycznie twoim mężem?

– Tak. Stara się o rozwód ze swoją żoną, z Arabellą.

– Z żoną! Pierwszy raz słyszę, że on ma żonę.

– To było nieudane małżeństwo.

– Tak jak twoje.

– Tak jak moje. Juda przeprowadza rozwód nie tyle ze względu na siebie, co na nią. Arabella napisała do niego, że będzie to dla niej dobrodziejstwem, gdyż wtedy mogłaby wyjść za mąż i żyć przyzwoicie. A Juda zgodził się.

– Żona... Dobrodziejstwo dla niej. Ach! tak; dobrodziejstwo obdarzenia jej wolnością... Ale nie lubię brzmienia tego słowa. Ja potrafię przebaczyć, Sue.

– Nie, nie! Nie możesz mieć mnie tutaj z powrotem, skoro byłam tak niegodziwa, aby od ciebie odejść.

Twarz Sue przyoblekł rodzący się strach, który pojawiał się, ilekroć Phillotson przeistaczał się z przyjaciela w małżonka, skłaniając ją do zajęcia każdej możliwej pozycji obronnej przeciwko jego małżeńskim uczuciom.

– Już naprawdę muszę iść. Ale jeszcze przyjadę do ciebie, można?

– Nie proszę cię, abyś odjeżdżała, nawet i teraz. Proszę cię, abyś

została.

– Dziękuję ci, Ryszardzie, ale już muszę iść. Nie jesteś tak ciężko chory, jak myślałam, więc nie mogę zostać!

– Ona już do niego należy, całkowicie do niego! – powiedział Phillotson, ale tak cicho, że Sue, która zamykała właśnie drzwi, nie mogła usłyszeć. Obawa przed powrotem dawnych uczuć nauczyciela, połączona, być może, z pewną wstydlivością, aby nawet on nie dowiedział się o jej braku poczucia odpowiedzialności – ujmując to z męskiego punktu widzenia – i niekonsekwencji postępowania, powstrzymały Sue od wyznania mu prawdy o swoich, jak dotychczas, niepełnych stosunkach z Judą. Więc Phillotson wił się w męczarniach jak w piekle, wyobrażając sobie to ładnie ubrane stworzenie noszące jego nazwisko, tę oszołamiającą mieszaninę sympatii do niego i niechęci, z niecierpliwością powracające do domu kochanka.

Gillingham okazywał takie zainteresowanie sprawami Phillotsona i taką o niego troskę, że dwa czy trzy razy na tydzień wspinał się pod górę do Shaston, chociaż w obie strony był to spacer dziewięćmiłowy, który trzeba było odbyć pomiędzy podwieczorkiem a kolacją po całodziennej ciężkiej pracy w szkole. Gdy przyszedł po raz pierwszy już po odwiedzinach Sue, zastał przyjaciela na dole i zauważył, że jego niepokój ustąpił miejsca większemu opanowaniu.

– Ona tutaj była po twojej ostatniej wizycie – powiedział Phillotson.

– Chyba nie mówisz o swojej żonie?

– Owszem.

– Ach! pogodziliście się?

– Nie... Przyszła tylko mnie odwiedzić, białą rączką poprawiła mi poduszki, w ciągu pół godziny odgrywała rolę troskliwej pielęgniarki i odeszła.

– A to dopiero! Co za mała szelma!

– Co mówisz?

– Och! nic.

– Co przez to rozumiesz?

– Że to kapryśna mała dręczycielka! Gdyby nie była twoją żoną...

– Nie jest nią; jest żoną innego mężczyzny, chociaż nie jest to

uregulowane prawnie i nosi moje nazwisko. I właśnie myślałem – nasunęła mi to rozmowa z nią – że dla jej dobra powinienem rozwiązać i węzły prawne. Tak się osobliwie składa, że chyba mogę to teraz zrobić, skoro zjawivszy się tutaj, nie chciała pozostać mimo zapewnień o mym przebaczeniu. Sądzę, że ten fakt daje pretekst do rozwodu, chociaż nie spostrzegłem tego od razu. Jakiż jest cel trzymania jej w okowach przymusu, skoro i tak już do mnie nie należy? Wiem o tym, czuję to z absolutną pewnością, że Sue przyjęłaby z radością moje kroki w tym kierunku jako akt wielkiego miłosierdzia. Bo chociaż jako człowiek Sue mi współczuje i żałuje mnie, i nawet płacze nade mną, nie może mnie znieść jako męża. Ona po prostu czuje do mnie wstręt, nie ma co tego ukrywać i jedyną drogą godną mężczyzny i miłosierną jest dopełnić tego, co zacząłem... Ze względów praktycznych niezależność będzie dla niej także korzystniejsza. Ja przecież beznadziejnie zrujnowałem swoje plany życiowe przez wybór tego, co było dla nas najlepszym wyjściem, chociaż ona sobie z tego nie zdaje sprawy. Widzę teraz przed sobą jedynie nędzę, aż do grobu, bo nikt mnie już teraz nie przyjmie jako nauczyciela. Prawdopodobnie dosyć będę miał trudności, aby związać koniec z końcem, skoro straciłem swój zawód, i łatwiej mi będzie znosić to samotnie. Mogę właściwie powiedzieć ci jeszcze i to: na moją decyzję zwrócenia jej wolności wpłynęła wiadomość, że Fawley także przeprowadza rozwód.

– Jak to? to on także jest żonaty? Dziwna z nich para kochanków!

– Nie proszę cię o opinię. Chciałem tylko powiedzieć, że zwrócenie wolności nie sprawi jej krzywdy, a otworzy drogę do szczęścia, o czym do tej pory nawet nie marzyła. Bo wtedy będą mogli się pobrać, co powinni byli zrobić od razu.

Gillingham nie śpieszył się z odpowiedzią.

– Chociaż mogę się nie zgadzać z twoimi motywami – powiedział łagodnie, bo szanował poglądy, których nie mógł podzielać – uważam twoje postanowienie za słuszne, jeśli będziesz mógł je wprowadzić w czyn. Jednakże wątpię, czy ci się to uda.

[21] Tym samym (łac.).

[22] Odwołanie się do skromności (łac.).

[23] William Barnes.

[24] William Barnes.

[25] Drayton.

Część piąta

W ALDBRICKHAM I GDZIE INDZIEJ

Eteryczna cząstka twojej istoty
i wszystkie płomienne elementy są
w tobie zmieszane; choć z natury
swej dążą wzwyż, ciągle jeszcze,
posłuszne prawom wszechświata,
ulegają przewadze tej złożonej substancji – ciała.

M. ANTONINUS

I

Jak dalece los potwierdzał wątpliwości Gillinghama, okaże się niezawodnie, gdy przeskoczymy przez szereg niewesołych miesięcy i wydarzeń po wypadkach przedstawionych w ostatnim rozdziale i zatrzymamy się na pewnej niedzieli w lutym następnego roku.

Sue i Juda mieszkali w Aldbrickham, a ich wzajemne stosunki pozostały dokładnie takie same jak przed rokiem, kiedy ustalili je po przyjeździe Sue z Shaston. Postępowanie sądowe dotarło do ich świadomości jako odległe echo i nowina o drugorzędnym znaczeniu, które ledwie zrozumieli.

Tego dnia spotkali się jak zwykle przy śniadaniu. Mieszkali w małym domku opatrzonym tabliczką z nazwiskiem Judy, który wynajął go za piętnaście funtów rocznie plus trzy funty i dziesięć szylingów podatku i umeblował starymi gratami ciotki. Przewóz mebli z Marygreen kosztował zresztą prawie tyle samo, co były warte. Sue prowadziła gospodarstwo i zajmowała się wszystkim w domu.

Gdy Juda wszedł rano do pokoju, Sue podała mu list, który właśnie przyszedł pod jej adresem.

– Co to za list? – zapytał, gdy ją pocałował.

– Wyrok *nisi*[26] w sprawie Phillotson contra Phillotson i Fawley, wydany pół roku temu, uzyskał teraz pełną ważność.

– Ach, tak – powiedział Juda, siadając do stołu.

Taki sam ostateczny wyrok zapadł parę miesięcy temu w sprawie Judy przeciwko Arabelli. Obydwie sprawy zbyt były błahe, aby miały doczekać się obszerniejszych wzmianek w gazetach poza samymi nazwiskami wśród długiej listy innych spraw rozwodowych.

– No więc teraz, Sue, możesz w każdym razie robić, co ci się podoba.

I z dziwnym wyrazem twarzy spojrział na swoją miłą.

– To znaczy my, i ty, i ja, jesteśmy teraz tak wolni, jak gdybyśmy w ogóle nigdy nie brali ślubu?

– Tak, chociaż sędzę, że może się znaleźć duchowny, który będzie miał osobiste zastrzeżenia co do udzielenia powtórnego ślubu i skieruje cię do innego księdza.

– Ale właściwie ciekawa jestem... czy rzeczywiście myślisz, że to dotyczy naszego przypadku? Wiem, że na ogół tak się dzieje, ale sama mam jakieś nieprzyjemne poczucie, że uzyskałam wolność pod fałszywymi pozorami!

– Jak to?

– Bo przecież nie zapadłby taki wyrok, gdyby prawda o nas była im wiadoma. Wyrok jest dlatego właśnie taki, że nie broniliśmy się i wobec tego nasunęliśmy im fałszywe domniemanie, czyż nie? A więc moja wolność jest chyba bezprawna, jakkolwiek wyrok był zgodny z prawem.

– Dlaczego dopuściłaś do tego, aby pozory były fałszywe? Wina leży wyłącznie po twojej stronie – powiedział złośliwie Juda.

– Juda, przestań! Nie powinieneś ciągle mieć o to pretensji. Musisz brać mnie taką, jaka jestem.

– Naturalnie, kochanie, tak też robię. Może i miałaś rację. A wracając do twego pytania, nie mieliśmy obowiązku dostarczać żadnych dowodów. To była rzecz tamtej strony. W każdym razie jesteśmy razem.

– Tak. Chociaż nie w tym znaczeniu, jak oni sądzą.

– Jedno jest pewne, że czemukolwiek zawdzięcza się wyrok, małżeństwo pozostaje nieważne, gdy już raz zostało rozwiązane. Dobra strona położenia takich biednych i nikomu nieznanymi ludzi jak my polega na tym, że podobne sprawy odbywają się raz-dwa, szybko i łatwo. To samo da się powiedzieć o mnie i o Arabelli. Obawiałem się, że jej drugie małżeństwo, niezgodne z prawem, zostanie odkryte, a ją osiągnie kara. Ale nikt się nią nie zainteresował, nikt się nie dopytywał i nawet nie podejrzewał niczego. Gdybyśmy należeli do szlachetnie urodzonych, z zatwierdzonym rodowodem, mielibyśmy niekończące się kłopoty, a badania ciągnęłyby się przez całe tygodnie.

Sue stopniowo zaczęła podzielać zadowolenie Judy z poczucia wolności i zaproponowała spacer wśród pól choćby za cenę zimnego obiadu. Juda zgodził się, więc pobiegła na górę przygotować się do wyjścia. Włożyła wesołą, barwną sukienkę, aby uczcić okazję odzyskanej swobody, wobec czego Juda zmienił krawat na jaśniejszy.

– A teraz pójdziemy pod rękę, tak jak wszyscy narzeczeni – powiedział. – Mamy do tego pełne prawo.

Wyszli z miasta, a potem podążyli ścieżką poprzez niziny. Ziemia była zmarznięta, a rozległe pola nagie i bezbarwne. Ale oboje tak zaabsorbowała nowa sytuacja, że ledwie zwracali uwagę na otoczenie.

– A więc, moja najdroższa, w rezultacie będziemy się mogli wreszcie pobrać.

– No tak, przypuszczam, że będziemy mogli – powiedziała Sue bez entuzjazmu.

– I zrobimy to, prawda?

– Nie chciałabym mówić: nie, Judo. Ale zapatruję się na to tak samo jak cały czas przedtem. Czuję akurat taki sam lęk, że żelazny kontrakt może zniszczyć twoje serdeczne uczucia dla mnie i moje dla ciebie, jak się to stało w wypadku naszych nieszczęsnych rodziców.

– A jednak, co innego nam pozostaje? Wiesz dobrze, że cię kocham, Sue.

– Wiem to aż nadto dobrze. Ale chyba wolałabym, abyśmy zawsze żyli jak narzeczeni, tak jak teraz, i spotykali się tylko w dzień. To ma o tyle więcej uroku, przynajmniej dla kobiety, jeśli jest pewna uczuć mężczyzny. A od tej chwili nie potrzebujemy zwracać tyle uwagi na pozory co dawniej.

– Muszę rzeczywiście przyznać – powiedział Juda dość posepnie – że nasze obopólne doświadczenia w poprzednich związkach małżeńskich nie były zachęcające, czy to ze względu na nasze natury, niedostosowane do realnego życia i które niełatwo zadowolić, czy też z powodu braku szczęścia. Ale... ty i ja...

– Będziemy dwiema istotami, które niełatwo zadowolić, a związanymi ze sobą, coś dwa razy gorszego niż poprzednio... Zdaje mi się, Judo, że zacznę się ciebie lękać, z chwilą kiedy nabyłeś prawo do kochania mnie na mocy pieczętki rządowej, a ja otrzymałam zezwolenie

poddania się twojej miłości... Uh! jakie to okropne i brudne! A przecież takiemu, jaki jesteś, wolnemu, ufam więcej niż komukolwiek na świecie.

– Nie, nie... nawet nie mów, że ja mógłbym się zmienić! – protestował Juda, a jednak i w jego głosie brzmiała obawa.

– Niezależnie od nas dwojga i naszych niefortunnych, dziwacznych cech, ludzkiej naturze w ogóle przeciwna jest miłość do kogoś, jeśli nakazano z góry, że ma się kochać tę właśnie osobę. Większe szansę miałyby miłość, której by wzbroniono. Gdyby obrządek ślubu polegał na przysiędze i podpisanej przez strony umowie, że od tego dnia przestaną się kochać wobec anulowania prawa do siebie, i że będą publicznie jak najstaranniej unikać swego towarzystwa, więcej byłoby kochających się par niż obecnie. Wyobraź sobie tylko te sekretne spotkania pomiędzy krzywoprzysięskim mężem i żoną, te zaprzeczenia, że się widzieli, to wspinanie do okna sypialni i chowanie w szafie! Wtedy ich stosunki nie byłyby narażone na ochłodzenie.

– Owszem, ale, przyznając takim czy podobnym pomysłem słusność, trzeba powiedzieć, moja droga, maleńka Sue, że nie jesteś jedyną istotą na świecie, która to spostrzega. Ludzie pobierają się, bo nie mogą oprzeć się siłom natury, chociaż wiele osób wie doskonale, że przyjemność trwającą miesiąc kupują za cenę całego zmarnowanego życia. Moi rodzice i twoi rodzice bez wątpienia o tym wiedzieli, jeśli w ogóle mieli taki sam nałóg obserwacji jak my. Ale mimo to poszli do ołtarza, bo rządziły nimi zwyczajne namiętności. Ale ty, Sue, jesteś taką zwiewną, bezcielesną istotą, która, pozwól mi to powiedzieć, posiada w sobie tak mało zwierzęcych namiętności, że możesz kierować się w tych sprawach rozumem, podczas gdy my, biedni nieszczęśnicy ulepieni z solidniejszej substancji, tego nie potrafimy.

– A więc – westchnęła Sue – przyznałeś sam, że małżeństwo prawdopodobnie skończyłoby się dla nas niedolą. A ja nie jestem tak wyjątkową kobietą, jak ci się zdaje. Mniej kobiet, niż przypuszczasz, znajduje zadowolenie w małżeństwie; wychodzą zaś za mąż ze względu na godność, jaką małżeństwo rzekomo zapewnia, i na towarzyskie korzyści, które przez nie czasami zyskują. Ale ja jestem gotowa obejść się bez tej godności i bez tych korzyści.

Juda ponowił swoją dawną skargę, że jakkolwiek są ze sobą blisko,

nigdy od niej nie usłyszał, że go kocha lub że kiedyś go zdoła pokochać.

– Doprawdy obawiam się czasami, że nie jesteś zdolna do miłości – powiedział z podejrzliwością bliską gniewu. – I taka jesteś powściągliwa. Wiem, że kobiety uczą się jedne od drugich, jakoby nigdy nie należało wyznawać mężczyznom pełnej prawdy. Ale przecież najwyższa forma uczucia opiera się na zupełnej szczerości obu stron. Nie znając mężczyzn, takie istoty nie wiedzą, że powracając myślą do kobiet, z którymi łączyły go bliskie stosunki, serce mężczyzny najwięcej łączy do tej, co w postępowaniu swoim hołdowała samej prawdzie. Mężczyzny na wyższym poziomie, nawet jeśli złapał się na trzpiotowate sztuczki i wykręty, nie da się tym zatrzymać. A kobietę prowadzącą zbyt często grę nieuchwytności czeka Nemezis w postaci całkowitej pogardy, jaką prędzej czy później poczują do niej dawni jej adoratorzy; i w nastroju tej pogardy nie będą jej opłakiwać, gdy pójdzie do grobu.

Na twarzy Sue wpatrzonyj w dal odmalowało się poczucie winy. Nagle odezwała się głosem o tragicznym brzmieniu:

– Nie lubię cię dzisiaj, Juda, tak jak dawniej!

– Tak? Dlaczego?

– Jesteś niemiły... przybrałeś zbyt kaznodziejski ton. Chociaż widocznie jestem aż tak zła i bezwartościowa, że zasługuję na najsurowsze kazania!

– Nie, nie jesteś zła. Jesteś bardzo kochana, ale wymykasz się z rąk jak piskorz, ile razy chcę od ciebie wyciągnąć jakieś wyznanie.

– Właśnie że jestem zła i uparta, i taka, i siaka! Nie potrzebujesz udawać, że nie! Ludzi, którzy są dobrzy, nie trzeba łajać tak jak mnie... Ale skoro nie mam nikogo oprócz ciebie, nikogo, kto by się za mną ujął, to okrutne, że nie wolno mi samej zdecydować, jak się mają ułożyć nasze stosunki i czy mamy wziąć ślub, czy nie!

– Ależ Sue, moja towarzyszko, kochanie moje, przecież ja nie chcę zmuszać cię do ślubu czy do tamtych rzeczy! Nie bądź taka opryskliwa, to już szkaradne! A teraz nie powiemy ani słowa więcej na ten temat i nic w naszym życiu się nie zmieni. Przez resztę spaceru będziemy rozmawiali tylko o łąkach i o powodzi, i o perspektywach rolników w nadchodzącym roku.

Przez kilka następnych dni nie podejmowali już tematu

małżeństwa, który jednak nie schodził im z głowy, skoro mieszkali obok siebie rozdzieleni tylko podestem. Sue bardzo wydatnie pomagała teraz Judzie w zarabianiu pieniędzy. Ostatnio zajął się on na własny rachunek obróbką i ryciem napisów na nagrobkach, które trzymał na małym podwórku za domem, a ona w przerwach od obowiązków domowych zaznaczała mu litery odpowiedniej wielkości i pociągała czarną farbą, gdy je wyciął. Było to rzemiosło niższego gatunku niż praca, jaką wykonywał dawniej jako kamieniarz przy katedrze, a jedyną jego klientelę stanowili teraz ubodzy z sąsiedztwa, którzy wiedzieli, jak tanio siłę roboczą zatrudnia przy skromnych pomnikach dla ich zmarłych ten „Juda Fawley – Kamieniarz Nagrobkowy”, jak głosił szyld widniejący na drzwiach frontowych. Ale w ten sposób Juda miał więcej swobody niż dawniej i tylko w takich warunkach mogła mu pomagać Sue, której bardzo zależało, aby nie być ciężarem.

II

Pewnego wieczoru pod koniec miesiąca, gdy Juda wrócił z odczytu o historii starożytnej w pobliskiej sali publicznej, Sue, która pod jego nieobecność nie wychodziła z domu, podała mu kolację, ale wbrew swoim zwyczajom wcale się nie odzywała. Juda wziął jakieś ilustrowane pismo i przeglądał je, aż spojrzawszy znad gazety, zauważył na jej twarzy wyraz niepokoju.

– Czy źle się czujesz? – zapytał.

Sue zawahała się.

– Mam dla ciebie polecenie – odparła.

– Ktoś tu był?

– Tak. Jakaś kobieta. – Przy tych słowach głos Sue zadrżał; nagle rzuciła swoją robotę, usiadła z założonymi rękami i wpatrzyła się w ogień. – Nie wiem, czy dobrze zrobiłam – ciągnęła. – Powiedziałam, że nie ma cię w domu, a gdy ona na to oświadczyła, że poczeka, powiedziałam, że chyba nie będziesz mógł się z nią widzieć.

– Dlaczego to powiedziałaś, kochanie? Ona pewnie chciała zamówić nagrobek. Czy była w żałobie?

– Nie. Nie była w żałobie i nie chciała nagrobka, a ja sobie pomyślałam, że ty nie możesz się z nią widzieć.

Sue spoglądała na Judę badawczo i błagalnie.

– Ale kto to był? Czy ta osoba nic ci nie powiedziała?

– Nie. Nie chciała powiedzieć swego nazwiska. Ale ja wiem, kto to był, tak mi się przynajmniej zdaje. To była Arabella!

– Boże, miej nas w swojej opiece! Po cóż by tu Arabella przychodziła? Skąd ci przyszło do głowy, że to ona?

– Och! sama nie wiem. Ale to na pewno była ona. Jestem zupełnie pewna, poznałam po takim błysku w jej oczach, gdy na mnie patrzała. Taka tęga, ordynarna kobieta.

– No wiesz, nie określiłbym Arabelli jako ordynarnej, chyba w mowie, chociaż może i stała się ordynarna wskutek usługiwania w knajpach. Była raczej przystojna w czasach, kiedy ją widywałem.

– Przystojna! Ależ naturalnie, ona jest przystojna.

– Zdaje mi się, Sue, że wyczuwam drzenie w twoim głosie. Zresztą nie ma o czym mówić. Skoro ona jest dla mnie niczym i wyszła za innego mężczyznę, z jakiej racji przyjeżdżałaby, aby nas niepokoić?

– Czy jesteś pewien, że ona jest żoną tamtego? Czy masz konkretne dowody?

– Nie, konkretnych dowodów nigdy nie miałem. Ale przecież w tym celu prosiła, abym jej zwrócił wolność. Zrozumiałem, że i ona, i ten mężczyzna chcieli zacząć przyzwoite życie.

– Ach! Judo! To była naprawdę Arabella! – zawołała Sue, przysłaniając ręką oczy. – A ja jestem taka nieszczęśliwa! Cokolwiek by ją tutaj sprowadzało, wydaje mi się złą wróżbą. Czy nie mógłbyś uniknąć widzenia się z nią?

– Naprawdę nie sądzę, żeby to się dało zrobić. Spotkanie zresztą będzie bardzo przykre w tej chwili, zarówno dla niej, jak i dla mnie. W każdym razie ona sobie poszła. Czy mówiła, że wróci?

– Nie, ale ociągała się z odejściem.

Sue, którą najmniejsza rzecz wyprowadzała z równowagi, i teraz nie mogła przełknąć jedzenia. Juda skończył kolację i zamierzał pójść

spać, ale ledwie zgasił ogień na kominku, zamknął drzwi na noc i doszedł do szczytu schodów, rozległo się pukanie do drzwi. Sue od razu wysunęła się ze swego pokoju, gdzie dopiero przed chwilą weszła.

– To ona! – szepnęła przerażonym głosem. – Przyszła znowu.

– Skąd wiesz?

– Tak samo pukała za pierwszym razem.

Nasłuchiwali przez chwilę – pukanie powtórzyło się. Nie mieli służącej, więc gdyby zdecydowali się wpuścić gościa, któreś z nich musiałyoby to zrobić osobiście.

– Otworzę okno – powiedział Juda. – Ktokolwiek by to miał być, nie powinien liczyć, że o tej porze wpuści się go do domu.

Poszedł do swojego pokoju i uchylił okno. Uliczka na uboczu, zamieszкана przez ludzi pracujących, którzy wcześniej udawali się na spoczynek, była w tej chwili pusta od krańca do krańca. Tylko jedna postać kobieca przechadzała się koło latarni odległej o parę jardów.

– Kto to? – zapytał Juda.

– Czy to pan Fawley? – odezwała się kobieta. Był to bez żadnej wątpliwości głos Arabelli.

Juda odparł twierdząco.

– Czy to ona? – zapytała Sue ode drzwi, stojąc z półotwartymi ustami.

– Tak, kochanie – powiedział Juda. – Czego chcesz, Arabello? – zapytał.

– Przepraszam cię, Juda, za to najście – odezwała się pokornie Arabella. – Byłam tu już wcześniej, zależało mi koniecznie, aby się z tobą zobaczyć, jeśli się da, jeszcze dziś wieczór. Jestem skłopotana pewną rzeczą, a nie mam nikogo, kto by mi pomógł.

– Masz kłopoty?

– Tak.

Nastąpiło milczenie. Wobec tego wezwania w sercu Judy zaczęło się rodzić współczucie właściwie niezbyt na miejscu.

– Przecież wyszłaś za mąż? – powiedział.

Arabella zawahała się.

– Nie, Juda. Nie wyszłam – odparła. – Ostatecznie on się ze mną nie ożenił. A w tej chwili mam poważne kłopoty. Mam nadzieję, że

wkrótce dostanę posadę kelnerki w barze. Ale tego się nie da zrobić od razu, a jestem naprawdę w trudnej sytuacji z powodu zobowiązań, które nagle zwały się na mnie z Australii. Inaczej bym cię nie niepokoiła, wierz mi. Chcę ci o tym wszystkim opowiedzieć.

Sue, wpatrzona w Judę z bolesnym napięciem, słyszała każde słowo, ale sama milczała.

– Czyżbyś potrzebowała pieniędzy, Arabello? – zapytał Juda wyraźnie łagodniejszym tonem.

– Mam ich tylko tyle, żeby zapłacić za nocleg, który sobie wyszukałam, ale zabraknie mi na drogę powrotną.

– Gdzie mieszkasz?

– Ciągle jeszcze w Londynie. – Miała już podać swój adres, ale w końcu powiedziała: – Boję się, że ktoś usłyszy, i wolę nie wymieniać głośno szczegółów dotyczących mojej osoby. Zejdź, jeśli możesz, i podejdź ze mną kawałek do „Gospody pod Księciem”, gdzie zatrzymałam się na noc, a wszystko ci opowiem. Możesz to chyba zrobić ze względu na pamięć o dawnych czasach!

– Biedne stworzenie! Muszę przynajmniej wysłuchać, o co chodzi – powiedział Juda wielce zmieszany. – To nie ma znaczenia, skoro ona jutro stąd wyjeżdża.

– Możesz pomówić z nią jutro, Juda! Nie idź teraz, Juda! – odezwał się żaloszny głos ode drzwi. – To wszystko po to, aby cię usidlić, tak jak pierwej, już ja wiem! Nie idź, nie idź, mój drogi! Ta kobieta ma takie niskie namiętności, widzę to z jej postaci, słyszę to w jej głosie!

– Ale ja muszę pójść! – powiedział Juda. – Nie próbuj mnie zatrzymać, Sue. Bóg mi świadkiem, że nie czuję teraz do Arabelli żadnej sympatii, ale nie chcę postąpić względem niej okrutnie.

I zawrócił ku schodom.

– Ale przecież ona nie jest twoją żoną! – zawołała Sue w rozterce.

– A ty, kochanie, także nią jeszcze nie jesteś – powiedział Juda.

– Więc pójdziesz do niej? Nie idź! Zostań! Proszę cię, Juda, zostań, nie idź do niej! Ona nie ma do ciebie większych praw jako żona niż ja.

– Jeśli o to chodzi, ona ma większe prawa niż ty – odparł Juda z determinacją, sięgając po kapelusz. – Chciałem przecież, żebyś została moją żoną, i czekałem z cierpliwością Joba, a nie zdaje mi się, abym

cokolwiek uzyskał za cenę mojego samozaparcia. Dam jej, oczywiście, trochę pieniędzy i wysłucham tego, co mi tak bardzo chce powiedzieć. Mniej już nie można zrobić.

W zachowaniu Judy było coś takiego, co jak Sue czuła, czyniło opozycję daremną. Nie odezwała się więcej i pokornie poszła do siebie z miną męczennicy. Słyszała, jak Juda schodzi na dół, odryglowuje drzwi i zamyka je za sobą. Z kobiecym lekceważeniem własnej godności, wtedy gdy nie ma świadków, Sue także zbiegła na dół z głośnym szlochem. A potem nasłuchiwała. Wiedziała doskonale, jak daleko jest zajazd, który wymieniła Arabella. Dojście tam zwykłym, spacerowym krokiem zajmie około siedmiu minut, a powrót drugie siedem minut. Jeśli Juda nie wróci po czternastu minutach, będzie to oznaczało, że ociąga się z pożegnaniem Arabelli. Sue spojrzała na zegar. Była za dwadzieścia pięć jedenasta. Juda przecie może wejść z Arabellą do zajazdu, gdzie dojdą przed porą zamykania bramy. Arabella namówi go na wypicie z nią kieliszka, a wtedy Bóg wie jak okropne rzeczy mogą się przytrafić.

Oczekiwała tak w bezruchu. Zdawało się, że już upłynął prawie cały wyznaczony czas, kiedy drzwi się otworzyły i Juda wrócił.

Sue wydała krótki, ekstatyczny okrzyk.

– Ach! wiedziałam, że mogę ci ufać! Jakiś ty dobry!... – zaczęła,

– Nie mogłem jej nigdzie znaleźć na naszej ulicy, a wyszedłem w rannych pantoflach. Biedna kobieta, widać odeszła, sądząc, że mam na tyle twarde serce, aby bezapelacyjnie odrzucić jej prośbę. Wróciłem tylko po buty, bo zaczyna padać.

– Ach! czemu zadajesz sobie tyle trudu dla kobiety, która tak się z tobą źle obeszła! – zawołała Sue z wybuchem zazdrości i rozczarowania.

– Ależ Sue, to przecież kobieta, którą kiedyś kochałem. Nie można zachować się jak bydlę w takich okolicznościach.

– Ona już nie jest twoją żoną! – krzyknęła Sue, do szaleństwa podniecona. – Nie wyjdiesz i nie będziesz jej szukać! To nieprzyzwoicie! Nie wolno ci spotykać się z nią teraz, kiedy jest dla ciebie obcym człowiekiem. Jak możesz o tym zapominać! Juda, mój kochany, najdroższy Juda!

– Ona chyba wcale się nie zmieniła, takie samo zbląkane, nieostrożne, bezmyślne stworzenie – mówił Juda, wciągając dalej obuwie. – To, co urządzili ci tam prawnicy w Londynie, w niczym nie zmienia mojego stosunku do niej. Jeśli Arabella była moją żoną tam, w Australii, mimo że żyła z innym mężem, jest nią nadal i teraz.

– Przecież nie była wtedy twoją żoną! O to mi właśnie chodzi! W tym leży absurdalność całej sytuacji!... W każdym razie wrócisz zaraz, kochanie, wprost stamtąd, dobrze? Ona jest tak wulgarna, taka ordynarna, Juda, zawsze taka musiała być! – i nie powinieneś wdawać się z nią w dłuższe rozmowy.

– Może i ja jestem ordynarny, tym gorzej! Jestem naprawdę przekonany, że noszę w sobie zarodki każdej ludzkiej słabości, i dlatego spostrzegłem, jak niedorzeczny był pomysł zostania księdzem. Wyleczyłem się z pijaństwa, tak mi się przynajmniej zdaje, ale nigdy nie wiadomo, w jakiej nowej formie wybuchnie we mnie jakaś stłumiona przywara! A ciebie, Sue, kocham, chociaż zabiegam o twoje uczucie od tak dawna i za tak marną zapłatę! Kocham cię najlepszą i najszlachetniejszą częścią mojej istoty, a to, że byłaś zawsze daleka od wszelkiej pospolitości, uszlachetniło mnie i pozwoliło postępować tak, jak parę lat temu nie śniłbym nawet, że ja czy inny mężczyzna, może postąpić. Bardzo to pięknie prawić kazania o samoopanowaniu i podłości w zniewalaniu kobiety. Ale tym paru cnotliwym osobom, które potępiły mnie w przeszłości z powodu Arabelli i innych spraw, życzyłbym podobnie dręczącego położenia, jakie wytworzyły nasze wzajemne stosunki w ciągu ostatnich tygodni! Dałyby chyba wiarę, że okazałem trochę powściągliwości, wiecznie ustępując twoim życzeniom, chociaż mieszkamy razem i żywa dusza nie stoi na przeszkodzie.

– Tak, Judo, okazałeś mi wiele dobroci; zdaję sobie z tego sprawę, mój ty drogi opiekunie!

– W każdym razie Arabella zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc. Muszę przynajmniej pójść i pomówić z nią, Sue!

– Cóż więcej mogę powiedzieć! Idź, jeśli musisz! – powiedziała Sue, wybuchając szlochem, który zdawał się rozdzierać jej serce. – Nikogo nie mam na świecie oprócz ciebie, Juda, a i ty mnie porzucasz! Nie wiedziałam, że taki jesteś, nie zniosę tego, nie zniosę! Gdyby ona

należała do ciebie, to co innego!

– Albo gdybyś ty należała do mnie.

– No więc dobrze... jeśli tak już trzeba. Zgadzam się, jeśli chcesz, aby tak było. Będę twoja. Ale wcale tego nie chciałam! A także nie chciałam po raz drugi wychodzić za mąż!... Ale dobrze... zgadzam się, zgadzam! Kocham cię przecież. Powinnam była przewidzieć, że w tych warunkach ty zwyciężysz na dłuższą metę!

Podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Czy naprawdę jestem zimną, bezpłciową istotą, trzymając cię tak długo z dala od siebie? Na pewno tak nie myślisz! Poczekaj tylko, a przekonasz się. Jestem twoja, prawda? Poddaję się!

– A ja załatwię jutro sprawę naszego ślubu, jutro albo w najbliższym terminie, który wybierzesz.

– Dobrze, Juda.

– Arabella niech sobie odjeżdża – powiedział Juda, delikatnie obejmując Sue. – Czuję, że spotykając się z nią teraz, postąpiłbym nieładnie wobec ciebie, a może i wobec niej. Ona tak jest do ciebie niepodobna, zawsze taka była; trzeba to sobie szczerze powiedzieć! Nie płaczże już. Cicho, cicho, cicho! – Pocałował ją w jeden policzek i w drugi, i w czoło, i z powrotem zaryglował drzwi frontowe.

Następny ranek był dżdżysty.

– A teraz, kochanie, ponieważ jest sobota, mam zamiar od razu dać na zapowiedzi, żeby pierwszą ogłoszono jutro, bo inaczej stracimy cały tydzień. Zgadzasz się na zapowiedzi? W ten sposób zaoszczędzimy parę funtów.

Sue z roztargnieniem zgodziła się na zapowiedzi. Zastanawiała się w tej chwili nad czymś innym. Opuściło ją ożywienie i rysy zaostrzył wyraz zniechęcenia.

– Wyrzucam sobie, że zachowałam się wczoraj niegodziwie i samolubnie – szepnęła. – Po prostu okazałam brak serca lub coś jeszcze gorszego, odnosząc się w ten sposób do Arabelli. Nie zatroszczyłam się nawet o jej kłopoty i o to, co chciała tobie powiedzieć. Może rzeczywiście miała powody, aby z tobą pomówić. To pewnie jeszcze

jedna zła strona mojej natury. Miłość posiada swoje ciemne zasady moralne, z chwilą gdy wchodzi w grę rywalizacja – przynajmniej moja miłość... nie wiem, jak się dzieje u innych... Ciekawa jestem, jak sobie Arabella poradziła? Mam nadzieję, że bez przeszkód wróciła do zajazdu... Biedna kobieta.

– Na pewno sobie dobrze poradziła – z całym spokojem powiedział Juda.

– Mam nadzieję, że nie zastała drzwi zamkniętych i nie musiała tułać się po ulicach na tym deszczu. Co byś na to powiedział, gdybym włożyła płaszcz nieprzemakalny i poszła się o nią dowiedzieć? Przez całe rano nie schodziła mi z myśli.

– Czyż to potrzebne? Nie wyobrażasz sobie nawet, jak dalece Arabella jest zaradna. Ale owszem, jeśli chcesz pójść i dowiedzieć się o nią, możesz to zrobić, kochanie.

Nie było kresu dziwnym i niepotrzebnym karom, jakim Sue gotowa była poddać się z pokorą, jeśli ogarnął ją pokutniczy nastrój. Zawsze coś ją pchało, aby spotkać się i z różnymi niezwykłymi osobami, z którymi łączyły ją stosunki akurat takie, jakie komu innemu kazałyby trzymać się z daleka. Prośba jej więc nie zdziwiła Judy.

– A kiedy wrócisz – dodał Juda – będę gotów, aby załatwić zapowiedzi. Pójdiesz ze mną, prawda?

Wyraziła na to zgodę i wyruszyła w płaszczu od deszczu i pod parasolem. Pozwoliła Judzie wyciągać się do woli i oddawała te pocałunki tak jak nigdy do tej pory. Najwyraźniej czasy się zmieniły.

– Ptaszek nareszcie wpadł w sidła! – powiedziała ze smutkiem, który przebijał przez uśmiech.

– Nie, ptaszek usadowił się tylko w gniazdku! – zapewnił ją Juda.

Sue wędrowała błotnistą ulicą, aż do zajazdu, niezbyt odległego, który wymieniła Arabella. Poinformowano ją, że Arabella jeszcze nie wyjechała, i Sue, nie wiedząc, jak ma się przedstawić, aby ta, którą przed nią Juda darzył uczuciem, domyśliła się, o kogo chodzi, napisała bilecik, że chce się z nią zobaczyć osoba zaprzyjaźniona z ulicy Wiosennej, wymieniając miejsce zamieszkania Judy. Poproszono ją na górę i dalej do pokoju zajmowanego przez Arabellę, która, jak się okazało, jeszcze nie wstała. Sue zatrzymała się na progu, aż Arabella zawołała z łóżka:

– Proszę wejść i zamknąć drzwi!

Tak też i zrobiła.

Arabella leżała twarzą ku oknu i nie od razu odwróciła głowę, a Sue, mimo nastroju pokuty, pomyślała złośliwie, jaka to szkoda, że Juda nie może zobaczyć jej poprzedniczki właśnie teraz, w pełnym świetle dziennym. Profil Arabelli mógł się wydawać niebrzydki przy lampie, ale ranek podkreślił zniszczenie jej twarzy. Odbicie własnej świeżości i wdzięku w lustrze ożywiało Sue aż do chwili, kiedy zastanowiwszy się nad tym niskim, typowo kobiecym uczuciem, poczuła za to do siebie nienawiść.

– Wstąpiłam, żeby się dowiedzieć, czy pani szczęśliwie doszła wczorajszej nocy – powiedziała Sue miłym tonem. – Po pani odejściu zlekłam się, że mogło panią spotkać coś złego.

– Ach!... co to za głupota z mojej strony. Myślałam, że osoba, która przyszła mnie odwiedzić to... pani przyjaciel... pani mąż. Pani Fawley, nieprawdaż? Tego nazwiska pani używa? – Arabella spytała, z powrotem kładąc głowę na poduszki gestem zdradzającym rozczarowanie i nie dbając już o dołeczek, a właśnie zadała sobie trud, żeby go wyprodukować.

– Właściwie nie – odparła Sue.

– Tak? A ja myślałam, że pani występuje pod jego nazwiskiem, chociaż Juda naprawdę panin nie jest. Tak czy inaczej trzeba dbać o przyzwoitość.

– Nie rozumiem, co pani chciała przez to powiedzieć – rzekła Sue sztywno. – Jeśli o to chodzi, Juda jest mój!

– Jeszcze wczoraj nim nie był.

Sue zaróżowiła się i zapytała:

– Skąd pani wie?

– Ze sposobu, w jaki pani ze mną rozmawiała u drzwi. Szybko się pani zawinęła, moja kochana, nie ma co, i mam nadzieję, że moje wczorajsze odwiedziny dopomogły do tego... ha, ha, ha! Ale ja nie mam zamiaru odbierać go pani.

Sue spojrzała za okno na deszcz, a potem na brudną serwetę przykrywającą gotowalnię i na sztuczny warkocz Arabelli przerzucony przez lustro, tak jak to bywało za czasów Judy, i pożałowała, że przyszła.

W ciągu przerwy w rozmowie rozległo się pukanie do drzwi i pokojówka przyniosła telegram dla pani Cartlett.

Nie wstając z łóżka, Arabella otworzyła depeszę i z jej twarzy natychmiast znikł wyraz skłopotania.

– Bardzo jestem pani wdzięczna za troskę o mnie – powiedziała dobrodusznie, gdy służąca odeszła – ale to było doprawdy zbyt cenne, jak to pani pewnie sama zauważyła. Mój mąż ostatecznie stwierdził, że nie może obejść się beze mnie i zgadza się dotrzymać danej mi obietnicy, że po raz drugi weźmiemy tutaj ślub. Proszę zobaczyć! Oto odpowiedź na mój telegram. – Podała Sue telegram do przeczytania, ale Sue go nie wzięła. – Prosi mnie, abym wróciła. Powiada, że jego mały bar w Lambeth zejdzie beze mnie na psy. Ale już teraz, kiedy zwiąże nas angielskie prawo, nie będzie śmiał tłuc mnie po pijanemu... A na pani miejscu namówiłabym Judę, żeby od razu pójść do księdza i raz z tym skończyć. Mówię to z życzliwości, moja kochana.

– On codziennie na to czeka – powiedziała Sue z lodowatą dumą.

– Niechże się pani zgodzi, na miłość boską. Po ślubie pożycie z mężczyzną wygląda bardziej urzędowo i sprawy pieniężne także lepiej idą. A poza tym, jeśli dojdzie do kłótni i mężczyzna wyrzuci kobietę z domu, można prosić sąd o obronę, co inaczej nie da się zrobić, chyba że zadźga cię nożem prawie na śmierć albo łeb ci rozbije pogrzebaczem. A jeśli da drapak – z życzliwości to pani mówię, jak kobieta kobiecie, bo przecie nigdy nie wiadomo, co chłopu może strzelić do głowy – to zostaną graty, a nikt się na panią nie będzie patrzył jak na złodzieja. Ja tam drugi raz pójdę do ołtarza z moim chłopem, korzystając, że się na to zgadza, bo pierwszy ślub był cokolwiek nieurzędowy. We wczorajszej depeszy do niego, na którą ta tutaj jest odpowiedzią, zawiadomiłam go, że tak jakbym się już pogodziła z Judą, a to, spodziewam się, nastraszyło go porządnie! Może i pogodziłabym się z Judą, żeby nie pani! – powiedziała Arabella ze śmiechem – a w takim razie jakże inaczej wyglądałoby nasze życie od dzisiaj! Nie ma na świecie takiego ustępliwego wariata jak Juda, jeśli niewiasta wydaje mu się skłopotana i trochę się do niego przymili. Zawsze był taki miękki, gdy chodziło o ptaki i inne stworzenia. Jakkolwiek było, wszystko obróciło się na dobre, tak jak gdybym się z nim pogodziła, i nie mam do pani pretensji.

Ale, powtarzam, radzę załatwić tę sprawę urzędowo, i to jak najprędzej. Narazi się pani później na okropne kłopoty, jeśli pani tego teraz nie załatwi.

– Przecież powiedziałam pani, że Juda prosi, żebym go poślubiła, żeby uprawomocnić nasz związek – rzekła Sue z jeszcze większą godnością. – To było wyłącznie moim życzeniem, że nie zrobiliśmy tego od razu, z chwilą gdy odzyskałam wolność.

– Ach! prawda! z pani to taki sam dobry numer jak i ja! – powiedziała Arabella, wesoło mierząc wzrokiem swego gościa. – Dała pani drapaka od swego pierwszego męża tak jak i ja, co?

– Do widzenia! Muszę już iść – powiedziała śpiesznie Sue.

– Ja także muszę wstawać i jechać! – odparła tamta, wyskakując tak raptownie z łóżka, że zatrzęśły się pulchne części jej osoby. Sue odskoczyła na bok z przerażeniem. – Boże wielki! toż tylko kobieta ze mnie, a nie jakiś wielki drągal... Ale jeszcze chwileczkę, duszko – ciągnęła Arabella, kładąc rękę na ramieniu Sue. – Ja naprawdę chciałabym poradzić się Judy w pewnej drobnej sprawie. Z tym przede wszystkim tu przyjechałam. Może by on przyszedł na stację rozmówić się ze mną, skoro już wyjeżdżam? Nie chce pani? Więc dobrze, napiszę do niego. Wolałabym o tym nie pisać, ale trudno, zrobię to.

III

Gdy Sue doszła do domu, Juda czekał na nią przed drzwiami, aby przedsięwziąć pierwszy krok prowadzący do ich małżeństwa. Chwyciła go za ramię i ruszyli bez słowa, tak jak często czynią przyjaciele. Juda zauważył, że Sue jest czymś zaabsorbowana, i wstrzymał się od zadawania jej pytań.

– Ach! Juda! – odezwała się wreszcie ona sama. – Rozmawiałam z Arabellą, ale teraz żałuję. A jednak czasem się przyda, gdy ktoś nam przypomni o pewnych rzeczach.

– Mam nadzieję, że była dla ciebie grzeczna.

– Tak. I... i... nie mogę się oprzeć, aby nie czuć do niej trochę sympatii... tylko troszeczkę. To natura niepozobawiona szlachetności i bardzo mnie ucieszyło, że jej kłopoty nagle się skończyły.

Wyjaśniła Judzie, że Arabella została wezwana do powrotu i będzie mogła odzyskać swoją pozycję.

– Ale chodzi mi o nasz dawny problem. To, co mi powiedziała Arabella, utwierdziło mnie jeszcze w poczuciu, jak beznadziejnie wulgarną instytucją jest urzędowe małżeństwo, rodzaj pułapki służącej do schwywania mężczyzny, sama myśl o tym jest mi wstrętne. Żałuję, że dziś rano obiecałam ci pozwolić dać na zapowiedzi.

– Mniejsza z tym. Zrobię to któregośkolwiek innego dnia. Myślałem po prostu, że teraz będziesz chciała szybko tę sprawę załatwić.

– Prawdę mówiąc, obecnie nie zależy mi na tym bardziej niż przedtem. Może trochę bardziej zależałoby mi, gdyby chodziło o innego mężczyznę, ale wśród niewielu cnót spotykanych w twojej rodzinie i mojej sądzę, że trzeba wymienić stałość. A więc wcale się nie lękam, że mogłabym cię stracić, kochanie, teraz, kiedy naprawdę jestem twoja i ty naprawdę do mnie należysz. Właściwie lżej mi niż dawniej, bo mam czyste sumienie w stosunku do Ryszarda, który ma obecnie pełne prawo do swej wolności. Przedtem czułam, że go zwodzimy.

– Wiesz, Sue, gdy mówisz w ten sposób, zdaje mi się, że jesteś kobietą należącą raczej do jednej ze wspaniałych, dawnych cywilizacji, o których czytywałem w minionym i straconym okresie moich studiów klasycznych, a nie obywatelką zwykłego, chrześcijańskiego kraju. W takiej chwili nieomal oczekuję, że powiesz o niedawnej rozmowie z przyjaciółką spotkaną na Via Sacra i o ostatnich wiadomościach od Oktawii czy Liwii, że przysłuchiwałaś się wspaniałej wymowie Aspazji lub też patrzyłaś, jak Praksyteles rzeźbi swoją ostatnią Wenus, podczas gdy Fryne narzekała na nużące pozowanie.

Doszli właśnie do kancelarii parafialnej. Sue zatrzymała się, a Juda podszedł do drzwi. Uniósł już rękę, aby zastukać, kiedy zawołała:

– Judo!

Obejrzał się.

– Poczekaj chwileczkę, dobrze?

Juda wrócił.

– Zastanówmy się jeszcze – rzekła nieśmiało. – Miałam którejs nocy tak okropny sen!... A Arabella...

– Co ci powiedziała Arabella? – zapytał.

– Ach! ona mówiła, że gdy kobieta i mężczyzna są związani ślubem, można łatwiej dochodzić swoich praw, jeśli mąż bije, a także w razie kłótni... Juda, czy sądzisz, że będziemy tak samo szczęśliwi jak obecnie, gdy będziesz mnie trzymał przy sobie na mocy prawa? Mężczyźni i kobiety z naszej rodziny okazują wiele szlachetności, jeśli wszystko zależy od ich dobrej woli, ale zawsze buntują się przeciwko przymusowi. Czy nie obawiasz się postawy, jaka niepostrzeżenie wypływa z prawnego zobowiązania? Czy nie sądzisz, że to jest zabójcze dla silnego uczucia, którego istota polega na bezinteresowności?

– Słowo daję, najdroższa, twoje przeczucia zaczynają i mnie przerażać! Wróćmy więc i jeszcze raz przemyślmy całą sprawę.

Twarz Sue rozjaśniła się.

– Dobrze! – powiedziała. – Zróbmy tak!

Odeszli więc od drzwi kancelarii parafialnej, a Sue, ująwszy ramię Judy, nuciła w drodze powrotnej:

Pszczółka brzęczeć nie przestanie,

Piórek nie zmieni gołąbek,

Nie zniesie kajdan kochanie...

Nie tyle przemyśleli całą sprawę, ile odłożyli to na później. A w każdym razie odłożyli na później działanie i zdawali się żyć w raju z marzenia sennego. Po upływie paru tygodni sprawa nie ruszyła z miejsca i wierni w Aldbrickham ani razu nie usłyszeli zapowiedzi.

Gdy Juda i Sue zwlekali i zwlekali, pewnego ranka przed śniadaniem nadszedł list i gazeta od Arabelli. Poznając jej pismo, Juda poszedł do pokoju Sue powiedzieć o przesyłce, więc gdy tylko się ubrała, pośpieszyła na dół. Sue otworzyła gazetę, Juda – list. Rzuciwszy okiem na gazetę, podała mu pierwszą stronę, palcem zaznaczając

odpowiedni ustęp. Ale on tak był zatopiony w lekturze listu, że przez chwilę nie odwracał odeń oczu.

– Popatrz! – powiedziała.

Juda spojrział i przeczytał. Dziennik był wydawany wyłącznie dla południowej dzielnicy Londynu, a zaznaczone ogłoszenie dotyczyło małżeństwa zawartego w kościele św. Jana na Waterloo Road przez osoby o nazwiskach Cartlett i Donn; poślubiona para byli to Arabella i restaurator.

– Pomyślne wydarzenie – rzekła z zadowoleniem Sue. – Chociaż po tym wszystkim trochę poniżające i cieszę się... W każdym razie, cokolwiek by zawiniła ta biedaczka, jest już w pewnym sensie zabezpieczona. O wiele lepiej, że wiemy o tym, zamiast odczuwać wobec niej wyrzuty sumienia. Może powinnam również napisać do Ryszarda i zapytać, jak mu się powodzi?

Ale uwagę Judy ciągle pochłaniało co innego. Rzuciwszy tylko okiem na ogłoszenie, odezwał się zmienionym głosem:

– Przeczytaj ten list. Co ja mam odpisać i jak postąpić?

„»Pod Trzema Rogami«, Lambeth.

Drogi Judo! (Nie będę tak oficjalna, aby zwracać się do Ciebie: Panie Fawley). Posyłam wczorajszą gazetę, z którego to pożytecznego dokumentu dowiesz się, że w zeszły wtorek zawarłam powtórnie małżeństwo z Cartlitem. Nareszcie więc wszystko jest załatwione jak się patrzy i na mur. Ale w szczególności chcę tutaj poruszyć ten osobisty interes, o którym chciałam pomówić z Tobą w czasie mojej bytności w Aldbrickham. Nie mogłam w żaden sposób powiedzieć tego twojej przyjaciółce, a byłoby mi dużo łatwiej oznajmić Ci o tym ustnie niż listownie. Chodzi o to, Juda, że chociaż nigdy Ci o tym nie doniosłam, z naszego małżeństwa urodził się chłopiec; stało się to w osiem miesięcy po naszym rozstaniu, gdy mieszkałam z rodzicami w Sydney. Łatwo będzie tego dowieść. Ponieważ rozstałam się z Tobą, jeszcze zanim się spostrzegłam, ponieważ także byłam już poza krajem i pokłóciliśmy się przecież na całego, nie uważałam za stosowne zawiadomić Cię o urodzeniu dziecka. Rozglądałam się wtedy za jakąś dobrą posadą, więc

moi rodzice zajęli się dzieckiem, które od tej pory było z nimi. Dlatego piątego nie wspominałam Ci o nim, gdy spotkaliśmy się w Christminster i później przy sprawie procesu. Chłopiec jest już, rozumie się, duży, i ostatnio rodzice napisali, że ponieważ im tam dosyć ciężko, a ja dobrze się tutaj urządziłam, nie widzą racji, aby dalej mieć dzieciaka na głowie, skoro jego matka i ojciec żyją. Chciałabym mieć go tu z sobą, ale jest za młody, aby mógł się przydać w barze, przez całe lata będzie jeszcze niezdalny, więc Cartlett może go uważać za zawalidrogę. W każdym razie moi rodzice wyprawili chłopca pod opieką znajomych, którzy właśnie wracali do kraju, i teraz muszę Cię prosić, żebyś go zabrał, gdy przyjedzie, bo ja nie wiedziałabym, co z nim począć. Prawnie to Twój syn, na to Ci daję moją uroczystą przysięgę. Gdyby ktoś mówił, że to nieprawda, nazwij go łgarzem z piekła rodem, zrób to dla mnie. Cokolwiek zrobiłam przedtem czy potem, byłam Ci wierną od chwili ślubu do wyjazdu. Serdecznie Cię pozdrawiam

Arabella Cartlett”

Na twarzy Sue odmalował się przestach.

– Co teraz zrobisz, kochanie? – zapytała cicho.

Juda nic na to nie odpowiedział i Sue, z trudem oddychając, patrzyła na niego wyczekująco.

– Ciężki cios mnie spotkał! – powiedział wreszcie stłumionym głosem. – Możliwe, że to prawda. Nie mogę się zorientować. Jeśli data urodzenia jest taka właśnie, jaką podaje Arabella, dziecko jest moje. Nie rozumiem, dlaczego mi tego nie powiedziała, gdy spotkaliśmy się w Christminster, a potem przyjechałem z nią tu, do Aldbrickham... Aha! przypominam sobie teraz... wspominała wtedy, że chciałaby mi coś powiedzieć, jeśli byśmy mieli zejść się znowu.

– Biedny dzieciak, wygląda na to, że nikt go nie chce! – odparła Sue i oczy jej zwilgotniały.

Przez ten czas Juda odzyskał równowagę.

– Mój czy nie mój, co za pogląd na życie musi mieć ten chłopiec – powiedział. – Muszę przyznać, że gdybym był lepiej sytuowany, nie zastanawiałbym się, czyim może być dzieckiem. Po prostu wziąłbym go i wychowywał. Czym jest w gruncie rzeczy to nędzne zagadnienie

ojcostwa? Jakie znaczenie, po chwili zastanowienia, ma fakt, czy dziecko jest z naszej krwi, czy nie? Wszystkie dzieci danej epoki są zbiorowo dziećmi nas, dorosłych tejże epoki i mają prawo do naszej opieki. Nadmierna dbałość rodziców o ich własne dzieci, a niechęć do cudzych jest tak jak poczucie klasowe, patriotyzm, troska o zbawienie własnej duszy i tym podobne cnoty – nikczemną ekskluzywnością w gruncie rzeczy.

Sue zerwała się i z namiętym oddaniem ucałowała Judę.

– Masz słuszość, mój najdroższy! Weźmiemy chłopca do siebie! A jeśli to nie twój syn, tym lepiej. Mam nadzieję, że nim nie jest, chociaż, być może, nie powinnam tak się do tego odnosić. Jeśli to nie twój syn, chciałabym, aby został przy nas jako zaadoptowane dziecko.

– Ty już sobie wyobrażasz w związku z tym chłopcem to, co ci się wydaje najprzyjemniejsze, moja ty osobliwa mała towarzyszeko! – powiedział Juda. – Tak czy inaczej wiem, że z przykrością myślę o zdaniu tego chłopaczka na łaskę losu. Pomyśl tylko, jakie życie czekałoby go w knajpie na przedmieściu Lambeth wraz z całym zgubnym wpływem tego środowiska, przy matce, która go nie chce i właściwie zaledwie go zna, i ojczymie, który go nigdy nie widział. „Niech zginie dzień, któregom się urodził, i noc, w którą rzezono: Począł się człowiek”. Nie upłynęłoby wiele czasu, a tak by sobie mówił ten chłopiec, być może, mój syn!

– Ach, nie!

– Skoro ja byłem powodem w procesie rozwodowym, sądzę, że jestem rzeczywiście uprawniony do opieki nad nim.

– Tak czy inaczej musimy go wziąć do siebie. To jasne dla mnie. Zrobię, co w mojej mocy, aby zastąpić mu matkę, a przecież jakoś nam wystarczy na jego utrzymanie. Będę więcej pracować. Ciekawa jestem, kiedy on przyjedzie.

– Przypuszczam, że w ciągu paru najbliższych tygodni.

– Chciałabym... kiedy zbierzemy odwagę, aby się pobrać, Judo?

– Kiedy ty ją zbierzesz, ja będę gotów. To zależy wyłącznie od ciebie, kochanie. Jedno twoje słówko, a wszystko będzie załatwione.

– Przed przybyciem chłopca?

– Zapewne.

– Może w ten sposób miałby bardziej normalny dom – szepnęła Sue.

Juda przeto napisał w tonie czysto oficjalnym, aby chłopca przysłano do nich zaraz po przyjeździe, nie komentując zupełnie zadziwiającego charakteru wiadomości dostarczonej mu przez Arabellę. Wstrzymał się również od wypowiedzi na temat ojcostwa i zagadnienia, czy jego postępowanie wobec Arabelli pozostałoby takie samo, gdyby rzecz ta była mu wiadoma wcześniej.

W pociągu, który miał przybyć na dworzec w Aldbrickham około dziesiątej wieczorem, w mrocznym przedziale trzeciej klasy widniała drobna i blada dziecięca twarzyczka. Chłopczyk miał duże zalęknione oczy, a na białej, wełnianej krawatce zwisał mu z szyi na sznurku klucz, który zwracał uwagę błyskiem rzucanym od czasu do czasu w świetle lampy. Bilet ulgowy malca zatknięty był za wstążkę kapelusza. Wzrok jego przeważnie spoczywał nieruchomo na oparciu przeciwległej ławki i nigdy nie zwracał się ku oknu, nawet wtedy, kiedy dojeżdżano do stacji i ogłaszano jej nazwę. Na drugiej ławce siedziało paru pasażerów; jakaś robotnica trzymała na kolanach koszyk z burym kociakiem. Od czasu do czasu otwierała wieko i kociak wysuwał łebek, pozwalając sobie na figle. W innych pasażerach wzbudzało to wesołość, ale samotny chłopczyk z kluczem i biletem nie śmiał się i patrząc na kotka oczami okrągłymi jak spodki, zdawał się mówić bez słów: „Wszelki śmiech pochodzi z braku zrozumienia istoty rzeczy. Gdy spojrzeć na nie we właściwy sposób, nic pod słońcem nie będzie się nadawało do śmiechu”.

Na przystankach konduktor czasami zaglądał do przedziału i mówił do chłopca: „W porządku, bracie. Twój kuferek jest bezpieczny w bagażowym”. Chłopiec na to odpowiadał: „Tak jest”, zupełnie obojętnie, i bez powodzenia silił się na uśmiech.

Był uosobieniem starości przebranej za młodość, ale tak nieudolnie, że właściwa jego natura wyglądała przez wszystkie szczeliny. Jakaś głęboka fala z zamierzchłego okresu nocy zdawała się niekiedy unosić dziecko w tym wczesnym okresie, w samym zaraniu życia, i wtedy zwracało twarz wstecz ku jakiemuś niezmiernemu

oceanowi czasu, ale z obojętnością wobec tego, na co patrzyło.

Gdy inni pasażerowie kolejno przymknęli oczy i nawet kociak zwinął się w kłębek na dnie koszyka znużony igraszkami, chłopiec nie zmienił pozycji. Jeszcze bardziej czujny, podobny do jakiegoś uwięzionego, skarłałego bóstwa, siedział obojętnie, wpatrzony w towarzyszy podróży, niejako przenikając wzrokiem ich całe życie, a nie widząc ich zewnętrznej powłoki.

Był to synek Arabelli. Z właściwym sobie niedbalstwem zwlekała ona z zawiadomieniem Judy aż do wili przybicia okrętu – dłużej już nie dało się odkładać listu – chociaż od wielu tygodni знаła ten termin i, jak to zgodnie z prawdą stwierdziła, zjawiła się w Aldbrickham wyłącznie po to, aby oznajmić o istnieniu chłopca i jego rychłym przyjeździe. Tego samego dnia, kiedy po południu otrzymała odpowiedź od pierwszego męża, malec przybył rankiem do doków londyńskich. Rodzina, która opiekowała się nim w drodze, załadowała go do dorożki, dając dorożkarzowi adres domu matki w Lambeth, pożegnała go i ruszyła w swoją drogę.

Gdy chłopczyk zjawił się „Pod Trzema Rogami”, Arabella spojrzała na niego z wyrazem znaczącym tyle samo co stwierdzenie: „Jesteś akurat taki, jak się spodziewałam”, po czym dobrze go nakarmiła, dała trochę pieniędzy i mimo że robiło się już późno, wyprawiła go następnym pociągiem do Judy, aby Cartlett, który był właśnie poza domem, wcale się z nim nie spotkał.

Pociąg przybył do Aldbrickham i chłopca wysadzono na pusty peron wraz z kuferkim. Kolejarz odebrał od niego bilet i widząc, że coś jest nie w porządku, zapytał go, gdzie też wybiera się sam jeden o tej późnej porze.

- Na ulicę Wiosenną – odparł malec niewytrącony z równowagi.
- Ejże! To bardzo daleko stąd, prawie już na wsi, i ludzie będą tam od dawna spać.
- Ale ja muszę tam iść.
- Musisz wziąć wózek na rzeczy.
- Nie. Mam pójść pieszo.
- Lepiej zostaw tutaj kuferek i przyślij po niego. Do połowy drogi chodzi omnibus, ale potem trzeba iść pieszo.

– Nie boję się.
– Dlaczego twoi krewni nie przyszli po ciebie?
– Pewnie nie wiedzieli, że przyjeżdżam.
– Co to za ludzie?
– Matka nie kazała mi mówić.
– Jedyne, co mogę zrobić w takim razie, to zaopiekować się twoimi rzeczami. A ty biegnij ile sił w nogach.

Chłopiec bez słowa wyszedł na ulicę, rozglądając się, czy nikt go nie śledzi i nie goni. Gdy już przeszedł kawałek drogi, zapytał o ulicę, dokąd zmierzał. Powiedziano mu, aby szedł prosto, aż za miasto.

Dziecko ruszyło równym, mechanicznym krokiem, niepodobnym do chodu człowieka – przypominało to ruch fali, wiatru czy obłoku. Trzymał się ściśle wyznaczonego szlaku, nie zwracając uwagi na nic innego. Rzuciło się w oczy, że poglądy na życie tego malca różnią się od poglądów rówieśników. Dzieci zaczynają od szczegółów i dochodzą do uogólnień; zaczynają od rzeczy najbliższych i stopniowo pojmują to, co powszechne. Ten chłopiec tak jakby zaczął od ogólnych praw życia, nigdy nie zagłębiając się w szczegóły. Domy, wierzby i ciemne pastwiska rozciągające się w głębi uważał najwidoczniej nie za ceglane budowle, drzewa o przystrzyżonych koronach i łąki, ale za siedziby ludzkie w sensie abstrakcyjnym, roślinność i szeroki, posępny świat.

Trafił w końcu na małą uliczkę i zapukał do drzwi domu Judy. Juda dopiero co się położył, a Sue już wchodziła do swego pokoju obok, kiedy usłyszała pukanie, i zeszła na dół.

– Czy tutaj mieszka ojciec? – zapytało dziecko.
– Kto?
– On się nazywa pan Fawley.

Sue pobiegła do pokoju Judy oznajmić mu nowinę, a on pośpieszył na dół, jak mógł najszybciej, chociaż niecierplivej Sue chwila ta wydała się niezmiernie długa.

– Czyż to możliwe, żeby to już był on... tak prędko? – zapytała Judy, gdy zjawił się na dole.

Bacznie przyjrzała się rysom dziecka i nagle odeszła do sąsiedniej małej bawialni. Juda uniósł chłopca w górę, popatrzał na niego bystro i z chmurną serdecznością, mówiąc, że przecie wyszliby na jego

spotkanie, gdyby wiedzieli o jego tak rychłym przybyciu. A potem posadził go na pierwszym z brzegu krześle, a sam poszedł szukać Sue, wiedząc, że przy swej niezwyklej wrażliwości musi być wstrząśnięta. Stała w ciemności, oparta o fotel, schylona. Objął ją ramieniem i szepnął, przytulając twarz do jej twarzy:

– Co się stało?

– To prawda, co mówiła Arabella! Widzę cię w jego rysach!

– No więc przynajmniej jedna normalna rzecz w moim życiu.

– Ale druga połowa w nim to... ona! I tego nie mogę znieść!

Chociaż przecie powinnam... postaram się przyzwyczaić do tej myśli; tak, nie ma innej rady.

– Zazdrosna mała Sue! Cofam wszystkie uwagi o twojej bezpłciowości. Cóż robić! Czas te rzeczy wyrówna... Wiesz, moja jedyna, coś mi przyszło do głowy! Będziemy go kształcić i wychowywać z myślą o uniwersytecie. Czego nie mogłem dokonać sam, może uda się osiągnąć w jego osobie, co? Jak słyszałaś, są teraz różne ułatwienia dla biednych studentów.

– Ach, ty marzycielu! – powiedziała Sue i biorąc go za rękę, wróciła do dziecka. Chłopiec przyjrzał jej się, a ona jemu.

– Czy to pani wreszcie jest moją prawdziwą matką? – zapytał.

– Dlaczego pytasz? Czy wyglądam na żonę twego ojca?

– Owszem, poza tym, że on chyba panią lubi, a pani jego. Czy mogę do pani mówić „mamo”?

Na twarzy malca odmalował się nagle wyraz tęsknoty i rozplakał się. Na to Sue nie mogła już powstrzymać łez, bo była jak harfa, w której najłżejsze tchnienie z innego wzruszonego serca wzbudzało od razu wibracje, tak jak najgłębszy ból w jej własnym.

– Możesz mi mówić „mamo”, mój biedny kochaneczku, jeśli tylko masz ochotę! – powiedziała, przytulając się do niego, aby ukryć łzy.

– Co tam takiego masz na szyi? – zapytał Juda z wymuszonym spokojem.

– Klucz od mojego kuferka, który został na stacji. – Zabrali się do roboty, przygotowali dla chłopca kolację i tymczasowe posłanie, gdzie wkrótce zasnął. Oboje podeszli blisko i patrzyli na śpiące dziecko.

– Zanim zasnął, parę razy powiedział do ciebie „mamo” – szepnął

Juda. – Czyż to nie dziwne, że tak mu na tym właśnie zależało?

– To wiele znaczy – rzekła Sue. – Więcej daje nam do myślenia takie jedno łaknące serduszko niż wszystkie gwiazdy na niebie... Chyba trzeba będzie, najdroższy, zebrać się na odwagę i załatwić ten ślub? Nie ma celu walczyć z prądem i sama czuję, że zaczynam solidaryzować się z rodzajem kobiecym. Ach, Judo! będziesz mnie potem czule kochać, powiedz, że będziesz! Chcę być dobra dla tego dziecka i być mu matką, a legalne uświęcenie naszego małżeństwa może mi to ułatwić.

IV

Następną, drugą próbę zawarcia małżeństwa Juda i Sue przedsięwzięli z większą determinacją; było to nazajutrz po przyjeździe tego osobliwego dziecka.

Przekonali się, że chłopczyk ma zwyczaj siedzenia w milczeniu, z dziwną, niesamowitą i nieruchomą twarzą i wzrokiem utkwionym w rzeczach, których oni nie dostrzegali wśród materialnego świata.

– Jego twarz przypomina tragiczną maskę Melpomeny – powiedziała Sue. – Jak ci na imię, kochanie? Nie powiedziałaś nam.

– Wołali na mnie zawsze Ojczulek Czas. To przydomek. Bo mówili, że wyglądam na staruszkę.

– I mówisz jak staruszek – powiedziała tkliwie Sue. – Jakie to dziwne, Juda, że ci przedwcześnie postarzali chłopcy prawie zawsze przybywają z młodych krajów. Ale jakie imię dano ci na chrzcie?

– Nie byłem ochrzczony.

– Dlaczego?

– Bo jeśli bym miał umrzeć potępiony, oszczędziłoby to wydatków na chrześcijański pogrzeb.

– A więc nie masz na imię Juda? – zapytał jego ojciec z pewnym rozczarowaniem.

Chłopiec potrząsnął przecząco głową.

– Nigdy nie słyszałem takiego imienia.

– Oczywiście, że nie – rzekła spiesznie Sue – skoro przez cały ten czas ona cię nienawidziła.

– Ochrzczimy go – powiedział Juda i dodał na stronie do Sue: – W dniu naszego ślubu.

A jednak przybycie dziecka zmąciło jego spokój.

Ich niejasna pozycja zrodziła nieśmiałość i w mniemaniu, że ślub w urzędzie stanu cywilnego ma bardziej dyskretny charakter niż ślub kościelny, Juda i Sue postanowili tym razem ominąć kościół. Poszli razem do urzędu dzielnicowego, aby złożyć podanie. Tak się ze sobą zżyli, że nie umieli nic ważnego przedsięwziąć osobno.

Juda Fawley wypełniał formularz, a Sue zaglądała mu przez ramię, śledząc jego rękę kreślącą odpowiedzi. Twarz jej nabierała wyrazu bólu i przerażenia, w miarę jak czytała akt zobowiązania – nigdy do tej pory nie spotkała się z czymś podobnym – zawierający nazwisko jej i Judy, na mocy którego ta niezmiernie eteryczna substancja, ich miłość, miała nabrać cech trwałości. „Imiona i nazwiska stron” – (mieli być teraz stronami, a nie kochankami, pomyślała). – „Stan” – (co za straszny pomysł). – „Stanowisko lub zajęcie”. – „Wiek”. – „Zamieszkały w...” – „Okres zamieszkania”. – „Kościół czy urząd, gdzie małżeństwo ma być zawarte”. – „Miejscowość i hrabstwo, w którym każda ze stron mieszka”.

– To niszczy uczucie, prawda? – powiedziała w drodze powrotnej. – Robi z małżeństwa jeszcze brudniejszą transakcję niż podpisywanie kontraktu ślubnego w zakrystii. W kościele jest trochę poezji. Ale teraz, najdroższy, spróbujemy już przez to przebrnąć.

– Tak, spróbujemy. „Który jest człowiek, który zrzekował żonę, a nie pojął jej: niech idzie i wróci się do domu swego, by snadź nie umarł na wojnie i inszy jej nie pojął człowiek”. – Tak rzecze żydowski prawodawca.

– Jakiś ty biegły w Piśmie świętym, Juda! Naprawdę powinieneś być zostać plebanem. Ja mogę cytować tylko świeckich pisarzy!

Zanim wydano im zaświadczenie, Sue, przechodząc czasem obok urzędu w czasie wędrówek po zakupy, zaglądała ukradkiem do środka i patrzyła na ogłoszenie o ich zamierzonym małżeństwie, które wisiało przytwierdzone do ściany. Nie mogła znieść tego widoku. W następstwie

pierwszego doświadczenia małżeńskiego cały romantyzm wzajemnego przywiązania między nią a Judą wydawał się zniweczony przez umieszczenie ich związku na tej samej płaszczyźnie. Towarzyszył jej zwykle Ojczulek Czas; prowadziła chłopczyka za rękę, wyobrażając sobie, że ludzie biorą go za jej syna, a zapowiedziany ślub ma według nich naprawić jakiś błąd przeszłości.

Tymczasem Juda postanowił choć w najmniejszym stopniu połączyć teraźniejszość z przeszłością, zapraszając na wesele jedyną osobę na świecie związaną z jego wczesnym dzieciństwem w Marygreen, a mianowicie wiekową wdowę, panią Edlin, która była towarzyszką i opiekunką jego ciotecznej babki w okresie ostatniej choroby. Nie miał wielkiej nadziei na jej przyjazd, jednakowoż pani Edlin zjawiała się wraz z osobliwymi podarunkami, jak na przykład: jabłka, konfitury, mosiężne szczypce do świec, staroświecki półmisek cynowy, szkandela i olbrzymia torba gęsiego pierza. Umieszczono ją w gościnnym pokoju. Wkrótce potem Sue i Juda usłyszeli na dole słowa Ojczulek Nasz, które pani Edlin rzetelnie odmawiała na głos, tak jak Kościół nakazywał.

Wdowa nie mogła jednakże zasnąć i usłyszawszy, że oni jeszcze się nie położyli, bo w istocie była zaledwie dziesiąta, ubrała się z powrotem i zeszła. Siedzieli tak wszyscy do późna przy kominku, a Ojczulek Czas z nimi, chociaż ledwie zdawali sobie sprawę z jego obecności, ponieważ nigdy się nie odzywał.

– Ja tam nie jestem przeciwna małżeństwu jak wasza ciotka – powiedziała wdowa. – I spodziewam się, że tym razem będzie to dla was pod każdym względem wesola okazja. Nikt tego szczerzej nie pragnie niż ja, jako że tyle słyszałam o waszej rodzinie, co pewnie nikt inny z tych, którzy ostali się przy życiu. Bóg jeden wie, jak im się w tych sprawach nie wiodło.

Sue oddychała niespokojnie.

– Wszystko to byli dobrzy ludzie, a jakże, muchy by nie zabili naumyślnie – ciągnął gość weselny. – Ale ciągle im się przydarzało coś naprzeciw, a jeśli każda rzecz nie poszła od razu jak się należy, zaraz tracili głowę. Tak pewnie było z tym waszym krewniakiem, jeśli on naprawdę należał do waszej rodziny, o którym nawet gadka krążyła.

– Co za gadka? – zapytał Juda.

– Ano ta gadka o człeku, co go powiesili akurat na szczycie wzgórza na rozstaju koło Brown House, niedaleko kamienia granicznego między Marygreen a Alfredston. Ale, Boże wielki, toż to było jeszcze za czasów mego dziadka i może wcale nie dotyczyło kogoś z waszej rodziny.

– Wiem doskonale, w którym miejscu stała podobno szubienica – szepnął Juda. – Ale nie słyszałem nigdy tej historii. Co zrobił ten człowiek, przodek Sue i mój, czy zabił żonę?

– Właściwie nie całkiem tak było. Ona uciekła od niego z dzieckiem do znajomych i tam dziecko zmarło. On chciał odebrać ciało, aby pochować je tam, gdzie leżała jego rodzina, a ona nie chciała mu oddać. Mąż wtedy podjechał wózkiem, w nocy, i włamał się do domu, żeby ukraść trumnę. Jednakowoż go złapali, ale uparł się i nie chciał powiedzieć, po co się włamał. Oskarżyli go o kradzież z włamaniem i za to go powiesili na szubienicy przy Brown House. Po jego śmierci żona zwariowała. Ale może to nieprawda i taki sam on był wasz krewniak, jak i mój.

Z mroku przy kominku, jak spod ziemi, odezwał się cienki, powolny głosik:

– Na matki miejscu nie wychodziłbym za męża za ojca! – Te słowa wyrzekł mały Czas, i wszystkich przeniknął dreszcz, bo zupełnie zapomnieli o jego obecności.

– Och! to tylko takie bajanie – powiedziała Sue uspokajająco.

Po tej rozweselającej opowieści z dawnych czasów, jaką opowiedziała wdowa, akurat w przeddzień ceremonii ślubu, Sue i Juda wstali i życząc gościowi dobrej nocy, udali się do siebie.

Następnego ranka, zanim wyruszyli, Sue, której zdenerwowanie rosło z każdą godziną, odciągnęła Judę do bawialni.

– Judo, chcę, żebyś mnie pocałował po raz ostatni jak kochanek – rzekła, przytulając się do niego, cała drżąca, z mokrymi rzęsami. – Już nigdy tak nie będzie jak teraz! Nie trzeba było zaczynać z tym ślubem. Ale pewnie należy brnąć dalej, prawda? Cóż to za okropną historię pani Edlin opowiedziała wczoraj! Zupełnie zepsuła mi humor. Mam wrażenie, jakby nad naszą rodziną unosiło się tragiczne przeznaczenie,

tak jak nad rodem Atrydów.

– Albo nad rodem Jeroboama – powiedział niedoszły teolog.

– Właśnie. Pójście do ołtarza wydaje się wobec tego szaleńczą odwagą! Mam przysięgać tobie tymi samymi słowy, jakimi przysięgałam swemu pierwszemu mężowi, a ty takimi samymi jak swojej pierwszej żonie, niepomni odstraszałającej lekcji, jaką nam dały tamte eksperymenty.

– Jestem nieszczęśliwy, gdy widzę twój niepokój – powiedział Juda. – A tak się cieszyłem, że będziesz w radosnym nastroju. Lecz jeśli nie, to trudno. Nie ma co udawać. Cała rzecz dla ciebie nabiera ponurych barw, a zatem nabiera ich i dla mnie!

– Przypomina to w zbyt niemiły sposób tamten ranek, to wszystko – szepnęła. – Chodźmy już.

Wyruszyli razem do urzędu, bez innych świadków poza wdową Edlin. Dzień był chłodny i posepny, po mieście snuła się lepka mgła od strony „królewskiej Tamizy”. Na schodach prowadzących do urzędu widniały błotniste ślady obuwia osób, które już weszły, w sieni zaś stały mokre parasole. W środku zebrało się kilkoro ludzi i nasza para spostrzegła, że odbywa się właśnie ślub jakiegoś żołnierza i młodej kobiety. W trakcie tej ceremonii Sue, Juda i wdowa zatrzymali się w tyle; Sue czytała ogłoszenia o ślubach wywieszane na ścianie. Osobom ich pokroju lokal wydawał się ponury, chociaż normalni bywalcy uważali go niewątpliwie za zupełnie zwyczajny. Księgi prawnicze oprawione w spleśniałą cielejącą skórę stały na półkach przy jednej ścianie, a z drugiej strony znajdowały się spisy urzędów pocztowych i inne informatory. Naokoło pełno było segregatorów i paczek z dokumentami przewiązаныmi czerwoną tasiemką, a wnękę w murze wypełniało parę kas ogniotrwałych. Nagie deski podłogi, jak i schodki, zbrudziło obuwie poprzednich interesantów.

Żołnierz był zasepiony i niechętny, panna zaś smutna i zawstydzona; rzucało się w oczy, że wkrótce będzie matką; miała podbite oko. Ceremonia wkrótce się skończyła i oboje wraz ze znajomymi wysunęli się powoli. Mijając Sue i Judę, jeden ze świadków powiedział mimochodem, tak jakby ich znał:

– Widzicie tę parę, co właśnie wchodzi? Cha, cha, cha! Tego faceta

akurat dzisiaj rano wypuścili z więzienia. Ona czekała na niego przy bramie i przyprowadziła go wprost tutaj. To ona płaci wszystkie koszty.

Sue odwróciła się i zobaczyła mężczyznę o niemiłej powierzchowności, ogolonego do gołej skóry, a u jego ramienia kobietę z szeroką, śladami ospy poznaczoną twarzą; poczerwieniała pod wpływem wódki i radości, że stoi już na progu spełnionych pragnień. Żartobliwie pozdrowili wychodzącą parę i wysunęli się przed Judę i Sue, która coraz bardziej traciła pewność siebie i w końcu, cofając się, przysunęła się do przyjaciela, z ustami w podkówkę, jak dziecko przed wybuchem płaczu.

– Juda! to jest okropne! Nie trzeba było tu przychodzić! Ten lokal napawa mnie wstrętem: nie nadaje się na usankcjonowanie naszej miłości. Jeśli już miało dojść do ślubu, to żałuję, że nie stało się to w kościele. Tam jest mniej wulgarnie!

– Moja maleńka! – powiedział Juda. – Jaka jesteś zdenerwowana i blada!

– Ale pewnie już trzeba odbyć to tutaj, prawda?

– No nie, niekoniecznie.

Juda pomówił z urzędnikiem i wrócił do niej.

– Nie, nie musimy brać ślubu tu czy gdzie indziej, jeżeli nie chcemy – powiedział. – Możemy dostać ślub w kościele, jeśli nie za tym samym zaświadczeniem, to za innym, które ten urzędnik nam prawdopodobnie wyda. W każdym razie wyjdźmy na dwór, dopóki ty się nie uspokoisz, kochanie, a ja również, i nie omówimy tej sprawy.

Wyszli chyłkiem, pełni poczucia winy, jak gdyby popełnili jakieś wykroczenie, bez szmeru zamykając za sobą drzwi; wdowie Edlin, która została w sieni, powiedzieli, aby wróciła do domu i tam na nich czekała; w razie czego poproszą na świadka kogokolwiek z przechodniów. Znalazłszy się na dworze, skręcili w mało uczęszczaną uliczkę, którą przemierzali tam i z powrotem jak ongiś hale targowe w Melchester.

– No więc co teraz pocniemy, najmilsza? Zdaje mi się, że narobiliśmy zamieszania. Mimo wszystko będę zadowolony ze wszystkiego, z czego ty będziesz zadowolona.

– Juda, mój najdroższy, ile ja ci zmartwienia przysparzam! Powiedz, ty chciałeś, żeby to odbyć tutaj?

– Prawdę mówiąc, gdyśmy już weszli, poczułem, że nie bardzo mi na tym zależy. Ten lokal przygnębił mnie prawie tak samo jak ciebie. Jak tam ohydnie! I przypomniałem sobie, co mówiłaś rano: czy w ogóle powinniśmy brać ślub?

Szli bez celu, aż Sue stanęła i zaczęła znowu cichym głosem:

– Jakiej słabości dowodzi takie wahanie! A jednak lepsze to niż nadmierny pośpiech po raz drugi... Jak okropna wydała mi się ta scena! Wyraz na wymiętej twarzy tej kobiety, która sama oddawała się temu rzezimieszkowi nie na parę godzin, jakby chciała, ale na całe życie, jak musiała. A tamto drugie biedactwo: aby uniknąć rzekomej hańby spowodowanej słabością charakteru, sprowadziła na siebie rzeczywistą hańbę niewoli u tyrana, który nią pogardzał – przecie unikanie tego mężczyzny było dla niej jedyną drogą wybawienia... Tu jest nasz kościół parafialny, prawda? Tutaj odbyłby się nasz ślub, gdybyśmy to załatwili w zwyczajny sposób, co? Chyba odprawia się jakieś nabożeństwo czy coś podobnego.

Juda podszedł do drzwi i zajrzał.

– A to dopiero... – powiedział. – I tu jest ślub. Tak jakby wszyscy dzisiaj wzięli ten sam kurs co my.

– Pewnie dlatego, że dopiero co skończył się post – wyraziła przypuszczenie Sue – wtedy zawsze pełno ślubów. – Przypatrzmy się – powiedziała – i przekonajmy, jakie wrażenie na nas robi ceremonia kościelna.

Weszli, siedli w jednej z tylnych ławek i przyglądali się ceremonii przy ołtarzu. Para zawierająca małżeństwo musiała należeć do zamożnej średniej klasy i ślub, jak zwykle w tych wypadkach, był efektowny i interesujący. Nawet z tej odległości Juda i Sue dostrzegli, że bukiet drży w ręce panny młodej, i słyszeli, że mechanicznie recytuje szeptem słowa, których znaczenie nie docierało do jej mózgu, tak była zakłopotana. Juda i Sue przysłuchiwali się, a każde z nich parokrotnie ujrzało siebie samego w trakcie podobnej ceremonii zawieranej w przeszłości.

– Dla tej biedulki obrządek ślubu nie ma takiego znaczenia, jakie miałby dla mnie, gdybym powtórnie przez to przechodziła z moim obecnym doświadczeniem – szepnęła Sue. – Bo, widzisz, dla nich to

nowość i odnoszą się do całej procedury jak do czegoś naturalnego. Ale skoro doświadczenie ukazało nam jej złowrogi charakter i przy moich, czasami – być może – przesadnych, przekonaniach wydaje mi się chyba naprawdę niemoralne, abym z otwartymi oczami zdecydowała się na ten sam obrządek. Przyjście tutaj w równym stopniu zraziło mnie do ślubu kościelnego co tamten widok do ślubu w urzędzie stanu cywilnego... Słaba z nas i chwiejna para, Juda! To, co napawa innych ufnością, we mnie wzbudza wahanie, bo całą moją istotą wzdragam się znowu przed nikczemnymi warunkami umowy handlowej.

Oboje usiłowali się roześmiać, a potem dalej dyskutowali szeptem nad lekcją pogładową, która odbywała się przed ich oczami. Juda zauważył, że mają zbyt cienką skórę i nie powinni byli w ogóle się urodzić, a zwłaszcza myśleć o zawarciu związku małżeńskiego, tej najbardziej niedorzecznej z wszelkich imprez przedsięwziętych przez dwoje ludzi.

Narzeczoną przeniknął dreszcz. Sue zapytała poważniej, czy Juda rzeczywiście jest zdania, że nie powinni znowu z zimną krwią podpisywać zobowiązania na całe życie.

– To byłoby straszne, gdybyśmy zdecydowali się jednakże na krzywoprzysięstwo mimo przekonania, że brak nam siły na poddanie się takim więzom – powiedziała Sue.

– Jeśli już pytasz – odparł Juda – jestem chyba tego samego zdania. Pamiętaj, jedyna, że postąpię tak, jak ty zechcesz.

Gdy Sue wahała się, Juda wyznał następnie, że chociaż według jego mniemania powinni zdobyć się na zawarcie małżeństwa, jego – tak jak i ją – wstrzymuje lęk przed niedostosowaniem ich charakterów do tej instytucji; lęk, być może, przed ich osobliwymi cechami. Oboje różnili się od innych ludzi.

– Cała rzecz w tym, Sue – oświadczył wreszcie – że jesteśmy tacy przewrażliwieni.

– Wyobrażam sobie, że takich ludzi jak my jest więcej, niż myślimy!

– Czy ja wiem, może. Intencja umowy małżeńskiej jest zapewne dobra i dla wielu osób odpowiednia, ale w naszym wypadku może zniweczyć swój cel, gdyż dziwny z nas gatunek ludzi – narzucone więzy

w życiu domowym gaszą serdeczność i bezpośredniość.

Sue nadal utrzymywała, że nic w nich nie ma dziwnego czy niezwykłego: wszyscy ludzie są tacy.

– Z czasem każdy będzie tak odczuwał jak my. Tylko my wyprzedzamy trochę naszą epokę i to wszystko. Za lat pięćdziesiąt czy sto potomkowie tej tutaj pary będą postępować i odczuwać jeszcze gorzej! W jeszcze bardziej jaskrawym świetle ujrzą w zbląkanej ludzkości „postaci na nasze podobieństwo obrzydłe rozmnożone”, wzdragając się przedłużać jej istnienie.

– Co za straszna cytata!... chociaż w momentach ponurego nastroju podobnie myślałem o moich bliźnich.

I tak sobie gwarzyli z cicha, aż wreszcie Sue powiedziała weselszym tonem:

– Ostatecznie ogólny aspekt sprawy nic nas nie obchodzi, więc po co zaprzętać tym sobie głowę? Jakkolwiek różnimy się w argumentach, dochodzimy do takich samych wniosków: że właśnie dla nas dwojga złożenie nieodwołalnej przysięgi stanowi ryzyko. Wobec tego, Juda, wracajmy do domu, nie niszcząc wspólnego marzenia! Dobrze? Tak? Jakiś ty dobry, mój przyjacielu: ulegasz wszystkim moim kaprysom!

– Ogromnie są zbliżone do moich.

Musnął ją króciutkim pocałunkiem w cieniu filara, w chwili gdy uwaga publiczności skupiła się na orszaku weselnym, który wkraczał do zakrystii. Wyszli potem przed kościół. Zaczekali przy bramie, aż powróciło parę pojazdów i nowo poślubieni mąż i żona ukazali się w pełnym świetle dziennym. Sue westchnęła.

– Kwiaty w rękach panny młodej w smutny sposób przypominają wieniec okrywający ofiarne jałowice w dawnych czasach!

– A jednak, Sue, małżeństwo wcale nie jest gorsze dla kobiet niż dla mężczyzn. Tego niektóre kobiety nie dostrzegają i zamiast buntować się przeciwko warunkom, buntują się przeciwko mężczyźnie, tej drugiej ofierze, akurat tak jak kobieta w ciżbie złorzeczy człowiekowi, który pcha się na nią, kiedy przecież przekazuje on tylko mimo woli napór, jakiemu sam ulega.

– Rzeczywiście, tak uważają niektóre kobiety zamiast sprzymierzać się z mężczyzną przeciwko wspólnemu wrogowi, którym

jest przymus.

Przez ten czas państwo młodzi odjechali, a Juda i Sue odeszli wraz z resztą gapiów.

– Nie, nie bierzemy ślubu – dodała Sue. – Przynajmniej nie dzisiaj.

Wrócili do domu i, mijając okno, spostrzegli wdowę Edlin, która ich wyglądała.

– No, nareszcie! – zawołała, gdy weszli. – Gdym was zobaczyła idących tak do drzwi jak kochająca się para, od razu pomyślałam: „A więc namyślili się w końcu!”.

Juda i Sue pokrótce jej opowiedzieli, że tak się nie stało.

– Co też... naprawdę nie wzięliście ślubu? A niech to wszyscy... że też mi przyszło dożyć takiej hańby, jaką przynosicie dla starego, poczciwego przysłowia: „Żeń się w pośpiechu, a żałuj pomału”. Już czas najwyższy wracać mi do Marygreen, jeśli te nowe wymysły mają do tego doprowadzać! W moich czasach nikomu w głowie nie powstało strachać się ożenku jak też i czego innego oprócz kuli armatniej czy pustki w spiżarni. Jakże, kiedym szła do ołtarza z moim starym, nie frasowaliśmy się o to więcej niż o zeszłoroczny śnieg.

– Proszę nic o tym nie mówić dziecku, jeśli tu wejdzie – szepnęła nerwowo Sue. – Niech myśli, że wszystko załatwione jak należy; lepiej, żeby się nie dziwił i nie dociekał. Odłożyliśmy ślub jedynie, aby się zastanowić. Co to kogo obchodzi, jeśli nam ze sobą dobrze tak, jak jest?

V

Od kronikarza ludzkich nastrojów i postępów nikt nie oczekuje osobistych wypowiedzi na temat poważnego konfliktu, jaki został opisany powyżej. W przerwach między chwilami smutku nasza para była niezaprzeczenie szczęśliwa. Niespodziewane przybycie dziecka Judy raczej umocniło, niż podkopało ich szczęście, gdy przekonali się, że pobyt chłopczyka nie zmącił spokoju domowego, jak się można było obawiać, wniósł natomiast w życie obojga nowe i tkliwe uczucie

o uszlachetniającym i bezinteresownym charakterze.

Dla istot kochających i myślących, jak Juda i Sue, przybycie chłopca pociągnęło również za sobą wiele troski o przyszłość, zwłaszcza że na razie dziecko wydawało się dziwnie pozbawione wszelkich nadziei właściwych wiekowi dziecięcemu. Ale oboje, przynajmniej tymczasem, usiłowali odsuwać od siebie zbyt intensywne myśli o jutrze.

W górnym Wesseksie znajduje się stare miasto liczące dziewięć czy dziesięć tysięcy dusz; nazwijmy je Stoke-Barehills. Wraz ze swym ponurym, mało interesującym starym kościołem i nowym przedmieściem zbudowanym z czerwonej cegły miasto leży wśród otwartych pól na wapiennych gruntach, blisko środka imaginacyjnego trójkąta, którego trzy wierzchołki stanowiłyby Aldbrickham, Wintoncester i ważny wojskowy garnizon Quartershot. Przez Stoke-Barehills przechodzi wielki gościniec z Londynu ku zachodowi, rozgałęziając się nieopodal na dwie odnogi, które zbiegają się znowu około dwudziestu mil dalej. Zanim zbudowano kolej, podróżnym jadącym końmi rozgałęzienie to, a potem powtórne złączenie dróg nasuwało wieczny temat do roztrząsań. W tej chwili jednak całe zagadnienie przestało istnieć, tak jak przestał istnieć dzierżawca opłacający miejskie podatki, woźnica kursujący po drogach i stangret wożący pocztę, którzy w swoim czasie również łamali sobie nad tym głowę. Pewnie żaden z obecnych mieszkańców Stoke-Barehills nawet nie wie, że dwie drogi rozwidlające się w mieście w ogóle schodzą się z powrotem, bo teraz nikt nie używa tego wielkiego, zachodniego szlaku.

Dzisiaj w Stoke-Barehills najbardziej rzuca się w oczy cmentarz położony wśród malowniczych średniowiecznych ruin obok linii kolejowej; na tle kruszących się, bluszczem oplecionych starych murów nowoczesne kapliczki, grobowce i młode krzewy robią wrażenie intruzów.

Wszakże pewnego dnia, z początkiem czerwca, w roku, do którego doszło nasze opowiadanie, osobliwości miasta nie wzbudzały zainteresowania, chociaż pociągi przywoziły mnóstwo podróżnych. Zwłaszcza pociągi z większych miast opuszczali tu prawie wszyscy podróżni. Rozpoczął się tydzień Wielkiej Wystawy Rolniczej w Wesseksie. Rozległy jej teren ciągnął się na niezabudowanych

krańcach miasta jak obozowisko obłądniczych wojsk. Rzędy ogromnych namiotów, baraków, stoisk, pawilonów, arkad i krużganków – różnego rodzaju budowle, ale ani jedna o trwałym charakterze – pokrywały zielone błonia na przestrzeni pół mili kwadratowej, a tłumy nowo przybyłych ciągnęły zwartą cizbą wprost na teren wystawy. Wzdłuż drogi prowadzącej tam stały rzędem namioty wędrownych kuglarzy, kramy i piesi przekupnie, co zmieniało cały szlak do właściwych terenów wystawowych w targowisko i powodowało, że nieopatrzni ludziska opróżniali kieszenie, zanim jeszcze dotarli do bram wystawy, na którą specjalnie przybyli.

W ten dzień zniżkowej opłaty wstępnej, wynoszącej jednego szylinga, wśród ciągle nadjeżdżających pociągów dwa nieomal jednocześnie przybyły z dwóch różnych stron na sąsiadujące ze sobą perony. Jeden, jak szereg poprzednich, od strony Londynu, drugi przez boczną linię z Aldbrickham. Z londyńskiego wysiadło dwoje ludzi: niski, otyły mężczyzna z okrągłym brzuszkiem i krótkimi nogami w towarzystwie kobiety o pięknej figurze i bardzo rumianej twarzy, ubranej w czarną suknię i obwieszonej paciorkami od czepka aż po spódnicę, dzięki czemu lśniła cała, jak gdyby nosiła kolczugę.

Oboje rozglądali się dookoła. On miał już wynająć dorożkę, tak jak i inni wycieczkowicze, kiedy kobieta odezwała się:

– Daj pokój, Cartlett, dokąd ci tak pilno? Na teren wystawy nie jest znowu tak daleko. Chodźmy tą ulicą, a może wybiorę sobie coś z mebli czy starej porcelany. Od lat już tu nie byłam. Gdy jako panienska mieszkałam w Aldbrickham, przyjeżdżałam tu czasem na wycieczkę z moim kawalerem.

– Nie spodziewaj się, że będziesz mogła zabrać z sobą meble do pociągu wycieczkowego – odezwał się chrypliwym głosem jej mąż, właściciel oberży „Pod Trzema Rogami” w Lambeth. Opuścili na jeden dzień swój zakład położony „w doskonałej, gęsto zaludnionej dzielnicy, gdzie ludzie nie gardzą dzinem”; mieszkali tam od czasu, gdy przyciągnęło ich ogłoszenie tak właśnie sformułowane. Oblicze oberżysty świadczyło, że na niego również, jak i na jego klientów wpływ wywierały sprzedawane trunki.

– W takim razie każę je odesłać, jeśli coś się okaże warte kupna –

powiedziała małżonka.

Sunęli dalej, ale ledwie weszli do miasta, uwagę ich przyciągnęła młoda para z dzieckiem; podróżni ci nadeszli z drugiego peronu, gdzie wtoczył się pociąg z Aldbrickham, i znaleźli się akurat przed właścicielami szynku.

– A niech to jasna...! – zawołała Arabella.

– Co takiego? – zapytał Cartlett.

– Jak ci się zdaje, kto to są ci ludzie przed nami? Nie poznajesz tego mężczyzny?

– Nie.

– A fotografia, co ci pokazywałam?

– Czyżby to był Fawley?

– On, naturalnie!

– No więc cóż takiego? Pewnie miał ochotę zwiedzić wystawę jak i my wszyscy.

Zainteresowanie Cartletta osobą Judy, jakiegokolwiek mogło mieć natężenie w momencie, kiedy Arabella była dla niego nowością, najwyraźniej teraz osłabło, wdzięki jej bowiem i wady, zapasowe warkocze i dołki w policzkach wywoływane na żądanie zaczęły przypominać dobrze już znaną opowieść.

Arabella tak regulowała krok swój i męża, aby niepostrzeżenie trzymać się bezpośrednio za tamtą trójką, co nie było trudne w takim strumieniu pieszych. Na uwagi Cartletta Arabella odpowiadała krótko i od niechcienia, bo grupka idąca przed nimi interesowała ją bardziej niż reszta widowiska.

– Widać, że odnoszą się serdecznie do siebie i do swego dziecka – ciągnął swoje oberżysta.

– Do swego dziecka! To nie jest przecież ich dziecko – powiedziała Arabella z nagłą a dziwną zaborczością. – Za krótko są po ślubie, żeby to mogło być ich dziecko!

Ale chociaż zduszony instynkt macierzyński na tyle był w niej mocny, aby obalić przypuszczenie męża, po namyśle postanowiła nie mówić więcej niż trzeba. Pan Cartlett nie wiedział nic ponadto, że dziecko z pierwszego małżeństwa jego żony mieszkało z dziadkami na antypodach.

– Zapewne. Ona wygląda na panienczkę.

– Oni żyją ze sobą albo może niedawno się pobrali, a dziecko wzięli na wychowanie, to od razu widać.

Państwo Cartlett w dalszym ciągu posuwali się naprzód.

Nieświadoma obserwacji para, Sue i Juda, postanowiła skorzystać z okazji Wystawy Rolniczej odległej o dwadzieścia mil od ich miejsca zamieszkania, aby wybrać się na całodniową wycieczkę, która tanim kosztem da im trochę ruchu i rozrywki, a zarazem czegoś ich nauczy. Ojczulek Czas był naturalnie z nimi, bo, nie myśląc wyłącznie o sobie, uciekali się do każdego sposobu, aby malec mógł się ożywić i pośmiać jak inni chłopcy, chociaż w pewnej mierze stanowił on przeszkodę w rozkosznej swobodzie obcowania, jakiej z radością zażywali w trakcie swoich wędrówek. Jednakże rychło zapomnieli, że Ojczulek Czas ich obserwuje, i podążali naprzód z tym tkliwym wzajemnym zainteresowaniem, jakie najbardziej nieśmiałe osoby z trudem ukrywają, a nawet starają się ukrywać mniej usilnie niż w swoim środowisku, sądząc, że znajdują się w otoczeniu wyłącznie obcych ludzi. Sue, w nowym letnim stroju, gibka i lekka jak ptaszek, z paluszkami na rączce białej, kretonowej parasolki, szła, ledwie dotykając ziemi, tak jakby umiarkowanie silny powiew wiatru mógł ją zdmuchnąć ponad żywopłotem na sąsiednie pole. Juda, w jasnopopielatym świątecznym garniturze, czuł się naprawdę dumny z jej towarzystwa, jeszcze więcej z jej miłego obejścia i rozmowy niż z jej ujmującej powierzchowności. Całkowite wzajemne zrozumienie, dzięki czemu każde spojrzenie i każdy ruch był równie wymowny jak słowa we wzajemnym przekazywaniu myśli, czyniło z nich jakby dwie połowy jedności.

Tamci dwoje z dzieckiem, a wkrótce potem Arabella z mężem przeszli przez kołowrót przy wejściu. Już w obrębie wystawy żona oberżysty zauważyła, że Juda i Sue zajęli się chłopczykiem, pokazując mu i objaśniając liczne ciekawe eksponaty, żywe i nieruchome, a przelotny smutek wypływał na ich twarze przy każdej nieudanej próbie przełamania jego obojętności.

– Jakże ona łąnie do niego! – powiedziała Arabella. – O, nie, nie sądzę, że się pobrali, bo nie byliby tak dalece sobą zajęci... Ciekawa jestem!

– Przecież, zdaje się, mówiłaś, że on się z nią ożenił?

– Słyszałam, że ma się żenić, i to wszystko; to znaczy mieli spróbować po raz drugi, bo już parę razy ślub odkładali. Oni tak są sobą zajęci, jakby nikogo innego nie było na wystawie! Wstydziałabym się robić z siebie takiego durnia, gdybym była w jego skórze.

– Nie widzę nic rzucającego się w oczy w ich zachowaniu. Nawet nie zauważyłbym, że to zakochani, gdybyś mi nie powiedziała.

– Ty nigdy nic nie widzisz – odparła Arabella. Niemniej opinię Cartletta o zachowaniu się tej pary zakochanych czy małżonków bez wątpienia podzielał cały tłum; nikt nie zwracał uwagi na to, co bystrym okiem spostrzegła Arabella.

– Ona go urzekła, tak jakby była czarownicą! – ciągnęła. – Popatrz tylko, jak on na nią patrzy i zatapia w niej wzrok! Zaczynam przypuszczać, że ona nie dba o niego tak jak on o nią. W moim rozumieniu nie jest to istota o zbyt gorącym sercu, chociaż może go i kocha po swojemu, na tyle, ile ją stać. A on mógłby troszkę zranić to jej serce, gdyby tylko zechciał spróbować, ale na to za wielki z niego prostaczek. No i patrz, idą teraz na przełaj do szopy z końmi zaprzęgowymi. Chodźmy i my.

– Wcale nie mam ochoty oglądać koni zaprzęgowych. Nie ma żadnej racji, abyśmy tę parę śledzili. Skoro przyjechaliśmy na wystawę, oglądajmy ją po swojemu, a oni po swojemu.

– No więc dobrze, umówmy się, że spotkamy się za godzinę, może tu, w namiocie z bufetem, a teraz każde pójdzie osobno, co? Będiesz mógł oglądać sobie, co zechcesz, a ja również.

Cartlett nie miał nic przeciwko temu i rozstali się; on skierował się do stoiska, gdzie demonstrowano procesy fabrykacji słoðu, Arabella zaś ruszyła w tym samym kierunku co Juda i Sue. Zanim jednakże ich dogoniła, spotkała się oko w oko z roześmianą Anny, przyjaciółką z panieńskich czasów.

Anny wybuchnęła serdecznym śmiechem z powodu samego faktu tego przypadkowego spotkania.

– Ja znowu mieszkam w tych stronach – powiedziała, odzyskawszy powagę. – Niedługo wychodzę za mąż, ale mój przyszły nie mógł dzisiaj przyjechać na wystawę. Ale jest nas tutaj cała paczka z wycieczką,

choć ich na razie zgubiłam.

– Czy nie spotkałaś czasem Judy i jego niewiasty, czy tam żony, czy kim tam ona jest dla niego? Widziałam ich przed chwilą.

– Nie. Od lat go nie widziałam nawet na moment.

– Muszą być gdzieś blisko. O! już ich widzę! koło tego siwego konia.

– Ach! więc to jest jego obecna niewiasta – żona, powiadasz?

Ożenił się znowu?

– Tego nie wiem.

– Jaka ładna, prawda?

– Tak, niczego, ale nie do zachwytu. Nie ma na co tak bardzo patrzeć; takie szczupłe, niewydarzone stworzenie.

– A jaki on przystojny! Trzeba było trzymać się go, Arabello.

– Czy ja wiem? – szepnęła tamta.

Anny zaśmiała się.

– Taka właśnie jesteś! Zawsze chcesz innego mężczyznę, a nie tego, którego masz.

– A która kobieta jest inna, chciałabym wiedzieć? Co do tej tam, przy nim, ona nie wie, co to miłość, przynajmniej co ja nazywam miłością! Mogę wyczytać z jej twarzy, że tego nie wie.

– A może, Abby, kochaneczko, ty nie wiesz, co ona nazywa miłością?

– I nie chcę wiedzieć, to pewne! Ach! kierują się do działu sztuki. Chętnie i ja obejrzę obrazy. Może byśmy poszły w tamtą stronę? Patrzcie no! Cały Wessex można tu spotkać, słowo daję! Dr Vilbert także jest na wystawie. Nie widziałam go od lat, a przecie nie wygląda o dzień starszej niż za dawnych czasów. Dzień dobry, doktorze! Mówiłam właśnie, że wcale się pan nie postarzał, od kiedy pana spotykałam za panieńskich czasów.

– To po prostu rezultat regularnego zażywania pigułek własnego wyrobu, droga pani. Pudełko tylko dwa szylingi i trzy pensy – pieczętka rządowa gwarantuje skuteczność. Czy wolno mi udzielić rady, aby pani poszła za moim przykładem i nabyła ten sam środek zabezpieczający przed szkodami, jakie wyrządza czas? Dwa szylingi i trzy pensy.

Z kieszeni kamizelki lekarz wyciągnął pudełeczko i Arabella

została zmuszona do nabycia go.

– W każdym razie – ciągnął, odbierając pieniądze za pigułki – pani mnie dystansuje, pani... czyżby pani Fawley, ongiś panna Donn z okolic Marygreen?

– Tak. Ale teraz nazywam się Cartlett.

– Ach! więc straciła pani pierwszego męża? Taki obiecujący młodzieniec! Pani wie, to był mój uczeń. Wykładałem mu martwe języki. I wierzaj mi, pani, chłopak wkrótce umiał prawie tyle samo co ja.

– Owszem, straciłam go, ale nie w ten sposób, jak pan sądzi – powiedziała sucho Arabella. – Rozłączyli nas prawnicy. A on także jest na wystawie, żywy i wesół, niech pan tylko popatrzy; właśnie wchodzi do pawilonu sztuki razem z tą młodą kobietą.

– A rzeczywiście! Widać, że jest w niej zakochany.

– Mówią, że są z sobą spokrewnieni.

– Powiedziałbym, że kuzynostwo sprzyja ich uczuciom.

– Owszem. Tak zapewne myślał jej mąż, kiedy się z nią rozwodził... Może i my obejrzymy obrazy, co?

Cała trójka podążyła za tamtymi przez trawnik i weszła na wystawę. Juda i Sue wraz z dzieckiem, nieświadomi zainteresowania, jakie wywoływali, skierowali się w drugi koniec budynku, do modelu, który przez dłuższą chwilę oglądali z wielką uwagą, zanim ruszyli dalej. Arabella i jej znajomi po chwili doszli tam również. Napis pod eksponatem głosił: „Model Kolegium Kardynała w Christminster. Wykonanie: J. Fawley i S. F. M. Bridehead”.

– Podziwiali swoje dzieło – powiedziała Arabella. – Jakże to podobne do Judy: zawsze ma w głowie kolegia i Christminster, zamiast pilnować swojej roboty!

Pobieżnie obejrzeni obrazy i podeszli do estrady, gdzie grała orkiestra. Podczas gdy stali chwilę, słuchając muzyki w wykonaniu kapeli wojskowej, Juda, Sue i chłopiec przeszli na drugą stronę. Arabella nie dbała o to, czy ją poznają, czy nie, a oni nazbyt byli zaabsorbowani sobą i odbiciem swoich wzruszeń w muzyce, aby ją poznać pod woalką z paciorkami. Arabella obeszła naokoło zasłuchaną ciżbę i stanęła za plecami zakochanej pary, której poczynania wywierały na niej dzisiaj wprost urzekający wpływ. Obserwując ich dokładnie od tyłu, zauważyła,

że ręka Judy ujęła dłoń Sue; przysunęli się jeszcze bliżej do siebie, aby, jak im się zdawało, ukryć ten milczący wyraz jednakowego oddźwięku na muzykę.

– Wariaci, głuptasy jak para dzieciuchów! – posępnie szepnęła do siebie Arabella i wróciła do swego towarzystwa, z którym wszakże wcale nie rozmawiała, pogrążona we własnych myślach.

Tymczasem Anny żartobliwie zwróciła uwagę Vilberta na pożądlive zainteresowanie Arabelli pierwszym mężem.

– Czy nie potrzebowałaby pani czasem czegoś takiego, pani Cartlett? – powiedział do niej na stronie lekarz. – Nie jest to wprawdzie towar sporządzony według moich zwykłych aptekarskich przepisów, ale niejednokrotnie jestem proszony o ten specyfik. – Wyjął małą buteleczkę bezbarwnego płynu. – Napój miłosny, taki, jakiego z doskonałym skutkiem używali starożytni. Znalazłem przepis, studiując ich pisma, i nie słyszałem nigdy, aby ten środek zawiódł.

– Z czego to się składa? – zapytała ciekawie Arabella.

– Jednym ze składników są destylowane soki z serc gołębic, inaczej zwanych turkawkami. Trzeba prawie sto takich serc, aby napełnić małą buteleczkę.

– Skąd pan bierze tyle gołębi?

– Zdradzę pani tajemnicę: staram się o bryłę soli kuchennej, za którą gołębie przepadają, i kładę ją w gołębniku u siebie na dachu. Po paru godzinach zlatują się ptaki ze wszystkich stron świata, ze wschodu, zachodu, północy i południa; w ten sposób łapię ich tyle, ile mi potrzeba. Przepis jest taki: trzeba spowodować, aby mężczyzna, którego pani chce zdobyć, wypić około dziesięciu kropli tego płynu w jakimś napoju. Ale proszę pamiętać, że opowiadam te szczegóły, bo wywnioskowałem z pani pytań, że zamierza pani nabyć miksturę. Nie może mi pani sprawić zawodu.

– Naturalnie, chętnie wezmę taką buteleczkę. Ofiaruję ją którejś z przyjaciółek, aby wypróbowały na swoim kawalerze.

Wyjęła pięć szylingów (taka była cena mikstury) i ukryła flaszczykę w zanadrzu. A potem oświadczyła, że musi się spotkać z mężem, i odeszła w stronę baru. Tymczasem Juda z przyjaciółką i dzieckiem poszli do namiotu ogrodniczego i Arabella dojrzała ich tam

przed krzewem rozkwitłych róż.

Postała parę minut, przyglądając im się, a potem poszła na spotkanie z mężem, ożywiona niezbyt życzliwymi uczuciami. Zastała go na stołku w barze; rozmawiał z jedną z jaskrawo ubranych kelnerek, która podała mu wódkę.

– Zdawałoby się, że masz tych rzeczy dosyć w domu! – zauważyła uszczypliwie Arabella. – Chyba nie przyjechałeś z własnego baru odległego o pięćdziesiąt mil, aby tkwić w innym? Chodź, zaprowadź mnie na widowisko, tak jak inni mężowie! Co, u licha! Można by pomyśleć, że z ciebie młody kawaler, który troszczy się tylko o siebie!

– Przecież umówiliśmy się na spotkanie właśnie tutaj i nic mi innego nie pozostało jak na ciebie czekać.

– Mniejsza z tym, idźmy już stąd, skoro przyszłam – odparła, gotowa do kłótni nawet ze słońcem na niebie. Wyszli razem z namiotu, on z okrągłym brzuszkiem, ona kwitnąca, ale niechętni sobie i w nastroju wzajemnych pretensji zwyczajnym u przeciętnych, chrześcijańskich małżonków.

Tymczasem mniej pospolita para wraz z chłopcem zatrzymała się dłużej w pawilonie kwiatowym, który ich przychylnym oczom wydał się zaczarowanym pałacem. Policzki Sue, zwykle blade, odbijały teraz delikatne odcienie róż, na które patrzała, bo wesołe wrażenia, powietrze, muzyka i podniecenie całodzienną wycieczką z Judą przyśpieszyły obieg jej krwi i napełniły oczy iskierkami ożywienia. Sue przepadała za różami i Arabella podpatrzyła scenę, gdy Sue zatrzymała Judę prawie wbrew jego woli w pawilonie, bo chciała się zaznajomić z nazwą tej odmiany i tamtej, i pochylała twarz tuż nad kwieciem, aby je powąchać.

– Chętnie wtuliłabym się w nie twarzą, takie są cudowne! – powiedziała. – Ale pewnie przepisy nie pozwalają na dotykanie kwiatów, prawda, Juda?

– Naturalnie, ty dzieciaku – odparł i zaraz żartobliwie popchnął ją troszkę naprzód, tak że jej nosek znalazł się między płatkami róż.

– Co robisz, przyłapie nas policjant, a wtedy będę musiała powiedzieć, że to wina mojego męża!

Rzuciła mu spojrzenie i uśmiech z wyrazem, który tyle wyjawiał Arabelli.

– Szczęśliwa? – szepnął Juda.

Skinęła głową.

– Czemu? Czy dlatego, że przyjechałaś na Wielką Wystawę Rolniczą, czy dlatego, że jesteśmy tu razem?

– Zawsze starasz się wydobyć ze mnie wyznania na temat różnych niedorzeczności. Oczywiście jestem szczęśliwa, bo doksztalcam się, oglądając te wszystkie pługi parowe, młockarnie i siewkarnie, krowy, świnki i owce.

Juda zadowolił się wymijającą odpowiedzią zawsze nieuchwytniej towarzyszki. Ale gdy już zapomniał o pytaniu i przestało mu zależeć na odpowiedzi, Sue mówiła dalej:

– Czuję, że nawracamy do greckiej atmosfery radości, zamykając oczy na smutki i bóle i zapominając o tym, czego rasę ludzką nauczyło dwadzieścia pięć stuleci od czasów greckich, jak powiedział jeden z twoich christminsterskich luminarzy... Tkwi w tym wszakże jeden cień, ale jeden tylko... – I spojrzała na młodego wiekiem staruszka, którego nie udało im się niczym zainteresować, chociaż pokazali mu wszystko, co mogło przyciągnąć dziecięcy umysł.

Chłopiec rozumiał, o czym mówili i myśleli.

– Przykro mi, ojczy i mamó – powiedział. – Nie przejmujcie się mną, proszę, to nie moja wina. Ogromnie podobałyby mi się kwiaty, gdybym bez przerwy nie myślał, że za parę dni wszystkie powędzną!

VI

Od dnia odłożonego wesela życie tych dwojga, które dotychczas nie przyciągało niczyjej uwagi, stało się przedmiotem obserwacji i dyskusji nie tylko Arabelli, ale i innych osób. Mieszkańcy ulicy Wiosennej i sąsiednich zasadniczo nie rozumieli i pewnie nie byliby zdolni zrozumieć myśli i uczuć, poglądów i wahań Judy i Sue. Dla tych prostych umysłów jedno tylko wytłumaczenie miał osobliwy fakt nagłego przyjazdu dziecka, które Judę nazywało ojcem, a Sue matką,

i przeszkoda w ceremonii ślubu mającej się dyskretnie odbyć w urzędzie stanu cywilnego, jak również pogłoski o sprawach rozwodowych, na które strony się nie stawiały.

Mały Czas, bo trafny przydomek do niego przylgnał, chociaż oficjalnie zaczęto go wołać „Juda”, przychodząc wieczorem ze szkoły do domu, powtarzał indagacje i uwagi innych chłopców na swój temat. Przysparzało to wielu zmartwień i smutku Sue, a również Judzie, jeśli o tym usłyszał.

I w rezultacie, wkrótce po próbie dokonanej w urzędzie stanu cywilnego, Juda i Sue wyjechali na kilka dni do Londynu, jak mówiono, zaangażowawszy kogoś do opieki nad chłopcem. Po powrocie dali do zrozumienia obojętnie i chłodno, i z widocznym w zachowaniu znużeniem, że wreszcie wzięli legalny ślub. Sue, którą do tej pory nazywano panią Bridehead, występowała teraz otwarcie jako pani Fawley. Jej zachowanie w ciągu szeregu dni, pełne rezerwy i powściągliwości, zdawało się potwierdzać zawarcie ślubu.

Popelnili jednak omyłkę. Dyskretny wyjazd dla dopełnienia tej ceremonii nie rozproszył tajemnicy otaczającej ich pożycie i przekonali się niebawem, że stosunki z sąsiadami nie uległy poprawie, jak na to liczyli. Niewyjaśniona zagadka wywoływała nie mniejsze zainteresowanie niż zakończony skandal.

Goniec z piekarni i chłopiec od kupca korzennego, którzy początkowo grzecznie uchylali kapelusza, odnosząc Sue paczki, nie zadawali już sobie fatygi, aby złożyć jej ten hołd, małżonki zaś rzemieślników z sąsiedztwa przy spotkaniu z nią patrzyły wprost przed siebie.

Nikt im nie dokuczał, to prawda, ale zaczęła ich otaczać przytłaczająca moralna atmosfera, zwłaszcza po wycieczce na wystawę, tak jakby to ściągnęło na nich jakieś złe skutki. Z usposobienia byli predestynowani, aby boleśnie odczuwać taką atmosferę, niezdolni do rozproszenia jej zdecydowanym i otwartym oświadczeniem. Zainscenizowana próba naprawienia zła przyszła za późno, aby przynieść jakiś rezultat.

Zamówienia na nagrobki i napisy zaczęły odpadać i po paru miesiącach, na jesieni, Juda spostrzegł konieczność powrotu do pracy

dniówkowej, co w danej chwili wydawało się tym bardziej niekorzystne, że jeszcze nie spłacił długów, jakie musiał zaciągnąć w ubiegłym roku na koszty sądowe.

Pewnego wieczoru, gdy zasiadł jak zwykle do wspólnego posiłku z Sue i z dzieckiem, powiedział do niej:

– Nie zostaniemy tu chyba dłużej; tryb życia odpowiada nam, owszem, ale gdyby udało się wyjechać do miejscowości, gdzie nikt nas nie zna, byłoby nam lżej i mielibyśmy większe możliwości. Obawiam się, że trzeba będzie pożegnać się z tym domem, chociaż to znowu pociągnie dla ciebie niewygodę, moje biedne kochanie!

Sue zawsze bardzo się przejmowała obrazem własnej osoby jako przedmiotu litości, zaraz też posmutniała.

– E, wcale nie żałuję – powiedziała jednak. – Stosunek tutejszych ludzi do nas bardzo mnie przygnębia. A ty przecież utrzymywałeś ten dom wraz z umeblowaniem wyłącznie ze względu na mnie i na chłopca! Przecież sam go nie potrzebujesz i cały ten wydatek jest zbędny. Ale cokolwiek by się z nami działo i gdziekolwiek się obrócimy, nie zabierzesz mi chłopca, Judo, prawda? Nie mogę go teraz puścić od siebie! Chmura na jego dziecięcej duszy głęboko mnie wzrusza i mam nadzieję, że kiedyś zdołam ją usunąć. Dziecko również mnie pokochało. Nie zabierzesz mi go, dobrze?

– Ależ nie, maleńka! Gdziekolwiek się udamy, wynajmiemy sobie ładne mieszkanie. Ja pewnie będę wyjeżdżał, pracując to tu, to tam.

– Ja także będę pracować, oczywiście, aż do chwili... Teraz, kiedy już nie przydam ci się przy napisach, spróbuję zabrać się do czegoś innego.

– Nie śpiesz się ze staraniem o robotę – powiedział Juda niechętnie. – Nie chcę tego. Wolałbym, żebyś nie pracowała, Sue. Wystarczy, że zajmujesz się chłopcem i własną osobą.

Zapukano do drzwi i Juda otworzył. Sue przysłuchiwała się rozmowie.

– Czy pan Fawley jest w domu?... Firma budowlana Biles i Willis przysłała mnie, aby zapytać, czy pan podejmie się wykonania napisu na tablicy z Dziesięciorgiem Przykazań w kościółku, który ostatnio firma odnawia w pobliskiej wsi.

Juda pomyślał chwilę i odparł twierdząco.

– Nie jest to robota zbyt artystyczna – ciągnął posłaniec. – Miejscowy ksiądz to człowiek o bardzo staroświeckich pojęciach i zgodził się tylko na odświeżenie kościółka i konieczne naprawy.

– Dzielny staruszek! – powiedziała do siebie Sue, która uczuciowo potępiała okropności zbyt daleko posuniętego odnawiania.

– Tablica z Dziesięciorgiem Przykazań znajduje się we wschodnim końcu kościoła – ciągnął posłaniec – i trzeba ją odnowić na miejscu, bo ksiądz nie życzy sobie, aby starą tablicę wywieźć jako niepotrzebny materiał należący już do firmy, tak jak się to zwykle robi.

Zawarto umowę co do warunków i Juda wrócił do pokoju.

– Widzisz! – powiedział wesoło. – W każdym razie nowa robota; możesz mi w niej pomóc, a przynajmniej spróbować. Będziemy mieli cały kościół dla siebie, bo inne roboty są już skończone.

Nazajutrz Juda udał się do kościoła, który leżał tylko dwie mile za miastem. Przekonał się, że urzędnik z firmy budowlanej miał rację. Tablice z prawami żydowskimi piętrzyły się ponad utensyliami służącymi do nabożeństw jako główna ozdoba tego krańca prezbiterium utrzymanego w pięknym, surowym stylu ubiegłego stulecia. A ponieważ ramy tablicy wykonano ze stiuku, nie dało się jej zdjąć do odnowienia. Jeden kawałek, rozkruszony wskutek wilgoci, trzeba było zastąpić nowym, a gdy Juda to zrobił i oczyścił całość, przystąpił do odnawiania liter. Następnego ranka przyszła Sue, aby zobaczyć, w czym mogłaby mu pomóc, a także dlatego, że zawsze chętnie przebywali razem.

W prostym i cichym wnętrzu kościoła Sue nabrała zaufania w swoje siły; weszła, chociaż trochę nieśmiało, na niewysokie i solidne rusztowanie przygotowane przez Judę i zabrała się zaraz do malowania liter na pierwszej tablicy, podczas gdy on łątał brakujący kawałek drugiej. Sue sprawiało przyjemność, że robota zręcznie jej idzie; nauczyła się tych rzeczy w ciągu długich dni spędzonych nad iluminowaniem tekstów dla zakładu sztuki sakralnej w Christminster. Zdawało się, że nikt im tutaj nie będzie przeszkadzać, a przyjemny szczebiot ptaków i szelest październikowego listowia wpływał przez otwarte okno i zlewał się z ich rozmową.

Niedługo jednakże cieszyli się tą zaciszną i spokojną atmosferą.

Okolo wpół do pierwszej na żwirowanej ścieżce rozległy się kroki, wszedł stary proboszcz i dwóch członków rady kościelnej i podchodząc bliżej, aby przyjrzeć się robocie, ze zdziwieniem zauważyli przy pracy młodą kobietę. Ledwie zniknęli w bocznej nawie, gdy drzwi otwały się znowu i ukazała się nowa postać, tym razem dziecięca – był to mały Czas, cały we łzach. Sue powiedziała mu, gdzie ją znajdzie w przerwie między lekcjami, gdyby chciał się z nią zobaczyć. Zeszła zaraz z rusztowania, pytając:

– Co się stało, kochanie?

– Nie mogłem zostać w szkole i zjeść tam obiadu, bo oni mówili...

I opowiedział, jak kilku chłopców dokuczało mu na temat jego przybranej matki, a zmartwiona Sue powtórzyła to z oburzeniem Judzie, który ciągle stał na rusztowaniu. Dziecko wyszło na dziedziniec przykościelny, a Sue wróciła do pracy. Tymczasem drzwi otworzyły się znowu i wtoczyła się zaaferowana posługaczka w białym fartuchu. Sue знаła z widzenia tę kobietę, bo miała ona znajomych na ulicy Wiosennej i czasem ich odwiedzała. Posługaczka spojrzała na Sue, otworzyła szeroko oczy i wzniosła w górę ręce; najwidoczniej poznała towarzyszkę Judy, tak jak ta ostatnia ją poznała. Następnie weszły dwie panie i zamieniwszy parę słów z posługaczką, wkroczyły dalej; Sue stała z ręką wzniesioną ku górze, więc śledziły jej ruchy przy kreśleniu liter, krytycznie oglądając figurę młodej kobiety uwypukloną na tle białego muru. Sue tak to zdenerwowało, że nie mogła ukryć drżenia.

Kobiety cofnęły się do miejsca, gdzie stała pierwsza grupka, i rozmawiały półgłosem; jedna z nich, Sue nie dosłyszała, która, zapytała:

– To chyba jego żona?

– Niektórzy mówią, że tak, a inni, że nie – brzmiała odpowiedź posługaczki.

– Nie jest jego żoną? W takim razie powinna wziąć z nim ślub albo w ogóle wyjść za kogoś za mąż, to oczywiste!

– Oni pobrali się zaledwie parę tygodni temu, o ile to w ogóle prawda, że wzięli ślub.

– Osobliwą parę wybrano zatem do malowania Tablic! Dziwię się, że firmie Biles i Willis przyszło do głowy wynająć takie osoby!

Członek rady kościelnej wyraził przypuszczenie, że widocznie Biles i Willis nic złego nie słyszeli, a jego kolega, rozmówiwszy się z babką kościelną, wyjaśnił, co miała na myśli, nazywając ich osobliwą parą.

Temat dalszej, przyciszonej rozmowy zdradziła anegdota niewątpliwie przytoczona w związku z bieżącą sytuacją, tak głośno opowiedziana przez jednego z radnych, że doszła do uszu wszystkich osób obecnych w kościele.

– To rzeczywiście ciekawe, ale mój dziadek opowiadał mi dziwną historię najbardziej chyba niemoralnego wypadku, jaki się zdarzył przy malowaniu Dziesięciorga Przykazań w kościele; było to w Gaymead, niedaleko stąd. W tamtych czasach Dziesięcioro wykonywano zwykle złoconymi literami na czarnym tle; tak też wyglądały i tam, zanim przebudowano stary kościół. Jakieś sto lat temu wypadło je odmalować, jak teraz u nas, i do tej roboty sprowadzono ludzi z Aldbrickham. Otóż chodziło o to, aby mieć wszystko gotowe w pewną określoną niedzielę, i chcąc nie chcąc robotnicy musieli pracować do późna w sobotę – a nie płacono wtedy za godziny nadliczbowe jak teraz. Trudno było wówczas o prawdziwą religijność czy to wśród plebanów i urzędników, czy zwykłego narodu, i żeby utrzymać tych ludzi przy robocie, proboszcz musiał ich dobrze poić w ciągu całego popołudnia. Pod wieczór sami jeszcze posłali po więcej napitku, a głównie po rum. Robiło się coraz później, chłopcy miały coraz lepiej w czubach i wreszcie, postawiwszy flaszkę z rumem i szklanki na stole komunijnym, przysunęli tam jedną i drugą kobyłkę, usadowili się wygodnie i naleli sobie znowu jak się patrzy pełne szklanice. Ledwie je odstawili, wszyscy co do jednego padli bez przytomności – tak powiada gadka. Nie mieli pojęcia, jak długo tak leżeli, a kiedy przyszli do siebie, rozszalała się wściekła burza i zdawało im się, że w oćmie widzą jakąś ciemną postać na chudych łydkach i o dziwnych stopach, która stała na drabinie i kończyła za nich robotę. Gdy się rozwidniło, zobaczyli, że robota rzeczywiście jest skończona, i więcej się o nią nie zatroszczyli. Wrócili do domu, ale zaraz potem doszła do nich wiadomość o wielkim skandalu, który wybuchł w kościele w tę właśnie niedzielę rano. Kiedy ludzie się zeszli i ksiądz zaczął nabożeństwo, wszyscy zauważyli, że

odmalowano Dziesięcioro Przykazań, opuszczając wszystkie „nie”. Przez dłuższy czas nikt przyzwoity nie chciał uczęszczać na nabożeństwo w tym kościele i trzeba było sprowadzić biskupa, aby poświęcić kościół na nowo. Taka przechowała się tradycja, słyszałem ją w dzieciństwie. Wierzcie sobie lub nie, ale właśnie dzisiejszy wypadek przypomniał mi tamtą opowiastkę.

Rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie jakby w chęci sprawdzenia, czy czasem Juda i Sue również nie opuścili wszystkich „nie”, goście po kolei wyszli z kościoła i nawet stara baba w końcu się zabrała. Sue i Juda, którzy nie przestali pracować, odesłali dziecko do szkoły i przez jakiś czas nie odzywali się do siebie. Wreszcie on popatrzył uważniej i spostrzegł, że Sue cicho płacze.

– Nic sobie z tego nie rób, mój mały towarzyszu! – powiedział. – Mnie to już nie pierwszyczna.

– Nie mogę tego znieść, że tacy ludzie i w ogóle wszyscy uważają innych za złych, dlatego że wybrali inny rodzaj życia! I to właśnie takie opinie sprawiają, że ludzie o najlepszych intencjach w końcu nie zważają na nic i stają się niemoralni!

– Nie daj się zgnębić! To była przecież tylko śmieszna dykteryjka.

– Ale my nasunęliśmy jej temat. Obawiam się, Juda, że przychodząc tutaj zamiast ci pomóc wyrzuciłam tylko szkodę.

Jeśli spojrzano się poważnie na ich położenie, rzeczywiście niezbyt mógł rozweselać fakt, że nasunęli temat do takiej opowieści. W chwilę później jednakże Sue dostrzegła i śmieszny stronę tego zdarzenia, otarła oczy i roześmiała się.

– Jakie to zabawne w gruncie rzeczy – powiedziała – że akurat my, a nie kto inny, znaleźliśmy się tutaj przy malowaniu Dziesięciorga Przykazań! Ty, rozpustnik, i ja w moim stanie... O Boże!...

I dłonią przysłoniwszy oczy, śmiała się znowu cicho i długo, aż zupełnie osłabła.

– To już mi się więcej podoba – powiedział wesoło Juda. – Już w porządku, maleńka, co?

– Ach, mimo wszystko to poważna sprawa! – westchnęła Sue, odzyskując równowagę i biorąc do ręki pędzel. – Bo, widzisz, oni nie uważają nas za małżeństwo! Nigdy nie uwierzą! To jest nadzwyczajne!

– O, wszystko mi jedno, co myślą – odparł Juda. – Już nie zadam sobie więcej trudu, aby zechcieli uwierzyć.

Siedli do śniadania, które przynieśli z sobą, aby nie tracić czasu, i po posiłku zamierzali właśnie zabrać się z powrotem do roboty, gdy znowu ktoś wszedł do kościoła. Był to przedsiębiorca Willis, który kiwnął na Judę i powiedział mu na stronie:

– Chodzi o to... że właśnie wniesiono do mnie skargę w tej sprawie – zaczął niezgrabnie, trochę zadyszany. – Nie mam zamiaru wchodzić w szczegóły, ponieważ nie wiedziałem, co się święci, ale, niestety, muszę poprosić, aby państwo oboje zostawili tę robotę, ktoś inny ją skończy. Lepiej wystrzegać się wszelkich zadrażnień. Panu w każdym razie zapłacę za cały tydzień.

Juda zbyt był ambitny, aby wyrażać pretensję; przedsiębiorca zapłacił mu i wyszedł. Juda zbierał narzędzia, Sue czyściła pędzel. I potem spojrzeli na siebie.

– Jakże byliśmy naiwni, sądząc, że możemy podjąć się takiej roboty! – powiedziała Sue, przechodząc w swój tragiczny ton. – Nie powinniśmy byli... ja nie powinnam była przychodzić tutaj!

– Nawet nie przypuszczałem, że ktoś trafi do takiego ustronia i natknie się na nas! – odparł Juda. – Trudno, kochanie, nic na to nie poradzimy, a oczywiście nie chciałbym zaszkodzić interesom Willisa, nie usuwając się stąd.

Posiedzieli przez chwilę beczynnie, a potem wyszli z kościoła i dogoniwszy po drodze chłopca, posuwali się do Aldbrickham pogrążeni w myślach.

Fawley nadal żywił wiele entuzjazmu dla oświaty i na gruncie swych doświadczeń czynnie popierał „równość szans życiowych” wszelkimi dostępnymi, choćby najskromniejszymi środkami. Zapisał się do Samokształceniowego Towarzystwa Rzemieślniczego, które założono mniej więcej w tym czasie, kiedy zamieszkał w mieście. Do kółka należeli młodzi mężczyźni różnych wyznań i sekt religijnych – anglikanie, kongregacjoniści, baptyści, unitarianie, pozytywiści i inni – o agnostykach jeszcze prawie wcale nie słyszano w tych czasach. Każdemu z nich przyświecało jedno życzenie: aby rozszerzać swoje horyzonty, pozostając w ścisłym związku ze stowarzyszeniem. Składki

były niskie, a lokal miły. Zajęcie Judy, jego niecodzienne osiągnięcia, a głównie wyjątkowa intuicja dotycząca tego, co czytać i od czego zacząć, zrodzona w ciągu lat walki ze złymi gwiazdami, wszystko to sprawiło, że wybrano go do zarządu.

Parę dni po utracie roboty w kościele, zanim jeszcze znalazł inną pracę, Juda wybrał się wieczorem na posiedzenie zarządu. Przyszedł późno, inni członkowie już byli na miejscu, i rzuciwszy mu niepewne spojrzenie, zaledwie raczyli się z nim przywitać. Zgadł od razu, że albo dyskutowano, albo wydawano sąd o czymś, co miało związek z jego osobą. Gdy zarząd przeszedł do załatwiania zwykłych spraw, okazało się, że liczba zapisów nagle spadła w tym kwartale. Jeden z członków, człowiek rzeczywiście o dobrych chęciach i rzetelny, zaczął enigmatycznie rozważać możliwe tego przyczyny: że wypada im uważnie rozpatrzyć statut, bo jeśli zarząd nie będzie szanowany i przy wszystkich różnicach zdań nie będzie przynajmniej posiadał wspólnych zasad moralnych, cała instytucja może się rozlecieć. Nie powiedziano nic więcej w obecności Judy, ale on zrozumiał, o co chodzi i, przysuwając się do stołu, z miejsca napisał rezygnację ze swego stanowiska.

Tak więc wywierano coraz silniejszy nacisk na naszą przewrażliwioną parę, skłaniając ją do wyjazdu. Zaczęły przychodzić rachunki, a potem wyłoniło się zagadnienie, co począć ze starymi, ciężkimi meblami po ciotce w razie wyjazdu z miasta nie wiadomo dokąd. Ten wzgląd, a także potrzeba gotówki sprawiły, że Juda zdecydował się na licytację, chociaż wolałby zatrzymać pamiątkowe sprzęty dla siebie.

Nadszedł dzień sprzedaży i Sue ostatni raz ugotowała śniadanie dla siebie, dziecka i Judy w małym domku przez niego urządzone. Dzień był deszczowy; w dodatku Sue nie czuła się dobrze, ale nie chcąc opuszczać Judy w tych niemiłych okolicznościach – jego obecność była tu niezbędna przez pewien czas – posłuchała rady licytatora i ukryła się w pokoju na górze, skąd już wyniesiono meble. W ten sposób znalazła się blisko nabywców. Tu ją zastał Juda i razem z dzieckiem, obok paru kufereków, koszyków i tobołków, dwóch krzeseł i stołu nieobjętych sprzedażą, siedzieli pogrążeni w cichej rozmowie.

Na odartych z chodnika schodach dały się słyszeć kroki przyszłych nabywców. Oglądano sprzęty, z których niejeden był tak osobliwy i stary, że tym samym nabrał wartości artystycznej. Parę razy próbowano otworzyć drzwi do pokoju, gdzie zamknęli się Juda i Sue, i aby zabezpieczyć się przed wtargnięciem obcych, Juda napisał na kartce „Mieszkanie prywatne” i przytwierdził ją na zewnątrz.

Wkrótce zauważyli, że osoby zamierzające uczestniczyć w licytacji zaczęły omawiać nie meble, ale ich, Judy i Sue, historię i dawniejsze postępowanie, i to niespodziewanie szczegółowo. Dopiero teraz zdali sobie sprawę, w jakiej krainie złudzeń przebywali ostatnio, przekonani, że nikt się nimi nie zajmuje. Sue bez słowa ujęła rękę przyjaciela i nie odrywając od siebie oczu, wysłuchiwali przelotnych uwag; Ojczulek Czas, ta dziwaczna i tajemnicza figurka, stanowił temat znacznej części aluzji i przytyków. Wreszcie rozpoczęła się licytacja w pokoju na parterze, skąd dochodziło do nich wywoływanie każdego dobrze znanego przedmiotu. Sprzęty wysoko przez nich cenione uzyskiwały niską, a te, którym nie przypisywali wartości – niespodziewanie wysoką cenę.

– Ludzie zupełnie nas nie rozumieją – westchnął ciężko Juda. – Cieszę się, że postanowiliśmy wyjechać.

– Ale pytanie, dokąd?

– Trzeba by pojechać do Londynu. Tam można żyć według własnych upodobań.

– Ach! nie! nie do Londynu, mój złoty! Znam dobrze Londyn. Nie bylibyśmy tam szczęśliwi.

– Dlaczego?

– Nie wiesz?

– Czy dlatego, że mieszka tam Arabella?

– To jest istotnie główna przyczyna.

– Ale na prowincji będę zawsze niespokojny, że powtórzą się nasze ostatnie doświadczenia. A nie mam zamiaru łagodzić ich wyjaśnieniami, przede wszystkim na temat chłopca. Postanowiłem milczeć, aby odciąć go od przeszłości. Mam już po uszy tej roboty przy kościołach. Nie mam ochoty jej przyjmować, nawet gdyby mi ją ofiarowywano!

– Powinieneś był studiować sztukę klasyczną. Ostatecznie gotyk

jest sztuką barbarzyńców. Pugin nie miał racji, a Wren ją miał. Przypomnij sobie wnętrze katedry christminsterskiej, to chyba pierwsze miejsce, gdzie przyjrzeliśmy się sobie. Pod malowniczą powłoką tych normandzkich szczegółów można dostrzec groteskową dziecinność nieokrzeszańców usiłujących naśladować zanikłe formy rzymskie, przekazane im jedynie przez mglistą tradycję.

– Tak... połowicznie nawróciłaś mnie na ten pogląd już poprzednio. Ale można pracować i jednocześnie pogardzać tym, co się robi. Jeśli porzucę gotyk kościelny, muszę się przecież zająć czymś innym.

– Szkoda, że oboje nie możemy pracować w dziedzinie, w której sprawy osobiste nie odgrywają roli – powiedziała Sue ze smutnym uśmiechem. – Jestem tak samo zdyskwalifikowana jako nauczycielka, jak ty nie możesz zajmować się sztuką kościelną. Powinieneś przerzucić się na pracę przy dworcach kolejowych, mostach, teatrach, kabaretach, hotelach, na coś, co nie ma żadnego związku z moralnością.

– Nie mam doświadczenia w tamtych dziedzinach... Powinienem powrócić do wypieku chleba. Jak wiesz, wychowałem się przy piekarni u ciotki. Ale nawet piekarz musi trzymać się konwenansów, aby zyskać klientów.

– Chyba że ma kram z ciastkami i piernikami na placu targowym, na jarmarku, gdzie ludzie wykazują wielkoduszną obojętność na wszystko z wyjątkiem jakości towaru.

Myśli ich zmącił głos licytatora:

– A teraz antyczna dębowa kanapka, jedyny w swoim rodzaju egzemplarz starej angielskiej sztuki meblarskiej. Zasluguje na uwagę kolekcjonerów!

– To po pradziadku – powiedział Juda. – Trzeba było zatrzymać dla siebie ten poczciwy stary sprzęt!

Rzeczy sprzedawano jedną po drugiej i tak zeszło całe popołudnie. Juda i tamtych dwoje czuli się coraz bardziej zmęczeni i głodni, ale po podsłuchanej rozmowie krępowali się wyjść, dopóki nabywcy znajdowali się na miejscu. Wreszcie jednak poszły ostatnie sprzęty i trzeba było już niedługo wyjść na deszcz, aby przenieść rzeczy Sue do tymczasowego mieszkania.

– I następny artykuł: dwie pary gołębi, wszystkie ptaki żywe i podtuczone, ktoś będzie miał smaczny pasztet na niedzielny obiad!

Wisząca nad nimi groźba sprzedaży ptaków stanowiła najbardziej dokuczliwe przeżycie tego popołudnia. Były to ulubione ptaszki Sue i gdy okazało się, że nie można ich zatrzymać, więcej to im sprawiło smutku niż pożegnanie ze wszystkimi meblami. Sue usiłowała myśleć o czym innym, aby powstrzymać łzy, gdy usłyszała znikomą sumę, na jaką oceniono jej faworytów; podnoszono ją małymi skokami do ceny, za jaką ostatecznie poszły. Nabywcą był handlarz drobiem z sąsiedztwa i ptaszki bezapelacyjnie czekała śmierć przed następnym dniem targowym.

Widząc tajony żal Sue, Juda ucałował ją i powiedział, że czas już pójść i sprawdzić, czy gotowe jest nowe mieszkanie. Uda się tam z chłopcem i wkrótce po nią wrócić.

Sue została sama i czekała cierpliwie, ale Juda nie wracał. W końcu więc i ona wyruszyła, bo droga była już wolna, i przechodząc obok pobliskiego sklepu handlarza drobiem, zobaczyła przy samych drzwiach swoje gołąbki zamknięte w koszyku. Wzruszyła się na ich widok, co wraz z rosnącym mrokiem wieczoru pchnęło ją do impulsywnego postępu: najpierw obejrzała się szybko naokoło, a potem wyciągnęła kóleczek, który przytrzymywał wieczko, sama zaś odeszła. Tymczasem wieczko uniosło się od wewnątrz i gołąbki wyfrunęły z głośnym biciem skrzydeł, zrozpaczony zaś przekupień przybiegł do drzwi, miotając przekleństwa i wyzwiska.

Sue, cała drżąca, dobiegła do nowego mieszkania i zastała Judę i chłopca krzątających się, aby wszystko dla niej przygotować.

– Czy nabywcy płacą, zanim zabiorą artykuły kupione na licytacji?
– zapytała bez tchu.

– Przypuszczam. Dlaczego pytasz?

– Bo wobec tego postąpiłam bardzo nieładnie!

I z głęboką skruchą wyjaśniła, o co chodzi.

– Będę musiał zapłacić za nie temu handlarzowi, jeśli ich nie złapie
– powiedział Juda. – Mniejsza z tym zresztą. Nie trap się, kochanie.

– Jaka ja jestem lekkomyślna! Ale dlaczego prawem natury jest wzajemna rzeźnia?

– Naprawdę tak jest, mamó? – zapytał z przejęciem chłopiec.
– Naprawdę! – rzekła porywczo Sue.
– W każdym razie ptaszki musiały wykorzystać okazję –
powiedział Juda. – A my wyruszmy natychmiast, gdy zamknie się
rachunki z licytacji, i popłacimy nasze należności.
– Dokąd pojedziemy? – zapytał mały Czas, pełen ciekawości.
– Musimy odpłynąć w tajemnicy, aby nikt nie mógł nas wyśledzić.
Nie wolno nam pojechać ani do Aliredston, ani do Melchester, ani do
Shaston, ani do Christminster. Natomiast możemy się udać do każdej
innej miejscowości.
– A dlaczego, ojczy, nie wolno nam pojechać właśnie tam?
– Bo zebrała się nad nami chmura, chociaż „nie ma człowieka,
którego byśmy skrzywdzili, nie ma człowieka, którego byśmy
zdeprawowali, i nie ma człowieka, którego byśmy obrabowali!”,
i chociaż, być może, „uczyniliśmy to, co w naszych oczach było
słuszne”.

VII

Od tego czasu Juda Fawley i Sue nigdy już więcej nie pokazali się
w Aldbrickham.

Nikt nie wiedział, dokąd się udali, głównie dlatego, że nikogo to
nie obchodziło. Ktokolwiek byłby na tyle ciekaw, aby odnaleźć ślady
takiej niepokążnej pary jak oni, odkryłby bez większych trudności, że
wykorzystując nadające się do tego rzemiosło Judy, zaczęli przenosić się
z miejsca na miejsce, wiodąc nieomal koczownicze życie, co przez
pewien czas nie było pozbawione uroku.

Ilekróć Juda dowiedział się o robocie kamieniarskiej do
wykonania, udawał się na miejsce, wybierając najchętniej okolice
odległe od tych, gdzie dawniej przebywał razem z Sue. Pracował dłużej
lub krócej, dopóki roboty nie skończył, a potem ruszali dalej.

Upłynęło w ten sposób dwa i pół roku. Czasami Juda wykuwał

laskowanie okienne w wiejskim dworze, niekiedy naprawiał zwieńczenie jakiegoś ratusza, wykładał kostką fasadę hotelu w Sandbourne albo muzeum w Casterbridge, zapędzając się aż do Exonbury, a kiedy indziej, pracując w Stoke-Barehills. Raz znalazł się w Kennetbridge, kwitnącym mieście położonym zaledwie o dwanaście mil na południe od Marygreen. Nigdy nie zbliżył się bardziej do wioski, gdzie go znano, bo odczuwał przesadny lęk, że ci, co stykali się z nim w okresie pełnego entuzjazmu wieku młodzieńczego, poświęconego studiom i obfitującego w nadzieję, a także w czasie krótkiego i nieszczęśliwego małżeństwa, zaczną mu teraz zadawać pytania na temat dalszego życia i losów.

W niektórych miejscach praca zatrzymywała go miesiącami, w innych – zaledwie przez parę tygodni. Osobliwa, nagła niechęć do prac w zakresie sztuki kościelnej, zarówno w ramach kościoła episkopalnego, jak i dysydenckiego, zrodzona z bolesnej świadomości błędnego osądu, nie minęła również, kiedy odzyskał równowagę psychiczną: nie tyle z obawy nowego potępienia, ile z nadmiernej skrupulatności, że nie powinien szukać zarobku u tych, co nie pochwalają jego życia, a także zdając sobie sprawę z różnic między prawdami, jakie dawniej wyznawał a obecną praktyką. Zaledwie ślad ostał się w nim tych wierzeń, z którymi udawał się po raz pierwszy do Christminster. Duchowo zbliżał się do stanowiska, które zajmowała Sue w chwili, gdy ją spotkał.

W pewien sobotni majowy wieczór, blisko trzy lata od dnia, kiedy Arabella zobaczyła Judę i Sue na Wystawie Rolniczej, niektóre osoby z tamtego terenu znowu się zetknęły.

W Kennetbridge odbywał się wiosenny jarmark i chociaż to odwieczne kupieckie spotkanie było teraz znacznie skromniejsze liczebnie w porównaniu z dawnymi czasami, długa prosta ulica miasteczka i teraz w porze południowej stanowiła ożywioną scenę. O tej właśnie godzinie wśród innych pojazdów wjechała do miasta z północnej strony lekka dwukółka i stanęła przed drzwiami gospody bezalkoholowej. Wsiadły z niej dwie kobiety; jedna, powożąca koniem, wyglądała na osobę ze wsi, druga zaś, o pięknej figurze, nosiła ciężką wdowią żałobę. Jej ciemny kostium, o rzucającym się w oczy kroju, sprawiał, że wyglądała trochę nie na miejscu wśród zgiełku

i zamieszania prowincjonalnego jarmarku.

– Ja tylko się dowiem, gdzie to jest, Anny – rzekła wdowa do swej towarzyszki, gdy podszedł służący i odebrał od nich konia i wózek. – Zaraz potem wrócę i tu się spotkamy. Musimy coś zjeść i wypić, bo zaczyna mi się robić słabo.

– Doskonale – odparła tamta. – Co prawda wolałabym stanąć raczej w oberży „Chequers” czy „The Jack”. Mało co można dostać w tych bezalkoholowych gospodach.

– Nie ulegaj skłonnościom do obżarstwa, moje dziecko – powiedziała karcąco kobieta w welonie wdowim. – To miejsce jest w sam raz odpowiednie dla nas. A więc dobrze, spotykamy się za pół godziny, chyba że pójdiesz ze mną poszukać nowej kaplicy?

– Nie chce mi się. Ty mi potem wszystko opowiesz. – Przyjaciółki ruszyły każda w swoją stronę; osoba w żałobie szła stanowczym krokiem, postawą dając do zrozumienia, że nic jej nie łączy z otoczeniem.

Zasięgając po drodze informacji, doszła do parkanu, za którym znajdowały się wykopy pod fundamenty, a na zewnątrz parę wielkich afiszy głosiło, że o trzeciej po południu londyński kaznodzieja cieszący się ogromną popularnością wśród wiernych położy kamień węgielny pod budowę wznoszonej tu kaplicy.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego, wdowa w ciężkiej żałobie zawróciła, pozwalając sobie na obserwację ruchu jarmarcznego. W końcu uwagę jej przykuł mały kramik z ciastkami i piernikami umieszczony wśród stoisk i namiotów o większych pretensjach. Ładę przykrywał tu niepokalanie czysty obrus, a obsługę stanowiła młoda kobieta, widocznie nienawykła do tego zajęcia. Towarzyszył jej i pomagał chłopiec o twarzy osiemdziesięcioletniego staruszka.

– Jakem żywa! – szepnęła do siebie wdowa. – Toż to jego żona, Sue!

Podeszła do kramu i powiedziała uprzejmie:

– Dzień dobry, pani Fawley!

Sue zarumieniła się i poprzez welon z krepy poznała Arabellę.

– Dzień dobry, pani Cartlett – rzekła sztywno. Ale zauważywszy strój tej ostatniej, mimo woli odezwała się ze współczuciem: – Co się

stało? Pani straciła...

– Mego biednego męża. Tak, umarł nagle sześć tygodni temu, a zostawił mnie w niezbyt dobrej sytuacji majątkowej, chociaż w ogóle nie mogłam na niego narzekać. Ale wszelki zysk w knajpie idzie dla tych, co produkują trunki, a nie dla tych, co je sprzedają detalicznie... A co u ciebie słyhać, mój mały staruszk? Pewnie nie wiesz, kto ja jestem?

– Owszem, wiem. Pani jest tą kobietą, o której miarkowałem jakiś czas, że jest moją matką, póki się nie pokazało, że to nieprawda – odparł Ojczulek Czas miejscowym dialektem, którym teraz posługiwał się zupełnie swobodnie.

– W porządku. Niech i tak będzie. W każdym razie jestem ci życzliwa.

– Juey – odezwała się nagle Sue – poleć na peron z tacą; zdaje mi się, że nadchodzi drugi pociąg.

Gdy chłopiec odszedł, Arabella ciągnęła dalej:

– Piękny to on nigdy nie będzie, biedny chłopczyzna! Czy wie, że to ja jestem naprawdę jego matką?

– Nie. Wie tylko, że z jego pochodzeniem wiąże się jakaś tajemnica. I to wszystko. Juda zamierza mu powiedzieć prawdę, gdy trochę podrośnie.

– Ale jak do tego doszło, że pani trudni się takimi rzeczami? Dziwi mnie to.

– To tylko chwilowe zajęcie, taka nasza fantazja, gdy znajdziemy się w trudnej sytuacji.

– A więc pani nadal z nim żyje?

– Tak.

– Wzięliście ślub?

– Oczywiście.

– Macie dzieci?

– Dwoje.

– A następne w drodze, jak widzę.

Sue wiała się pod twardą i bezwzględną indagacją i jej delikatne usteczka zaczęły drżeć.

– Wielki Boże, nie ma o co płakać! Ktoś inny byłby dumny!

– Przecież to nie dlatego, że się wstydzę, to nie to, co pani myśli! Ale czasem taki straszny tragizm i taka zarozumiałość wyziera z wydawania na świat istot ludzkich, że chwilami wątpię, czy mam do tego prawo!

– Niech się pani tak nie przejmuje, moja kochana... Ale nie dowiedziałam się jeszcze, dlaczego zabrała się pani do takiej pracy? Juda zawsze się dumnie nosił, gardził każdym rodzajem handlu, a co tu mówić o takim kramiku.

– Mój mąż chyba zmienił się trochę od tej pory. Na pewno nie zostało w nim nic z dumy! – Usta Sue zadrgały znowu. – A ja sprzedaję pierniki, bo on zaziębił się jeszcze na początku roku, wykonując kamieniarskie roboty dla teatru w Quartershot; musiał pracować na deszczu, robota miała być gotowa w terminie. Już mu lepiej, ale przeszliśmy długie, ciężkie chwile! Mieszka teraz z nami nasza znajoma, starsza wdowa, aby nam pomóc w tym wszystkim, ale już niedługo wyjedzie.

– Ostatecznie ja także stałam się, dzięki Bogu, przyzwoitą i poważnie myślącą osobą od chwili śmierci męża. Czemu pani się wzięła do sprzedaży właśnie pierników?

– Przez czysty przypadek. Juda od małego przyuczał się do rzemiosła piekarniczego i przyszło mu na myśl spróbować wypieku pierników, co może robić, nie wychodząc z mieszkania. Nazywamy je „christminsterskimi”. Mają ogromne powodzenie.

– Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Patrzcie, są tu okna, wieże i wieżyczki! To śliczne, słowo daję!

Sama się poczęstowała i bezceremonialnie żuła ciastka.

– Tak, one są wzorowane na kolegiach christminsterskich. Maswerki okien i krużganki. Judzie zamarzyło się odtworzyć to w cieście.

– Zawsze wzdycha do Christminster, nawet przy wypieku ciastek! – zaśmiała się Arabella. – To cały Juda. I namiętność, która nim rządzi. Cóż za dziwadło z niego; nigdy się już nie zmieni!

Sue westchnęła, a na jej twarzy odmalowała się przykrość, że ktoś Judę krytykuje.

– A czy pani nie uważa go za dziwadło? No, no, chyba na pewno,

mimo że tak jest pani do niego przywiązana.

– Christminster oczywiście stanowi dla niego jakąś trwałą wizję i chyba Juda nigdy nie wyleczy się z wiary w to miasto. Ciągle jeszcze uważa Christminster za wielki ośrodek odważnej, wzniosłej myśli, a nie za to, czym jest naprawdę, to znaczy za gniazdo pospolitych belfrów, których charakterystyczną cechą jest zahukana służalczość wobec tradycji!

Arabella uważniej obserwowała sposób mówienia Sue niż treść jej słów.

– Jakie to dziwne słyszeć takie rzeczy z ust kobiety sprzedającej ciastka! – powiedziała. – Dlaczego nie wróci pani do uczenia w szkole?

Sue przecząco potrząsnęła głową.

– Nie chcą mnie przyjąć.

– Pewnie z racji rozwodu?

– I to, i jeszcze inne sprawy. Nie ma nawet celu o tym myśleć.

Zrezygnowaliśmy już z wszelkich ambicji i nigdy nie byliśmy tak szczęśliwi w naszym życiu, dopóki nie przyszła choroba Judy.

– Gdzie mieszkacie?

– Wolę nie mówić.

– Tutaj, w Kennetbridge?

Z zachowania się Sue Arabella wywnioskowała, że przypadkowo zgadła.

– O, chłopiec wraca – ciągnęła Arabella. – To mój chłopiec i Judy! Z oczu Sue posypały się iskry.

– Nie potrzebuje pani rzucać mi tego w twarz! – zawołała.

– Doskonale, chociaż chyba chętnie zabrałabym go do siebie...

Ale, wielki Boże, nie odbiorę go pani. Nawet nie chcę grzeszyć, wyrażając się tak bluźnierczo, chociaż chyba pani ma dosyć swoich własnych dzieci! Wiem, że chłopiec jest w dobrych rękach, a nie należę do kobiet, które szukają błędów w tym, co Bóg zrządził. Osiągnęłam już wyższy stopień rezygnacji.

– Doprawdy! Chciałabym być do tego zdolna.

– Powinna pani się postarać – odparła wdowa, przemawiając z pogodnych wyżyn duszy świadomej nie tylko wewnętrznej, ale i towarzyskiej wyższości. – Nie przechwalam się swoim przebudzeniem

duchowym, ale jestem już nie tą samą istotą co dawniej. Po śmierci Cartletta przechodziłam kiedyś obok kościoła na sąsiedniej ulicy i weszłam, żeby się schronić przed ulewą. Pod ciężarem mojej straty czułam potrzebę jakiegoś oparcia i jako że Kościół był właściwszą ucieczką niż dżin, zaczęłam tam chodzić regularnie, co mi przyniosło wielką ulgę. Ale wie pani, opuściłam teraz Londyn i mieszkam w Alfredston, u mojej przyjaciółki Anny, żeby być bliżej starych rodzinnych stron. Wcale nie przyjechałam dzisiaj na jarmark: po południu odbędzie się uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nową kaplicę w obecności popularnego kaznodziei z Londynu; dlatego przybyliśmy tutaj z przyjaciółką. Muszę już wracać, bo się z nią umówiłam.

I pożegnawszy się z Sue, Arabella odeszła.

VIII

Po południu Sue i inne osoby krzątające się na jarmarku w Kennetbridge usłyszały śpiewy dochodzące spoza zalepionego plakatami ogrodzenia na odległym krańcu ulicy. Ci, co zajrzeli przez szparę, zobaczyli tłum ludzi odzianych w czarne sukno, ze śpiewnikami w rękach, wokół wykopu pod fundamenty nowej kaplicy. Była tu i Arabella Cartlett we wdowim welonie. Miała czysty i donośny głos, który rozlegał się wyraźnie wśród innych, wznosząc się i opadając wraz z melodią, co również czyniły jej obfite piersi.

Dwie godziny później, po podwieczorku w gospodzie bezalkoholowej, Anny i pani Cartlett ruszyły w podróż powrotną przez rozległą, wyżynną okolicę między Kennetbridge a Alfredston. Arabella była zamyślona, ale myśli jej nie krążyły koło nowej kaplicy, jak to początkowo sądziła Anny.

– Nie, wcale nie to zaprzęta mi głowę – rzekła ponuro Arabella. – Jechałam tutaj rano, nie myśląc o nikim innym jak tylko o tym biednym Cartletcie, a o niczym innym jak o szerzeniu wiary przez ten nowy

przybytek, który mieli zacząć budować po południu. Ale zdarzyło się coś takiego, co zwróciło moją uwagę zupełnie gdzie indziej. Anny, ja znowu dowiedziałam się czegoś o nim, a także ją spotkałam!

– Kogo?

– Miałam wiadomości o Judzie, a spotkałam jego żonę i od tej pory, niech się dzieje, co chce, chociaż ile siły w piersiach śpiewałam hymny, nie mogłam przestać o nim myśleć. A to przecież nie przystoi osobie należącej do kongregacji.

– Nie mogłabyś skupić się na tym, co mówił dzisiaj londyński kaznodzieja, i w ten sposób uwolnić się od mrzonek, co tak na ciebie naszły?

– Staram się. Ale grzeszne serce wyrywa mi się z piersi mimo woli.

– Ano, ja także wiem, co to znaczy mieć złe myśli! Gdybyś wiedziała, co mi się śni po nocach całkiem na przekór moim życzeniom, przyznałabyś wtedy, że i ja muszę z sobą walczyć! – (Anny również spoważniała w ostatnich czasach, bo porzucił ją kawaler).

– Co ja teraz pocznę? – nalegała zmartwiona Arabella.

– Mogłabyś wziąć pukiel włosów nieboszczyka męża, dać z niego zrobić żałobną broszkę i mieć ją ciągle przed oczami.

– Nie mam ani ociupiny jego włosów, a choćbym nawet miała, na nic by się to nie zdało. Po tym całym gadaniu o uldze, jaką niesie religia, chciałabym z powrotem mieć Judę!

– Musisz dzielnie walczyć przeciwko takiemu życzeniu, skoro on należy do innej. Słyszałam o jeszcze innej rzeczy, która pomaga, jeśli coś takiego prześladowuje pożądlive wdowy, a mianowicie pójść na mogiłę męża wieczorem, o zmroku, i długo tam stać, patrząc w ziemię.

– Phi! Wiem tak samo dobrze jak ty, co należałoby zrobić, tylko że tego nie robię.

Jechały w milczeniu prostym gościńcem, aż na horyzoncie, nieco na lewo, ukazało się Marygreen. Dotarły do skrzyżowania głównego traktu i bocznej drogi prowadzącej do tej wioski; po drugiej stronie kotliny widać już było wieżę kościelną. Trochę dalej, gdy mijaly samotną chatę, gdzie mieszkała z Judą w ciągu pierwszych miesięcy po ślubie i gdzie odbyło się bicie wieprza, Arabella nie mogła już dłużej nad sobą panować.

– On jest bardziej mój niż jej! – wybuchnęła. Chciałabym wiedzieć, jakie ona ma do niego prawo! Zaraz bym go jej odebrała, żebym mogła!

– Wstydz się, Abby! Twój mąż dopiero sześć niedziel w grobie! Módl się, aby odpędzić pokusy!

– Modlić się! zobaczysz to jak swoje ucho! Ma się uczucia albo nie! Ani chwili dłużej nie będę obrzydliwą świętoszką i już!

Arabella szybko wyciągnęła z kieszeni garść broszurek, które wzięła ze sobą, aby je rozdać na jarmarku – kilka rzeczywiście rozdała. Teraz cisnęła resztę w żywopłot. – Próbowałam i tej kuracji, ale nic z niej nie wyszło. Muszę już zostać taka, jaka się urodziłam!

– Cicho! Uspokój się, kochana! Wrócimy spokojniutko do domu, napijemy się herbaty i nie będziemy już więcej o nim mówiły. Nigdy więcej nie pojedziemy tą drogą, bo droga prowadzi do niego, a ciebie to tylko denerwuje. Za chwilę przyjdiesz do siebie.

Arabella uspokajała się stopniowo. Minęły teraz stary trakt i gdy zaczęły zjeżdżać z długiej pochyłości, zauważyły przed sobą starszego mężczyznę niewielkiego wzrostu, który kroczył w zamyśleniu. W ręce niósł koszyk; jego ubiór zdradzał pewne zaniedbanie, a cały wygląd coś nieokreślonego, co nasuwało przypuszczenie, że sam sobie prowadzi gospodarstwo, zaopatruje się w żywność i jest swoim własnym powiernikiem i przyjacielem, nie posiadając na świecie nikogo, kto by te role mógł spełniać. Reszta drogi prowadziła z góry i, domyślając się, że podróżny idzie do Alfredston, zaofiarowały się go podwieźć.

Arabella spojrzała na wędrowca raz i drugi, aż wreszcie odezwała się:

– Chyba się nie mylę, że mam przyjemność z panem Phillotsonem? On obrócił się ku niej i z kolei zmierzył ją wzrokiem.

– Tak – odparł. – Nazywam się Phillotson, ale pani sobie nie przypominam.

– A ja doskonale pana pamiętam z czasów, kiedy był pan nauczycielem w Marygreen, a ja jedną z pana uczennic. Codziennie przychodziłam z Cresscombe, bo tam mieliśmy tylko nauczycielkę, a pan lepiej uczył. Ale pan nie może mnie pamiętać tak, jak ja pana pamiętam! Jestem Arabella Donn.

Phillotson potrząsnął przecząco głową.

– Nie – odparł uprzejmie. – I nazwiska nie pamiętam. Zresztą nie poznałbym w pani obecnych obfitych kształtach drobnej dziewczynki, jaką zapewne pani wtedy była.

– Właściwie to zawsze miałam dosyć ciała. Właśnie przyjechałam w te strony z wizytą do znajomych. Chyba pan wie, za kogo wyszłam za mąż?

– Nie.

– Za Judę Fawleya. On także był pana uczniem, chodził, zdaje się, przez jakiś czas do wieczornej szkoły. A o ile wiem, spotykał go pan i później.

– Patrzcie no – powiedział Phillotson, który zaniechał oficjalnego tonu. – To pani jest żoną Fawleya? Racja – on był żonaty! On się z żoną... jak słyszałem...

– Rozwiódł, tak jak pan ze swoją żoną, ale, być może, dla bardziej ważkich powodów.

– Doprawdy?

– Ostatecznie może miał i rację, tak było lepiej dla nas obojga. Ja wkrótce wyszłam za mąż powtórnie i wszystko mi się dobrze układało aż do niedawna, do śmierci mego męża. Ale pan... pan na pewno nie miał racji!

– Wprost przeciwnie! – odparł Phillotson z nagłą irytacją. – Wolałbym nie poruszać tych spraw, ale jestem przeświadczony, że uczyniłem jedyną rzecz słuszną, sprawiedliwą i moralną. Odcierpiałem za swój czyn i moje poglądy, ale trwam przy nich nadal, chociaż utratę żony przeżyłem ciężko z niejednego powodu.

– Przez nią stracił pan posiadłość i dobre zarobki, prawda?

– Wolę o tym nie mówić. Ostatnio powróciłem w te strony, do Marygreen.

– Prowadzi pan tam szkołę, tak jak dawniej?

Napór smutku, który szukał ujścia, rozwiązał Phillotsonowi język.

– Jestem tam, ale nie na takich samych warunkach jak dawniej.

Tyle tylko, że mnie tolerują. Był to ostatni ratunek, coś, do czego mogłem wrócić po latach ambitnych trudów, latach nadziei; taki powrót do zera wraz z towarzyszącymi mu upokorzeniami. Mimo wszystko

znalazłem tam schronienie. Lubię ustronność tej wsi; miejscowy proboszcz znał mnie, jeszcze zanim tak zwane ekscentryczne postępowanie w stosunku do żony nie zrujnowało mi opinii jako nauczyciela, i przyjął moje usługi, wtedy gdy inne szkoły były przede mną zamknięte. I ostatecznie chociaż płacą mi tylko pięćdziesiąt funtów rocznie, podczas gdy gdzie indziej brałem ponad dwieście, wolę to niż ponosić ryzyko, że moje dawne rodzinne sprawy zostaną wywleczone przeciwko mnie, na co naraziłbym się, próbując zmiany.

– Ma pan rację. Spokojna głowa to nieustające święto. Ona nie urządziła się lepiej.

– Czy ma pani na myśli, że jej się dobrze nie powodzi?

– Właśnie dziś spotkałam ją przypadkiem w Kennetbridge; daleka jest od dobrobytu. Mąż chory, ona strapiona. Powtarzam jeszcze raz: popełnił pan szaloną pomyłkę co do niej, i proszę mi wybaczyć śmiałość, ale sam pan sobie zasłużył na szkodę spowodowaną pokalaniem własnego gniazda.

– Jak to?

– Ona była niewinna.

– Nonsens! Nawet nie bronili się w czasie sprawy.

– Bo im na tym nie zależało. Ona nie dopuściła się tego, co panu zwróciło wolność, przynajmniej w danym momencie. Rozmawiałam z nią wkrótce potem i upewniłam się całkowicie.

Phillotson chwycił kant wózka i zdradzał wielkie wzburzenie i przygnębienie.

– A mimo wszystko chciała ode mnie odejść – powiedział.

– Owszem. Ale nie trzeba jej było puszczać. To jedyny sposób na takie kapryśnice, co to zadzierają nosa, winne czy niewinne. Przyszłyby do siebie z biegiem czasu. Wszystkie w swoim czasie wracamy do dawnego. Bo przyzwyczajenie robi swoje. W końcu na jedno wychodzi! W każdym razie ona chyba nadal jest przywiązana do tego człowieka, cokolwiek by on miał czuć do niej. Zbyttno się pan pośpieszył. Ja osobiście nie dałabym jej odejść. Wzięłabym ją na łańcuch, szarpiąc go, utemperowałaby się raz-dwa! Nie ma jak niewola i głuchy jak pień dozorca, aby obłaskawić nas, kobiety. Ponadto ma pan za sobą i prawo. Możesz wiedzieć, co robi. Czy pamięta pan, co on powiedział?

– Żałuję, proszę pani, ale w tej chwili sobie nie przypominam.

– Co za nauczyciel z pana! Zastanawiałam się nad jego słowami, kiedy czytano je w kościele, a i później również: „Tedy mąż nie będzie winien, a żona poniesie nieprawość swoją”. Piekielna bezwzględność w stosunku do kobiet; ale musimy znosić ją z uśmiechem! Ano, ma ona teraz to, na co zasłużyła.

– To prawda – odparł Phillotson z bolesnym smutkiem. –

Okrucieństwo jest prawem przenikającym całą naturę i społeczeństwo. Nie możemy się z tego otrząsnąć, choćbyśmy nawet chcieli!

– Niech pan następnym razem nie zapomni spróbować.

– Nie mogę za to zaręczyć. Niewiele wiem o rodzaju niewieścim, proszę pani.

Dotarli już teraz do niziny stykającej się z Alfredston i, mijając przedmieścia miasta, podjechali pod młyn, gdzie Phillotson miał interes. Wsiadł więc i zatopiony we własnych myślach, życzył im dobrej nocy.

Tymczasem Sue opuściło już chwilowe ożywienie, jakie wobec wyjątkowego powodzenia eksperymentu ze sprzedażą ciastek na jarmarku w Kennetbridge zaczęło rozpraszać jej smutek. Gdy wszystkie „christminsterskie” pierniki znalazły już nabywców, Sue zabrała pusty koszyk i serwetę, którą przykryła wynajęte stoisko, chłopcu dała inne rzeczy i razem z nim odeszła. Szli około pół mili wiejską uliczką, aż spotkali starszą kobietę z małym dzieckiem na ręku, drugą ręką prowadzącą trochę większego malca.

Sue ucałowała dzieci i zapytała:

– Jak się czuje Juda?

– Coraz lepiej! – odparła pogodnie pani Edlin. – Nie martw się tylko, zanim ty przyjdiesz do siebie, twój mąż będzie zdrow jak ryba.

Skręciły teraz i doszły do rzędu starych, siwą dachówką krytych chat w ogródkach i sadach. Weszły do jednej z nich bez pukania, otwierając drzwi ze skobla, i od razu znalazły się w mieszkalnym pokoju. Juda siedział w fotelu, a podkreślona subtelność jego z natury delikatnych rysów i wyraz dziecięcego oczekiwania w oczach nasuwały przypuszczenie, że musiał przebyć jakąś ciężką chorobę.

– Jak to? Czyżbyś sprzedawała wszystkie ciastka? – zapytał, a twarz rozjaśnił mu promień ożywienia.

– Tak! Kruźganki, wimpergi, okna i wszystko.

Sue powiedziała, ile pieniędzy zarobiła, a potem zawahała się. Ale w końcu, kiedy zostali sami, opowiedziała mu o niespodziewanym spotkaniu z Arabellą i o jej wdowieństwie.

Juda zmieszał się.

– Ona tutaj teraz mieszka? – zapytał.

– Nie, w Alfredston – powiedziała Sue.

Juda nadal był chmurny.

– Myślałam, że lepiej ci o tym powiedzieć – ciągnęła Sue, całując go z niepokojem.

– Owszem... Boże drogi! Arabella nie w czeluściach Londynu, ale tutaj, w naszych stronach! Do Alfredston jest stąd mało co ponad dwanaście mil w prostej linii. Cóż ona tam robi?

Sue powtórzyła mu wszystko, co sama wiedziała.

– Arabella wpadła w dewocję – dodała – i mówi stylem dewotki.

– W takim razie dobrze się stało, że już prawie jesteśmy zdecydowani, aby się stąd wyprowadzić – rzekł Juda. – Czuję się dzisiaj znacznie lepiej, a za parę tygodni wydobrzeję na tyle, aby móc wyjechać. Wtedy pani Edlin będzie mogła wrócić do siebie. Zaczna, wierna dusza! Jedyny nasz przyjaciel na świecie!

– Gdzie zamierzasz pojechać? – zapytała Sue z niepokojem w głosie.

Wtedy Juda wyznał, jakie ma plany. Przypuszczał, że ją zdziwią, skoro tak długo świadomie unikał dawnych miejsc. Ale ostatnio z różnych powodów wiele myślał o Christminster i jeśli ona zechce, chętnie by tam znowu pojechał. Co ich obchodzi, że ktoś ich może poznać? To przewrażliwienie taką do tego przywiązywać wagę. Będą mogli dalej sprzedawać ciastka, jeśli okaże się, że on nie będzie jeszcze zdolny do pracy. On, Juda, nie wstydzi się biedy; może zresztą odzyska niedługo dawne siły i założy własny zakład kamieniarski.

– Dlaczego tak bardzo ci zależy na Christminster? – powiedziała Sue z zadumą w głosie. – Christminster wcale o ciebie nie dba, mój najdroższy biedaku!

– Nie mogę tego w sobie zwalczyć. Kocham to miasto, chociaż wiem, jak tam nienawidzą ludzi mojego typu, tak zwanych samouków, jak pogardzają naszymi ciężką pracą uzyskanymi zdobyczami, mimo że właśnie oni pierwsi powinni je szanować. Wiem, jak Christminster drwi z naszego niepoprawnego akcentu i wymowy, zamiast powiedzieć: widzę, że potrzebujesz pomocy, przyjacielu!... Niemniej Christminster jest dla mnie środkiem wszechświata z racji moich młodzieńczych snów. I tego nic nie zdoła zmienić. Może wkrótce to miasto się zbudzi i stanie się wielkoduszne. Oby tak było! Chciałbym wrócić i tam zamieszkać... może i umrzeć tam! Chyba będę mógł wyjechać za dwa czy trzy tygodnie. Wypadnie to w czerwcu, a chciałbym być w Christminster właśnie wtedy, w pewien określony dzień.

Horoskopy na wyzdrowienie Judy okazały się trafne i trzy tygodnie później on i Sue przybyli do miasta nasuwającego tyle wspomnień. Stąpali po jego brukach i wchłaniali odbicie światła słonecznego z jego niszczących murów.

[26] Wyrok w procesie rozwodowym, który zostaje uprawomocniony po upływie pewnego czasu.

Część szósta

Z POWROTEM W CHRISTMINSTER

...A ona ciało swoje wielce
umartwiała, i we wszystkich
miejscach, gdzie się ongiś
weseliła, rwała włosy z głowy.

ESTHER – Apokr.

Dwoje nas, ja i ona, światu
przeczy; Śmierci jesteśmy
radzi w mroku rzeczy.

R. BROWNING

I

W chwili ich przyjazdu na dworcu roiło się od młodzieńców w słomianych kapeluszach, którzy witali młode panny ogromnie do nich podobne, a ubrane w niezmiernie kolorowe i powiewne szatki.

– Jak tu wesoło – powiedziała Sue. – Prawda, to Dzień Przypomnienia![27] Juda, jakiś ty przebiegły! Naumyślnie przyjechałeś tu dzisiaj!

– Owszem – odparł spokojnie Juda, biorąc na ręce maleństwo. Chłopcu Arabelli kazał się trzymać blisko siebie, a Sue zajęła się starszym dzieckiem. – Pomyślałem sobie, że równie dobrze możemy przyjechać dzisiaj jak każdego innego dnia.

– Boję się, żeby to nie podziałało na ciebie deprymująco! – powiedziała Sue z niepokojem, mierząc go spojrzeniem.

– O, nie pozwolę, aby ucierpiały na tym nasze sprawy. Czeka nas przecie mnóstwo trudu, zanim się tutaj ustalimy. Przede wszystkim mieszkanie.

Zostawili na dworcu bagaże i narzędzia Judy i ruszyli pieszo znajomą im dobrze ulicą, zmieszani z tłumem, który posuwał się w tym samym kierunku. Przy Fourways mieli właśnie skręcić w stronę, gdzie ewentualnie udałoby się coś wynająć, kiedy Juda spojrzął na zegar, potem na śpieszących ludzi i odezwał się nagle:

– Chodźmy zobaczyć pochód, dobrze? Odłóżmy na razie szukanie mieszkania. Znajdziemy coś później.

– Czy nie powinniśmy najpierw zapewnić sobie dachu nad głową?
– zapytała Sue.

Ale Juda zdawał się całkowicie pochłonięty uroczystościami i ruszyli dalej ulicą Główną. Juda niósł najmłodsze dziecko, Sue prowadziła za rękę córeczkę, a chłopiec Arabelli, zamyślony i milczący,

szedł obok nich. Ładne siostry w powiewnych strojach i potulni, nierozgarnięci rodzice, którzy za młodu nigdy nie stykali się z kolegiami, sunęli tłumnie w tę samą stronę pod pieczę braci i synów. Na twarzach tych ostatnich malował się wyraźnie pogład, że dopóty, dopóki oni nie zaszczylicili ziemi swoją obecnością, nie stąpała po niej żadna wyposażona w odpowiednie zalety istota ludzka.

– Od każdego z tych chłopców pada na mnie cień mego własnego niepowodzenia – powiedział Juda. – Czekam na dzisiaj lekcja na temat nadmiernego zadufania! Dzień Upokorzenia, a nie Dzień Przypomnienia! Gdybyś ty, moje jedyne kochanie, nie przyszła mi z pomocą, byłbym całkiem zmarniał z rozpacz!

Sue wyczytała z twarzy Judy, że wpada on w jeden ze swoich burzliwych nastrojów pełnych samoudręczenia.

– Należało raczej zakrzętnąć się najpierw koło naszych spraw – odparła. – Jestem pewna, że ten widok rozbudzi w tobie dawną udrękę, z czego nic dobrego nie wyniknie.

– Trudno, już jesteśmy blisko i zaraz wszystko zobaczymy – powiedział Juda.

Skręcili w lewo koło kościoła o włoskim portyku i spiralnych kolumnach gęsto oplecionych pnącymi roślinami i posuwali się wzdłuż tej samej uliczki, dopóki przed oczami Judy nie wyrósł okrągły budynek teatru, z tak dobrze mu znajomą latarnią na szczycie, który stał się smutnym symbolem poniechanych nadziei. Stąd właśnie po raz ostatni patrzył na gród kolegów w owo popołudnie głębokiej zadumy, kiedy wreszcie zrozumiał, że płonne są próby zostania jednym z synów uniwersytetu.

Na otwartej przestrzeni rozciągającej się między teatrem a najbliższym kolegium stała dzisiaj wyczekująca ciżba. Wolne przejście wśród tłumu utrzymywały dwie drewniane bariery sięgające od bramy kolegium do bramy obszernego budynku między kolegium a teatrem.

– Tu jest świetne miejsce... zaraz będą przechodzić! – zawołał Juda z nagłym ożywieniem. I torując sobie drogę do przodu, zajął miejsce tuż przy barierze, ciągle tuląc w ramionach najmłodszego malca. Sue z pozostałymi dziećmi stanęła tuż za nim. Za ich plecami ludzie napływali, gadając, żartując, śmiejąc się, a pod niskie wrota kolegium

podjeżdżały powozy jeden za drugim i zaczęły z nich wysiadać dostojne, uroczyste postacie w jasnoczerwonych szatach. Niebo w tej chwili zasnuły sine chmury i od czasu do czasu rozlegał się grzmot.

Ojczulek Czas zadrżał.

– Jak na Sądzie Ostatecznym! – szepnął.

– To tylko uczeni profesorowie – powiedziała Sue.

Wielkie krople deszczu spadły na ich głowy i ramiona i czekanie stało się nużące. Sue znowu wyraziła życzenie, aby już odejść.

– Teraz już niedługo się zacznie – rzekł Juda, nie odwracając nawet głowy.

Ale pochodu ciągle nie było widać; ktoś z tłumu spojrział na fasadę najbliższego kolegium i dla zabicia czasu zapytał, co też może znaczyć łaciński napis pośrodku. Juda, który stał obok, wytłumaczył jego treść i widząc, że inni z ciekawością słuchają, zaczął objaśniać rzeźby na fryzie – przestudiował je wszystkie przed laty – i wdał się w ocenę szczegółów sztukaterii na innych frontonach w mieście.

Bezczynna ciżba, z dwoma policjantami u drzwi włącznie, patrzyła na niego jak Likijczycy na Pawła, bo Juda łatwo się zapalał do każdego podsunętego tematu. Ludzie zaczęli się dziwować, w jaki to sposób człowiek nietutejszy może wiedzieć więcej o budowlach ich miasta niż oni sami. Aż w końcu ktoś się odezwał:

– Jakże, przecież ja znam tego człowieka! Pracował tu kiedyś, to Juda Fawley! Przezywali go „profesor z kolegium Świętej Nędzy”, pamiętacie? Bo do tego fachu mierzył. Pewnie jest żonaty i swoje dziecko trzyma na ręku. Taylor na pewno go zna, bo on zna wszystkich.

Wiadomości tych dostarczył niejaki Jack Stagg, z którym Juda swego czasu pracował przy odnawianiu sztukaterii. Okazało się, że blacharz Taylor stał niedaleko i, zagadnięty, zaraz krzyknął do Judy ponad barierami:

– Zaszczyciliście nas, kumie, powrotem do Christminster!

Juda skinął głową.

– Coś mi się widzi, że niewiele działaliście po odejściu z miasta?

I to również Juda potwierdził.

– Tyle tylko, że gąb się znalazło więcej do wyżywienia! – dołączył się nowy głos i Juda poznał Wujka Joe, jeszcze jednego znajomego

murarza. Odparł wesoło, że i temu nie może zaprzeczyć. Od słówka do słówka wywiązała się ogólna rozmowa między Judą a tłumem gapiów i w końcu blacharz Taylor zapytał go, czy jeszcze pamięta Skład Apostolski po łacinie i ten wieczór, kiedy został wyzwany do wygłoszenia go w szynku.

– Wszelako nie znaleźliście fortuny na tej drodze? – wtrącił Joe. – Zabrakło wam oleju w głowie, co?

– Nie wdawaj się już z nimi w rozmowę! – prosiła Sue.

– Nie podoba mi się w Christminster! – wymamrotał żałośnie mały Czas, niewidoczny wśród tłumu.

Ale Juda, spostrzegając, że stał się ośrodkiem zainteresowania, indagacji i komentarzy, nie zamierzał uchylać się od otwartego stwierdzenia rzeczy, których nie miał najmniejszego powodu się wstydzić, i po chwili podkusiło go, aby głośno zwrócić się do całego tłumu słuchaczy:

– Moi drodzy, dla każdego młodego człowieka jest to trudne zagadnienie, ja sam się z nim zmagalem, i w naszych burzliwych czasach rozważa je teraz tysiące innych: czy bezkrytycznie iść szlakiem, na którym się człowiek znalazł, nie biorąc pod uwagę swych zdolności, czy też zastanowić się, jakie są te zdolności czy zamiłowania, i odpowiednio do nich przekształcić bieg swego życia. Ja spróbowałem postąpić według tej drugiej alternatywy i przegrałem. Ale nie uważam, aby porażka dowodziła niesłuszności moich poglądów, a powodzenie mogło uczynić je słusznymi, chociaż właśnie w ten sposób oceniamy obecnie podobne próby: to znaczy na podstawie przypadkowego rezultatu, a nie ich istotnej wartości. Gdybym w końcu został jednym z tych panów w czerwieni i czerni, którzy tu teraz zajeżdżali, każdy mówiłby: „Patrzcie, jak rozumnie uczynił ten młodzieniec, idąc za głosem swej natury!”. Ale że nie skończyłem lepiej, niż zacząłem, ludzie będą mówić: „Patrzcie, jaki to głupiec z tego człowieka, że postąpił według swego widzimisię!”. A jednakże to wskutek biedy, a nie mojej własnej woli doznałem porażki. To, co ja próbowałem osiągnąć w ciągu jednego pokolenia, dokonać się może normalnie w ciągu dwóch czy trzech; a moje popędy, uczucia, należałoby je może nazwać przywarami, były zbyt silne, aby nie stanąć na przeszkodzie człowiekowi bez żadnych

szans życiowych, który powinien być zimnokrwisty jak ryba i samolubny jak świnia, aby mieć istotnie korzystne widoki na wybicie się w swoim kraju. Będziecie może ze mnie drwić, chętnie poddam się drwinom... jestem bez wątpienia stosownym ich celem. Sądzę jednak, że raczej litowalibyście się nade mną, gdybyście wiedzieli, czego doświadczyłem przez ostatnich parę lat. A gdyby oni wiedzieli – tu wskazał na kolegium, dokąd jeden po drugim przybywali „donowie” – kto wie, czy również nie poczuliby dla mnie litości.

– Ten człowiek rzeczywiście wygląda na chorego i wyczerpanego!
– odezwała się jakaś kobieta.

Twarz Sue, niewidoczna dla oczu ludzkich, chociaż znajdowała się tuż koło Judy, zdradzała coraz większe wzruszenie.

– Przed śmiercią mogę jeszcze zdziałać coś dobrego, mogę się przydać jako odstrasżający przykład, jako ilustracja moralnej przypowieści, czego nie należy czynić – ciągnął Juda, wpadając w ton goryczy, mimo że zaczął raczej na pogodną nutę. – Ostatecznie stałem się może jedynie niewiele znaczącą ofiarą ducha niepokoju, który panuje w dziedzinie umysłowej i społecznej w obecnej dobie, unieszczęśliwiając tyle ludzi!

– Nie mów im tego – szepnęła Sue ze łzami, spostrzegając stan duchowy Judy – Z tobą było inaczej. Ty walczyłeś szlachetnie, aby zdobyć wiedzę, i jedynie najmarniejsze dusze mogłyby cię potępić!

Juda przesunął dziecko na rękę, aby mu było wygodniej, i zakończył:

– I powłoka chorego i biednego człowieka nie jest najgorszą częścią mojej istoty. Obracam się po omacku wśród chaosu zasad moralnych, kierując się instynktem, a nie mając wzorów. Gdy przybyłem tutaj po raz pierwszy osiem czy dziewięć lat temu, miałem uporządkowany zapas ustalonych poglądów, ale odpadały jeden po drugim, a im dłużej żyję, tym mniej mam pewności siebie. Z obecnych reguł rządzących moim życiem nie pozostało mi chyba nic więcej oprócz zasady ulegania skłonnościom, które nie przynoszą krzywdy ani mnie samemu, ani innym, a nawet są miłe istotom najbardziej przeze mnie ukochanym. A więc, panowie, skoro chcieliście wiedzieć, jak mi się w życiu działo, oto macie moją historię. Niechże się wam na coś przyda!

Nie mogę tutaj zagłębiać się dalej w wyjaśnienia. Spostrzegam jakieś zło w naszych normach społecznych: jego naturę wszakże mogą jedynie odkryć ludzie obdarzeni większą wnikliwością niż moja, jeśli w ogóle zdołają je odkryć, przynajmniej w naszych czasach. „Bo któż wie, co człowiekowi jest pożyteczne w żywocie jego?... Albo kto mu oznajmić może, co będzie po nim pod słońcem?”.

– Słuchajcie, słuchajcie! – rozległo się wśród tłumu.

– Kazanie jak się patrzy – rzekł blacharz Taylor, a na stronie dorzucił do sąsiadów: – Jakże, żaden z tych najemnych klechów, od jakich się tutaj roi, gdy trzeba zastąpić naszych przewielebnych w czasie wakacji, nie byłby wyłożył takiej nauki poniżej gwinei. No nie? Przysięć mogę, że żaden by tego nie zrobił! A i wtedy musiałyby im ktoś przedtem kazanie napisać. A to przecież zwyczajny robotnik!

Niby poglądowy komentarz do uwag Judy nadjechał w tej chwili dorożką spóźniony i zadyszany doktor w todze. Koniowi nie udało się zatrzymać dokładnie we właściwym miejscu, więc pasażer musiał wyskoczyć i zaraz znikł za bramą. Dorożkarz zaś wysiadł i zaczął kopać zwierzę w brzuch.

– Jeśli coś podobnego może dziać się u bram kolegium, w mieście, gdzie religia i nauczanie stoją najwyżej na świecie – dodał Juda – cóż da się powiedzieć na temat, jak daleko doszła ludzkość?

– Spokój! – odezwał się teraz jeden z policjantów, który wraz z towarzyszem zajęty był otwieraniem wrót naprzeciw kolegium. – Przestań gadać, mój człowieku, w czasie pochodu.

Deszcz się wzmaczał i ci, co mieli parasole, otworzyli je teraz. Juda nie należał do tych szczęśliwych, a Sue miała tylko małą parasolkę raczej od słońca. Sue była bardzo blada, ale Juda tego jeszcze wtedy nie zauważył.

– Odejdźmy stąd, mój drogi – szepnęła, usiłując osłonić go od deszczu. – Pamiętaj, że nie mamy mieszkania i wszystkie nasze bagaże są na dworcu, a ty przecież nie jesteś zupełnie zdrow. Boję się, że ta wilgoć ci zaszkodzi!

– Już nadchodzą. Jeszcze chwileczkę i pójdziemy – odparł Juda.

Rozległo się bicie sześciu dzwonów, twarze ludzkie wypełniły okoliczne okna i wyłonił się pochód złożony z przełożonych kolegów

i nowo upieczonych doktorów; ich postacie w czerwonych i czarnych togach miały pole widzenia Judy jak niedosiężne planety oglądane przez teleskop.

W miarę jak szli, ci, co byli dobrze poinformowani, wymieniali ich nazwiska, a gdy dotarli do starego okrągłego teatru, dzieła Wrena, wybuchały wiwaty.

– Chodźmy tamtędy! – zawołał Juda. Deszcz padał teraz rzęsy, ale Juda zdawał się tego nie spostrzegać i zabrał Sue i dzieci do teatru. Stanęli tu na słomie rozłożonej, aby stłumić przenikliwy turkot kół. Dziwaczne, nadzarte przez mróz popiersia kamienne wokół budynku z posępną surowością spozierały na to, co się działo, a zwłaszcza na obłoconego Judę i Sue, i na ich dzieci jak na jakieś groteskowe istoty, które nie powinny się tu znajdować.

– Żebym ja mógł tam wejść! – powiedział zapalczywie Juda. – Słuchaj, Sue, jeśli tu stanę, może uda mi się usłyszeć parę słów z łacińskiego przemówienia. Okna są otwarte.

A jednak wśród huku organów, okrzyków i wiwatów między kolejnymi popisami krasomówczymi Juda, moknąc na deszczu, nie dosłyszał wiele łaciny oprócz, od czasu do czasu, donośnego słowa z końcówką *um* lub *ibus*.

– Tak, do końca moich dni będę tu obcym! – westchnął po chwili. – Już teraz pójdę, moja mała, cierpliwa Sue. Jakaś ty dobra, żeby tyle czasu czekać na takim deszczu, dogadzając mojej fantazji. Jak mi zbawienie duszy miłe! nigdy już więcej nie poświęcę uwagi temu piekielnemu, przekłętemu miejscu! Ale czemu tak drżałaś, gdy staliśmy przy barierze? Sue, jakaś ty blada!

– Wśród ludzi po drugiej stronie zobaczyłam Ryszarda.

– Tak?

– Widocznie przybył do Jeruzalem tak jak my wszyscy, aby być świadkiem uroczystości. Z tego wynika, że pewnie mieszka gdzieś niedaleko. I jego zżerała tęsknota do uniwersytetu, tak jak ciebie, tylko w łagodniejszej formie. Nie sądzę, aby mnie zauważył, chociaż musiał słyszeć, jak przemawiałeś do tłumu. Ale nie zwrócił na to uwagi.

– A nawet gdyby zwrócił? Już chyba teraz nie zaprzątasz sobie nim głowy, prawda, Sue?

– Chyba tak. Ale nie czuję się pewnie. Chociaż wiem, że w naszych zamiarach nie ma nic złego, poczułam dziwny lęk na jego widok, grozę, obawę przed ustalonymi konwencjami, w które przecie nie wierzę. Takie uczucie nachodzi mnie czasami jak zdradziecki paraliż i pogrąża w smutku.

– Zmęczyłaś się, Sue. Nie pomyślałem o tym, kochanie. Idźmy już.

Ruszyli na poszukiwanie mieszkania i wreszcie znaleźli coś, co wyglądało całkiem obiecująco, przy ulicy Mildew w zakątku o nieprzepartym uroku dla Judy, chociaż Sue mniej nim była zachwycona. Ta wąska uliczka biegła bezpośrednio na tyłach jednego z kolegów, skąd wszakże nie było na nią wyjścia. Niewielkie domki ginęły w cieniu wysokich budynków kolegialnych, wewnątrz których płynęło życie tak inne od życia mieszkańców zaułka, jak gdyby dzielił je cały glob. Na paru domach znajdowały się ogłoszenia o pokojach do wynajęcia; nasi przybysze zastukali do jednych drzwi i otworzyła im jakaś kobieta.

– Ach! posłuchaj! – powiedział nagle Juda zamiast zwrócić się do niej.

– Co się stało?

– Przecież to dzwony! Co to może być za kościół? Znam ich ton! W pewnej odległości rozległo się znów bicie dzwonów.

– Ja tam nie wiem! – rzekła cierpko gospodyni. – Czy pan zapukał, aby właśnie o to zapytać?

– Nie, chodzi mi o mieszkanie – odparł Juda, przytomniejąc.

Właścicielka domu bacznie przyjrzała się Sue.

– Nie mamy nic do wynajęcia – powiedziała, zamykając drzwi.

Juda stropił się, a chłopiec zmartwił.

– Czekał, Juda – odezwała się Sue. – Pozwól mnie spróbować. Nie umiesz się do tego zabrać.

W następnym domu właścicielka, popatrzawszy nie tylko na Sue, ale również na chłopca i młodsze dzieci, odrzekła grzecznie:

– Żałuję bardzo, ale nie wynajmujemy pokoi rodzinom z dziećmi. I także zamknęła przed nimi drzwi.

Najmłodsze dziecko złożyło usta w podkówkę i cicho zapłakało, jakby wyczuwając instynktem kłopoty.

Chłopiec westchnął.

– Nie podoba mi się w Christminster! – powiedział. – Czy te wielkie stare domy to więzienia?

– Nie – odparł Juda. – To kolegia. Może kiedyś będziesz się tutaj uczył.

– Nie mam ochoty! – odpowiedział chłopiec.

– Spróbujmy jeszcze raz – rzekła Sue. – Staranniej otulę się płaszczem... Wyjazd z Kennetbridge do tego miasta przypomina mi wędrówkę od Kajfasza do Piłata! Jak wyglądam, Juda?

– Nikt już teraz nie zauważy – powiedział Juda.

Stał tu jeszcze jeden dom i spróbowali po raz trzeci. Gospodyni okazała więcej uprzejmości, ale miała mało miejsca, więc zgodziła się przyjąć tylko dzieci i Sue, jeśli jej mąż postara się o nocleg gdzie indziej. Z konieczności na to przystali, bo jednak za późno było, by dalej szukać. Ułożyli się więc z gospodynią, chociaż jej żądania były raczej wygórowane na ich kieszeń. Ale nie mogli sobie pozwolić na targi dopóty, dopóki Juda nie znajdzie stałego mieszkania. Sue zajęła więc pokój od podwórza z alkową dla dzieci. Juda został chwilę i napił się z nimi herbaty, z przyjemnością spostrzegłszy, że z okna jest widok na tyły jeszcze innego kolegium. Potem ucałował całą czwórkę i wyszedł, aby kupić parę potrzebnych drobiazgów i rozejrzeć się za noclegiem dla siebie.

Po jego odejściu gospodyni przyszła na małą pogawędkę z Sue, aby dowiedzieć się czegoś o rodzinie, której wynajęła mieszkanie. Sue nie umiała kłamać i wyjawivszy parę faktów w związku z ich ostatnimi kłopotami i wędrówkami, została zaskoczona nagłym pytaniem kobiety:

– Czy pani jest naprawdę mężatką?

Sue zawahała się, ale pod wpływem impulsu powiedziała, że każde z nich było nieszczęśliwe w pierwszym małżeństwie, a potem bali się nowego, nierozzerwalnego związku i tego, że formalny związek może zabić ich miłość, i zabrakło im odwagi na powtórne małżeństwo, chociaż kilkakrotnie ślub planowali. A więc, mimo że sama uważała się za mężatkę, nie była nią w pojęciu gospodyni.

Kobieta robiła wrażenie zakłopotanej i zeszła na dół. Sue, zadumana, siadła przy oknie, patrząc na deszcz. Ale spokój zmaćło

czyjeś hałaśliwe wejście do domu, a potem głosy mężczyzny i kobiety w sieni na dole. To przyszedł mąż gospodyni, a ona tłumaczyła mu okoliczności przybycia lokatorów w czasie jego nieobecności.

Mężczyzna podniósł głos z nagłą pasją.

– I po co nam tutaj taka kobieta? A kto wie, czy i nie poród! Czy nie mówiłem ci tyle razy, że nie życzę sobie lokatorów z dziećmi? Żeby mi kopały ściany w przedpokoju i na klatce schodowej natychmiast po odmalowaniu! Musiałaś się przecież zorientować, że coś tam z nimi nie jest w porządku, ze sposobu, w jaki się zjawili. Żeby też brać do domu rodzinę, kiedy mówiłem wyraźnie o samotnym mężczyźnie.

Żona gęsto się tłumaczyła, ale mąż widocznie obstawał przy swoim, bo po chwili gospodyni, zapukawszy do drzwi, pojawiła się w pokoju Sue.

– Bardzo mi przykro, proszę pani – powiedziała – ale jednak nie mogę wynająć tego pokoju na cały tydzień. Mój mąż sobie tego nie życzy, więc muszę prosić, aby się pani wyprowadziła. Może pani zostać na noc, bo już się robi późno, ale chciałabym, żeby pokój był zwolniony z samego rana.

Sue wiedziała wprawdzie, że ma prawo zostać przez cały tydzień, ale nie chciała przyczyniać się do nieporozumień między małżonkami i odparła, że wyprowadzi się według jej życzenia. Po wyjściu gospodyni Sue wróciła znowu do okna. Widząc, że deszcz ustał, zaproponowała chłopcu, że gdy ułożą malców do snu, pójdą na poszukiwanie innego mieszkania, które zamówiliby na następny dzień, aby uniknąć podobnych kłopotów jak dzisiejsze.

I zamiast rozpakować kufarki, które właśnie Juda przysłał ze stacji, wyruszyli na miasto, gdzie mimo wilgoci było dość przyjemnie. Sue postanowiła nie niepokoić męża wiadomością o wymówieniu pokoju w chwili, gdy był on może również skłopotany szukaniem noclegu dla siebie. W towarzystwie chłopca szła z jednej ulicy na drugą i chociaż dowiadywała się mniej więcej w dziesięciu domach, powiodło jej się jeszcze gorzej niż w towarzystwie Judy i nie znalazła ani jednego wolnego pokoju. Każdy właściciel domu patrzył podejrzliwie na kobietę w jej stanie i dziecko szukających mieszkania o zmroku.

– Nie trzeba mi się było w ogóle urodzić, prawda? – powiedział

chłopiec lękliwie.

Sue wróciła wreszcie do domu śmiertelnie zmęczona; nie była tam mile widziana, ale ostatecznie dawał jej tymczasowe schronienie. W czasie jej nieobecności Juda zostawił swój adres, ale wiedząc, jak bardzo był jeszcze słaby, trwała nadal przy swoim postanowieniu, aby nie niepokoić go do następnego ranka.

II

Sue siedziała u siebie, patrząc z początku na gołe deski podłogi – dom właściwie nie różnił się wiele od starej chaty wciśniętej między mury – a potem obserwując widok za pozbawionym firanek oknem. Wznoszące się nieopodal zewnętrzne mury kolegium Sarcofagus, milczące, ciemne i ślepe, wlewały z przeciwka do małej izdebki Sue cztery stulecia mroku, bigoterii i rozkładu, nie dopuszczając księżycowej poświaty nocą, a słońca dniem. Dalej wycierał zarys kolegium Rubric, a jeszcze dalej wieża jakiegoś trzeciego kolegium. Sue myślała, jak dziwne jest działanie namiętności rządzącej duszą prostolinijnego człowieka, skoro Juda, tak tkliwie kochający ją i dzieci, umieścił ich w tym przygnębiającym otoczeniu dlatego tylko, że sam ciągle jeszcze ulegał urokowi swoich marzeń. Nawet i teraz nie docierała do niego mroząca odmowa, jaką te uczone mury głucho wypowiedziały wobec jego pragnień.

Niepowodzenie przy szukaniu innego mieszkania i brak miejsca dla ojca w obecnym pokoju wywarły głębokie wrażenie na chłopcu. Zdawało się, że ogarnęła go jakaś cicha, posępna zaduma i groza. Ciszę przełamał właśnie jego głos:

– Mamo, co z nami będzie jutro?

– Nie wiem! – rzekła Sue z przygnębieniem. – Boję się, że to bardzo zmartwi ojca.

– Szkoda, że ojciec nie jest zupełnie zdrow i że nie ma tu dla niego dość miejsca! Nie byłoby wtedy tak okropnie! Biedny ojciec!

- Na pewno nie byłoby tak okropnie!
- Czy ja mógłbym coś na to poradzić?
- Nie. Życie składa się z samych kłopotów, przeciwności

i cierpień.

– Ojciec poszedł gdzie indziej, żeby było miejsce dla nas, dzieci, prawda?

- Częściowo tak.
- Byłoby chyba lepiej wcale nie żyć na świecie?
- Chyba tak, kochanie.
- I to przez nas, prawda, przez dzieci, mama nie może dostać

dobrego mieszkania?

- No tak, niektórzy ludzie niechętnie odnoszą się do dzieci.
- To dlaczego ludzie mają dzieci, jeśli sprawiają im tyle kłopotu?
- Bo to jest prawo natury.
- Ale my nie prosimy się na świat?
- No nie, rzeczywiście.

– A ze mną to jeszcze gorzej, bo mama nie jest moją prawdziwą mamą i nie potrzebowałaby mnie mieć, gdyby mnie nie chciała. Po prawdzie, to nie trzeba mi było do was przyjeżdżać. Mieli ze mną kłopot tam, w Australii, a tutaj także przysparzam kłopotu. Szkoda, że się w ogóle urodziłem.

– Nie mogłeś na to wpłynąć, kochaneczku.

– Tak sobie myślę, że kiedy rodzą się dzieci, których nikt nie chce, powinno się je od razu zabijać, zanim jeszcze wejdzie w nie dusza. Niech nie rosną i nie chodzą po świecie!

Sue na to nie odpowiedziała. Zastanawiała się, pełna wahania, jak traktować to zbyt skłonne do refleksji dziecko.

Doszła wreszcie do wniosku, że w miarę możliwości będzie uczciwa i szczerą z istotą, która wnikała w jej własne strapienia jak dorosły przyjaciel.

– Wkrótce będzie jeszcze jedno dziecko w naszej rodzinie – rzekła z wahaniem.

– Jak to?

– Będzie nowy dzidzius.

– Co! – chłopiec zerwał się gwałtownie. – O Boże! Czemu posłałaś

po nowe dziecko, kiedy tyle jest kłopotu z tymi, co już są!

– Tak się jednak stało, z przykrością muszę przyznać! – szepnęła Sue, a hamowane łzy zabłysły w jej oczach.

Chłopiec wybuchnął płaczem.

– Och! mamie to wszystko jedno! – zawołał z gorzką wymówką w głosie. – Jak mama może być tak zła i okrutna; przecież trzeba było poczekać, aż nam się zacznie lepiej powodzić, a ojciec będzie zdrow! Żeby tak nam przysparzać nowych kłopotów! Nie ma mieszkania, ojciec musiał pójść gdzie indziej, stąd nas jutro wyrzucają, a mimo to mama wkrótce będzie miała nowe dziecko! To naumyślnie, naumyślnie!

Malec chodził po pokoju, szlochając.

– Musisz mi przebaczyć, Juda, mój maleńki! – prosiła Sue, wstrząsana łkaniem tak samo jak chłopiec. – Nie mogę ci tego teraz wytłumaczyć, ale na pewno to zrobię, kiedy podrośniesz. To tylko na pozór postąpiłam w ten sposób, jakby naumyślnie, akurat w chwili, gdy nam ciężko. Nie mogę ci tego wytłumaczyć, kochanie! Ale to niezupełnie naumyślnie, nie mogłam temu zapobiec.

– To naumyślnie, na pewno naumyślnie! Nikt by się teraz do nas nie wtrącał, żeby się mama nie zgodziła na dziecko! Nigdy tego mamie nie daruję, nigdy, nigdy! Nigdy nie uwierzę, że mama dba o mnie czy o ojca, czy o kogokolwiek z nas!

Wstał i odszedł do alkowy sąsiadującej z pokojem, gdzie na podłodze rozłożono mu posłanie. Sue usłyszała jeszcze, jak mówi do siebie:

– Gdybyśmy pomarli, nie byłoby już żadnych kłopotów.

– Nie myśl o takich rzeczach, kochanie! – zawołała do niego stanowczym tonem. – Postaraj się zaraz zasnąć.

Następnego ranka Sue obudziła się trochę po szóstej; postanowiła przed śniadaniem pobiec do oberży, gdzie zatrzymał się Juda, aby, zanim wyjdzie, powiedzieć mu, co się zdarzyło. Podniosła się z łóżka cichutko, żeby nie obudzić dzieci, bo wiedziała, że muszą być zmęczone po wczorajszych trudach.

Zastała Judę przy śniadaniu w podłym zajeździe, który wybrał, aby zrównoważyć wysoką cenę za jej pokój. Opowiedziała mu, że jej wymówiono mieszkanie. Juda bardzo się niepokoił przez całą noc.

W każdym razie utrata dachu nad głową nie wydawała się rankiem tak przykra jak poprzedniego wieczoru, a niepowodzeniem w znalezieniu innego pokoju Sue również nie przejmowała się tak jak w pierwszej chwili. Juda przyznał jej rację, że nie warto obstawać przy prawie pozostania w mieszkaniu przez tydzień, a za to należy podjąć natychmiast kroki, aby się wyprowadzić.

– Musicie wszyscy przeprowadzić się na parę dni do zajazdu– powiedział Juda. – Jest tu prymitywnie i dzieciom nie będzie przyjemnie, ale zyskamy więcej czasu, aby się za czymś rozejrzeć. Na przedmieściach, w mojej starej dzielnicy Beersheba, znajdzie się mnóstwo mieszkań. Zjedz ze mną śniadanie, ptaszynko, skoro już tu jesteś. Czy naprawdę dobrze się czujesz? Jest jeszcze dość czasu, aby wrócić i przygotować posiłek dla dzieci, zanim się obudzą. Zresztą pójdę z tobą.

Sue zjadła pośpiesznie śniadanie wraz z Judą i po kwadransie wyruszyli razem, postanawiając wyprowadzić się natychmiast z lokalu zbyt dla nich przyzwoitego. Gdy dotarli na miejsce i weszli na górę, w pokoju dzieci panowała zupełna cisza; nieśmiało poprosili gospodynię o przyniesienie im imbryka z herbatą i czegoś na śniadanie, co zostało niechętnie wykonane. Sue, włożywszy do gotującej wody parę jajek, które ze sobą miała, poleciła Judzie ich przypilnować, a sama poszła obudzić dzieci, bo już było blisko wpół do dziewiątej.

Juda, pochylony nad imbrykiem, z zegarkiem w ręce, pilnując czasu gotowania jajek, stał tyłem do alkowy, gdzie spały dzieci. Ale obrócił się raptownie, słysząc przeraźliwy krzyk Sue. Zobaczył, że drzwi od pokoiku, alkowy raczej, które dość ciężko się domykały, teraz są otwarte, a Sue leży na podłodze zaraz za progiem. Śpiesząc, aby ją podnieść, Juda rzucił okiem na małe posłanka rozłożone na ławach: dzieci tam nie było. Rozejrzał się, zdumiony, po pokoju. W drzwiach tkwiły od tyłu dwa haki na ubranie i z nich zwisały młodsze dzieci przywiązane za szyje kawałkiem szpagatu; parę kroków dalej w podobny sposób zwisało ciało małego Judy. Koło starszego chłopca leżało przewrócone krzesło; jego szkliste oczy z ukosa patrzyły na pokój, ale oczy dziewczynki i malutkiego chłopczyka były zamknięte.

Na wpół obezwładniony niesamowitością i rozmiarami grozy tego

widoku, Juda zostawił Sue na podłodze, scyzorykiem odciął sznury i rzucił dzieci na łóżka. Ale dotknięcie ich ciałek w tym krótkim kontakcie powiedziało mu, że już nie żyją. Schwycił Sue, która raz po raz mdlała, i ułożył ją na posłaniu w drugim pokoju. Wtedy zawołał gospodynię i co tchu pobiegł po doktora.

Gdy wrócił, Sue odzyskała przytomność i obie kobiety bezradnie pochylały się nad dziećmi w szaleńczym wysiłku przywrócenia im życia. Trzy małe trupy tworzyły obraz, który zachwiało równowagą Judy. Zjawił się lekarz z najbliższego sąsiedztwa, ale tak jak Juda przypuszczał, jego obecność była zbyteczna. Dzieci nic już nie mogło ocalić, bo chociaż ich ciała jeszcze niezupełnie ostygły, sądzono, że musiały wisieć już przeszło godzinę. Później, gdy rodzice zdolni byli roztrząsać wypadek, nasunęło im się przypuszczenie, że starszy chłopiec obudził się, wyjrzał do sąsiedniego pokoju i zobaczywszy, że Sue nie ma, wpadł w nastrój jeszcze większej depresji, którą w jego chorobliwym usposobieniu wywołało to, co się stało i o czym mówiono poprzedniego wieczoru. Znalaziono również na podłodze strzępek papieru, gdzie kawałkiem ołówka, jaki miał przy sobie, chłopiec skreślił słowa:

„Robię to, bo nas za durzo”.

Na widok tej kartki Sue zupełnie załamała się nerwowo i straszna świadomość, że rozmowa z chłopcem stała się główną przyczyną tragedii, wprawiła ją w stan męki, dla której nie było granic. Wbrew jej woli zaprowadzono ją do pokoju na parterze i tam ułożono; wątłą jej postać wstrząsały spazmy, oczy utkwiała w sufit i gospodyni daremnie usiłowała ją uspokoić.

Dochodziły tu kroki osób krzątających się na górze; Sue błagała, aby jej pozwolono pójść tam z powrotem, i powstrzymywano ją jedynie zapewnieniem, że jeśli istnieje jakaś nadzieja, jej obecność może przynieść szkodę, a także perswazją, że musi na siebie uważać, jeśli nie chce narazić na niebezpieczeństwo życia przyszłego dziecka. Nie przestawała jednak pytać i wtedy Juda zszedł do niej i powiedział, że nie ma nadziei. Gdy tylko zdolna była przemówić, opowiedziała mu o rozmowie z chłopcem i o swoim przekonaniu, że sama spowodowała nieszczęście.

– Nie – odparł Juda. – W jego naturze leżał taki postępek. Lekarz

mówi, że istnieją chłopcy typu zupełnie nieznanego w poprzednim pokoleniu, wyrastający wśród nas jako owoc nowych poglądów na życie. Zdają się oni spostrzegać całą grozę tego życia, zanim jeszcze podrosną i na tyle, aby jej stawiać czoło. Powiada on, że jest to zapowiedź powszechnego pragnienia, aby nie istnieć. Ten lekarz jest człowiekiem o postępowych poglądach, ale nie potrafi pocieszyć.

Do tej pory Judę hamował własny żal ze względu na Sue, ale teraz i on się załamał, i to ją pobudziło do współczucia, co w pewnym stopniu oderwało jej myśl od dojmującego samooskarżenia. Gdy zostali sami, pozwolono jej zobaczyć dzieci.

Z twarzy chłopca wyzierała cała historia ich losów. Na tej małej figurce ześrodkowały się jak gdyby wszystkie cienie pierwszego, niefortunnego małżeństwa Judy, wszystkie doświadczenia, błędy, niepokoje i upadki jego drugiego związku. Dziecko było niejako węzłowym punktem obydwóch, ogniskowało je i symbolizowało. Uginało się pod ciężarem nierozwagi rodziców, cierpiało wskutek ich niedobrych charakterów, a śmiercią okupiło nieszczęścia Judy i Sue.

Gdy w domu ucichło i nie pozostawało nic innego jak czekać na dochodzenie sędziego śledczego, pokój przeniknął nagle potężny, choć przytłumiony, niski głos zza grubych murów w głębi.

– Co to? – zapytała Sue, wstrzymując nierówny oddech.

– Organy w kaplicy kolegium. Pewnie ćwiczy organista. To antyfona z psalmu siedemdziesiątego trzeciego: „Jako dobry Bóg Izraelczyków tym, którzy są prostego serca”.

Sue rozszlochała się znowu:

– O moje dzieciątka! Nikomu przecież nie uczyniły krzywdy! Czemu one odeszły, a nie ja!

Znowu nastąpiła cisza przełamana wreszcie rozmową dwóch osób gdzieś na zewnątrz.

– Na pewno mówią o nas! – jęknęła Sue. – „Jako dziwowisko staliśmy się dla świata, i dla ludzi, i dla aniołów!”

Juda nasłuchiwał.

– Nie – powiedział. – Nie mówią o nas. To dwóch duchownych o różnych poglądach sprzeczają się o postawę celebranta przed eucharystią. Boże wielki! postawa celebranta! podczas gdy cały świat

upada pod ciężarem cierpienia.

Znowu zaległo milczenie, dopóki Sue nie ogarnął powtórny spazm nieopanowanego żalu.

– Coś poza nami powiada nam: „Nie będziesz”. Najpierw mówiło: „Nie będziesz się uczyć”. Potem mówiło: „Nie będziesz pracować!”. A teraz mówi: „Nie będziesz kochać!”.

– To gorycz przemawia przez ciebie, kochanie! – powiedział Juda, usiłując ją uspokoić.

– Ale tak właśnie jest!

I tak czekali. Sue wróciła do pokoju na górze. Nie pozwoliła zabrać sukienki, buciczków i pończoszek synka, które leżały na krześle w chwili jego śmierci, chociaż Juda chętnie byłby je usunął sprzed jej oczu. Ale ilekroć ich dotknął, Sue błagała, aby jeszcze je zostawić, i rzuciła się niemal drapieżnie na służącą, która również próbowała je odłożyć.

Apatyczne milczenie Sue napawało Judę jeszcze większym lękiem niż ataki rozpaczy.

– Juda! dlaczego się do mnie nie odzywasz?! – zawołała kiedyś po takim ataku bólu. – Nie odwracaj się ode mnie! Tak mi źle, kiedy nie czuję twego wzroku!

– Jestem, najdroższa, jestem tutaj – powiedział, twarzą dotykając jej twarzy.

– Jesteś... O mój towarzyszu, naszą doskonałą wspólnotę dwojga w jedności splamiła teraz krew.

– Nie... śmierć rzuciła na nią cień, i nic więcej.

– Może... ale w istocie, choć nieświadomie, to ja popchnęłam go do tego! Mówiłam z dzieckiem tak, jak powinno się mówić tylko z dojrzałymi ludźmi. Powiedziałam, że świat jest przeciw nam, że za tę cenę lepiej być poza życiem, a on to wziął dosłownie. Powiedziałam mu również, że znowu urodzę dziecko. To nim wstrząsnęło. O, jakże gorzko mi to wymawiał!

– Czemu tak postąpiłaś, Sue?

– Nie umiem powiedzieć czemu. Po prostu chciałam mówić prawdę. Nie mogłam znieść myśli o wprowadzaniu go w błąd w sprawach dotyczących życia. A jednak minęłam się z prawdą, bo

przez fałszywą dyskrecję mówiłam zbyt niejasno. Czemuż byłam tylko w połowie mądrzejsza od innych kobiet, a nie w pełni mądrzejsza! Czemuż nie mówiłam mu miłych kłamstw zamiast półprawd? To wszystko przez mój brak opanowania, co sprawia, że nie potrafię niczego ukryć ani też wyjawiać!

– Twój zamiar byłby dobry w większości wypadków, ale może w tym właśnie wypadku miał złe skutki. Prędzej czy później chłopiec byłby się dowiedział.

– Akurat szłam nową sukieneczkę dla mego pieszczołka, a teraz nigdy go już nie zobaczę i nigdy do niego nie przemówię!... Oczy mi tak spuchły, że ledwie widzę, a przecież jeszcze rok temu uważałam się za szczęśliwą! Za wiele uwagi poświęciliśmy naszej miłości, doprowadzając ją do ostatecznego samolubstwa! Pamiętasz, mówiliśmy, że z radości uczynimy cnotę. Powiedziałam wtedy, że zamysłem natury, prawem natury i racją bytu jest radość doznawana dzięki instynktom, jakich ona nam dostarcza – instynktom, które cywilizacja podjęła się zniweczyć! Co za straszne rzeczy mówiłam! A teraz los zadał nam ten cios w plecy za głupią wiarę, że natura spełni swe obietnice!

Sue pogrążyła się w milczącej kontemplacji, a potem powiedziała:

– Może to najlepsze wyjście, że dzieci odeszły. Tak, teraz to widzę! Lepiej, że zabrała je śmierć, póki były świeże jak kwiaty, niż miałyby żyć, więdnąc w nieszczęściu!

– Może – odparł Juda. – Czasem się mówi, że ludzie dorośli powinni się cieszyć, gdy ich dzieci umierają w wieku niemowlęcym.

– Ale one o tym nie wiedzą!... O moje dzieciątka, moje dzieciątka, obyście mogły teraz być żywe! Możesz twierdzić, że chłopiec pragnął umrzeć, bo inaczej nie byłby tego zrobił. Śmierć nie była dla niego niedorzecznością, była częścią nieuleczalnego, przyrodzonego smutku tego biednego chłopaczka! Ale tamte, moje dzieci i twoje!

Sue ponownie spojrzała na rozwieszoną sukieneczkę, na pończoszki i buciki i zadrżała jak struna.

– Jakim żalonym stworzeniem jestem – powiedziała. – Nie nadaję się już ani do ziemi, ani do nieba! Odchodzę od zmysłów! Co tu robić? – Patrzała na Judę, mocno ściskając go za rękę.

– Nic się nie da zrobić – odparł. – Tak się dzieje, jak się dzieje,

i wszystko znajdzie przeznaczony sobie koniec.

Zamilkła.

– Tak! kto to powiedział? – spytała obojętnie.

– To z chóru w *Agamemnonie*. Nie schodzą mi te słowa z myśli od chwili nieszczęścia.

– Mój biedny Juda! Wszystko cię zawiodło! bardziej niż mnie, bo ja mam ciebie. Tyle pamiętasz z książek, które czytałeś sam, a jednak tkwisz w biedzie i żalu!

Po takim momencie odprężenia znowu ogarniała ją fala rozpacz.

Sędziowie przysięgli zjawili się punktualnie i przeprowadzono śledztwo, a potem nastąpił smutny ranek pogrzebu. Wzmianki w gazetach sprowadziły na miejsce ciekawych, którzy zdawali się rachować wszystkie szyby w oknach i kamienie w murach. Interesowano się, czy Juda i Sue są małżeństwem. Sue chciała odprowadzić swoje maleństwa do grobu, załamała się jednak w ostatniej chwili i trumny wyniesiono ukradkiem wtedy, gdy zasnęła. Juda wszedł do żałobnego pojazdu, który ruszył ku wielkiej uldze gospodarza, bo w ten sposób pozostawała mu na głowie tylko Sue i jej bagaże. Spodziewał się, że pozbędzie się ich w ciągu dnia i uwolni swój dom od fatalnego rozgłosu, jaki zdobył przez tydzień wskutek niefortunnego wpuszczenia przez żonę tych obcych ludzi. Po południu rozmówił się z właścicielem i uradzili, że jeśli wynikną kłopoty w związku z tragedią, jaka miała tu miejsce, będzie można uciec się do zmiany numeru domu.

Juda przypilnował złożenia w ziemię dwóch trumienek – jedna mieściła małego Judę, a druga dwoje młodszych dzieci – a potem pośpieszył z powrotem do Sue; zamknęła się u siebie, więc nie chciał jej przerywać odpoczynku. Jednak udał się tam znowu około czwartej, niespokojny o nią. Służąca myślała, że Sue jeszcze leży, ale wróciła z wiadomością, że nie ma jej w pokoju. Nie było także jej kapelusza i zakietu: musiała wyjść na miasto. Juda pobiegł do zajazdu, gdzie mieszkał, ale Sue tam nie widziano. Rozważając, co się z nią mogło stać, ruszył w kierunku cmentarza i na miejsce, gdzie niedawno odbył się pogrzeb. Nie było tu już gapiów, których tragedia przyciągnęła na cmentarz. Jakiś człowiek z łopatą w rękach usiłował zasypać ziemią wspólny grób trojga dzieci, ale wstrzymywała go błagalna postać kobiety

stojącej w na wpół wypełnionym dole. Była to Sue; jej kolorowy ubiór, którego nawet nie pomyślała zastąpić czarnym, jaki jej Juda kupił, mocniej podkreślał głęboki ból, niż potrafiłaby to osiągnąć konwencjonalna żałoba.

– On chce zasypać grób, a ja przecież jeszcze raz muszę spojrzeć na moje maleństwa! – zawołała gwałtownie, spostrzegając Judę. – Chcę je zobaczyć jeszcze raz. O Judo! proszę cię, Juda! ja chcę je zobaczyć! Skąd mogłam wiedzieć, że pozwolisz je zabrać wtedy, kiedy spałam? Powiedziałeś przecież, że pozwolisz mi popatrzeć na nie jeszcze raz, zanim przyśrubują trumnę, a potem zrobiłeś inaczej i zabrałeś dzieci! O Juda, i ty jesteś dla mnie okrutny!

– Ona chce, żebym na nowo odkopał mogiłę, aby mogła dostać się do trumien – odezwał się człowiek z łopata. – Tak mi się widzi po jej wyglądzie, że trzeba by ją odprowadzić do domu. Zaraz widać, że ledwie przytomna, biedne stworzenie. Nie mogę ich odkopać, kochana pani. Idź pani z mężem do domu i nie bierz tego tak do serca. Dzięki Bogu wkrótce będzie następne dziecko i pocieszy panią w strapieniu.

Ale Sue ciągle żałośnie prosiła:

– Czy nie mogłabym ich zobaczyć jeszcze raz, tylko raz? Co? chociaż króciutko, Judo? To nie zabierze dużo czasu! Tak proszę! Będę już potem grzeczna i zawsze będę ciebie słuchać, Juda, jeśli mi teraz pozwolisz! Pójdę potem spokojnie do domu i nie będę więcej o to prosić. Pozwól mi! Dlaczego nie mogę ich zobaczyć?

Nie przestawała błagać. Doprowadziło to Judę do stanu takiej żałości, że już się prawie skłaniał, aby uprosić grabarza. Ale nie wynikłoby z tego nic dobrego, a nawet mogłoby Sue zaszkodzić. Zdawał sobie sprawę, że należy natychmiast zabrać ją do domu. Więc serdecznie jej tłumaczył i szeptał czułe słowa, podtrzymując ją ramieniem, aż wreszcie ustąpiła, zupełnie bezsilna. Wtedy wyprowadził ją z cmentarza.

Juda chciał wynająć dorożkę, aby ją odwieźć do domu, ale musieli oszczędzać, więc Sue mu odradziła i powoli ruszyli piechotą – on w żałobie, ona ubrana w brązowe i czerwone kolory. Tego popołudnia mieli przenieść się na nowe mieszkanie, ale Juda zorientował się, że to będzie niemożliwe. Doszli wreszcie do zniechęconego teraz domu, Sue położono do łóżka i posłano po lekarza.

Przez cały wieczór Juda czekał sam na dole. Późną już porą powiadomiono go, że Sue przedwcześnie urodziła dziecko; było ono nieżywe, tak jak tamte.

III

Sue wracała do zdrowia – choć pragnęła śmierci, a Juda znowu otrzymał zajęcie w dawnym zawodzie. Mieszkali teraz gdzie indziej, w stronie dzielnicy Beersheba, niedaleko kościoła św. Silasa.

Siadywali razem w milczeniu, bardziej dotknięci złowieszcą i bezpośrednią wrogością rzeczy niż ich bezdusznym i tętym oporem. W okresie kiedy inteligencja Sue skrzyła się jak gwiazda, nawiedzały ją mgliste i dziwaczne rojenia, że świat przypomina strofę czy melodię skomponowaną we śnie; pogład ten wydawał się w cudowny sposób doskonały dla na pół rozbudzonej świadomości, lecz beznadziejnie absurdalny przy pełnym przebudzeniu; roiła, że Pierwsza Przyczyna działała machinalnie jak lunatyk, a nie z rozmysłem jak mędrzec; że przy ujmowaniu warunków ziemskich w ramy nie wzięto chyba pod uwagę takiego rozwoju uczuć wśród stworzeń podległych tym warunkom, jaki został osiągnięty przez myślącą i wykształconą ludzkość. Ale nieszczęście sprawia, że przeciwstawne siły wydają się antropomorficzne. I teraz te wyobrażenia przekształciły się u Sue w poczucie, że oboje z Judą uciekają od prześladowcy.

– Musimy się podporządkować! – powiedziała kiedyś ze smutkiem.
– Cały odwieczny gniew Potęgi ponad nami zwrócił się przeciw nam, nieszczęsnym istotom stworzonym przez nią, i musimy się poddać. Nie mamy wyboru. Walka przeciwko Bogu jest bezcelowa!

– Walczymy jedynie przeciwko ludziom i bezdusznym okolicznościom – powiedział Juda.

– To prawda – szepnęła. – Co mi też przyszło do głowy! Staję się przesądna jak dziki człowiek!... Ale kimkolwiek czy czymkolwiek jest nasz wróg, strach mnie pcha do poddania mu się. Nie ostało się już we

mnie nic przedsiębiorczości i siły do walki. Jestem pobita, pobita!... „Jako dziwowisko staliśmy się dla świata i dla aniołów, i dla ludzi”. Ciągłe to sobie teraz powtarzam.

– Odczuwam to podobnie jak ty.

– Co my z sobą poczniemy? W tej chwili masz zajęcie, ale pamiętaj: masz je, być może, jedynie dlatego, że nasza historia i wzajemne stosunki nie są nikomu znane... Kto wie, czy nie straciłbyś pracy, tak jak w Aldbrickham, gdyby wiedziano, że nasze małżeństwo nie zostało zalegalizowane!

– Nie wiem. Może i nie. Jednakże uważam, że teraz powinniśmy je zalegalizować!

– Naprawdę tak sądzisz?

– Oczywiście.

Juda zamyślił się.

– W ostatnich czasach – powiedział – zacząłem odnosić wrażenie, że należę do tej licznej grupy mężczyzn unikanych przez cnotliwych, mężczyzn zwanych uwodzicielami. Zdumiewa mnie to! Nie zdawałem sobie sprawy zarówno z tego, jak i z krzywdy, jaką tobie wyrządzam, tobie – którą kocham więcej niż siebie samego. A jednak jestem jednym z tej grupy. Ciekaw jestem, czy ci inni to również kreatury tak tępe i prostackie jak ja?... Tak, Sue – taki właśnie jestem. Uwiodłem cię... Byłaś zupełnie inna niż wszystkie kobiety, byłaś delikatną istotą, która wedle zamysłu natury powinna była zostać nietknięta. Ale ja nie dawałem ci spokoju!

– Ach! nie, Juda – odparła szybko. – Nie czyni sobie wyrzutów, że jesteś kimś, kim wcale nie jesteś. Jeśli kogoś można winić to mnie.

– Podtrzymałem cię w zamiarze rozstania z Phillotsonem i gdyby nie ja, nie należałabyś, aby pozwolił ci odejść.

– Odeszłabym mimo wszystko. Wracając do nas obojga, zbawienny dla naszego związku jest właśnie fakt, że nie zawarliśmy umowy prawnej. Dzięki temu nie znieważyliśmy powagi naszych pierwszych ślubów małżeńskich.

– Powagi? – Juda spojrzał na nią z pewnym zdziwieniem i zdał sobie nagle sprawę, że nie była to już Sue z dawnych dni.

– Tak – rzekła z lekkim drzeniem głosu. – Nawiedzała mnie

straszliwa obawa, straszliwe poczucie zuchwalstwa moich postępków. Nawiedzała mnie myśl... że jestem wciąż jego żoną!

– Czyją żoną?

– Ryszarda.

– Boże wielki! kochanie moje, dlaczego?

– Ach! nie umiem ci tego wytłumaczyć! A jednak taka myśl mnie nękała.

– To dlatego, żeś słaba, to chorobliwe urojenie, nierozsądne i bez znaczenia. Nie pozwól mu się opanować.

Sue ciężko westchnęła.

Jako przeciwwaga rozmów w tym rodzaju nastąpiła poprawa w ich materialnej sytuacji, która wprawiłaby ich w dobry nastrój, gdyby nastąpiła wcześniej. Zupełnie niespodziewanie Juda znalazł korzystne zajęcie w swoim dawnym zawodzie prawie natychmiast po przyjeździe, a letnia pora sprzyjała jego delikatnemu zdrowiu. Pozornie dzień za dniem upływał mu z jednakową monotonią, jaka sama w sobie jest błogosławieństwem po zmiennych kolejach losu. Ludzie zdawali się nie pamiętać, że postępował kiedyś niewłaściwie, wspinał się więc codziennie na parapety i gzymsy kolegiów, do których nie dane mu było wstąpić, i tak jakby nigdy nie żywił innych pragnień, odnawiał kruszący się piaskowiec w laskowaniu okien, przez które, gdyby nie ta praca, nie mógłby wyglądać.

Taka nastąpiła w nim zmiana, że nieczęsto chodził teraz na nabożeństwo do kościoła. Bardziej niż wszystko inne niepokoiła go jedna sprawa: że od chwili tragedii on sam i Sue duchowo poszli w zupełnie przeciwne kierunki. Wypadki, które rozszerzyły jego poglądy na życie, prawodawstwo, zwyczaje i dogmaty nie podziały w ten sam sposób na poglądy Sue. Nie była ona już tą samą istotą co w dniach niezależności, kiedy jej inteligencja, jak migotliwa błyskawica, igrała z konwencjami i formami, które i on wtedy szanował, choć dzisiaj ten stosunek uległ zmianie.

W pewien niedzielny wieczór Juda wrócił dość późno. Sue nie było w domu, ale wkrótce wróciła; zauważył zaraz, że jest milcząca i zamyślona.

– O czym myślisz, malutka? – zapytał z ciekawością.

– O, trudno mi to wyrazić! Myślałam o tym, że i ty, i ja byliśmy w życiu samolubni, lekkomyślni i nawet bezbożni. Nasze życie było pełnym próżności dążeniem do własnego zadowolenia. Ale wyrzeczenie jest wyższym stopniem rozwoju. Powinniśmy umartwiać ciało, to straszne ciało, Adamowe przekleństwo!

– Sue! – szepnął Juda. – Co cię naszło?

– Powinniśmy bezustannie poświęcać samych siebie na ołtarzu obowiązku! A ja przecież zawsze walczyłam, aby robić to, co sprawiało mi przyjemność. Zasłużyłam w pełni na chłostę, jaka mnie spotkała! Chciałabym, aby coś mogło wykorzenić ze mnie całe zło, wszystkie moje potworne błędy i grzeszne skłonności!

– Sue, moja jedyna, ty zbyt cierpiałaś! Nie ma w tobie nic z grzesznej kobiety. Twe wrodzone instynkty są najzupełniej zdrowe, być może nie tak namiętne, jakbym chciał, ale dobre, miłe, czyste. I jak to nieraz mówiłem, jesteś na pewno najbardziej eteryczną i najmniej zmysłową kobietą na świecie, choć bynajmniej nieobdarzoną nie ludzką bezpłciowością. Dlaczego tak inaczej teraz czujesz i mówisz? Byliśmy samolubni tylko w momentach, kiedy nikomu to nie przynosiło krzywdy. Mawiałaś zwykle, że natura ludzka jest szlachetna i łagodna, a nie podła i zepsuta, i sądziłem, że w to wierzysz. A teraz zaczęłaś wyznawać o tyle pospolitsze poglądy!

– Chcę mieć pokorne serce i czystą myśl. A do tej pory ich nie miałam.

– Byłaś nieustraszona zarówno w myślach, jak i w uczuciach, i zasługujesz na większe uwielbienie niż to, jakim ja cię darzę. W tamtych czasach zbyt mi krępowały ciasne dogmaty, abym mógł to spostrzec.

– Nie mów tak, Juda! Chciałabym, aby z historii mego życia dało się wykorzenić każde nieustraszone słowo czy myśl. Wyrzeczenie, na tym wszystko polega! Żadne upokorzenie nie jest dla mnie za wielkie. Pragnęłabym skłuć się całą szpilkami i wykrwawić z siebie zło, jakie we mnie tkwi!

– Cicho! – powiedział Juda, przytulając do piersi jej małą twarzyczkę, tak jakby była dzieckiem. – To żal doprowadził cię do takiego stanu! Wyrzuty sumienia to coś nie dla ciebie, moja ty wrażliwa

roślino; one są dla podłych na tej ziemi, którzy zresztą nigdy ich nie odczuwają!

– Nie powinnam być tak blisko ciebie – szepnęła, gdy przez dłuższą już chwilę siedziała przytulona do niego.

– Dlaczego?

– To pobjażanie samej sobie.

– Ciągłe wracasz do tego samego! Czyż istnieje coś lepszego w świecie niż nasza miłość?

– Owszem. To zależy od rodzaju miłości, a twoja... nasza miłość jest niedobra.

– Nie chcę tego słyszeć, Sue! Posłuchaj! Kiedy chcesz, abyśmy podpisali akt ślubu w kancelarii kościelnej?

Sue milczała chwilę i niepewnie na niego spojrzała.

– Nigdy – szepnęła wreszcie.

Nie pojmując całego znaczenia tego słowa, Juda przyjął je spokojnie i nie odezwał się. Po paru chwilach zdawało mu się, że Sue usnęła, ale gdy zwrócił się do niej zniżonym głosem, okazało się, że cały czas czuwała. W końcu siadła prosto i westchnęła.

– Otacza cię dzisiaj jakaś dziwna atmosfera, jakiś zapach, Sue – powiedział. – Mam na myśli nie tylko stronę psychiczną, ale także twoje ubranie. Jakaś woń roślinna, którą chyba znam, ale nie mogę sobie jej przypomnieć.

– To kadzidło.

– Kadzidło?

– Byłam na nabożeństwie u Świętego Silasa i przesiąkałam dymem kadzidła.

– Ach, tak! U Świętego Silasa!

– Tak. Chodzę tam czasami.

– Naprawdę? Chodzisz tam?

– Widzisz, Juda, czuję się bardzo samotna rankiem w dni powszednie, kiedy ty idziesz do pracy, i wtedy myślę i myślę o moich...
– przerwała na chwilę, zanim opanowała dławiące uczucie w gardle. – Przywykłam tam chodzić, to tak blisko.

– Oczywiście, dlaczego nie, nic nie mam przeciwko temu. Ale to dziwne, przy twoich poglądach. Oni tam nawet nie przypuszczają, jaki to

ptaszek siedzi między nimi.

– Co przez to rozumiesz, Judo?

– Sceptyk, mówiąc po prostu.

– Jak możesz sprawiać mi taką przykrość, Juda, przy moim zmartwieniu! Przecież wiem, że zrobiłeś to nieświadomie. A jednak nie powinieneś być tego mówić.

– Już nie będę. Ale jestem ogromnie zdziwiony.

– Właściwie... chciałabym ci powiedzieć coś innego, Juda. Nie rozgniewasz się, dobrze? Dużo o tym rozmyślałam od śmierci dzieci. Uważam, że nie powinnam teraz być twoją żoną czy też żyć z tobą jak żona...

– Jak to! Przecież jesteś moją żoną!

– Z twojego punktu widzenia tak, ale...

– Wzdragamy się naturalnie przed obrządkiem ślubu, jaki na naszym miejscu zawarłoby wiele osób z podobnie uzasadnionymi obawami. Ale doświadczenie wykazało, jak fałszywie osądziliśmy siebie i przecenialiśmy nasze niedostatki. A skoro zaczynasz przestrzegać rytuału i obrządków kościelnych, na to wygląda, dziwię się, że nie chcesz zawrzeć ślubu natychmiast. Z całą pewnością jesteś moją żoną, Sue, pod każdym względem, tylko nie wobec prawa. Co rozumiesz przez to, co powiedziałaś?

– Nie uważam, że bym nią była!

– Nie? A gdybyśmy zawarli ślub? Czy wtedy czułabyś, że jesteś moją żoną?

– Nie. Nie czułabym nawet wtedy. Czułabym się zresztą jeszcze gorzej niż teraz.

– Dlaczego, najdroższa? Czyżby w imię samoudręczenia?

– Dlatego, że jestem żoną Ryszarda.

– Ach! już wspominałaś mi kiedyś o tym bezsensownym urojeniu!

– Wtedy było to jedynie przelotne wrażenie. Ale w miarę jak czas upływa, nabieram coraz mocniejszego przekonania, że należę do niego albo do nikogo.

– Wielkie nieba! Jakieżż zmiany uległy nasze stanowiska!

– Owszem. Być może.

Wkrótce po tej rozmowie znowu siedzieli o zmierzchu letniego

dnia w tym samym parterowym pokoiku w domu cieśli, od którego wynajmowali mieszkanie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi frontowych, a za chwilę do ich drzwi. Nie zdążyli otworzyć, bo uprzedziła ich nowo przybyła osoba i w pokoju ukazała się postać kobieca.

– Czy pan Fawley jest w domu?

Juda mechanicznie przytaknął, ale oboje z Sue drgnęli, poznając głos Arabelli.

Juda uprzejmie poprosił, aby weszła, i Arabella usiadła na ławeczce przy oknie, gdzie na jasnym tle wyraźnie zarysowała się jej sylwetka, nie uwydatniając wszakże żadnej cechy, która pozwoliłaby im bliżej ocenić jej ogólny wygląd i nastrój. Coś jednakże zdawało się wskazywać, że nie musiało jej się zbyt dobrze powodzić; nie była też tak krzyżąco ubrana jak za życia Cartletta.

Wszyscy troje silili się na nieskładną rozmowę o tragedii, o której Juda czuł się w obowiązku natychmiast Arabellę zawiadomić; na swój list wszakże nie dostał odpowiedzi.

– Wracam właśnie z cmentarza – powiedziała Arabella. – Zapytałam o drogę i znalazłam grób dziecka. Nie mogłam przyjechać na pogrzeb, niemniej dziękuję za list. Wszystkiego dowiedziałam się z gazet i czułam, że moja obecność nie jest pożądana... Na pogrzeb rzeczywiście nie mogłam przyjechać – powtórzyła. Nie potrafiła zachować się odpowiednio w obliczu nieszczęścia i gubiła się w powtórzeniach. – Cieszę się, że odnalazłam grób. Będziesz mógł wystawić im ładny pomnik, Juda. To przecież twój fach.

– Owszem, wystawię nagrobek – powiedział posepnie Juda.

– To przecież było moje dziecko i szkoda mi go.

– Przypuszczam. Wszyscy go opłakujemy.

– Nie żal mi tak tamtych, bo nie były moje, to chyba naturalne.

– Oczywiście.

Z ciemnego kąta, gdzie siedziała Sue, wyrwało się westchnienie.

– Nieraz żałowałam, że nie miałam mego chłopca przy sobie – ciągnęła pani Cartlett. – Może wtedy uniknęłoby się tego wszystkiego. Ale przecież nie chciałam go odbierać twojej żonie.

– Ja nie jestem jego żoną – odezwała się Sue.

Juda zaniemówił na te nieoczekiwane słowa.

– Przepraszam bardzo – rzekła Arabella. – Zawsze myślałam, że pani nią jest.

Z tonu Sue Juda poznał, że zza tych słów wyziera ją jej nowe, transcendentalne poglądy; ale naturalnie Arabella nie mogła zrozumieć nic poza ich dosłownym znaczeniem. Zdradziwszy na razie zdziwienie wobec wyznania Sue, odzyskała wkrótce równowagę i z pogodną wylewnością nadal rozprawiała o „swoim” chłopcu. Chociaż za życia wcale o niego nie zadbała, obnosiła się teraz z oficjalnym żalem, co widocznie uspokajało jej sumienie. Robiła także aluzje do przeszłości i znowu przy jakiejś okazji zwróciła się do Sue. Nie było odpowiedzi: Sue niepostrzeżenie wyszła z pokoju.

– Ona powiedziała, że nie jest twoją żoną – ciągnęła Arabella innym już tonem. – Dlaczego tak mówi?

– Nie mogę ci tego wyjaśnić – odparł krótko Juda.

– Ale przecież jest twoją żoną, nie? Tak mi kiedyś sama powiedziała.

– Nie poddaję jej słów krytyce.

– Ach! rozumiem! Ale czas już na mnie. Zostaję na noc w mieście i sądziłam, że wypada mi was odwiedzić po tym zmartwieniu, jakie nas wszystkich dotknęło. Nocuję w tym samym hotelu, w którym kiedyś usługiwałam w barze, a jutro wracam do Alfredston. Ojciec przyjechał z powrotem i mieszkam razem z nim.

– Wrócił z Australii? – zapytał Juda ze zdawkową ciekawością.

– Tak. Jakoś nie mógł sobie tam poradzić. Ciężko mu było. Matka zmarła na dys... czy jak to tam się nazywa w tym gorącym klimacie, a ojciec z dwojgiem dzieciaków niedawno wrócił. Wynajął domek niedaleko od dawnej chaty i na razie prowadzę mu gospodarstwo.

Mimo odejścia Sue była żona Judy zastosowała się do banalnych zasad dobrego wychowania, ograniczając odwiedziny do kilku minut zgodnie z rytuałem przyzwoitości. Gdy odeszła, Juda z wielką ulgą zawołał na Sue z klatki schodowej, niespokojny, co się z nią stało.

Nie odezwała się, a cieśla, właściciel domu, powiedział mu, że jeszcze nie wróciła. Juda był zaskoczony i zaalarmowany jej nieobecnością, bo zrobiło się już późno. Cieśla zawezwwał żonę, która

wyraziła przypuszczenie, że Sue może poszła do kościoła św. Silasa, co nieraz się zdarzało.

- Chyba nie o tej porze? – zapytał Juda. – Kościół jest zamknięty.
- Ona zna kogoś, kto pilnuje kluczy i może je dostać, kiedy zechce.
- Od jak dawna nabrała tego zwyczaju?
- Chyba od paru tygodni.

Juda niepewnie ruszył w kierunku kościoła; nigdy tu nawet nie wstąpił, od czasów kiedy mieszkał dawniej w tej dzielnicy i jako młodzieniec był bardziej mistycznie nastrojony niż obecnie. Koło kościoła było pusto, ale drzwi rzeczywiście odryglowano. Bezszelestnie nacisnął klamkę, wszedł i stanął w zupełnym bezruchu. Panującą ciszę mącił jakiś słaby odgłos, jakby oddech czy szloch, dochodzący z przeciwnego krańca budynku. Dywan tłumiał kroki Judy, gdy przesuwiał się w tamtą stronę prawie po ciemku; mrok przełamывała jedynie słaba poświata wnikająca z zewnątrz.

Wysoko, ponad stopniami do prezbiterium, widniał ogromny łaćski krzyż z solidnego materiału, pewnie tej samej wielkości co oryginał, który miał upamiętniać. Zdawał się zwisać w powietrzu na niewidzialnych drutach. Gdy krzyż chwiał się niedosłyszalnym i ledwie dostrzegalnym ruchem, drogie kamienie, jakimi był wysadzany, rzucały delikatny blask w słabym promyku światła zabłąkanym ze dworu. Poniżej, na posadzce, leżało coś, co przypominało stos czarnej odzieży, i z tamtej właśnie strony powtarzał się szloch, który Juda poprzednio usłyszał. To Sue leżała krzyżem na kamiennych płytach.

– Sue! – szepnął.

Ukazała się biała plama – Sue zwróciła ku niemu twarz.

– Czego chcesz ode mnie, Juda? – odezwała się niemal ostro. – Nie powinienesz być tu przychodzić! Chciałam być sama! Dlaczego mnie tu nachodzisz?

– Jak możesz o to pytać? – odparł z gwałtownym wyrzutem w głosie, bo serce do głębi przeniknął mu ból wywołany takim jej stosunkiem. – Dlaczego tu przyszedłem? Któż, jeśli nie ja, ma do tego prawo, chciałbym wiedzieć? Ja, który cię kocham mocniej niż siebie samego... mocniej, i o wiele mocniej, niż ty mnie kochałaś! Czemu mnie zostawiłaś samego, a przyszałaś tutaj?

– Juda, nie potępiaj mnie... nie zniosę tego! Tyle razy już ci to mówiłam. Musisz mnie brać taką, jaka jestem. A jestem nieszczęśnicą złamaną przez rozterkę. Nie mogłam znieść obecności Arabelli. Poczułam tak ostateczną rozpacz, że musiałam odejść. Wydało mi się, że ona jest nadal twoją żoną, a Ryszard moim mężem!

– Ale przecież oni są niczym dla nas!

– Nie, mój drogi, tak nie jest. Inne mam teraz poglądy na małżeństwo. Zabrano mi dzieci, aby mi to udowodnić! Śmierć zadana moim dzieciom przez dziecko Arabelli była sądem: sprawiedliwy zabił nieprawego. Co ja mam robić, co ja mam robić?! Taka ze mnie podła istota, zbyt marna, aby stykać się z normalnymi ludźmi!

– To straszne! – powiedział Juda na granicy łez. – Te wyrzuty sumienia są potworne i niezgodne z twoją naturą, przecież nie zrobiłaś nic złego!

– Ach! ty nie znasz rozmiarów mojej nieprawości!

– Znam! – odparł zapalczywie. – Znam każdą jej cząstkę i drobinę. Przez ciebie zacznym nienawidzić chrześcijaństwa, mistycyzmu, klerykalizmu czy jak to nazwać, jeśli to spowodowało u ciebie taką zmianę. Żeby kobieta-poetka, kobieta rozumiejąca świat, kobieta, której dusza lśniła jak diament, z której mogli być dumni wszyscy mędracy na ziemi, gdyby ją znali, żeby taka kobieta tak nisko upadła! Całe szczęście, że nie mam nic do czynienia z bóstwem, diabelne szczęście, jeśli ma cię ono w taki sposób zmarnować.

– Mówisz to w złości, Juda, jesteś niedobry dla mnie i nie chcesz mnie zrozumieć!

– Więc chodź ze mną do domu, najdroższa, to może zrozumiem. Za wielki ciężar mnie przygniata, a ty również nie panujesz w tej chwili nad sobą.

Otoczył ją ramieniem i uniósł, ale chociaż wstała, nie chciała się na nim oprzeć.

– Nie czuję do ciebie niechęci, Judo – rzekła słodkim i błagalnym tonem. – Kocham cię tak samo jak zawsze! Tylko... nie powinnam cię już dłużej kochać! Ach! Nie powinnam!

– Nie mogę przyznać ci racji.

– Zdecydowałam już, że nie jestem twoją żoną! Należę do niego,

na całe życie złączył mnie z nim sakrament. Nic tego nie zdoła zmienić!

– Ale przecież jesteśmy mężem i żoną, złączeni tak, jak nigdy dwoje ludzi nie było złączonych na świecie! Nasze małżeństwo jest niewątpliwie związkiem błogosławionym przez samą naturę.

– Ale nie przez niebiosy. W niebiosach zapisano inny mój ślub, potwierdzony na wieki w melchesterskim kościele.

– Sue, Sue, żal doprowadził cię do tego bezrozumnego stanu! Jak mogłaś, nawróciwszy mnie na swoje poglądy w tyłu dziedzinach, odwrócić się tak raptownie, bez racjonalnego powodu, przekreślając wszystko, co poprzednio głosiłaś, wyłącznie z pobudek uczuciowych! Zabijasz te resztki uczucia i szacunku, jakie we mnie pozostały dla Kościoła jako dla dawnego znajomego... Zupełnie nie mogę w tobie zrozumieć tej niesłychanej ślepoty i zapomnienia o swej dawnej logice. Czy to twoja osobista cecha, czy też właściwość powszechna u kobiet? Czy kobieta w ogóle jest myślącą jednostką, czy też ułamkiem wiecznie szukającym swej całości? Jakże to gardłowałaś, że małżeństwo jest jedynie ordynarnym kontraktem, czym jest rzeczywiście, jak wykazywałaś wszystkie zastrzeżenia co do takiej umowy, wszystkie nonsensy z nią związane! Jeśli dwa a dwa stanowiło cztery wtedy, gdy byliśmy ze sobą szczęśliwi, chyba w dalszym ciągu stanowi cztery, co? Powtarzam: nie jestem w stanie tego zrozumieć!

– Ach! mój drogi Judo! To dlatego, że jesteś jak kompletnie głuchy człowiek, który obserwuje ludzi słuchających muzyki. „Na co oni patrzą? – pytasz. – Tam przecie nic nie ma”. Ale w istocie coś tam jest.

– To porównanie brzmi okrutnie w twoich ustach i nie jest słuszne! Odrzuciłaś stare plewy przesądów i nauczyłaś mnie robić to samo. A teraz sama sobie przeczysz. Muszę przyznać, że zupełnie się gubię w ocenie twojej osoby.

– Drogi przyjacielu, mój jedyny przyjacielu, nie bądź dla mnie tak okrutny! To nie moja wina, że jestem taka, jaka jestem, a poza tym wierzę, że mam słuszość, że nareszcie ujrzałam światło. Ach! ale jak z niego zrobić użytek?

Przeszli jeszcze parę kroków i znaleźli się poza kościołem. Sue poszła oddać klucze.

– Czy ty możesz być tą samą dziewczyną, która w swoim czasie

przyniosła do tego najbardziej chrześcijańskiego miasta statuetki bóstw pogańskich? – ciągnął po jej powrocie, czując pewien napływ energii, gdy znalazł się na ulicy. – Dziewczyną, która naśladowała pannę Fontover, tłukącą obcasem te figurki, która cytowała Gibbona i Shelleya, i Milla? Gdzież jest teraz miły Apollo? Gdzie jest Wenus?

– Ach, nie bądź dla mnie tak niedobry, Juda, taka jestem nieszczęśliwa – mówiła Sue wśród łkania. – Nie zniosę tego! Byłam wtedy w błędzie, nie umiem rezonować. Myliłam się, pełna dumy i zarozumiałości. Przybycie Arabelli było ostatnią kroplą. Nie wyśmiewaj się ze mnie, to boli jak cięcia nożem!

Juda wziął ją w ramiona i zanim zdołała go powstrzymać, zaczął ją namiętnie całować na środku pustej ulicy. Potem szli dalej, aż do małej kawiarenki.

– Juda – powiedziała Sue, tłumiąc łzy. – Czy nie mógłbyś wynająć mi tutaj mieszkania?

– Owszem, jeśli... jeśli naprawdę sobie tego życzysz. Ale czy rzeczywiście tego chcesz? Chodźmy do domu, postaram się jeszcze zrozumieć twój punkt widzenia.

Wprowadził ją do mieszkania. Sue nie chciała kolacji; po ciemku weszła na górę i tam dopiero zapaliła światło. Spozrzegła wtedy, że Juda za nią przyszedł i stoi w progu. Zbliżyła się do niego, wzięła go za rękę i powiedziała:

– Dobranoc.

– Ależ Sue! Przecież mieszkamy tu razem!

– Powiedziałaś przecież, że będzie tak, jak ja sobie życzę.

– Tak. No więc doskonale... Może nie miałem racji, spierając się z tobą tak ostro. Może powinniśmy się rozstać, skoro nie mogliśmy się od razu pobrać jak należy, po staroświecku. Może świat nie jest jeszcze dość oświecony na takie eksperymenty – jak nasz! Kim byliśmy, aby się nam marzyło takie pionierskie postępowanie?

– W każdym razie cieszę się, że zdajesz sobie sprawę chociaż z tego. Nigdy świadomie nie planowałam swoich postępów. Wpadłam w tę fałszywą pozycję wskutek zazdrości i podniecenia!

– Ale przecież i wskutek miłości... przecież mnie kochałaś?

– Tak. Ale chciałam zatrzymać miłość na tej granicy i zachować

między nami na zawsze stosunek dwojga zakochanych, aż...

– Zakochani nie mogą zawsze tak żyć!

– Kobiety mogą, mężczyźni nie mogą, bo... nie są w stanie. W tej dziedzinie wyższość przeciętnej kobiety nad przeciętnym mężczyzną polega na tym, że kobieta nigdy nie prowokuje, tylko odpowiada na bodziec. My powinniśmy byli żyć w duchowej wspólnocie i nic poza tym.

– Tak jak już raz stwierdziłem, to ja byłem niefortunną przyczyną zmiany!... Niechaj będzie, jak chcesz!... Ale natura ludzka nie może się zaprzeczyć samej siebie.

– Owszem, może; właśnie samoopanowania musi się natura nauczyć.

– Powtarzam jeszcze raz, jeśli ktoś tu był winny, to nie ty, lecz ja.

– Nie, to ja byłem winna. Zło z twojej strony polegało jedynie na naturalnym u mężczyzn pragnieniu posiadania kobiety. Tego pragnienia ja nie odwzajemniałam, dopóki zawiść nie pobudziła mnie do zdystansowania Arabelli. Sądziłam, że powinnam pozwolić ci na zbliżenie z litości, że niezmiernym samolubstwem było z mojej strony torturowanie ciebie tak, jak torturowałam tamtego swego przyjaciela. Ale nie uległabym, gdybyś nie złamał mego oporu, budząc we mnie lęk, że do niej wrócisz... Ale nie mówmy już o tym więcej! Juda, czy zostawisz mnie teraz samą?

– Dobrze... ale Sue, moja żono, bo jesteś moją żoną! – wybuchnął.

– Ten dawny zarzut, jaki ci stawiałem, jest jednakże prawdziwy. Nigdy mnie nie kochałaś tak, jak ja ciebie kocham... nigdy... nigdy! Twoje serce nie zna namiętności... twoje serce nie żarzy się jak płomień! Ostatecznie jesteś jakąś rusalką czy elfem, a nie kobietą!

– Z początku nie kochałam cię, Juda, muszę to przyznać. Gdy cię poznałam, chciałam jedynie, abyś ty mnie pokochał. To nie była właściwie chęć flirtu z mojej strony, ale wrodzone pragnienie, które może zachwiać moralnością kobiety nieledwie silniej niż niepohamowana namiętność; tkwiło we mnie pragnienie, aby przyciągać i podbijać, bez względu na krzywdę, jaką to może wyrządzić mężczyźnie. Ale kiedy odkryłam, że wpadłeś w moje sidła, ogarnął mnie lęk. I wtedy, nie mam pojęcia, jak się to stało, nie mogłam już znieść

myśli, że możesz ode mnie odejść, kto wie, czy nie z powrotem do Arabelli... więc zaczęłam cię kochać, Juda. Widzisz jednak, że jakkolwiek skończyło się miłością, zaczęło się samolubnym i okrutnym życzeniem, aby serce zabiło cię przeze mnie, a moje nawet nie drgnęło dla ciebie.

– A teraz powiększasz okrucieństwo, porzucając mnie!

– Ach, tak! Im dalej brnę, tym więcej czynię krzywdy!

– O Sue! – zawołał Juda, nagle orientując się, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. – Nie róbże niemoralnej rzeczy dla moralnej racji! Stałaś się dla mnie zbawieniem ze społecznego punktu widzenia. Zostań przy mnie z ludzkich względów! Wiesz, jaki jestem słaby. Znasz moich głównych wrogów: słabość do kobiet i skłonność do alkoholu. Nie zostawiaj mnie na ich pastwę, Sue, choćby tylko dla zbawienia własnej duszy! Odkąd stałaś się moim aniołem stróżem, wróg trzymał się ode mnie z daleka! Odkąd mam cię przy sobie, mogłem stykać się bez ryzyka z tymi pokusami. Czyż nie warto poświęcić trochę dogmatycznych zasad na rzecz mojego bezpieczeństwa? Lęk mnie ogarnia, że jeśli mnie opuścisz, będzie ze mną powtórnie jak z tym wieprzem, który, umyty, utarzał się znowu w błocie!

Sue wybuchnęła płaczem.

– O nie, Juda, nie zrobisz tego! nie zrobisz! Modlę się za ciebie dniem i nocą.

– Nie mówmy więcej o tym, nie martw się – powiedział szlachetnie Juda. – Bóg jeden wie, jak wtedy cierpiałem z twojego powodu, a teraz cierpię znowu. Ale może nie tyle co ty. Na dłuższą metę kobieta przeważnie cierpi najwięcej.

– To prawda.

– Chyba że jest zupełnie bezwartościowa i zasługuje na pogardę. Ale ty nie należysz do takich kobiet.

Sue nerwowo odetchnęła parę razy.

– Obawiam się, że się mylisz... A więc, Juda, dobranoc... proszę cię!

– Nie mogę z tobą zostać? Ten jeden raz tylko? Przecież skoro już tyle razy... Sue, moja żono, dlaczego nie?

– Nie, nie, nie jestem twoją żoną!... Jestem zdana na twoją łaskę,

Juda, nie kuś mnie do powrotu teraz, gdy już zaszłam tak daleko!

– Dobrze więc. Spełniam twoją prośbę. Należy ci się to, najdroższa, jako zadośćuczynienie za przeprowadzenie mojej woli tamtym razem. Boże mój, jakim byłem egoistą! Kto wie... kto wie, czy nie zniszczyłem najbardziej wzniosłej i czystej miłości, jaka kiedykolwiek istniała między mężczyzną a kobietą!... Niechaj więc z tą godziną zasłona w naszej świątyni rozedrze się na dwoje!

Podszedł do łóżka, zabrał stamtąd jedną z dwóch poduszek i rzucił ją na podłogę.

Sue spojrzała na niego i pochyłona nad poręczą łóżka, zaczęła cicho płakać.

– Nie możesz zrozumieć, że to dla mnie jest zagadnienie sumienia, a nie niechęć do ciebie! – wyszeptała łamiącym się głosem. – Niechęć do ciebie! Ale nie mogę nic więcej powiedzieć, to mi rani serce i zniweczy wszystko, co rozpoczęłam! Juda... dobranoc!

– Dobranoc – odparł, zabierając się do odejścia.

– Ale musisz mnie pocałować! – zawołała, zrywając się. – Nie zniosę...

Objął ją i całował zapłakaną jej twarz tak jak chyba nigdy przedtem i milczeli, aż Sue powiedziała:

– Żegnaj, żegnaj! – i lekko odpychając go, wyswobodziła się z jego uścisku i dodała, aby złagodzić smutek rozstania: – Ale pozostaniemy przyjaciółmi, Juda? Mimo wszystko? Będziemy się czasami widywać, prawda? Tak! będziemy i zapomnimy o tym wszystkim, postaramy się, aby powróciły stosunki, jakie łączyły nas przed laty, dobrze?

Juda powstrzymał się od odpowiedzi, zawrócił i zszedł na dół.

IV

Mężczyzna, którego Sue przy obecnej duchowej przemianie uznała za swego wieczystego małżonka, mieszkał nadal w Marygreen.

W przeddzień tragicznej śmierci dzieci Phillotson zobaczył

w Christminster Sue i Judę obserwujących na deszczu procesję w drodze do teatru. Ale na razie nie wspomniał o tym swemu koledze Gillinghamowi, który jako dawny przyjaciel przyjechał do tejże wioski w odwiedziny, proponując jednodniową wycieczkę do miasta.

– O czym tak rozmyślasz? – zapytał Gillingham w drodze powrotnej. – Czy o dyplomie uniwersyteckim, którego nigdy nie zdobyłeś?

– Nie, nie – odrzekł szorstko Phillotson. – Myślę o kimś, kogo dzisiaj widziałem. – I dodał po chwili: – O Zuzannie.

– Ja również ją widziałem.

– Nic mi o tym nie powiedziałaś.

– Nie chciałem zwracać na nią twojej uwagi. Ale skoro i ty ją zauważyłeś, trzeba było przywitać się ze swoją dawną żoną i powiedzieć: – Jakże się czuje moja dawna miłość?

– Owszem, mogłem to zrobić. Ale co na to powiesz: mam wszelkie racje, aby przypuszczać, że była niewinna, gdy się z nią rozwiódłem, czego zresztą nie powinienem był robić. Tak jest! Dziwna sytuacja, prawda?

– Najwidoczniej postarała się jednak, aby te powody zaistniały.

– Hm. To tani sarkazm z twojej strony. Niewątpliwie powinienem był wtedy poczekać.

Pod koniec tygodnia, kiedy Gillingham wrócił do swojej szkoły w pobliżu Shaston, Phillotson udał się jak zwykle na targ do Alfredston. Znowu przeżuwał informacje otrzymane od Arabelli, schodząc z długiego zbocza, które było mu dobrze znajome, jeszcze zanim Juda je poznał, chociaż nie wiązały się z nim równie intensywne przeżycia Phillotsona. W miasteczku kupił jak zwykle miejscowe tygodniowe pismo i zasiadłszy w zajeździe, aby posilić się przed pięciomilową podróżą powrotną, wyciągnął gazetę z kieszeni i zabrał się do czytania. Natrafił po chwili na sprawozdanie pod tytułem: „Przedziwne samobójstwo dzieci kamieniarza”.

Choć był flegmatyczny z natury, głęboko przejął się tą wzmianką, a równie niemało zdziwił, gdyż podany wiek najstarszego dziecka wydał mu się niezrozumiały. Jednakże nie ulegało wątpliwości, że notatka w gazecie musiała być zgodna z prawdą.

– Wypełnia się teraz czara ich nieszczęścia! – powiedział do siebie i nie mógł oderwać myśli od Sue, zadając sobie pytanie, co zyskała, odchodząc od niego.

Skoro Arabella osiedliła się w Alfredston, a nauczyciel przychodził tam co sobota na targ, nic w tym nie było dziwnego, że po paru tygodniach spotkali się znowu. Stało się to zaraz po jej powrocie z Christminster, gdzie została o wiele dłużej, niż projektowała, z zainteresowaniem śledząc Judę, chociaż Juda wcale tego nie zauważył. Phillotson właśnie kierował się ku domowi, kiedy spotkał Arabelle wracającą skądś do miasta.

– Widzę, że pani lubi chodzić tędy na przechadzkę – powiedział.

– Od niedawna zaczęłam znowu spacerować w tę stronę – odparła.

– Mieszkałam tutaj za czasów panieńskich, a potem po ślubie, i z tą drogą kojarzą się dawne, drogie mi wspomnienia. A ostatnio odżyły we mnie na nowo, bo byłam w Christminster. Tak, widziałam się z Judą.

– Ach! Jakże oni znoszą to straszliwe nieszczęście?

– W bardzo dziwny sposób, nadzwyczaj dziwny! Ona już z nim nie żyje. Upewniłam się co do tego przed samym odjazdem, chociaż już podczas pobytu u nich wywnioskowałam z ich zachowania, że na to się zanoszą.

– Nie żyje z mężem? Jakże, sądziłbym, że nieszczęście jeszcze bardziej ich zbliży.

– Ostatecznie on nie jest jej mężem. Nigdy nie wzięli ślubu jak należy, choć przez tyle czasu uchodzili za małżeństwo. A teraz ten smutny wypadek, zamiast ich przynaglić i skłonić do pobrania się legalnie, sprawił, że ona zwróciła się w osobliwą stronę, bo do religii, tak jak ja w żalu po śmierci Cartletta, tylko jej pobożność jest bardziej historyczna niż moja. Ona powiada, jak mi powtarzano, że jest pańską, i wyłącznie pańską żoną w obliczu Boga i Kościoła, tego nie może zmienić żaden akt sporządzony przez człowieka.

– Doprawdy? Rozstali się?

– Widzi pan, ten najstarszy chłopiec to był mój syn...

– Pani syn!

– Tak, biedny chłopaczek! Dzięki Bogu, urodził się w legalnym stadle. I może ona czuje, poza wszystkim innym, że to ja powinnam być

na jej miejscu. Może to i prawda. Jeśli chodzi o mnie, to wkrótce stąd wyjeżdżam. Mam teraz ojca na głowie i przecież nie możemy mieszkać w takim zapadłym kącie. Mam nadzieję, że niedługo znowu znajdę się w barze w Christminster albo w jakim innym dużym mieście.

Pożegnali się. Phillotson uszedł już kawałek po stoku wzgórza, kiedy zatrzymał się, zawrócił z pośpiechem i zawołał za Arabellą:

– Jaki jest ich adres, obecny czy dawniejszy?

Arabella podała mu go.

– Dziękuję pani. Do widzenia!

Arabella uśmiechnęła się złowieszczo, ruszając w dalszą drogę, i przez cały czas, od początku rzędu przystrzyżonych wierzb aż do starego przytułku przy pierwszej ulicy miasta, wprawiała się w wywoływanie dołeczków na policzkach.

Tymczasem Phillotson wspinał się pod górę w kierunku Marygreen i po raz pierwszy od dłuższego czasu wybiegał myślą naprzód.

Przechodząc pod starymi drzewami do skromnego budynku szkolnego, stanął na chwilę, wyobrażając sobie, że Sue wychodzi mu na spotkanie.

Żaden mężczyzna, chrześcijanin czy poganin, nie ucierpiał więcej od skutków swego miłosierdzia niż Phillotson, pozwoliwszy Sue odejść.

Najpierw pędzony od Annasza do Kajfasza przez cnotliwych obywateli nieomal ponad miarę wytrzymałości i doprowadzony prawie do śmierci

głodowej, teraz żył wyłącznie z niezmiernie niskich poborów

w miejscowej szkole; proboszcz, który za nim przemówił, dostał się na

ludzkie języki. Phillotson nieraz wracał myślą do uwagi Arabelli, że

powinien był okazać Sue więcej surowości, a jej krnąbrny duch wkrótce byłby się ugiął. A jednak tak uparcie i z takim brakiem logiki lekceważył

sobie opinię i zasady, w jakich go wychowano, że nigdy nie zachwiał się w przekonaniu o słuszności swego postępowania z żoną.

Jeśli uczucie może podważyć zasady i nadać im jakiś określony kierunek, to łatwo może je ono w równie katastrofalny sposób skierować

na inne tory. Ten sam instynkt, który skłonił Phillotsona do zwrócenia

Sue wolności, sprawił teraz, że w jej pożyciu z Judą nie widział nic

złego. W swoisty sposób nadal jej pragnął, jeśli już nawet nie kochał,

i poza pewnym wyrachowaniem zdał sobie wkrótce sprawę, że chętnie

miałby ją znowu przy sobie, wszakże niezmiennie pod jednym

warunkiem: że wróci dobrowolnie.

Ale przekonał się, że aby usunąć zimny, nieludzki prąd pogardy świata, potrzebny jest fortel. A tu wszystkie materiały były już pod ręką. Przez powrót Sue i nowy z nią ślub z podaniem przyzwoitego powodu, że w swoim czasie błędnie ją osądził i rozwiódł się z nią bez podstaw, uzyska trochę dawnych wygód, będzie mógł podjąć dawny tryb życia, a może nawet wróci do szkoły w Shaston, jeśli już nie miał zostać licencjonowanym kaznodzieją.

Phillotson postanowił napisać do Gillinghama, zapytując o jego zdanie w tej sprawie, a także, co by powiedział, gdyby on, Phillotson, napisał do Sue. Gillingham naturalnie odparł, że teraz, skoro ona już raz odeszła, lepiej, żeby zostało tak, jak jest. Uważał, że jeśli Sue do kogoś należy, to do mężczyzny, któremu urodziła troje dzieci i który był przyczyną jej tragicznych przeżyć. Skoro Juda był najwidoczniej niezwykle silnie do niej przywiązany, ta przedziwna para prawdopodobnie zalegalizuje swój związek z biegiem czasu i wszystko zakończy się dobrze, przyzwoicie i tak jak trzeba.

Ależ oni tego nie zrobią, Sue tego nie zrobi! – zawołał Phillotson w myśli. – Gillingham jest taki rzeczowy! Przecież Sue jest pod wpływem ducha i nauki Christminster. Doskonale zdają sobie sprawę z jej poglądów na nierozzerwalność małżeństwa i wiem, skąd je zaczerpnęła. Nie dzielę ich, ale ucieknę się do nich, żeby popchnąć moje własne sprawy.

Zwięźle odpisał Gillinghamowi:

„Może nie mam racji, ale mimo to nie zgadzam się z tobą. Co do punktu, że Sue z nim żyła i miała z nim troje dzieci, mam wrażenie (choć nie umiałbym go obronić z punktu widzenia logiki czy moralności dawnego typu), że to zaledwie dopełniło jej edukacji i nic ponadto. Napiszę do niej i dowiem się, czy relacja tamtej kobiety była prawdziwa”.

Skoro postanowił tak postąpić, zanim jeszcze napisał do przyjaciela, nie miało w ogóle sensu mu o tym wspominać. To było jednak w stylu Phillotsona.

Wysłał do Sue gruntownie przemyślany list, a znając jej emocjonalne nastawienie, wtrącił tu i ówdzie między wiersze dowody

swych niezłomnie surowych zasad, starannie za to ukrywając poglądy niezgodne z nauką Kościoła, aby jej nie spłoszyć. Stwierdzał w tym liście, że wiadomość o wielkiej zmianie jej zapatrywań przynagliła go do wyznania poważnych zmian w jego własnych poglądach, które zawdzięcza wydarzeniom po ich rozstaniu. Nie będzie ukrywał, że chęć nawiązania z nią stosunków nie ma nic wspólnego z namiętną miłością, wypływa natomiast jedynie z życzenia, aby życie ich obojga uwieńczyć jeśli już nie powodzeniem, to przynajmniej nie tak straszliwą ruiną, jaka groziła wskutek jego postępowania, które w swoim czasie uważał za jedynie słuszne w imię sprawiedliwości, miłosierdzia i rozsądku.

W starej cywilizacji, jak nasza, nie wolno, jak się przekonał, folgować bezkarnie instynktownemu i nieokiełzanemu wyczuciu tego, co jest sprawiedliwe i słuszne. Jeśli się chce mieć zapewnione niezbędne wygody i szacunek, trzeba postępować zgodnie z nabytym i wypielegnowanym wyczuciem tejże sprawiedliwości i słuszności. Prymitywną zaś dobrocią płynącą z miłości nie ma się co przejmować.

Następnie Phillotson zaproponował, aby Sue przyjechała do niego do Marygreen.

Po namyśle usunął przedostatni ustęp i przepisawszy list, wysłał go natychmiast, z pewnym podnieceniem oczekując na rezultat.

Parę dni później, wśród mlecznej mgły, która spowijała przedmieście Beersheba w Christminster, ktoś się posuwał ku tej części miasta, gdzie Juda Fawley wynajął mieszkanie po rozstaniu z Sue. U jego drzwi rozległo się nieśmiałe pukanie.

Był wieczór, więc Juda siedział w domu i, wiedziony przeczuciem, zerwał się i rzucił do drzwi.

– Czy mógłbyś ze mną wyjść na miasto? Wolałabym nie wchodzić do ciebie. Chcę z tobą pomówić i pójść razem na cmentarz.

Słowa te powiedziała drżącym głosem Sue. Juda włożył kapelusz.
– Na dworze jest nieprzyjemnie – powiedział – ale jeśli wolisz nie wchodzić, to mnie wszystko jedno.

– Tak, wolę nie wchodzić. Nie zabiorę ci dużo czasu.

W pierwszej chwili Juda bardzo się przejął perspektywą rozmowy. Sue również była teraz jednym kłębkim nerwów i zdawało się, że opuściły ją wszelkie zdolności do zagajenia rozmowy. Przez dłuższą

chwilę szli więc w milczeniu, bez gestu czy słowa, poprzez mgłę przypominającą achemońskie cienie.

– Chciałabym ci coś powiedzieć – zaczęła wreszcie Sue nierównym głosem, raz szybko, raz wolno. – Bo lepiej, żeby to nie doszło do ciebie przypadkiem. Wracam do Ryszarda. On okazał... wiele wspaniałomyślności... postanawiając mi przebaczyć.

– Wracasz do niego? Jak możesz wracać...

– On poślubi mnie powtórnie. Ze względów formalnych i aby zadośćuczynić wymaganiom świata, który nie zna prawdziwego stanu rzeczy. Bo przecież ja i teraz jestem oczywiście jego żoną. Nic tego faktu nie zmieniło.

Juda obrócił się do niej z nieledwie dziką udręką na twarzy.

– Przecież ty jesteś moją żoną! Jesteś nią i doskonale o tym wiesz! Zawsze żałowałam tej komedii z wyjazdem, a potem powrotem, niby to po legalnym ślubie, co zrobiliśmy, aby ocalić pozory. Przecież kochałem cię i ty mnie kochałaś i żyliśmy ze sobą, a to stanowi o małżeństwie. Kochamy się nadal – i ja, i ty – wiem to, Sue! A więc nasze małżeństwo nie jest przekreślone.

– Tak, znam twój stosunek do tej sprawy – odparła Sue z rozpaczliwą próbą przewyciężenia się. – Ale ja już postanowiłam wziąć z Ryszardem powtórny ślub, jak byś to nazwał. Właściwie ty także, Juda, przepraszam, że poruszam tę kwestię, powinieneś zejść się z... z Arabellą.

– Powinienem? Wielki Boże, co jeszcze okaże się, że powinienem? A co by to było, gdybyśmy, ty i ja, byli legalnie poślubieni, co właściwie mieliśmy zamiar zrobić?

– Moje zapatrywania nie uległyby zmianie: nasze małżeństwo nie byłoby małżeństwem. I gdyby Ryszard zażądał, wróciłabym do niego bez powtórzenia sakramentu. Ale, jak sądzę, „świat i jego obyczaje mają pewną wartość”, a więc robię ustępstwo na rzecz powtórzenia obrządku... Nie zabijaj mnie ironią i argumentacją, błagam cię! Byłam kiedyś silniejsza i, być może, traktowałam cię okrutnie. Ale odpłać mi dobrem za złe, Juda. Teraz ja jestem słabsza. Nie bierz na mnie odwetu, bądź dla mnie dobry. O, okaż dobroć nieszczęsnej, grzesznej kobiecie, która dąży do poprawy!

Juda, ze zwilgotniałymi oczami, potrząsał beznadziejnie głową. Cios zadany przez żalobę zniweczył, zda się, całą jej zdolność rozumowania. Dawny, bystry umysł zasnuła mgła.

– To wszystko fałszywe rozumowanie, zupełnie fałszywe! – rzekł ochryłym głosem. – Błędne... wynaturzone! Tracę głowę. Czyż tobie na nim zależy? Czyż ty go kochasz? Przecież, zdajesz sobie sprawę, że nie! Ten powrót stanie się prostytutką, niech mi Bóg przebaczy to słowo, popełnioną z fanatyzmu. Tak, tym właśnie będzie!

– Nie kocham go, muszę to przyznać z najgłębszymi wyrzutami sumienia. Ale spróbuję go pokochać, nauczę się go kochać, poddając się jego woli.

Juda tłumaczył, nalegał, błagał; ale nic nie zdołało zachwiać jej przekonania. Zdawało się, że Sue przy tej jednej rzeczy obstaje i że jej niezłomność w tej jedynej sprawie rzuciła ją na pastwę wahania w każdym innym jej impulsie i życzeniu.

– Na tyle liczyłam się z tobą, żeby cię o wszystkim powiadomić osobiście – powiedziała urywanym głosem. – Nie chciałam, abyś się poczuł pominięty, słysząc o tym od obcych. Przyznałam ci się nawet, że nie kocham Ryszarda. Nie sądziłam, że tak się do mnie źle odniesiesz w odpowiedzi na moją szczerość. Chciałam cię jeszcze prosić...

– Żeby cię poprowadził do ślubu?

– Nie. Żebyś mi odesłał rzeczy, jeśli zechcesz. Ale pewnie nie zechcesz.

– Odeślę ci je, oczywiście. Ale jakże? Czyż on nie przyjedzie po ciebie, aby tu urządzić ślub? Nie raczy tego zrobić?

– Nie, nie pozwolę mu na to. Pójdę do niego dobrowolnie, sama, tak jak od niego odeszłam. Nasz ślub odbędzie się w kościółku w Marygreen.

Sue była tak wzruszająca w swoim uporze, że Juda raz po raz czuł napływające łzy litości.

– Nigdy nie spotkałem kobiety tak nadającej się do samorzutnej pokuty jak ty, Sue! Ledwie człowiek zacznie się spodziewać, że posuniesz się prostą drogą, jako drogą rozsądku, kiedy ty dwa razy skręcisz bez potrzeby!

– Ach! nie mówmy już o tym!... Juda, muszę się z tobą pożegnać.

Ale jeszcze chciałabym, żebyśmy poszli razem na cmentarz. Tam się pożegnamy, przy grobie tych, którzy zmarli po to, abym ja poznała błędy swego życia.

Udali się na cmentarz i na żądanie otworzono im bramę.

Sue często tam bywała i mogła trafić do grobu nawet po ciemku.

Doszli doń i stanęli w milczeniu.

– Tutaj... tutaj chciałabym pożegnać się z tobą!

– Niechaj tak będzie!

– Nie uważaj mnie za twardą dlatego, że postąpiłam zgodnie ze swoim przekonaniem. Twoje szlachetne oddanie dla mnie, Juda, jest bezprzykładne! A twoją życiową porażkę, jeśli to można nazwać porażką, trzeba zapisać raczej na twoją chwałę niż na hańbę. Pamiętaj, że najlepsi i najwięksi wśród ludzkości to ci, którzy nie zdobyli światowego powodzenia. Każdy, komu się powiodło, jest mniej lub więcej samolubem. Tych, co są innym oddani, spotyka przegrana. „Miłość nie szuka swego”.

– Ten rozdział nas jednoczy, moja jedyna, ukochana na wieki, i nim pożegnajmy się jako przyjaciele. Jego wersety przetrwają niewzruszone, kiedy przepadnie wszystko pozostałe, co zowiesz religią!

– Nie mówmy już o tym. Żegnaj, Judo, mój współtowarzyszu w grzechu, mój najlepszy przyjacielu!

– Żegnaj, moja błędząca żono. Żegnaj!

V

Następnego dnia po południu charakterystyczna dla Christminster mgła nadal spowijała miasto. Smukła sylwetka Sue ledwie była widoczna na drodze ku stacji. Juda nie miał siły pójść tego dnia do pracy. Bał się także ruszyć w stronę, gdzie mógłby natknąć się na Sue. Udał się zatem w przeciwnym kierunku, do ponurej, nisko położonej, nieznaney sobie dzielnicy; drzewa ociekały wilgocią, słychać było kaszel i z zewsząd niejako wyzierały suchoty.

– Sue odeszła ode mnie, odeszła! – powtarzał sobie szeptem z rozpaczą.

W tym czasie Sue opuściła już Christminster i dotarła do stacji Alfredston Road, skąd parowym tramwajem pojechała do miasta. Wyraziła życzenie, aby Phillotson tam jej nie spotykał. Chciała przybyć do niego z własnej i nieprzymuszonej woli, jak mówiła, wprost do jego domu i ogniska domowego.

Był piątek wieczór; wybrała ten właśnie dzień, bo od godziny czwartej aż do poniedziałku rano nauczyciel nie miał zajęć w szkole. Z małego wózka, wynajętego w zajeździe „Pod Niedźwiedziem” na podróż do Marygreen, wysiadła na własne żądanie przy wylocie drogi, o pół mili od wioski, a woźnica pojechał przodem do szkoły z jej bagażami. Spotkała go, gdy już zawracał, i zapytała, czy dom nauczyciela zastał otwarty. Odpowiedź była twierdząca: nauczyciel sam wniósł rzeczy do domu.

Sue mogła teraz wejść do Marygreen, nie zwracając na siebie specjalnej uwagi. Przeszła obok studni i pod drzewami do nowej, ładnej szkoły po drugiej stronie. Nie pukając, uniosła skobel. Phillotson stał na środku pokoju, czekając na nią, tak jak prosiła.

– Jestem, Ryszardzie – powiedziała, pobladła i drżąca, siadając od razu na krześle. – Trudno mi uwierzyć... że przebaczasz... swojej żonie!

– Wszystko ci przebaczam, moja najdroższa Zuzanno – rzekł Phillotson.

Sue drgnęła na te serdeczne słowa, chociaż zostały wymówione bez ognia. A potem znowu zebrała odwagę.

– Moje dzieci... nie żyją... to sprawiedliwie... Ja... cieszę się z tego... prawie się cieszę. Poczęte były w grzechu. Padły ofiarą, aby nauczyć mnie, jak mam żyć!... ich śmierć była pierwszą fazą mojego oczyszczenia. Dlatego nie zmarły na próżno!... Czy przyjmiesz mnie do siebie z powrotem?

Phillotsona tak poruszyły jej żalosne słowa i ton, że uczynił więcej, niż zamierzał. Schylił się i pocałował ją w policzek.

Sue nieznacznie cofnęła się, drżąc pod dotknięciem jego warg.

Serce mu zamarło, bo zaczynało w nim odżywać na nowo dawne pożądanie.

– Zawsze masz do mnie wstręt!

– O, nie, mój drogi! Zziębłam w drodze, jest wilgoć w powietrzu – odparła z pośpiesznym, ale lęklwym uśmiechem. – Kiedy odbędzie się nasz ślub? Czy niedługo?

– Chyba jutro wczesnym rankiem, jeżeli rzeczywiście sobie tego życzysz. Poślę zaraz do proboszcza, aby dać mu znać, że przyjechałaś. Wszystko mu opowiedziałem, pochwała on wysoce nasz zamiar; powiada, że w ten sposób życie nasze doprowadzimy do zadowalającego i zwycięskiego końca. Ale czy jesteś pewna samej siebie? Wiesz, że jeszcze czas się cofnąć, jeśli... jeśli sądzisz, że nie potrafisz się nagiąć.

– Ależ tak, tak, potrafię! I chcę, żeby się to wszystko odbyło. Daj mu znać, daj mu znać zaraz! Moje siły narażone są na ciężką próbę przez to przedsięwzięcie... nie mogę długo czekać!

– W takim razie zjedz coś i wypij, a potem możesz pójść do swego pokoju u pani Edlin. Powiem proboszczowi, że jutro o wpół do dziewiątej, zanim zacznie się ruch w wiosce. Nie za wczesna to godzina dla ciebie? Mój przyjaciel Gillingham już jest i ma nam towarzyszyć przy uroczystości. Przyjechał łaskawie aż z Shaston, chociaż mu to było w tej chwili nie na rękę.

W przeciwieństwie do kobiety w normalnych warunkach, której bystre oko notuje normalnie każdą rzecz, Sue zdawała się na nic nie zwracać uwagi w pokoju, gdzie rozmawiali, nie dostrzegała żadnego szczegółu otoczenia. Ale przechodząc przez bawialnię, aby odłożyć mufkę, wydała z siebie krótki okrzyk „O!” i jeszcze bardziej zbladła. Wyglądała jak skazany na śmierć złoczyńca, który spostrzegł swoją trumnę.

– Co się stało? – zapytał Phillotson.

Kłapa biurka była akurat otwarta i kładąc na niej mufkę, Sue przypadkiem spojrzała na leżący tam dokument.

– Ach! nic, to tylko zabawna niespodzianka – powiedziała, wracając do stołu i usiłując śmiechem rozpędzić łzy.

– A tak – rzekł Phillotson. – Zezwolenie na ślub, dopiero co nadeszło.

Przyłączył się teraz do nich Gillingham, zszedłszy ze swego pokoju na górze, i Sue siła się na uprzejmość, mówiąc o wszystkim, co jak

sądziła, mogło go zainteresować, tylko nie o sobie, chociaż to właśnie było dla niego najciekawsze. Posłusznie zjadła coś przy kolacji i odeszła do pokoju przygotowanego dla niej w sąsiednim domu. Phillotson odprowadził ją przez błonie i powiedział jej dobranoc przed domem pani Edlin.

Staruszka udała się z Sue do jej tymczasowej siedziby i pomagała przy rozpakowywaniu rzeczy. Wśród innych drobiazgów wyjęła gustownie haftowaną nocną koszulę.

– O, nie wiedziałam, że to zostało zapakowane! – zawołała Sue. – Wcale tego nie chciałam zabierać. Tu jest inna koszula.

I wyciągnęła inną, bez żadnych ozdób, z szorstkiego, niebielonego perkalu.

– Ale tamta jest ładniejsza – powiedziała pani Edlin. – Ta tutaj mało co lepiej wygląda niż owe włosienice, o których piszą w Biblii.

– Właśnie o to mi chodziło. Niech mi pani da tamtą. – Sue wzięła koszulę i z całej siły zaczęła ją drzeć. Trzask rozdieranej tkaniny brzmiał po całym domu jak krzyk sowy.

– Ale kochana moja!... co też...

– To nasuwa myśli o cudzołóstwie! Oznacza to, czego wcale nie czuję. Kupiłam tę koszulę dawno temu, aby podobać się Judzie. Muszę ją zniszczyć.

Pani Edlin wzniosła ręce w górę, a Sue, podniecona, dalej darła koszulę w pasy, rzucając strzępy w ogień.

– Mogłaś była mnie ją oddać! – rzekła wdowa. – Aż serce boli patrzeć, jak ogień pożera taką ładną robotę, choć co prawda takie ozdobne nocne odzienie nie na wiele by się zdało dla starej baby. Już dawno minął dla mnie czas na podobne rzeczy.

– To przeklęta rzecz, przypomina mi o tym, co chciałabym zapomnieć! – powtórzyła Sue. – Na nic innego nie zasługuje jak na spalenie.

– Panie Boże wielki, nie bądźże zbyt przesadna! Po co wymawiać takie słowa i skazywać na piekło te biedne niewinne dziecińcy, które straciłaś! Jak mi życie miłe, to już nie jest religijnie!

Sue, szlochając, rzuciła się twarzą na łóżko.

– Ach! nie, nie! proszę tak nie mówić! To mnie zabije! –

Wstrząsały nią spazmy rozpacz i osunęła się na kolana.

– Coś ci powiem – odezwała się pani Edlin ze wzburzeniem. – Nie powinnaś drugi raz brać ślubu z tym człowiekiem. Ty ciągle kochasz tamtego!

– Ale przecież muszę to zrobić, przecież i teraz należę do niego!

– Ciicho! Należysz do tamtego. Gdy początkowo nie chcieliście drugi raz składać przysięgi, świadczyło to dobrze o waszym sumieniu, zważywszy wysuwane przez was racje. Trzeba było żyć razem jak dotychczas, a potem w końcu kiedyś uświęcić ten związek. Ostatecznie to nikogo nie obchodziło oprócz was dwojga.

– Ryszard powiada, że przyjmie mnie z powrotem, i to mnie zobowiązuje, aby do niego wrócić. Gdyby odmówił, nie czułabym tak bardzo konieczności rozstania z Judą. Ale...

Trzymała ciągle twarz ukrytą w pościeli; pani Edlin zaś wyszła z pokoju.

Tymczasem Phillotson wrócił do Gillinghama, który siedział jeszcze przy stole. Wkrótce obaj wyszli na dwór, aby wypalić papierosa. W pokoju Sue świeciło się i ruchomy cień przesuwiał się za roletą.

Gillingham, najwidoczniej pod wrażeniem subtelного czaru Sue, odezwał się po chwili:

– A więc wreszcie masz ją z powrotem. Już ci drugi raz nie ucieknie. Jabłuszko z drzewa wpadło ci w garść.

– Tak!... Chyba nie popełniłem błędu, biorąc ją za słowo? Przyznaję, że jest w tym trochę egoizmu. Niezależnie od tego, czym ona jest, to znaczy luksusem dla takiego starucha jak ja, powrót jej przywróci mi szacunek duchowieństwa i wierzącego odłamu społeczności świeckiej, tych ludzi, którzy nie mogli mi darować, że pozwoliłem jej odejść. W pewnym stopniu mogę odzyskać swoją dawną pozycję.

– No więc dobrze, jeśli masz jakiś solidny argument, aby ją powtórnie poślubić, zróbże to, na miłość boską! Zawsze byłem przeciwny otwieraniu klatki i wypuszczaniu ptaka w taki iście samobójczy sposób. Byłbyś już teraz inspektorem szkolnym albo pastorem, gdyby nie okazana jej słabość.

– Wyrządziłem sobie krzywdę nie do naprawienia, wiem o tym dobrze.

– Skoro już raz masz ją z powrotem, staraj się ją utrzymać.

Phillotson nie był tego wieczoru zupełnie szczery. Nie miał ochoty otwarcie przyznać, że zgoda na powrót Sue nie miała w gruncie rzeczy nic wspólnego z pokutą za zgodę na jej odejście, lecz wynikała z ludzkiego instynktu, który rzucał wyzwanie zwyczajowi i zawodowi nauczycielskiemu.

– Tak właśnie postąpię – powiedział więc tylko. – Lepiej teraz rozumiem rodzaj kobiecy. Jakkolwiek zwrócenie jej wolności było sprawiedliwe, nie stanowiło zbyt logicznego posunięcia u kogoś, kto w innych sprawach potrafi twardo trzymać się swego.

Gillingham spojrział na niego i zastanowiło go, czy reakcja na drwiny świata i pragnienia ciała nie sprawią, iż Phillotson wpadnie w drugą krańcowość i okaże Sue więcej ortodoksyjnego okrucieństwa, niż dawniej przejawiał niewymuszonej i perwersyjnej pobłażliwości.

– Doszedłem do wniosku, że nie ma co ulegać impulsom – ciągnął Phillotson, z każdą minutą zdając sobie wyraźniej sprawę, że należy działać stosownie do swojej pozycji społecznej. – Postąpiłem wbrew nauce Kościoła, ale zrobiłem to bez premedytacji. Kobiety wywierają tak dziwny wpływ, że ma się pokusę okazywania im dobroci, która jest nie na miejscu. Jednakże i siebie teraz lepiej poznałem. Kto wie, czy pewna doza rozsądnej surowości...

– Owszem, ale cugle musisz przykracać stopniowo. Na razie nie bądź zbyt wymagający. Ona w swoim czasie zgodzi się na wszystko.

Ta przestroga była zbędna, tego wszakże Phillotson nie powiedział.

– Przypominam sobie słowa proboszcza z Shaston, kiedy wyjeżdżałem po awanturze wywołanej moją zgodą na ucieczkę Zuzanny: „Jedyne, co może pan zrobić, aby uratować swoją i jej pozycję, powiedział, to przyznać, że był pan w błędzie, nie trzymając jej mądrą i mocną ręką, a następnie sprowadzić ją z powrotem, jeśli się da, a w przyszłości okazać wobec niej stanowczość”. Ale ja wtedy trwałem tak uparcie przy swoim stanowisku, że nie posłuchałem go. Nawet mi się nie śniło, żeby po rozwodzie wpadła na pomysł powrotu.

W tej chwili trzasnęła furka przy chacie pani Edlin i ktoś stamtąd ruszył w kierunku szkoły.

– Dobry wieczór – powiedział Phillotson.

– A, to pan Phillotson – odparła pani Edlin. – Właśnie szłam do pana. Byłam z nią na górze przy rozpakowywaniu rzeczy i słowo daję, panie nauczycielu, nie sądzę, aby to się powinno odbyć!

– Co? Ślub?

– A tak. To kochane biedactwo zadaje sobie tylko przymus i pan nawet się nie domyśla, jak ona cierpi. Nigdy specjalnie nie byłam za religią czy przeciwko religii, ale nie można po sprawiedliwości pozwalać jej na to, co robi. Powinien jej pan wyperswadować ten zamysł. Naturalnie ludzie będą mówić, że pan okazuje wiele dobroci, przebacząc jej i przyjmując ją z powrotem do siebie, ale ja tam uważam co innego.

– To życzenie wyszło od Zuzanny, a ja tylko wyraziłem na nie zgodę – odparł Phillotson z poważną powściągliwością. Wszelki sprzeciw budził w nim teraz nielogiczny upór. – Naprawi się w ten sposób przejaw rozluźnienia obyczajów.

– Wcale tego nie uważam. Ona jest żoną Judy, i tylko Judy. Miała z nim troje dzieci i on ją ciągle serdecznie kocha. To wstyd i podłość zmuszać do czegoś takiego to biedne, nerwowe stworzonko! Nikt się za nią nie ujmie, bo ta uparta dziewczyna nie pozwala dostąpić do siebie jednemu człowiekowi, który jest dla niej przyjazny. Ciekawa jestem, co ją naprowadziło na taki pomysł.

– Skądże bym mógł wiedzieć? Na pewno nie ja. Z jej strony to jest zupełnie dobrowolne. I to wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie – powiedział sztywno Phillotson. – Zmieniła pani swoje stanowisko. To nieładnie, pani Edlin!

– Wiedziałam, że się pan obrazi, ale trudno. Prawdy nikt nie przeinaczy.

– Wcale się nie obrażę. Zbyt w pani cenię zalety dobrej sąsiadki. Ale musi pani przyznać, że sam wiem najlepiej, co się obróci na dobre dla mnie i dla Zuzanny. Wobec tego pewnie nie pójdzie pani z nami do kościoła?

– Nie, ani mi się śni. Nie wiem sama, do czego te czasy prowadzą! Tak się teraz poważnie bierze małżeństwo! Doprawdy, aż strach w ogóle je zawierać. Za czasów mojej młodości nie braliśmy małżeństwa tak na serio i nie sądzę, żeby z tego powodu miało być gorzej. Gdy

wychodziłam za mąż za mojego starego, weseliliśmy się przez okrągły tydzień – cała parafia się spiła; trzeba było potem pożyczyć pół korony, żeby gospodarstwo mogło ruszyć z miejsca!

Gdy pani Edlin odeszła, Phillotson odezwał się z irytacją:

– Nie wiem, czy powinienem brać ten ślub, przynajmniej tak rychło.

– Czemu?

– Jeśli ona przymusza się wbrew swoim instynktom, a tylko z poczucia obowiązku czy pod wpływem nakazów religii... może powinienem dać jej trochę czasu do namysłu.

– Skoro zaszedłeś tak daleko, nie powinieneś się, moim zdaniem, cofać.

– To prawda, że teraz nie bardzo mi uchodzi ślub odkładać. Ale mam skrupuły, odkąd ona krzyknęła, zauważywszy zezwolenie.

– Nie miej skrupułów, mój stary. Jutro ja ją poprowadzę do ślubu, a ty ją poślubisz. Zawsze czułem ciężar na sumieniu, że nie przeciwstawiłem się mocniej twojej decyzji zwrócenia jej wolności, i skoro doszliśmy do obecnej fazy, nie uspokoję się dopóty, dopóki nie pomogę ci całej sprawy uregulować.

Phillotson przytaknął mu i zdobył się na szczerą wobec stanowczości przyjaciela.

– Kiedy rozejdzie się wiadomość o tym, co zrobiłem, wiele osób uzna mnie bez wątpienia za słabego i głupca. Ale nikt nie zna Sue tak jak ja. Chociaż jest ona raczej nieuchwytna, ma tak do głębi uczciwą naturę, że nie sądzę, aby kiedykolwiek mogła uczynić coś wbrew swemu sumieniu. Fakt, że żyła z Fawleyem, nie ma żadnego znaczenia. W chwili, gdy odchodziła do niego ode mnie, uważała, że postępuje słusznie. Teraz jest przeciwnego zdania.

Nadszedł ranek i własnowolna ofiara kobiety, składana z siebie samej na ołtarzu nazwanym przez nią zasadami, została przypieczętowana przy udziale obydwóch przyjaciół; każdy uczynił to z odmiennego punktu widzenia. Parę minut po ósmej Phillotson poszedł po Sue na drugą stronę błonia do chaty wdowy Edlin. Mgła przed paroma dniami zasnuwająca niziny doszła już teraz i tutaj i drzewa, wchłonawszy dużo wilgoci, roniły ulewę wielkich kropli. Panna młoda

czekała już gotowa, w czepeczku na głowie. Nigdy w życiu nie była tak podobna do lilii[28], z którą kojarzyło się jej imię, jak w tym bladym porannym świetle. Uszlachetniona cierpieniem, znużona światem, pełna wyrzutów sumienia i z ciałem wydanym na łup nerwów, sylwetka Sue wydawała się jeszcze drobniejsza niż dawniej, chociaż nigdy przecież nie była duża, nawet w czasach kwitnącego zdrowia.

– Śpieszmy się! – powiedział nauczyciel, wielkodusznie ujmując jej dłoń. Ale powstrzymał chęć pocałunku, pamiętając, jak nerwowo drgnęła poprzedniego dnia, co mu niemiłe utkwilo w pamięci.

Dołączył się do nich Gillingham i wyszli. Wdowa Edlin trwała niezłomnie przy swoim postanowieniu nieuczestniczenia w ceremonii.

– Gdzie jest kościół? – zapytała Sue. Odkąd zburzono stary kościół, nigdy nie przebywała dłużej w Marygreen, a zaabsorbowana innymi sprawami, zapomniała zupełnie o nowym.

– Niedaleko – odparł Phillotson i wkrótce ukazała się wieża kościelna, imponująca i dostojna we mgle. Proboszcz już był w kościele.

– Przydałyby się świece, tak jest ciemno – powiedział z miłym uśmiechem.

– Ryszardzie, czy chcesz wziąć mnie za żonę? – szepnęła Sue.

– Ależ tak, kochanie, ponad wszystko na świecie.

Nie odezwała się już więcej, a Phillotson, już po raz drugi czy trzeci poczuł, że częściowo sprzeniewierza się humanitarnemu nakazowi, który w swoim czasie skłonił go do zgody na jej odejście.

W kościele było ich pięcioro: pastor, kościelny, nowożeńcy i Gillingham. Święty sakrament został udzielony po raz drugi. W nawie znajdowało się paru wieśniaków i gdy duchowny doszedł do słów: „A co Bóg złączył...”, rozległ się jakiś głos kobiecy:

– Bóg złączył, a jakże!

Zdawało się, że widma ludzi, jakimi niegdyś byli, powtarzają scenę odegraną przed laty w Melchester. Gdy złożono podpisy w księgach parafialnych, proboszcz pogratulował małżonkowi i żonie, że przebaczyli sobie, co było niewątpliwie słuszne i szlachetne.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – powiedział z uśmiechem. – Życzę długich lat szczęścia po tym ocaleniu niejako z próby ognia.

Phillotson i Sue przeszli przez pusty kościół i udali się do szkoły. Gillingham chciał dostać się do domu jeszcze tego wieczoru, więc wcześniej wyruszył. On również złożył życzenia nowożeńcom.

– Teraz – powiedział, żegnając Phillotsona, który go kawałek odprowadził – do twego rodzinnego miasta będę mógł zanieść opowieść o szczęśliwym zakończeniu. Ludzie powiedzą: „Dobra robota”, możesz być tego pewny.

Po powrocie do domu nauczyciel zastał Sue niby to krzątającą się przy gospodarstwie, tak jakby tu od dawna mieszkała. Ale zdawało mu się, że na jego widok ogarnia ją nieśmiałość, i to wzbudziło w nim wyrzuty sumienia.

– Oczywiście, moja droga – powiedział poważnie – nie będę ci się narzucał, tak jak i dawniej. Ślub był dla nas korzystny ze względów towarzyskich, i to jest usprawiedliwieniem tego aktu, jeśli nawet nie to właśnie mną powodowało...

Na to Sue rozpogodziła się trochę.

VI

Padał deszcz. Przed drzwiami domu Judy, również na przedmieściu Christminster, ale w zupełnie innej stronie niż dzielnica kościoła św. Silasa, gdzie mieszkał poprzednio i gdzie opanował go smutek nie do zniesienia, stała kobieta w zrudziałej żałobie i rozmawiała z Judą, który ręką przytrzymał drzwi.

– Jestem opuszczona, w nędzy i bez dachu nad głową. Ojciec wyrzucił mnie z domu, wyciągnąwszy ode mnie ostatni grosz, aby włożyć w swój sklep. Potem miał pretensję, że próżnuję, a ja przecież tylko czekałam na zajęcie. Zostałam teraz na łasce dobrych ludzi! Jeśli nie weźmiesz mnie do siebie i nie pomożesz, Judo, przyjdzie mi szukać schronienia w przytułku albo uciec się do czegoś jeszcze gorszego. Dopiero co kiwało do mnie dwóch studentów na drodze. Trudno kobiecie utrzymać cnotę, gdy naokoło jest tylu młodych mężczyzn!

Kobietą, która mówiła te słowa, stojąc na deszczu, była Arabella, a działo się to na drugi dzień wieczorem po powtórnym ślubie Sue z Phillotsonem.

– Bardzo ci współczuję, ale mieszkam w wynajętym pokoju – powiedział chłodno Juda.

– A więc odprawiasz mnie z niczym?

– Dam ci sumę wystarczającą na jedzenie i mieszkanie w ciągu paru dni.

– Ach! ale czy nie możesz zdobyć się na odrobinę dobroci, żeby mnie przygarnąć? Nie zdobędę się na nocleg w zajeździe. I taka jestem samotna, Juda. Proszę cię na pamięć dawnych dni!

– Nie, nie – odparł śpiesznie Juda. – Nie nawiązuj do tamtych czasów. Nie pomogę ci, jeśli będziesz o nich wspominać.

– A więc mam odejść! – powiedziała Arabella. Oparła głowę o framugę drzwi i zaczęła szlochać.

– Dom jest pełen lokatorów – odparł Juda – i mam tylko maleńki dodatkowy pokój, nie większy od szafy, gdzie trzymam narzędzia, szablony i tę trochę książek, które mi jeszcze zostały.

– To dla mnie aż nadto!

– Nie ma tam łóżka.

– Można przygotować jakieś posłanie na podłodze. Zupełnie mi to wystarczy.

Juda nie mógł się zdobyć na bezwzględność w stosunku do niej i nie wiedział, co począć, aż w końcu zawołał człowieka, od którego wynajmował pokój, i przedstawił Arabellę jako swoją znajomą, skłopotaną chwilowym brakiem mieszkania.

– Może mnie pan pamięta? Pracowałam dawniej w barze „Pod Flagą i Jagnięciem” – odezwała się Arabella. – Ojciec mi dzisiaj ubliżył i musiałam wyprowadzić się od niego, chociaż nie mam grosza przy duszy.

Gospodarz nie mógł jej sobie przypomnieć.

– Ale skoro pani jest znajomą pana Fawleya – powiedział – coś się dla pani urządzi, jeśli on zobowiąże się ponieść koszty.

– Oczywiście, oczywiście – odparł Juda. – Jestem zaskoczony tą prośbą, ale nie chcę odmawiać pomocy.

Ostatecznie postanowiono wstawić łóżko do składziku Judy. Arabella mogła się tam wygodnie zainstalować, dopóki nie wydobędzie się z tarapatów, w jakie zabrnęła nie z własnej winy, jak twierdziła, i nie wróci znowu do ojca.

Gdy czekali na przemeblowanie, Arabella powiedziała:

- Prawdopodobnie słyszałeś ostatnie nowiny?
- Domyślam się, o czym mówisz; ale nic nie słyszałem.
- Dostałam dzisiaj list z Alfredston od Anny. Mówiono jej, że wesele miało się odbyć wczoraj, ale nie wiedziała, czy doszło do skutku.
- Nie chcę poruszać tego tematu.
- Naturalnie, rozumiem. To tylko wskazuje, jakiego rodzaju kobietą...

– Proszę cię, nie mów o niej! Ona jest szalona... ale jednocześnie jest aniołem, to moje kochane biedactwo!

– Jeśli ślub się odbędzie, pisała Anny, on może odzyska swoją dawną pozycję, tak wszyscy mówią. I jego poplecznicy, z samym biskupem włącznie, będą zadowoleni.

– Arabello, oszczędź mnie.

Arabellę zainstalowano w małym pokoiku na poddaszu i na razie wcale się nie zbliżała do Judy. Kręciła się koło swoich interesów i gdy czasem spotkali się na schodach czy w sieni, zawiadamiała go, że zabiega o posadę w zawodzie, w którym ma najlepszą praktykę. Juda napomknął, że największych możliwości w zakresie wyszynku trunków dostarcza Londyn, ale Arabella zaprzeczyła.

– Za wiele tam pokus – oświadczyła. – Dla mnie lepiej się nada jakakolwiek skromna oberża na prowincji.

W następną niedzielę rano, gdy Juda później niż zwykle zasiadł do śniadania, Arabella pokornie zapytała, czy mogłaby przyłączyć się do niego; stłukła swój imbryk do herbaty, a nie może teraz kupić nowego, bo sklepy są zamknięte.

– Proszę cię – odparł obojętnie.

Gdy siedzieli obok siebie bez słowa, Arabella nagle zauważyła:

- Wydaje mi się, że wpadłeś w ponury nastrój, stary. Żal mi cię!
- Owszem, wpadłem w ponury nastrój.
- To przez nią, ja wiem. Nic mnie to nie obchodzi, ale mogłabym

dowiedzieć się o tym weselu, jeśli rzeczywiście się odbyło, gdybyś sobie życzył.

– W jaki sposób?

– Miałam zamiar pojechać do Alfredston po różne drobiazgi, jakie tam zostawiłam. Mogłabym zobaczyć się z Anny, która na pewno o wszystkim wie, bo ma przyjaciół w Marygreen.

Juda z niechęcią myślał o zgodzie na tę propozycję. Ale napięcie oczekiwania przemogło rozwagę i zwyciężyło.

– Możesz zapytać ją, jeśli chcesz – powiedział. – Do mnie nie doszły żadne wiadomości. Ślub musiał być zupełnie cichy, jeśli w ogóle się odbył.

– Byłabym już wcześniej pojechała, gdyby nie brak pieniędzy na drogę tam i z powrotem. Muszę poczekać, aż coś zarobię.

– O, mogę ci dać na drogę – odezwał się niecierpliwie Juda.

W ten sposób niepewność co do losów Sue i jej ewentualnego małżeństwa popchnęła Judę do wysłania po nowiny ostatniego emisariusza, jakiego wybrałby świadomie.

Arabella wyruszyła, a Juda zobowiązał ją do powrotu nie później niż pociągiem o siódmej. Ale gdy odeszła, pomyślał: „Po co kazałem jej wracać o tej, a nie innej porze! Czymże ona jest dla mnie, niczym, tak jak i tamta!”.

Nie mógł się jednak powstrzymać, aby po pracy nie pójść po Arabellę na stację, gnany gorączkową niecierpliwością usłyszenia nowin, jakie przywiezie, i dowiedzenia się najgorszego. Przez całą powrotną drogę Arabella wprawiała się w wywoływanie dołeczków na twarzy i z wagonu wyszła uśmiechnięta.

– No i co? – zapytał Juda bez uśmiechu.

– Wzięli ślub.

– Oczywiście, że wzięli! – odparł. Arabella jednak zauważyła zacięty wyraz ust, gdy wymawiał te słowa.

– Anny wie od Belindy, swojej krewnej w Marygreen, że ślub był bardzo smutny i dziwaczny.

– Co to znaczy: smutny? Przecież sama chciała drugi raz wziąć z nim ślub, czyż nie? A on również tego sobie życzył.

– To prawda. Ona z jednej strony tego chciała, ale z drugiej strony

nie chciała. Panią Edlin bardzo to wszystko zmartwiło i powiedziała Phillotsonowi, co o tym myśli. A Sue taka była zdenerwowana, że spaliła swoje najładniejsze hafty, które nosiła przy tobie, żeby cię zupełnie wymazać z pamięci. No więc jeśli kobieta tak to odczuwa, powinna odpowiednio postępować. Pochwalam ją za to, chociaż inni tego nie robią. – Tu Arabella westchnęła. – Uważała, że tylko on był jej prawdziwym mężem i że póki żyje, do nikogo innego nie może należeć w obliczu Boga wszechmogącego. Inne kobiety czują, być może, tak samo! – Arabella znowu westchnęła.

– Nie chcę słuchać tych frazesów! – zawołał Juda.

– To nie frazesy – powiedziała Arabella. – Jestem tego samego zdania co ona!

Juda urwał raptownie, mówiąc:

– Wiem już, co chciałem wiedzieć. Dziękuję ci za informacje. Na razie nie wracam do domu.

I szybko odszedł.

Znękany i smutny błąkał się po wszystkich zakątkach miasta, gdzie w swoim czasie bywał z Sue; potem sam już nie wiedział, dokąd zaszedł, aż wreszcie zdecydował się wrócić na wieczorny posiłek. Ale ponieważ obok swych cnót Juda posiadał aż nadto przeciwstawnych im przywar, zboczył do szynku po raz pierwszy od wielu miesięcy. Tego Sue nie wzięła pod uwagę, rozważając ewentualne skutki swego nowego małżeństwa.

Tymczasem Arabella udała się do domu. Minął wieczór, ale Juda się nie pojawił. O wpół do dziesiątej wyszła więc sama w kierunku odległej dzielnicy nad rzeką, gdzie mieszkał jej ojciec po otwarciu tam ostatnio niewielkiego sklepu z mięsem.

– Mimo wszystko przychodzę, chociaż tak mnie wtedy ojciec urządził – oświadczyła mu – bo mam coś ojcu do powiedzenia. Zdaje mi się, że znowu wyjdę za mąż i ustatkuję się. Ale ojciec musi mi pomóc, już mi tego ojciec nie odmówi po tym, co było.

– Wszystko zrobię, żeby się ciebie pozbyć.

– Może być i tak. A teraz pójdę poszukać mojego kawalera. Gdzieś mi się łajdaczy i muszę go sprowadzić do domu. Dzisiaj poproszę tylko, żeby ojciec nie ryglował drzwi, w razie gdybym musiała tu nocować

i przyszła późno.

– Wiedziałem, że prędko ci się sprzykrzy zadzieranie nosa i trzymanie się z daleka.

– Więc niech ojciec nie rygluje drzwi. To wszystko.

Arabella wyskoczyła i najprzód pośpieszyła do mieszkania Judy sprawdzić, czy nie wrócił, a potem ruszyła na jego poszukiwanie. Domyśliwszy się szybko, dokąd poszedł, udała się wprost do baru, gdzie dawniej bywał i gdzie sama przez krótki czas kiedyś usługiwała. Spostrzegła go od razu; siedział w głębi łoży, z oczami bezmyślnie utkwionymi w podłogę. W tej chwili nie pił nic mocniejszego prócz piwa. Nie zauważył Arabelli, która weszła i usiadła przy nim.

Spojrzał wreszcie na nią i powiedział bez najmniejszego zdziwienia:

– Przyszedł się czegoś napić, Arabello? Ja tylko staram się zapomnieć o niej! Ale nie mogę i idę już do domu.

Arabella zobaczyła, że jest pijany, ale nie zanadto.

– Przyszłam tylko po to, aby się tobą zaopiekować, mój kochany. Widzę, że nie czujesz się dobrze. Musisz się teraz napić czegoś lepszego.

Kiwnęła na kelnerkę.

– Napijesz się likieru – ciągnęła. – To bardziej odpowiedni trunk dla człowieka z wykształceniem niż piwo. Maraskino, curacao, wytrawne lub słodkie, albo cherry brandy. Postawię ci, mój biedny chłopcze!

– Wszystko mi jedno! Może być cherry brandy... Sue źle się ze mną obeszła, bardzo źle. Nigdy się tego po niej nie spodziewałem! Byłem względem niej lojalny i ona powinna była odpłacić mi tym samym. Byłbym dla niej sprzedał duszę, ale ona dla mnie nic by nie zaryzykowała. Dla zbawienia swojej duszy pozwala, aby moją spotkało wieczne potępienie... Jednak ona temu niewinna, moja biedna, malutka dziewczynka! Tego jestem pewny!

Nie wiadomo, skąd Arabella wzięła pieniądze; w każdym razie zamówiła dwa likiery i zapłaciła za nie. Gdy wypili, zaproponowała drugą kolejkę i Juda zaznał przyjemności kosztowania różnorodnych delicji w dziedzinie trunków pod przewodnictwem osoby świetnie obznajmionej ze wszystkimi markami. Arabella pozostawała daleko

w tyle za Judą, ale chociaż jedynie zwilżała wargi, gdy on wychylał kieliszek, wypila tyle, ile mogła, nie tracąc przytomności, co bynajmniej nie było mało, o czym świadczyły purpurowe rumieńce na jej twarzy.

Do Judy w ciągu tego wieczoru odnosiła się niezmiennie w sposób łagodny i pieśczośliwy; ile razy mówił: „Wszystko mi jedno, co ze mną będzie”, a powtarzał to ciągle, odpowiadała mu: „Ale mnie wcale nie wszystko jedno!”.

Nadeszła godzina, kiedy zamykano lokal, musieli więc wyjść. Arabella objęła Judę ramieniem i wspierała jego niepewne kroki.

Gdy już byli na ulicy, powiedziała:

– Nie wiem, co powie gospodarz, gdy przyprowadzę cię do domu w tym stanie. Drzwi na dole będą pewnie zamknięte i będzie musiał zejść, żeby nam otworzyć.

– Nie wiem, nic nie wiem.

– Oto co jest najgorsze ze wszystkiego: że nie masz swojego domu, Juda. Wiesz, powiem ci, co zrobimy. Chodź ze mną do ojca, pogodziłam się z nim dzisiaj. Wpuszczę cię i nikt cię nie zobaczy, a do jutra przyjdiesz do siebie.

– Wszystko mi jedno, tu czy tam – odparł Juda. – Co za różnica?

Poszli więc razem jak pierwsza lepsza spita para. Arabella trzymała go ciągle w pół i w końcu on objął ją również, chociaż bez żadnej ochoty, a tylko dlatego, że był znużony, czuł się niepewnie na nogach i potrzebował podpory.

– A tu jest miejsce, gdzie spalili męczenników – wyjąkał, gdy wlekli się w poprzek szerokiej ulicy. – Pamiętam to ze *Świętego państwa* starego Fullera... przypomina mi się, ile razy tędy przechodzę, co stary Fuller powiada w swoim *Świętym państwie*... że kiedy palono Ridleya, doktor Smith miał kazanie na temat wersetu: „I choćbym wydał ciało moje tak, iżbych gorzał, a miłości bych nie miał: nic mi nie pomoże”. Często o tym myślę, mijając to miejsce. Ridley był...

– Tak, tak, właśnie. Jaki ty jesteś mądry, mój kochaneczku, chociaż to nic nie ma wspólnego z naszymi obecnymi sprawami.

– Jakże nie ma! Ja przecież wydaję moje ciało tak, iżbych gorzał. Ale prawda!... ty tego nie zrozumiesz! Na to trzeba Sue, aby zrozumieć takie rzeczy. A ja byłem jej uwodzicielem. Moja mała, biedna

dziewczynka! Odeszła ode mnie... a mnie niech diabli wezmą! Możesz ze mną zrobić, co ci się żywnie podoba... A jednak biedna mała Sue zrobiła to dla spokoju swojego sumienia!

– A niech ją!... przepraszam, chciałam powiedzieć, że miała rację – z czkawką w głosie powiedziała Arabella. – Ja też jestem uczuciowa, tak jak i ona, i uważam, że w oczach nieba do ciebie należę, a nie do kogo innego. Śmierć tylko nas rozłączy! Lepiej późno... niż nigdy...

Doszli do domu, gdzie mieszkał ojciec Arabelli; ona cicho otworzyła drzwi i po omacku szukała światła.

Okoliczności nie różniły się wiele od chwili, kiedy przed laty wchodzili do chaty w Cresscombe. Podobne były także motywy Arabelli. Ale chociaż ona przypomniała sobie tamten epizod, Judzie nie to było w głowie.

– Nie mogę znaleźć zapalek, kochanie – powiedziała, zamknawszy za sobą drzwi. – Ale mniejsza z tym... chodź tędy. Tylko cichuteńko, bardzo cię proszę.

– Ciemno tu jak w piekle – powiedział Juda.

– Daj mi rękę, będę cię prowadzić. O, tak, a teraz usiądź tutaj i zdejm buty. Nie chciałabym, żeby się obudził.

– Kto?

– Ojciec. Zrobiłby jeszcze awanturę.

Arabella zdjęła mu buty.

– A teraz – szepnęła – mocno się mnie trzymaj, to nic, że jesteś ciężki. No, dalej... pierwszy stopień... drugi stopień.

– Jak to? Czy my jesteśmy w naszym dawnym domu koło Marygreen? – zapytał z osłupieniem Juda. – Już tam nie byłem od lat! Co? A gdzie są moje książki? To przede wszystkim chciałbym wiedzieć!

– Jesteśmy u mnie w domu, mój drogi; nikt tu ciebie nie będzie szpiegował teraz, kiedy źle się czujesz. No, a teraz trzeci stopień, czwarty stopień... doskonale. Już teraz wszystko pójdzie doskonale.

VII

Na parterze małego domu, wynajętego niedawno przez ojca, Arabella przygotowywała śniadanie w pokoju od podwórza. Potem zajrzała do sklepu z wieprzowiną i oznajmiła panu Donnowi, że posiłek jest gotowy. Donn, który usilnie starał się upodobnić do mistrza rzeźnickiego, zjawił się natychmiast w zatłuszczonej niebieskiej bluzie, przepasanej rzemieniem, u którego końca zwisał nóż.

– Musisz przypilnować dzisiaj sklepu – rzekł mimochodem. – Trzeba mi pójść do Lumsdon po flaki i połówkę wieprzka, a muszę również zajść i gdzie indziej. Jeśli masz zamiar mieszkać u mnie, musisz przyłożyć ręki do roboty, przynajmniej dopóki nie puszcę w ruch interesu.

– Nie mogę tego ojcu obiecać dzisiaj. – Arabella rzuciła żywe spojrzenie. – Mam coś na górze, cenną zdobycz, na którą sobie zasłużyłam.

– Oo? Co to takiego?

– Mąż... prawie że mąż.

– Nie!

– Owszem. To Juda. Wrócił do mnie.

– Twój dawny, pierwszy mąż? No, no, niech to wszyscy diabli!

– Muszę powiedzieć, że zawsze miałam do niego słabość!

– Ale skąd się tutaj wziął? – zapytał rozbawiony Donn, palcem wskazując na pułap.

– Niech ojciec nie zadaje kłopotliwych pytań. Trzeba go tutaj przetrzymać do chwili, kiedy między nami wszystko ułoży się tak jak dawniej.

– To znaczy jak?

– Dopóki znowu nie będziemy małżeństwem.

– Hm... To najbardziej osobliwa rzecz, jaką zdarzyło mi się słyszeć: wychodzić za mąż za swego dawnego męża, a przecież tylu nowych mężczyzn jest na świecie! Żaden to nadzwyczajny łup, moim zdaniem. Ja na twoim miejscu postarałbym się o nowego, jeśli ci już zależy na małżeństwie.

– Nic w tym nie widzę osobliwego, że kobieta chce powrotu dawnego męża ze względu na przyzwoitość, chociaż to może śmieszne,

jeśli mężczyzna chce mieć z powrotem dawną żonę!

Arabellę nagle chwycił atak głośnego śmiechu, do którego ojciec przyłączył się z nieco większym umiarkowaniem.

– Niech ojciec będzie dla niego grzeczny, a ja już sobie poradzę z resztą – powiedziała, odzyskując powagę. – Juda oświadczył mi dziś rano, że głowa mało mu nie pęknie z bólu, i nie bardzo wiedział, gdzie jest. Nic dziwnego, zważywszy na mieszaninę trunków, którą wypił wczoraj w nocy. Musimy go tu przetrzymać parę dni, pilnować, aby mu było przyjemnie i wesoło, i nie puszczać go do domu. Ile by to miało kosztować, zwrócę ojcu później. A teraz muszę zajść na górę i zobaczyć, jak się ten nieboraczek czuje.

Arabella weszła na schody, cicho otworzyła drzwi do pierwszego pokoju i zajrzała. Widząc, że ostrzyżony przez nią Samson leży w głębokim śnie, podeszła do łóżka i przyglądała mu się przez chwilę. Gorączkowy rumieniec na twarzy Judy, wywołany hulanką ubiegłego wieczoru, sprawił, że wyglądał nie tak krucho i wątle jak zwykle. Długie rzęsy, ciemne brwi, kręcone, czarne włosy i broda na tle białej poduszki dopełniały obrazu mężczyzny, którego Arabella, kobieta o silnych namiętnościach, uważała nadal za łup wart powtórnego złowienia, skoro sama podupadła i materialnie, i pod względem reputacji. Jej pałacy wzrok jakby go poruszył. Szybki oddech ustał i Juda otworzył oczy.

– Jak się czujesz, kochany? – odezwała się. – To ja, Arabella.

– Ach! gdzie ja... Prawda, już pamiętam! Przygarnęłaś mnie...

Jestem bezdomny... chory... zepsuty... przeklęty i zły! Oto jaki jestem!

– Zostaniesz tutaj na razie. W całym domu nie ma nikogo oprócz ojca i mnie i możesz sobie odpoczywać, dopóki nie wydobrejesz. Pójdę zawiadomić ich w warsztatach, że jesteś chory.

– Ciekaw jestem, co sobie pomyśleli u mnie w mieszkaniu?

– Pójdę i tam i wyjaśnię im. Może chcesz, żebym zapłaciła komorne, bo inaczej pomyślą, że uciekliśmy gdzieś razem?

– Dobrze. Pieniądzy znajdziesz dosyć w kieszeni.

Obojętny na wszystko, przymykając oczy przed światłem dziennym, które raziło pulsujące gałki oczne, Juda zdawał się znowu drzemać. Arabella wzięła jego portmonetkę, cicho wyszła z pokoju i włożywszy okrycie, udała się do mieszkania Judy, gdzie nie pokazali

się od wczoraj.

Nie minęło pół godziny, kiedy była już z powrotem, wraz z chłopakiem wiozącym na taczkach cały dobytek Judy, a także trochę rzeczy, które Arabella zabrała na krótki pobyt u niego. Juda tak dotkliwie cierpiał fizycznie po wczorajszym załamaniu, a moralnie z powodu utraty Sue i poddania się w stanie półprzytomnym pod władzę Arabelli, że na widok swoich paru tobołków rozpakowanych w obcej sypialni i własnych rzeczy wymieszanych z kobiecymi fatałaszkami nie pomyślał nawet, skąd się tutaj wzięły ani co wróży ich obecność.

– A teraz – Arabella oświadczyła ojcu na dole – przez następne parę dni musimy mieć w domu obfitość dobrych trunków. Znam naturę Judy: jeśli już raz wpadnie w ten straszliwie ponury nastrój, jak mu się to czasami zdarzało, nigdy w świecie nie zachowa się wobec mnie honorowo i zostanie na lodzie. Trzeba go zatem utrzymywać w wesołym nastroju. Ma trochę pieniędzy w kasie oszczędnościowej, a dopiero co oddał mi swoją sakiewkę, żebym płaciła, za co będzie trzeba. Więc przede wszystkim chodzi o pozwolenie na ślub; muszę je mieć w pogotowiu, aby przyłapać u niego chwilę dobrego humoru. Ojciec musi zapłacić za trunki. Paru znajomych i cichutkie przyjęcie w domowym kółku w sam raz wystarczy, jeśli się uda je urządzić. Będzie reklama dla sklepu, a moje sprawy również popchnie naprzód.

– Uda się z pewnością, jeśli starczy pieniędzy na jedzenie i napitki... Owszem, czemu nie... sklep miałby reklamę, to prawda.

Po trzech dniach Juda przyszedł nieco do siebie po potwornym pulsowaniu w oczach i w głowie, ale nadal był niezupełnie przytomny wskutek trunków, których bez przerwy dostarczała mu Arabella, aby – jak się wyraziła – utrzymywać go w wesołym nastroju. I wtedy właśnie odbyło się cichutkie przyjęcie w domowym kółku, zaproponowane przez nią, aby doprowadzić Judę do ostatecznego posunięcia.

Donn niedawno otworzył swój nędzny sklepik z wieprzowiną i kielbasą i prawie wcale nie miał klientów; ale przyjęcie zrobiło mu dobrą reklamę i razem z córką zdobyli rzeczywisty rozgłos wśród pewnej warstwy społecznej w Christminster – tej, która nie miała nic wspólnego z kolegiami, ich pracą czy zwyczajami. Zapytano Judę, czy nie mógłby zaproponować jeszcze kogoś oprócz osób zaproszonych

przez Arabellę i jej ojca, a on, w posępnym i zupełnie wisielczym nastroju, wymienił Wujka Joe, Stagga, podupadłego licytatora i kilku innych bywalców popularnej knajpy, których pamiętał z dawnych lat, z okresu pijaństwa. Wymienił również „Piegatą” i „Altankę Szczęścia”. Arabella chwyciła go za słowo, jeśli chodzi o mężczyzn, ale nie zgodziła się na damy.

Nie zaproszono natomiast innego znajomego, blacharza Taylora, chociaż mieszkał na tej samej ulicy. Ale tak się zdarzyło, że wracając późno wieczorem z roboty w dzień przyjęcia, Taylor zaszedł do sklepu po nóżki wieprzowe. W sklepie zbrakło tego towaru, ale obiecano mu je następnego ranka. Przy okazji Taylor zerknął do pokoju za sklepem i zobaczył gości, którzy rozsiadłszy się, grali w karty, pili i zabawiali się na koszt Donna. Potem wrócił do domu i położył się spać. Następnego ranka wszakże, w drodze do pracy, zaciekawilo go, jak się przyjęcie udało. Uważał, że o tej porze nie warto zachodzić do sklepu po zakupy, bo Donn i córka będą jeszcze na pewno w łózkach po pijatyce minionej nocy. Ale, przechodząc, stwierdził, że drzwi są otwarte, i chociaż nie uchylono okiennic sklepowych, z wewnątrz dochodzą głosy. Taylor wszedł, zapukał do drzwi bawialni i otworzył je.

– A to dopiero! – powiedział zdumiony.

Gospodarze i goście siedzieli przy kartach, kurząc papierosy i rozmawiając akurat tak samo jak jedenaście godzin temu, gdy Taylor wychodził wieczorem ze sklepu. Gaz się palił i firanki nadal były zaciągnięte, chociaż na dworze od dwóch godzin panował biały dzień.

– A jakże! – zawołała ze śmiechem Arabella. – Jeszcze tu jesteśmy! Wstyd i hańba, prawda? Ale to oblewanie nowego mieszkania, a nikomu z kompanii nie śpieszy się do domu. Proszę wejść, panie Taylor, i siąść z nami.

Blacharz, a raczej zbankrutowany handlarz towarami żelaznymi, nie był od tego, wszedł więc i zasiadł.

– Przepadnie mi ćwierć dnia pracy, ale mniejsza z tym – powiedział. – Po prawdzie to ledwie mógł oczom uwierzyć, kiedy tu zajrzałem! Wydało mi się, że znienacka znowu zrobiło się wczoraj.

– I tak też się stało. Należcie kieliszek panu Taylorowi.

Taylor zauważył, że Arabella siedzi koło Judy, obejmując go

ramieniem. Twarz Judy, jak i reszty towarzystwa, zdradzała, jak dalece sobie pofolgował.

– Prawdę mówiąc, czekaliśmy, aż nadejdzie pora, kiedy otwierają urzędy – ciągnęła ze wstydliwą minką Arabella, co spowodowało, że pijacka purpura na jej policzkach nabrała pozorów panieńskiego rumieńca. – Juda i ja postanowiliśmy pogodzić się i wstąpić na nowo w związki małżeńskie, bo okazało się, że nie możemy bez siebie żyć. I wpadł nam do głowy taki dowcipny pomysł, żeby posiedzieć do rana i od ręki to załatwić.

Juda wcale nie zwracał uwagi na słowa Arabelli ani w ogóle na nic. Przybycie Taylora natchnęło zebranych świeżą werwą i nikt się nie ruszał z miejsca do chwili, kiedy Arabella szepnęła ojcu:

– Teraz moglibyśmy już pójść.

– Ale proboszcz nie jest powiadomiony.

– Owszem. Uprzedziłam go wczoraj wieczorem, że przyjdziemy między ósmą a dziewiątą, bo z pewnych względów przyzwoitości należy to odbyć jak najwcześniej i jak najspokojniej. Ponieważ to nasz powtórny ślub, mógłby przyciągnąć wielu gapiów. Pastor przyznał mi rację.

– No to w porządku, ja jestem gotowy – odparł ojciec, wstając i przeciągając się.

– Chodź, mój kochany staruszkule – zwróciła się teraz Arabella do Judy. – Chodź ze mną, tak jak obiecałeś.

– Kiedyż ja ci cokolwiek obiecywałem? – zapytał Juda, którego Arabella dzięki swojej specjalnej znajomości spraw wyszynku upiła w takich granicach, że odzyskał znowu przytomność, jak przynajmniej mogło się wydawać komuś, kto go dobrze nie znał.

– Jak to! – zawołała Arabella, udając przestraszona. – Ileż to już razy w ciągu dzisiejszego wieczoru obiecywałeś poprowadzić mnie do ołtarza! Panowie przecież słyszeli!

– Wcale tego nie pamiętam – twierdził uparcie Juda. – Jest tylko jedna kobieta... ale jej nie wymienię w tym Kafarnaum.

Arabella rzuciła znaczące spojrzenie ojcu.

– No, no, panie Fawley! – odezwał się Donn. – Od kilku dni mieszkaś tu razem z moją córką pod pozorem, że się z nią masz żenić.

Nie pozwoliłbym, rozumie się, na takie rzeczy w moim domu, gdyby nie było mowy o małżeństwie. A teraz musisz pan uważać ślub za punkt honoru.

– Proszę nie tykać mojego honoru! – zawołał zapalczywie Juda, zrywając się z krzesła. – Prędsiej ożenię się z la... babilońską, niż postąpię niehonorowo! Nie bierz tego do siebie, moja droga. To po prostu figura retoryczna, hiperbola, jak to nazywają w książkach.

– Chowaj pan te figury dla kogo innego, a lepiej pomyśl, żeby oddać długi tym, którzy cię przygarnęli – powiedział Donn.

– Jeżeli do ożenku z nią zobowiązany jestem honorem, na co wygląda, chociaż wiem tyle co nieboszczyk, w jaki sposób tutaj się z nią znalazłem, na pewno ożenię się z Arabellą, jak mi Bóg miły! Nigdy nie postąpiłem niehonorowo względem kobiety czy jakiegokolwiek żyjącego stworzenia. Nie należę do mężczyzn, którzy chcą ocalić swoją skórę kosztem słabszej połowy ludzkości!

– Dobrze, już dobrze, nie słuchaj, co ojciec mówi, kochany – powiedziała Arabella, przytulając się policzkiem do Judy. – Chodź, umyj sobie twarz, ogarnij się trochę i wyruszmy. I pogódź się z ojcem.

Uścisnęli sobie dłonie i Juda poszedł z Arabellą na górę, skąd wkrótce wrócił odświeżony i spokojny. Arabella również śpiesznie się ogarnęła i wyszli w towarzystwie Donna.

– Zostańcie tutaj, moi drodzy – powiedziała Arabella przy pożegnaniu. – Kazałam służącej przygotować śniadanie w czasie naszej nieobecności i po powrocie razem je zjemy. Każdemu dobrze zrobi porządna filiżanka dobrej herbaty, zanim wyruszy do domu.

Gdy Arabella, Juda i Donn znikli, aby załatwić sprawy matrymonialne, zgromadzonych gości rozbudziło nieco ziewanie i z wielkim ogniem zaczęli roztrząsać sytuację. Blacharz Taylor, najtrzeźwiejszy z towarzystwa, argumentował najbardziej klarownie:

– Nie chcę obgadywać znajomych – powiedział. – Ale czy to nie dziwowisko nad dziwowiskami, żeby małżeństwo brało ślub po raz drugi? Jeśli nie mogli się zgodzić za pierwszym razem, kiedy łatwiej im się było nagiąć, moim zdaniem, nie zgodzą się i za drugim.

– A czy myślicie, że on naprawdę się z nią ożeni?

– Czemu nie? Ta kobieta odwołała się do jego honoru.

– Nie można wziąć ślubu ot tak, raz-dwa! Trzeba mieć pozwolenie i tak dalej.

– Już ona się o to postarała. Nie słyszeliście, co mówiła o tym do ojca?

– No więc w porządku – powiedział blacharz Taylor, zapalając na nowo fajkę od płomienia gazu. – Jak się ją obejrzy od góry do dołu, kawałek po kawałku, zwłaszcza przy świecy, wcale przystojna z niej jeszcze kobieta. Rozumie się, że groszaki w obiegu nie wyglądają tak samo jak te nowiutkie, prosto z mennicy. Ale ujdzie jak na niewiastę, która od pewnego czasu objaja wszystkie kąty świata na czterech półkulach. Cokolwieczek może za gruba w pasie, ale ja tam gustuję w kobietach, których nie przewróci pierwszy lepszy podmuch wiatru.

Goście śledzili wzrokiem ruchy dziewczyniny, która rozkładała obrus na stole, nie wytarłszy poprzednio rozlanej wódki. Podniesiono story i mieszkanie nabrało porannego wyglądu. Mimo to kilka osób zasnęło na krzesłach. Paru innych mężczyzn raz po raz podchodziło do drzwi, patrząc na ulicę. Blacharz Taylor znajdował się w tej grupie i po chwili powrócił z obleśnym wyrazem twarzy.

– Słowo daję, wracają! Coś mi się widzi, że stało się, co się miało stać!

– A nie – odezwał się Wujek Joe, idąc za nim. – Mogę się założyć, że w ostatniej minucie on nawalił. I właśnie dlatego nie idą zwyczajnym krokiem.

Czekali w milczeniu, dopóki nie usłyszeli, że towarzystwo weselne wchodzi do domu. Pierwsza wkroczyła hałaśliwie Arabella, z której twarzy można było wyczytać, że strategię jej uwieńczyło powodzenie.

– Sądzę, że mam przyjemność z panią Fawley? – rzekł blacharz Taylor z udaną dwornością.

– Owszem. Z panią Fawley, znowu z panią Fawley – odparła z miłym uśmiechem Arabella, zdejmując rękawiczkę i wyciągając lewą rękę. – Popatrzcie na te kajdany... Owszem, owszem, całkiem po pańsku wygląda. Mam na myśli pastora. Gdy już było po wszystkim, rzekł do mnie głosem łagodnym jak u małego dzieciątka: „Z całego serca pani winszuję, pani Fawley – powiedział – bo usłyszawszy historię pani i jej męża, sądzą, że oboje postąpiliście tak, jak należało. A jeśli chodzi o te

dawne błędy, pani jako żony, a jego jako męża, uważam, że świat powinien wam obecnie przebaczyć, tak jak wy przebaczyliście sobie nawzajem”. Tak powiedział pan pastor. Owszem, owszem, to bardzo miły człowiek i wygląda po pańsku. „Kościół – powiedział jeszcze – ściśle mówiąc, nie uznaje rozvodu w swoich dogmatach i we wszelkich waszych czynach miejcie na uwadze słowa obrządku ślubnego: »Co tedy Bóg złączył, niech człowiek nie rozłącza«”. Bardzo sympatyczny, pański człowiek z naszego pastora... Ale ty, Juda, kochany, wyglądałeś tak, że koń by się uśmieł! Szedłeś, ot, tak, prosto i sztywno, i można było pomyśleć, że jesteś woźnym w sądzie. A ja przecież wiedziałam doskonale ze sposobu, w jaki tarosiłeś mój palec, że cały czas widzisz podwójnie.

– Powiedziałem przecie, że zrobię wszystko, aby ocalić honor kobiety – wymamrotał Juda. – No i zrobiłem.

– Więc teraz, staruszk, chodź na śniadanie.

– Ja chcę jeszcze wódki – powiedział flegmatycznie Juda.

– Żadnych głupstw, kochany. Nie teraz! Nie ma już wódki. Herbata wyciągnie nam z głowy całą tę mieszaninę trunków i każdy będzie świeży jak poranek.

– Doskonale. Ożeniłem się z tobą. Ona powiedziała, że powinienem wziąć z tobą drugi raz ślub, no i od razu wziąłem. To dopiero jest prawdziwa religijność! Ha, ha, ha!

VIII

Nadszedł i minął dzień św. Michała i Juda wraz z żoną zainstalowali się na najwyższym piętrze domu położonego bliżej centrum miasta, spędziwszy krótki tylko okres po ślubie w mieszkaniu jej ojca.

W ciągu następnych paru miesięcy od tego wydarzenia Juda przepracował kilka dni, ale zdrowie mu nie dopisywało, a wreszcie poważnie się rozchorował. Siedział w fotelu przed kominkiem i bardzo

kaszłał.

– To ci dopiero dobry interes zrobiłam w zamian za cały kłopot przy urządzaniu tego drugiego ślubu – mówiła do niego Arabella. – Będę musiała utrzymywać cię samiuteńka jedna, na to mi przyjdzie. Trzeba będzie wyrabiać krwawe kiszki i kielbasy i sprzedawać je na ulicy, żeby zarobić na chorego męża. Co mi przyszło do głowy, żeby zwałać go sobie na kark? Czemu to nie pilnowałeś swego zdrowia i tak mnie zwiodłeś? Byłeś zdrów jak koń w czasie wesela!

– O, tak! – odparł Juda z gorzkim śmiechem. – Przypomniałem sobie właśnie to idiotyczne uczucie, jakiego doznałem, kiedy biliśmy wieprza za czasów naszego pierwszego małżeństwa. A teraz uważałbym za akt największego miłosierdzia, jaki mógłby na mnie spłynąć, gdyby ktoś wyrządził mi to, co ja w swoim czasie wyrządziłem temu stworzeniu.

Codziennie teraz prowadzili tego rodzaju rozmowy. Właściciel domu, do którego doszły słuchy, że stanowią osobliwą parę, wątpił nawet, czy są w ogóle małżeństwem, zwłaszcza gdy kiedyś wieczorem podpatrzył Arabellę, nieco podpitą, całującą Judę. Już się zbierał, aby im wymówić, ale innej nocy podsłuchał, jak Arabella krzykliwie łąjała Judę i w końcu uderzyła go po głowie pantoflem; uznawszy to za dowód rzetelnego związku małżeńskiego, zawyrokował, że stadło jest przyzwoite, i więcej już sobie nimi nie zaprzętał głowy.

Zdrowie Judy nie ulegało poprawie i kiedyś, z pewnym wahaniem, zwrócił się do Arabelli, aby coś dla niego załatwiła. Zapytała obojętnie, o co chodzi.

– Napisz do Sue.

– Co, u licha? Po cóż miałabym do niej pisać?

– Aby się dowiedzieć o jej zdrowie i zapytać, czy nie mogłaby mnie odwiedzić, bo jestem chory i chciałbym jeszcze raz ją zobaczyć.

– To zupełnie podobne do ciebie, żeby takim żądaniem ubliżać prawowitej żonie!

– Właśnie dlatego proszę, abyś ty to zrobiła, że nie chcę ci uchybiać. Wiesz dobrze, że kocham Sue. Nie chcę owijać w bawełnę, to jest po prostu fakt: kocham ją. Miałbym dziesiątki okazji, aby wysłać do niej list za twoimi plecami, ale chcę być w porządku wobec ciebie

i wobec jej męża. Wiadomość wysłana za twoim pośrednictwem nie będzie przynajmniej miała posmaku intrygi. I jeśli w Sue przetrwało coś z jej dawnej natury, to na pewno przyjedzie do mnie.

– Nie masz żadnego szacunku dla małżeństwa, jego praw i obowiązków!

– Czy moje poglądy cośkolwiek znaczą? Poglądy takiego nieszczęśnika jak ja? Czy to kogokolwiek na świecie obchodzi, kto przyjdzie mnie odwiedzić na pół godziny, kiedy jedną nogą jestem już w grobie! Arabello – prosił – zrób to dla mnie i napisz do niej. Odpłać moją lojalność odrobiną wspaniałomyślności!

– Ani mi się śni!

– Ten tylko raz! Zrób to! – Juda czuł, że fizyczna słabość pozbawia go wszelkiej godności.

– Co ci z tego przyjdzie, że ona się dowie o twojej chorobie? Ona wcale nie chce cię widzieć, to szczur, który uciekł z tonącego okrętu!

– Przestań, przestań!

– I ja się z nim związałam, co za głupota! Żebym miała taką ladacznicę przyjmować w swoim domu! Rzeczywiście!

Ledwie wymówiła te słowa, kiedy Juda zerwał się ze swego fotela i zanim Arabella zdążyła się zorientować, przewrócił ją na małą sofę i na klęczkach pochylił się nad nią.

– Powiedz jeszcze jedno takie słowo – wyszeptał – a zabiję cię, teraz, od razu! Osiągnę przez to jedynie korzyść, w której moja własna śmierć będzie częstką nie do pogardzenia. Niech ci się nie zdaje, że mówię na wiatr.

– Czego ode mnie chcesz? – wykrztusiła Arabella.

– Przyrzeknij nigdy o niej nie wspominać.

– Dobrze. Przyrzekam.

– Trzymam cię za słowo – rzekł pogardliwie, zwalniając uchwyt. – Chociaż nie wiem, ile ono warte.

– Nie potrafiłeś zabić wieprza, ale mnie potrafiłbyś zabić!

– Ach! tu dobrze trafiłaś. Nie, nie potrafiłbym cię zabić. Nawet w afekcie. Urağaj sobie dalej.

Teraz Juda zaniósł się kaszlem, a Arabella, widząc, jak blednie, oceniła wprawnie, ile jeszcze zostało mu życia.

– Poślę po nią – powiedziała cicho – jeśli się zgodzisz, że przez cały czas jej wizyty będę z wami w pokoju.

Nawet po takiej prowokacji nie był zdolny oprzeć się ofercie; nie pozwoliła na to słabsza strona jego natury i tęsknota do Sue. Więc odparł, z trudem chwytając oddech:

– Dobrze, zgadzam się. Sprowadź ją tylko!

Wieczorem zapytał, czy wysłała list.

– Owszem, napisałam do niej bilecik – odparła Arabella – donosząc, że jesteś chory, i prosząc ją o przybycie jutro albo pojutrze. Ale jeszcze go nie wysłałam.

Następnego dnia Juda zastanawiał się, czy list poszedł, ale nie chciał więcej pytać i szalona nadzieja, która żywi się kroplą rosy i okrucieństwem chleba, napełniła go niepokojem oczekiwania. Znał godziny przyjazdu pociągów, jakimi Sue mogłaby przybyć, i za każdym razem nasłuchiwał, czy nie nadchodzi.

Ale nie przyjechała. Juda wszakże nie chciał więcej pytać Arabelli. Nazajutrz znowu spodziewał się i czekał, ale Sue nie pojawiła się ani nie przysłała od niej odpowiedź. Wtedy Juda w głębi duszy nabrał już pewności, że Arabella wcale nie wysłała listu. Mówiło mu o tym coś w jej zachowaniu. Tak dalece był słaby fizycznie, że gdy Arabella nie patrzyła, płakał łzami rozczarowania. Jego podejrzenia rzeczywiście miały podstawę, bo Arabella, jak nieraz się zdarza pielęgniarkom, uważała za swój obowiązek względem pacjenta uspokajać go wszelkimi sposobami oprócz tych, które naprawdę mogłyby mu pomóc.

Juda nie wymówił już jednego słowa więcej na temat swoich życzeń czy przypuszczeń. Rosło w nim milczące, tajone postanowienie, które obdarzyło go jeśli nie siłą, to przynajmniej równowagą i spokojem. I pewnego dnia w południe, wracając po dwugodzinnej nieobecności, Arabella zastała jego fotel pusty.

Rzuciła się na łóżko, siedziała i medytowała.

– Gdzież, u diabła, mógł się powlec ten mój małżonek! – powiedziała.

Przez całe rano, z małymi przerwami, padał deszcz, niesiony wiatrem od północo-wschodu, i patrząc przez okno na słupy wody lejące się z nieba, trudno było uwierzyć, aby chory człowiek mógł narażać się

na pewną śmierć, wychodząc na dwór. Ale Arabellę nurtowało przekonanie, że Juda wyszedł, do czego nabrała pewności po przeszukaniu domu.

– Jeśli taki z niego głupiec, to niech sam cierpi! – powiedziała sobie. – Ja na to nic nie poradzę.

W tej chwili Juda znajdował się w wagonie pociągu dojeżdżającego do Alfredston. Dziwnie ubrany, blady jak alabastrowa figura na pomniku nagrobkowym, przyciągał wzrok innych pasażerów. Po godzinie jego chudą postać w długim płaszczu zimowym, z płedem, który zabrał ze sobą, ale bez parasola, można było zobaczyć na pięciomilowym odcinku drogi do Marygreen. Siły Judy podtrzymywał jedynie niezłomny zamiar odmalowany na twarzy, ale słabość fizyczna smutną stanowiła podporę. Idąc pod górę, był już zupełnie wyczerpany, pośpieszał jednakże i o wpół do czwartej stanął przy dobrze znajomej studni w Marygreen. Wskutek deszczu wszyscy siedzieli w domu. Niedostrzeżony przez nikogo, Juda przeszedł przez błonie do kościoła. Zastał drzwi otwarte i postać tu chwilę, wpatrując się w szkołę, skąd dochodził zwykły monotony gwar głosików, których mali właściciele nie znali jeszcze cierpień tego świata.

Czekał dopóty, dopóki z budynku nie wyszedł mały chłopiec, zwolniony widocznie z lekcji z tego czy innego powodu. Juda podniósł rękę i dziecko podeszło do niego.

– Pójdź, proszę, do mieszkania nauczyciela i poproś panią Phillotson, aby łaskawie przysłała na parę minut do kościoła.

Dzieciak pobiegł i Juda usłyszał, jak puka do drzwi. Wszedł głębiej do kościoła. Wszystko było tam nowe oprócz paru fragmentów rzeźb z dawnej świątyni, które przytwierdzono do nowych ścian. Tutaj przystanął: widział w nich coś pokrewnego z mieszkańcami tej wioski, którzy odeszli, z przodkami jego i Sue.

W kruchcie rozległy się lekkie kroki, mało co głośniejsze od kilku nowych kropli deszczu. Juda obejrzał się.

– Och! nie przypuszczałam, że to ty! Nie przypuszczałam... O, Juda! – Nerwowe zachłyśnięcie w jej oddechu skończyło się całą ich serią. On podszedł ku niej, ale wtedy Sue szybko opanowała się i cofnęła.

– Nie odchodź, nie odchodź! – błagał. – To już ostatni raz. Myślałem, że będę mniej natrętny, przychodząc tutaj zamiast do ciebie do domu. Nigdy już więcej tu nie przyjdę. Zdobądź się więc na trochę litości. Sue, Sue! Postępujemy według litery, a „litera zabija”.

– Zostanę, nie będę okrutna! – powiedziała. Gdy pozwoliła mu podejść bliżej, zobaczył, że usta jej drżą, a z oczu leją się łzy. – Ale czemu przyszedłeś, czemu źle czynisz po tamtym, słusznym postępku?

– Co za słuszny postępek?

– Powtórne poślubienie Arabelli. Przeczytałam o tym w miejscowej gazecie. Arabella była zawsze i wyłącznie twoją żoną, Judo, we właściwym znaczeniu tego słowa. A więc postąpiłeś słuszenie, nadzwyczaj słuszenie, uznając to i przyjmując ją znowu do siebie.

– Wielki Boże na niebie! Czyżbym po to tu przyszedł, aby tego właśnie się dowiedzieć? W całym moim życiu nie ma nic równie poniżającego, niemoralnego i wynaturzonego jak ten niemoralny kontrakt zawarty z Arabellą, i to ma być słusznym postępkem! A ty także mienisz się być żoną Phillotsona! Jego żoną! Przecież jesteś moja.

– Nie zmuszaj mnie do odejścia... nie mam wiele sił. Ale co do tego jednego jestem zdecydowana.

– Nie mogę zrozumieć, jak do tego doszło... jak to pojmujesz... nie mogę!

– Mniejsza z tym. On jest dla mnie dobry. A ja... zmagalam się ze sobą i walczyłam, pościłam i modliłam się. Doprowadziłam swoje ciało do prawie zupełnego poddania. Nie powinieneś teraz... proszę cię... nie budź we mnie...

– Ach, ty moja jedyna, maleńka, szalona! Co się stało z twoim rozumem? Chyba straciłaś wszystkie władze umysłowe! Spierałbym się z tobą, gdybym nie wiedział, że do mózgu kobiety w twoim stanie uczuciowym nie dociera żaden apel. A może po prostu oszukujesz się tak, jak w tych sprawach oszukuje się wiele kobiet; i nie wierzysz wcale w to, w co udajesz, że wierzysz, rozkoszując się jedynie luksusem emocji wywołanych iluzoryczną wiarą?

– Luksusem! Jak możesz być tak okrutny!

– Ach, ty! moja droga, słodka, najbardziej melancholijna ruina obiecującego intelektu ludzkiego, jaką zdarzyło mi się w życiu spotkać!

Gdzie się podziała twoja pogarda dla konwenansu?

– Juda, ty mnie miażdżysz, ty mi nieomal ubliżasz! Idź sobie ode mnie! – Szybko odwróciła się od niego.

– Dobrze, pójdę. Nigdy już nie przyjdę do ciebie, nawet gdybym znalazł na to siły, których na pewno mi już nie starczy. Sue, Sue! Nie jesteś warta miłości mężczyzny!

Oddychała szybko.

– Nie mogę znieść tego, co mówisz! – wybuchnęła i spojrzawszy na Judę przelotnie, znowu zwróciła się gwałtownie ku niemu. – Nie pogardzaj mną, błagam cię! Pocałuj mnie, całuj mnie i powiedz, że nie jestem tchórzem i pogardy godnym kłamcą... nie zniosę tego!

Rzuciła się ku niemu i z ustami na jego ustach ciągnęła:

– Muszę ci to powiedzieć, muszę, mój jedyny, ukochany! To jest tylko małżeństwo zawarte w kościele... tylko nominalne małżeństwo. To mam na myśli. On sam zaproponował to od razu.

– Jak to?

– Powiadam, że moje małżeństwo z Ryszardem jest tylko nominalne. Nie było niczym więcej od chwili, kiedy do niego wróciłam.

– Sue! – zawołał Juda. Tuląc ją do siebie, rozgniatł jej wargi pocałunkami. – Jeśli nieszczęście może doznać szczęśliwości, zaznaję jej w tej chwili. A teraz, w imię tego, co dla ciebie najświętsze, mów mi prawdę, a nie kłamstwa. Czy ciągle mnie kochasz?

– Kocham! Wiesz o tym aż nadto dobrze!... Ale nie rób tego! Nie mogę oddawać ci pocałunków tak, jakbym chciała.

– Ale całuj mnie!

– Taki jesteś kochany! Jak źle wyglądasz!

– Ty także! Jeszcze raz... na pamięć naszych zmarłych dzieci... twoich i moich!

Te słowa ugodziły ją jak uderzenie i schyliła głowę.

– Nie wolno mi... nie mogę!... – szepnęła. – Ale czekaj, najdroższy, czekaj. Oddam ci twoje pocałunki! A teraz znenawidzę siebie na zawsze za swój grzech!

– Nie... wysłuchaj mojej ostatniej prośby. Posłuchaj tylko. Oboje zawarliśmy powtórny ślub w stanie nieprzytomnym. Mnie w tym celu upito. Ty również nie byłaś przytomna. Ja upiłem się wódką, ty – religią.

Każda forma pijaństwa niweczy szlachetniejsze spojrzenie na rzeczywistość... Otrząsnijmy z siebie nasze błędy i ucieknijmy razem!

– Nie i jeszcze raz nie!... Dlaczego tak mnie kuszysz, Juda? To zbyt bezlitośnie!... Już opanowałam się. Nie idź za mną, nie patrz na mnie. Zostaw mnie, na litość boską!

Przebiegła przez kościół w stronę ołtarza i Juda zastosował się do jej żądania. Nie odwrócił głowy, zabrał swój pled, którego ona nawet nie zauważyła, i wyszedł. Gdy dochodził do kruchty, Sue usłyszała jego kaszel zmieszany z dźwiękiem deszczu bijącego o szyby i wiedziona ostatnim porywem ludzkiego uczucia, nawet teraz niezduzzonego przez narzucone sobie więzy, poderwała się, aby mu pomóc. Ale z powrotem uklękła, zatkała sobie uszy rękami, dopóki nie zamarł odgłos jego kroków.

W tej chwili Juda był już na krańcu błonia, skąd ścieżka biegła przez pole, gdzie jako chłopiec płoszył gawrony. Odwrócił się i raz jeszcze spojrzął za siebie, na mury, za którymi ciągle jeszcze była Sue. A potem ruszył dalej, wiedząc, że już nigdy więcej oczy jego nie ujrzą tego zakątka świata.

Jesienią i zimą w niektórych okolicach Wesseksu chłód daje się specjalnie we znaki, ale najzimniejszym miejscem przy północnym albo wschodnim wietrze jest wierzchołek wzgórza koło Brown House, obok skrzyżowania drogi do Alfredston ze starym szlakiem Ridgeway. Tu spada i leży pierwszy zimowy śnieg z deszczem i tu bronią się przed odwilżą wiosenne szrony. Tu w podmuchach północno-wschodniego wiatru Juda szedł przed siebie, przemoczony do szpiku kości; brak sił nie pozwalał mu na szybszy krok i rozgrzanie się ruchem. Doszedł do kamienia milowego i mimo deszczu rozłożył pled i położył się, aby odpocząć. Zanim ruszył dalej, palcami wymacał napis, który kiedyś wyrył na odwrotnej stronie kamienia – prawie całkowicie zarósł go mech. Potem minął miejsce, gdzie stała szubienica; stracono tu ongiś wspólnego przodka jego i Sue. I wreszcie zszedł ze zbocza.

Doszedł do Alfredston już po ciemku. Napił się tam herbaty, bo śmiertelny chłód, który zaczął go na wskroś przenikać, zanadto mu już dokuczał. Aby wrócić do domu, musiał pojechać tramwajem parowym, a potem koleją z przesiadaniem i dłuższą przerwą na stacji węzłowej.

Dobrnął do Christminster dopiero o dziesiątej wieczorem.

IX

Na peronie stała Arabella. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Pojechałeś do niej, co? – zapytała.

– Tak – odparł Juda, dosłownie trzęsąc się z zimna i zmęczenia.

– No to maszeruj teraz do domu.

Cały ociekał wodą i w drodze musiał oprzeć się o mur przy napadzie kaszlu.

– Sam sobie napytałeś biedy, mój drogi – rzekła Arabella. – Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę.

– Owszem. Nawet zrobiłem to świadomie.

– Co... samobójstwo?

– Oczywiście.

– Niech to licho weźmie! Zabijać się dla kobiety!

– Posłuchaj mnie, Arabello. Tobie się zdaje, że jesteś silniejsza, i teraz rzeczywiście jesteś silniejsza w sensie fizycznym. Mogłabyś mnie przewrócić, jak przewraca się kręgle. Nie wysłałaś wtedy tego listu i nie mogę mieć o to pretensji. Ale z drugiej strony nie jestem tak słaby, jak myślisz. Przyszło mi do głowy, że człowiek zamknięty w swoim pokoju z powodu zapalenia płuc, człowiek, któremu pozostały na świecie dwa tylko pragnienia: zobaczyć pewną kobietę, a potem umrzeć, może łatwo zaspokoić oba te życzenia za jednym zamachem, jadąc do niej w taką pogodę. I tak zrobiłem. Zobaczyłem ją po raz ostatni i skończyłem ze sobą... skończyłem z nieszczęsnym życiem, które nigdy nie powinno się było zaczynać.

– O Boże, ależ wzniosie gadasz! Nie chciałbyś napić się czegoś dla rozgrzewki?

– Nie, dziękuję. Chodźmy do domu.

Szli obok uspionych kolegów i Juda ciągle się zatrzymywał.

– Na co tak patrzysz?

– Takie bezsensowne urojenie. Tak jakbym w czasie tej ostatniej mojej drogi znowu ujrzał widziadła, jak wtedy, kiedy szedł tędy po raz pierwszy.

– Osobliwy z ciebie facet!

– Tak jakbym je widział i nieledwie słyszę, jak się przesuwają. Ale nie czuję do nich uwielbienia tak jak wtedy. Nie wierzę w połowę tych ludzi. Nie interesują mnie już teologowie, apologeci, pokrewni im metafizycy, wyniośli mężowie stanu czy inni. Wszystko to zniszczyła we mnie miazdząca i surowa rzeczywistość!

Z twarzy Judy, o trupim wyglądzie w wodnistym świetle latarni, istotnie wyczerała ułuda, że widzi on ludzi tam, gdzie ich wcale nie było. Czasem stawał nieruchomo przy bramie, jakby patrząc na osobę z niej wychodzącą. Potem wpatrywał się w okno, jakby dostrzegał tam znajomą twarz. Zdawał się słyszeć głosy, których słowa powtarzał niejako dla lepszego zrozumienia ich sensu.

– Zda się, drwią ze mnie!

– Kto?

– Ach!... mówiłem do siebie! Wszędzie tu krążą widma: w kolegiach, wśród sklepionych łuków, w oknach. Dawniej patrzeli na mnie przyjaźnie, zwłaszcza Addison i Gibbon, Johnson i Dr Browne, i biskup Ken...

– Chodźże! Widma mu w głowie! Nie ma tu ani żywych, ani umarłych oprócz jednego przekłętą policjanta! Jak żyję, nie widziałam takiej pustki na ulicy!

– Pomyśl tylko! Tędy chadzał Poeta Wolności i wielki Badacz Melancholii!

– Nie mam wcale ochoty o nich słuchać! Śmiertelnie mnie to nudzi.

– Z tej uliczki kiwa na mnie Walter Raleigh... Wycliffe... Harvey... Hooker... Arnold... i cały tłum cieni traktarianów...

– Mówię ci, że wcale sobie nie życzę o nich słyszeć! Co mnie mogą obchodzić ludziska, co tak dawno pomarli i odeszli? Słowo daję, bardziej jesteś trzeźwy, kiedy pijesz, niż kiedy wódki w ustach nie miałeś!

– Muszę chwileczkę odpocząć! – powiedział Juda. I gdy stanął, trzymając się bariery, zmierzył okiem wysokość frontonu kolegium. – To stare kolegium Rubric; a tam Sarcofagus; a wyżej Crozier i Tudor; a tu, obok nas, Kolegium Kardynała z długą fasadą i oknami, które wyglądają jak brwi uniesione w górę, jakby wyrażając uprzejme zdziwienie uniwersytetu wobec wysiłków ludzi w moim rodzaju.

– Chodź do domu.

– Dobrze. Czuję już chłód mgły znad łąk przy Kolegium Kardynała, tak jakby zaciskały się na mnie pazury śmierci. Nie jestem mieszkańcem ani krainy ludzi, ani krainy cieni, jak powiedziała Antygona. Ale kiedy umrę, Arabello, zobaczysz, że duch mój będzie krążyć wśród tutejszych mar!

– Phi! może wcale nie umrzesz. Dostyc masz jeszcze krzepy, mój stary.

Noc już zapadła nad Marygreen i nic nie wróżyło, aby miał ustać deszcz, który rozpadał się po południu. Prawie o tej samej godzinie, kiedy Juda i Arabella kierowali się ku domowi ulicami Christminster, wdowa Edlin przecięła błonie i weszła od tyłu do mieszkania nauczyciela, co nieraz robiła wieczorem, aby pomóc Sue przy sprzątanii.

Sue bezradnie krzątała się po kuchni, bo mimo usilnych starań nie była dobrą gospodynią i niecierpliwiły ją domowe drobiazgi.

– Na miłość boską, po co też sama się do tego bierzesz, kiedy ja właśnie po to idę. Wiedziałaś przecie, że przyjdę.

– O! nie wiedziałam... zapomniałam! Nie, nie zapomniałam. Wzięłam się do tego, aby wziąć się w karby. Od ósmej szorowałam schody. Muszę się wprawić w zajęcia domowe. Okropnie je zaniedbałam.

– Po co masz to robić? On dostanie lepszą szkołę, a może w swoim czasie zostanie pastorem i będziecie mieli dwie służące. Szkoda tych ładnych rączek.

– Niech pani nie mówi o moich ładnych rękach, bardzo proszę. To moje ładne ciało już mnie doprowadziło do ruiny!

– E tam! nie ma co mówić o takim ciele jak twoje! Podobniejsza

jesteś do ducha. Ale coś się z tobą dzisiaj dzieje niedobrego, kochaneczko. Mąż w złym humorze?

– Nie. On nigdy nie jest w złym humorze. Wcześniej się położył.

– No to co się stało?

– Nie mogę pani powiedzieć. Zrobiłam dzisiaj coś złego...

I chciałabym to w sobie zniszczyć... Ostatecznie powiem... Juda był tutaj po południu i okazało się, że go ciągle Kocham, ach! jak bardzo! Więcej już nie mogę powiedzieć.

– Ach! – powiedziała wdowa. – Mówiłam ci, jak to będzie!

– Właśnie, że tak nie będzie! Nie powiedziałam mężowi o tej wizycie; nie ma potrzeby go niepokoić, ponieważ nie mam zamiaru kiedykolwiek jeszcze zobaczyć Judy. Ale uspokoję sumienie w dziedzinie moich obowiązków względem Ryszarda, odprawiając pokutę... ostateczną pokutę. Muszę to zrobić!

– A ja nie robiłabym tego na twoim miejscu, skoro on już się zgodził, aby było inaczej. Ostatecznie przez trzy miesiące było dobrze bez tego.

– Owszem, Ryszard zgadza się, aby nasze pożycie układało się wedle mojej woli, ale odczuwam to jako pobłażliwość dla mnie, czego nie powinnam od niego wymagać. Nie powinnam przyjmować takiego układu. Tamta druga alternatywa będzie straszna, ale muszę się zdobyć na więcej sprawiedliwości dla niego. Ach! czemu byłam takim tchórzem!

– Co cię właściwie w nim razi? – zapytała ciekawie pani Edlin.

– Nie umiem pani powiedzieć. Coś takiego... Nie mogę tego wyrazić. Najgorsze jest to, że nikt nie uznałby tego jako racji do podobnych uczuć jak moje. Nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia.

– Czy rozmawiałaś o tym kiedy z Judą?

– Nigdy.

– W dawnych czasach słyszało się dziwne opowieści o mężach – zauważyła wdowa zniżonym tonem. – Powiadali, że kiedy jeszcze święci trafiali się na ziemi, diabli po nocy brali na siebie postać mężów i wpędzali biedne kobieciny w różnego rodzaju kłopoty. Ale nie wiem, czemu to mi przyszło do głowy; bajki to były i nic więcej... Co to za wichura dzisiaj i deszcz! Nie śpiesz się z tą zmianą, moja miła. Zastanów

się jeszcze.

– Nie, nie! Zdobyłam się na odwagę w głębi mojej słabej istoty, żeby odnieść się do niego bardziej życzliwie; i tak musi się stać... zaraz dzisiaj... zanim się załamie!

– Nie uważam, abyś powinna postępować wbrew swej naturze. Nie można tego oczekiwać od żadnej kobiety.

– To mój obowiązek; wysącze ten kielich aż do dna!

Pół godziny później, gdy pani Edlin włożyła czepeczek i zarzuciła szal, zbierając się do odejścia, Sue ogarnęła nieokreślona trwoga.

– Nie, nie... niech pani nie odchodzi – błagała z rozszerzonymi oczami i rzucając szybkie, nerwowe spojrzenia za siebie.

– Ależ czas już spać, moje dziecko!

– Ja wiem, ale tu jest mały pokój, mój dotychczasowy pokój! Niech pani zostanie, pani Edlin, bardzo proszę! Będę pani potrzebowała jutro rano.

– Dobrze, zostanę, jeśli ci na tym tak zależy. Mojej chałupie nie zdarzy się nic złego, czy wrócę na noc, czy nie.

Zamknęła drzwi i obie kobiety poszły razem na górę.

– Niech pani tu poczeka – powiedziała Sue. – Muszę przez chwilę być sama w moim dawnym pokoju.

Zostawiwszy wdowę Edlin na podeście, Sue odeszła do pokoju, który wyłącznie do niej należał, odkąd przybyła do Marygreen. Klęczała tu przez parę minut, potem wstała i wyjąwszy spod poduszki koszulę nocną, rozebrała się i wróciła do pani Edlin. Z pokoju naprzeciwko dochodziło chrapanie mężczyzny. Sue powiedziała pani Edlin dobranoc i wdowa weszła do pokoju, który ona dopiero co opuściła.

Wtedy Sue chwyciła za klamkę u drzwi do drugiego pokoju i tak jakby w omdleniu osunęła się na podłogę przed progiem. Wstała, uchyliła drzwi i zawołała: „Ryszardzie!”. Wymawiając to słowo, silnie zadrżała.

Chrapanie ustało na pewien czas, ale Phillotson nie odezwał się. Sue z ulgą pośpieszyła z powrotem do pani Edlin.

– Czy pani już leży? – zapytała przez drzwi.

– Nie, kochaneczko – odparła wdowa, otwierając je. – Stara jestem i powolna i rozbieranie zajmuje mi dużo czasu. Jeszcze nie

rozsnurowałam stanika.

– Tam u niego jest zupełnie cicho! Może... może...

– Co, dziecko?

– Może umarł?! – zawołała Sue, dysząc. – A jeśli tak... będę wolna i będę mogła wrócić do Judy! Ach, nie! zapomniałam o niej... i o Bogu!

– Chodźmy i posłuchajmy. Nie... chrapie znowu. Deszcz i wiatr robią tyle hałasu, że ledwie co słyszeć w przerwach.

Sue opanowała się.

– Jeszcze raz dobranoc, pani Edlin. Przepraszam, że pani przeszkodziłam.

Po raz drugi wdowa znikła w swoim pokoju.

Gdy Sue pozostała sama, na twarz jej wypłynął wyraz wymuszonej rezygnacji.

– Muszę... muszę! Muszę wychylić swój kielich goryczy do dna! – szepnęła. – Ryszardzie! – zawołała znowu.

– Tak? co tam znowu? To ty, Zuzanno?

– Tak.

– Czego chcesz? Co się stało? Poczekaj chwilę.

Zarzucił coś na siebie i podszedł do drzwi.

– Co tam?

– Kiedy mieszkaliśmy w Shaston, wołałam wyskoczyć przez okno, niż pozwolić ci zbliżyć się do mnie. Nigdy potem nie zmieniłam swego postępowania względem ciebie... czynię to teraz, przychodząc prosić cię o przebaczenie, prosić, abyś mi pozwolił przyjść do siebie.

– Może tylko w siebie wmawiasz, że powinnaś to zrobić? Nie chcę, aby to się stało wbrew twoim impulsom, co już poprzednio zaznaczałem.

– Proszę cię o to! – Sue czekała chwilę i powtórzyła: – Proszę cię o to! Zgrzeszyłam, nawet dzisiaj. Przekroczyłam swoje uprawnienia. Nie zamierzałam przyznawać się do tego, ale pewnie powinnam.

Zgrzeszyłam przeciwko tobie dziś po południu.

– W jaki sposób?

– Widziałam się z Judą! Nie spodziewałam się go. Ale...

– No?

– Całowałam go i pozwalałam mu się całować.

– Ach!... zawsze to samo!

– Ryszardzie, ja nie wiedziałam, że dojdzie do pocałunków, zanim się to stało.

– Ile razy?

– Dużo razy. Nie wiem. Teraz, kiedy o tym myślę, ogarnia mnie przerażenie. Jedyne, co mogłam zrobić, to przyjść do ciebie.

– No, no! bardzo to nieładnie po tym, co dla ciebie zrobiłem. Cóż masz jeszcze do wyznania?

– Nic więcej. – Miała zamiar powiedzieć: „Mówiłam do niego: «Mój jedyny, ukochany»”, ale ponieważ pokutująca kobieta zawsze coś ukrywa, ta rzecz nie została wyjawiona. – Już go nigdy więcej nie zobaczę – ciągnęła Sue. – On wspomniał o przeszłości i tak mnie to naszło. Mówił o... o dzieciach. Ale, jak już powiedziałam, ja się cieszę, ja się prawie cieszę, Ryszardzie, że one nie żyją. To wymazuje całe moje przeszłe życie!

– A więc czy rzeczywiście masz zamiar nigdy go więcej nie spotkać?

W tonie Phillotsona zadźwięczało coś takiego, co zdawało się wskazywać, że trzymiesięczny okres jego powtórnego małżeństwa z Sue nie upłynął tak pomyślnie, jak na to liczył w swej wielkoduszności i miłosnej cierpliwości.

– Tak, tak!

– Może przysięgniesz na Ewangelię?

– Przysięgnę.

Phillotson wrócił do siebie i przyniósł mały Nowy Testament w brązowej oprawie.

– No więc proszę: tak mi Boże dopomóż!

Sue przysięgła.

– Doskonale.

– A teraz błagam cię, Ryszardzie, pozwól mi przyjść do ciebie, bo należę do ciebie i pragnę cię szanować i być ci posłuszną według przysięgi.

– Dobrze się jeszcze zastanów. Wiesz przecie, co to oznacza. Co innego jest przyjąć cię do mego domu, a co innego... tamto. A więc namyśl się.

– Już się namyśliłam, chcę tego!

– To się nazywa duch uległości... może i masz rację. Kiedy w pobliżu kręci się kochanek, połowiczne małżeństwo powinno być dopełnione. Po raz trzeci jednakże powtarzam ostrzeżenie.

– Chcę tego!... O Boże!

– Czemu powiedziałaś: O Boże?

– Nie wiem!

– Owszem, wiesz! Ale... – przez chwilę Phillotson patrzył ponuro na jej drobną i wątłą postać w nocnym stroju skuloną przed nim. – Przypuszczałem, że na tym się skończy – powiedział. – Nic ci się ode mnie nie należy, ale biorę cię za słowo i przebaczam ci.

Objął ją ramieniem, aby ją podnieść. Sue cofnęła się raptownie.

– Co to znowu? – zapytał po raz pierwszy surowym tonem. – Znowu się wzdragasz? Tak jak dawniej?

– Nie, Ryszardzie... ja... nie myślałam...

– Chcesz do mnie przyjść?

– Tak.

– Wiesz, co to oznacza?

– Tak. To mój obowiązek.

Phillotson postawił lichterz na komodzie, przeprowadził Sue przez próg i pocałował ją. Przez jej twarz przemknął wyraz wstrętu, ale zacisnęła zęby i nie krzyknęła.

Tymczasem pani Edlin już się rozebrała i miała się właśnie położyć do łóżka, kiedy powiedziała do siebie:

– Trzeba by może pójść zobaczyć, co z tą małą. Jakiż to wiatr i deszcz na dworze!

Wdowa wyjrzała na korytarz i stwierdziła, że Sue znikła.

– Ach! biedna duszyczka! W dzisiejszych czasach wesela całkiem są podobne do pogrzebów. Pięćdziesiąt pięć lat minie na przyszłą jesień, kiedyśmy się z moim starym pobrali! Zmienił się świat od tamtej pory, zmienił!

Na przekór sobie samemu Juda jakoś przyszedł do zdrowia i przez kilka tygodni pracował w swoim fachu. Po Bożym Narodzeniu jednakże znowu zachorował.

Dzięki zarobionym pieniądzom zmienił mieszkanie, przenosząc się jeszcze bliżej centrum miasta. Ale Arabella zorientowała się już, że Juda nie będzie mógł pracować przez dłuższy czas, i sierdziła się na taki obrót sprawy od chwili ich powtórnego małżeństwa.

– Niech mnie лихо weźmie! – mawiała. – Udało ci się to ostatnie posunięcie, nie ma co! Zapewniłeś sobie darmową pielęgniarkę, żeniąc się ze mną!

Juda okazywał najzupełniejszą obojętność na jej słowa i często nawet widział jej wymysły w humorystycznym świetle. Kiedy indziej wszakże ogarniał go poważniejszy nastrój i wtedy, leżąc w łóżku, chaotycznie rozprawiał o porażce, jaka spotkała jego młodzieńcze zamierzenia.

– Każdy człowiek ma jakieś, choćby niewielkie, uzdolnienia w pewnym kierunku – mówił. – Ja nigdy nie byłem dość mocny w kamieniarstwie, zwłaszcza w ustawianiu bloków. Dźwiganie ich zawsze mnie wyczerpywało, a wystawanie w nieznośnych przeciągach, zanim jeszcze wprawiono szyby w budynkach, zwykle kończyło się u mnie zaziębieniem. Sądzę, że w tym tkwił początek całej mojej choroby. Ale czuję, że przy sprzyjających okolicznościach jedną rzecz mógłbym zrobić. Mógłbym gromadzić idee i przekazywać je innym. Ciekaw jestem, czy założyciele uniwersytetu poświęcali trochę uwagi takim ludziom jak ja, ludziom nienadającym się do niczego innego, jak tylko do tej jednej rzeczy?... Podobno studenci bez żadnej pomocy, jak ja swego czasu, mają teraz mieć więcej szans. Na warsztacie są projekty, aby uniwersytet stał się mniej ekskluzywny i rozszerzył zasięg swoich wpływów. Bliższych szczegółów nie znam. Zresztą dla mnie to już za późno, o wiele za późno. Ach! i dla tylu innych, bardziej wartościowych, przede mną.

– Ale gadasz i gadasz! – powiedziała Arabella. – Myślałam, że już ci przeszło to całe wariactwo z książkami. I przeszłoby ci, gdybyś miał trochę sensu w głowie. Tyle samo jesteś wart dzisiaj co po naszym

pierwszym ślubie.

Kiedyś przy takim monologu Juda machinalnie powiedział do niej „Sue”.

– Mógłbyś uważać, do kogo się zwracasz! – zawołała Arabella z oburzeniem. – Żeby też przyzwoitą zamężną kobietę nazywać imieniem tej... – Pohamowała się, a Juda tego słowa nie dosłyszał.

Ale z biegiem czasu, widząc, jak się rzeczy mają i jak niczym jej nie grozi rywalizacja Sue, Arabella wpadła w nastrój szczodrobliwości.

– Pewnie chciałbyś zobaczyć tę swoją Sue? – zapytała. – Niech przyjdzie, proszę bardzo. Jeśli chcesz, można ją zaprosić.

– Nie chcę już jej widzieć.

– O? co za zmiana?

– Nic jej o mnie nie donoś... że jestem chory... w ogóle nic. Sama wybrała swoją drogę. Niechże nią idzie!

Pewnego dnia spotkała go niespodzianka. Pani Edlin przyjechała w odwiedziny z własnej inicjatywy. Żona Judy, która teraz odnosiła się z zupełną obojętnością do obiektu jego uczuć, wyszła z domu, zostawiając z nim staruszkę sam na sam. Juda od razu zapytał o Sue, a potem powiedział bez ogródek, pamiętając jej wyznanie:

– Przypuszczam, że oni są nadal tylko nominalnie mężem i żoną? Pani Edlin zawahała się.

– Ano, teraz już jest inaczej. Niedawno Sue doprowadziła do tej zmiany z własnej i nieprzymuszonej woli.

– Kiedy to się stało? – zapytał Juda niecierpliwie.

– W noc po twojej bytności. Ta biedusia zadała to sobie jako karę. On nawet nie chciał, ale ona nalegała.

– Sue, moja kochana, szalona Sue!... to już więcej, niż zdołam udźwignąć! Pani Edlin... niech panią nie przeraża moja gadanina. Przyzwyczailem się mówić do siebie, bo godzinami leżę zupełnie sam. Ona była niegdyś kobietą, której inteligencja lśniła przy mojej jak gwiazda przy blasku lampy naftowej; patrzyła na moje przesady jak na pajęczynę, którą jednym słowem mogła wymieść. A potem poraziło nas to ciężkie zmartwienie, intelekt Sue zaćmił się i pogrzyżył w mroku. Jakże różnią się mężczyźni od kobiet. Czas i okoliczności, które rozszerzają horyzonty większości mężczyzn, zacieśniają prawie

niezmiennie poglądy kobiet. A teraz przyszła końcowa faza zgrozy: w niewoli pozorów poddała się temu, co jest jej najbardziej wstrętne! Ona... tak wrażliwa... tak delikatna... zdawało się, że nawet wiatr, wiejąc, ma dla niej względy... Co do nas, jeszcze za dawnych dni, kiedy oboje byliśmy w najlepszej formie, kiedy myśleliśmy jasno i nieustraszenie kochaliśmy prawdę, czasy nie dorastały do nas dojrzałością! Nasze zapatrywania wyprzedzały je o pięćdziesiąt lat i nic dobrego to nie wróżyło. Opór, jaki napotykały nasze poglądy, wywierał duży wpływ na psychikę Sue, a u mnie wywoływał lekceważenie wszystkiego i zupełne załamanie. Widzi pani, pani Edlin, jak ja bez ustanku rozmawiam z samym sobą, kiedy tak sobie leżę. Pewnie panią śmiertelnie nudzę.

– Wcale nie, mój drogi chłopcze. Mogłabym tak cię słuchać przez cały dzień.

Im dłużej Juda zastanawiał się nad nowinami, które przyniosła pani Edlin, i im większy ogarniał go niepokój, tym bardziej bluźnierczych słów używał w swej duchowej męce przeciwko konwencjom społecznym i wreszcie dostał napadu kaszlu. W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i ponieważ nikt ich nie otwierał, pani Edlin sama zeszła na dół.

Gość przedstawił się uprzejmie jako lekarz. Chuda postać okazała się być doktorem Vilbertem, którego wezwała Arabella.

– Jak się czuje mój pacjent? – zapytał.

– O, źle, bardzo źle! Biedny chłopak podniecił się i strasznie bluźni, odkąd wyrwała mi się niechcący pewna wiadomość... bardzo to sobie wyrzucam. Ale pan doktor musi okazać pobłażliwość dla słów cierpiącego człowieka. Mam nadzieję, że Bóg mu przebaczy.

– Aha. Pójdę go zbadać. Czy pani Fawley jest w domu?

– Nie ma jej, ale wkrótce pewnie wróci.

Vilbert udał się na górę; ale chociaż do tej pory Juda z najwyższą obojętnością zażywał lekarstwa tego utalentowanego medyka, ile razy Arabella wlała mu je do gardła, teraz, jak zaszczute zwierzę, rzucił w twarz Vilbertowi swoją opinię o nim, i to tak gwałtownie, że lekarz niebawem zbiegł z powrotem na dół. Pani Edlin już wyszła, a w drzwiach spotkał Arabellę. Zapytała go, jak znalazł męża, i widząc

nachmurzoną twarz doktora, zaproponowała mu kieliszek. Chętnie się zgodził.

– Przyniosę panu tu, do sieni – powiedziała. – Nikogo prócz mnie nie ma dzisiaj w domu.

Przyniosła butelkę i kieliszek i Vilbert go wychylił. Wtedy Arabella zaczęła trząść się w ataku hamowanego śmiechu.

– Co to było, moja droga pani? – zapytał, oblizując wargi.

– Och! kropeczka wina, z dodatkiem jeszcze czegoś. – I znowu wybuchając śmiechem, Arabella dodała: – Wlałam tu panu napój miłosny, który pan mi sprzedał na Wystawie Rolniczej, pamięta pan?

– Jakże! pamiętam, naturalnie! A to przebiegła z pani kobietka. Ale musi się pani przygotować na konsekwencje. – I obejmując ją ramieniem, zaczął ją całować.

– Nie, nie! – szeptała, śmiejąc się wesoło. – Mąż usłyszy.

W końcu odprowadziła Vilberta do drzwi i wracając, pomyślała: „Trudno! słabe kobiety muszą się zabezpieczać na złe czasy. Jeśli ten biedak na górze przeniesie się na tamten świat, a sędzę, że to niebawem nastąpi, dobrze będzie mieć coś napiętego. Nie mogę teraz przebierać i wybredzać jak za młodych lat! Trzeba brać starego, skoro nie da się złapać młodzieniaszka”.

XI

Ostatnie stronice opowieści, do których wysłuchania wzywa czytelnika kronikarz żywota jej bohaterów, obejmują sceny rozgrywające się wokół pokoju, gdzie leżał Juda; na świecie panowało znowu bujne zielenią lato.

Twarz Judy była tak wychudzona, że dawni znajomi z trudem by go poznali. Pora była popołudniowa; Arabella siedziała przed lustrem, fryzując włosy za pomocą drutu z parasola, który rozgrzewała nad płomieniem zapalanej świecy i przykładała potem do luźno puszczonej kosmyków. Gdy z tym skończyła, wywołała na twarz dołeczek, ubrała

się i spojrzała na Judę. Zdawało się, że śpi, chociaż siedział w łóżku, bo nie znosił już pozycji leżącej.

W kapeluszu i rękawiczkach, zupełnie gotowa do wyjścia, Arabella usiadła, jakby oczekując, że ktoś przyjdzie i zastąpi ją przy łóżku chorego.

Odgłosy dochodzące z zewnątrz świadczyły, że na mieście odbywają się jakieś uroczystości, chociaż tutaj nie odczuwało się bynajmniej odświętnego nastroju, cokolwiek miało być jego przyczyną. Odezwały się dzwony i dźwięk ich dotarł przez otwarte okna do pokoju, a do uszu Judy w postaci cichego brzęczenia. Arabellę bicie dzwonów wprowadziło w niepokój i wreszcie powiedziała głośno do siebie:

– Kiedyż ten ojciec przyjdzie!

Znowu spojrzała na Judę, krytycznie oszacowała jego odpływające życie, co niejednokrotnie robiła w ciągu ostatnich miesięcy, i rzuciwszy okiem na zegarek zawieszony na łańcuszku, zerwała się niecierpliwie z miejsca. On ciągle spał, więc w końcu powzięła decyzję, wymknęła się z pokoju, bez szmeru zamknęła drzwi i zeszła ze schodów. Dom był pusty. Atrakcje, które kusiły Arabellę do wyjścia, widocznie już dawno wyciągnęły z mieszkania innych domowników.

Dzień był ciepły, bezchmurny, powabny. Arabella zamknęła za sobą drzwi frontowe i pośpieszyła ulicą Główną. W pobliżu teatru usłyszała dźwięki organów – odbywała się próba przed zbliżającym się koncertem. Przeszła pod sklepionym łukiem kolegium Oldgate, gdzie robotnicy rozciągali dach z płótna, bo wieczorem miał się tutaj odbyć bal. Wycieczkowicze z prowincji rozłożyli się naokoło na trawie; Arabella spacerowała chwilę po zwirowanych ścieżkach i w cieniu starych lip. Ale stwierdziwszy, że jest tu nudno, wróciła na ulicę i przyglądała się pojazdowi jadącemu na koncert, licznym „donom” z żonami i tłumom studentów w towarzystwie wesołych panien. Gdy zamknięto drzwi i koncert się zaczął, ruszyła z powrotem.

Potężne dźwięki muzyki popłynęły poprzez żółte story trzepoczące w otwartych oknach, ponad dachami domów, wnikając w ciszę bocznych uliczek. Dotarły nawet do pokoju, gdzie leżał Juda, który mniej więcej w tym samym czasie zaczął znowu kaszleć i obudził się.

Gdy tylko zdołał wykrztusić słowo, szepnął, nie otwierając jeszcze

oczu:

– Pić! proszę wody!

Na tę prośbę pusty pokój odpowiedział ciszą; znowu zaniósł się kaszlem aż do zupełnego wyczerpania, prosząc jeszcze słabszym głosem:

– Wody, trochę wody... Sue... Arabello!

Ciszy nic nie zmąciło. Znowu powiedział, dysząc:

– Gardło... wody... Sue, moja jedyna... daj mi troszeczkę wody... proszę... błagam!

Nikt mu nie podał wody; dźwięki organów, słabe jak brzęczenie pszczoły, nadal wnikały do pokoju.

Twarz Judy zmieniała się stopniowo, a gdzieś od strony rzeki rozlegały się okrzyki i wiwaty.

– Ach, prawda! – szepnął. – Festyn w Święto Przypomnienia. A ja tutaj sam. Sue zbezczeszczona...

Wiwaty powtarzały się, tłumiąc słabe tony organów. Twarz Judy zmieniała się coraz bardziej; szeptał powoli z ledwie widocznym ruchem spierzchniętych warg:

– „Niech zginie dzień, któregom się urodził, i noc, w którą rzecono: Począł się człowiek”.

– Hura!

– „Dzień on niech się obróci w ciemności, niech się o nim nie pyta Bóg z wysoka, i niech nie będzie oświeceń światłością. Noc ona niech będzie opuszczała ani chwały godna”.

– Hura!

– „Czemum w żywocie nie umarł, wyszedłszy z żywota wnet nie zginął?... Teraz bowiem śpiąc, milczałbym i odpoczywałbym snem moim”.

– Hura!

– „Tam niezbożnicy przestali od trwogi i tam odpoczynęli, spracowani siłą. I nigdy społem związani bez przykrości nie usłyszeli głosu wyciągacza... Mały i wielki tam są, i niewolnik wolen od pana swego. Przecz nędznemu dana jest światłość, a żywot tym, którzy są w gorzkości dusze?”

Tymczasem Arabella, chcąc zobaczyć, co się dzieje na dziedzińcu Kolegium Kardynała, pobiegła skrótem przez wąską uliczkę i jakiś opuszczony zaułek. Dziedziniec roił się od tłumy i w blasku słońca jaśniał kwieciami i ozdobami, bo i tutaj przygotowywano się do balu. Jakiś cieśla, dawny kolega Judy, kiwnął głową Arabelli. Budowano właśnie pasaż od bramy aż do klatki schodowej Kolegium z wesołych, czerwonych i żółtych, flag. Naokoło ustawiono całe mnóstwo skrzynek z roślinami w pełnym kwiecie, a na wielkich schodach rozciągnięto czerwone sukno. Arabella, kłaniając się po drodze robotnikom, dzięki znajomości z nimi dotarła do wielkiej sali Kolegium; układano tam nową posadzkę i dekorowano salę przed zabawą. Dzwon katedralny tuż obok wzywał na popołudniowe nabożeństwo.

– Chętnie pokręciłabym się tu w objęciach jakiegoś ładnego chłopca – powiedziała Arabella jednemu z robotników. – Ale gdzie tam, wielki Boże! muszę zaraz lecieć do domu... tyle jest do roboty. Nie dla mnie tańce!

Przed domem spotkała Stagga i paru innych kamieniarzy, kolegów Judy.

– Idziemy nad rzekę – powiedział Stagga – popatrzeć na wyścig łodzi. Ale wstąpiliśmy po drodze zapytać o zdrowie męża.

– Smacznie sobie śpi, dziękuję za pamięć – odparła Arabella.

– W porządku. W takim razie, pani Fawley, niech pani sobie pozwoli na pół godzinki odpoczynku i pójdzie z nami. Doskonale to pani zrobi.

– Chętnie – odparła. – Nigdy nie widziałam wyścigów łodzi, a podobno to pierwszorzędna zabawa.

– No to jazda!

– Mam ogromną ochotę! – Arabella spojrzała pożądliwym okiem na ulicę. – Poczekajcie chwilkę w takim razie. Wpadnę tylko i zobaczę, jak on się miewa. Sądzę, że ojciec przy nim siedzi, więc prawdopodobnie będę mogła z wami pójść.

Zatrzymali się, a ona weszła do domu. Na dole ciągle jeszcze nie było nikogo z domowników, którzy jak jeden mąż udali się nad rzekę, gdzie miały defilować łodzie. W sypialni okazało się, że Donn wcale się

nie zjawił.

– Że też nie przyszedł do tej pory! – zawołała niecierpliwie Arabella. – Na pewno sam chce zobaczyć łodzie, na to wygląda.

Spojrząwszy na łóżko, nabrała jednak otuchy, bo Juda najwidoczniej spał, chociaż nie w swojej zwykłej, półsiedzącej pozycji spowodowanej kaszlem. Osunął się z poduszek i leżał płasko. Gdy spojrzała nań powtórnie, zadrżała i podeszła bliżej. Twarz Judy była zupełnie biała i stopniowo sztywniała. Dotknęła jego palców: były zimne, chociaż w ciele zostało jeszcze trochę ciepła. Nadśluchiwała chwilę przy piersi, ale nie rozległ się najmniejszy szmer. Bicie serca nieustające przez blisko trzydzieści lat, teraz zamilkło.

Po pierwszym dreszczu trwogi wobec tego, co się stało, do uszu Arabelli dotarły słabe dźwięki wojskowej czy innej dętej orkiestry i wtedy zawołała z oburzeniem:

– Pomyśleć tylko, że musiał umrzeć akurat teraz! A to dopiero! – A potem, po chwili zastanowienia, wycofała się do drzwi, cicho je za sobą zamknęła i zbiegła ze schodów.

– Oto i ona! – powiedział jeden z robotników. – Ciekawiśmy byli, czy pani przyjdzie, czy nie. Chodźmy, trzeba się śpieszyć, żeby zająć dobre miejsca. Jakże tam Juda? Ciągłe śpi? Nie chcielibyśmy, oczywiście, wyciągać pani z domu, jeżeli...

– Owszem, śpi, śpi bardzo mocno. Nie obudzi się tak prędko – powiedziała Arabella.

Wraz z tłumem pociągnęli ulicą Kardynała aż do mostu i stamtąd już zobaczyli wesoło przystrojone barki. Potem wąskim przejściem dostali się na nadbrzeżną ścieżkę, rozgrzaną teraz, pełną kurzu i zatłoczoną. Prawie natychmiast po ich przybyciu rozpoczęła się wielka parada łodzi; wiosła muskały toń rzeki jakby głośnym pocałunkiem, gdy wiosłarze zniżali je ku wodzie.

– Ach! jak tu wesoło! – zawołała Arabella. – Jakże się cieszę, że tu przyszedłam. Mężowi nie stanie się nic złego.

Po drugiej stronie rzeki, na zatłoczonych barkach, widniał wspaniały bukiet pięknych kobiet wystrojonych w modne suknie, zielone, różowe, niebieskie i białe. Błękitna flaga Klubu Wioślarskiego znaczyła ośrodek uroczystości, a pod nią muzykanci w czerwonych

mundurach grali melodię, którą Arabella usłyszała jeszcze w pokoju umarłego. Studenci z różnych kolegiów i ich panny przemykali się szybko tam i z powrotem na kajakach, wypatrując pilnie „swoich” łodzi. Wpatrzona w tę ożywioną scenę Arabella poczuła nagle czyjeś dotknięcie i obracając się, zobaczyła Vilberta.

– Wie pani – powiedział z lubieżnym uśmiechem – ten napój miłosny działa. Fe! żeby tak zranić czyjeś serce!

– Nie chcę rozmawiać dzisiaj o miłości.

– Dlaczego? Wszyscy się dzisiaj weselą.

Arabella nic na to nie odpowiedziała, a Vilbert otoczył ramieniem jej kibić, co w tłumie można było zrobić niepostrzeżenie. Pod wpływem tego dotknięcia na twarz Arabelli wypłynął filuterny wyraz, ale dalej wpatrywała się w rzekę, tak jakby nie czuła uścisku.

Tłum napierał, wypychając czasem Arabellę i jej znajomych nad sam brzeg rzeki, i byłaby się śmiała z rubasznych scen, które się następnie rozgrywały, żeby nie mroziła jej nieco pamięć bladej, marmurowej twarzy, jaką miała w oczach.

Zabawa na rzece dosięgła szczytowego podniecenia; ludzie wpadali do wody, krzyczeli; jedni wygrywali wyścig, drudzy przegrywali; wreszcie różowe, błękitne i żółte panny zaczęły wycofywać się z barek, a tłum, który im się przyglądał, również ruszył z powrotem.

– Ano, śliczne to wszystko było! – zawołała Arabella. – Ale muszę już chyba wracać do mego biednego męża. Wprawdzie jest przy nim ojciec, o ile wiem, ale powinnam wracać.

– Po co taki pośpiech?

– Muszę już wracać... O Boże, Boże! jaka to niezręczna sytuacja!

Na wąskim przejściu, któredy ludzie wchodzili z nadbrzeżnej ścieżki na most, tłum zbił się dosłownie w jedną parującą masę. Arabella z Vilbertem posuwali się między innymi i w końcu utknęli. Arabella wykrzykiwała coraz bardziej niecierpliwie:

– O Boże! Boże! – bo przyszło jej właśnie do głowy, że jeśli ktoś stwierdzi, że Juda umarł bez opieki, może zająć potrzeba śledztwa.

– Jakaż z pani kręcicka, moja miła – powiedział lekarz, którego tłum tak przyparł do niej, że nie potrzebował czynić wysiłków, żeby jej dotknąć. – Trochę cierpliwości, na razie nie zdołamy się stąd wydostać!

Upłynęło prawie dziesięć minut, zanim zbita ciżba na tyle się ruszyła, aby ich przepuścić. Gdy tylko Arabella stanęła na ulicy, przyspieszyła kroku, tym razem zabraniając lekarzowi towarzyszyć sobie dalej. Nie poszła od razu do domu, lecz do kobiety, która zajmowała się udzielaniem ostatnich posług najbiedniejszym zmarłym, i zastukała do jej drzwi.

– Mój mąż, biedaczysko, zmarł przed chwilą – powiedziała. – Czy moglibyście przyjść i ubrać go do trumny?

Arabella poczekała chwilę i obie kobiety ruszyły razem, przeciskając się przez potoki eleganckiej publiczności opuszczającej trawniki przy Kolegium Kardynała i nieledwie wpadając pod koła pojazdów.

– Muszę jeszcze pobiec do kościelnego umówić się o podzwonne – powiedziała Arabella. – To tu niedaleko, prawda? Spotkamy się przed moim domem.

O dziesiątej wieczorem Juda leżał na łóżku, prosty jak struna, przykryty prześcieradłem. Przez uchylone okno wnikał radosny rytm walca od strony sali balowej w Kolegium Kardynała.

Dwa dni później – niebo było ciągle zasnuwane chmurami i powietrze tak samo duszne – w tym samym sypialnym pokoiku dwie osoby stały nad trumną Judy. Z jednej strony Arabella, a z drugiej wdowa Edlin. Obie patrzyły na jego twarz, a znużone, stare oczy pani Edlin zaczerwieniły się od łez.

– Jaki on piękny! – powiedziała.

– Owszem. Ładny z niego nieboszczyk – odparła Arabella.

Okno ciągle było otwarte, aby mogło dopływać powietrze, które o tej południowej porze stało nieruchome i ciche. Z oddali dochodziły głosy i szmer ludzkich kroków.

– Co to? – zapytała szeptem staruszka.

– Ach! to uczeni w teatrze nadają honorowe doktoraty księciu Hamptonshire i wielu innym sławnym wielkim panom. To przecież Tydzień Przypomnienia, nie wie pani? Wiwatują studenci.

– Tak, tak; są młodzi i mają zdrowe płuca. Nie tak jak ten nasz

nieboraczek.

Przypadkowe słowo, jakby urywek czyjejś mowy, przepłynęło przez otwarte okna teatru do tego cichego zakątka, wywołując coś w rodzaju uśmiechu na zastygłej twarzy Judy. Natomiast stare, wycofane z obiegu wydania Wirgiliusza i Horacego, grecki Testament z pozaginanymi rogami i parę innych podobnych tomów, z którymi Juda nigdy się nie rozstawał, zdawały się blednąć i nabierać trupiej barwy. Były szorstkie od pyłu kamiennego, bo chwycił je zwykle w krótkich przerwach od roboty. W tej samej chwili radośnie odezwały się dzwony i ich głos wypełnił cały pokój.

Oczy Arabelli zwróciły się od Judy do pani Edlin.

– Czy myśli pani, że ona przyjedzie? – zapytała.

– Chyba nie. Przysięgła, że go więcej nie zobaczy.

– Jakże ona wygląda?

– Umęczona i nieszczęśliwa, biedna duszyczka. Wiele lat jej przybyło od chwili, kiedy ją pani ostatnio widziała. Przybita z niej teraz, zniszczona kobieta. To wszystko przez tego męża; ona nie może go znieść nawet i dzisiaj.

– Gdyby Juda żył i mógł ją zobaczyć, pewnie już by mu na niej nie zależało.

– Co tu można wiedzieć... Czy nigdy nie prosił pani, aby posłać po Sue, od tego czasu, kiedy w taki dziwaczny sposób zjawił się u niej?

– Nie. Przeciwnie. Proponowałam, że to zrobię, ale nie pozwolił mi zawiadomić jej, jak ciężko jest chory.

– Czy jej przebaczył?

– Chyba nie.

– Ano, trzeba wierzyć, że ta biedna kruszyna otrzyma gdzieś przebaczenie! Na razie powiada, że znalazła spokój.

– Może przysięgać na klęczkach przed świętym krzyżem, co go nosi na szyi, może przysięgać, aż całkiem schrypnie, a nigdy to nie będzie prawdą! – rzekła Arabella. – Bo nie zaznała chwili spokoju, odkąd nie stało jej uścisku jego ramion, i nie zazna tego spokoju dopóty, dopóki nie legnie martwa tak jak on!

[27] Doroczna uroczystość ku czci założycieli Oksfordu.

[28] Angielskie imię Susanna odpowiada hebrajskiemu Szoszana, co oznacza także lilię.

SPIS TREŚCI

Przedmowa do pierwszego wydania

Postscriptum

CZEŚĆ PIERWSZA. W Marygreen

CZEŚĆ DRUGA. W Christminster

CZEŚĆ TRZECIA. W Melchester

CZEŚĆ CZWARTA. W Shaston

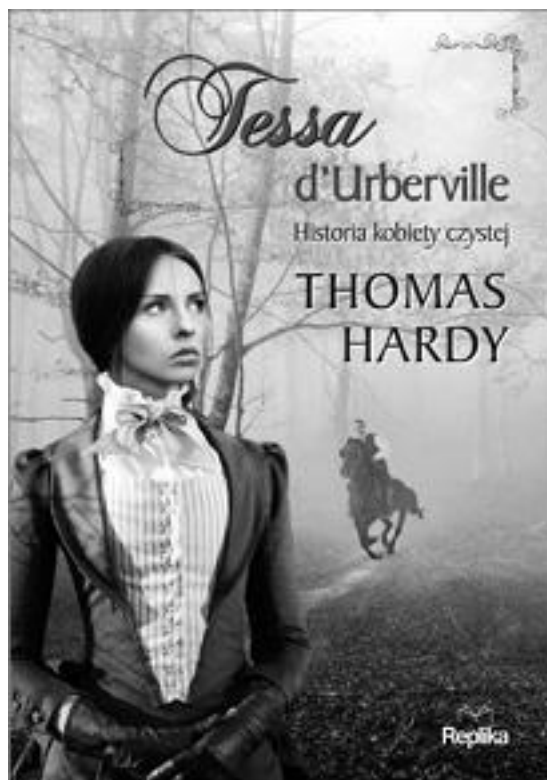
CZEŚĆ PIĄTA. W Aldbrickham i gdzie indziej

CZEŚĆ SZÓSTA. Z powrotem w Christminster

W sprzedaży!

Tessa d'Urberville. Historia kobiety czystej

Thomas Hardy



Jedna ze stu najważniejszych książek wszechczasów!

Szalone kontrowersje, jakie wzbudziła książka Thomasa Hardy'ego, Tessa D'Urberville, ukazując otwarty portret seksualnej hipokryzji społeczeństwa epoki wiktoriańskiej, tylko przyczyniły się do

tego, że stała się ona komercyjnym sukcesem natychmiast po ukazaniu w roku 1891. Ufna i bezbronna Tessa zostaje w myśl przyjętych ówczesnych zachowań wystawiona przez własną rodzinę jako atrakcyjny towar, by zyskać majątek. Bezlitośnie uwiedziona i wykorzystana przez rzekomego przyszłego męża, w konsekwencji samotnie rodzi dziecko, które wkrótce umiera. Wówczas Tessa spotyka młodego idealistę, Angela Clare'a. Ostatecznie jednak, kiedy poznaje jej przeszłość, ten odrzuca ją. Pozbawiona nadziei i środków do życia, będąc ofiarą obłudnej, skostniałej angielskiej moralności, Tessa ucieka przed cierpieniem, decydując się na straszny, desperacki krok.

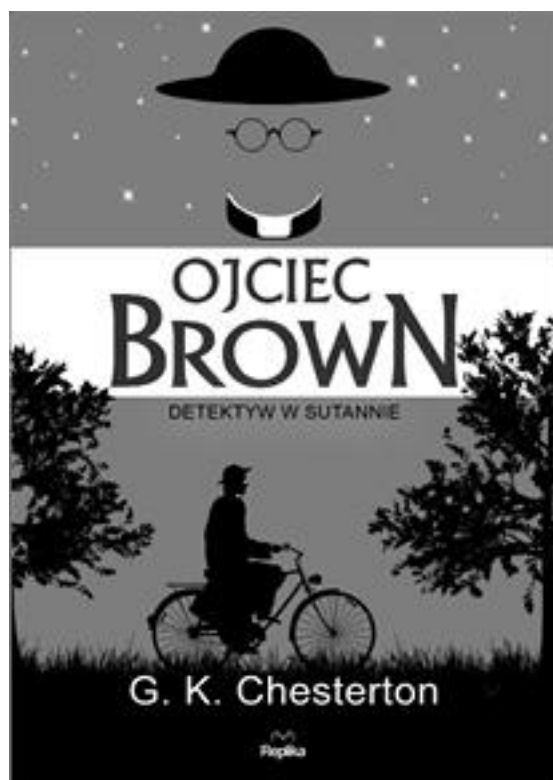
Bogaty, poetycki język, którym Hardy kreśli wstrząsającą historię miłości, zdrady oraz zbrodni, w połączeniu z krytyką społecznych konwenansów wraz z dogłębną refleksją nad rolą przeznaczenia w ludzkim życiu sprawiają, że Tessa D'Urberville należy do najbardziej poruszających i pamiętnych powieści Hardy'ego.

W 1979 roku na podstawie powieści powstał wielokrotnie nagradzany i doceniony przez krytykę film Romana Polańskiego z Nastassją Kinski w roli głównej, a roku 2008 nakręcono dokonały serial z Gemmą Arterton.

Wkrótce w sprzedaży!

Ojciec Brown

G. K. Chesterton



Ojciec Brown, skromny, szczerzy i przesympatyczny ksiądz, posiada niebywałą zdolność do rozwiązywania nawet najbardziej skomplikowanych zagadek kryminalnych. W nieprzeciętnej błyskotliwości leży tajemnica jego sukcesu. Wpada na trop przestępcy wyobrażając sobie, że znajduje się w jego umyśle. Jest zawsze tam,

gdzie powinien być najlepszy detektyw, dziwnym trafem często pojawia się na miejscu zbrodni jako pierwszy. I nie wątpi, że zawsze można uzyskać przebaczenie i odkupienie...

Na motywach opowiadań o księdzu Brownie powstał rewelacyjny serial telewizyjny „Ojciec Brown” z Markiem Williamsem w roli tytułowej.

